

HANNI MÜNZER

MARLENE

*Miłość, poświęcenie,
odwaga, śmierć.
I wybór, przed którym nikt
nie chciałby stanąć.*

Bestsellerowa powieść autorki *Miłości w czasach zagłady*

HANNI MÜNZER
MARLENE

z niemieckiego przełożył
ŁUKASZ KUĆ

*Poświęcam bojowniczkom ruchu oporu,
bohaterkom drugiej wojny światowej*

*Sztil di nacht iz ojsgeszternt
un der frozt hot sztark gebrent.
Ci gedenkstu wi ich hob dich gelernt
halt n a szpajer in di hent?*

*A mojd, a pelcl un a beret,
un halt in hant fest a nagan,
a mojd mit a zemetenem ponem
halt op dem sojnes karawan.*

*Gecilt, geszosn un getrofn,
hot ir klejninker pistojl,
an ojto gefilt mit wofn,
farhaltn hot zi mit ejn kojł.*

*Fartog fun wald arojsgekrochn
mit snej grilande ojf di hor
gemutikt fun klejninkn nicochn
far undzer najem frajen dor.*

Hirsch Glik (1922–1944)

Cicho, noc jest pełna gwiazd
i mróz siarczysty szczypie w twarz.
Czy pamiętasz, jak cię nauczyłem,
jak pistolet trzymać w dłoni?

Dziewczyna, kozuch, beret,
a w ręku trzyma broń.
Dziewczyna z twarzą jak aksamit
zatrzymuje karawanę wroga.

Mierzy, strzela, trafia.
Jej mały pistolecik
zatrzymuje jedną kulą
auto po brzegi wypełnione bronią.

Nazajutrz wyczołguje się spomiędzy drzew
z girlandą śniegu na swych włosach.
Włała odwagę tym zwycięstwem
w pokolenie nowych, wolnych ludzi.

Hirsch Glik (1922–1944)

Wojnę może zrozumieć tylko ten, kto jej doświadczył.

Marlene

Prolog

Było cudowne lato, spowite w zapachy i wspomnienia, które na zawsze wyryły się w jej pamięci. Trwały sianokosy. Stała na polu pośród skoszonych traw, słuchała grania świerszczy, smakowała kurz unoszący się z suchej ziemi, pławiła się w opalizującym świetle południowego słońca, czuła jego żar na karku, który jej babcia wieczorem posmaruje maścią o ostrym zapachu, tą samą, której używa przy koniach.

Miała szesnaście lat, wokół pachniało dzikimi śliwkami i sianem, a kiedy wymieniała ukradkowe spojrzenia z synem zarządcy, ogarniała ją nieznana dotąd tęsknota. Każde spotkanie z nim zapisywała w swoim pamiętniku. W jej życiu budziło się coś nowego. Coś, co sprawiało, że krew żywiej pulsowała w jej ciele.

Właśnie wypadały jej urodziny i choć dziadek patrzył nieprzychylnym okiem, gdy się pospolitowała ze służbą, również dziś pomagała przy zwózce siana. Lubiła wysiłek fizyczny, praca pozwalała jej poczuć, że żyje i że jest blisko przyrody i ludzi. Miała młode, silne ręce zdolne okiełznać najnarowistsze konie, a pokrywające je twarde odciski napawały ją dumą. Żartowała z najemnymi robotnikami, miejscowymi i Polakami, najmującymi się w Niemczech do pomocy przy sianokosach. Wszyscy ją traktowali jak swoją – nie dlatego, że była córką właściciela majątku, lecz dlatego, że pracowała na równi z nimi i nigdy się nie oszczędzała.

Z początku nie usłyszała warkotu silnika, ponieważ mężczyźni zaintonowali pieśń. Dopiero słysząc krzyki, zauważyła przybyszów. Osłoniła oczy przed słońcem i patrzyła, jak z oslepiającego światła wyłaniają się i krystalizują dwie zmierzające ku niej postaci: miejscowego gauleitera Mettmanna i jego syna Herberta. Herbert był jej rówieśnikiem i razem chodzili do wiejskiej szkoły.

– Nie mogłem uwierzyć, kiedy syn mi o tym powiedział, panno von Dürkheim! – ojciec Herberta uniósł się gniewem, zanim jeszcze się do niej zbliżył. – Pani naprawdę się brata z tymi żydowskimi świniami!

Anna nie rozumiała tego wzburzenia.

– Pracujemy, co w tym złego?

Śmiało patrzyła w oczy otyłemu mężczyźnie w okropnym mundurze. Znała go od najmłodszych lat. Paul Mettmann był właścicielem wiejskiego sklepiku i kiedy w dzieciństwie tam zaglądała, zawsze pieszczotliwie tarmosił ją za policzek, a jego żona częstowała ją łakociami. Sklepikarz był

w tamtych czasach wesołym i skorym do żartów człowiekiem i wszyscy we wsi wiedzieli, że nie przepuści żadnej okazji, by się zabawić.

A teraz można by pomyśleć, że partia, do której się zapisał, zrobiła z niego zupełnie innego człowieka. Anna z trudem poznawała rubasznego niegdyś sąsiada. Dziś Mettmann przy każdej sposobności rzucał donośnym i zdartym głosem rezonerskie komentarze, które mało kogo we wsi obchodziły – z tej prostej przyczyny, że nie obchodziły one również barona Dürkheima. Dla prostych mieszkańców brandenburskiej wioski Levkojen dziadek Anny był prawdziwą wyrocznią. We wszystkich sprawach. Pozwalali więc Mettmannowi mówić do woli, a on krzyczał tym głośniej. Chciał, żeby go słuchano z uwagą. Nawet jego śmiech nie był taki jak dawniej. Zniknęła zeń dawna serdeczność, jakby beztroska nie przystawała do powagi jego urzędu.

Zmieniła się również żona Mettermanna. Jej twarz stała się zacięta, a dawny uśmiech przypominał dziś czysto mechaniczny skurcz mięśni – tak jakby chciała w ten sposób zaznaczyć, że Annie von Dürkheim, wnuczce barona, nie należy się grzeczność ani szacunek. Ilekroć żona sklepikarza spotykała Annę, spoglądała na nią w taki sposób, jakby wiedziała o jakimś jej haniebnym występku i z trudem hamowała wzburzenie, nie będąc w stanie mu przeciwdziałać. Czy ta biedna kobieta naprawdę zapomniała, czym są radość życia i szczery śmiech?

Tylko Herbert, syn Mettermanna, nie zmienił się nawet na jotę. Nie musiał, gdyż zawsze był mało rozgarnięty i gburowaty.

Jednak przemiana nastąpiła nie tylko w sklepikarzu i jego żonie, ale i w niej, Annie von Dürkheim. Albowiem tego słonecznego dnia, w lipcu 1935 roku, przebudziła się w niej świadomość polityczna. Czasy niewinności minęły.

CZĘŚĆ I

Współczesność

1

Krakowski Kazimierz, grudzień 2012 roku

– Śpisz?

Marlene ocknęła się. Przed jej biurkiem stała Oliwia, trzymając w dłoni teczkę w codzienną pocztą. Marlene nie słyszała, jak jej synowa weszła, chociaż drewniana podłoga jęczała niczym zranione drzewo. Musiało minąć kilka sekund, nim wróciła myślami do teraźniejszości. Odkąd zaczęła pisać autobiografię, coraz częściej zdarzało się jej całkowicie zatracać we wspomnieniach.

Na chwilę opuściła powieki, by odnaleźć wewnętrzny spokój.

– Ach, to ty, Oliwio – westchnęła z wyraźną ulgą. Odruchowo poprawiła wysoko upięte srebrzyste włosy. Luźna fryzura sprawiała wrażenie, jakby starsza pani nie miała czasu się uczesać, a zarazem przydawała jej dziewczęcego uroku. – Właśnie skończyłam.

Marlene wzięła do ręki pióro, złożyła na kartce swój podpis i zamknęła teczkę z dokumentami, którą rano przyniosła Oliwia.

– Na razie wystarczy. Dokończę po południu. – Zdjęła okulary, które nosiła zawieszane na szyi na łańcuszku, i rozmasowała nasadę nosa.

– Jeszcze tylko to – powiedziała Oliwia, wydając z teczki kopertę.

Starsza pani, która bez okularów nie widziała liter, a jedynie rozmyte robaczki, spojrzała na Oliwię i rzekła:

– Doprawdy, jesteś jak poganiacz niewolników, Oliwio! Czy biednej staruszce nie należy się chwila wytchnienia?

– Sama jesteś sobie winna. Zatrudniłaś mnie po to, żebym porządkowała otaczający cię chaos – odparła młodsza z kobiet z olimpijskim spokojem.

– Chaos? Jaki chaos? – mruknęła Marlene. – I co, do diabła, jest niby tak ważne, że nie może zaczekać? – Założyła okulary. – Znowu wywiad? – rzuciła zniecierpliwiona.

– Według moich notatek od ostatniego minęły trzy lata.

– Przecież wiem! Po prostu miałam nadzieję, że po ostatnim skandalu dadzą mi w końcu spokój!

– Tak, tak, pamiętam. Zrugłaś naczelnego, że błędnie cię zacytowano...

– Żeby tylko! Ale ten tytuł: *Ostatnia diwa!* Cóż to niby miało znaczyć? Najpierw pytają mnie

o aktualną sytuację polityczną, a kiedy nie podobają się im moje odpowiedzi, po prostu je wykreślają albo wrywają zdania z kontekstu! Dla nich to kasandryczne wizje. Ech! – Marlene machnęła ręką. – Zawsze to samo. Mam powyżej uszu tej ich politycznej poprawności. Wszyscy powtarzają to, co akurat wypada. Mam czasem wrażenie, że już nikogo nie obchodzi prawda. Pamiętasz, jak mnie zrównali z ziemią, kiedy odnalazł się mój akt małżeństwa? Nikogo nie obchodziły okoliczności ślubu. Liczyły się tylko nagłówki. Nazwali mnie „żoną nazisty”.

– Nie denerwuj się, bo znów ci skoczy ciśnienie – powiedziała Oliwia tonem kogoś, kto już nieraz wysłuchiwał podobnych utyskiwań.

Marlene przeczytała pismo i wojowniczo potrząsając kartką, wykrzyknęła:

– Aha! Więc takie przywiały ich wiatry! Wiedzą, że pracuję nad autobiografią. Założę się, że dowiedzieli się od wnuczki Jolanty! Ta mała, chciwa kapitalistka... Znów chcą mnie złapać za moje feministyczne jaja. Posłuchaj tylko tego: „Czy byłaby pani skłonna rozważyć możliwość napisania powieści z perspektywy mężczyzny?”.

Oliwia stłumiła śmiech. Wiedziała, że Marlene z upodobaniem wyrzeka na swoją młodziutką agentkę, którą zawsze nazywała „wnuczką Jolanty”. Jolanta Uptenhoff była przez blisko sześćdziesiąt lat agentką Marlene, a po jej śmierci, to jest przed sześciu laty, te obowiązki przejęła jej wnuczka Severine. Severine urodziła się w 1984 roku i Marlene do tej pory miała jej za złe, że została przez swoją nowoczesną agentkę – jak to określała – „przymusowo zdigitalizowana”. Jej stara przyjaciółka Jolanta wszystko załatwiała ręcznie – i to w dosłownym tego słowa znaczeniu – co, oceniając z perspektywy czasu, było nie lada wyczynem. Jolanta dysponowała niewiarygodną wręcz pamięcią. Oliwia pamiętała reakcję Marlene, gdy ta ledwie dwa dni po „przejęciu władzy” przez Severine – to kolejna uszczypliwość nawiązująca do brunatnej historii Niemiec – zobaczyła zainstalowany przez nową agentkę telefon z klawiszami. „Co to ma być?” – spytała „wnuczkę Jolanty” tonem, który przypominał wstrząs tektoniczny na dnie oceanu. „Wszystkie najważniejsze numery są zapisane w skrótach, dzięki temu oszczędzisz mnóstwo czasu. Jeśli będziesz chciała do mnie zadzwonić, wystarczy nacisnąć jedynekę”, odrzekła Severine z niezachwianą pewnością siebie, charakterystyczną dla młodych ludzi, którzy sądzą, że przyszłość to coś, co można formować jak wosk. Dla jej pokolenia przypadek i nieprzewidywalność losu stanowiły w życiu ludzkim zmienną o tak nikłym znaczeniu, że można je było zupełnie pominąć. „Taak. Wystarczy nacisnąć guzik, powiadasz? I w ten sposób oszczędzę czas?”, odparła Marlene. Oliwia czuła, że za chwilę na głowę Severine zwali się istne tsunami. Zacisnęła mocno usta, aby przypadkiem nie parsknąć śmiechem. Młoda agentka musiała przejść przez to sama. Oliwia wiedziała, co za chwilę nastąpi, jako że kilka razy poczuła na własnej skórze ciskane przez Marlene pioruny. „A co, jeśli ja nie chcę oszczędzać czasu? – spytała starsza pani spokojnym głosem, w którym czaiła się groźba. – Jeśli chcę do końca smakować życie wszystkimi zmysłami? Czas ostatnio strasznie przyspieszył, wszystko ma być hop-siup. Szybciej, szybciej, szkoda czasu! A po co my go mamy oszczędzać, co? Żeby mieć więcej czasu na myślenie,

jak go jeszcze trochę oszczędzić? A co z czasem na odpoczynek? Na refleksję? Tak się spieszymy, jakbyśmy chcieli wyprzedzić samych siebie! A przy okazji zapominamy, jak cudowne jest życie. Nie chcę w telefonie żadnych skrótów, chcę sobie spokojnie wykręcić numer! Więc zabieraj to z łaski swojej i zjeżdżaj!” Marlene złapała aparat i z impetem wyrwała przewód. „Masz, weź sobie tę swoją oszczędną maszynę! Masz mi natychmiast oddać mój stary telefon!” „Ale ja już go wyrzuciłam”, odparła Severine. „Co zrobiłaś?”, Marlene prawie wstała z miejsca. „W takim razie masz dwa wyjścia: albo głęboko pogrzebiesz w śmieciach, albo jeszcze dziś odkupisz mi identyczny model”. „Ale aparaty z tarczą są praktycznie nie do kupienia”, głos dziewczyny nie brzmiał już tak pewnie. „Skoro tak, to chyba powinnaś go jak najszybciej zacząć szukać, nie sądzisz?”

To Severine wpadła na pomysł, by zatrudnić Oliwię w charakterze prywatnej sekretarki Marlene. Bądź co bądź Oliwia mieszkała w tym samym domu i miała w sobie nieograniczone pokłady cierpliwości – cnoty, która w kontaktach z Marlene była absolutnie nieodzowna. Również z punktu widzenia Oliwii, której córka Klaudia właśnie poszła do szkoły, trudno byłoby wybrać właściwszy moment na powrót do pracy.

– Może powinnaś założyć konto na Facebooku? Albo bloga? Mogłabyś pisać, co tylko zechcesz, i swobodnie wyrażać swoje zdanie na różne tematy – zaproponowała Oliwia.

– Ja? Online? – Marlene dosłownie wypluła to słowo. – Żeby mnie mogli szpiegować? W życiu! Pomyśl, ile razy ci cyberfaszyści atakowali moją fundację. Pamiętasz, jak skasowali nam bazę danych? Gdybym nie zachowała archiwum Jolanty, stracilibyśmy wszystko, nawet adresy! Nie, dziękuję bardzo. Napiszę swoją biografię, a ona tak czy siak trafi do sieci. Przecież wydadzą ją jako e-booka. Tak mówi wnuczka Jolanty. To mi wystarczy. Może wtedy wysłuchają, co mam do powiedzenia. Świat to istny dom wariatów, dziś może jeszcze bardziej niż wtedy. Wtedy przynajmniej było wiadomo, kto jest wrogiem, a dziś wszyscy bez przerwy na przemian zawierają i zrywają sojusze. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, mówią. Tylko że dziś wrogiem jest ten, jutro tamten, a pojutrze wszystko znów jest jak na początku. Istna karuzela. Można się porzygać. Świat zmierza ku przepaści i znów wszyscy udają, że niczego nie widzą. Stosują tę samą strategię co osiemdziesiąt lat temu. Nowy *appeasement*. Patrzę na to i ogarnia mnie groza. Ale co tam, najważniejsze, że przemysł zbrojeniowy kwitnie i z taśmy zjeżdżają kolejne czołgi. – Marlene uświadomiła sobie, że znów ogarnęła ją pasja.

Namacała dłonią wiszący na szyi łańcuszek i jej pokryta zmarszczkami, lecz wciąż piękna twarz przybrała taki wyraz, jakby przypomniawszy sobie dawne czasy, przepełniające ją równocześnie nadzieją i lękiem. Rozparła się wygodnie w fotelu i przez chwilę starała się odzyskać siły, nadwątlone nie tyle wiekiem, ile obawą o losy ludzkości. W końcu, bardziej do siebie niż do Oliwii, rzekła:

– Czasem się zastanawiam, jaki właściwie był sens tej naszej walki...

Oliwia na chwilę opuściła powieki. W ostatnim czasie Marlene coraz częściej miewała takie nagłe

zmiany nastroju, w trakcie których do głosu dochodziła jej obawa o przyszłość świata. Czasem Oliwia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Marlene mieszają się przeszłość i teraźniejszość. Uznała, że musi skupić jej uwagę na dniu dzisiejszym, dlatego powtórzyła pytanie z wywiadu:

– No więc? Wyobrażasz sobie, że mogłabyś napisać powieść z perspektywy mężczyzny?

– Wykluczone! – zjeżyła się Marlene i niespodziewanie trzeźwo spojrzała prosto w błękitne oczy Oliwii. – Ale wyobrażam sobie, że mogłabym napisać ją z punktu widzenia Boga. Pierwsze zdanie brzmiałoby: „Odkąd stworzyłem człowieka, zastanawiam się, ki diabeł mnie do tego podkusił”.

– Tak, może mój imiennik nie powinien był budować arki – w gabinecie odezwał się męski głos.

– Noah! – wykrzyknęła Marlene i na jej obliczu natychmiast rozlała się anielska łagodność. – Dawno wróciłeś?

– Właśnie wszedłem. – Mężczyzna zbliżył się, nachylił i ucałował Marlene w policzek. – Cześć, mammo.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że Noah wrócił? – Marlene z wyrzutem spojrzała na Oliwię.

Sekretarka i zarazem synowa Marlene spojrzała na męża i uśmiechnęła się.

– Bo chciał ci zrobić niespodziankę.

– Właśnie dowiedziałem się od Franciszka, że nasi amerykańscy goście przyjadą dzień później, niż planowali – powiedział Noah, nalewając sobie kawy ze stojącego na stoliku dzbanka.

– To prawda. A pojutrze dołączy do nas Penelope, młoda przyjaciółka Trudi.

Noah zdziwiony uniósł brwi.

– Penelope? Powinienem ją pamiętać?

– Nie ... – westchnęła Marlene. – To tragiczna historia. Penelope straciła w wypadku synka. Miał ledwie pięć lat. Wpadła w potworną depresję i Trudi wzięła ją pod swoje skrzydła. Najwyraźniej ma ogromne zaufanie do moich terapeutycznych zdolności, gdyż poprosiła, bym pomogła biedaczce otrząsnąć się z traumy.

– I jak sobie niby to wyobraża? – Wyraz twarzy mężczyzny sugerował, że on sam poważnie powątpiewa w psychologiczne talenty swojej matki.

Marlene spojrzała na niego karcącym wzrokiem.

– Mam jej opowiedzieć o tym, jak przeżyliśmy wojnę.

– Rozumiem. – Noah z powagą pokiwał głową, po czym pociągnął łyk kawy, a jego spojrzenie powędrowało ponad filiżanką gdzieś w dalekie strony. – Czy nasz plan jest aktualny? Mam podczas wizyty amerykańskich gości trzymać się na uboczu?

– Tak. Najbardziej martwię się o naszego starego profesora. Ze względu na jego siostrę nigdy nie opowiedziałam mu wszystkiego, co się wtedy zdarzyło, ale teraz, kiedy umarła, postanowiłam przerwać milczenie.

2

– Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej?

– Dzień dobry, mnie też miło cię widzieć – odparła Oliwia i rozsunęła zasłony.

Jasne światło zimowego słońca w jednej chwili szerokim strumieniem wtargnęło do pokoju i oświetliło Marlene, która siedziała wyprostowana w łóżku, oskarżycielsko wyciągając ku synowej rękę z budzikiem.

– Jak noga? – spytała Oliwia, ignorując wyrzuty teściowej.

Zdjęła z komody tacę ze śniadaniem i postawiła ją przed Marlene na łóżku.

– Zgadnij – burknęła starsza pani, podnosząc wieczko srebrnego dzbanka i zaglądając do środka, jakby spodziewała się czegoś innego niż kawa.

Oliwia stłumiła uśmiech.

– Czyli kiepsko? Mam przynieść maść? A może wolisz gorącą kąpiel?

– Później. Kawa jest wystarczająco mocna?

– Bez obaw, Olga na pewno nie zapomniła dolać porannej porcji koniaku. To jedyne, o czym jeszcze pamięta – w głosie Oliwii pobrzmiwała nuta rezygnacji.

– Ma dziewięćdziesiąt lat, moja droga, więc wyrażaj się o niej z większym szacunkiem.

– Taak, to pewnie wszystko przez moje złe maniery – stwierdziła Oliwia cierpko, krzątając się po sypialni i płosząc przy okazji pół tuzina kotów. Zebrała porozrzucone bezładnie przedmioty i rzekła: – Co za bałagan. Jakbym była w pokoju Klaudii.

– Pokój szesnastolatki musi tak wyglądać, martwiłabym się na twoim miejscu, gdyby było inaczej. *À propos*, gdzie się podziewa mała?

– Jest piątek rano, więc jak myślisz? W szkole! – odrzekła Oliwia, spoglądając badawczo na Marlene.

Ta pochwyciła podejrzliwe spojrzenie synowej.

– Daj spokój, patrzysz na mnie jak doktor Wieczorek. Nie mam demencji, tylko zwyczajnie mam za dużo rzeczy na głowie. W tej chwili myślę tylko o tym, żeby dokończyć książkę.

– I dlatego pozwoliłam ci dłużej pospać. Noah mówił, że jeszcze o czwartej rano świeciło się u ciebie światło.

– Mój syn najwyraźniej ma problemy z pęcherzem.

– A ciebie boli noga, poznaję po twoim humorze. – Oliwia odruchowo uniosła lekko prawą brew.

– No dobrze, masz rację. Wszystko przez tę przeklętą nogę. Nie wiem, dlaczego właśnie teraz znowu zaczęła mi tak dokuczać. Przez siedemdziesiąt lat prawie nie czułam bólu. Moje stare kości chyba ostatecznie odmawiają mi posłuszeństwa.

– To przez zimno, mamó. W tym roku zima przyszła wyjątkowo wcześnie.

– Proszę cię, nie mów do mnie „mamo”. Kiedy to słyszę, mam wrażenie, że jestem jeszcze starsza. – Marlene pociągnęła z filiżanki maleńki łyżeczek.

– Nie znam nikogo, kto byłby młodszy od ciebie, mamó – odrzekła Oliwia miękko.

– Co też ty opowiadasz... Gdzie jest Noah? Już wyszedł?

– Tak. Wcześnie rano wyjechał do Warszawy. Ma przemówienie w Izbie Przemysłowej.

– W takim razie wypada tylko mieć nadzieję, że te śmierdzące wałkonie sięgną po książeczki czekowe i zasilą fundację okazałą sumką. Szkoda, że nie mogę już sama jeździć, z przyjemnością zagrałabym na ich wyrzutach sumienia... A co z gośćmi? Wstali już?

– Och, już dawno. Poszli z Franciszkiem zwiedzać miasto, profesor Berchinger również. Zaczynają od Rynku i kościoła Mariackiego, a potem idą na Planty. Tak jak im wczoraj radziłaś.

– Ach, Rynek... – Marlene wypowiadała polskie słowa z wyjątkową czułością.

Zamknęła oczy, by na chwilę zatopić się we wspomnieniach.

Tymczasem Oliwia mówiła dalej:

– W południe zjedzą obiad na mieście, a po nim pójdą na przechadzkę po parku i wrócą około trzeciej. Potem kawa i w końcu...

– ...w końcu nadejdzie pora, żebyś opowiedziała im swoją historię – zakończyła Marlene.

Otworzyła już oczy i z osobliwym wyrazem twarzy spoglądała w okno, jakby spodziewała się, że zobaczy straszne lato 1944 roku.

3

Oliwia po raz ostatni upewniła się, że gościom niczego nie brakuje, i wreszcie zajęła miejsce. Z fotela pod oknem miała widok na cały salon, a zarazem sama mogła się trzymać w cieniu.

Wszyscy czekali na gospodynię. Marlene, jak to często jej się zdarzało, straciła poczucie czasu. „Może na tym właśnie polegała największa tajemnica jej życia? – pomyślała Oliwia. – Nie patrzeć na czas jak na coś skończonego, tylko jak na dar chwili”. Ponieważ Marlene zbyt długo delectowała się owym darem, Oliwia w końcu wysłała Klaudię na górę, by sprowadziła babkę.

Franciszek, wnuk kucharki Olgi, porządnie napalił w kominku. Oliwia bardziej nawet niż samym ciepłem napawała się trzaskaniem płomieni i szczap drewna. Dzieciństwo spędziła w ubogim chłopskim domu, w którym było jej wiecznie zimno, toteż ogień w kominku był dla niej symbolem bezpieczeństwa i dobrobytu. Czekaając na Marlene, miała czas przyjrzeć się gościom.

Ostatnia dotarła dziś z Monachium Penelope Arendt. Młoda przyjaciółka Trudi Siebenbürgen przeproszała za spóźnienie tak wylewnie, jakby to naprawdę była jej wina, a nie niemieckich kolei. Była młodą, wręcz eterycznie delikatną kobietą, lecz mimo melancholii, która spowijała ją niczym ciemna chmura, Oliwia czuła, że pod tym spokojem skrywa się z trudem kielznana namiętność.

Oprócz Penelope w salonie była również para młodych Amerykanów: Felicity i jej narzeczony Richard, od których biło takie szczęście, że nie sposób było w ich obecności samemu nie poczuć się odrobinę szczęśliwszym.

Szczególnie ucieszył Oliwię widok starego profesora Berchingera, który od ich ostatniego spotkania w ogóle się nie zmienił: był tak samo uprzedzająco greczny i mimo osiemdziesiątki na karku nadal przejawiał ogromną ciekawość ludzi i świata. Kiedy przed czternastu laty spotkali się po raz pierwszy, właśnie owdowiał i sprawiał wrażenie, że nie przeżyje utraty ukochanej żony. Wkrótce jednak całkowicie oddał się swej drugiej miłości, fizyce, i z biegiem lat odzyskał równowagę i radość życia. Niestety nie miał dzieci, choć i on, i jego zmarła żona niczego bardziej nie pragnęli. Na szczęście profesor i jego druga połowa znaleźli przybraną rodzinę w osobie Otilie i jej bliskich. Oliwia nigdy nie poznała Otilie, ale wiedziała, że potomkowie dawnej pokojówki Berchingerów wciąż troskliwie opiekują się profesorem.

Jedyną osobą, której Oliwia nie potrafiła rozgryźć, była Martha Benedict. Matka Felicity miała w sobie jakąś powściągliwość i wrodzoną niepewność, a w jej oczach krył się głęboki smutek, jakby

bardzo stary, nieprzezwyciężony żal. Z drugiej strony jednak widać było, że jest niewiarygodnie wprost zakochana w córce i przyszłym zięciu. Oliwia wielokrotnie widziała, jak Martha wpatruje się w młodych – jakby podziwiała cud, który niespodziewanie zdarzył się na jej oczach – i podejrzewała, że matka Felicity mogła należeć do tej kategorii ludzi, którzy nie wierzą w prawdziwą miłość, i teraz z trudem przychodzi jej cieszyć się szczęściem, które tak niespodziewanie i w takiej obfitości na nią spłynęło.

Drzwi otworzyły się i do salonu, lekko wspierając się na ramieniu wnuczki, wkroczyła Marlene. Natychmiast, jak to się zdarzało przez całe jej życie, niczym magnes skupiła na sobie zainteresowanie zebranych. Uważnym oczom Oliwii nie umknął fakt, że Marlene zrezygnowała z laski. To zaś oznaczało, że albo czuła się nieco lepiej i nie była w tej chwili skazana na jej pomoc, albo – co bardziej prawdopodobne – duma okazała się silniejsza od bólu.

Tymczasem goście jak na komendę zerwali się z miejsc. Oliwia z uśmiechem przypatrywała się Klaudii, prowadzącej babkę do jej ulubionego fotela przy kominku. Uwielbiała patrzeć, jak dwie główki – srebrna i złotowłosa – nachylają się ku sobie i szepczą, jakby planowały jakąś psotę. Co zresztą nieraz się już zdarzało. Babkę i wnuczkę dzieliło siedemdziesiąt siedem lat, a mimo to łączyła je wyjątkowo głęboka więź. A raczej należałoby chyba mówić o pokrewieństwie dusz. Klaudia bowiem już w dniu swych dziewiątych urodzin obwieściła, że będzie kontynuować dzieło Marlene i w przyszłości stanie na czele fundacji Moriah, która od 1953 roku zajmowała się ściganiem nazistowskich zbrodniarzy.

Oliwia poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Nie musiała się odwracać, by domyślić się, że to Noah. Ją i jej męża również łączyło duchowe pokrewieństwo, mimo że było między nimi blisko dwadzieścia lat różnicy. Noah miał sześćdziesiąt siedem lat i długo musiał czekać na miłość życia. Ale czasem warto czekać. Tak jej powiedział podczas pierwszego spotkania, gdy ucałował jej dłoń i spojrzał na nią w taki sposób, że jej serce zaczęło bić szybciej.

Marlene przez chwilę w milczeniu patrzyła na gości. Długo się zastanawiała, czy powinna spisać swoją historię. Kiedy spoglądała wstecz na swoje życie, miała wrażenie, że było ono pasmem nieustannej walki. A przecież przeżyła również cudowne lata, z których po dziś dzień czerpała siłę. Spotkała na swojej drodze wielu wspaniałych ludzi, którzy zachowali człowieczeństwo nawet w najstraszliwszych, najbardziej nikczemnych okolicznościach. Podczas wojny przeżyła wielką miłość – tak wielką, że do dziś przepełniała ona jej serce. Ale doświadczyła też rzeczy, które ukryła w najdalszych zakamarkach duszy. Czy powinna wyciągnąć na światło dzienne owe demony, by znów stanąć z nimi oko w oko?

Odpowiedź brzmiała: tak! Musiała spełnić ostatnią powinność, ujawnić tajemnicę, której nie chciała zabrać do grobu. Miała też nadzieję, że są jeszcze na świecie ludzie, którzy chcą usłyszeć całą prawdę, nawet jeśli to będzie tylko jej, Marlene, prawda. I że dzięki temu ocali choć jedną duszę. „Kto

ratuje jedno życie, cały świat ratuje”, napisano w Talmudzie, a podobne słowa znaleźć można też w Biblii i w Koranie.

„Dlaczego ludzie nie biorą sobie do serca wezwania do miłosierdzia, które znajduje się w owych księgach, tylko od tysiącleci szukają i znajdują w nich usprawiedliwienie dla zabijania? Dlaczego dzielą ludzi podług ras i kolorów, na wierzących i niewierzących?”, pytała ją w czasie wojny Trudi.

Wspomnienie przyjaciółki wywołało na twarzy Marlene uśmiech. Lubiła przywoływać w myślach owych cudownych ludzi, którzy towarzyszyli jej w drodze.

W końcu otworzyła usta i powitawszy gości, rzekła:

– Biorąc pod uwagę fakt, że mam już swoje lata, nie traćmy czasu. Obiecałam wam, przyjaciele, że poznacie historię mojego życia. Oto ona. – Marlene wskazała na gruby plik związanych sznurkiem kartek, który Klaudia położyła przed nią na stoliku. – Oto dzieje mojego szalonego życia... Dziś w nocy skończyłam je spisywać.

Skinęła do wnuczki, która jak zwykle przycupnęła przed nią na podnóżku, tak blisko, że mogłaby się oprzeć o jej kolana.

Oliwia dawno zauważyła, że jej teściowa i córka uwielbiają kontakt fizyczny i często go szukają. Kiedyś Klaudia z powagą wyjaśniła matce, że dzięki temu czuje, jak jej energia łączy się i zlewa w jeden strumień z energią babki.

Tymczasem Marlene kontynuowała przemowę:

– Postanowiłam, że książka zostanie wydana dopiero po mojej śmierci. Nie dlatego, żebym obawiała się reakcji opinii publicznej czy dziennikarzy, którzy z pewnością rzucą się na mnie jak stado hien, ale dlatego, że pragnę chronić swoją rodzinę. Nie chcę, żeby moi bliscy zamartwiali się o mnie. Nigdy nie bałam się mówić tego, co myślę, i teraz też nie zamierzam niczego ukrywać. Prawda nie zawsze jest piękna, a najczęściej okazuje się nieprzyjemna, ale właśnie na tym zasadza się jej moc. Nieważne, jak brutalna siła chciałaby ją zdeptać, nieważne, z jakich powodów próbowano by ją zagłuszyć, pozostaje niewzruszona i trwała. Albowiem prawdy nie da się ukryć. Ona zawsze znajdzie drogę ku światłu. Część mojego życia niektórzy z tu obecnych znają z zapisków mojej przyjaciółki Debory, które kończą się zaraz po wojnie. Zwłaszcza dla jej brata Wolfganga – Marlene ciepło ukloniła się profesorowi – duża część moich wspomnień nie będzie niczym nowym, jako że już dawno stał się on częścią mojego życia. Podobnie jak Deborah robiłam rzeczy, z których nie jestem dumna. O wielu z nich przez długi czas próbowałam zapomnieć. Lecz im bardziej zanurzałam się w przeszłość, im dłużej wertowałam stare dokumenty i zapiski, z tym większą natarczywością te tłumione wspomnienia domagały się, bym je dopuściła do głosu. Wspomnienia są bowiem niczym żarłoczne zwierzę i kiedy je spisywałam, aż nazbyt często czułam się bezbronna wobec burzy kipiących we mnie uczuć. Moja mała wnuczka stwierdziła, że to starość i powoli staje się sentymentalna. Gdybyż to była prawda... W ostatnich miesiącach często rozmawiałam telefonicznie

z moją przyjaciółką Trudi, niestety zmarłą niedawno, która pomogła mi nie tylko zrekonstruować dużą część przeszłości, ale też uświadomiła mi, że zapomnienie i wyparcie stanowiły część naszej strategii przetrwania. Chroniliśmy się w ten sposób, by pośród otaczającego nas szaleństwa samemu nie popaść w obłąd. Żyłymy niejako z godziny na godzinę, nie wiedząc, kiedy otworzą się drzwi i któraś z nas zostanie zabrana. Niemal każdego dnia traciłyśmy przyjaciół. Spotykałyśmy na swojej drodze mnóstwo ludzi, w tym wielu takich, których nie warto wspominać. Byli jednak wśród nich również tacy, którzy potrafili dać odpór złu tego świata. Moja historia rozpoczyna się 21 lipca 1944 roku, dzień po nieudanym zamachu Stauffenberga. Wtedy jeszcze o niczym nie wiedziałam. W tamtym czasie wieści nie rozchodziły się po świecie lotem błyskawicy. Monachium przeżywało w tamtych dniach najstraszliwsze jak dotąd naloty Amerykanów. Spędziłam trzy dni w schronie przeciwlotniczym, a kiedy w końcu pozwolono nam wyjść na powierzchnię, natychmiast udałam się do domu przy Prinzregentenplatz 10, w którym mieszkali moja przyjaciółka Deborah i jej braciszek Wolfgang. A raczej nie tyle mieszkali, ile byli prywatnymi więźniami Albrechta Brunnmanna. Przyjechałam do Monachium, by im pomóc w ucieczce. Jednak dom został doszczętnie zniszczony przez bomby, a miejscowy kierownik obrony przeciwlotniczej poinformował mnie, że schron w piwnicy również się zawalił i nikt z mieszkańców nie przeżył. Uznałam zatem, że moi przyjaciele zginęli, i postanowiłam zrealizować swój wcześniejszy plan: przyłączyć się do francuskiego ruchu oporu. Jednak życie pokrzyżowało również te plany...

CZĘŚĆ II

Przeszłość

Czas mroku

„Wzywamy studentów niemieckich, by okazali wolę i zdolność przewyciężenia żydowskiego intelektualizmu i związanych z nim liberalnych przejawów upadku niemieckiej humanistyki...”

Zrzeszenie „Niemiecka Młodzież Studencka”,
fragment ulotki nawołującej do palenia książek (10 maja 1933)

285 dni do „Dnia 0”

„Na ofierze zabitych i na ruinach naszych miast rozkwitnie nowe życie”.

Führer Adolf H. z B.
w dziesiątą rocznicę objęcia władzy

Monachium, lipiec 1944 roku

Marlene wróciła na gruzowisko i stanęła nad żalnymi resztkami czegoś, co kiedyś było domem przy Prinzregentenplatz 10. Trwała wojna i do tej pory widziała już śmierć wielu ludzi. Śmierć była wręcz wszechobecna. Marlene widziała ją, czuła jej zapach, nienawidziła jej.

Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że się modli. Ale od dnia, gdy ostatni raz się modliła, upłynął szmat czasu. Odwróciła się od Boga, tak jak On odwrócił się od ludzi, wydawszy ich na pastwę szatana. Nie modliła się, lecz na swój sposób żegnała z mieszkańcami tego domu: Deborą i Ottilie oraz Wolfgangiem, którego nie było jej dane poznać. Chociaż od dziewięciu lat żyła pośród nazistowskiego terroru, wciąż nie umiała pojąć, jak ludzie mogą być zdolni do takiego bestialstwa. Dom pełen śmiechu, miłości i życia w ciągu kilku sekund został starty z powierzchni ziemi. Ludzie produkowali bomby i zrzucali je na innych ludzi. Przyjaciel czy wróg, zabijano ich w imię zbrodniczej ideologii, wbrew odwiecznemu prawu. Albowiem żaden człowiek nie ma prawa odebrać życia drugiemu człowiekowi. Jej również to dotyczyło. A mimo to zabiła. Wiedziała, że będzie musiała dźwigać to brzemień do końca życia.

Wszędzie walały się odłamki szkła, powyrywane drzwi i okiennice, zwęglone fragmenty mebli i sprzętów. Jeden dzień! Jeden dzień i zdołałaby uratować Deborę i jej braciszka. Cóż znaczy jeden dzień wobec pięciu lat wojny?! Że też właśnie tego dnia opuściło ją szczęście. W Krakowie cudem przeżyła zamach na Cyganerię. Została ciężko ranna, lecz siłą woli zdołała odzyskać siły, a potem dotrzeć do Berlina i Monachium. I po co to wszystko? Po to, żeby stanąć nad stertą osmalonych gruzów? Czuła, jak wzbiera w niej gniew. A zarazem radość, że wciąż coś czuje. Gdziekolwiek spojrzała, napotykała otępiałe, zrezygnowane twarze ludzi, którzy zbyt wiele razy widzieli śmierć i dawno już uznali ją za swoją nieodłączną towarzyszkę. Wiedziała, że ona sama nigdy nie oswoi się ze śmiercią.

Nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje. Zbyt długo już stała nad tymi gruzami. Odwróciła się i wpadła wprost w ramiona zastępu Hitlerjugend, garstki nieświadomych niczego gołowąsów w mundurach, skazanych przez swych przełożonych na śmierć.

– *Heil Hitler!* – wrzasnął dowódca oddziału.

Marlene z trudem się opanowała. Niewiele brakowało, a wzdrygnęłaby się z obrzydzeniem, zamiast odwzajemnić pozdrowienie. Nie mniej wysiłku kosztowało ją ukrycie myśli kłębiących się jej w głowie na widok czternastoletniego chłopca. W jego oczach skrzył się fanatyzm. Niestraszne mu były bomby i terror. Przecież stał po właściwej stronie, po stronie dobra, a dobro musi zwyciężyć! Jeśli wszystko musi się obrócić w perzynę i lec w gruzach, to niech tak będzie. Bo tak chce Führer! Po zwycięstwie wszystko zostanie odbudowane. Większe, piękniejsze, potężniejsze. Trzecia Rzesza w pełnej chwale. Nowy Rzym. Tak myśleli ci młodzi chłopcy wychowani w brunatnej ideologii. Nieżyjący już dziadek Marlene wyjaśnił jej kiedyś, że pokusy przyoblekają się w najrozmaitsze szaty. Dzieci uwierzą w każdą bzdurę, nieważne, czy chodzi o wielkanocnego zajęczka, czy o wyższość aryjskiej rasy. Tę łatwowierność wykorzystują ci, którzy nie mają na uwadze dobra, lecz wyłącznie własny interes i władzę, jaką mogą w ten sposób zdobyć. I tak oto świat raz po raz rzuca się w otchłań nieszczęścia. Marlene przyspieszyła kroku, by znaleźć się jak najdalej od tego chłopca i jego potępieńczego zastępu.

W bombardowaniu straciła niemal wszystkie ubrania. Została tylko, z tym, co miała na sobie. Na szczęście w małej torebce pod suknią ukryła to, co najważniejsze: fałszywe dokumenty i trochę pieniędzy. Dostała je – wraz z kontaktem w zachodniej części Monachium – od Haliny, swojej łączniczki w berlińskim ruchu oporu.

Minęło dziesięć dni od jej wyjazdu ze stolicy Rzeszy. Po straszliwym nalocie musiała się liczyć z tym, że pod adresem, który otrzymała, ostała się jedynie kupa gruzu. Poza tym brunatny reżim wzmógł walkę „na froncie wewnętrznym”. Im większe obszary Wehrmacht i Waffen-SS traciły na froncie, tym brutalniej gestapo, SA i inni fanatycy występowali przeciwko obywatelom Rzeszy. Wszędzie wietrzono spisek i zdradę, denuncjowano sąsiadów, przeprowadzano masowe aresztowania, a tortury i groźby rozwiązywały niejednen język. Każdego dnia szeregi ruchu oporu topniały, lecz mimo to garstka nieustraszonych bojowników nadal próbowała zmienić bieg wojny.

Po ponaddwugodzinnej pieszej wędrówce dotarła wreszcie pod wskazany adres i kolejny raz tego dnia stanęła nad czymś, co jeszcze niedawno było kamienicą.

Czuła, jakby wszystko sprzysięgło się przeciw niej. Kręciło się jej w głowie, a ciało miała tak obolałe, jakby całą noc przespała na kamieniach, co w gruncie rzeczy nie było dalekie od prawdy. W dodatku dopiero co wyszła z ciężkiej choroby i wciąż nie odzyskała pełni sił, a przez ostatnie trzy dni, które spędziła w schronie, nie mogła wykonywać wzmacniających ćwiczeń, które w Krakowie pokazał jej dobry doktor Hondl. Prawdą jest, że w pionie, bardziej niż tak silny niegdyś organizm, utrzymywała ją żelazna wola, lecz nawet ona nie była w stanie pokonać głodu i pragnienia. Gardło wyschło jej tak bardzo, że z trudem przełykała ślinę. Całe miasto było spowite jedną wielką chmurą pyłu, która zdawała się dusić wszystko, co znalazło się w jej zasięgu. Marlene musiała jak najszybciej znaleźć miejsce, gdzie mogłaby spędzić noc, odzyskać siły i obmyślić plany. Tylko gdzie? Nie znała tu nikogo, a tego dnia tysiące monachijczyków szukały dachu nad głową. Powrót do schronu nie

wchodził w grę. Przypomniała sobie, że w połowie drogi mijała kościół, w którym zgromadzili się potrzebujący schronienia rozbitkowie. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że widziała tam chyba flagę Czerwonego Krzyża. To by oznaczało, że w tym miejscu opatruje się rannych oraz rozdziela jedzenie i wodę. Rozejrzała się i spostrzegła wieżę kościoła, która wyłaniała się z chmury, wskazując na niebo, jakby chciała przypomnieć miastu o Bogu.

Marlene znów poczuła, że jest obserwowana. Próbowwała dyskretnie przyjrzeć się otoczeniu, lecz nie odkryła niczego podejrzanego – tylko tłum pozbawionych dachu nad głową ludzi, błędzących niczym szare widma i z wolna zaczynających się już organizować. Wokół wykrzykiwano imiona, przetrząsano ruiny w poszukiwaniu żyjących, wymieniano się informacjami, kto kogo i gdzie widział; matki próbowały uspokajać dzieci, sanitariusze biegali z noszami, a miejscowy dowódca obrony przeciwlotniczej wykrzykiwał przez megafon rozkazy. A wszystko, niczym niewidzialny woal, spowijała wojna i jej atrybuty: śmierć, żałoba, rozpacz i gniew.

Marlene ruszyła z powrotem tą samą drogą, która wszelako teraz wydawała się jej dalece uciążliwsza niż poprzednio. Raz po raz upewniała się, czy nikt jej nie śledzi, ale nie zauważyła nikogo podejrzanego. W końcu dotarła do celu. Mimo powybijanych okien i popękanych ścian świątynia sprawiała wrażenie solidnej. Co ciekawe, była to jedyna budowla w okolicy, która pozostała prawie nienaruszona, i Marlene pomyślała, że to, co sama określała jako łut szczęścia, inni mogli postrzegać jako cud. Cud czy przypadek, było jej wszystko jedno, najważniejsze, że miała dach nad głową.

Tak jak ona myślało zapewne wielu, gdyż kościół był niemiłosiernie przepełniony. Obdarty ksiądz, kręcący się niczym w transie między szukającymi schronienia, w czasach pokoju zapewne mógł tylko pomarzyć o takiej frekwencji na nabożeństwach. Marlene bezceremonialnie torowała sobie drogę przez ludzką masę. Ludzie, którzy wyglądali równie żałośnie jak ona, niechętnie robili miejsce i bronili każdego centymetra zajmowanej przez siebie przestrzeni. Tu po raz pierwszy usłyszała o nieudanym zamachu na Hitlera dokonanym przez pułkownika wojsk zapasowych. Poznała hrabiego von Stauffenberga w domu swego dziadka, gdyż ów oficer kilka razy odwiedził barona von Dürkheima. Marlene pamiętała, że Stauffenberg był eleganckim młodym mężczyzną i że jako podłotek kochała się w nim bez pamięci.

W jednej z bocznych naw urządzono prowizoryczny lazaret. Marlene przedarła się tam i zdołała wybłągać kawałek suchego chleba i kubek herbaty, bezcenne dary rozdzielane przez siostry z Czerwonego Krzyża. Zaspokoiwszy nieco głód i pragnienie, upewniła się, że torebka z cenną zawartością jest na swym miejscu pod suknią, niczym jeź zwinęła się w kłębek i mimo otaczających ją hałasów i odoru roztaczanego przez stłoczone w ciasnym pomieszczeniu setki ludzi próbowała się zdrzemnąć. Ukryty w dłoni scyzoryk, jej jedyna broń, musiał wystarczyć, by się obronić przed złodziejami. Nie czuła się jednak zagrożona, gdyż otaczały ją bezsilne i żalosne postacie tak jak ona szukające schronienia i ukojenia. Widziała, że ludzie ci osiągnęli stadium, w którym mają już dość wojny i niesionych przez nią tragedii. W obliczu realnej grozy wojennej triumfalna ideologia

wielkiego podboju straciła swój dawny blask. Tak było od zarania dziejów – prędzej czy później wojna zawsze zaczyna pożerać własny ogon. Ludzie w końcu zaczynają tęsknić za dobrem i pięknem i budzi się to, co stanowi o człowieczeństwie: silniejszy zaczyna pomagać słabszemu, ten, kto ma wiele, dzieli się z tym, który nie ma już nic. Marlene czuła, że ta metamorfoza już się zaczęła.

Patrzyła, jak siostry z troską opatrują rannych, jak ksiądz niestrudzenie stąpa między śpiącymi, słowem i gestem pocieszając zrozpaczonych, jak jakiś mężczyzna oddaje swój koc matce, by ta okryła córeczkę. Ludzie zgromadzeni pod tym dachem wiele razy stawiali czoło śmierci i wiedzieli już, że jest ona owocem zła, które zawładnęło ich krajem. Zła, któremu chcieli w końcu postawić tamę.

Ona sama dawno przezwyciężyła strach. Śmierć to śmierć – i nikt nie zabroni jej zbierać krwawego żniwa. Na wojnie nie ma zwycięzców, a jej kres widzieli jak dotąd jedynie ci, co zginęli.

Odpryski wojny

Aby powstrzymać osobliwą turystykę karmioną żądzą sensacji, funkcjonariusze NSDAP rozlepiają plakaty z zarządzeniem, w którym władze „zakazują ciekawskim podróżowania do miast dotkniętych bombardowaniami!”.

RAF i US Air Force często używają bomb burzących z chemiczno-mechanicznymi zapalnikami o opóźnionym działaniu, które najczęściej wybuchają kilka godzin po bombardowaniu. Mają one utrudnić gaszenie pożarów i odgruzowywanie, a przy okazji zastraszyć ludzi, którzy dopiero co wyszli ze schronów przeciwlotniczych.

Do dziś dyskutuje się, czy użycie tej broni nosi znamiona zbrodni przeciwko ludzkości.

Sąd Okręgowy w Zweibrücken skazał młodą kobietę na rok ciężkiego więzienia. Przepięstwo jej polegało na tym, że podarowała kanadyjskiemu jeńcowi pomarańczę.

– Jezusie Nazareński, jak to wygląda! – Otilie bezradnie stanęła na schodach prowadzących do schronu, rozglądając się z niedowierzaniem.

Jak okiem sięgnąć śmierć i zniszczenie.

Jej dom, miejsce, w którym spędziła dwadzieścia pięć lat życia, gdzie kochała, cierpiała, a ostatnio trwała ze względu na dzieci świętej pamięci pana doktora, nie istniał. Nic już nie przypominało dumnych kamienic spod numerów od drugiego do dziesiątego. Zostało tylko dymiące morze gruzów, z którego wystawało kilka ceglanych szkieletów przywodzących na myśl wraki rozbitych statków. To i owo oparło się wszechogarniającemu zniszczeniu, tworząc teraz dziwaczne konstrukcje w rodzaju samotnej futryny z drzwiami czy kawałka nienaruszonej ściany, na której wciąż wisiał portret Hitlera w połączanej ramie. Był to posępny krajobraz, spowity w kurz i dym, które połykałyienne światło, czyniąc obraz mrocznym i rozmywając kontury. Zupełnie jakby ludzkość została uwięziona w jakiejś złowroziej mgle.

Serce Otilie ścisnęło się z bólu. Życie zadało jej już wiele ran, z których każda kolejna była głębsza od poprzedniej, i za każdym razem chwytala się myśli, że gorzej już być nie może, że dobry Pan Bóg do tego nie dopuści, a potem okrutna wojna uderzała ponownie i rozwiewała złudne nadzieje. Najwyraźniej Pan Bóg i wojna szli ręką w rękę. I jeszcze ten smród! Potworny smród! Otilie instynktownie sięgnęła do kieszeni fartucha po chusteczkę, lecz przypomniała sobie, że dała ją siedzącej obok staruszce, która zalewała się łzami. Trzy dni i trzy noce przesiedziały w schronie. Wokół spadały bomby, trzęsły się ściany, z pęknięć sypał się pył, a wszyscy w schronie nie przestawali się modlić. Najwyraźniej na niewiele się te modlitwy zdały. Otilie powoli zaczynała wątpić w Boga, który najpierw zabrał pana doktora, najlepszego człowieka, jakiego spotkała w życiu, potem jej Hansa, a wreszcie piękną i dobrą panią Elisabeth. Biedną Deborę zaś wydał w łapy tego rozpustnego nazisty. A teraz ta przeklęta wojna zniszczyła dom! Tymczasem ledwie tydzień temu proboszcz mówił z ambony, że Pan Bóg daje każdemu człowiekowi taki krzyż, by ten mógł go unieść. Otilie uznała, że już dość. Nie miała już ani sił, ani chęci dźwigać coraz cięższego krzyża. Niech Pan Bóg sam sobie go niesie. A mimo to jej oczy mimowolnie skierowały się na wschód, ku wieży kościoła. Najwyraźniej świątynia wciąż stała na swoim miejscu. W każdym razie wieża sterczała pośród gruzów niczym wyciągnięty ku niebu palec. Może powinna tam pójść i zobaczyć, czy ktoś z jej

okolicy ocalał? Nie! Po krótkim namyśle zdecydowała, że pojedzie do swojej rodziny, do Strasslach. Przez chwilę zmagala się z myślą, że nie warto już żyć na tym przeklętym świecie, który najwyraźniej nawet Pan Bóg porzucił.

Potem jednak uznała, że w tym życiu ma do spełnienia jeszcze jedno zadanie: była odpowiedzialna za to młode życie, które jej powierzono. Była to winna swoim państwu, panu doktorowi i pani Elisabeth.

– Idźcież no, dobra kobieto, blokujecie przejście! – krzyknął ze złością stojący za nią mężczyzna, wchodząc jej niemal na plecy.

– Gdzie się pchasz! – prychnęła na niego Ottilie, chwytając za rączkę stojącego obok niej chłopca. – Chodź maleńki, pojedziemy do mojego brata, tam dostaniesz mleka i weźmiesz kąpiel. Wyglądasz jak szary skrzat, trzeba cię będzie porządnie wyszorować.

6

Marlene wstała wcześniej rano, wyprosiła u jednej z sióstr kubek kawy zbożowej i wyruszyła w drogę. Nie miała właściwie żadnego planu, zamierzała po prostu iść w stronę wyznaczonego celu, do Francji.

Jeszcze raz poszła pod wskazany adres. Chociaż nie miała takiego zamiaru, przystanęła.

W ruinach byli jeszcze żywi ludzie, w każdym razie grupka mężczyzn i kobiet najwyraźniej miała taką nadzieję, ponieważ zaczęła usuwać gruzy. Utworzono ludzki łańcuch i zaczęto sukcesywnie przerzucać cegły na stertę obok. Jedna z cegieł zakołysała się i spadła prosto pod stopy dziewczyny. Marlene odskoczyła przestraszona. Potknęła się i zamachała rękami, lecz nie zdołała utrzymać równowagi.

– Ojjoj! Nic się panience nie stało?! – krzyknęła do niej starsza kobieta, która stała ostatnia w szeregu i rzucała gruz na stertę.

Marlene popatrzyła na swoje poobcierane dłonie, pokręciła głową i z trudem wstała. Kobieta zeszła z rumowiska.

– Przepraszam, nie widziałam panienki. Chce się panienka napić?

– Chętnie...

Nieznajoma machnęła na chudego wyrostka, który z wyraźnym ociąganiem podszedł, rzucił ukradkowe spojrzenie spod zatłuszczonej żołnierskiej czapki, zdjął plecak, wyjął z niego manierkę i podał Marlene.

Ta pociągnęła łyk i oddała ją chłopakowi. W tych dniach woda była na wagę złota.

– Dziękuję.

– Skądże panienka idzie? – spytała kobieta.

– Z Prinzregentenplatz – odrzekła Marlene, wskazując niewyraźnie za siebie.

– Mój stary mówi, że tam mocno rąbnęło. Gdzie teraz?

Marlene wzruszyła ramionami.

– Do krewnych, na wieś.

– I ja bym tak chciała. Kto ma gdzie, ten ucieka z miasta. Tu wszystko się wali. Burzą wszystko do szczętu, a ludzie mrą jak muchy. – Kobieta gwałtownie przytknęła dłoń do ust i rozejrzała się dokoła, czy aby nikt nie usłyszał tego, co powiedziała. – Mój stary mówi, że za dużo gadam i że w końcu

napytam se biedy. Mało brakło. Mój stary mówi, że powinnam trzymać język za zębami...

– Ma rację – odrzekła Marlene i posłała gadatliwej kobiecie konspiracyjny uśmiech. – Proszę się nie obawiać. Przyjdzie czas, kiedy będzie pani mogła się wygadać do woli.

– Daj Boże, panienko! – westchnęła kobieta. – Ino się boję, że wpierw zrównają tu wszystko z ziemią.

– Erno! – krzyknął starszy mężczyzna stojący na stercie gruzu. Na głowie miał brudny bandaż. – Co ty tam znowu robisz?

Marlene pożegnała się. Nie uszła jednak daleko, gdy spostrzegła, że ktoś za nią idzie. A więc jednak! Przy najbliższej okazji skręciła w wąską, zasypaną zwałami gruzu uliczkę i ukryła się za krzywo zwisającymi na zawiasach drzwi. Wkrótce zza rogu wyłonił się człowiek, który ją śledził. Był to ów chudy chłopak z plecakiem. Marlene uznała, że nic jej nie grozi. Domyśliła się, że prawdopodobnie wysłała go tamta gadatliwa kobieta, sposobem bycia przypominająca nieco Otilie. Chłopak się zbliżył. W jego ruchach było coś znajomego. Marlene miała niejasne wrażenie, że kogoś jej przypomina. I nagle stanął jej przed oczami tamten wrześniowy dzień 1939 roku, kiedy chodziła po ulicach Krakowa u boku Jakuba, odbierając pierwsze lekcje w szpiegowskim fachu. Chłopak poruszał się dokładnie tak, jak ją samą uczył Jakub: uważnie i dyskretnie, badając otoczenie. Czego od niej chciał? Dlaczego ją śledził? Był już bardzo blisko. Marlene wykorzystała moment zaskoczenia. Wyskoczyła zza drzwi, chwyciła chłopaka za ramię i nim ten się obejrzał, pchnęła go na mur, przystawiając nóż do gardła.

– Kim jesteś i czego ode mnie chcesz? – syknęła mu prosto w ucho.

– Pani jest Marlene? – wydusił z siebie chłopak.

– Kto to jest Marlene? – odpowiedziała pytaniem, nie luzując uchwytu.

– Szpieg z Berlina.

– Ciekawe. A ty kim jesteś?

– Ja też jestem szpiegiem – odparł z dumą wyrostek.

Marlene przewróciła oczami. Dumni agenci nie żyją długo.

– Chyba jesteś trochę za młody na szpiega, nie sądzisz?

– Lepiej być młodym i niedoświadczonym niż starym tchórzem.

Marlene z trudem powstrzymała cisnący się jej na usta uśmiech. Głos tego – bądź co bądź – jeszcze dziecka brzmiał dziwnie. Był zbyt niski i nie pasował do jego mikrej postury. Poluźniła uchwyt.

I to był błąd, bo chłopak niczym piskorz wyśliznął się z jej uścisku i również wyciągnął nóż. Marlene zaklęła i przyjęła postawę do walki.

Chłopak uśmiechnął się, podniósł ręce w pojednawczym geście i nie spuszczając Marlene z oczu, powoli opuścił nóż. Jego wielkie zielone oczy lśniły w wychudzonej i osmalonej twarzy niczym

szmaragdy.

– Czekaliśmy na panią – powiedział z ożywieniem. – Wiedzieliśmy, że pani przyjdzie.

Marlene wyczekiwała, wciąż ściskając nóż w dłoni. Dla niej niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Wprawdzie chłopak znał jej imię, ale nie podał ustalonego hasła. To mogła być pułapka. A jeśli tak, to nie przyszedł sam. Marlene nastawiła uszu i skupiwszy się na najbliższym otoczeniu, nasłuchiwała podejrzanych odgłosów, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Chłopak bacznie obserwował Marlene. Coś w jego twarzy mówiło jej, że miałby ochotę zadać jej pytanie, lecz brak mu śmiałości. Jakby obawiał się jej reakcji.

– Przysłała cię matka? – Marlene postanowiła pociągnąć go za język.

– Nie. Moja matka nie żyje – odparł chłopak, wciąż badawczo wpatrując się w twarz Marlene.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Chłopak zebrał się na odwagę.

– Słyszała pani o zamachu na Führera?

– Taak... – odparła Marlene ostrożnie.

Od jej odpowiedzi zależało, czy chłopak uzna ją za zdrajcę i wroga narodu niemieckiego. W gruncie rzeczy powinna była z miejsca wyrazić oburzenie z powodu haniebnego i podstępного zamachu, ale nie była w stanie się przemóc. Wciąż pamiętała panującą w kościele atmosferę przygnębienia, które kazało jej podejrzewać, że większość tam zgromadzonych żałuje, iż Stauffenbergowi się nie udało. Oczywiście nikt nie odważył się tego powiedzieć głośno, strach przed donosicielami i represjami już dawno stał się drugą naturą mieszkańców Rzeszy, którzy nauczyli się zachowywać pozory. Wciąż bowiem byli wśród nich fanatycy, którzy niezachwianie dzierżyli w dłoni nazistowski sztandar, głośno sławiąc Boga za to, że pozwolił ich Führerowi wyjść z zamachu bez szwanku, jakby to była ich osobista zasługa. Tym razem jednak gorliwcy zamilkli szybciej niż zwykle, uciszeni ponurą, wręcz wrogą atmosferą panującą wśród znużonych wojną rodaków.

– I co o tym sądzisz? – Marlene postanowiła rzucić chłopakowi wabik.

Ten zrazu spojrział na nią posępnie i raz jeszcze upewnił się, że są sami, a potem cicho odparł:

– Żałuję, że Stauffenberg nie załatwił drania. – Usta drżały mu od tłumionego gniewu. Jego nienawiść była prawdziwa, czegoś takiego nie mógłby zagrać.

Marlene uwierzyła mu, odetchnęła nieco i odważyła się na następny krok:

– Znasz Horchera?

To on miał być jej kontaktem w Monachium.

– Znam.

– I? – Marlene wciąż czekała na hasło.

Chłopak przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego, lecz zaraz uśmiechnął się, przez co wydał się jeszcze młodszy. Marlene pomyślała, że ma najwyżej trzynaście lat. Toż to dziecko!

A potem zaniemówiła, gdy chłopiec z powagą obwieścił:

– To ja jestem Horcher! – Kiedy zaś Marlene wciąż wpatrywała się w niego z pytaniem w oczach, uderzył się w czoło. – Do diaska! Oczywiście! – Nachylił się ku niej i szepnął: – Biały kruk.

To było uzgodnione hasło. Marlene odetchnęła głęboko.

– Gdzie masz kryjówkę? – spytała, po czym zaraz dodała: – Nie możemy tu stać w nieskończoność.

– Oczywiście, chodź! – Horcher ruszył przodem i poprowadził ją przez ruiny.

W tej części miasta szczególnie wyraźnie widać było rozmiary zniszczeń. Okolice sprawiała upiorne wrażenie, jakby ją żywcem wyjęto z kart Apokalipsy. Na długości kilku przecznic ciągnął się pas zniszczeń – po jednej stronie wszystko zostało zrównane z ziemią, podczas gdy po drugiej domy pozostały niemal nienaruszone. Tylko zaślepione deskami i kartonami okna oraz pęknięcia na fasadach świadczyły o tym, że cudem uniknęły zagłady. Życie od śmierci dzieliło zaledwie kilka metrów.

Po długim i forsownym marszu zeszli pod ziemię. Marlene podążała za Horcherem ciemnym, wijącym się niczym labirynt korytarzem, po czym znów wyszli na powierzchnię, minęli podwórze i ponownie zanurzyli się w podziemia złożone z rozgałęziających się korytarzy. Po obu stronach raz po raz widać było piwnice, w których ciasno stłoczeni mieszkańcy koczowali w słabym blasku świec. Niektórzy z dorosłych mieli na głowach dziwaczne hełmy z kuchennych garnków, które wymoszczono poduszkami. Marlene była wstrząśnięta widokiem małych dzieci, którym przyszło dorastać w tak strasznych czasach i które przez całe swoje krótkie życie nie poznały innego świata niż ten, w którym toczy się wojna. Piwnice wypełniał wszechobecny, duszący pył wzbijany w powietrze przez każdy krok i każde poruszenie. Ze wszystkich zakamarków dobiegały odgłosy kaszlu.

Kiedy znów wyszli na powierzchnię, znaleźli się w dzielnicy niemal nietkniętej przez bomby. Tu, w pobliżu uniwersytetu, toczyło się normalne życie – o ile w tych strasznych czasach w ogóle można było mówić o normalności. Marlene znowu zauważyła, że ludzie poruszają się w charakterystyczny dla wojennych czasów sposób: pospiesznie i z głową wciśniętą między ramiona, jakby obawiali się, że w każdej chwili może na nich spaść bomba, co skądinąd wcale nie było tak znów mało prawdopodobne. Przed kilkoma otwartymi sklepami tłoczyli się klienci. Nie widać było zbyt wielu mundurów, za to tu i ówdzie przemykał ktoś ze swastyką na ramieniu, założoną prawdopodobnie na znak łączności – szczerzej bądź udawanej – z cudem ocalałym Führerem.

Również Horcher sięgnął do plecaka, wyjął dwie takie opaski i podawszy jedną nich Marlene, polecił, by ją założyła. Potem wciągnął ją do domu ze spalonym dachem. W górze ziała czarna otchłań i Marlene nie mogła się pozbyć wrażenia, że ta ciemność lada chwila połknie również resztę domu. O dziwo, jednak niższe piętra nie ucierpiały za bardzo, a w niektórych mieszkaniach nawet nie wyleciały szyby. Weszli na cuchnącą kiszoną kapustą klatkę schodową i wdrapali się po wydeptanych

schodach na trzecie piętro.

Gdy chłopak zapukał w umówiony sposób, drzwi otworzyły się z impetem i rozległ się zagniewany męski głos:

– Gdzie, do diabła, włóczysz się tak długo? – Jakaś ręka chwyciła młodego towarzysza Marlene i gwałtownie wciągnęła go do środka.

Dopiero wtedy mężczyzna spostrzegł nieznaną kobietę. Stała nieco z boku, by w razie czego mieć możliwość ucieczki. Gospodarz bez ceregieli również ją chwycił za ramię i wciągnął za drzwi, rzucając uprzednio nieufne spojrzenie na klatkę schodową.

– Nikt mnie nie śledził – powiedział Horcher.

W jego głosie pobrzmiwały zarazem duma i przekora. Najwyraźniej przywykł do tego, że z racji młodego wieku musi znosić takie traktowanie. Mężczyzna, którego połowę twarzy pokrywała siatka blizn przywodząca na myśl popękaną szybę, zwrócił się do chłopaka i potrząsnął nim tak mocno, że prawie urwał mu głowę.

– Co ty sobie myślisz? Dlaczego nie było cię tyle czasu? Od wczoraj czekamy na wiadomość od ciebie! Twoja ciotka zrobiła mi istne piekło!

Wściekły atak sprawił, że Horcherowi zsunęła się czapka i na plecy opadł mu długi platynowy warkocz.

– Tak myślałam! Jesteś dziewczyną! – wyrwało się Marlene.

W jej głosie słychać było nutę uznania. Zmylił ją niski, niemal chrapliwy głos konspiratora.

Dziewczyna zwinnym ruchem uwolniła się z rąk mężczyzny i rzuciwszy mu gniewne spojrzenie, szybko schyliła się po czapkę. Założyła ją i energicznie wsunęła pod nią warkocz.

– Gdzie ciotka? – spytała, nie tracąc rezonu.

– Poszła coś kupić, a raczej zorganizować. Co to za kobieta? – Mężczyzna groźnie zbliżył się do Marlene, tak że mogła wyczuć zapach jego potu.

– To na nią czekaliśmy! – odparła Horcher.

Podeszła do pojemnika na chleb i uniosła wieko, pod którym ziała przeraźliwa pustka. Poślinionym palcem wygarnęła ostatnie okruchy i włożyła go w usta.

– Nazwisko i hasło – powiedział szorstko mężczyzna, zwracając się do Marlene.

– Najpierw pan.

Marlene stała tak blisko mężczyzny, że gdy hardo wysunęła brodę, niemal dotykała nią jego piersi. Chciała mu pokazać, że nie tak łatwo ją zastraszyć i to on pierwszy ma podać hasło. Poza tym nie w smak było jej tak bezceremonialne traktowanie.

Przez kilka sekund ich spojrzenia krzyżowały się niczym szpady; następnie mężczyzna cofnął się i splótłszy ramiona na piersi, zlustrował Marlene od stóp do głów. Uważnie przyjrzał się uwalanym w sadzy rozczłapanym trzewikom, brudnej sukni i znużonej twarzy.

Marlene odruchowo poprawiła włosy kobiecym gestem. Kurz, który zgromadził się w nich przez ostatnie dni, sprawił, że były sztywne jak słoma. Od czterech dni nie myła się ani nie czesała. Wody brakowało nawet do picia, nie mówiąc już o toalecie. Podejrzewała, że pachnie wcale nie lepiej niż stojący przed nią mężczyzna.

Pozwoliła, by na chwilę zawładnął nią nastrój, którego doświadczyła w kościele oraz podczas wędrówki ulicami zniszczonego Monachium: poczucie, że ma dość tej wojny i nieustannej walki.

Odczuwała nieprzewartą tęsknotę za normalnością, marzyła, by spokojnie przespać noc i obudzić się w miękkim łóżku. Zapragnęła kąpieli i filiżanki herbaty. Nocy wolnej od strachu. Wygodnego pokoju.

Nagle na okaleczonej twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech, przydając jej osobliwego uroku – mimo że ów uśmiech nie obejmował oczu.

– Trafił nam się twardy zawodnik, zupełnie jak nasza Horcher. – Mężczyzna wyciągnął dłoń. – Jestem Manfred. Pani musi być Marlene. Hasło brzmi: „Biały kruk”. Mam dla pani wiadomość od Haliny, ale najpierw proszę spocząć. Musi pani być wyczerpana. – Gospodarz wskazał wytartą sofę w kącie, która najwyraźniej służyła również do spania. – Napije się pani herbaty?

– Chętnie.

Marlene przycupnęła na brzegu sofy. Mimo że mężczyzna wymienił imię Haliny, pozostawała czujna. Manfred podał jej nadtłuczoną filiżankę, sięgnął po blaszany dzbanek i nalał herbaty. Była ledwie ciepła i gorzka, a mimo to smakowała Marlene jak nektar. Horcher usiadła obok niej i również sięgnęła po filiżankę. Tymczasem gospodarz przysunął sobie krzesło.

– Jak naprawdę się nazywasz? – spytała Marlene dziewczynę.

Horcher spojrzała na Manfreda. Ten skinął głową.

– Możesz jej powiedzieć. W końcu to ty ją tu sprowadziłaś.

– Zachowujesz się, jakbym ściągnęła na nas niebezpieczeństwo – fuknęła.

– Bo to zrobiłaś, głuptasie! Powinnaś była kazać jej czekać pod wskazanym adresem i przyjść po mnie. Jeszcze jedna taka samowolka i cię odeślę.

Mężczyzna mówił spokojnym głosem, lecz jego słowa brzmiały jak groźba i tak też zostały przyjęte.

– Ciotka nigdy na to nie pozwoli – odparła przekornie dziewczyna. Wyglądała teraz na bardzo młodą i kruchą.

– Nie martw się, już moja w tym głowa. – Manfred głośno siorbnął ze swojej filiżanki.

Marlene niespecjalnie była zainteresowana ich scysją. Zapomniała już, że zapytała dziewczynę o imię. Była żądna nowin. Jak wygląda sytuacja w Rzeszy? Co się dzieje w Normandii? Czy alianci posuwają się naprzód?

– Mam na imię Gertrude, ale wszyscy nazywają mnie Horcher – dziewczyna z opóźnieniem

odpowiedziała na pytanie.

– Nieprawda, wszyscy nazywają cię Trudi – powiedział spokojnie Manfred, ponownie rzucając jej gniewne spojrzenie.

Niefrasobliwość Horcher najwyraźniej stanowiła coś w rodzaju iskry zapalnej w jej relacji z Manfredem. Marlene przypomniała sobie Kraków i swoje rozmowy z Deborą, która uważała działalność szpiegowską za niezwykle przygodę i zwyczajnie nie dopuszczała do siebie myśli o związanych z nią niebezpieczeństwach. Lecz odwaga nie chroni przed głupotą i Manfred jasno dawał Horcher do zrozumienia, jak nieodpowiedzialnie się zachowała.

– Nie spodziewałeś się, że Marlene się jeszcze zjawi, i zwyczajnie jesteś zazdrosny, że to ja ją znalazłam – wypaliła dziewczyna triumfalnie, wytrzymując surowe spojrzenie Manfreda.

Marlene miała dość.

– Czy szanowni państwo mogliby odłożyć tę sprzeczkę na później? – wtrąciła się. – Chciałabym w końcu poznać wiadomość od Haliny i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja we Francji.

– Marlene ma rację. Marnujesz nasz czas, Trudi. Wodociągi znów nie działają. Biegnij na podwórze i przynieś ze studni wody, żeby Marlene mogła się umyć.

– Ale...! – wykrzyknęła Trudi, lecz tym razem Manfred spiorunował ją takim spojrzeniem, że nie dokończyła.

Dziewczyna złapała kanister i mamrocząc coś pod nosem, wyszła z mieszkania.

– Dzieci – powiedział Manfred takim tonem, jakby w tym jednym słowie zamykało się wszystko na temat tego osobliwego gatunku. Usiadł wygodnie na krześle i wyciągnął przed siebie nogi. Jego buty najlepsze czasy już dawno miały za sobą. – A teraz do rzeczy. Pani misja jest nieaktualna. W związku z niedawnym lądowaniem aliantów w Normandii plany ruchu oporu uległy zmianie. Dni rządu Vichy są policzone. Docierają do nas informacje, że marszałek Pétain wkrótce opuści swoją rezydencję w Vichy. Mówi się, że ma się przenieść do Belfort.

– A co ze mną? Mam zostać w Rzeszy?

– Nie. Chcemy, żeby pojechała pani do Warszawy. Tam wkrótce wybuchnie kolejne powstanie. Będziemy potrzebować ludzi z pani doświadczeniem.

– Kim są ci „my”? Dla kogo pan pracuje?

Marlene wciąż pamiętała tragiczny koniec powstania w warszawskim getcie w maju 1943 roku. Niedożywieni, z niewielką ilością broni powstańcy z Żydowskiej Organizacji Bojowej nie mieli szans w starciu z uzbrojonymi po zęby Niemcami. Mimo to wytrwali dwadzieścia osiem dni. Spośród tysiąca bojowników w warszawskim getcie zginęli niemal wszyscy. Manfred zawahał się na sekundę, po czym odpowiedział. Jego słowa były dowodem najwyższego zaufania.

– Dla polskiego rządu na uchodźstwie, dla prezydenta Raczkiewicza.

– Kto organizuje powstanie?

Marlene czuła rosnące napięcie. Walka była lepsza od bezczynnego czekania na dzień, kiedy się trafi pod nóż nazistowskiego rzeźnika.

– Armia Krajowa. Jej dowódca, generał Bór-Komorowski, właśnie próbuje zorganizować wspólny front z żydowskimi bojownikami. Wkrótce staniemy ramię w ramię we wspólnej sprawie. Była pani związana z Jakubem Wandą, jednym z dowódców krakowskiego ŻOB-u, dlatego zorganizowaliśmy pani spotkanie z Icchakiem Cukiermanem.

– Współzałożycielem warszawskiego ŻOB-u?

– Tak jest. Podczas pierwszego powstania wspierał bojowników, przebywając poza murami getta. Potrzebujemy jego doświadczenia, lecz on się wzbrania. Musi go pani przekonać, żeby się do nas przyłączył.

– Skąd myśl, że zdołam to zrobić?

– Cukierman jest pani coś winien.

– A to mnie pan zaciekawił! Co takiego jest mi winien Icchak Cukierman? – Marlene z zainteresowaniem nachyliła się ku Manfredowi.

– Między innymi to on zorganizował zamach bombowy na Cyganerię, po którym spędziła pani rok przykuta do łóżka. Doszło do fatalnego nieporozumienia. Zawiodła komunikacja między poszczególnymi grupami i nie została pani w porę ostrzeżona.

– Nie da się ukryć – potwierdziła cierpko Marlene. Niechętnie wracała myślą do zamachu. – Dlaczego nie porozmawia z nim ktoś z miejscowych? Naprawdę muszę to być ja? – dopytywała.

– Icchak Cukierman jest bardzo ostrożny. Praktycznie nikomu nie ufa. Zbyt wiele różnych ugrupowań próbuje wygrywać w Warszawie swoje interesy, a do tego nie wiemy, jaką niespodziankę szykują Sowieci, którzy właśnie prą w kierunku Wisły. Mamy dowody, że to nie Niemcy, tylko Sowieci są odpowiedzialni za zamordowanie czterech tysięcy czterystu polskich oficerów wiosną 1940 roku. Mówi coś pani nazwa Katyń?

Marlene gwałtownie potrząsnęła głową.

– Jeśli to naprawdę zrobili Sowieci, to znaczy, że w niczym nie są lepsi od Niemców. Nie rozumiem. Czy naprawdę wszystkich opętało zło?

– To szaleństwo wojny. Kiedy ludzie poczują krew, ogarnia ich prawdziwe szaleństwo. Musimy przerwać to błędne koło.

– I kto to mówi? Bojownik ruchu oporu? – Marlene uśmiechnęła się gorzko.

– My stoimy po właściwej stronie. Walczymy w słusznej sprawie! – powiedział Manfred z pełnym przekonaniem.

– Nie! – odparła Marlene. – Na wojnie nie ma żadnego dobra. Dobro to złudzenie, szatańska iluzja. Prawda jest taka, że wszyscy zabijają wszystkich. Pan zabijał, ja zabijałam. Na wojnie wszyscy jesteśmy bestiami. Jedyna różnica między nazistami a nami polega na tym, że my chcemy położyć

kres zabijaniu. Nazywamy to pokojem, tyle że pokój osiągnięty przez zabijanie to straszny pokój.

– Ciekawy punkt widzenia. Mimo to jesteśmy tu po to, żeby ten straszny pokój czym prędzej nastąpił. Spotka się pani z Cukiermanem?

– Chyba nie mam wyboru. – Marlene zzuła pantofle i masując obolałe palce stóp, spytała: – Kiedy i gdzie?

– W lesie na wschód od Warszawy. Może pani wyruszyć jutro rano. Przyjechała pani w ostatniej chwili, wszystko jest już przygotowane. Zaraz poinformuję pozostałych uczestników akcji. O szóstej rano zgłosi się pani przy Arnulfstrasse. Stamtąd wyrusza transport z uzupełnieniem dla oddziałów stacjonujących w Poznaniu. Dołączono do niego grupę sióstr Czerwonego Krzyża i żony dwóch wysokich rangą oficerów SS. Pani pojedzie jako jedna z tych sióstr. Zorganizowałem dokumenty i ekwipunek.

– Pozostałe siostry nie będą zdziwione? Przecież mnie nie znają.

– Nie, to ochotniczki z różnych okolic Marchii Wschodniej, nigdy wcześniej się nie spotkały.

– Czyli tak dojadę do Poznania. A co dalej? Do Warszawy będzie jeszcze co najmniej trzysta kilometrów – zauważyła Marlene.

– Słuszna uwaga. Niestety nasz kontakt w Poznaniu od kilku dni się nie zgłasza. Możliwe, że będzie pani zdana na siebie. Trzeba będzie improwizować. Poradzi sobie pani?

Marlene wzruszyła ramionami.

– Chciałam zostać aktorką, a na scenie trzeba umieć improwizować. Gdzie mój kostium?

Manfred wstał, otworzył skrzynię i wyjął strój siostry Czerwonego Krzyża.

– Proszę przymierzyć. Podejrzewam, że może być odrobinę za duży. – Manfred zmierzył Marlene wzrokiem. – Moja żona może go szybko zwęzić. Tutaj – wskazał na porysowaną skórzaną torbę podróżną – znajdzie pani dwie sukienki na zmianę i damskie przybory.

– A dokumenty?

– Zaraz przyniosę. Brakowało jeszcze pieczątki. Bez obaw, do rana wszystko będzie gotowe –

Manfred rozwiązał ewentualne zastrzeżenia Marlene. – Czyli jedzie pani?

Marlene kiwnęła głową.

– Człowiek rzadko ma okazję wybrać miejsce, gdzie umrze. Ale skoro mam wybór, to wolę zginąć w Warszawie niż w Monachium.

– Więc w jednym przynajmniej jesteśmy zgodni. Niestety ja będę potrzebny tutaj – Manfred znów się uśmiechnął w charakterystyczny dla siebie sposób. – A teraz muszę wyjść. Najpóźniej za godzinę powinienem wrócić. Proszę tu poczekać na Trudi i niech pani zadba, żeby to małe diablę nie ruszało się z miejsca, póki ja albo moja żona nie wrócimy.

– Dlaczego jest pan dla niej taki surowy? Przyznaję, jest nieco porywcza, ale w żadnym wypadku głupia. Przeciwnie, wydaje się dość rezolutna.

– To prawda, ale ma dopiero piętnaście lat. Nie jestem jej prawdziwym wujkiem, tylko chrzestnym. Kiedy się urodziła, obiecałem jej ojcu, że będę się o nią troszczył. Ta dziewczyna jest trochę szalona. Myśli chyba, że jest niezniszczalna.

– Cóż, takie jest prawo młodości – Marlene uśmiechnęła się z rozrzewnieniem, gdyż poczuła, jakby swoją młodość przeżyła wieki temu, w dodatku w jakimś innym, dalekim świecie.

– Trudi wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę, bo już wiele razy cudem wyszła z opresji. Jest Żydówką i ukrywała się z całą rodziną w Berlinie. Jako jedyna z całej kryjówki przeżyła bombardowanie. Wkrótce potem została schwytana na ulicy i razem z setkami podobnych jej nieszczęśników zapakowana do bydłowych wagonów, które miały ich zawieźć do obozu zagłady na Wschodzie. Kiedy transport dostał się pod ostrzał, znów jako jedna z nielicznych przeżyła. Uciekła i w końcu, przemierzywszy pół Rzeszy, dotarła tutaj. Miała niecałe czternaście lat. Mogła zginąć setki razy.

Marlene odniosła wrażenie, że w głosie Manfreda oprócz niepokoju i troski pobrzmiwa również nuta podziwu.

– Jest pan z niej dumny – skwitowała słowa mężczyzny. – Dlaczego jej pan tego nie powie?

– I tak ma już pstro w głowie. Chce pani, żeby sobie dodatkowo nabiła tę śliczną główkę? Uchowaj Boże! – Manfred zaśmiał się sucho. – Do zobaczenia za godzinę – rzucił i zamknął za sobą drzwi mieszkania.

283 dni do „Dnia 0”

„Lud nie chce wojny. Dlaczego jakiś biedny robotnik rolny miałby ryzykować na wojnie życiem, skoro najlepsze, co może go na niej spotkać, jest to, że wróci cało do domu? Prosty lud nie chce wojny; ani w Rosji, ani w Anglii, ani w Ameryce, ani w Niemczech. To oczywiste. Ale to przywódcy państw ustalają politykę i nietrudno skłonić lud do współpracy czy to obecnie demokracji, dyktaturze faszystowskiej, parlamentowi bądź komunistycznej dyktaturze. Lud, niezależnie, czy ma prawo głosu, czy też nie, łatwo skłonić do wypełniania rozkazów przywódców. To bardzo proste. Wystarczy powiedzieć ludowi, że został zaatakowany, zaś pacyfistom zarzucić brak patriotyzmu i uznać, że sprowadzają na kraj niebezpieczeństwo. Ta metoda działa w każdym kraju”.

Hermann Göring w rozmowie z Gustave'em Gilbertem,
amerykańskim psychologiem sądowym
w trakcie procesu przed Trybunałem Norymberskim,

18 kwietnia 1946 roku

O naszym położeniu wiemy niewiele lub zgoła nic. Widzimy, że strzelają przed nami i słyszymy strzały za nami, a wśród nich słowa otuchy.

Bywaj zdrowa, Najdroższa.

List żołnierza Waltera Gehra,
Stalingrad, styczeń 1943 roku

Peron był zatłoczony. Wszędzie cisnęli się zrozpaczeni ludzie próbujący wyjechać z Monachium. Tylko dokąd? Ci, którzy nie mieli krewnych na wsi, dostawali specjalne przydziały „dla zbombardowanych”. Od dawna toczyła się o nie regularna wojna, ponieważ do Bawarii trafiało coraz więcej mieszkańców Berlina i Zagłębia Ruhry, których również należało gdzieś rozlokować. Policja, SA i konduktorzy, wspierani przez żołnierzy, najczęściej rannych, próbowali zaprowadzić jakiś porządek, lecz ich wysiłki z góry skazane były na niepowodzenie.

Co chwila nadjeżdżały niemiłosiernie zatłoczone pociągi i pasażerowie wylewali się z nich na perony, potęgując już i tak ogromny chaos. Inni znowu cisnęli się, szturchali i przepychali, walcząc o lepsze miejsca. Pociągów było stanowczo zbyt mało jak na takie mrowie ludzi. Większość składów zarekwirowano na potrzeby wojska i zaopatrzenia. Policja i żołnierze tworzyli wokół nich żywy łańcuch, by uniemożliwić cywilom wdarcie się do wagonów.

Marlene od kilku godzin stała na peronie monachijskiego dworca Pasing, czekając na pociąg, który miał ją zawieźć do Kraju Warty. Trzymała się nieco na uboczu grupki roztrajkotanych sióstr Czerwonego Krzyża. Wokół panował ogłuszający zgiełk: wyrzekania dorosłych, płacz dzieci, wrzaski ludzi na próżno wykrzykujących swoje żądania. A nad tym wszystkim gwizdki i komendy służb porządkowych.

Marlene uświadomiła sobie, że im gorszy obrót przybierała wojna, tym szybciej, niczym zaraźliwa choroba, szerzył się wśród ludzi strach i tym głośniejsi się stawali. Jakby krzyk pomagał im się uporać z trwogą. Czyżby nie wiedzieli, że diabeł jest głuchy i karmi się ludzkim strachem?

W powszechnym rozgardiaszu najcichsza była grupka żołnierzy, którzy – jak Marlene dowiedziała się od jednego z nich – spędzili właśnie urlop w rodzinnych stronach i wracali na front wschodni. Marlene obserwowała ich, przysłuchiwała się ich rozmowom i chłonęła panującą wśród nich

atmosferę. Nie okazywali wielkiego entuzjazmu.

Właśnie rozmawiała z młodym, niewiele od niej starszym podporucznikiem, którego wąską pierś zdobił Krzyż Żelazny. Z dumą, ale i ze znużeniem wspomniał, że był już trzy razy ranny, a następnie z niewiele większym entuzjazmem dodał, że w trakcie urlopu wziął ślub. Marlene szczerze mu pogratulowała i naprawdę się ucieszyła, że przynajmniej przez te kilka dni zaznał szczęścia, bo w tych czasach każda odrobina dobra była małym zwycięstwem nad okrucieństwem wojny.

Z postawy podporucznika biła energia i siła, lecz jego oczy mówiły coś zupełnie innego. Widać w nich było nie tylko wojenną grozę, ale też świadomość beznadziejnego położenia, w jakim się znalazł ten młody żołnierz. Podporucznik dawno już zrozumiał, że po lądowaniu zachodnich aliantów w Normandii Rzesza Niemiecka stanęła w obliczu potężnego nieprzyjaciela. Czy można wygrać wojnę z całym światem? Również to retoryczne pytanie Marlene wyczytała w oczach młodego oficera.

W obecnej sytuacji nie zastanawiano się już, czy armie Führera są w stanie wygrać wojnę, lecz jak długo zdołają stawiać czoła przeciwnikowi. Klęska pod Stalingradem wstrząsnęła każdym niemieckim żołnierzem – nawet jeśli żaden z nich nie miał odwagi mówić o tym otwarcie.

Spotkanie z podporucznikiem utwierdziło Marlene w postanowieniu, że uczyni wszystko, by jak najszybciej położyć kres tej bezsensownej wojnie, a zarazem potwierdziło to, co od dawna już dostrzegała: to mianowicie, że defetystyczne nastroje zaczęły się szerzyć nie tylko wśród ludności cywilnej, ale i w wojsku. Oficer, z którym rozmawiała, marzył o zrzuceniu munduru i powrocie do domu, do świeżo poślubionej żony. Chciał być szczęśliwy, założyć rodzinę, wychować dzieci. Chciał żyć, nie umierać.

Marlene przypomniała sobie, jak podczas jednego z ostatnich spotkań z Jakubem rozmawiali o bezsensowności wojny. Jakub powiedział wtedy, że każda wojna prędzej czy później musi się skończyć, ponieważ od początku nosi w sobie ziarno zniszczenia. Twierdził, że największym wrogiem wojny jest jej okrucieństwo i że jej kres nadejdzie, kiedy żołnierze przestaną być gotowi na śmierć za Führera i ojczyznę. Kiedy wreszcie zatęsknią za dawnym, radosnym i prostym życiem, spokojną codziennością i drobiazgami, na które nie ma miejsca na wojnie: śpiewem ptaków, znajomym krzątaniem dobiegającym z kuchni, gdy matka wsuwa ciasto do pieca, niedzielnym obiadem przy rodzinnym stole, błogim uczuciem, gdy po całym dniu pracy wraca się do przytulnego domu.

Marlene spytała wtedy, czy aby Jakub nieco nie idealizuje pokoju. Odparł, że taki pokój powinien być marzeniem wszystkich ludzi na ziemi. I że choćby dla niektórych miał pozostać li tylko mrzonką, to jest to najpiękniejsze z ludzkich marzeń. A kiedy wielu ludzi wspólnie o czymś marzy, są w stanie położyć kres wojnie. A wtedy marzenie przestanie być mrzonką.

Marlene spodobała się myśl, że pewnego dnia świat zjednoczy się w miłości i pokoju, ale nie byłaby sobą, gdyby zarazem w to nie wątpiła. Zbyt dobrze poznała ludzi i ich słabości. Jej dziadek lubił cytować Schillera, który w *Wilhelmie Tellu* napisał: „Jeśli zły sąsiad pokoju nie daje, nie zazna

go najcichszy nawet człęk”^{2*}. Zdanie to powtarzał szczególnie często w początkach panowania brunatnego reżimu, kiedy jego żydowscy sąsiedzi uspokajali jego i siebie samych. Mimo stuleci prześladowań nie wyobrażali sobie tego, co niepojęte, twierdząc, że upiory nazizmu wkrótce znikną i nastanie czas braterskiego sąsiedztwa. A przecież zawsze znajdzie się sąsiad, któremu coś się nie spodoba po drugiej stronie płotu!

W ostatnim czasie Marlene wiele rozmyślała nad istotą miłości. Zastanawiała się, czy zdoła jeszcze kiedyś pokochać jakiegoś mężczyznę tak, jak kochała Jakuba, najczulszego, najbardziej troskliwego i najbardziej namiętnego mężczyznę, jakiego spotkała. Przed wojną. Wojna przemieniła go w innego człowieka.

Bowiem ludzi zmienia nie tylko miłość, ale i wojna. Jakub został dowódcą i jak każdy dowódca miał w sobie nie tylko charyzmę zdolną porwać ludzi, ale również gotowość do podejmowania trudnych decyzji. Czasem musiał poświęcić jednostkę, by uratować wielu. To właśnie powiedział jej w dniu, gdy ją od siebie odepchnął: że ma nadzieję, iż nigdy nie będzie zmuszona podjąć takiej decyzji i świadomie skazać człowieka na śmierć. Bo do tego trzeba być twardym wobec samego siebie, chcieć i być w stanie wyrzec się siebie i swoich zasad. A miłość do niej – tłumaczył – czyni go miękkim. Dlatego muszą się rozstać.

Marlene oponowała. Mówiła, że ona czuje coś przeciwnego, że nigdy nie czuła się tak silna jak teraz, że to miłość do niego daje jej siłę. Lecz Jakub był nieugięty. Potem co prawda spotkali się jeszcze kilka razy, dając sobie chwile szczęścia wśród wojennego szaleństwa, lecz Jakub za każdym razem wymykał się z jej objęć, szybko wskakiwał w ubranie i znikał bez słowa. Za pierwszym razem Marlene była na niego wściekła, lecz później zrozumiała, że Jakub robi to, bo ma wyrzuty sumienia. Bo nie jest dość silny, by całkiem się od niej uwolnić. Było to dla niej marne pocieszenie, ale wystarczało, by podtrzymać płomyk nadziei. Że po wojnie życie się znowu odmieni.

A potem zjawiała się Deborah i zabrała to, co należało do Marlene. A raczej to, o czym myślała, że do niej należy. Dla tej poranionej wewnętrznie dziewczyny Jakub porzucił swoje zasady i pogrążył się w namiętności.

Marlene nigdy w życiu nie przeżyła większego rozczarowania. Czuła, jakby ktoś wyrwał jej serce. I zrobiła to właśnie Deborah, dziewczyna, którą obdarzyła prawdziwą przyjaźnią – może dlatego, że miała w sobie coś, co przypominało jej ją samą.

Mimo to uczyniła wszystko, by uratować Jakuba, wszelako, koniec końców, przyczyniając się do jego potwornej śmierci. Może właśnie dlatego postanowiła zrobić co w ludzkiej mocy, by pomóc Deborze – bo obie kochały tego samego mężczyznę. Od chwili śmierci Jakuba jej serce było jak oziębiałe. Czasami sama zastanawiała się, czy naprawdę tak bardzo go kochała, czy też może idealizuje tę miłość. Może kochała tylko swoje wyobrażenie? Obraz bohatera, którym Jakub był w jej oczach?

Miała osiemnaście lat, kiedy spotkała go po raz pierwszy. Poznali się w Krakowie, w domu jej

ciotki. Szalone marzenie niemieckiego dyktatora o panowaniu nad światem od dawna wisiało nad Europą niczym miecz Damoklesa.

Nazajutrz po tym pierwszym spotkaniu Jakub opowiedział jej o swoich obawach. Bał się, że wkrótce wybuchnie druga w tym stuleciu wielka wojna. Od dawna już śledził przemówienia Hitlera, przeczytał też jego manifest, *Mein Kampf*. Książkę, w której z każdej stronicy – jak mówił – wyziera obłąd.

Marlene, która przeżyła w Berlinie szaleństwo nocy kryształowej, która słyszała wrzaski tłumu i rozpaczliwe krzyki prześladowanych, która widziała palone domy, sklepy i synagogi, która sama kilka tygodni spędziła w więzieniu torturowana przez gestapowskiego sadystę – tego samego, który po latach stał się oprawcą Jakuba – nie była w stanie odpowiedzieć na pesymistyczne wizje ukochanego. A mimo to się nie bała. Bo był przy niej Jakub. Teraz jednak została zdana wyłącznie na siebie, z dala od jego miłości, ale z odwagą w sercu. Odwagą, która pozwoliła jej dokonać zemsty na Hubertusie von Greiffie, na którą po stokroć zasłużył, a teraz każe jej udać się do Warszawy, by kontynuować dzieło Jakuba – walczyć przeciwko nazistom.

Tu, na peronie w Pasing, otoczona setkami ludzi, w końcu pojednała się z Jakubem. Bo już rozumiała, co miał na myśli. Jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, czuła się wolna – wolna, by czynić to, co chce. Nie musiała się już liczyć z niczym zdaniem, gdyż wszyscy ludzie, których kochała i którzy byli ważni w jej życiu – Jakub, dziadek, rodzina matki w Warszawie, Deborah i mały Wolfgang – zginęli. Nie miała już na tym świecie nikogo prócz starej babki, a ta była bezpieczna – o ile podczas wojny można mówić o bezpieczeństwie. Tak czy inaczej, jej prześladowcy nie mogli skrzywdzić jej babki i myśl o tym napełniała Marlene spokojem.

Nagle spostrzegła, że coś wokół niej się zmieniło. W powietrzu zawisło pełne napięcia oczekiwanie. Zbliżał się pociąg. Niecierpliwie spojrzała w kierunku, skąd miał nadjechać. Wkrótce dotrze do Warszawy i znów weźmie czynny udział w walce. Miała tylko nadzieję, że podróż przebiegnie szybko i bez komplikacji. Im dalej na wschód, tym większe było niebezpieczeństwo spotkania z polskimi partyzantami. Poza tym transport kolejowy był ważnym celem nieprzyjacielskich samolotów, które próbowały utrudnić dostawy posiłków i sprzętu.

Otyły lekarz w mundurze SS poinstruował niespełna pięćdziesięcioosobową grupę medyczną, jak należy się zachowywać w razie – jak to określił – „kontakty z nieprzyjacielem”. Jego wystąpienie niosło z sobą sporą dozę niezamierzonego komizmu, lecz mimo to Marlene z odrazą słuchała jego nazistowskiego bełkotu. Nie do wiary, że Trzecia Rzesza wywindowała na kierownicze stanowiska takie miernoty... Instrukcja przekazana przez esesmana w gruncie rzeczy sprowadzała się do dwóch punktów: szukać schronienia w pociągu, padając na podłogę, albo wyskoczyć i kryć się pod wagonem: „Płasko na ziemię, drogie panie!”.

Było już późne popołudnie, kiedy pociąg nareszcie ruszył. Marlene stwierdziła, że wiele wagonów

najwyraźniej nieraz weszło już we wspomniany „kontakt z nieprzyjacielem”. Mocno poharatane odłamkami, z ziejącymi w ścianach dziurami po kulach, nie wzbudzały wielkiego zaufania. Jednak młodziutkim siostram, które już tłoczyły się przed wejściem, najwyraźniej to nie przeszkadzało. Żadna z nich nie mogła mieć więcej jak osiemnaście lat, a sądząc po dialekcie, którym się posługiwały, wszystkie pochodziły z Austrii, po przyłączeniu do Rzeszy oficjalnie przemianowanej na Marchię Wschodnią.

Marlene przypuszczała, że jej towarzyszki zostały świeżo zwerbowane spośród członkiń jednego z podalpejskich oddziałów Związku Niemieckich Dziewcząt i właśnie ścięły swoje wiejskie warkocze. Nie tylko żołnierze stawali się coraz młodszy, dotyczyło to także pielęgniarek. Dwudziestopięcioletnia Marlene była dużo bardziej od nich doświadczona życiowo i miała prawo czuć się w tym gronie nieomal staro. Pokręciła w duchu głową. Te dziewczęta zachowywały się tak, jakby wyruszały na spotkanie wielkiej przygody, o której kiedyś będą opowiadać, wywołując wypieki na twarzach wnuków. A przecież straszliwa wojna trwała już pięć lat, Rzesza ledwie dyszała, nękana brakami aprowizacyjnymi, straty osobowe Wehrmachtu na froncie szły w miliony, a w ojczyźnie ludzie masowo ginęli w wyniku nalotów dywanowych Brytyjczyków i Amerykanów. Na każdym kroku widać było rany zadane przez wojnę. Nie było w Rzeszy rodziny, która by nie straciła kogoś bliskiego.

Marlene wdrapała się do wypełnionego głównie przez żołnierzy pociągu i ponownie stwierdziła, że niemiecka skrupulatność i niemiecka kolej mają się doskonale, gdyż na jej grupę czekało kilka starannie podpisanych przedziałów. Patrząc na te tabliczki, Marlene przypomniała sobie słowa Debory, która w Krakowie powiedziała jej, że zdaniem Albrechta Brunnmanna wojnę wygrywa się logistyką i organizacją. Choć brzmiało to strasznie, teraz musiała mu przyznać rację, gdyż doświadczyła tego na własnej skórze: nie tylko zarezerwowane przedziały, lecz również przebieg porannej rejestracji były doskonałym przejawem perfekcyjnej organizacji. Naziści byli tak skrupulatni, że udoskonalili nawet zabijanie. Marlene obawiała się, że jeśli ich biurokracja dalej będzie działać tak sprawnie i metodycznie, to wojna potrwa jeszcze bardzo długo.

Jakimś cudem aż do Drezna wszystko szło jak po maśle – nie licząc podejmowanych przez esesmańskiego lekarza prób nawiązania bliższej znajomości z Marlene. Lekarz obrał ją sobie za obiekt grubiańskich zabiegów, gdyż, jak się wnet okazało, wyczytał w jej fałszywych dokumentach, że mieszkali po sąsiedzku w monachijskim Schwabing, i teraz nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że nie zauważył dotąd tak ładnej i czarującej młodej damy. Widząc, że nie zdoła się pozbyć natręta, Marlene wcieliła się w swoją rolę, grzecznie i z entuzjazmem wdając się w pogawędkę z „sąsiadem” i wprawiając go w zdumienie swoim obyciem i wykształceniem.

Na szczęście wczesnym rankiem w Dreźnie dołączyła do nich jeszcze jedna siostra, którą lekarz znał już wcześniej, w związku z czym bez wahania zmienił obiekt zainteresowania – zwłaszcza że młoda dama okazała się wdzięczniejszą towarzyszką niżli Marlene. Niestety na drezdeńskim dworcu transport utknął na bocznym torze, gdzie z niewyjaśnionych powodów pozostał cały dzień, aż do

wieczora. Od czasu do czasu powtarzano komendy zakazujące opuszczania pociągu, konduktorzy zaś zachowywali się okropnie, na wszelkie pytania odpowiadając z napuszonymi minami, że nie wolno im udzielać żadnych informacji. Mnożyły się rozmaite domysły, krążyły plotki, lecz Marlene wykorzystwała dzień przestoju, by odespać ostatnie noce i odzyskać siły. Dopiero wczesnym wieczorem pociąg ruszył w dalszą drogę.

Tuż przed północą konduktorzy i funkcjonariusze policji kolejowej pośpiesznie przebiegli przez wagony, ogłaszając, że wkrótce zostanie wyłączone oświetlenie, sprawdzając żaluzje i zaciemnienie wagonów oraz przypominając o zakazie otwierania okien oraz używania latarek i zapalniczek. Każde wykroczenie miało być traktowane jako sabotaż. Kwadrans po wyłączeniu światła pociąg stanął. Słyszając dobiegające z zewnątrz stłumione odgłosy, Marlene domyśliła się, że do składu dołączane są kolejne wagony. Fakt, że operacja przebiegała w takiej tajemnicy, wzbudził jej zainteresowanie, toteż rankiem wybrała się na rekonesans po pociągu, przekraczając powyciągane ciała śpiących i nadstawiając uszu. Liczyła, że uda jej się zdobyć choćby strzępy informacji.

Niestety mniej więcej w dwóch trzecich długości składu natknęła się na esesmana, który szorstko poinformował ją, że wstęp do kolejnego wagonu jest surowo wzbroniony. To powiedziawszy, strażnik nie odezwał się już ani słowem i pozostał zupełnie obojętny na urok Marlene. Ta przez chwilę próbowała go pociągnąć za język, lecz kiedy za jego plecami pojawił się wyższy rangą esesman, uznała, że lepiej będzie zawrócić, nim jej ciekawość wzbudzi podejrzenia.

Następnego dnia – pociąg bez żadnej zapowiedzi zboczył z trasy i minawszy Pragę, toczył się teraz przez sielskie tereny między Świebodzinem a Luboniem – Marlene postanowiła rozprostować nogi i mijając jeden z przedziałów, kątem oka spostrzegła w nim jakiś nerwowy ruch. Było to tylko ulotne wrażenie – jakby ktoś szybko odwrócił twarz. W pierwszej chwili nie przywiązała do tego większej wagi, jednak w drodze powrotnej nagle poczuła, że powinna zerknąć do tego przedziału. W środku siedziała najgłośniejsza i najbardziej rozdokazywana grupa sióstr, którą Marlene do tej pory przezornie omijała szerokim łukiem.

Teraz jednak podeszła ostrożnie i dyskretnie zerknęła do środka. I nagle poczuła, jakby trafił ją grom z jasnego nieba. Trudi! W przebraniu siostry! Jak ta dziewczucha tu trafiła?! Marlene zapukała w szybę i dziewczęta zgodnie oderwały wzrok od trzymany w dłoniach kart. Również Trudi, która przycupnęła przy samym korytarzu. Jej twarz mówiła więcej niż tysiąc słów. Marlene otworzyła drzwi i takim tonem, jakby spotkała starą przyjaciółkę, wykrzyknęła:

– Hej, mała, co ty tu robisz?! Co za spotkanie! Przepraszam, dziewczęta, ale muszę porwać moją przyjaciółkę.

Kiedy skinęła na Trudi, nastąpił krytyczny moment, ponieważ przez chwilę wydawało się, że dziewczyna ani myśli pójść z Marlene. Na szczęście surowe spojrzenie starszej „przyjaciółki” zrobiło swoje.

Trudi z ociąganiem wstała i poszła za Marlene, ignorując żołnierzy, którzy z braku miejsc siedzących przykucnęli na podłodze wagonu i teraz grubiańsko wyrażali zachwyt urodą przechodzących „siostr”. Marlene zaprowadziła Trudi na pomost między wagonami, gdzie hałas pozwalał im spokojnie porozmawiać z dala od niepowołanych uszu, i krzyknęła wprost w ucho dziewczyny:

– Czyś ty kompletnie oszalała?! Co ty tu, do diabła, robisz?!

– To samo co ty! – krzyknęła hardo Trudi.

– Ciotka i wuj wiedzą, gdzie jesteś?

Trudi zagryzła dolną wargę.

– Czyli nie. Zostawiłaś im jakąś wiadomość?

– Tak. – Dziewczyna nie odrywała oczu od swoich butów. Miała w sobie przynajmniej tyle przyzwoitości, by się zawstydić.

– Dobrze. Kiedy dotrzemy do Poznania, odeślę cię z powrotem. Tutaj jest zbyt niebezpiecznie.

– Nie boję się. Poza tym w Monachium wcale nie jest bezpieczniej – nie bez racji odparła Trudi.

– Ale w Monachium nie będę za ciebie odpowiedzialna.

– Tutaj też nie musisz, nie potrzebuję niańki. Chcę walczyć! – rzekła zdecydowanie, po czym dodała, jakby to wszystko wyjaśniało: – Moi dziadkowie pochodzą z Warszawy.

Marlene zamknęła oczy. Jej zadanie już i tak było szalenie niebezpieczne. Nie potrzebowała dodatkowo niedoświadczonej piętnastolatki, która postanowiła wyruszyć na wojnę. Jeszcze wczoraj, na peronie, czuła się wolna, a teraz na jej barkach znów spoczęło brzemie odpowiedzialności. Pytanie tylko, w jaki sposób uwolnić się od tego dziecka i odesłać je bezpiecznie do domu? Marlene doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma nad Trudi władzy, która pozwoliłaby ją wyprawić w drogę powrotną, a w dodatku pod żadnym pozorem nie może ściągać na siebie uwagi. Jak w ogóle Trudi udało się dostać do pociągu? Skąd wzięła dokumenty i strój pielęgniarki?

Niestety dwie żywo dyskutujące siostry przykuły już uwagę postronnych obserwatorów, którzy pilnie śledzili ich rozmowę. Marlene zastanawiała się właśnie, w jaki sposób przekonać Trudi do powrotu, gdy za jej plecami rozległ się głos jednej z młodziutkich sióstr, która z wyrzutem krzyknęła:

– Gdzie ty się podziewasz!?! Bez ciebie nie możemy grać!

Trudi wykorzystała okazję i przemknęła obok Marlene. Ta nie próbowała zatrzymać dziewczyny. Wiedziała, że podróż do Poznania potrwa jeszcze co najmniej dobę i do tego czasu musi wymyślić, jak przekonać Trudi, by z własnej woli wróciła do Monachium.

Postanowiła, że zaczeka na nią na korytarzu. Przecież w końcu będzie musiała wyjść z przedziału. Ta jednak była tak szczwana, że nie wyszła sama, tylko z całą zgrają koleżanek. Marlene nie miała pojęcia, co Trudi im o niej opowiedziała, a raczej nazmyślała, ale te najwyraźniej próbowały ochronić koleżankę przed natrętną przyjaciółką.

„Co za zmyslna bestia”, pomyślała z irytacją Marlene, zastanawiając się, dlaczego właściwie czuje się aż tak odpowiedzialna za Trudi. Przecież jej praktycznie nie znała. Czy to możliwe, że poczuła coś na kształt instynktu macierzyńskiego? Czy to dlatego, że zbyt późno przyjechała do Monachium i nie zdołała uratować Debory? Czyżby odnalazła w Trudi następczynię Debory? Niestety tego typu rozważania donikąd jej nie doprowadziły, toteż, koniec końców, postanowiła uciszyć wewnętrzne głosy i przestać się zamartwiać o Trudi. Nie miała wpływu na jej los. Nie mogła sobie pozwolić na sentymentalne skrupuły, a już na pewno nie mogła się obarczać odpowiedzialnością za tę młodziutką dziewczynę. Była wojna, a ona miała do wykonania misję.

Najwyraźniej jednak również Trudi przemyślała to i owo, gdyż godzinę później znów znalazły się na pomoście. Lecz wtedy otoczyła je ciemność. Trudi krzyknęła. Zanim się zorientowały, że pociąg wjechał w tunel, maszynista zaciągnął hamulec. „Siostry” straciły równowagę, przy czym Marlene niefortunnie uderzyła się w głowę. Weszły do wagonu. Wokół rozlegały się ożywione głosy. Wśród mnożących się domysłów i spekulacji Marlene wyłowiła takie słowa jak: „atak”, „sabotaż” i „partyzanci”. Ktoś otworzył okno i do środka wdarło się chłodne, zalatujące dymem powietrze. Przez pociąg przebiegli konduktorzy z zapalonymi latarkami, wzywając do zachowania spokoju i zamknięcia okien. Nie odpowiadali jednak na żadne pytania.

Mijały kolejne godziny. Marlene i Trudi nie ruszały się z miejsca. W pociągu robiło się coraz bardziej duszno, ten i ów potajemnie otwierał okno, by wpuścić odrobinę świeżego powietrza. I w tunelu, i w pociągu panowała absolutna ciemność. W końcu dało się słyszeć strzały. Marlene nie potrafiła określić, skąd dobiegają, ponieważ warunki akustyczne panujące w tunelu zakłócały rozchodzenie się dźwięku.

Wśród podróżnych szerzył się niepokój. Co się dzieje? Czy ktoś ich atakuje? Bezczyne czekanie w ciemnościach było nie do zniesienia. Wszyscy leżeli płasko na podłodze wagonu. Marlene ścisnęła w dłoni nóż, żałując, że nie ma przy sobie pistoletu. Wymiana ognia zdawała się trwać wieki, choć po wszystkim okazało się, że napastnicy – garstka obdartych partyzantów – zostali wybici w ciągu kilku zaledwie minut. W końcu w wagonie zapaliły się światła, lokomotywa sapnęła i pociąg o ciężale potoczył się naprzód. Na zewnątrz zapadła noc.

Rano, zaraz po wschodzie słońca, pociąg znów się zatrzymał, tym razem w środku lasu. Po przymusowym postoju spowodowanym atakiem „polskich bandytów” w pociągu panowała napięta atmosfera. I znowu, jak poprzednio, pozostawiono podróżnych w niepewności. Tym razem nie zjawili się żaden konduktor, więc żołnierze pootwierali okna i wystawiwszy głowy na zewnątrz, szukali wyjaśnienia nagłego postoju. Co prawda oficerowie krzyczeli, by tego nie robić, ale nie wszyscy z ich podwładnych brali sobie do serca te polecenia. Z zewnątrz dobiegły krzyki, niestety niezrozumiałe, a potem wydano rozkaz, by wszyscy żołnierze wyszli z wagonów i zabezpieczyli z obu stron stojący pociąg. Nasyp kolejowy zaludnił się mężczyznami w mundurach.

Podjęte działania zabezpieczające niespecjalnie uspokoiły pozostałych podróżnych. Marlene nie bez satysfakcji odnotowała, że najbardziej umilkły najmłodsze z sióstr. Towarzyszący im otyły lekarz z SS wstał, zamasyście wy dobył z kabury pistolet, demonstracyjnie sprawdził go, tak aby wszyscy zauważyli jego gotowość stawienia czoła niebezpieczeństwu, i wysiadł z pociągu.

Marlene patrzyła, jak esesman staje na szeroko rozstawionych nogach tuż pod jej oknem, bezceremonialnie wciskając się między dwóch żołnierzy. Sekundę później zwałił się jak kłoda i Marlene w tym samym momencie usłyszała strzał. Na czole lekarza pojawiła się czerwona plama. Marlene krzyknęła: „Snajper!”, i padła na podłogę. Przez kilka minut trwała wymiana ognia. Słychać było wykrzykiwane rozkazy, jęki rannych, a później wszystko w jednej chwili ucichło. Zaraz potem rozległy się triumfalne krzyki. Musiało upłynąć kilka sekund, by Marlene zorientowała się, że okrzyki te wznoszone są po niemiecku. Jakiś oficer Wehrmachtu wetknął głowę do wagonu i wrzasnął, jakby miał do czynienia z głuchymi:

– Szybko, musicie pomóc! Mamy rannych!

Marlene pierwsza zerwała się na równe nogi, złapała swoją torbę i wspólnie z pozostałymi siostrami zabrała się do opatrywania rannych. Nagle uświadomiła sobie absurdalność tej sytuacji: oto jedzie do Warszawy, by walczyć z niemieckimi żołnierzami, a mimo to sumienie nakazuje jej pomagać potrzebującym. Ranni – mniej więcej tuzin – zostali umieszczeni w pospiesznie opróżnionym wagonie towarowym i poddani niezbędnym zabiegom. Pociąg nadal stał w miejscu. Ponieważ jedyny lekarz zginął, nie było nikogo, kto mógłby operować najciężej rannych. W dodatku brakowało potrzebnych instrumentów, a światło w wagonie uniemożliwiało przeprowadzenie operacji. Marlene uznała, że w tej sytuacji musi wystarczyć wpadające do środka światło dzienne, lecz w tym samym momencie do wagonu wbiegł żołnierz i zabrał się za zamykanie przesuwanych drzwi. Marlene natychmiast krzyknęła, że ani myśli siedzieć w zamkniętym wagonie.

– Co to ma znaczyć!? Proszę nie zamykać tych drzwi! Potrzebujemy światła, żeby opatrywać rannych! – zawołała do stojącego opodal oficera.

Ten podszedł do niej, przywitał się krótko i grzecznie wyjaśnił:

– Przykro mi siostrzo, ale proszę zrozumieć: względy bezpieczeństwa. Proszę się cofnąć, aby żołnierz mógł wykonać rozkaz.

Marlene nie pomyślała o tym.

– W takim razie proszę nam przynieść przynajmniej lampy! Musimy mieć światło. Chyba że... – zrobiła krótką teatralną pauzę – chyba że chce pan, byśmy opatrywały żołnierzy w ciemności – zakończyła, wytrzymując spojrzenie oficera. Ten nie był zadowolony, napotkawszy na swojej drodze kobietę, która ani myśli podporządkować się jego poleceniom, lecz mimo to zaraz wydał żołnierzom stosowne rozkazy. Wkrótce przyniesiono dwie latarki i karton grubych świec, po czym drzwi wagonu zostały zamknięte. Marlene ledwie zdążyła włączyć jedną z latarek, gdy któraś z młodszych sióstr

z krzykiem rzuciła się do wyjścia i zaczęła walić w drzwi, jakby od tego zależało jej życie.

Marlene podała Trudi latarkę, po czym chwyciła krzyczącą dziewczynę za ramię, obróciła ku sobie i uderzyła w lewy i prawy policzek. Krzyk zamienił się w żaloszloch. Marlene posadziła płaczącą na podłodze wagonu, a do Trudi powiedziała:

– Pilnuj, żeby nie wstawiała i nie plątała się pod nogami.

Grupka rozhisteryzowanych dziewcząt była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowały.

Tymczasem siostry, zamiast opatrywać rannych, zebrały się wokół niej niczym wystraszone pisklęta. Najwyraźniej dyskusja z oficerem i okiełznanie panikującej dziewczyny sprawiły, że awansowała na przełożoną. Marlene domyślała się, że te głupiutkie dziewczyny, otumanione propagandowymi opowieściami o bohaterstwie i obronie ojczyzny, do tej pory nie zdawały sobie sprawy z realiów wojny. Teraz jednak same znalazły się w środku bitwy i nagle się przebudziły. „Witamy w prawdziwym świecie”, pomyślała Marlene i chcąc nie chcąc, objęła dowództwo. Klasnęła w dłonie i zapędziła siostry do pracy, sama zaś obeszała wagon, licząc leżących na podłodze rannych żołnierzy.

Podczas obchodu natknęła się na podporucznika. Miał przestrelone ramię i stracił dużo krwi. Opatrując go, tamując krew i życząc mu w duchu, by przeżył, nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pociąg wyruszy w dalszą drogę. W jej misji czas odgrywał kluczową rolę, a podróż już trwała dłużej, niż planowała.

Mijały godziny. Wokół panowała upiorna cisza przerywana jedynie jękami rannych. Wszyscy w napięciu nasłuchiwali głosów z zewnątrz. Marlene próbowała zwalczyć natrętną myśl, że oto została zamknięta w wagonie pośrodku pustkowiecia i już nigdy nie dotrze do celu swojej podróży.

Trudi chyba zmagiła się z podobnymi obawami.

– Może o nas zapomnieli? Za parę miesięcy otworzą drzwi i znajdą nasze szkielety – szepnęła.

– I to mówi panna niezniszczalna – odparła Marlene, wrzucając przesiąknięte krwią płótno do wiadra z wodą i ocierając rękawem spocone czoło. Słońce musiało padać prosto na dach wagonu, bo w środku było gorąco jak w rozpalonym piecu. Fartuch kleił jej się do ciała. Rozpięła pod szyją broszkę Czerwonego Krzyża, a potem kilka górnych guzików. Następnie zdjęła z głowy czepek i zaczęła się nim wachlować. Trudi uśmiechnęła się, tak jakby tylko czekała na ten znak, i zrobiła to samo, mamrocząc pod nosem coś, co zabrzmiało jak „striptease”.

Marlene miała nadzieję, że się przesłyszała.

– Co powiedziałaś? – prychnęła poirytowana. Gdyby to słowo dotarło do niepowołanych uszu, mogło sprowadzić na nie śmiertelne niebezpieczeństwo. Naziści byli chorobliwie czujni, a Marlene nie mogła sobie pozwolić na to, by zwracać na siebie uwagę. Lecz Trudi, również szeptem, odparła bez zażenowania:

– Znam to słowo od mamy, a ona od Josephine Baker. Poznała ją w Nelson Theater przy

Kurfürstendam. Moja mama też tam występowała – wyjaśniła, po czym nachyliła się do Marlene i konspiracyjnym szeptem dodała: – Wiesz, że Baker jest we Francji i pracuje dla ruchu oporu?

– Ciii! – syknęła Marlene, z trudem powstrzymując się od zatkania Trudi ust. „Ta dziewczucha sprowadzi na nas nieszczęście!”, pomyślała, zerkając mimowolnie na leżącego przed nią podporucznika, ale ten chwilę wcześniej stracił przytomność i nie stanowił obecnie zagrożenia. W przeciwieństwie do Trudi. Marlene chwyciła ją za ramię, zbliżyła usta do ucha dziewczyny i groźnie rzekła:

– Od tej pory masz trzymać gębę na kłódkę i odzywać się tylko, gdy cię zapytam. Jeśli jeszcze raz powiesz coś podobnego, to przysięgam, że cię zabiję.

– Dobrze już, dobrze, opanuj się – odrzekła Trudi na pozór obojętnym tonem i uwolniła się z uścisku. Marlene zastanawiała się, czy ta dziewczyna naprawdę ma w sobie tyle zimnej krwi, czy jest zwyczajnie głupia. Nie mogła się oprzeć myśli, że Trudi przysporzy jej jeszcze wielu zmartwień.

Pociąg w końcu ruszył, lecz wkrótce znów zwolnił bieg. Smugi światła wpadające do wagonu przez nieliczne szczeliny nagle zgasły, co niechybnie świadczyło o tym, że pociąg kolejny raz wjechał w tunel. Niedługo potem drzwi wagonu otworzyły się i gdy jeden z żołnierzy poświecił do środka latarką, wszyscy wstrzymali oddech.

– No nareszcie! Zaraz pęknie mi pęcherz! – wykrzyknęła bezceremonialnie Trudi i chwyciwszy pomocną dłoń żołnierza, wyskoczyła z wagonu. Marlene ruszyła jej śladem, dyskretnie rozglądając się wokół. Słabe lampki umieszczone pod sklepieniem tunelu rozpraszały nieco panujące tu ciemności. Po ścianach biegły grube wiązki kabli, lecz Marlene nie zdołała dostrzec końca tunelu, który daleko z przodu łagodnie skręcał. Zrobiła kilka kroków w stronę lokomotywy, lecz oficer, z którym rozmawiała na poprzednim postoju, w ostatniej chwili zastąpił jej drogę i nie pozwolił zbliżyć się do sąsiedniego wagonu. Zupełnie jakby na nią czatował.

Gdy zapytał o rannych, Marlene odpowiedziała, że jeden zmarł, a czterech znajduje się w stanie krytycznym.

– Kiedy dotrzemy do Poznania? – spytała, korzystając z okazji. – Ranni muszą jak najszybciej trafić do lazaretu. Trzeba wyjąć kule – wyjaśniła. Mimo nikłego światła miała wrażenie, że dostrzegła na twarzy oficera grymas niezadowolenia, jakby nie życzył sobie zadawania tego rodzaju pytań.

– Jutro – odrzekł takim tonem, jakby było mu zupełnie obojętne, czy kiedykolwiek tam dotrą. – Przyślę kogoś z prowiantem – rzucił i odwrócił się, by zająć się innymi obowiązkami.

– Panie oficerze – Marlene zatrzymała go jeszcze na chwilę. – Czy to znaczy, że cały dzień spędzimy w tunelu?

Od chwili ataku partyzantów, który skądinąd przyjęła z satysfakcją, Marlene wątpiła, czy informacje Manfreda o tym, jakoby Niemcy kontrolowali linie kolejowe do Poznania, nie są przypadkiem nieaktualne. Poza tym nie dawały jej spokoju tunele, w których się zatrzymywali.

W mieszkaniu Manfreda przestudiowała na mapie całą trasę i wiedziała, że linia kolejowa między Świebodzinem a Poznaniem wiedzie głównie przez płaskie i zalesione tereny, gdzieś tam pokryte polami. Skąd więc te tunele, skoro nie ma tu gór? Powoli nabierała podejrzeń, że to nie jest zwykły transport z Monachium do Poznania. Czyżby miało to jakiś związek z wagonami, które doczepiono w nocy w Dreźnie? Kiedy po potyczce z partyzantami wyskoczyła z wagonu, by opatrzeć rannych, spostrzegła coś, co dopiero teraz, w połączeniu z innymi zdarzeniami, wydało jej się dziwne i podejrzane: trzy wagony towarowe były opancerzone. To mogło oznaczać, że w środku jest broń i zaopatrzenie dla walczących oddziałów. Marlene zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem partyzanci nie wiedzieli o tym i czy to nie te właśnie wagony od początku były ich celem. Cywile nie mieli dostępu do końcowej części składu, zwłaszcza że pasażerom zakazano opuszczania pociągu. Dziwne było też to, że jechali wyłącznie nocą, przejeżdżali przez dworce, niemal w ogóle nie zwalniając, a teraz znów spędzali dzień ukryci w tunelu. Po co to wszystko? Te wyjątkowe środki ostrożności musiały mieć jeden cel: chodziło o to, żeby jak najmniej osób widziało ten pociąg.

– Wyglądasz, jakbyś miała znieść wielkie jajo – powiedziała Trudi, która nagle wyłoniła się z ciemności, oślepiając Marlene światłem latarki. Marlene zjeżyła się, gwałtownie wyciągnęła rękę i wyrwała dziewczynie latarkę.

– Daj mi to! – syknęła.

– Moja droga, jesteś okropnie przewrażliwiona. – Trudi wzruszyła ramionami. – Przyszłam ci tylko powiedzieć, że przynieśli żarcie – powiedziała i obróciła się na pięcie.

– Zaczekaj! – zawołała Marlene, która zdążyła już pożałować gwałtownej reakcji. – Przepraszam. Weź latarkę.

Trudi uśmiechnęła się łaskawie. Idąc za Marlene z powrotem do wagonu, zadała pytanie, nad którym Marlene przed chwilą sama się głowiła:

– Jak myślisz, dlaczego oni ukrywają ten pociąg?

Marlene zatrzymała się tak raptownie, że Trudi wpadła na nią z impetem.

– Posłuchaj – syknęła, chwytając dziewczynę za ramię. – Jeśli chcesz żyć, nigdy, ale to przenigdy nie zadawaj podobnych pytań. Rozumiesz?

– Dobrze, rozumiem. Naprawdę jesteś straszną mimozą – mruknęła Trudi, próbując się uwolnić z uścisku.

Marlene jednak jeszcze z nią nie skończyła.

– Mówię ci po raz ostatni: narażasz nas obie na niebezpieczeństwo. Wystarczy cię podejrzania i obie zginiemy. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, musisz się najpierw nauczyć milczeć.

– A zabierzesz mnie wtedy ze sobą? – twarz Trudi dosłownie zapłonęła.

Marlene czuła, że wpadła w potrzask. Badawczo spojrzała dziewczynie w oczy. Biła z nich żywa inteligencja. Jak na swój wiek mała doskonale umiała stawiać na swoim, tyle że czyniła to w szalenie

irytujący sposób.

Marlene zdawała sobie sprawę z tego, że nie może zostawić Trudi samej, nawet w grupie sióstr. Musiała ją stale mieć pod kontrolą, to zaś oznaczało, że musi ją wziąć pod swoje skrzydła. Rozejrzała się wokół, ale wszyscy wrócili już do wagonów na posiłek. W pobliżu nie było ani jednego żołnierza. Mimo to nadal mówiła szeptem:

– W porządku, wytłumaczę ci, o co w tym wszystkim chodzi, ale musisz ściśle przestrzegać reguł. Pierwsza brzmi: przede wszystkim przeżyć. A to oznacza, że mamy nie zwracać na siebie uwagi i nie zadawać żadnych pytań. Jedyne, co nas interesuje, to służyć Führerowi. Od tej pory masz robić to, co mówię. Jasne?

– Jasne. Mam złożyć przysięgę czy coś w tym rodzaju?

– Nie – rzuciła szorstko Marlene. – I jeszcze coś.

– Tak?

– To nie jest zabawa. Nikt z nas nie jest niezniszczalny, rozumiesz? Od tej pory moje życie leży w twoich rękach. Jeśli wpakujesz się w tarapaty, pociągniesz mnie za sobą. Ale koniec końców, ani moje, ani twoje życie nie ma znaczenia. Liczy się sprawa, o którą walczymy. A walczyć możemy dopóty, dopóki żyjemy.

– Przysięgam: póki żyję, będę walczyć o sprawę! – rzekła Trudi, uroczyście unosząc prawą dłoń.

– W porządku. – Marlene miała ochotę zgrzytnąć zębami. – Mam nadzieję, że zakonotujesz to sobie w tej swojej małej, upartej główce. A teraz chodźmy coś zjeść. – Wskazała dyskretnie w kierunku dwóch żołnierzy, którzy z wyraźnym zainteresowaniem przyglądali się dyskusji dwóch sióstr. – Mamy widzów.

Jedząc zupę, Marlene próbowała sobie przypomnieć wszystko, czego się dowiedziała o Kraju Warty, Generalnym Gubernatorstwie i Górnym Śląsku. Krążyły plotki, że naziści wydrążyli na wschodzie całe systemy rozległych tuneli, w których ulokowali zakłady przemysłowe produkujące broń. Z nie mniejszą gorliwością budowali tak zwaną Kwaterę Główną Führera. Ruch oporu wiedział, że na terenie Komisarjatu Rzeszy Ukraina, gdzieś w okolicach Winnicy, znajduje się kwatera o nazwie „Wilkołak”. Marlene była w rozterce. Chciała się wymknąć z pociągu i obejrzeć dokładniej trzy opancerzone wagony, lecz z drugiej strony wiedziała, że w ten sposób może zniweczyć swoją misję i uniemożliwić spotkanie z Icchakiem Cukiermanem.

Na szczęście wkrótce wszystko się wyjaśniło: po zebraniu naczyń kuchennych grupa sióstr mimo gwałtownych protestów została z powrotem zamknięta w wagonie z rannymi. Co prawda nadzorujący je oficer polecił zabrać ciało zabitego żołnierza, lecz i tak nie było przyjemnie spędzać noc w ciasnym wagonie pośród jęków rannych i skarg młodszych sióstr, których strach był nieomal namacalny.

Marlene czuła się niczym zamknięty w klatce tygrys. Była już w drodze dwa dni dłużej, niż planowała, i powoli czas jej się kończył. W dodatku nie miała bladego pojęcia, gdzie się znajdują,

ponieważ pociąg nie jechał prosto do Poznania, tylko obrał okrężną drogę, przez Pragę.

Kiedy tylko zapadł zmrok, skład wyjechał z tunelu, lecz po pewnym czasie znów się zatrzymał. Drzwi wagonu otworzyły się i Marlene ze zdumieniem spostrzegła, że znajdują się na spokojnym, skąpo oświetlonym dworcu. Niestety na próżno szukała wzrokiem tabliczki z nazwą miejscowości. Podróż stawała się coraz bardziej tajemnicza.

Pasażerów poinformowano, że dalej pojedą wojskowymi ciężarówkami. Marlene odszukała znajomego oficera, by przypomnieć mu, że ranni powinni być jak najszybciej odwiezieni do szpitala, a przy okazji pociągnąć go za język, lecz ten niestety szybko ją odprawił. Kiedy się odwróciła, spostrzegła Trudi, która najwyraźniej podążała za nią jak cień. Marlene była wprost przerażona wprawą, z jaką ta dziewczyna potrafiła się skradać.

– Co się dzieje? – szepnęła Trudi. – Co tutaj robimy?

Marlene chwyciła ją za ramię.

– Chodź – powiedziała, a gdy odeszły nieco na bok, mruknęła: – Coś mi tu śmierdzi. Myślisz, że dałabyś radę zakraść się na koniec pociągu i dokładniej obejrzeć trzy ostatnie wagony? Interesuje mnie na przykład, czy są jakoś szczególnie pilnowane. Jeśli ktoś cię zobaczy, udawaj naiwną siostrzyczkę, która chce tylko rozprostować nogi. Tobie łatwiej uwierzą.

– Już? Teraz?

– Tak. Nie wiem, jak długo tu zostaniemy. Ciężarówki mogą lada chwila podjechać.

– W porządku. – Trudi zrobiła w tył zwrot, lecz Marlene zatrzymała ją jeszcze na chwilę.

– Bądź ostrożna i nie ryzykuj. Rozumiesz?

Trudi kiwnęła głową i ruszyła w kierunku wagonu z rannymi. Marlene patrzyła, jak jej młoda towarzyszka przez chwilę gawędzi z dwoma stojącymi na warcie żołnierzami, słyszała niesiony przez wiatr śmiech Trudi i obserwowała, jak z kokieteryą leciutko unosi spódnicę, idzie dalej i nagle znika w cieniu pomiędzy wagonami. Najwyraźniej dała żołnierzom do zrozumienia, że chciałyby się udać w wiadomym celu na drugą stronę torów. Po dziesięciu minutach wróciła do Marlene.

– No i?

– Miałaś rację. Tych trzech wagonów pilnuje chyba tuzin esesmanów.

– Esesmanów?

– To jeszcze nie wszystko... – Trudi urwała, jakby czekała na werble.

– No mówże wreszcie!

– Przez szparę widziałam światło! Ktoś szedł przez wagon z tacą pełną jedzenia, jakby kroczył do tronu króla. Założę się, że tym wagonem jedzie... mhmm...

Trudi nie dokończyła, ponieważ Marlene położyła jej dłoń na ustach. Podekscytowana dziewczyna zapomniała się i mówiła coraz głośniej. W tym samym momencie w dali rozległ się warkot silników. Od wschodu zbliżały się światła kilku ciężarówek. Jechały bardzo powoli, co nie najlepiej świadczyło

o stanie drogi.

Rozległy się krzyki nakazujące zabrać bagaże i po chwili wszyscy ruszyli biegiem. Kiedy siostry ze swoimi torbami wyskoczyły z pociągu, Marlene zauważyła, jak dwóch żołnierzy zamyka wagon z rannymi. Z żalem pomyślała o podporuczniku, który właśnie się ożenił.

– Co z rannymi? – spytała starszego z żołnierzy. – Kto się nimi zaopiekuje?

– Nie mam pojęcia – żołnierz wzruszył ramionami. – To już nie wasze zmartwienie, siostró.

Na dworcu odbywało się liczenie pasażerów. Marlene skorzystała z okazji i po raz ostatni rzuciła okiem na trzy zaciemnione wagony na końcu składu. Niestety, była zbyt daleko, by dostrzec coś więcej, niż tylko ich niewyraźny zarys.

– Mówię ci, tam siedzi jakaś gruba ryba – szepnęła Trudi, złowiwszy spojrzenie Marlene.

– Wierzę ci, ale to już nie nasze zmartwienie – Marlene powtórzyła słowa starego żołnierza.

Wnet okazało się, że w podstawionych ciężarówkach nie ma dość miejsca dla wszystkich pasażerów. Im bardziej posuwali się na wschód, tym więcej do życzenia pozostawiała słynna niemiecka organizacja. Jeden z oficerów Wehrmachtu zadbał o to, by wszystkie kobiety trafiły na jedną ciężarówkę. Więcej niż połowa żołnierzy miała mniej szczęścia i musiała pośród utyskiwań przebyć resztę drogi pieszo.

* Przełożył Jerzy Gawroński.

Odpryski wojny

Leonardo Conti, minister zdrowia Rzeszy, żąda od niemieckich matek większej dietności. Zewsząd bowiem z ust żołnierzy słyhać słowa wyrażające zdrowy światopogląd:

„Teraz mam dziecko, mogę spokojnie wracać na front!”.

Gestapo donosi o głosach sprzeciwu, przede wszystkim ze strony Kościoła katolickiego, wobec akcji wywózki dzieci z obszarów zagrożonych bombardowaniem. Kościół otwarcie krytykuje indoktrynację prowadzoną w wiejskich obozach dla dzieci:

„Wychowanie państwowe nie może pozostawać w konflikcie z sumieniem rodziców, którzy przed Bogiem odpowiadają za wychowanie swoich pociech”.

Francuski pisarz Antoine de Saint-Exupéry zginął podczas lotu rozpoznawczego. Jego maszyna została zestrzelona przez niemieckiego myśliwca w rejonie Korsyki.

Konwój składał się z samochodu terenowego oraz czterech ciężarówek z otwartymi skrzyniami, których podziurawione kulami plandeki słabo chroniły przed wiatrem i kurzem. Siostry jechały w kucki stłoczone na skrzyni, z bagażami między kolanami, ale przynajmniej nie marzły. Nie zdążyły się jeszcze oswoić z kołysaniem i wstrząsami, gdy w powietrzu świsnęły kule.

– Głowy niżej! – krzyknęła Marlene.

Kierowca ciężarówki chyba wcisnął mimowolnie gaz, bo auto przyspieszyło i z impetem uderzyło w poprzedzający je wóz. Na skrzyni zapanował kompletny chaos.

Marlene poczuła, że leży na niej sterta ciał, kilka razy została boleśnie kopnięta. Siostry chwiały się, przewracały, popychały, krzyczały. Marlene miała nadzieję, że napastnicy zauważyli, iż z ich wozu nikt nie strzela, i skupią się na ciężarówkach wiozących żołnierzy.

Wymiana ognia trwała niespełna minutę. Kilku żołnierzy odniosło rany, lecz jedyną ofiarą śmiertelną była siostra, którą kula trafiła prosto w serce. Trudi została draśnięta w przedramię i od tej pory obnosiła bandaż niczym cenne trofeum.

Marlene była niespokojna. Wiedziała, że w ten sposób nigdy nie dotrze do Warszawy. Powstanie wybuchnie i dobiegnie końca, a ona wciąż będzie się błąkać po okolicy!

Na szczęście reszta podróży przebiegła bez incydentów i nad ranem konwój minął roгатki Poznania. Marlene zaczęła planować dalsze działania. Musiała się odłączyć od grupy. Zostały jej cztery dni na pokonanie trzystu kilometrów dzielących ją od Warszawy. Chociaż wzdrygała się na samą myśl o tym, co przeżyła w ostatnich dniach, była zmuszona skorzystać z usług niemieckich kolei. Przez chwilę kusilo ją, by zostawić Trudi, ta jednak chyba przejrzała zamiary swojej towarzyszki, bo nie odstępowała jej nawet na krok. Zresztą Marlene już od jakiegoś czasu czuła się odpowiedzialna za małą. Z jednej strony chciałyby odzyskać dawną obojętność i zimną krew, z drugiej jednak cieszyła się, że mimo straszliwych doświadczeń jeszcze nie do końca zobojętniała.

Niecałe trzy godziny później stały na korytarzu przepełnionego pociągu do Warszawy, ciesząc się, że udało im się dostać do środka. Najpierw dołączyły do pozostałych sióstr, które po wielogodzinnej podróży udały się do toalety – za potrzebą oraz po to, by umyć twarz i poprawić włosy – a następnie wykorzystały zamęt i odłączyły się od transportu.

Nie byłoby to zapewne tak proste, gdyby przyjazd ich pokieroszowanego transportu nie wzbudził

takiej sensacji. Podstępne ataki i poniesione straty wywołały ogromne poruszenie. Oficerowie Wehrmachtu i SS oblegli ciężarówki, żądając raportów, rannych wyładowywano na dziedziniec, siostry i żołnierze wysypali się z pojazdów, zewsząd dobiegały głosy wzywające lekarza. Jednym słowem – zapanował kompletny chaos, który wkrótce pogłębił się, gdy dotarli ranni z pierwszej potyczki.

Marlene liczyła, że ich nieobecność zostanie zauważona dopiero wieczorem, w lazarecie. W swoim raporcie zamiast jednej zabitej siostry podała trzy, a następnie, tłumacząc się koniecznością zajęcia się rannymi, zadbała o to, by odsunąć w czasie liczenie ich grupy.

279 dni do „Dnia 0”

Führer Adolf H. z B. polecił, by *Wilhelm Tell* Schillera zniknął ze scen i spisu lektur szkolnych. Nie podano oficjalnych powodów tej decyzji, lecz krążą pogłoski, że podczas inscenizacji dramatu opisującego walkę o wolność i zabójstwo tyrana publiczność często „klaskała w niewłaściwych momentach”...

9

Nie ma na świecie narodu bardziej dobrodusznego, a zarazem bardziej łatwowiernego niż Niemcy. Rzucają się sobie nawzajem do gardeł i myślą, że spełniają tylko swoją powinność. Nie ma na świecie głupszego narodu. Jakikolwiek kłamstwo by wymyślono – oni w nie uwierzą.

Ze względu na obietnice, które słyszą, prześladują swych ziomków z większą zaciekłością niż ich prawdziwi wrogowie.

Napoleon Bonaparte (1769–1821)

– Kiedy dotrzemy do Warszawy? – spytała Trudi, ściskając poręcz, gdyż, jak się można było spodziewać, zabrakło dla nich miejsc siedzących.

– Według rozkładu za sześć godzin.

– Co zrobimy w razie kontroli?

– Nie mam pojęcia. Mów ciszej.

– Nie masz żadnego planu? Nasze dokumenty są ważne tylko do Poznania! – szepnęła Trudi.

– Bystra dziewczynka! Myślisz, że o tym nie wiem? – Marlene przejrzała się w oknie i poprawiła pielęgniarski czepek. – Powiem, że wczoraj w nocy nasz konwój napadli bandyci i straciłyśmy jedną z sióstr. Byłyśmy tak wstrząśnięte, że wszystko nam się pomieszało. W najgorszym razie zadzwonią do Poznania, żeby sprawdzić naszą historyjkę, i odeślą nas z powrotem. Nic nam nie grozi. – Powiedziała to pewnym tonem, choć w głębi duszy czuła niepokój. Nieraz już się przekonała, jak nieobliczalni bywają naziści. Z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– A co powiesz, kiedy spytają, po co w ogóle wsiadłyśmy do pociągu, zamiast zostać w Poznaniu i zająć się rannymi?

– Coś wymyślę.

Trudi po raz pierwszy wyraźnie osłupiała.

– Naprawdę postawisz ostatni grosz na konia, choć nie znasz się na wyścigach? – Ściszyła głos. – Jesteś *meszuga* czy co? – Co ciekawe, w jej głosie pobrzmiwała jakby nuta podziwu.

– Jeszcze niedawno byłam mimozą – odparła sucho Marlene.

Piętnaście minut później zjawiała się kontrola. Słyszając jednego z młodych żandarmów, Marlene z zadowoleniem skonstatowała, że ten musi pochodzić z Berlina albo okolic.

Najpierw zrobiła przedstawienie, szukając biletów, potem trochę poflirtowała, potrajkotała w berlińskim dialekcie, w końcu znalazła bilety, celowo je upuściła, tak żeby się schylić razem z żandarmem i zderzyć się z nim głową, co z kolei dało jej sposobność do wylewnych przeprosin. Schylając się, zręcznie rozpięła dwa guziczki pielęgniarskiej bluzki, dając młodzieńcowi sposobność zajrzenia w jej dekolt.

Trudi szybko pojęła lekcję i zaczęła kokietować drugiego z żandarmów, który najwyraźniej okazał się podatny na jej wdzięki. Kiedy w końcu padło pytanie o dokumenty sióstr, Marlene znów sięgnęła zamaszyście do swojej torby, podczas gdy Trudi zaczęła opowiadać, jak to w drodze do Poznania zostały zaatakowane przez bandytów, którzy ostrzelali ich pociąg, na dowód czego wyciągnęła zabandażowaną rękę. I znów okazało się, że miały więcej szczęścia niż rozumu i zgodnie z rachubami Marlene policjanci tylko pobieżnie sprawdzili okazane im dokumenty.

Kiedy mężczyźni oddalili się, a Marlene i Trudi odetchnęły z ulgą, za ich plecami odezwał się głos, mówiący z wyraźnym austriackim akcentem:

– Brawo, drogie panie, brawo! Przedstawienie doprawdy paradne.

Marlene odwróciła się i stanęła oko w oko z wysokim mężczyzną w szytym na miarę mundurze SS. Esesman ze sztuczną afektacją klaskał w dłonie.

„Do diabła”, zaklęła w duchu Marlene, po czym odezwała się, spuszczając skromnie oczy na widok tak wysokiej rangą osobistości:

– Och, panie obersturmbannführerze...

Cóż innego mogła powiedzieć? Esesman albo je przejrzał i zaraz każe je aresztować, albo coś knuje. Tak czy siak, groziło im niebezpieczeństwo. Wolała zatem się wycofać i odczekać, jakież to następny krok wykona nieznajomy mężczyzna. Wyglądem i zachowaniem esesman przypominał jej nieco Albrechta Brunnmanna. Oby dobry Bóg, czy kto tam na górze zajmował się ziemskimi sprawami, uchronił ją w najbliższym czasie od spotkania z tym nazistowskim pomiotem. Marlene bała się, że na jego widok zapomni o ostrożności i z miejsca rzuci mu się do gardła.

Ten nazista był sporo starszy, szczupły, nieomal ascetyczny, i nie dorównywał Brunnmannowi ani urodą, ani elegancją. Ponieważ przyciskał czapkę łokciem do boku, widać było przeredzone, zaczesane z przedziałkiem włosy. Podobieństwo do Brunnmanna zasadzało się na tym, że na pierwszy rzut oka wydawał się równie nieprzenikniony. Głęboko osadzone oczy były niczym ciemne okna. Tak, Marlene stała naprzeciw człowieka, który nie zwykł odsłaniać swoich kart. Na własnej skórze przekonała się, że właśnie taki typ człowieka należy do najniebezpieczniejszych – jest niczym wcielony diabeł, który pozwala głupcom dać upust niskim instynktom, samemu zachowując zimną krew i opanowanie.

Zaskoczona nieprzewidzianą komplikacją, Marlene postanowiła w dalszym ciągu udawać pierwszą naiwną. Jeśli nauczyła się czegoś przez lata działalności szpiegowskiej, to z całą pewnością tego, że

takie zimnokrwiste istoty nad wszystko przedkładają grę i nic ich tak nie cieszy jak spotkanie z równym sobie przeciwnikiem i zadanie mu śmiertelnego ciosu. *Fair* czy nie *fair* – to nie miało żadnego znaczenia; w obu wypadkach mogli pokazać światu swą siłę i władzę. Ich największą słabością i kluczem do ich pokonania była próżność. Marlene domyślała się, że esesman się nudzi i spotkanie z nią traktuje jak przyjemną rozrywkę. Sam zresztą powiedział, że ubawił się, oglądając niedawne przedstawienie.

Mężczyzna, który również wykorzystał chwilę milczenia na to, by zmierzyć Marlene wzrokiem, uklonił się lekko i z przesadną – zważywszy na okoliczności – galanterią rzekł:

– Panie pozwolą, hrabia Dietrich zu Langenburg-Dietrichstein. Mam do swej dyspozycji cały przedział i nie wybaczyłbym sobie, gdybym pozwolił, by dwie tak czarujące młode damy spędziły podróż na korytarzu. Czy uczynią mi panie ten zaszczyt i zechcą mi towarzyszyć w drodze?

Marlene spojrzała na Trudi z nadzieją, że ta zrozumiała kryjące się w jej oczach polecenie: ma milczeć i pozwolić mówić starszej towarzysze. Następnie odwzajemniła iście cesarsko-królewską grzeczność hrabiego dygnięciem, doskonale zdając sobie sprawę, jak groteskowo wygląda ta scena w trzęsącym się wagonie, którego zapchane toalety roztaczały taki odór, że aż jej się przewracało w żołądku.

– Jesteśmy zaszczycone, panie hrabio. Wszelako ma pan przed sobą tylko dwie zwykłe pielęgniarki i byłoby niewłaściwe przyjąć zaproszenie od tak zacnej osobistości.

Marlene postanowiła udać, że jest zakłopotana zaproszeniem hrabiego, licząc zarazem, iż nie przesadza nadmiernie. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była podróż z tym człowiekiem w jednym przedziale. Wolałaby raczej umrzeć od smrodu na korytarzu.

– Ależ drogie panie, po cóż ta skromność? Zupełnie paniom nie przystoi! Nie wyobrażam sobie nic przyjemniejszego, jak odbyć podróż do Warszawy w pań towarzystwie. Podróże koleją są tak nudne... Proszę. – Wskazał stanowczo przed siebie i Marlene uznała, że nie pozostaje im nic innego, jak zabrać torby i podążyć przed esesmanem do jego wyłożonego czerwoną skórą przedziału.

Salonka hrabiego dysponowała własną łazienką, lecz szczytem luksusu był wypełniający ją zapach skóry i wody kolońskiej, chroniący podróżnych przed przykrymi woniami z uszkodzonych sanitariatów. Kiedy za ich plecami zamknęły się drzwi, Marlene poczuła, jakby się znalazła w potrzasku.

Aż do Warszawy Marlene i szczodry gospodarz kontynuowali grę pozorów, okrążając się niczym dwie marionetki tańczące na sznurkach i bez przerwy czyhając na każdą próbę ataku ze strony przeciwnika czy fałszywy ruch, który pozwoliłby zyskać nad nim zdecydowaną przewagę.

Partię rozpoczął „brunatny hrabia”, jak go w duchu ochrzciła Marlene. Esesman miał wyjątkowo wysoki głos, a jego rozwlekły sposób mówienia i zniewieściała wymowa mimowolnie budziły w niej falę agresji.

Po krótkiej prezentacji, w trakcie której hrabia wypytał o imiona i pochodzenie zaproszonych przez siebie dam oraz przedstawił się jako rodowity wiedeńczyk i członek znamienitego rodu, gospodarz zwrócił się do Marlene:

– Jestem zaskoczony, że tak młoda dama jak pani dysponuje tak ogromną wiedzą na temat stopni i umundurowania SS.

Marlene spojrzała na hrabiego ze szczerym uznaniem. Łajdak był naprawdę przebiegły. W jednym zdaniu pomieścił komplement i dał jej do zrozumienia, że popełniła taktyczny błąd, zwracając się do niego *per* „panie obersturmbannführerze”. Trudno, pierwszy punkt trafił na konto jej przeciwnika. Z drugiej strony Marlene zorientowała się, że esesman chce wybadać, czy aby za fasadą niewinności nie kryje się ktoś inny, a nie tylko naiwna siostra Czerwonego Krzyża. Ponieważ nie zwykła zapominać raz widzianej twarzy, była przekonana, że do tej pory nie spotkała hrabiego, choć z całą pewnością już kiedyś słyszała jego nazwisko. Dobrze przynajmniej, że byli w przedziale sami. Jeśli nie będzie innego wyjścia, będzie musiała go zabić. Nie miała wątpliwości, że okaże się szybsza i bardziej zręczna od tego zadufanego w sobie starca. Dyskretnie upewniła się, że przypięty do uda nóż jest na swoim miejscu.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do przedziału zajrzał młody esesman, a za nim mignęła sylwetka jeszcze jednego. Nie zaszczycał Marlene i Trudi choćby przelotnym spojrzeniem, a nawet niegrzecznie ignorując ich obecność, przybysz szepnął, jakby meldując wykonanie tajnego rozkazu:

– Wszystko gotowe, panie obersturmbannführerze.

– Doskonale.

Hrabia odprawił esesmana dłonią, na co ten strzelił obcasami i opuścił salonkę.

Marlene musiała brać pod uwagę, że wraz ze swoim kompanem stanął właśnie przed drzwiami na warcie. Tym samym znalazły się z Trudi w potrzasku.

Postanowiła zatem dostosować taktykę do nowej sytuacji. Zamiast grać naiwną siostrzyczkę, zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę. Chociaż nie znała siedzącego przed nią mężczyzny, była przekonana, że go przejrzała. Hrabia był nie tylko graczem, lecz przede wszystkim zapalonym myśliwym – człowiekiem, dla którego polowanie jest ważniejsze niż sama zdobycz. Im dłużej trwa pogoń, tym większa satysfakcja z końcowego sukcesu. Gdyby udało jej się przekonać hrabiego, że w tej zabawie chodzi o dużo więcej niż tylko o przyjemną rozrywkę, że siedząca naprzeciw niego kobieta skrywa tajemnicę zdolną zaspokoić jego łowiecki instynkt, być może pojawiłaby się szansa na to, by wyjść cało z tej nieoczekiwanej opresji.

Lecz jak tego dokonać? Wiedziała, że rozpoczyna ryzykowną grę o najwyższą stawkę: o własne życie. Oraz o życie Trudi.

Analizując dostępne jej szczątkowe informacje, doszła do wniosku, że hrabia jest w drodze do

Warszawy, gdzie najwyraźniej ma objąć jakieś ważne stanowisko. Świadczyły o tym komfortowe warunki, w jakich odbywał podróż. To, że w ciągu wieloletniej działalności szpiegowskiej nie spotkała go na warszawskich salonach, nie miało żadnego znaczenia. W nazistowskiej hierarchii można było bardzo szybko awansować i równie szybko runąć na samo dno. Odcięcie od świata spowodowane długotrwałym pobytem w krakowskim szpitalu sprawiło, że nie była na bieżąco, jeśli chodzi o życie śmietanki towarzyskiej w okupowanej Warszawie. Podstawowe pytanie brzmiało: czy hrabia należy do otoczenia Hansa Franka, pana i władcy Generalnego Gubernatorstwa? A może był człowiekiem Himmlera, który uchodził za zaprzysięgłego wroga Franka? Nie tylko w Berlinie poszczególni dygnitarze brunatnego reżimu toczyli zażartą walkę o władzę. Nie było żadną tajemnicą, że Hans Frank jest w permanentnym konflikcie z Himmlerem i podległym mu Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy. I że nienawidzi Albrechta Brunnmanna. Marlene przekonała się o tym dobre dwa lata temu podczas przyjęcia na Wawelu. Czyim zatem człowiekiem był brunatny hrabia? Himmlera czy Franka?

Szanse na to, że Marlene obstawi właściwą stronę, wynosiły równe pięćdziesiąt procent. Miała wrażenie, jakby zonglowała laskami dynamitu – i to z tłącym się lontem. Kiedy tak rozważała racje przemawiające za obiema możliwościami, nagle przypomniała sobie, kiedy i gdzie słyszała nazwisko hrabiego.

Szybko skłoniła głowę, by się nie zdradzić, gdyż czuła, że ogarnia ją prawdziwa euforia: Tak! To jest wyjście! Podjęła decyzję i wykonała pierwszy ruch.

– Pan mi pochlebia, panie hrabio, ale jestem zmuszona zwrócić komplement. – Celowo zrobiła pauzę, po czym dodała ze sceniczną afektacją: – Przejrzał mnie pan, hrabio Langenburg-Dietrichstein – celowo użyła pełnego tytułu, wiedząc, że jej adwersarz przykłada ogromną wagę do swego arystokratycznego pochodzenia.

Cienkie brwi esesmana uniosły się leciutko, wlewając w serce Marlene nadzieję, że jej przeciwnik złapał przynętę. Hrabia jednak milczał, drapiąc się lekko po piersi.

Marlene sięgnęła po kolejnego asa z rękawa.

– W naszych kręgach – delikatnie ściszyła głos, by uzyskać teatralny efekt – wolimy rozmawiać hipotetycznie... – Ponownie umilkła, by po chwili zadać swemu rozmówcy pytanie: – Co by pan powiedział, drogi hrabio, gdyby się okazało, że spotkałam się z Maximilianem księciem zu Hohenlohe-Langenburgiem i że reprezentujemy te same interesy?

Ledwie widoczne drgnięcie kącika ust hrabiego zdradziło Marlene, że udało jej się zaskoczyć przeciwnika. Hrabia założył niedbale nogę na nogę i kołysząc wyglancowanym na błysk czubkiem oficerskiego buta, otworzył właśnie usta, by odpowiedzieć, gdy Trudi wypaliła zniecka, wtrącając się do rozmowy:

– Kim jest ten książę?

Nagle pytanie Trudi nie wytrąciło Marlene z równowagi. Dziewczyna wypowiedziała je z tak szczerym zdumieniem, że hrabia nie mógł już mieć wątpliwości, że młoda siostra jest zupełnie niegroźna i zupełnie przypadkiem towarzyszy starszej koleżance w podróży. Marlene miała nadzieję, że od tej pory esesman skupi swoją uwagę wyłącznie na niej i w ten sposób uda jej się ocalić Trudi.

I rzeczywiście – hrabia nawet nie spojrzął na dziewczynę.

– Pozostając na płaszczyźnie hipotetycznej: kiedy doszło do wzmiankowanego spotkania? Gdzie i w jakich okolicznościach spotkała pani mojego drogiego kuzyna?

– Zanim przejdziemy do szczegółów, czy nie byłoby lepiej odesłać moją młodą towarzyszkę?

Słowa Marlene wywołały gwałtowny sprzeciw Trudi, co, zważywszy na jej młody wiek, było zupełnie naturalne i nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Marlene miała nadzieję, że odsyłając Trudi, zdoła całkowicie usunąć ją z linii strzału.

Hrabia rzucił okiem na Trudi, która hardo zaciskając usta, wytrzymała jego spojrzenie. To był krytyczny moment. Życie dziewczyny zależało od tego, jak ją oceni esesman.

Hrabia podjął decyzję.

– Oczywiście – rzucił, po czym zapukał w drzwi.

Te otworzyły się w ciągu dwóch sekund, a po kolejnych pięciu, których Marlene potrzebowała, by przeciągłym, wiele mówiącym spojrzeniem zdusić protesty Trudi, mogli kontynuować rozmowę. Marlene miała nadzieję, że Trudi okaże się na tyle rozsądna, by nie kręcić się przed drzwiami salonki, tylko uciec jak najdalej od hrabiego i na najbliższej stacji wziąć nogi za pas. Co prawda hrabia nie polecił swoim ludziom zatrzymać Trudi, istniała jednak i taka możliwość, że jego podwładni zrobią to z własnej inicjatywy. Trudi nie była zatem jeszcze całkiem bezpieczna i Marlene wciąż nie mogła zapisać na swoim koncie pierwszego zwycięstwa. Należało raczej przyjąć, że rozgrywka wkroczyła dopiero w pierwszą fazę.

Z westchnieniem opadła na oparcie kanapy i zzuła buty.

– Boże, prawie umarłam przez te okropne trepy! – Świadomie starała się rozluźnić atmosferę, dając hrabiemu do zrozumienia, że ma do czynienia z osobą równą mu urodzeniem. Salonowym, niemal egzaltowanym tonem wyjaśniła: – Spotkałam księcia w Bernie. Szalenie szarmancki mężczyzna.

We właściwym momencie przypomniała sobie informację, którą uzyskała od berlińskiego kontaktu admirała Canarisa. Podczas spotkania z łącznikiem, w trakcie którego wymieniono się wiedzą na temat aktualnych działań ruchu oporu, okazało się, że niemieccy spiskowcy rekrutują się nie tylko spośród oficerów Wehrmachtu i wojsk rezerwowych, lecz również funkcjonariuszy berlińskiego aparatu SS. Niestety już w Monachium Marlene dowiedziała się od Manfreda, że w trakcie czystek po nieudanym zamachu Stauffenberga wyszło na jaw, iż admirał, szef Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego, wspierał spiskowców. Canaris został aresztowany i uwięziony

w obozie koncentracyjnym, co było niepowetowaną stratą dla ruchu oporu.

Tymczasem Heinrich Himmler, Reichsführer SS i skończony oportunist, snuł plany na epokę „po Hitlerze”. Już w 1941 roku wyciągnął swe macki poza granice Rzeszy, a obecnie dążył do zawarcia pokoju z zachodnimi aliantami. W tym celu posługiwał się różnej maści emisariuszami, między innymi księciem zu Hohenlohe-Langenburgiem, który wiosną 1942 roku spotkał się z brytyjskim *attaché* wojskowym w Madrycie. Marlene dowiedziała się o tym od Jakuba. W 1943 roku w Bernie doszło z kolei do spotkania księcia z Allenem Dullesem, szefem amerykańskiego wywiadu OSS. Gdyby Marlene udało się przekonać hrabiego, że jest agentką na usługach Himmlera, odniosłaby podwójne zwycięstwo: potraktowałby ją jako „swoją”, a do tego nie mógłby sprawdzić jej tożsamości, jako że próba wybadania, czy szef SS wysłał swoją emisariuszkę na wschodnie obszary Rzeszy, mogłaby zagrozić karierze obersturmbannführera. Równie dobrze mógłby spytać, czy Himmler planuje zamordować Hitlera. Oboje – i Marlene, i hrabia – doskonale zdawali sobie sprawę, jakie byłyby konsekwencje nadmiernego zainteresowania obersturmbannführera domniemaną agentką Himmlera. Wszystko zatem zależało od tego, czy esesman przejrzy bief. Marlene musiała go przekonać, że oboje są uczestnikami tajnego spisku. Chociaż jej adwersarz nie dał po sobie niczego poznać, Marlene doskonale wiedziała, że za tą kamienną fasadą trwa gorączkowa gonitwa myśli. Aby nie dać hrabiemu zbyt wiele czasu na rozważania, spytała mimochodem, jakby zawstydzona, że musi się dopominać o coś tak elementarnego:

– Proszę wybaczyć, drogi hrabio, czy zaproponuje pan damie coś do picia? Myślę, że wypada wznieść toast za nasze nieoczekiwane spotkanie. A potem chciałabym się odświeżyć. Moje włosy na pewno wyglądają okropnie. – Demonstracyjnie dotknęła skroni, wydając z siebie żałosne westchnienie, jakby zburzona fryzura stanowiła największą z przykrości, jakie mogą przytrafić się damie.

Najwyraźniej udało jej się przekonać hrabiego, który gorliwie zerwał się z miejsca:

– Gdzież moje maniery?! – wykrzyknął i otworzył drzwiczki, za którymi krył się dobrze zaopatrzony podróżny barek. – Szampan czy koniak, moja droga? – spytał, wymachując dwoma różnymi kieliszkami.

– Poproszę szampana.

Hrabia podał jej wysoki kieliszek z ciętego kryształu. Marlene szybko dostrzegła w szkle monogram.

– Pański herb? Znakomite dzieło!

Świadomie zdecydowała się na kolejne pochlebstwo, zdając sobie sprawę z tego, z jaką nostalgią arystokracja wspomina dawne czasy: im bardziej wiekowe cesarsko-królewskie imperium chyliło się ku upadkowi, tym głośniej jego elita domagała się okazywania jej należnego szacunku. Swoją na pozór niewinną uwagą Marlene najwyraźniej trafiła w czuły punkt, jako że hrabia wygłosił nużący

monolog na temat swojego rodzinnego zamku na Śląsku, rzekomo ukrytych w nim skarbów, licznej służby, a nade wszystko swojej genealogii i koligacji. Monologując, bez przerwy drapał się po piersi, jakby go tam ukąsił komar. Z rozwlekłej przemowy Marlene zapamiętała między innymi to, że powiązania rodzinne hrabiego sięgały brytyjskiej rodziny królewskiej, z czego hrabia był najwyraźniej szczególnie dumny. Sama ograniczyła się do krótkiej uwagi na temat aktualnych relacji między Wielką Brytanią a Rzeszą i opróżniła kolejny kieliszek szampana, częstując się raz po raz pralinami, które gościnnie hrabia wydobyl ze swoich zapasów. Bynajmniej nie przeszkadzał jej słowotok gospodarza. Dopóki mówił, dopóty nie musiała odpowiadać na żadne pytania. Kiedy zaś dostał zadyszki, Marlene wstała, podziękowała grzecznie za zajmującą opowieść, sięgnęła po swoją torbę podróżną i jakby nigdy nic udała się do łazienki. Tu zmieniła strój pielęgniarzki na ciemnoniebieski kostium z białą lamówką i czółenka na średnim obcasie. Nakrycie głowy i rękawiczki trzymała w dłoni. Strój nie był ani zbyt skromny, ani nadmiernie szykowny. Upodabniał ją do dobrze sytuowanej niemieckiej małżonki, która wybrała się w podróż, by załatwić kilka ważnych spraw i być może spotkać się z przyjaciółką na kawie w hotelu Adlon. Żona Manfreda miała świetny gust. Co prawda Marlene nie zdołała umyć nad małą umywalką włosów, ale przynajmniej porządnie je wyszczotkowała i doprowadziła do ładu. Następnie wyjęła róż, w który również wyposażyła ją żona Manfreda, i delikatnie nałożyła go na policzki i usta, pomna, że w państwie Führera co prawda toleruje się używanie szminki, lecz nie jest ona mile widziana. Kobieta przykuta do kuchni nie potrzebowała się przecież malować.

Przemiana, jaka dokonała się w łazience, wywołała wyraźne poruszenie hrabiego, który na widok Marlene zerwał się z miejsca.

– Najdroższa, wygląda pani olśniewająco! – wykrzyknął, ujmując jej dłoń i składając na niej szarmancki pocałunek.

A potem, wciąż nie puszczając jej ręki, złożył propozycję, która sprawiła, że Marlene poczuła ciarki na plecach i zrozumiała, że nie zdołała do końca przekonać hrabiego i wciąż grozi jej niebezpieczeństwo. Albo że od początku go nie doceniała, zanadto opierając swoją strategię na próżności gospodarza i bagatelizując jego niewątpliwą inteligencję. Po raz pierwszy przez głowę przemknęła jej myśl, że jej adwersarz jest wcale nie gorszym aktorem niż ona i tylko gra próżnego, zakochanego w sobie fircyka.

– Co zrobimy z pani młodą towarzyszką? – spytał hrabia znudzonym głosem. – Jeśli wolno mi wyrazić osobistą opinię, wydaje mi się szalenie naiwną osobką. Kimś, kto nie pasuje do takiej damy. Sądzi pani, że należy ją zlikwidować?

Marlene musiała się poważnie zastanowić nad odpowiedzią. W żadnym wypadku nie mogła okazać cienia skrupułów. W tych kręgach morderstwo z zimną krwią uchodziło za coś zupełnie naturalnego – o ile tylko służyło interesom tej bandy sadystów.

– Jeszcze nie teraz – odparła Marlene. – Do tej pory okazywała mi się szalenie przydatna. Wie pan, hrabio, że na wojnie okoliczności i wymóg chwili zmieniają się w zawrotnym tempie. Mój kontakt w Poznaniu zniknął bez śladu, a czas odgrywa w mojej misji kluczową rolę, stąd byłam zmuszona improwizować. Uznałam, że dobrym kamuflażem w drodze do Warszawy będzie przebranie siostry Czerwonego Krzyża, a dla większej wiarygodności dobrałam sobie młodą towarzyszkę. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wdzięczna jestem Opatrzności za nasze spotkanie. – Z gracją podała hrabiemu dłoń, którą ten ponownie ucałował.

Marlene pozwoliła, by jego usta spoczywały na jej skórze nieco dłużej, niż nakazuje przyzwoitość, po czym z delikatnym uśmiechem cofnęła dłoń. Gest ten był nie tyle formą eleganckiego podziękowania, ile przypieczeniem strategicznego sojuszu.

– Nie wyobraża pan sobie, drogi hrabio, jaka to ulga spotkać kogoś, kto na równi ze mną gotów jest zaryzykować życie w walce o wspólną sprawę, nawet jeśli nigdy nie doczekamy się uznania naszych zasług. – Marlene przyjęła z dłoni hrabiego kieliszek i teatralnie wzniosła toast. – Wypijmy za naszą przyjaźń.

Hrabia pospiesznie sięgnął po drugi kieliszek, po czym Marlene zakończyła entuzjastycznie:

– Za przyjaźń pośród otaczających nas wrogów! I za nasze przeznaczenie!

Dała z siebie wszystko, rzuciła na szalę cały swój talent aktorski. Przez chwilę rozważała, czy nie uwieść hrabiego, lecz instynkt podpowiedział jej, że dla człowieka jego pokroju zaspokojenie żądz cielesnych nie stanowi bynajmniej priorytetu. Jego ambicje szły dużo dalej. Był nie tylko przekonany, że jest przedstawicielem rasy panów zdolnej panować nad innymi, ale uważał, że panowanie jest jego osobistym przeznaczeniem. Nosił w sobie boskie wręcz przeświadczenie o swojej wyższości niczym królowie dawnych imperiów. Bez skrupułów zmiotłby każdego, kto odważyłby się stanąć na jego drodze. I to właśnie Marlene chciała wykorzystać, dając do zrozumienia, że może mu być szalenie pomocna. Pytanie tylko, czy zdołała go przekonać, czy też opuści ten wagon jako więzień.

Usta mężczyzny wygięły się w uśmiechu, lecz oczy nie zdradzały absolutnie niczego. Czekając na chwilę, gdy rozstrzygnie się jej los, Marlene sięgnęła po kolejną pralinę. Uznała, że jeśli ma być aresztowana, to przynajmniej sprawi sobie przedtem odrobinę przyjemności. Zresztą teraz niemal każdy jej posiłek mógł być tym ostatnim.

– Najdroższa – hrabia kontynuował salonowym tonem – czy mogę obejrzeć broń, którą ukrywa pani pod sukienką?

– Oczywiście – Marlene nawet nie drgnęła powieka.

Bezceremonialnie podciągnęła rąbek sukienki, tak że hrabia mógł dokładnie obejrzeć jej kształtne udo oraz pas podtrzymujący jedwabne pończochy, a następnie wyjęła nóż ze skórzanej pochewki.

– Och, nie ma pani damskiego pistoleciku? Zaskakuje mnie pani! – pisnął hrabia swoim falsetem. – Domyślam się, że mistrzowsko posługuje się pani białą bronią.

W odpowiedzi ramię Marlene wystrzeliło w górę i ostrze noża utkwilo w skórzanym obiciu, ledwie kilka centymetrów od głowy hrabiego.

Z uznaniem zauważyła, że gospodarz nawet nie drgnął. Nie okazał strachu ani żadnego poruszenia. Zupełnie jakby był pozbawiony emocji. Siedział niewzruszony przez chwilę, po czym podniósł rękę, wyciągnął nóż z obicia i obejrzawszy go, oddał z powrotem Marlene.

– Brawo, moja droga! – powiedział tylko.

Zimna krew, którą zachował w obliczu zagrożenia, mówiła o nim więcej, niż wszystko, co Marlene wyczytała z jego wcześniejszych słów i gestów. Swoim zblazowanym sposobem bycia hrabia zdołał zamydląć jej oczy. Nie doceniła go.

– Dziękuję – powiedziała krótko i umieściła nóż w pochwie.

Postanowiła zagrać w otwarte karty. Miała dość zabawy w kotka i myszkę. I niepewności. Chciała mieć jasność.

– I co? Zdałam egzamin? – spytała kokieteryjnie.

Hrabia uśmiechnął się krzywo, unosząc lekko lewy kącik ust.

– Jest pani szalenie bezpośrednia, moja droga. Cóż, sceptycyzm stanowi immanentną część naszego zawodu. Niezależnie od tego, po której stronie stoimy... – Hrabia urwał, pozwalając tym dwuznacznym słowom wybrzmieć w salonce, po czym wstał, napełnił kieliszki koniakiem i jeden z nich podał Marlene. – Ona jednak grzecznie odmówiła. Chciała zachować jasność myśli. – ...faktem jest – hrabia pociągnął łyczek koniaku i podjął wątek – że mnie pani zafrapowała. Ma pani w sobie coś, co nie pozwala się przy niej nudzić. Pani się nie broni, lecz atakuje. I to mi się w pani podoba. Taka rozrywka to dziś prawdziwa rzadkość. Wojna trwa już za długo, zdążyła mnie znużyć. Tortury, krew, śmierć to rozrywka pospółstwa, niech proletariat się cieszy, przynajmniej ma się czym zająć. Ja stawiam sobie inne cele. – Tym razem esesman sięgnął po pralinę i zaczął ją z rozkoszą przeżuwać.

Marlene próbowała pohamować swoją ciekawość. Szalenie chciała się dowiedzieć, jakież to cele ma brunatny hrabia, i z trudem powstrzymywała się od zadania tego pytania.

– A zatem – gospodarz oblizwał czekoladę z czubka palca wskazującego – cieszymy się wspólną podróżą i pogawędźmy jeszcze co nieco. Proszę mi opowiedzieć o sobie. Gdzie się pani wychowała?

Aż do Warszawy hrabia patrzył z rozbawieniem, jak Marlene wije się w jego pajęczej sieci, ona zaś improwizowała, wciąż nie mając pojęcia, czy ujdzie z życiem. A potem wszystko stało się jasne. Wjechali na warszawski dworzec, hrabia osobiście wziął jej torbę podróżną, odprowadził ją na peron, pożegnał się, z istic wiedeńską galanterią składając pocałunek na jej dłoni, i rzekł:

– Jestem zawsze do pani usług, najdroższa.

Po tych słowach wszedł do pociągu, by kontynuować podróż w nieznanym kierunku. Marlene odprowadziła go wzrokiem, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że hrabia nie kazał jej aresztować. Skonfundowana, ale zarazem z wielką ulgą w sercu, stała na peronie. Czuła się niemal jak trędowata.

Tajemniczy hrabia nie zaproponował jej pomocy – ani w postaci odpowiednich dokumentów, choć wiedział, że Marlene ich nie posiada, ani w żadnej innej formie. Tylko „miło było poznać” i „do widzenia”.

O Trudi nie wspomnieli już ani słowem. Dziewczyna zniknęła. Marlene dyskretnie rozglądała się po peronie, świadoma tego, że hrabia uważnie obserwuje ją z okna salonki. Przez chwilę poczuła się zagubiona w kłębiącym się na peronie warszawskiego dworca tłumie, jakby znalazła się w obcym świecie. A przecież często bywała w tym mieście, po raz ostatni w roku 1942, w czasie gdy niczym złowrogi cień kładła się na nim zwycięska gloria niemieckich okupantów.

Nagle poczuła niepokój. Miała nadzieję, że to nie przecucie tragicznego końca planowanego powstania. Wzięła się w garść, wmawiając sobie, że to tylko zdradziecki podszept Złego, który chce osłabić męstwo tych, co stają na jego drodze. Uczepiła się nadziei, że wszystko będzie dobrze. Bo musi być. Bo żadna otchłań nie jest tak głęboka, żeby pochłonąć cały świat. Bo naziści nie mogą wygrać, a ich światopogląd musi wraz z nimi zniknąć z powierzchni ziemi.

Zdecydowanie chwyciła za ucho torby podróżnej i pozwalając nieść się ludzkiej rzece, ruszyła peronem w kierunku wyjścia.

Odpryski wojny

„Oto tajemnica propagandy: tego, kto ma być przez nią urobiony, należy przepoić jej ideami w taki sposób, by w ogóle nie spostrzegł, że jest urabiany”.

Joseph Goebbels,
minister propagandy Rzeszy

„»Deutsche Allgemeine Zeitung« musi zostać stanowczo pociągnięte do odpowiedzialności”, stwierdził Joseph Goebbels w listopadzie 1942 roku. W gazecie opublikowano artykuły, których należałoby się raczej spodziewać w prasie nieprzyjaciela. „W artykułach tych widać całkowity brak instynktu samozachowawczego mieszczańskich dziennikarzy”.

10

Kiedy słyszysz szczekające psy, idź dalej. Kiedy widzisz pochodnie w lesie, idź dalej. Kiedy cię wołają, idź dalej. Nigdy się nie zatrzymuj. Idź dalej. Jeśli chcesz wolności, idź dalej.

Harriet Tubman (1822–1913),
abolicjonistka, nazywana „Mojżeszem swojego ludu”

Przed dworcem również panował niemiłosierny ścisk. Marlene ucieszyła się, bo w tłumie samotnie podróżująca kobieta mniej się rzucała w oczy.

Znalazła niewielkie podwyższenie i zaczęła się zachowywać jak ktoś, kto miał odebrać gościa, lecz niestety się spóźnił. Bacznie przyglądała się również otoczeniu w poszukiwaniu ewentualnych psów gończych hrabiego, lecz zważywszy na tłum poruszający się niczym zbłąkane mrówki, było to beznadziejne przedsięwzięcie. Wokół niej roило się od podróżnych i najrozmaitszych mundurów: Wehrmachtu, SS, policji niemieckiej i polskiej. Jej wyjątkowa uroda już przykuła uwagę kilku osób. Wiedziała, że nie może się tu dłużej zatrzymać.

Wygląd ulic zmienił się od czasu jej ostatniej bytności w Warszawie. Na placu przed dworcem nie znalazła ani jednej taksówki i tylko kilka cywilnych pojazdów, za to wyraźnie wzrosła liczba furmanek i wozów. Benzyna była towarem deficytowym i od 1942 roku niemal cała produkcja szła na potrzeby wojska. Inne pojazdy mechaniczne mogły jeździć wyłącznie za okazaniem specjalnego zezwolenia, w związku z czym wiele samochodów przerobiono na gaz drzewny. Na szczęście jeździły przynajmniej tramwaje.

Marlene rozważała kolejne kroki. Aż do spotkania z Icchakiem Cukiermanem była zdana wyłącznie na siebie. W pierwszej kolejności potrzebowała jakiejś kryjówki, przynajmniej na kilka najbliższych dni. Jej wcześniejsze kontakty były nieaktualne, gdyż niemal wszyscy towarzysze poległ podczas powstania w getcie. Cukierman uszedł z życiem tylko dlatego, że nie przebywał wówczas na terenie getta, lecz wspierał walczących spoza jego murów, a po klęsce powstania pomógł wielu żydowskim bojowcom uciec kanałami. Ponieważ był osobą powszechnie znaną w mieście i Niemcy zaciekle go tropili, wyznaczając nagrodę za jego głowę, do spotkania miało dojść poza Warszawą. To z kolei rodziło kolejny problem: jak się dostać na miejsce umówionego spotkania? Ze względu na liczne punkty kontrolne Marlene nie mogła tak po prostu opuścić miasta i pójść do lasu czy wynająć

furmankę i kazać się wieźć do lasu w Białoleśce.

– Marlene? To naprawdę ty? Mój Boże, Marlene! Ty żyjesz!

Marlene niespodziewanie poczuła, jak czyjeś silne ramiona obejmują ją i przyciskają do piersi tak mocno, że zaczęła się prawie dusić.

Męski głos załamywał się z nadmiaru radości, lecz domyśliła się, do kogo należy. Mężczyzna uwolnił ją z uścisku i trzymając za ramiona, najwyraźniej upewniał się, że to nie złudzenie.

– To naprawdę ty! Wróciłaś! Wiedziałem! – wykrzyknął wzruszony i natychmiast zaciągnął ją do limuzyny, która co prawda sprawiała wrażenie dość poobijanej i zakurzonej, lecz mimo to zapewniała Marlene jakie takie schronienie.

Dlatego nie opierała się, tylko szybko wskoczyła na tylną kanapę – również z tego powodu, że hałaśliwe zachowanie mężczyzny wzbudziło już zainteresowanie przechodniów.

Ochłonawszy, Marlene ze zdziwieniem spostrzegła, że jej towarzysz nie ma na sobie munduru, tylko zwykły codzienny garnitur. A przecież jeszcze niedawno z taką dumą obnosił swoje oficerskie dystynkcje.

Owym cywilem, na którego Marlene wciąż patrzyła osłupiała niczym na bożonarodzeniowy prezent wręczony w sierpniu, był stary znajomy z krakowskich czasów – oficer, którego kiedyś miała szpiegować na polecenie Jakuba. Jako pułkownik wojsk zapasowych był wówczas odpowiedzialny za zaopatrywanie oddziałów walczących na wschodzie. Marlene została jego kochanką, co pozwoliło jej wertować dokumenty z jego teczki i studiować służbowe depesze. Dzięki zdobytym przez nią informacjom ruch oporu dokonywał ataków na konwoje z zaopatrzeniem, zdobywając tak potrzebną broń i amunicję. I oto znów siedział obok niej – ten sam Ernst Meister, niski, korpulentny, z czerwoną twarzą świadczącą o tym, że wciąż cierpi na nadciśnienie. I wciąż w niej zakochany.

Marlene pomyślała, że los najwyraźniej wreszcie się nad nią zlitował, i bez wahania wykorzystała nadarzającą się okazję.

– Ernst, najdroższy! – zagruchała. – Cieszę się, że znajduję cię w tak świetnej formie. Wyglądasz znakomicie! To miłe z twojej strony, że osobiście się pofatygowałeś, by mnie odebrać.

Musiała improwizować. Starła się unikać odpowiedzi na pytania dawnego kochanka, za to szalenie interesowała się zmianami, jakie zaszły w jego życiu – najbardziej zaś tym, czy i w jaki sposób może być jej pomocny. W trakcie rozmowy zsunęła z dłoni rękawiczkę i czule dotknęła jego policzka. Kiedyś Ernst bardzo lubił ten matczyzny gest.

Również teraz chwycił jej rękę i zaczął namiętnie całować wewnątrz jej dłoni, po czym rzekł:

– Ależ nie miałem pojęcia, że przyjeżdżasz, najdroższa. Przeciwnie, kiedy w czerwcu czterdziestego drugiego nagle zniknęłaś, zostawiając wszystkie swoje rzeczy w pensjonacie, przez długie tygodnie próbowałem się dowiedzieć, gdzie się podziałas. W końcu wezwano mnie do przełożonego, który dał mi do zrozumienia, że mam natychmiast zakończyć swoje poszukiwania.

W tajemnicy zdradził mi, że zginęłaś w zamachu na lokal, w którym często się spotykaliśmy. Poza tym – Ernst zerknął na siedzącego za szybą szofera, a potem obejrzał się przez ramię, jakby obawiał się, że może go usłyszeć ktoś niepowołany – wyraził pod twoim adresem pewną aluzję...

Marlene przysunęła się bliżej.

– Aluzję? Nie rozumiem – szepnęła mu wprost do ucha, tak że poczuł na szyi jej gorący oddech. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Zasugerował, że mogłaś być szpiegiem... – szepnął Ernst chrapliwie.

– Słucham? Ja!? – Marlene wykrzyknęła wzburzona i odsunęła się odrobinę, jakby poczuła się urażona faktem, że jej kochanek w ogóle brał pod uwagę tak nedorzeczną ewentualność. Potrząsnęła głową. – Jak łatwo obrzucać absurdalnymi oskarżeniami kogoś, kto rzekomo nie żyje! – Na jej ustach pojawił się uśmiech niedowierzania. – Spójrz, najdroższy, ani nie jestem szpiegiem, ani nie umarłam! Ale powiedz lepiej, co tutaj robisz, skoro nie przyjechałeś po mnie. Czyżbym stała ci się zupełnie obojętna?

– Skądże, najdroższa, kocham cię całą duszą – zapewnił Ernst, całując czubki jej palców. – Otrzymałem rozkaz, by się tu z kimś spotkać. Niektóre informacje przekazywane są wyłącznie drogą ustną. – Machnął ręką, jakby bo była sprawa zupełnie bez znaczenia wobec niespodziewanego spotkania z Marlene. – Zresztą nie wiem, najdroższa, skąd miałbym wiedzieć, że przyjeżdżasz.

– Nie dostałeś mojej depechy? Pisałam do ciebie z Berlina – odparła Marlene z udawanym zawodem.

– Skądże! To doprawdy okropne, a zarazem tak typowe w ostatnich czasach! – nadąsał się Ernst. – W łączności panuje taki bałagan! Wciąż nadchodzą sprzeczne rozkazy, nie tylko z Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych. Wszystko zaczęło się jeszcze przed zamachem na Führera. Dziś już nikomu nie można ufać. Czasami sam nie wiem, co się wokół mnie dzieje. Wciąż muszę porządkować chaos wywoływany przez innych. Nawet koła wydają się już nie być okrągłe, lecz elipsowate.

Była to najbardziej krytyczna uwaga, na jaką Ernst pozwolił sobie w odniesieniu do wojskowej logistyki. Skuteczność działania i organizacja były jego obsesją i zawsze chełpił się tym, że u niego wszystko chodzi jak w szwajcarskim zegarku. Przez długie lata tworzył infrastrukturę zaopatrzeniową wojsk lądowych i odegrał znaczącą rolę w przygotowaniu operacji „Barbarossa” – ataku na Związek Sowiecki. Jego wyjątkowa zdolność orientowania się w zawiłościach organizacyjnych i znajdowania właściwych rozwiązań nie uszła uwadze przełożonych – podobnie jak to, że Ernst Meister nie należał do partii. Był raczej typem naukowca, teoretykiem, dlatego praktyka stanowiła dla niego ciężkie brzemię. Dopóki wojna układała się pomyślnie dla Rzeszy, kariera Ernsta również przebiegała wręcz wzorcowo. A przecież w ogóle nie starał się o uznanie i zaszczyty. Można by rzec, że awans na pułkownika zwyczajnie mu się „przydarzył”. Wiosną 1941 roku jego kariera osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy został wysłany z ważną dla losów wojny misją do Generalnego Gubernatorstwa,

gdzie miał nadzorować transport uzupełnień i zaopatrzenia dla jednostek przygotowujących się do ataku na Rosję. Niedługo potem poznał w Krakowie Marlene.

– Nie wierzę, najdroższy – odrzekła ze zdziwieniem Marlene. – Jesteś matematykiem, zawsze wszystko trzymasz w garści. Liczby, dane, fakty. Nikt tak jak ty nie potrafi wszystkiego wyliczyć i wyciągnąć właściwych wniosków. Ale powiedz, czy moglibyśmy...

Stukanie w szybę przerwało wypowiedź Marlene, która podniosła oczy i... Trudi! Do diabła! Ta dziewczucha miała prawdziwy talent do zjawiania się w najmniej odpowiednim momencie.

– Znasz tę młodą siostrzyczkę? – spytał Ernst.

Marlene miała niewiele czasu, by obmyślić sensowną odpowiedź. Przez chwilę rozważała, czyby nie powiedzieć Ernstowi, że Trudi uczepliła się jej w pociągu i nie daje jej odtąd spokoju, lecz słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Zostawienie Trudi samej sobie z pewnością przypieczętowałoby los dziewczyny. Marlene poczuła, jak jej rozsądek ustępuje miejsca irracjonalnemu przekonaniu, że ich losy – jej i Trudi – są ze sobą ściśle związane. Dlatego odpowiedziała:

– Tak, poznałam ją w pociągu. Ma na imię Trudi. Możemy ją zabrać do ciebie? – Marlene zatopiła spojrzenie w oczach Ernsta, lecz ten, nawet jeśli zauważył, z jakim napięciem dawna kochanka oczekuje jego odpowiedzi, nie dał tego po sobie poznać.

– Oczywiście, skarbie. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Marlene skinęła na Trudi, by obeszła auto dookoła i wsiadła z jej strony. Następnie krótko przedstawiła dziewczynę swemu towarzyszowi, on zaś dał znak szoferowi, by ruszał.

– Kwateruję w willi z kilkoma innymi oficerami, ale zawiozę was do hotelu Brühl przy ulicy Fredry. To niedaleko – wyjaśnił.

– Znam go – odrzekła Marlene. – Sąsiaduje z Ogrodem Saskim i roztacza się z niego widok na staw. Spodoba ci się, Trudi – zaszczębiotała, gorączkowo rozważając, jak skłonić Ernsta do zmiany hotelu.

Zatrzymanie się tam wiązałoby się ze śmiertelnym ryzykiem, jako że w hotelu Brühl mieszkało mnóstwo niemieckich funkcjonariuszy, ich kochanek i kolaborantów. Prawdopodobieństwo, że zostanie tam zdemaskowana, graniczyło z pewnością. Z drugiej strony obawiała się, że odrzucając propozycję Ernsta, może w nim wzbudzić nieufność. Nie była jeszcze pewna, czy rzeczywiście rozwiła jego wątpliwości i przekonała go, że nie jest szpiegiem. Wybór hotelu mógł sugerować, że Ernst chciał ją poddać próbie, sprawdzić, czy Marlene nie unika pokazywania się w miejscach publicznych. Jej dawny kochanek mógł być łatwowierny, ale z pewnością nie był głupi. Pokazywanie się z kimś, kogo jego przełożony nazwał szpiegiem, mogło go kosztować głowę. Marlene rozważyła wszystkie za i przeciw i uznała, że Ernst stanowi mniejszy problem niż towarzystwo zamieszkujące hotel. Wiedząc zaś, że jej kochanek jest wyjątkową sknerą, powiedziała:

– Ernst, najdroższy, wiesz przecież, że nigdy nie lubiłam takich wielkich hoteli. Zresztą na pewno

jest bardzo drogi. Może pojedziemy to tego uroczego hoteliku przy Niecałej, co ty na to?

Ernst wpatrywał się w nią przez kilka długich sekund, po czym powiedział, pozornie bez związku z jej prośbą:

– Wolę cię w ciemnych włosach. – Potem umilkł i dopiero gdy kierowca włączył kierunkowskaz i miał już skręcić w ulicę Fredry, zapukał w szybę. – Zmiana planów, Heinrich. Zawieź nas na ulicę Niecałą.

Marlene odetchnęła z ulgą.

Przed pensjonatem Ernst bardziej oświadczył, niż poprosił:

– Zechcą panie zostać przez chwilę w aucie, ja zaś załatwię formalności.

Po tych słowach wysiadł. Marlene bezradnie patrzyła, jak jej towarzysz wyjmuje z bagażnika torby podróżne, a następnie znika w hotelowych drzwiach, dawszy uprzednio szoferowi znak, by zaryglował drzwi limuzyny. Najwyraźniej chciał mieć pewność, że tym razem Marlene nie zniknie bez śladu. W tym momencie ostatecznie przekonała się, że jej kochanek nie jest już tym samym Ernstem, którego znała. Jedynie na początku, gdy zobaczył ją żywą na dworcu, przez chwilę w emocjach ukazał dawną twarz.

Marlene uświadomiła sobie, że losy jej i Trudi spoczywają w rękach Ernsta. Nie odczuwała strachu, jako że jej życie od lat składało się nieprzerwanego ciągu groźnych przygód. Od dawna już nie tyle zastanawiała się, czy przeżyje, ile raczej dziwiła się kaprysom losu, gdy po raz kolejny udało jej się ująć z życiem. Tak jak dziś rano, gdy z jakichś zupełnie niepojętych dla niej powodów hrabia nie kazał jej aresztować.

Toteż bez lęku, za to z zaciekawieniem czekała na powrót Ernsta. Czyżby postanowił zadzwonić do Berlina i zasięgnąć w jej sprawie języka? A może rzeczywiście wynajmował jedynie pokój? Albo przetrząsał właśnie jej torby podróżne, być może w poszukiwaniu wizytówki oficjalnie przedstawiającej ją jako żydowskiego szpiega? Ta absurdałna myśl sprawiła, że na jej ustach mimowolnie pojawił się uśmiech.

– Co cię tak bawi? – spytała Trudi.

– Później ci powiem. – Marlene wskazała dyskretnie głową na szofera, by dać swojej towarzyszce do zrozumienia, że choć szyba jest zasunięta, mogą być podsłuchiwane. W tej samej chwili w drzwiach hotelu ukazała się korpulentna sylwetka Ernsta, który pospiesznie przeszedł na drugą stronę ulicy, otworzył drzwi auta i pomógł paniom wysiąść.

– Wszystko gotowe. Macie pokoje na pierwszym piętrze, obok siebie. Torby kazałem już zanieść na górę. Nie wychodźcie dzisiaj z hotelu, dobrze? – Ernst wręczył Marlene i Trudi klucze, po czym przyciągnął Marlene do siebie i pocałował na pożegnanie. – Przyjdę wieczorem, najdroższa. Czekaj na mnie – szepnął jej do ucha.

Pożegnawszy się, wszedł w końcu do limuzyny, która po chwili zniknęła za rogiem.

– Chodź – powiedziała Marlene i Trudi posłusznie podążyła za nią do jej pokoju.

– Chciałaś mnie zostawić na dworcu. Widziałam, jak się zastanawiasz, czy... – powiedziała z wyrzutem.

– Owszem.

– Więc czemu tego nie zrobiłaś? Miałaś doskonałą okazję, by się mnie pozbyć – drażyła Trudi, siadając na łóżku.

– Nie mam pojęcia. – Marlene wzruszyła ramionami. – Im dłużej trwa wojna i im bardziej szorstcy stają się ludzie wokół mnie, tym bardziej ja staję się miękka – powiedziała, zaglądając do swojej torby. Wszystko wskazywało na to, że nikt jej nie przeszukiwał. Przynajmniej tyle dobrego.

– Jesteś dziwną osobą, naprawdę. Mówisz coś miłego, ale myślisz coś zupełnie przeciwnego. – Trudi spojrzała na Marlene posępnym wzrokiem.

– Może dlatego, że właśnie się zastanawiam, czy postąpiłam rozsądnie? Posłuchaj! – Marlene usiadła obok Trudi. – Musisz mi powiedzieć, jakie wrażenie wywarło na tobie spotkanie z hrabią.

– Dlaczego pytasz?

„Boże – westchnęła w duchu Marlene. – Ta dziewczyna doprowadzi mnie do szaleństwa!”

– Nie możesz chociaż raz odpowiedzieć, powstrzymując się od złośliwych uwag czy pytań?

– Nie, dopóki mi nie ufasz.

– Nie rozumiesz, prawda? To nie jest kwestia zaufania, Trudi. Ten etap już dawno mamy za sobą. Nasze losy są ze sobą splecione na dobre i na złe. Wystarczy jedno moje lub twoje słowo i obie zginiemy. Zginiemy, rozumiesz? Śmierć jest nieodwracalna. Nasza wojna się skończy. Uczestniczę w tej grze dłużej od ciebie i wciąż żyję. Mówię ci więc po raz ostatni: jeśli chcesz przeżyć, rób, co ci mówię, i o nic nie pytaj. Rozumiesz?

– Bo inaczej będziesz musiała mnie zabić? – Zielone oczy dziewczyny przypominały górskie jezioro.

– Owszem. W ostateczności.

– Bo chodzi o sprawę? Bo tylko ona się liczy? Nie ty i nie ja? Tak jak w przysiędze?

– Tak, tak jak w przysiędze.

– Dziękuję, że byłaś ze mną szczerą. – Trudi spontanicznie zarzuciła Marlene ramiona na szyję, jakby nie miało żadnego znaczenia to, że towarzyszka przed chwilą zagroziła jej śmiercią, gdyby wymagała tego „sprawa”. – No dobrze, więc dla mnie ten cały hrabia był... dziwny... – W ustach Trudi zabrzmiało to jak pytanie. Jakby nie umiała znaleźć słowa, by trafnie opisać to, co czuje. Spróbowała więc inaczej: – Wiesz, w dzieciństwie spacerowałam po parapecie naszego mieszkania na trzecim piętrze. Chciałam sobie udowodnić, jaka to jestem odważna. W pociągu poczułam coś podobnego, to było jak taniec na parapecie. Jak myślisz, dlaczego pozwolił ci... nam odejść?

– Bo jest zakochanym w sobie, bogatym pyszałkiem, który tęskni za minioną chwałą – odrzekła

pogardliwie Marlene. – Ten typ wciąż tkwi w dawnej epoce. Pragnie władzy, chce panować nad innymi i aby to osiągnąć, gotów jest użyć wszelkich dostępnych środków. Jestem przekonana, że w głębi duszy gardzi nazistami i wykorzystuje ich tylko, by wspiąć się na sam szczyt.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dlaczego puścił nas wolno?

– Może uznał, że w grze, którą prowadzi, jesteśmy nic nieznaczącymi pionkami albo...

– Albo co? – rzuciła niecierpliwie Trudi.

– Albo ma nadzieję, że mu się jeszcze przydamy.

– Uważasz, że to nie było nasze ostatnie spotkanie z tym obrzydliwym chudzielcem? – prychnęła Trudi.

– Nie wiem. Ale od tej pory musimy być jeszcze ostrożniejsze.

– Powiesz mi, dlaczego spytałaś, co o nim sądzę?

– Ty nigdy nie dajesz za wygraną, prawda?

Trudi zrobiła niewinną minkę, co Marlene skwitowała westchnieniem i oświadczyła:

– Bo uważam, że masz wrodzony instynkt i twoje refleksje są wyjątkowo trafne.

Trudi zmarszczyła czoło.

– Rozumiem, że to kolejna lekcja z cyklu: „Poznaj swojego wroga”. Jeśli tak, to mam problem z tym całym Ernstem. To doprawdy przedziwny typ. Naprawdę nie wiem, co o nim myśleć. Skąd go w ogóle wytrzasnęłaś?

– Zgadnij.

– O, święta Anielko! Byłaś jego... kochanką? Żeby go szpiegować, tak? – Trudi otworzyła szeroko oczy, ale w jej głosie nie było już nawet cienia zachwyty. Najwyraźniej zaczęła sobie uzmysławiać ciemne strony życia szpiega w spódnicy.

– No nie! Prawdziwa Dziewica Orleańska! – Marlene nie potrafiła się powstrzymać od uśmiechu. – Nie boi się śmierci ani samego diabła, ale wystarczy, że mężczyzna nie przypomina rycerza na białym koniu, a jej serce truchleje. W takich sprawach aparycja nie gra roli, moja droga. To też potraktuj jako lekcję.

– No cóż – Trudi wzruszyła ramionami. – Przynajmniej nie jest tak diaboliczny jak ten obleśny hrabia. Ten to jest dopiero przerażający typ! Jak Żelazny Wilk z bajki dla dzieci.

Trudi znowu trafiła w dziesiątkę. Podobnie jak jej uwaga na temat Ernsta, który odznaczał się wrodzonym optymizmem i zawsze potrafił dodać Marlene otuchy. W ciągu blisko rocznego romansu był dla niej niczym spokojna wyspa pośród wzburzonego morza. Im bardziej przerażające rzeczy działy się wokół niego, tym bardziej je negował i odsuwał od siebie. Nie chciał ich widzieć ani o nich słyszeć i robił wszystko, byle tylko nie stanąć oko w oko ze złem. Jego zachowanie miało w sobie coś nieomal tragicznego i czasem Marlene zastanawiała się, czy w jego głowie jest coś oprócz szarych komórek. W pewien sposób był jakby odcięty od świata. A nade wszystko od wojny.

Z drugiej strony Marlene musiała przyznać, że Ernst zawsze dawał jej odczuć, iż kocha ją ponad wszystko. Kierował nim nie tyle popęd, ile pragnienie przebywania w jej towarzystwie, jakby tylko ona mogła go obdarzyć spokojem. Może nawet domyślał się, że go szpieguje, ale również to podejrzenie odsunął od siebie – tak jak odrzucał straszliwe obrazy wojny. Był prawdziwym ludzkim kuriozum – ale kuriozum, które los znów postawił na jej drodze i które umiała wykorzystać do swoich celów. Nawet jeśli oznaczało to konieczność spędzenia z nim najbliższej nocy, dla sprawy była gotowa to uczynić. Przypomniła sobie „przysięgę” Trudi. Już dawno nauczyła się oddzielać swe ciało od ducha. Używała ciała jako narzędzia, środka płatniczego pozwalającego kupić cenny towar: informację. Po wszystkim obmywała je, splukiwała brud i wychodziła z czystą duszą. Nie pozwalała sobie na wstyd, gdyż w ten sposób pozwalałaby, aby to, czym się posługuje, miało nad nią władzę. Jej ciało należało do niej i było tak samo wolne jak duch. Mogła nim dysponować wedle swojej woli.

Ernst zjawił się około pół do ósmej wieczorem. Przyniósł kosz smakołyków i walizkę.

– Przechowałeś moje rzeczy? – Marlene podniosła wieko walizy, którą zostawiła w krakowskim pensjonacie.

Trudi sceptycznie zlustrowała zawartość.

– Co to za rzeczy? – przyłożyła do piersi obcisłą srebrną sukienkę koktajlową, po czym rzuciła ją na łóżko i sięgnęła po szerokie jedwabne spodnie. – O, to raczej coś dla mnie. Mogę przymierzyć?

– Śmiało. Coco Chanel na pewno się nie obrazi. – Skinęła i odprowadziwszy wzrokiem Trudi, która zaraz zniknęła w łazience, zwróciła się do dawnego kochanka. – Dziękuję – powiedziała po prostu.

– Przechowałem wszystkie twoje rzeczy – odrzekł Ernst, nerwowo zacierając ręce. Marlene natychmiast przypomniała sobie ten jego dziwny zwyczaj. – Torba i walizeczka z kosmetykami zostały w samochodzie. Zjemy coś i je przyniosę – wyjaśnił gość, a gdy spytała go o szofera, dodał: – Nie, przyjechałem sam. Zjedzmy w pokoju, przywiozłem dość jedzenia. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – spojrzał pytająco, a jego oczy mówiły więcej niż tysiąc słów. Najwyraźniej w ciągu ostatnich dwóch lat poczuł na własnej skórze realia wojny. Poza tym w ostatnich godzinach albo dużo rozmyślał o Marlene, albo zasięgnął na jej temat języka. Miała nadzieję, że raczej to pierwsze, jako że w przeciwnym razie jego ciekawość mogła wzbudzić czujność ścigających ją wrogów. Co dokładnie wiedział? Na ile precyzyjne były jego informacje? Nie mogła wykluczyć, że berlińskie gestapo powiązało ją z gwałtowną śmiercią Greiffa. Możliwe, że jeszcze tego wieczora czekał ją „taniec na parapecie”.

Trudi wróciła. Spodnie leżały idealnie. Dziewczyna była zachwycona, że pozostawiają ogromną swobodę ruchu, zwłaszcza w porównaniu z „głupim” – jak się wyraziła – strojem siostry Czerwonego Krzyża. Dostrzegłszy zaś kosz wypełniony po brzegi jedzeniem, natychmiast się nań rzuciła.

– O, mammo! Prawdziwy szampan! I sery! Do tego masło, salami, jajka, a nawet świeży chleb! – Zbliżyła bochenek do nosa i długo napawała się jego zapachem niczym wonią kosztownych perfum. Smakowitości, na których widok Marlene dosłownie pociekła ślinka, lądowały po kolei na niewielkim stole.

Ktoś zapukał do drzwi. Ernst otworzył i przyjął od pokojówki tacę z zastawą i sztucami.

– Dziękuję – powiedział, wsuwając w dłoń dziewczyny monetę, po czym zwrócił się do Trudi: – Częstość się do woli, a potem bądź tak miła i zostaw nas samych.

Trudi nie trzeba było dwa razy zachęcać. Szybko złapała kilka smakołyków – akurat tyle, żeby nie wyjść na bezwstydnego łakomczucha – i ulotniła się, wyjątkowo wstrzymując się od typowych dla siebie bezczelnych komentarzy.

Ernst, dla którego posiłek był nie tyle przyjemnością, ile towarzyskim obowiązkiem, patrzył, jak Marlene kroi chleb i układa na talerzu kolejne smakołyki, a na koniec otwiera butelkę szampana. Stuknęli się kieliszkami, pociągnęli łyżeczek i na chwilę wdali się w niezobowiązującą konwersację. Marlene wiedziała, że Ernst w końcu zacznie właściwą rozmowę, i próbowała się do niej przygotować. Nie miała pojęcia, jak się wobec niej zachowa, a ostrożność nakazywała brać nogi za pas, lecz mimo to została w hotelu.

Ernst się nie spieszył. Wetknął sobie serwetkę za kołnierz i szczerze częstował się przyniesionymi przez siebie dobrami. Najwyraźniej wojna nie popsukała mu apetytu, a Marlene w niczym mu nie ustępowała.

W końcu Ernst ściągnął serwetkę, wytarł nią usta, pociągnął spory łyk szampana i powiedział tak zdziwionym tonem, jakby sam nie dowierzał temu, co mówi:

– Wiesz, kiedy generał ostrzegł mnie, że jesteś szpiegiem i że jeśli nie chcę zwrócić na siebie uwagi „wyższych czynników”, powinienem się trzymać jak najdalej od ciebie, nawet nie zadałem sobie pytania, dlaczego właściwie nie złożył na mnie raportu. Za bardzo byłem przejęty własnym smutkiem. Dlatego poświęciłem się temu, na czym znam się najlepiej: pracy. Dopiero po zamachu na Führera wszystko zrozumiałem. Zupełnie, jakbym nagle znalazł rozwiązanie jakiegoś skomplikowanego równania.

– Wybacz, mój drogi, ale obawiam się, że nie do końca rozumiem, do czego zmierzasz.

– Och, myślę, że doskonale rozumiesz – spojrzał na nią wzrokiem, w którym, jak jej się zdało, kryła się cicha rezygnacja. – Generał jest mądrym człowiekiem i jestem pewien, że doskonale wiedział, na czyje konto należy zapisać ataki dokonywane na nasze konwoje. Mimo to milczał i tolerował ten stan rzeczy. Podejrzewam, że jest w kontakcie ze spiskowcami. Sam jest szpiegiem. Tak jak ty. – Ostatnie zdania Ernst wypowiedział na jednym oddechu, jakby czuł ulgę, że wreszcie zrzucił z siebie nieznośny ciężar.

Marlene już otwierała usta, by odpowiedzieć przyjacielowi, ten jednak nie pozwolił jej dojść do słowa.

– Nie, nie musisz nic mówić. Nie mam ci tego za złe, Marlene. Poniekąd sam cię do tego zachęciłem. Może podskórnice sam tego chciałem? Wiesz – Ernst wstał i podszedł do niewielkiego okna wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec – na początku nie myślałem wiele o wojnie. O tym, jaki jest jej sens i cel. Nie interesowała mnie ta cała bojowa wrzawa. Dla mnie wojna była kolejnym

projektem, wyzwaniem, z którym musiałem się zmierzyć. W połowie trzydziestego dziewiątego roku krótko po sobie zmarli moi starzy rodzice. Byłem ich jedynym synem i nigdy się nie ożeniłem. Nagle zostałem sam w wielkim domu, którego ściany zdawały się na mnie gapić. Aby zapełnić pustkę, rzuciłem się w wir pracy, zanurzyłem się w liczbach i skomplikowanych rachunkach i kompletnie nie rozumiałem spływających na mnie pochwał i awansów, które otrzymywałem wyłącznie za to, że sumiennie wykonywałem swoją pracę. – Do tej pory Ernst mówił monotonnym głosem wpatrzony w okno, zupełnie jakby głośno myślał, teraz jednak zwrócił się ku Marlene. – Któregoś dnia wyciągnęli mnie z wygodnego gabinetu, wsadzili w pociąg i wysłali na wschód. Dostałem rozkaz, który zupełnie niespodziewanie rzucił mnie w wir realnego świata, przed którym dotąd z powodzeniem się broniłem. Kiedy wciąż jeszcze próbowałem się odnaleźć na nowym miejscu, spotkałem ciebie. To, że jakaś kobieta zainteresowała się takim mężczyzną jak ja, z początku uznałem za istny cud. – Ernst mówił z coraz większym podnieceniem, a jego głos z każdym słowem stawał się coraz bardziej chrapliwy. – To była okazja, by odciąć się od rzeczywistości, i skwapliwie z niej skorzystałem. Całymi dniami wmawiałem sobie, że wykonuję jedynie swoje obowiązki w nowych, wojennych okolicznościach, a wieczorami czułem się jak w niebie. Dzięki tobie. Nie, nie musisz nic mówić – uciszył Marlene gestem. – To również moja wina, że ta wojna wciąż trwa... To ludzie tacy jak ja sprawiają, że wciąż kręcą się tryby wojennej maszyny. Zabijanie to nie cyferki na kartce. Zabija się naprawdę. My zabijamy naprawdę! Miliony ludzi! – Ostatnie jego słowa rozplynęły się w szlochu.

Chwilę później Marlene spostrzegła, że siedzi z Ernstem na łóżku, tuląc go niczym matka płakane dziecko. Musiało minąć kilka minut, nim się uspokoił i był w stanie mówić dalej.

– Odkąd cię spotkałem, coraz mocniej uświadamiałem sobie, że to, co robię, jest złe, ale nie mogłem się od tego uwolnić. Myślę, że bałem się spojrzeć w lustro, bo wiedziałem, że zobaczę potwora. Wybaczysz mi?

– To nie ja mam ci wybaczyć, lecz ty sam. Ale... nigdy nie jest za późno, by stanąć po właściwej stronie. – Marlene stawiała ostrożne kroczki, jakby stąpała po cienkim lodzie. Do tej pory jej działalność szpiegowska wciąż pozostawała w sferze domysłów. Nie potwierdziła przypuszczeń Ernsta, ale też im nie zaprzeczyła. Teraz jednak musiała podjąć decyzję. Ernst właśnie jej wyznał, że wiedział, iż to ona wykrada mu informacje, a mimo to nic nie zrobił, poniekąd tolerując ten stan rzeczy. Pytanie brzmiało: czy dalej pozostanie życzliwie bierny, czy też będzie gotów aktywnie jej pomóc?

– Po co wróciłaś? – spytał wprost. Wziął się w garść, uwolnił z objęć Marlene, przysunął kosh ze smakołykami i wydobyl z niego butelkę wódki. – Napijesz się?

– Chętnie.

Nalał i duszkiem opróżnili kieliszki.

– No więc? Po co wróciłaś do Warszawy? – powtórzył.

Marlene położyła palec wskazujący na jego ustach, podkraǳła się do drzwi i gwałtownie je otworzyła. Miała wrażenie, że słyszała za nimi jakiś hałas, lecz korytarz był pusty. Mimo to ściszyła głos.

– Dziękuję ci za szczerość, mój drogi. Tak, to prawda, zbliżyłam się do ciebie, by cię szpiegować.

– Dziękuję, że mi to mówisz. Wiem, że nie jestem wart niczyjej miłości.

Słowa Ernsta zabrzmiały tak żałośnie, że Marlene zalała fala współczucia.

– Nie chodzi o ciebie, naprawdę. Przeciwnie, w porównaniu z tymi wszystkimi nazistowskimi barbarzyńcami zawsze uważałam cię za bardzo sympatycznego.

Ernst zacisnął usta. Próbował uratować resztki swojej godności.

– Relatywizujesz, Marlene. Naprawdę niepotrzebnie. Wiem, jak wyglądam, i wiem, kim jestem: pożytecznym trybikiem w maszynie zagłady, który utrzymuje cały mechanizm w ruchu. Jestem jak smar – spuentował samooskarżenie.

– Cieszę się, że to dostrzegasz, ale zastanawiam się, jakie z tego wyciągniesz wnioski. – Marlene odważyła się na kolejny krok. Ernst sam musiał zaoferować jej pomoc.

Mężczyzna bębnił palcami w ramę łóżka, jakby w ten sposób mógł zmniejszyć wewnętrzne napięcie.

– Co proponujesz? – spytał wreszcie, unikając jej wzroku.

Marlene ujęła w dłonie jego głowę i zmusiła go, by spojrzał jej w oczy.

– Pomóż mi położyć kres wojnie – powiedziała z powagą.

– Niby jak?

– Ruch oporu potrzebuje broni.

Ernst uśmiechnął się gorzko.

– Czyli wszystko sprowadza się do jednego: jeszcze więcej śmierci, jeszcze więcej zabijania...

– Niestety. Wojna jest perfidna. Każda, nie tylko ta. Dlatego nie powinno się jej nigdy wszczynać. – Marlene otworzyła butelkę i napełniła kieliszki. Stuknęli się. – Za koniec wojny.

Ernst został w hotelu na noc. Chciał tylko leżeć przy Marlene i mocno przytulony opowiedzieć wszystko, co wie: o planach dostaw, terminach, trasach. Marlene niczego nie zapisywała, lecz wszystko skrupulatnie zanotowała w pamięci.

Ernst obiecał, że następnego dnia dostarczy kolejną porcję informacji.

Cicho, noc jest pełna gwiazd i mróz siarczysty szczypie w twarz. Czy pamiętasz, jak cię nauczyłem, jak pistolet trzymać w dłoni?

Hirsch Glik (1922–1944)

Ze względów bezpieczeństwa spotkanie miało się odbyć tuż po zachodzie słońca. Marlene obejrzała wyznaczone miejsce na mapie przyniesionej przez Ernsta: trzy kwadranse samochodem na zachodni skraj lasu w Białoleńce mogło jej oszczędzić kilkugodzinny marsz przez nieznane i niebezpieczne okolice.

Długo rozważała, czy poprosić Ernsta, by zawiózł ją na spotkanie z Icchakiem Cukiermanem. Wszystko sprowadzało się do zaufania. Nie tylko do dawnego kochanka, ale również do własnego instynktu. Ostatecznie postanowiła zwrócić się do Ernsta o pomoc.

Z trudem przekonała Trudi, by ta została w pensjonacie i tam czekała na ich powrót. Dzięki temu mogli z Ernstem udawać parę kochanków na romantycznej wycieczce. Trudi nadąsana wróciła do swojego pokoju i przez cały dzień się nie pokazywała.

Kiedy tuż po siódmej Ernst przyjechał po Marlene i ta chciała się pożegnać z Trudi, okazało się, że mała zniknęła. Marlene się zirytowała, ale w tym momencie nic już nie mogła poradzić.

Dla niej była to podróż w nieznane. Od wyjazdu z Monachium minął tydzień i od tej pory nie miała kontaktu z ruchem oporu. Nie miała pojęcia, czy Cukierman jest jeszcze w okolicach Warszawy ani czy zjawi się na umówione spotkanie. Równie dobrze mógł już nie żyć.

Dzięki Ernstowi wszystko przebiegło gładko. Dwa razy zostali zatrzymani – raz tuż przed przeprawą przez Wisłę, a potem na obrzeżach miasta. Ernst zabrał ze sobą dwa pistolety – dla siebie i dla Marlene – i jeszcze raz przestrzegł swoją towarzyszkę przed czyhającymi w drodze niebezpieczeństwami. Zagrażali im nie tylko Niemcy, ale również grupy partyzantów. Marlene zdawała sobie sprawę z tego, że różne ugrupowania ruchu oporu konkurują ze sobą, a nawet się nawzajem zwalczają – choćby napadając na schowki z bronią i żywnością. Najgorzej wyglądało to na Białorusi. Niektórzy członkowie ukraińskiej partyzantki nienawidzili Żydów. Zwalczali tworzone przez tych ostatnich grupy i odmawiali przyjmowania żydowskich uciekinierów do swoich oddziałów, zostawiając ich własnemu losowi lub zwyczajnie mordując. Wysokie nagrody wypłacane przez Niemców za każdego schwytanego Żyda powodowały, że mnożyły się donosy i denuncjacje. Z drugiej

strony wielu polskich chłopów, ryzykując własnym życiem, pomagało Żydom, ukrywając ich lub dostarczając tworzonym przez nich grupom żywność i broń. W ten sposób umożliwiali im przeżycie w rozległych lasach.

Wkrótce ujrzeli pierwsze zabudowania wsi Białołęka. Według otrzymanych instrukcji Marlene miała minąć kościół i jechać jeszcze dokładnie pięć kilometrów, a następnie zatrzymać się na skraju drogi i czekać.

Czekali zatem, podczas gdy niebo powoli purpurowiało, poczynając od wąskiego paska nad horyzontem. W końcu cały świat zanurzył się w cudownej feerii barw.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem zachód słońca. Zupełnie, jakby ktoś podpalił niebo... – powiedział Ernst ze zdumieniem. Nie potrafił pojąć, jak to możliwe, że mógł na tak długo zapomnieć o tym cudzie natury.

– To nie niebo, to świat płonie – odparła twardo Marlene, która skupiała uwagę nie na fantastycznej grze świateł, a na obserwowaniu okolicy. Była niespokojna, bo czuła się jak na patelni. Dziwne, że Cukierman tak to zaaranżował. Chociaż instrukcja nakazywała jej zostać w samochodzie, postanowiła, że kiedy tylko się ściemni, wysiądzie z auta i schowa się pod nim.

Cienie powoli się wydłużały. Mrok wyłonił się z lasu i stopniowo pełznąc ku drodze, w końcu pochłonął ich wóz. Czas mijał, na nieboskłonie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Wokół panowały niepokojący bezruch i cisza. Las zamienił się w gęstą czarną masę. Mimo to oboje patrzyli w jego stronę, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności.

Ernst pocił się, napięcie wibrowało w nim nimi niczym struna skrzypiec. Nerwowo bawił się leżącym na jego udzie pistoletem.

– Chodź, schowamy się pod samochodem. – Marlene trzymała już klamkę w dłoni.

– Nie, zostań! – Palce Ernsta wbiły się w jej ramię. Wpadł w taką panikę, jakby mu powiedziała, że go zostawi samego. Po chwili zreflektował się, puścił ją i dodał spokojniej: – Jeśli wysiądziemy i zostaniemy zaatakowani, będziemy musieli uciekać pieszo. Jeśli zostaniemy w aucie, wcisnę gaz do dechy i może ujdziemy z życiem.

– Ale siedząc tu, jesteśmy jak tarcza strzelnicza...

Ich dysputę przerwało nagłe pukanie w tylną szybę. Odwrócili się jak na komendę i w tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk, a Ernst wydał z siebie piskliwy krzyk. Marlene od dawna już siedziała przyczajona z pistoletem gotowym do strzału, lecz nie zamierzała strzelać na oślep. Najpierw musiała się zorientować, gdzie kryje się nieprzyjaciel. W starciu z karabinem maszynowym i tak była bez szans. „Do diabła – pomyślała. – Trzeba było wysiąść, póki był czas”.

– Jesteś ranny? – spytała nerwowo, wciąż bezskutecznie wpatrując się w ciemność.

– Lewa noga... Chyba... – jęknął, po czym wydyszał zawstydzony – ...chyba się postrzeliłem.

– Co takiego? – Marlene aż podskoczyła, po czym opuściła pistolet.

– Broń wypaliła i... – reszta zdania utonęła w jękach.

Tymczasem pukanie powtórzyło się, tym razem od strony pasażera. Czyjaś twarz zbliżyła się do szyby i odezwał się głos:

– Otwórzcie! To ja, Trudi.

– Trudi? Trudi?! – Marlene nigdy w życiu nie była tak wściekła. Otworzyła gwałtownie drzwi i zanim Trudi zdążyła mrugnąć okiem, wymierzyła jej siarczysty policzek. – Ty głupia dziewucho! – wrzasnęła Marlene. – Nie możesz raz zrobić, co ci się każe?

– Możecie to przedyskutować później? – jęknął żałośnie Ernst. – Wsiadajcie, musimy stąd zniknąć.

Próbował uruchomić silnik, lecz ten tylko zakaszłał i umilkł.

– Umiesz w ogóle jeździć? – spytała Marlene.

– Radzę sobie – syknął przez zęby ranny i ponowił próbę. I tym razem silnik zakrztusił się i zaraz zamilkł. – Jasny gwint! – Ernst walnął dłonią w kierownicę. – Ta przeklęta kula musiała przestrzelić blachę i uszkodzić jakiś przewód!

Marlene zareagowała błyskawicznie.

– Szybko, pomóż mi! – krzyknęła do Trudi, obiegając samochód. Dopadła do drzwi kierowcy i otworzyła je. – Musimy się ukryć w lesie.

Wspólnie chwyciły masywne ciało Ernsta i wytaszczyły go z wozu. Ernst próbował być dzielny. Ścisnął postrzeloną nogę i nawet nie jęknął.

– W bagażniku jest latarka i apteczka – syknął.

Marlene wysłała po nie Trudi. Kiedy dziewczyna wróciła, wzięły kuśtykającego na jednej nodze Ernsta między siebie i ruszyły naprzód. Marlene w każdej chwili spodziewała się krzyków lub strzałów.

Na szczęście zdołali niepostrzeżenie dotrzeć do lasu i skryć się między drzewami. Marlene uparła się, by się nie zatrzymywali, lecz szli dalej, w ciemności, choć z każdym krokiem ciało Ernsta ciążyło jej coraz bardziej. Mimo to ciągnęła za sobą rannego i Trudi. Chciała znaleźć się jak najdalej od samochodu.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: ziemia usunęła im się spod nóg, potknęły się i Ernst pociągnął je za sobą. Wszyscy troje runęli w dół zbocza i zdyszani zalegli u jego stóp.

Marlene podźwignęła się pierwsza. W tym samym momencie zza chmur wyłonił się księżyc. Zagłębienie okazało się maleńką polaną. Pośrodku wyrastała samotna skała skąpana w księżycowej poświacie. Mimo grożącego im niebezpieczeństwa Marlene była zauroczona. Poczuła, jakby wróciła do dzieciństwa, do baśniowego świata, który babcia wyczarowywała każdego wieczora, czytając jej do poduszki. Z trudem oparła się pokusie, by się wyciągnąć na ziemi, patrzeć na gwiazdy i zapomnieć o wojnie. Ernst potrzebował pomocy! Tymczasem Trudi zdążyła odnaleźć zgubioną latarkę.

Wspólnymi siłami doholowały rannego do skały i usadziły go, opierając o nią plecami. Następnie Marlene zbadała ranę.

– Kula przeszła na wylot – powiedziała. – Rana nawet specjalnie nie krwawi. Ciasna cholewka działa jak opatrunek uciskowy, ale muszę zdjąć ci but, trzeba oczyścić ranę. – Wyjęła swój nóż, by był na podorędziu, gdyby trzeba było rozciąć skórzaną cholewkę.

Ernst drżał i wydawał z siebie dziwne chrapliwe dźwięki. Marlene zmarszczyła czoło.

– Czy ty się śmiejesz?

– Owszem – odpowiedział piskliwie. – Moja pierwsza rana w tej wojnie i co? Sam się postrzeliłem! – Śmiech stawał się coraz głośniejszy. Marlene obawiała się, że Ernst może dostać ataku hysterii. Kątem oka spostrzegła, jak Trudi przyciska dłoń do swoich ust, najwyraźniej starając się nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Nie waż mi się śmiać! – spiorunowała ją Marlene. – Widzisz, co się dzieje, kiedy nie słuchasz poleceń? Ernst jest ranny. Zagroziłaś całej misji!

Trudi miała w sobie dość przyzwoitości, by spuścić głowę.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Za późno na przeprosiny. Jak tu w ogóle trafiłaś? – spytała podejrzliwie Marlene, pomagając Ernstowi wyciągnąć nogawkę z cholewki buta.

– Podśluchałam, jak rozmawiacie o miejscu spotkania, i przestudiowałam mapę. W południe wymknęłam się z miasta, a potem jakiś chłop podwiózł mnie furmanką.

– Wymknęłaś się z miasta? – osłupiał Ernst.

– Mniej więcej. Wspięłam się na dach pensjonatu i przeszłam przez miasto górą – odparła Trudi, jakby to było coś zupełnie normalnego.

– Na dach? Nauczyłaś się wspinać w Berlinie? – teraz to Marlene osłupiała.

– Przecież ci mówiłam, że moja mama była artystką w *varieté*.

– Mówiłaś chyba, że śpiewała, jak Josephine Baker.

– Źle mnie zrozumiałaś. Występowały razem w tym samym *varieté*. Mama była linoskoczkiem, tak jak mój ojciec. Ćwiczyłam z nimi. Po wojnie będę kontynuować rodzinne tradycje.

– W takim razie powinnaś zrobić wszystko, by doczekać jej końca – syknęła Marlene. – Ostrzegam cię po raz ostatni, Trudi. Od tej pory masz robić, co ci każę, inaczej zginiesz. Rozumiesz?

Trudi zerknęła na nóż, który Marlene ścisnęła w dłoni, a potem spojrzała jej w oczy. Mimo panujących wokół ciemności dostrzegła w nich żelazną determinację.

– Rozumiem – wymamrotała speszona.

– To dobrze! A teraz mi pomóż.

Marlene stanęła plecami do Ernsta, ścisnęła jego nogę udami i pociągnęła za piętę, podczas gdy

Trudi chwyciła za nosek buta. Po dwóch próbach dały za wygraną, ponieważ cholewka jakby przyrosła do nogi, a do tego Ernst wydawał z siebie okropne jęki.

– Nie mam wyboru, muszę rozciąć but.

Przyłożyła ostrze noża do cholewki i w tym samym momencie rzuciła się w bok.

– Na ziemię, Trudi! – syknęła, wyciągając pistolet. Miała nadzieję, że to fałszywy alarm, lecz po chwili ktoś krzyknął po niemiecku:

– Jesteście otoczeni! Wstańcie albo zginiecie!

Wehrmacht czy partyzanci? Marlene nie była pewna.

– *Still, die Nacht ist voller Sterne!* – krzyknęła po niemiecku. Był to pierwszy wers piosenki żydowskich partyzantów, ale ponieważ sam w sobie brzmiał zupełnie niewinnie, wybrano go jako hasło.

Przez dwie sekundy panowała pełna napięcia cisza, po czym ten sam głos, tym razem po polsku, spytał:

– Znasz jakiś dobry lokal w Krakowie?

„Bardzo zabawne”, pomyślała Marlene.

– Nie polecam Cyganerii. Panuje tam dość wybuchowa atmosfera – odrzekła w podobnym tonie. A jednak Icchak Cukierman stawiał się na umówione spotkanie. Wstała i otrzepała się z suchych liści.

Na skraju zapadliska pojawił się tuzin postaci ustawionych w półokrąg, lecz na dół zeszli tylko Cukierman i jego dwóch towarzyszy. Po powitaniu i wyjaśnieniu obecności Ernsta, która skądinąd wywołała irytację przybyłych, Marlene spytała o lekarza. Wiedziała, że w lasach ukrywają się również medycy. Cukierman natychmiast wysłał swojego człowieka z odpowiednim rozkazem. Ernst odezwał się, mówiąc, że do rana musi wrócić na kwaterę, gdyż ma ważną naradę, dlatego zdecydowano, że zostanie opatrzony na miejscu, podczas gdy jeden z ludzi Cukiermana poszuka porzuconego auta.

Marlene i Cukierman oddalili się nieco od pozostałych. Na szczęście Marlene nie musiała go długo przekonywać, gdyż Cukierman dawno już postanowił, że przyłączy się do Armii Krajowej i weźmie udział w powstaniu. Tym samym jej misja została wypełniona.

– Potrzebujemy więcej broni – zauważył pod koniec rozmowy żydowski dowódca.

Marlene kiwnęła głową.

– Ernst jest oficerem wojsk zapasowych i zdradził mi termin najbliższego transportu z zaopatrzeniem. Konwój ma dotrzeć do Warszawy pojutrze, więc macie niewiele czasu na przygotowanie akcji. – Ponieważ ze względów bezpieczeństwa nie mogła zabrać ze sobą mapy, nauczyła się na pamięć trasy konwoju, którą teraz podała Cukiermanowi wraz z przewidywaną zawartością transportu i liczebnością eskorty. Cukierman wyjął swoją mapę, rozłożył ją na pieńku drzewa, skinął na jednego ze swych ludzi, by im poświecił, i szybko naniósł podaną trasę.

– To będzie dobre miejsce – stuknął palcem wskazującym w punkt położony mniej więcej

dwadzieścia kilometrów na zachód od Warszawy. – Moi ludzie będą gotowi. – Cukierman wyprostował się. – Co zamierzasz? – spytał, spoglądając na Marlene.

– Przyłączę się do was.

– Jesteśmy oddziałem szturmowym, nie przyjmujemy kobiet.

Słyszając tak bezceremonialną odpowiedź, Marlene uznała, że również nie będzie owijać w bawełnę. Zanim Cukierman zdążył się zorientować, leżał na ziemi, a Marlene siedziała na nim okrakiem, przyciskając lufę pistoletu do jego czoła.

Dwa chwytaki, których nauczyła się od Jakuba, wystarczyły, by opanować żydowskiego bojowca. Jego ludzie natychmiast otoczyli ich z bronią gotową do strzału.

Marlene nawet na nich nie spojrzała.

– Widzisz, Icchaku – powiedziała słodkim głosem – walczę od trzydziestego dziewiątego roku. Ze stu metrów trafię królika w oko. Poddajesz się?

– W porządku, zrozumiałem lekcję: nigdy nie obrażaj kobiety. – Mimo kłopotliwego położenia Cukierman parsknął śmiechem. – A teraz zjedź ze mnie, z łaski swojej.

Marlene wstała, ludzie Cukierniana cofnęli się i opuścili broń. Klamka zapadła, Marlene została pełnoprawnym członkiem grupy Otriad.

Zanim zjawił się lekarz, minęły dwie godziny. Marlene wykorzystała ten czas, żeby w końcu zdjąć but z nogi Ernsta, tak aby medyk mógł się bezzwłocznie zabrać do pracy. Ten po przybyciu na miejsce krzyżowym nacięciem powiększył ranę wlotową, usunął z niej strzępy cholewki i skarpety, wprawnie ją zaszył i nałożył opatrunek uciskowy. Ernst przez cały zabieg zagryzał kawałek drewna, a po twarzy płynęły mu strużki potu. Trudi siedziała obok niego ze skruszoną miną i ścisnęła go mocno za rękę. Wiedziała, że to wszystko jej wina. Marlene miała nadzieję, że dziewczyna w końcu się czegoś nauczy.

Wkrótce wróciła również grupa, która miała odnaleźć samochód, i wysłany przez Cukierniana mechanik oświadczył, że wóz znów nadaje się do jazdy.

Marlene powierzyła Trudi opiekę nad Ernstem, który z miejsca heroicznie ogłosił, że może prowadzić. Trudi, o dziwo, wbrew swoim zwyczajom bez zastrzeżeń podporządkowała się poleceniom Marlene, która odprowadziła ich aż na skraj lasu i na koniec wymogła na Ernście obietnicę, że ten dopilnuje, by Trudi bezpiecznie wróciła do Monachium.

– Kiedy cię znów zobaczę? – spytał nieśmiało na pożegnanie.

Marlene schyliła się i pocałowała go czule w policzek.

– Po wojnie.

270 dni do „Dnia 0”

„...kobiety i dzieci w liczbie ośmiu tysięcy, a śmiech królestwa zagłuszał ich płacz...”

Imad ad-Din al Katib al-Isfahani,

kronikarz krucjat,

o upadku Jerozolimy i wyprowadzeniu z niej chrześcijan,

którzy mieli odtąd służyć jako niewolnicy,

(rok 1187 po Chrystusie, osiemdziesiąt osiem lat po tym,

jak Gotfryd z Bouillon zdobył Święte Miasto)

Strzelają do kobiet, dzieci, mężczyzn, nawet do kotów! SS chce zduścić wszystko, co żyje.

Marlene Kalten w raporcie na temat warszawskiego getta

Nad akcją od początku ciążyło jakieś fatum. Najpierw zapowiadziany przez Ernsta konwój z zaopatrzeniem w ogóle się nie zjawił, więc nie zdobyli broni. Marlene zastanawiała się, czy jej przyjaciel został zdemaskowany, czy też – jak to się czasem zdarzało – dowódca transportu na własną ręką zmienił trasę.

Cukierman był przekonany, że Ernst zdradził. Marlene nie zamierzała go przekonywać, bo to i tak nie miało znaczenia. Podczas powstania jej grupa miała walczyć na terenie dawnego getta, lecz szybko została starta z powierzchni ziemi. Dowodzony przez Cukiermana Otriad trafił na pierwszą linię i już w ciągu pierwszych dwóch dni większość jego członków zginęła lub odniosła rany. Nie docierało do nich praktycznie żadne zaopatrzenie, w związku z czym amunicja szybko się wyczerpała. Mimo to Cukierman się nie poddał i korzystając z jedynej drogi ewakuacji, razem z niedobitkami swego oddziału postanowił przedrzeć się na obszar opanowany przez powstańców.

Wraz z dwoma pomocnikami, którzy opiekowali się rannymi, Marlene od kilku godzin szła warszawskimi kanałami, brnąc przez ludzkie ekskrementy i zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej, gdyby kula, która utkwiała nieco powyżej kolana, trafiła ją w głowę. Absurdalność całej sytuacji polegała na tym, że podobnie jak to miało miejsce w Krakowie, również tym razem nie odniosła rany z ręki nieprzyjaciela, lecz została postrzelona przez niespełna dziesięcioletniego chłopca, Polaka – kiedy przeładowywał karabin, jego broń niespodziewanie wystrzeliła i kula trafiła Marlene. Rana w nodze bolała jak wszyscy diabli. Została jedynie prowizorycznie opatrzona i Marlene doskonale wiedziała, że jeśli nawet uda jej się wydostać z tego szamba, to najpóźniej za kilka dni wda się zakażenie.

Cukierman niezmiernie brnął przez gęstą maź. Już w kwietniu 1943 roku, po pierwszym powstaniu, wyprowadził tą drogą wielu bojowników poza mury getta i był zdeterminowany, by również tym razem uratować swoich towarzyszy.

I rzeczywiście – Icchak Cukierman dokonał niemożliwego. Dotarli do wyjścia, gdzie otrzymali pomoc i zostali przerzuceni poza granice miasta. Trafili do jakiejś wiejskiej zagrody, gdzie Marlene

mogła w końcu obejrzeć nogę.

Wyglądała strasznie: obrzmiała, na obrzeżach rany prawie czarna. Infekcja rozprzestrzeniła się na wszystkie strony, obejmując całe udo. Marlene wiedziała, że dla niej walka dobiegła końca. Przynajmniej na razie. Nieprędko wróci do oddziału – o ile w ogóle przeżyje.

Cukierman podszedł i nachylił się nad jej nogą. Nic nie powiedział, lecz wyraz jego twarzy mówił wszystko.

Za to żona gospodarza była bardziej wymowna. Krojąc nożem bochen chleba z takim wysiłkiem, jakby to był ogromny kamień, opowiadała żwawo:

– U mojego łojca noga wyglądała tak samo. Cało corno i sino. A przecie wloz ino na gwóź. Wyjon go i sie zaśmiał. A potem jus mu nie było do śmichu. Na dochtora nie było piniendzy i musiał psyjść zeźnik. Zrobił ciach, i po nodze.

Wzięła zamach i uderzyła nożem w stół jak siekierą.

Icchak wzdrygnął się bardziej niż Marlene.

– Sprowadzę naszego lekarza – powiedział i się ulotnił.

Dwie godziny później zagrodę otoczył oddział SS i Marlene została aresztowana.

269 dni do „Dnia 0”

„Rządzenia winniśmy się uczyć od mrówek. Czerwone mrówki są bardzo mądre. Wspecjalizowały się w wyniszczaniu innych plemion i bezlitośnie wykorzystują dobroduszość atakowanych sąsiadów: zapłodniona królowa-matka zakrada się do ich gniazda, dzięki fizycznej przewadze zabija dotychczasową królową i tarza się w jej truchle. Dzięki temu przejmuje jej zapach i może ją z powodzeniem udawać. W konsekwencji czarne robotnice wierzą, że to ich prawdziwa królowa. Dbają o nią, karmią ją i utrzymują w czystości. Obca królowa składa jaja i wykluwa się jej czerwone potomstwo. Z czasem czerwonych mrówek jest coraz więcej, a czarnych ubywa. W końcu czarne przestają istnieć”.

Hrabia Dietrich zu Langenburg-Dietrichstein,

Wyższość i panowanie, esej

Rzekł ksiądz do kapłana: „Ty ich zachowaj w głupocie, ja ich zachowam w biedzie”.

autor nieznany

Marlene oddzielono od pozostałych więźniów. Siedziała sama na skrzyni wojskowej ciężarówki między pustymi workami po zbożu. Wokół leżały pojedyncze ziarna. Ponieważ w ciągu ostatnich dwóch dni zjadła ledwie piątkę chleba, rzuciła się na nie jak wygłodniałe zwierzę. Podróż trwała kilka godzin i zakończyła się w Krakowie, przed przypominającą zamek budowlą na obrzeżach miasta. Marlene swoim zwyczajem zlustrowała otoczenie, choć tak naprawdę niewiele ją interesowało. Miała gorączkę, bolała ją spuchnięta noga, pękała głowa. Mimo to rozpoznała mężczyznę, przed którego oblicze ją zawleczono. Słusznie przeczuwała, że jeszcze spotka go na swej drodze.

Ponieważ nogi odmówiły jej posłuszeństwa, posadzono ją na krześle. Wyczerpana zamknęła piekące ze zmęczenia i od dymu oczy, aby nie patrzeć na twarz mężczyzny, który okrążał ją niczym przyczajony drapieżnik.

– Jestem rozzarowany, moja droga. Pamiętam panią w dużo lepszej formie. Dziś śmierdzi pani, że pożał się Boże.

– Może więc zafunduje mi pan kąpiel? – odparła Marlene, nie otwierając oczu. Tak, marzyła o kąpeli. Chciała dać nurka w pianę i już nigdy się nie wynurzyć. To byłoby cudowne pożegnanie z tym światem. Niewiele brakowało, a westchnęłaby z rozkoszy.

– Taak, pani noga wygląda naprawdę fatalnie. – Gospodarz kucnął przed nią i nacisnął ranę, która niemal eksplodowała z bólu. Marlene zawyła niczym zranione zwierzę. – Sprowadźcie naszego profesora Sauerbrucha – gospodarz polecił jednemu z ludzi, którzy ją tu przywlekli, lecz Marlene już tego nie słyszała, gdyż pod wpływem bólu straciła przytomność.

Kiedy się w końcu ocknęła, zobaczyła nad sobą rozmyty błękit. Im bardziej rozjaśniał się ten kolor, tym jaśniejsze stawały się również jej myśli. W końcu zidentyfikowała rozpostartą nad nią konstrukcję jako oparty na czterech toczonych słupach baldachim. Leżała w łóżku przykryta jedwabnym prześcieradłem.

Oszołomiona uniosła głowę i prześcieradło zsunęło się, odsłaniając staromodną koronkową

koszulę. Szeleściła od krochmalu i pachniała świeżością. I przyjemnymi wspomnieniami, takimi sprzed wojny. Naprzeciw łóżka dostrzegła złoconą komodę, a nad nią barokowe lustro. Więzienie tak nie wygląda, więc co to za miejsce? Zamek? Pokój wydawał się dziwnie znajomy i nie potrafiła się pozbyć myśli, że już tu była. Czuła się kompletnie zagubiona. Wszystko było na opak. Miała wrażenie, jakby ktoś ją wyrwał z rzeczywistości i umieścił w jakimś dziwnym świecie. Czuła, że tu nie pasuje, ale w żaden sposób nie potrafiłaby wyjaśnić, skąd to wrażenie. W głowie czuła tępy ból, lecz ciało wydawało się dziwnie lekkie. Czyżby coś jej umknęło?

I wtedy dostrzegła u swego boku mężczyznę. Sposób, w jaki na nią patrzył, wzbudzał w niej zaufanie. Mimowolnie wróciła myślami do owych dni, gdy babcia pocieszała małą Annę, po raz kolejny opatrując jedną z jej licznych ran.

Tak samo patrzył ten mężczyzna. Jakby nie było w tej chwili na świecie nic ważniejszego od niej. Miał szczupłą, szlachetną twarz, posiwiałe, lecz wciąż gęste włosy i bursztynowe oczy, które patrzyły na nią z wielką dobrocią i równie wielkim smutkiem. Zatraciła się w jego pełnym pokoju spojrzeniu, gdyż w tych niespokojnych czasach spotkanie człowieka, który by sprawiał wrażenie życzliwego i wolnego od podstępów i kłamstwa, wydawało się istnym cudem. Nie potrafiła powiedzieć, kim jest mężczyzna, który wlał w nią te pełne pociechy myśli, lecz wiedziała jedno: oto siedzi przed nią prawdziwy człowiek! A więc na świecie są jeszcze ludzie! Niestety, w tym samym momencie nawiedziło ją wspomnienie, które bezlitośnie starło ten pełen nadziei obraz – przypomniała sobie, w czyich oczach widziała ten cudowny wyraz: w oczach Jakuba. To on, kilka dni przed śmiercią, patrzył na nią w ten sposób, jakby przeczuwał swój przyszły los.

Tym jednak, co ostatecznie zburzyło cudowną iluzję, był fakt, iż mężczyzna pod rozpiętym lekarskim kitem nosił mundur SS! Uległa okrutnemu złudzeniu i czuła się teraz jak ktoś oszukany i zdradzony przez najlepszego przyjaciela. Kim jest ten mężczyzna? I co tu robi?

– Dzień dobry, jestem doktor Friebling – przedstawił się lekarz, jakby usłyszał kłębiące się w jej głowie pytania. – Proszę, musi pani dużo pić.

Przystawił jej do ust szklankę z wodą i podtrzymał głowę.

W pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale odczuwała tak wielkie pragnienie, że nie potrafiła mu się oprzeć.

– Jak się pani czuje? – głos lekarza doskonale współgrał z jego oczami.

Był spokojny i pełen współczucia, jakby jej zdrowie naprawdę leżało mu na sercu.

Spojrzała na niego zmieszana. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego czuje się tak cudownie lekko. Nie czuła bólu! Po tylu dniach niewymownej udręki było to istne wybawienie, choć zarazem ogarnął ją lęk. Nie miała odwagi spojrzeć w dół.

– Co z nogą? – szepnęła z trudem.

Lekarz uśmiechnął się tak ciepło i szczerze, że klamra ściskająca jej serce natychmiast puściła.

Nie, ten człowiek był prawdziwym lekarzem, mundur nie miał dla niego znaczenia, nie wyrażał jego światopoglądu. Nie umiałyby racjonalnie wyjaśnić, dlaczego tak bardzo jej zależało na tym, by w to wierzyć, i dlaczego działała na przekór wrodzonej nieufności. Odwzajemniła uśmiech. Zbyt rzadko zdarzało jej się spotkać człowieka, który wzbudziłby w niej spontaniczne pragnienie, by mu zaufać. Ten mężczyzna miał w sobie coś, co pozwalało zapomnieć o wojnie. Jakby niósł promyk światła z lepszego świata. Marlene zapomniała o swoich pytaniach, o tym, jak się tutaj znalazła. Chciała za to dowiedzieć się jak najwięcej o nim.

– Kim pan jest?

Mężczyzna delikatnie zmrużył oczy, a potem wyciągnął rękę, położył dłoń na jej czole i rzekł:

– Jestem pani lekarzem. Nazywam się Friehling. – Nawet jeśli zdziwił się, że musi powtórzyć swoje nazwisko, to w jego głosie nie było tego zupełnie słychać.

Marlene przez dwie sekundy leżała z zamkniętymi oczami, napawając się dotykiem cieplej, suchej dłoni. Czuła, jakby jej dusza w jakiś tajemniczy sposób złączyła się z jego duszą. Przypomniała sobie stare szkolne opowiadania i przez krótką chwilę poczuła się tak, jakby znalazła się na leśnej polanie wśród nimf. Nagle usłyszała w głowie głos babci, która zwykła mawiać: „Dobre wspomnienia są jak nic, z której tka się nadzieję”...

Otworzyła oczy i stawiała czoło fizycznej słabości, podczas gdy jej myśli stopniowo stawały się coraz jaśniejsze. Nieufny rozum szeptał, by nie dała się zwieść pozorom, i przypominał, że jest ranna, ma gorączkę, podano jej prawdopodobnie środki nasenne. Może właśnie stosują wobec niej jakąś wyjątkowo perfidną metodę przesłuchania? Musiała się wziąć w garść i odzyskać siły, tak żeby sytuacja nie wymknęła jej się z rąk.

– To nie gorączka. – Marlene usiadła, ignorując lekkie zawroty głowy. – Usłyszałam pana nazwisko za pierwszym razem – ciągnęła. – Pytam, kim pan jest naprawdę, doktorze Friehling? Dlaczego ma pan na sobie ten mundur?

Przez jego twarz przebiegł mimowolny skurcz, co upewniło ją, że i tym razem intuicja jej nie zawiodła. Mężczyzna miał coś do ukrycia. Uznała, że ułatwi mu odpowiedź i odwróci pytanie:

– Wie pan, kim jestem?

Lekarz skinął głową, a potem położył palec na ustach, dając do zrozumienia, że są podsłuchiwani. Potem uniósł prześcieradło, wskazał na jej nogę i powiedział:

– Przy okazji: wciąż jest na swoim miejscu.

– Och! Zdołał ją pan ocalić!

– Jest pani doprawdy wyjątkową młodą damą! Nic dziwnego, że hrabia okazuje pani tak ogromne zainteresowanie. Na pewno ucieszy się na wieść, że udało się uratować nogę. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało. Przez trzy dni leżała pani w delirium. Ale najgorsze minęło.

– Co? Ale...

Marlene chwyciła się obiema rękami za głowę, jakby musiała ją przytrzymać, by nie stoczyła się z szyi. Bolała ją coraz bardziej, do tego zaczęła pulsować noga. Czuła, że zbiera się jej na mdłości.

– Morfina przestaje działać – wyjaśnił doktor. – Niestety nie mogę pani dać więcej. Ból się nasilił, ale w ciągu kilku dni powoli zrobi się znośny. Proszę, niech pani jeszcze wypije. – Podał jej następną szklankę. – A teraz proszę odpocząć. Zajrzę do pani wieczorem. Dostanie pani zupe, ale proszę jeść powoli. Jest pani kompletnie wyczerpana, a i żołądek musi wrócić do formy. Do widzenia. – Lekarz wstał i ruszył ku drzwiom.

– Proszę zaczekać, doktorze. Gdzie ja jestem?

– W Krakowie.

– Nie, chodzi mi o ten pokój, wydaje mi się znajomy.

– Nic dziwnego. Na pewno widziała go pani na zdjęciach. Został urządzony na wzór komnat królowych Francji, *Chambre de la Reine*. Niektóre meble są oryginalne, specjalnie sprowadzono je na polecenie hrabiego.

– Co ja tutaj robię?

– O tym powie pani sam hrabia.

– Kiedy?

– Za chwilę – odezwał się znajomy, piskliwy głos.

Marlene gwałtownie odwróciła głowę i przed jej oczami zatańczyły jaskrawe plamy. Obok łóżka otworzyło się tajne przejście i w progu stanął hrabia, cały na czarno. Uśmiechnął się do niej z góry. Był to uśmiech wilka, który ma chrapkę na baranka.

– Panie hrabio, ze względu na stan pacjentki prosiłbym... – zaczął doktor Friehling, lecz hrabia bezceremonialnie mu przerwał.

– Precz!

Doktor posłał Marlene ostatnie spojrzenie, które zinterpretowała jako prośbę, by nie drażniła znowu wilka.

„Tego nie mogę obiecać”, odpowiedziała w duchu. Adrenalina uderzyła w jej żyły, a obecność przeciwnika zbudziła w niej bojowego ducha.

Tymczasem hrabia usiadł obok łóżka, chwycił jej dłoń i uważnie ją obejrzał.

– Pani paznokcie wyglądają okropnie, najdroższa. Przyślę kogoś, by się nimi zajął.

Sytuacja była groteskowa. Marlene nie wiedziała, dlaczego się tu znalazła i czego ten człowiek od niej chce. Nie знаła swojego obecnego statusu ani nie potrafiła określić relacji łączącej jej z hrabią. Jak ją potraktuje? Jak jeńca czy jak szpiega, który niefortunnie dla siebie znalazł się po niewłaściwej stronie frontu? A może była dla niego przedmiotem studiów albo zabawką?

Postanowiła kontynuować grę rozpoczętą w pociągu do Warszawy i przedstawić się jako sojuszniczka hrabiego. Westchnęła żałośnie, wyciągnęła drugą rękę i wnikliwie obejrzała swoje

paznokcie, jakby istotnie stanowiły jej jedyne zmartwienie.

– Będę panu doprawdy zobowiązana, panie hrabio. Pan naprawdę wie, jak uszczęśliwić kobietę. – Uśmiechnęła się do niego promiennie. – Jestem panu winna podziękowanie, szanowny panie hrabio, że uratował mnie pan z rąk tych bandytów. Przepraszam za śmiałość, ale... czy znalazłby pan dla mnie jakieś lustro? Na pewno okropnie wyglądam.

Hrabia wstał, podszedł do ślicznej toaletki, wziął niewielkie lustro i szczotkę i wrócił na miejsce.

Przybory, które podał Marlene, wyglądały tak, jakby je wykonano z litego złota. Były tak ciężkie, że z trudem mogła je utrzymać w dłoniach. To ostatecznie uzmysłowiło jej, jak bardzo jest osłabiona.

Hrabia z zainteresowaniem obserwował jej wysiłki.

– Pozwoli pani, że jej pomogę. – Wyjął z jej dłoni szczotkę i powolnymi, delikatnymi pociągnięciami zaczął rozczesywać splątane kosmyki. – Ma pani piękne, ciemne włosy. Cieszę się, że już ich pani nie farbuje. Nie znoszę koloru blond. Jest taki pospolity.

Marlene, która wciąż trzymała w dłoni lustro, stwierdziła z ulgą, że drżenie rąk wywołane obecnością hrabiego od biedy można przypisać chorobie i osłabieniu. Skąd hrabia mógł wiedzieć, że kiedyś nosiła się blond? Była niemal pewna, że Hubertus von Greiff nie opowiadał o niej wszem wobec, jako że musiałyby przy okazji przyznać, że skończyło się ono jego klęską. Nie zdołał jej nawet sam wyśledzić, tylko wpadła mu w ręce przypadkiem.

– Niemal słyszę, jak trybiki w pani ślicznej główce pracują. Nie chcę być okrutny, więc nie pozostawię pani dłużej w niepewności. Mamy, a właściwie mieliśmy wspólnego znajomego: barona Hubertusa von Greiffa.

Domyślała się, że ci dwaj musieli się znać. Podobieństwa się przyciągają i diabeł szybko wyczuje innego diabła. Lustro wyslizgnęło się z omdlałych palców i boleśnie uderzyło ją w zranioną nogę, lecz dzielnie powstrzymała się od jęku. Zagryzła wargi niemal do krwi.

– Och, widzę, że go pani pamięta. Wie pani, że został zamordowany? – szczebiotał dalej hrabia. Następne słowa wypowiedział z wyraźną satysfakcją: – Ktoś wydłubał mu oko, pozbawił męskości, a na koniec wcisnął mu odcięte genitalia w usta. Udusił się. Jego zabójca albo raczej... – hrabia zrobił króciutką pauzę – zabójczyni musiała go nienawidzić. Wszyscy kiedyś umrzemy, ale zostać zamordowanym, i to w taki sposób, to dość okropne, nie sądzi pani? – mówiąc to, gospodarz nie przestawał spokojnie rozczesywać jej włosów.

Marlene tymczasem zdołała nieco ochłonąć i wziąć się w garść. Była zdecydowana grać w tę grę tak długo, jak to będzie możliwe.

– Istotnie, dwukrotnie spotkałam barona w Berlinie, ale nie miałam pojęcia, że został zamordowany, i to w tak barbarzyński sposób – westchnęła jak ktoś, kto przywykł do tego rodzaju wieści i woli się skupić na przyjemniejszych aspektach życia.

Ponownie chwyciła lusterko, spojrzała w nie badawczo i zwilżywszy śliną palec wskazujący, przyliziła sobie brwi.

– Barbarzyński? Tak, to bardzo trafne określenie, moja droga. Proszę wszelako mi zdradzić jedną rzecz: kogo dokładnie nazywa pani barbarzyńcą? Barona czy jego zabójcę? – spytał powoli głosem, w którym dało się wyczuć podstępny nutę.

Odłożył szczotkę i nagle Marlene poczuła na ramionach jego dłonie. Robiła wszystko, co w jej mocy, by się nie wzdrygnąć, podczas gdy jego palce powędrowały na jej kark i rozpięły satynową tasiemkę koszuli nocnej. Ta zsunęła się jej na talię, odsłaniając piersi. Hrabia powiódł dłonią wzdłuż jej obojczyka ku prawej piersi i delikatnie ujął jej krągłość. Następnie począł pocierać kciukiem i palcem wskazującym brodawkę, z początku lekko, potem ściskając ją coraz mocniej, aż Marlene z bólu zazgrzytała zębami. To nie była li tylko demonstracja władzy. Hrabia sondował, jak daleko może się względem niej posunąć.

W końcu uwolnił ją i skonstatował:

– Ma pani bardzo daleko przesuniętą granicę bólu, najdroższa, ale nie lubi go pani. Szkoda, bo ból potrafi dać niewyobrażalną rozkosz. – W jego głosie pobrzmiwała nuta szczerego żalu. – Ale, ale... wciąż czekam na odpowiedź: kogo nazywa pani barbarzyńcą? – Hrabia zmienił pozycję, tak że mógł ją teraz obserwować *en face*.

Marlene oparła się impulsowi, by okryć swoją nagość. Nie chciała mu dać satysfakcji. Przeciwnie: rozprostowała ramiona i dumnie zaprezentowała wdzięki.

Niech się brunatny hrabia gapi i maca do woli. Był nieobliczalnym sadystą i cokolwiek by zrobiła lub powiedziała, nie miałyby to żadnego znaczenia. Właśnie dał jej do zrozumienia, że jest całkowicie zdana na jego łaskę. Okręzał ją niczym wojownik na arenie, pewien zwycięstwa, lecz właśnie tą pewnością znudzony, jako że każdy kolejny triumf smakował mniej niż poprzednie. Marlene wiedziała, że hrabia z czasem stał się zakładnikiem własnej dekadencji i jedynym sposobem na wyjście cało z opresji jest pokazanie mu, że ma do czynienia z równorzędnym przeciwnikiem, kimś, z kim opłaca się podjąć walkę.

Wytrzymała jego spojrzenie, włożyła palec wskazujący w usta i rozsmarowała ślinę po zmaltretowanej brodawce, mówiąc:

– Obaj są barbarzyńcami. I Greiff, i jego zabójca.

Hrabia spojrział na nią, lekko przekrzywiwszy głowę. O ile jeszcze przed chwilą w jego oczach malowały się przesyt i znudzenie, o tyle teraz wyraźnie się ożywiły.

– Oho! To mi się podoba! – Nachylił się tak, że ich twarze nieomal się stykały.

Marlene mogła dokładnie przestudiować ogromne pory na jego nosie. Mimowolnie wstrzymała oddech. Myśl, że mógłby ją pocałować, wydała jej się bardziej odrażająca niż niedawne ściskanie brodawki. Lecz on tylko podciągnął jej koszulę, poprawił ją i rzekł:

– Uważa się zatem pani za barbarzyńcę? Nie próbuje pani zaprzeczać? Ciekawe. Musi pani wiedzieć, że przestudiowałem dzieła wszystkich wielkich filozofów. Jeśli chce się kierować ludźmi, trzeba ich zrozumieć. Ich sposób myślenia, popędy, pragnienia i pożądania. No więc? Proszę powiedzieć: dlaczego wybrała pani tak okrutny sposób? Dlaczego po prostu nie zabiła go pani, tylko najpierw wykastrowała?

Marlene wciąż z trudem chwytała powietrze. Wspomnienie chwili, gdy Greiff zmusił ją, by patrzyła, jak okalecza Jakuba, oraz świadomość tego, że później posunęła się do takiego samego bestialstwa, ścisnęły jej gardło.

– Bo torturował i zamordował na moich oczach mężczyznę, którego kochałam. Odpłaciłam mu tym samym – zdołała w końcu z siebie wyrzucić.

– A więc zemsta – hrabia pokiwał głową niczym wyrozumiały wujek. – Krwawa zemsta towarzyszy ludzkości od zarania dziejów. Ja sam również jej dokonałem. Zemsta to nasze święte prawo. *À propos*, byłbym zapomniiał – rzucił, zmieniając na chwilę temat – rozmawiałem o pani telefonicznie z moim czcigodnym kuzynem księciem zu Hohenlohe. Jest szalenie niepokieszony, gdyż nie potrafi sobie przypomnieć spotkania z panią. Również z innych źródeł zaczerpnałem niezbyt pomyslnie dla pani informacje. Gestapo wyznaczyło nagrodę za pani głowę. – Spojrzał na nią wyzywająco, lecz Marlene postanowiła milczeć.

Hrabia wiedział o niej wszystko i nie miała niczego na swoją obronę. Zresztą rozmowa z nim wyczerpała ją do tego stopnia, że powieki ciążyły jej, jakby odlano je z ołowiu. Niechże ją w końcu zabije, przynajmniej zazna wreszcie spokoju! Zamknęła oczy.

Niestety nie przeszkodziło to hrabiemu kontynuować rozmowy, a właściwie monologu.

– I co ja mam z panią począć? Oboje wiemy, co panią czeka, jeśli ją wydam gestapo. Szkoda byłoby kobiety z pani talentem i takim ciałem. – Ujął w dłoń kosmyk jej włosów. – Najpierw by je zgolili i wpakowali do materaca, na chwałę tysiącletniej Rzeszy. Już sama myśl, że jakiś tłusty gauleiter mógłby tarzać na nim swe wstrętne cielsko... Nie, to doprawdy niezbyt przyjemna wizja – perorował hrabia.

Marlene postanowiła udać, że zasnęła.

Gospodarz pociągnął za wiszący przy łóżku sznur i w pokoju zjawił się lokaj w staroświeckiej liberii.

– Pan hrabia wzywał?

Hrabia Dietrich zu Langenburg-Dietrichstein wydał stosowne polecenia i nie oglądając się, opuścił komnatę tajnym przejściem, tym samym, z którego skorzystał, by nawiedzić ranną Marlene.

Odpryski wojny

Tylko w maju 1944 roku wywieziono do Rzeszy ponad 20 000 rosyjskich dzieci. Zostaną zatrudnione w przemyśle zbrojeniowym.

Führer Adolf H. z B. zarządził, że wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni w wieku od lat szesnastu do sześćdziesięciu zostaną wcieleni do Volkssturmu.

Brytyjska Admiralicja potwierdza, że jej jednostki przechwyciły niemiecki okręt podwodny U-570; okręt został przemianowany na HMS Graph i od 1941 roku pływa pod brytyjską banderą, walcząc z jednostkami Kriegsmarine.

I rzekł Bóg: nie będę dłużej znosił królów. Tak bardzo mnie udręczyli.

Ralph Emerson (1803–1882)

Marlene otworzyła oczy. Otaczała ją ciemność. Przez chwilę była zdezorientowana. Miała pustkę w głowie, a członki odmówiły jej posłuszeństwa. Nie mogła się poruszyć, jakby leżała w idealnie dopasowanym sarkofagu. Chciało jej się pić, podniebienie wyschło jej na wiór. Ogarnęła ją panika, a bezwładne ciało zdawało się ważyć tonę. Instynktownie próbowała przełknąć ślinę, lecz jej język był zbyt obrzmiały, a gardło paliło żywym ogniem. Ból. Całe jej ciało przenikał potworny ból. Kiedy wreszcie skończy się ta udręka życia? Czy naprawdę nie zasłużyła na chwilę spokoju? Chciała zasnąć, zasnąć na wieki i w końcu zbudzić się w świetle, lekka i wolna od trosk.

W tym samym momencie bezgłośnie otworzyły się drzwi i w poświacie wpadającej z korytarza ukazała się wysoka sylwetka. Pamięć wróciła w jednej chwili, zajmując miejsce majaków i lęku. Znów była tu i teraz. Nie, nigdy się nie podda, a już na pewno nie dopuści, by jej ostatnim przeciwnikiem był potwór w skórze hrabiego. Zebrała wszystkie siły i usiadła, przewyciężając ból, który czuła w nodze. Zbroiła się na kolejną potyczkę z wrogiem.

– Nie śpi pani? – odezwał się cichy głos i Marlene opadła na poduszkę, a ulga zalała jej ciało niczym ciepła fala.

To nie był hrabia, lecz doktor Friehling. Wrócił!

– Nie – wychrypiała z trudem.

Doktor zamknął drzwi i zapalił światło.

– Nic pani nie zjadła. – Postawił małą wazę obok nietkniętej tacy na nocnym stoliku.

Marlene nieporadnie namacała na tacy szklanę.

– Pić...

– Chwileczkę, pomogę pani. – Lekarz szybko zbliżył się do wezgłowia i przystawił jej szklanę do ust. Wypiła chciwie do dna i z westchnieniem opadła na łóżko. Światło sprawiało jej ból, więc zamknęła oczy.

Doktor natychmiast sięgnął po karafkę i napełnił szklanę.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno. Nie mogłem wcześniej. Musi pani dużo pić, koniecznie.

Jest pani bardzo odwodniona.

– Spałam.

Lekarz ponownie położył dłoń na jej czole.

– Znów ma pani gorączkę, ale to normalne. Organizm walczy z zapaleniem. Obejrzę nogę, pozwoli pani? – spytał grzecznie, wskazując na okrywające ją prześcieradło.

Kiwnęła głową.

Doktor odwinął bandaż. Długa rana ciągnęła się od kolana aż do połowy uda. Brzegi były jeszcze obrzmiałe i podbiegnięte krwią, a ciemna nić, która zespajała gojące się zgrubienie, wyglądała niczym postrzępiony robak wgrzyzający się w skórę.

– Rana wygląda dobrze – stwierdził rzeczowo doktor. – Proszę się nie martwić, szwy są drobniotkie i w przyszłości zostanie niewielka blizna. Najwyżej cienka biała kreska.

Odnalazła jego spojrzenie i zatopiła się w bursztynowych tęczęwkach.

– Tylko czy dla mnie jest jakaś przyszłość, doktorze?

I znów jego szczęki drgnęły, jakby i jego nurtowało to samo pytanie. Potem nieznacznie wskazał głową na tajne przejście, dając do zrozumienia, że i tym razem mogą być podsłuchiwni. Marlene nie dała za wygraną. Tak ważna persona jak hrabia musi mieć na głowie ważniejsze sprawy niż podsłuchiwanie jej rozmów.

– Panie hrabio! Słyszysz mnie pan? Chciałabym pana o coś zapytać! – zawołała w pustkę. Doktor patrzył na nią, jakby nie mógł wyjść ze zdumienia, skąd w niej tyle odwagi.

Drzwi pozostały zamknięte.

– Widzi pan? Nie ma go – stwierdziła.

– Jest pani wyjątkowo odważną kobietą. – Doktor przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał jeszcze coś dodać.

– A co mam do stracenia?

– Życie?

– I tak oto wracamy do punktu wyjścia. Czy coś mi grozi?

– Przede wszystkim zagrożone jest pani zdrowie – doktor próbował zbyć jej pytanie. – Proszę coś zjeść. – Zdjął z wazy pokrywę i nalał do miseczki trochę zupy. Ponieważ Marlene była tak osłabiona, że drżały jej ręce, nakarmił ją. Potem rozpuścił w wodzie jakąś tabletkę. – To penicylina, pomoże pani zwalczyć zapalenie.

– Doktorze... – Choć był lekarzem, i tak czuła się zakłopotana. – Czy mogę wstać? Muszę... za potrzebą...

Doktor zerwał się z miejsca.

– Oczywiście. Pomogę pani. W żadnym wypadku nie może pani obciążać nogi.

Schylił się, wsunął pod nią rękę i zaniósł do przylegającej do pokoju łazienki, do której bardziej pasowałoby określenie „buduar”. Hrabia miał najwyraźniej słabość do złoconych mebli.

Po wszystkim doktor zaniósł chorą z powrotem do łóżka i ułożył tak delikatnie, jakby jej ciało było wykonane z chińskiej porcelany.

– Od jutra może pani zacząć chodzić – wskazał na parę kul opartych o ścianę obok jej łóżka. Ktoś musiał je przynieść, gdy spała.

– Niestety muszę panią opuścić. Proszę odpoczywać.

– Idzie pan już? – Jego troska zrobiła jej lepiej niż wszystkie zabiegi i chętnie spędziłaby z nim więcej czasu. Wizyta w łazience przełamała ostatnie lody i wytworzyła między nimi intymną relację. Marlene poczuła, że nagle ogarnia ją lęk przed samotnością.

– Mam jeszcze innych pacjentów – odpowiedział doktor.

Oczywiste było, że Marlene nie miała go na wyłączność. Była na siebie zła, gdy niespodziewanie wezbrała w niej zazdrość – uczucie, którego po raz pierwszy doświadczyła, kiedy Deborah odebrała jej Jakuba.

– Oczywiście, rozumiem. Jeszcze tylko jedno, doktorze: zdradzi mi pan, jak się mają sprawy na froncie? Alianci posuwają się naprzód?

Zapadło znaczące milczenie.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu.

Odniosła wrażenie, że powiedział to szczerze, toteż zdziwiła się, jak to możliwe, żeby lekarz SS nie wiedział, co się dzieje na świecie. To pytanie zajmowało jej myśli aż do chwili, gdy wyczerpana znów zapadła w niespokojny sen.

Gdy się obudziła, za ciężkimi brokatowymi zasłonami wstawał ranek. Czuła się dużo lepiej niż poprzedniego dnia i była potwornie głodna. Pospiesznie dojadła resztki wystygłej zupy. Godzinę później zabrano tacę i przyniesiono nową, z herbatą, białym chlebem, masłem i marmoladą. Marlene zjadła wszystko do ostatniego okruszka. Również przy obiedzie wszystko powtórzyło się zgodnie z rytuałem: służący nie odezwał się do niej ani słowem, ona zaś i tym razem skrzętnie opróżniła tacę. Potem uznała, że ma dość leżenia. Zwlokła się z łóżka, zaczekała, aż miną zawroty głowy, i z takim zapamiętaniem zaczęła się ćwiczyć w chodzeniu o kulach, aż pot strumieniami spłynął jej na czoło. W łazience wytarła się ręcznikiem, znalazła w komodzie świeżą koszulę, zdjęła tę, która miała na sobie, włożyła nową i pokuśtykała z powrotem do łóżka. Podświadomie czekała na wizytę doktora. Ten jednak nie przyszedł. Nie pokazał się również hrabia. Dopiero pod wieczór zjawili się obaj.

Hrabia z zainteresowaniem obserwował, jak lekarz zmienia opatrunek na nodze, po czym wypytał o postępy w leczeniu. Doktor zapewnił go, że rana wygląda bardzo dobrze, choć sama Marlene nie zauważyła większych zmian – oprócz tej, że po dwóch dniach ból nieco zelżał.

Gdy doktor skończył, hrabia odesłał go niczym posługacza i zwrócił się do Marlene:

– A zatem przejdźmy do rzeczy, najdroższa. – Wyjął cygaro z małej skrzyneczki przyniesionej uprzednio przez wezwanego dzwonkiem lokaja i zaczął je teatralnie przypalać. Wypuścił w powietrze kilka niebieskawych kręgów dymu, odprowadził je wzrokiem dumnego artysty ku sufitowi i oświadczył: – Skoro wiemy już, że pani przeżyje i zachowa nogę, najwyższa pora, byśmy pomówili o tym, w jaki sposób może się pani okazać pomocna w mojej sprawie. Uporządkujmy zatem fakty i wyjaśnijmy sobie naszą relację. W ten sposób oszczędzi sobie pani tej pociesznej komedii, która, przyznaję, szalenie mnie ubawiła. A zatem, baronessa Anno von Dürkheim – wypowiedział jej prawdziwe nazwisko i tytuł nieomal z rozkoszą – dysponuję, ma się rozumieć, aktami zgromadzonymi przez von Greiffa na pani temat. Wiem zatem, gdzie obecnie przebywa pani babka oraz jakie majątki i tytuły przysługiwały pani zmarłemu dziadkowi baronowi von Dürkheimowi. Na marginesie: kilka razy miałem przyjemność spotkać pana barona i poznałem go jako godnego najwyższego szacunku człowieka. Nazwisko von Dürkheim stanowi gwarancję wyjątkowego szlachectwa, rzadko spotykanego na tym świecie. Niewiele rodów może się poszczycić pokrewieństwem zarówno z niemieckim, jak i austriackim domem cesarskim. – Patetyczny ton hrabiego nie pozostawiał wątpliwości, że sam również zaliczał się do owych wybrańców.

Marlene zastanawiała się, do czego zmierza jej rozmówca. Jego zachowanie przywodziło na myśl konferansjera zapowiadającego przed licznie zgromadzoną publicznością główną atrakcję wieczoru.

Hrabia z rozkoszą zaciągnął się cygarem, po czym podjął przemowę:

– Po wojnie będzie pani szalenie majątną osobą, baronesso.

– Nie sędzę, żeby po wojnie wiele zostało z mojego dziedzictwa – odparła Marlene z całą pogardą, jaką odczuwała do tego przedstawiciela rasy panów, odpowiedzialnej za rozpętanie wojennego piekła.

– Po cóż te złośliwości? Ziemia nie zniknie, najdroższa. Co więcej: jest jedynym dobrem, którego nie można pomnożyć. Ziemia nie rozrasta się wraz ze wzrostem ludzkości. – Hrabia niedbale strzepnął popiół na łóżko.

– Naprawdę jesteście już na tym etapie? Odwracamy wzrok od „przestrzeni życiowej” na Wschodzie i znów kierujemy oczy ku Zachodowi? – zadrwiła Marlene.

– W rzeczy samej, ziemia jest i zawsze będzie na tym świecie jedynym prawdziwym bogactwem! W każdej wojnie chodzi o terytorium, o nic innego. Własność ziemską jest źródłem prawdziwej władzy – odrzekł z powagą hrabia.

– Niech pan po prostu powie, czego ode mnie chce. Mojego rzekomego majątku w zamian za życie mojej babki? Proszę bardzo, może pan go dostać. Nie zależy mi na nim.

– Oczywiście, że chcę, mogę i istotnie wejdę w jego posiadanie. Ale chcę czegoś jeszcze. Chcę pani tytułu... – Spojrzał na nią, jakby delektując się chwilą, po czym dodał: – Dlatego jutro zostanie pani moją małżonką. – Powiedział to z tak niezachwianą pewnością siebie, że Marlene potrzebowała chwili, by pojąć szatańską perfidię jego zamiarów.

– Słucham? Pan raczy żartować! – Zerwała się gwałtownie i ból przeszył jej ciało.

– Ja nigdy nie żartuję, najdroższa. Po wojnie zwycięzcy dokonają nowego podziału świata i ustalą nowy porządek, lecz Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego powstanie kiedyś niczym feniks z popiołów. A ja jako jeden z jego ojców założycieli będę dzierzył w dłoni los wszystkich Niemców.

Marlene odczekała, aż gniew i ból zelżeją. Udała, że wyteża umysł, rozważając jakąś skomplikowaną kwestię, po czym spytała:

– Nie wiem, czy zrozumiałam: nowy porządek świata niczym nie będzie się różnił od starego?

– Czyżbym słyszał sarkazm? A może niedowierzanie? Moja droga, popełnia pani ten sam błąd co wszyscy ludzie małego ducha. Masy stanowiące jedynie glinę, z której formujemy nasze wizje, narzędzie, po które od wieków sięgają wielcy stratedzy. Bo gdy tępe masy wciąż wierzą, że to, co niewyobrażalne, jest niemożliwe, i stają zahipnotyzowane w miejscu niczym królik na widok węża, my pewnie kroczymy ku przyszłej chwale. Weźmy choćby europejskich Żydów. O jakiej liczbie mówimy? Dziesięciu milionach? Dwunastu? Ci Żydzi są od trzech tysięcy lat prześladowani, niewoleni, zabijani, a mimo to również tym razem nie potrafili uwierzyć w to, co niewyobrażalne. Własna łatwowierność uspiła ich czujność złudnym poczuciem bezpieczeństwa, wiarą, że asymilacja uchroni ich przed zagrożeniami. Ukryci w cieniu niemieckich skrzydeł, nie spostrzegli, że germański orzeł od dawna połyka ich po kawałku. Dostrzegali zapowiedzi nadciągającego niebezpieczeństwa, lecz je ignorowali. Aż było za późno. A teraz są masowo wrzucani do rozpalonego pieca. Już Homer pisał w *Iliadzie*, że nawet głupiec potrafi się spostrzec poniewczasie. Trojanie też byli ślepi. Wielkie Cesarstwo Narodu Niemieckiego odrodzi się, kiedy tylko załatwimy się z nazistami. Dopuściliśmy ich do władzy, gdyż byli nam pomocni w osiągnięciu naszych celów. Ktoś musiał wykonać za nas brudną robotę. Żydzi ze swoją kulturą, wykształceniem i całą swoją defetystyczną literaturą stali nam na drodze. Myślący lud nie pozwoli sobą kierować.

Marlene czuła, że wzbierają w niej mdłości. Każde słowo hrabiego wbijało się niczym rozpalona igła w jej serce. Ten człowiek stanowił wcielenie cynizmu. A przy tym był najzwyczajniej w świecie szalony. Mimowolnie wpatrywała się w jego cygaro, jakby zastanawiając się, czy aby zamiast tytoniu nie ma w nim opium, narkotyku, którego fatalne skutki odczuła na własnej skórze na pewnym studenckim przyjęciu w Berlinie.

– Dziękuję za... wykład. Może się pan zdziwi – jej głos ociekał sarkazmem – ale wiem, że nienawiść do Żydów nie jest wynalazkiem nazistów, a przecież Hitler swoje pretensje do panowania nad światem oparł przede wszystkim na twierdzeniu, że to Żydzi są winni tego, iż Niemcy przegrali poprzednią wojnę. Prawdziwą przyczyną klęsk każdego narodu są kłamstwa polityków i powolnej im prasy, nie zaś wiara w człowieczeństwo. Lecz politycy nigdy nie poczuwają się do winy. Zawsze szukają kozła ofiarnego, by odwrócić uwagę od własnych błędów. Tymczasem zdolność do krytycznej

refleksji jest znamieniem inteligencji. Cesarstwo Niemieckie od dawna już było rozkładającym się truchłem toczonym przez robaka antysemityzmu. To truchło nigdy już nie ożyje. Kto w to wierzy, musi być niespełna rozumu – zakończyła Marlene, kompletnie zatraciwszy się w polemicznym ferworze.

Na twarzy hrabiego pojawił się zblazowany uśmiech.

– Miło mi widzieć ten zapal, gdyż wiem, że przemawia przez ciebie twoja błękitna krew. Dlatego puszczyć ci te obelgi płazem. To ty nie chcesz zrozumieć – stwierdził protekcjonalnie – że wszystko na tym świecie jest zwykłą grą interesów. Za kulisami, i na Wschodzie, i na Zachodzie, czają się już starożytne siły gotowe sięgnąć po władzę. Również rosyjska elita ma dość Stalina. Socjalizm nigdy nie zwycięży. Wiesz dlaczego? Ponieważ Stalin w trakcie tej wojny okazał zbyt wielkie okrucieństwo względem własnego narodu. Wymordował nie tylko szlachtę, uczonych i intelektualne i duchowe elity, lecz również tysiące zasłużonych żołnierzy, a wielu z nich posłał na pewną śmierć do obozów: marszałków, dowódców armii i trzydzieści tysięcy oficerów. Stalin ma zbyt wąskie horyzonty, podczas gdy polityka wymaga długofalowej strategii. Nie można w jednej chwili zastąpić wyrosłych przez tysiące lat struktur i kultury czerwoną ideologią. Stary porządek tkwi w głowach ludzi. We krwi. Śmierć Stalina jest przesądzona. My też w końcu dopadniemy tego austriackiego kaprala, który uważa się za prawdziwego Aryjczyka – zakończył z pogardą hrabia.

– Nie mam nic przeciwko śmierci tych dwóch tyranów, lecz czy pan się aby nie zapomina w swoich megalomańskich fantazjach? Co z aliantami? Co z Amerykanami, z Brytyjczykami? Oni chyba też mają tu coś do powiedzenia?

– Och, nie łam sobie tym swojej ślicznej główki, najdroższa. – Hrabia zbył jej pytanie machnięciem ręki. – Alianci dość już na tej wojnie zarobili. Wycisnęli z niej ostatniego centa. Amerykańscy przemysłowcy wybudowali dla Stalina i Hitlera rafinerie naftowe, handel ze Szwajcarią i Szwecją kwitnie, a piwnice banku watykańskiego są po sufit wypełnione nazistowskim złotem. Chciwość nie zna granic, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Na świecie nigdy nie zapanuje pokój. Zarzewie wojny będzie wędrować z miejsca w miejsce niczym pałeczka w sztafecie. Pokój to iluzja, którą władcy tego świata stworzyli na użytek motłochu, by ten od czasu do czasu nacieszył się złudnym poczuciem bezpieczeństwa.

– Doprawdy? Rozumiem, że wszystko dzieje się po to, by fabrykanci mogli zarabiać na swojej produkcji? By zwinne ręce wytwarzały karabiny, czołgi i samoloty?

Hrabia wypuścił kłąb błękitnego dymu i spojrzał na Marlene jak nauczyciel zadowolony z ucznia, który poprawnie rozwiązał zadanie.

– Znakomicie, moja droga. To mi się w tobie podoba. Myślisz i masz zmysł strategiczny. Wojna to najbardziej lukratywny interes na tym świecie. Tęgie głowy zrozumiały to jeszcze przed wybuchem poprzedniej wojny. Parliśmy do niej, dlatego skłoniliśmy Bośniaków i serbską Czarną Rękę do zabicia

austriackiego następcy tronu. W ten sposób pozbyliśmy się Franciszka Ferdynanda, tego żalostnego pacyfisty, który myślał, że stanie nam na drodze do wojny.

– I pan jest jedną z tych tęgich głów? – Marlene wiedziała, że hrabia jest niebezpieczny, ale teraz pojęła, że jest też najwyraźniej szaleńcem. Dość wybuchowa mieszanka.

– Oczywiście. Nic tak nie napędza przemysłu i gospodarki jak wojna. To, co legło w gruzach, trzeba odbudować. Dzięki temu Europa wkrótce przeżyje ogromny rozkwit i wszyscy na tym nieźle zarobią. Nikt nie zrezygnuje z udziału w tym wielkim torcie. Przeciwnie, od dawna już go między siebie dzielimy. Od Stalingradu pertraktujemy z Amerykanami...

– My? Czyli kto? – przerwała mu Marlene.

Hrabia przesunął cygaro z prawego kącika ust w lewy. Sprawiał wrażenie wielce zadowolonego z siebie, jakby z mówienia o swoich planach czerpał najwyższą rozkosz.

– Już o tym wspomniałem. Elitarna grupka tęgich głów, które rozpoznały znaki czasów. Działamy zakulisowo, bez rozgłosu. Opinia publiczna nie ma pojęcia o naszym istnieniu. W przyszłości o losach świata będą decydować interesy gospodarcze. Kapitał jest nowym bogiem, któremu wkrótce wszyscy bić będą pokłony. – Hrabia mówił teraz tonem nieomal ekstatycznym.

– Pan sobie zaprzecza, hrabio. Wcześniej mówił pan o cesarzu, o powrocie na tron nowego cara. Kogo ma pan na myśli? Cała rodzina Romanowów została zamordowana.

– Nie obawiaj się, moja droga, znaleźliśmy powolne marionetki. Motłoch potrzebuje namiestników, inaczej czuje się niepewnie.

– Kogo ma pan na myśli? – Marlene powtórzyła pytanie.

– Już powiedziałem, przyszłych władców świata.

– Pan jest szalony!

– Błąd, moja droga, jestem wizjonerem. Szkoda, myślałem, że już to pojęłaś. – Ton profesorskiej nonszalancji zamienił się w szorstkość. – Dam ci jeszcze jeden dzień na odpoczynek. Jutro przyjdę z księdzem, który pobłogosławi nasze małżeństwo. Potem będziesz mogła napisać do babki i przekazać jej dobre nowiny. – Na pożegnanie chciał ją pocałować w usta, lecz zdołał jedynie musnąć policzek, gdyż z odrazą odwróciła głowę.

Zanim wyszedł, już w drzwiach, zwrócił się jeszcze w jej stronę.

– Przy okazji, wiem, gdzie się ukryła ta mała z pociągu.

– Jaka mała? – Marlene udała, że nie rozumie.

– Dajże spokój, ta gra zaczyna mnie nużyć. Masz wybór, najdroższa. Albo zrobimy to, jak należy, albo sprowadzę ją tutaj i wręcę jej bilet do Auschwitz. Jak widzisz, twoja babka nie jest moim jedynym atutem. Nie zapominaj też, że kiedy się pobierzemy, zdobędę to, na czym mi zależy, więc tylko od ciebie zależy, jak długo pożyjesz u mojego boku. Ty i twoi bliscy. Jeśli okażesz się wdzięczna, podaruję ci dziewczynę jako damę do towarzystwa. Nie jestem potworem.

„Jesteś, hrabio, jesteś!”, pomyślała Marlene, zaciskając bezsilnie pięści.

265 dni do „Dnia 0”

„Pewien chłop pyta koguta, w jakim sosie chce być przyrządzony, ten jednak mówi, że wcale nie chce, by go zarżnięto. »Nie zmieniaj tematu, mój drogi!«, odpowiada mu chłop”.

Thomas Carlyle (1795–1881),
Historia rewolucji francuskiej

– Przed obliczem Boga pytam cię, Anno Mario Franciszko baronessa von Dürkheim, czy bierzesz tego oto Dietricha Karla Heinricha Arthura hrabiego zu Langenburg-Dietrichsteina za męża i przysięgasz mu wierność w dobrym i w złym, w zdrowiu i w chorobie, kochać go, czcić i szanować, póki was śmierć nie rozłączy? Odpowiedz po prostu „tak” – klepał wyraźnie przestraszony ksiądz. Wychudzony kapłan miał na sobie o wiele za duży wymięty ornat z postrzępionymi brzegami, a jego mina jeszcze bardziej niż głos wyrażała, jak nieswojo się czuje podczas tej ceremonii.

Marlene podzielała jego odczucia. Chciała być jak najdalej od tego miejsca i do wypowiedzenia sakramentalnego „tak” – co uczyniła skądinąd z ogromnym trudem – skłoniła ją wyłącznie świadomość, że przy pierwszej nadarzającej się okazji pomoże Trudi uciec, a potem sama siebie uczyni wdową. Na pewno coś wymyśli. „Póki nas śmierć nie rozłączy, panie hrabio...”, poprzysięgła w duchu.

– Przyjmij tę obrączkę... w imię Ojca i Syna... – słowa przysięgi docierały do niej niczym echo i wciąż miała nadzieję, że za chwilę obudzi się z tego koszmaru. Cała ta sytuacja była tak groteskowa i surrealistyczna, że czuła się jak bohater któregoś z utworów Kafki. Siedziała sztywno na łóżku, na głowie miała welon zwieńczony diademem ciężkim jak żelazko, podczas gdy hrabia w cylindrze stał obok niej z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

Próbowali odbyć ceremonię na stojąco, lecz Marlene, która w rzeczywistości byłaby w stanie przetrwać te kilka minut na nogach, jako że gniew i poirytowanie całą tą farsą napełniły ją iście herkulesową siłą, odegrała okropnie osłabioną, w nadziei, że w ten sposób uda jej się odwlec zaślubiny.

Jednak hrabia okazał się nieugięty. Na zakończenie wyciągnął ją jeszcze z łóżka i oparłszy sobie na ramieniu, polecił fotografowi zrobić im ślubne zdjęcie. Poczyniona przez hrabiego wzmianka na temat „zdrowia” Trudi sprawiła, że na twarzy Marlene pojawił się wymuszony śmiech. Potem pan młody zdjął oblubienicy diadem, pocałował ją, nie zważając na jej opór, i wyszedł, zapowiadawszy, że wróci wieczorem.

– Jak to?! Nie będzie przyjęcia? Ani miodowego miesiąca? – zawołała za nim sarkastycznie Marlene.

– Niestety nie, droga hrabino, ale przyślę do ciebie doktora. O ile się nie mylę, masz do niego

wyraźną słabość. Jak większość kobiet. Nasz doktor doprawdy ma w sobie coś wyjątkowego. Lecz nie mniej złudzeń, najdroższa, jego głowa tkwiła już między nogami większości najznamienitszych dam Rzeszy. – Hrabia zarechotał, jakby udało mu się opowiedzieć dowcip dnia, i po raz kolejny pozostawił Marlene pogrążoną w gniewie i bezradności.

Odpryski wojny

Do tej pory Trzeciej Rzeszy wojnę wypowiedziały czterdzieści trzy państwa. Ostatnimi sojusznikami Niemiec są: Japonia, Węgry, Rumunia, Bułgaria oraz Salò, marionetkowe państewko Benito Mussoliniego.

Zachodni alianci zażądali od Szwajcarii i Szwecji, by natychmiast zaprzestały dostarczania broni do Rzeszy.

W jednej z florenckich willi zabezpieczono cenne dzieła sztuki, w tym obrazy Sandro Botticellego. Zanim zauważył je miłujący sztukę amerykański oficer, jego podwładni używali ich jako materacy do spania.

Idź ty i go obij, jam jest zbyt zagniewany.

Platon (428–347 przed Chr.),

cyt. za: Plutarch, *Moralia*

Zjawiwszy się u jej łoża późnym popołudniem, doktor emanował tym samym niewzruszonym spokojem co podczas poprzednich wizyt, lecz mimo to Marlene wyczuła w nim skrywane napięcie.

– Stało się coś? – spytała, gdy lekarz jak zwykle przed badaniem dokładnie mył ręce.

– Mnie pani pyta? – Spojrzał na nią zdumiony, wycierając dłonie.

– Nie rozumiem.

– Cóż, to pani... – zająknął się jak ktoś, kto boi się, że powie o jedno słowo za dużo i zrani swojego rozmówcę, lecz Marlene nie umknęło ukradkowe spojrzenie, które rzucił na jej obrączkę.

– ...poślubiłam hrabiego? – dokończyła za niego, czując wręcz nieprzystojną radość z tego, że fakt ten tak bardzo poruszył doktora.

– Cóż – odrzekł. – Chyba nie wypada mi o to pytać. Obejrzyjmy nogę.

Lekarz pochylił się i uniósł prześcieradło.

– Ale ja chętnie bym o tym porozmawiała.

Doktor podniósł głowę i Marlene zobaczyła, jak spojrzenie jego bursztynowych oczu łagodnieje i na fasadzie lekarskiej rzeczowości pojawia się rysa. Przeżyli rzadki moment zjednoczenia, jakby nagle zasłuchali się w tę samą melodię. Przez chwilę sądziła, że doktor chce jej coś wyznać, wypowiedzieć jakieś magiczne słowa, które połączą ich dusze, zerwą kajdany, wzniecą nadzieję. Lecz on opuścił powieki jak ktoś, kto przyłapał się na jakimś zakazanym uczuciu lub myśli. W skupieniu pochylił się nad raną.

Myślała dotąd, że nauczyła się kontrolować swoje uczucia w tym bezlitosnym świecie, gdzie najdrobniejszy ludzki gest potrafił wzbudzić nieufność. Teraz jednak wpatrywała się w gęstą siwą czuprynę i piękne, delikatne dłonie doktora, zastanawiając się, jak to możliwe, że pociąga ją człowiek noszący esesmański mundur. Czy to uczucie wynikało z bliskiej, intymnej relacji naturalną kolejną rzeczy łączącej lekarza z pacjentką w trakcie długotrwałej terapii? Przecież doktor uratował nie tylko jej nogę, ale prawdopodobnie i życie. Czy to, co do niego czuła, to tylko zwyczajna wdzięczność?

W takim razie dlaczego tak bardzo przejęła się słowami hrabiego o wybujałym życiu erotycznym doktora? Niewiele brakowało, a z zazdrości zasypałaby swego dręczyciela pytaniami. Lecz to nie była jej sprawa, zwłaszcza że tego dnia prawdopodobnie widziała doktora po raz ostatni.

Jej domysły wkrótce się potwierdziły, gdy lekarz wypowiedział słowa, które brzmiały jak pożegnanie.

– Jestem bardzo zadowolony z przebiegu leczenia. Pani organizm dokona reszty. Tym samym moje zadanie dobiegło końca i od jutra opiekę nad panią przejmie pielęgniarka. Pozostaje mi tylko życzyć pani wszystkiego dobrego, również w życiu małżeńskim. – Doktor skłonił się i wyszedł z pokoju szybkim krokiem, jakby nagle zaczęło mu się gdzieś spieszyć.

Niedługo potem przyniesiono kolację. Tym razem jednak Marlene wyjątkowo nie czuła głodu, co z pewnością miało związek z zapowiadaną wizytą jej świeżo poślubionego małżonka. Robiło jej się niedobrze na myśl o tym, co czeka ją tej nocy. Najchętniej uciekłyby stąd, ale nie miała nawet ubrania. W komodach po dokładniejszej inspekcji znalazła jedynie koszule nocne. Zresztą jak daleko zdołałaby uciec ze zranioną nogą?

Tuż po zmroku usłyszała ciche pukanie. Wiedziała, że to nierozsądna myśl, ale ponieważ trudno było przypuszczać, by to hrabia w ten sposób anonsował swoje przybycie, nagle poczuła nadzieję, że to doktor. Że mimo wszystko wrócił.

– Proszę.

Jednak drzwi pozostały zamknięte. Pukanie powtórzyło się – i dopiero wtedy Marlene zrozumiała, że dobiega ono od okna. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom, lecz okazało się, że to prawda: na szybie rozpląszczyła się drobna, zadziorna twarz Trudi! Nie do wiary! Czego ta dziewczyna tu szuka? Co gorsza, jeśli hrabia – co wyraźnie dał Marlene do zrozumienia – istotnie wiedział, gdzie mała się ukrywa, to zapewne wiedział też, że właśnie wdrapała się do jej okna.

Marlene najszybciej, jak to było możliwe w jej stanie, zwlekła się z łóżka, chwyciła kule i otworzyła okno. Mała wskoczyła do środka zwinnie jak małpka i natychmiast rzuciła się jej na szyję. Marlene z miejsca spostrzegła, że Trudi płacze. To nieco ostudziło jej radość.

– Mój Boże, uspokój się – szepnęła, opierając się ciężko na kulach.

W końcu Trudi uwolniła ją z uścisku.

– Boże, tak się cieszę, że żyjesz! Wszyscy mówili, że zginęłaś – wysapała dziewczyna, ocierając rękawem nos.

– Szybko, podstaw krzesło pod klamkę, żeby nas nikt nie zaskoczył. Tylko cicho.

Trudi zrobiła, co jej kazano.

– A teraz jeszcze parawan pod te drzwi – wyszeptała Marlene.

– Jakie drzwi?

Marlene wskazała kulą na ścianę.

– To tajne przejście.

– A kiedy ktoś będzie chciał wejść? Mam się wczołgać pod łóżko czy wyskoczyć oknem? – spytała

Trudi z wyraźną drwiną.

– Jesteś kompletną wariatką. – Marlene pokręciła głową.

– Nie obrażaj mnie. Wiem, co robię.

– Masz zaledwie piętnaście lat!

– I jakoś się tutaj dostałam! Ktoś mnie śledził, ale nie dałam się złapać! – obwieściła triumfalnie.

Zsunęła z ramion plecak.

– Jak mnie znalazłaś? – Marlene wróciła do łóżka, podczas gdy Trudi, zobaczywszy nietkniętą kolację, rzuciła się łapczywie na jedzenie. Marlene pozwoliła jej zjeść, a gdy dziewczyna zaspokoiliła głód, zapytała: – Co z Ernstem?

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Trudi, popijając posiłek wodą. – Nie wie, że tutaj jestem. – Odstawiła tacę na bok i zrobiła rundkę po pokoju, wodząc palcem po złożonych meblach, jakby chciała sprawdzić, czy nie ma kurzu. – Hrabia złupił czyjś pałac?

– Mniej więcej. Co to znaczy, że Ernst nie wie, że tu jesteś?

– Kiedy powiedział mi, że nie żyjesz, byłam tak zrozpaczona, że w końcu pozwolił mi w zeszłym tygodniu wrócić do domu. Wsiadam do pociągu i kogo tam widzę? Naszego brunatnego hrabiego, jaśnie wielmożnie urodzonego! Tę kanalię, która myśli, że cały świat ma w kieszeni. Kiedy pociąg zatrzymał się na jakimś pustkowiu, wysiadł. On i jeszcze dwóch innych esesmanów. Wyszli i ruszyli przez las. Zakradłam się za nimi i tak dotarłam tutaj.

Bezczelność tej małej nie znała granic, ale Marlene była zbyt zaciekawiona, by jej przemówić do słuchu.

– Przez całą drogę szli pieszo? Nikt po nich nie przyjechał?

– Nie. W pierwszej chwili zdziwiłam się. Po godzinie natrafiliśmy na tory. Z początku się nie spostrzegłam, ale schodziły coraz niżej i niżej, i w końcu zniknęły w tunelu. Uff, było naprawdę głęboko.

– Znalazłaś tunel w lesie?

– Już wiem, gdzie się podziały tamte trzy tajemnicze wagony! Zgadnij!

– Są w tym tunelu? – Marlene nagle znów poczuła się niczym na polowaniu.

– Tak, całkiem zmyślnie ukryte. Wjazd zasłaniają siatki maskujące. Kiedy zasłonią tory, niczego nie widać. Chyba że się o nie przewrócisz.

– Nie ma żadnych straży?

– Są! Chyba z tuzin esesmanów. Ale wdrapałam się na drzewo i dokładnie się rozejrzałam z góry. Nie dostałam się do środka głównym wejściem, tylko okrążyłam je szerokim łukiem i wślizgnęłam się przez kanał wentylacyjny. Nie było łatwo. Straże kręcą się przed głównym wejściem. Powiedz,

naprawdę nie wiesz, z kim się spotkał nasz hrabia? Myślałam, że mam halucynacje... – Jak przystało na dziecko artystów, Trudi odwlekła moment kulminacyjny.

– No mówże! Z Himmlerem?

Nie był to bynajmniej strzał w ciemno, gdyż Marlene wiedziała od Cukiermana, że na początku sierpnia szef SS przyjechał do Poznania na zjazd gauleiterów.

– Wyżej!

– Jak... wyżej?

– No wyżej. Zgadnij!

– Trudi, powiedzże wreszcie...

W tym samym momencie ktoś nacisnął klawisz.

– Łaskawa pani?

Klawisz znów się poruszył, tym razem energiczniej. W końcu krzesło przewróciło się i drzwi stanęły otworem. Trudi już przy pierwszym poruszeniu zdążyła zanurkować pod łóżkiem.

Lokaj w liberii, który zwykle przynosił posiłki na tacy, stanął z wózkiem kelnerskim w drzwiach i nieufnie rozejrzał się po sypialni. Marlene uśmiechnęła się blado, lecz nie uznała za stosowne tłumaczyć się przed nim. Zza pleców służącego wyłoniła się fertyczna młoda kobieta w stroju pokojówki i w czepku na głowie. Na jej ramieniu wisiała biała szata.

– To Hiltrud – powiedział lokaj, wjeżdżając do środka wózkiem, na którym wokół wiaderka z szampanem piętrzyły się owoce i praliny. Służąca dygnęła przepisowo, gdy wymieniono jej imię. – Hiltrud pomoże pani hrabinie przy toalecie.

– Dziękuję, dam sobie radę sama – odparła Marlene, imitując zblazowany ton lokaja.

– Proszę wybaczyć, pani hrabino, pan hrabia nalega.

Sługa skinął na Hiltrud, która stanęła u jego boku i jej spłoszone spojrzenie na chwilę spoczęło na obliczu „hrabiny”. Marlene zrozumiała, że dziewczyna musi robić dobrą minę do złej gry.

– Dobrze, ale pospieszmy się. Możesz odejść.

Od początku nie pałała sympatią do lokaja, który odnosił się do niej z taką zarozumiałością, jakby uznawał małżeństwo swojego pana za mezalians.

– Tak jest, pani hrabino – powiedział służący przez nos i zabrawszy pustą tacę, opuścił sypialnię.

Hiltrud z miejsca zabrała się pilnie do pracy. Umyła Marlene, nasmarowała pachnącym kremem i pomogła włożyć przyniesioną koszulę z lejącego się jedwabiu, która spłynęła na jej skórę przyjemnym chłodem. Następnie uczesała sięgające ramion włosy „hrabiny” z tą samą delikatnością, z jaką wcześniej czynił to jej pan, i sięgnąwszy w końcu po flakon z gumową gruszką, otoczyła Marlene chmurą perfum, która sprawiła, że „pani” zaczęła kichać. Innymi słowy, Hiltrud znakomicie wywiązała się z zadania i przygotowała dla hrabiego apetyczną pieczeń weselną, podczas gdy Marlene skręcała się z niecierpliwości. Odesłała służącą, skoro tylko ta zwieńczyła swe dzieło. Służąca nie

zdążyła nawet odstawić flakonu.

Ponieważ Marlene nie wiedziała, ile zostało im czasu, nim zjawi się hrabia, by zażądać od niej spełnienia małżeńskiej powinności, syknęła niecierpliwie:

– Co masz w plecaku?

Trudi wystawiła głowę spod łóżka.

– Ależ smród, prawda? – Teraz to ona kichnęła. – Przyniosłam ci ubranie. Myślałam, że pomogę ci i damy drapaka.

– Miałabym uciekać po dachu? Z tą nogą? Wykluczone. Masz jakąś broń?

– Przyniosłam nóż. – Trudi próbowała go wyjąć i wręczyć Marlene.

– Najpierw posłuchaj. Chcę, żebyś wróciła do domu, do Manfreda. Idź do Ernsta, on ci pomoże. Póki tu jesteś, mam związane ręce. Tylko w taki sposób przysłużysz się naszej...

– Do licha – syknęła Trudi i znów błyskawicznie zanurkowała pod łóżkiem, w ostatniej chwili wciągając za sobą plecak. Dopiero wtedy Marlene usłyszała kroki.

W drzwiach sypialni, w aksamitnych pantoflach i jedwabnej bonzurce z wyhaftowanym herbem rodu zu Langenburg-Dietrichstein, z miną angielskiego lorda stanął hrabia. Po chwili nie tyle wszedł do środka, ile wkroczył.

Na jego widok i na myśl o tym, co ją czeka, Marlene poczuła mdłości. Jej dłoń automatycznie powędrowała w kierunku uda, tam gdzie podczas pierwszego z spotkań z hrabią trzymała nóż. Lecz tym razem nie miała broni.

Zmierzając w jej stronę, hrabia rozwiązał pasek bonzurki i pozwolił, by opadła na posadzkę, a następnie rozpiął guziki piżamy, odsłaniając bladą pierś pokrytą egzemą. Przynajmniej wiedziała już, dlaczego się drapał.

Hrabia bezceremonialnie odrzucił kołdrę na bok.

– Przesuń się, hrabino.

– Może najpierw uczcimy nasze zaślubiny toastem, mężu? – Oblubienica próbowała odwlec nieuniknione. Wskazała na stojący na nocnym stoliku kubek z butelką szampana.

– Milcz, niewiasto, i czynj swoją powinność – odparł hrabia, po czym wydobyl swego ohydneho członka i uniósł go niczym królewskie berło, podczas gdy Marlene walczyła z odruchem wymiotnym.

– No już, podciągnij koszulę i rozchyl nogi. – Hrabia oblizal wargi.

Marlene spojrzala na sufit, próbując oddzielić swoją duszę od ciała, lecz tym razem nie była w stanie. Gorączkowo szukała jakiegoś sposobu, by wyjść z opresji. Właśnie zastanawiała się, czy nie sięgnąć po butelkę i nie rąbnąć hrabiego w głowę, a potem go udusić, gdy ten, jakby czytając w jej myślach, przypomniał jej słaby punkt:

– Pomyśl o swojej babce...

Wtedy wreszcie powoli uniosła koszulę. Po jej policzkach spłynęły łzy gniewu i wstydu. Hrabia

chrząknął jak wieprz, ukląkł między jej nogami, brutalnie wszedł w nią i charcząc, opadł całym ciężarem. Marlene jęknęła. Rozpaczliwie próbowała go od siebie odepchnąć, gdyż jego kościste ciało nieznośnie uciskało jej poranioną nogę. Po jej policzkach płynęły już nie tylko łzy gniewu i wstydu, lecz również bólu. A potem poczuła znajomy zapach – krew... Przez woal łez dostrzegła szeroko rozwarte oczy Trudi, która stała obok łóżka, wpatrując się w nóż tkwiący w plecach hrabiego.

Marlene z trudem wyczołgała się spod martwego ciała.

– Niech to szlag!

– Nie mogłam przecież... nie mogłam... moja mama... – Trudi była cała rozdygotana, a jej zęby szczykały, jakby miała delirium.

Marlene wstała i wzięła ją w ramiona.

– Już dobrze, maleńka. Już dobrze – powtarzała przez kilka minut, aż Trudi w końcu nieco się uspokoiła.

Ponieważ niczego innego nie było pod ręką, Marlene podała jej szampana. Trudi pociągnęła łyżeczek i opuściła kieliszek.

– On... nie żyje? – szepnęła bojaźliwie.

Twarz miała obrzmiałą od płaczu.

Marlene upewniła się.

– Nie.

– I co teraz zrobimy? – jęknęła Trudi.

– Musimy uciekać. Rozdzielimy się i spotkamy w kościele Mariackim na Rynku Głównym, zapamiętasz? Stamtąd pojedziemy do Ernsta, do Warszawy. – Marlene wyjaśniła Trudi, jak trafić do kościoła, i przedstawiła plan ucieczki: – Ty się wdrapiesz na dach, a ja spróbuję wyjść tym sekretnym przejściem. Dokąś musi przecież prowadzić.

– Ale... – odezwała się Trudi.

– Wiem... ale masz większe szanse, jeśli pójdziesz sama. Znasz drogę. A teraz pomóż mi z hrabią. – Marlene wyciągnęła nóż z jego pleców i wytarła go o spodnie piżamy. – Ułożymy go na boku, plecami do drzwi. Będzie wyglądał, jakby jeszcze spał, a jednocześnie zasłoni resztę łóżka. Może rano lokaj nie będzie chciał go budzić i w ten sposób zyskamy jeszcze godzinę lub dwie. – Okryła ciało aż po samą szyję, obok ułożyła dwie poduszki, by wyglądało na to, że „hrabina” leży obok męża, wylała szampana do umywalki i wstawiła butelkę do kubelka z lodem – dnem do góry.

– Idź pierwsza. Trzymaj – nie zważając na obolałą nogę, Marlene pokuśtykała do toaletki i zebrała lusterko, szczotkę i grzebień – to złoto. Może nam się przydać. – Wyjęła z plecaka przyniesione przez Trudi ubranie i wrzuciwszy doń przybory toaletowe, ucałowała wciąż drżącą dziewczynę w czoło.

– Wszystko będzie dobrze, słyszysz? A teraz idź. Zobaczymy się w kościele.

– Obiecujesz?

– Obiecuje. – Marlene zgasila światło.

Trudi odsunęła nieco zaslonę i otworzyła okno. Nie było jeszcze późno, ledwie pół do dziesiątej, i na ulicach wciąż panował niewielki ruch. Przejechało kilka ciężarówek, z daleka dobiegała głośna muzyka i śpiewy pijanych żołnierzy, a od czasu do czasu krzyki.

– Uważaj na siebie – szepnęła Marlene, gdy Trudi zwinnie wskoczyła na parapet. Dziewczyna rzuciła przyjaciółce ostatnie spojrzenie i w jednej chwili zniknęła w ciemności. Marlene zamknęła okno i zasunęła zaslonę, tak aby stłumić odgłosy nocnego Krakowa. Następnie sięgnęła po przyniesione przez Trudi ubranie. Spodnie były dość szerokie, lecz mimo to czuła, że z każdym krokiem noga boli ją bardziej. Bezskutecznie szukając w pokoju latarki, poczuła głód. Łapczywie zjadła jabłko, do kieszeni chowając drugie oraz garść pralin.

W końcu sięgnęła po nóż i zabrała się do otwierania tajnego przejścia. Nagle usłyszała jakieś hałasy. Głosy stawały się coraz głośniejsze, rozległ się kobiecy krzyk, głośne rozkazy. Potem nastąpił trzask, jakby ktoś kopniakiem wyważył drzwi. Głosy zbliżały się, zmierzały wprost do sypialni!

Marlene gorączkowo manipulowała przy ukrytym przejściu. Kiedy drzwi w końcu ustąpiły, czmychnęła do środka i zamknęła je w chwili, gdy do pokoju wpadła grupa mężczyzn. Rozdygotana przystanęła na chwilę, by jej oczy przywykły do mroku. Wiedziała, że ktokolwiek jest w jej sypialni, wkrótce odkryje drzwi. Badając dłońmi ściany wąskiego korytarzyka i stawiając pierwsze, niepewne kroki, usłyszała wściekły głos:

– Ta zdradziecka świnia nie żyje!

Po chwili inny mężczyzna dodał z wyraźnym żalem:

– Wygląda na to, że ktoś nas ubiegł. Szkoda. – Marlene wzdrygnęła się. Wiedziała, do kogo należy ten głos. Do diabła! Co on tutaj robi? Tylko jego tu brakowało!

– Gdzie hrabina? – odezwał się znowu krzykacz. – Natychmiast sprowadzić tego przeklętego lokaja!

Mijając pierwszy zakręt, Marlene usłyszała jeszcze żalosny szloch służącego:

– Mój Boże, pan hrabia! Pan hrabia!

Po chwili nastąpiło głośne klaśnięcie, dodatkowo wzmagając zawrodozenie spoliczkowanego lokaja.

– Mów, gdzie hrabina!

Kolejny szloch. A potem znów kilka klaśnięć.

– To nic nie da – wtrącił się drugi z mężczyzn.

Marlene wciąż wszystko słyszała, ponieważ skradała się korytarzem wiodącym za dłuższą ścianą sypialni. Domyślała się, że za chwilę dotrze do przejścia prowadzącego wzdłuż korytarza. Liczyła, że stamtąd schodami zejdzie na dół i w końcu opuści ten dom. Chciała uciec jak najdalej od tego mężczyzny, inaczej jej los zostanie przypieczętowany.

– Waldemar? Tak masz na imię? – słyszała jego głos.

– Tak.

– A zatem, Waldemarze, hrabina zamordowała twojego pana, nie masz więc powodu jej chronić.

Gdzie ona jest?

Waldemar musiał bez słowa wskazać tajemne przejście, gdyż nagle Marlene usłyszała trzask i zrozumiała, że ukryte drzwi zostały wyważone.

Nie miała żadnych szans. Po chwili schwytano ją i zawleczono przed oblicze starego znajomego.

– Patrzcie, patrzcie, jest i nasza hrabina! Naprawdę twarda z ciebie sztuka. Pozwól, że pogratuluję ci zamążpójścia.

Mężczyzna bawił się pejczem i Marlene przez chwilę zastanawiała się, czy to ten sam, którym chłostała go tamtej pamiętnej nocy, którą spędzili we trójkę: ona, on i Deborah. Biła go, bo sam tego chciał. Podobnie jak Deborah lubił łączyć akt seksualny z bólem.

– Dobry wieczór, Albrechcie. Jak się miewasz? Mam nadzieję, że fatalnie – odparła takim tonem, jakby prowadzili niezobowiązującą konwersację.

Siedzieli naprzeciw siebie w jej sypialni. Wszystkich pozostałych odprawił, a ci wyszli bez słowa. Wyglądało na to, że wspiął się na kolejny szczebel kariery.

– To twoje dzieło? – SS-Obersturmbannführer Albrecht Brunnmann wskazał głową na martwe ciało hrabiego.

– Oczywiście – odpowiedziała bez mrugnięcia Marlene.

I tak była już martwa. Jedno zabójstwo więcej czy mniej nie grało roli. Prawdę mówiąc, bardziej obawiała się stracić nogę niż życie.

Brunnmann uniósł prawą brew.

– W noc poślubną? – W jego głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia.

Znużonym tonem, jakby miała za sobą lata udręki, Marlene odparła:

– To nie było szczęśliwe małżeństwo.

Brunnmann pokiwał smętnie głową.

– Wielka szkoda. Chętnie bym go przesłuchał.

Marlene nie do końca dała mu wiarę, jako że im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Brunnmann wcale nie był niepokieszony, iż go wyręczyła. Czyżby i on miał coś do ukrycia? Czego się obawiał? I kogo?

Po raz kolejny podjęła ryzykowną grę.

– Wierz mi, nie miałbyś z niego wielkiej pociechy – wzruszyła obojętnie ramionami. – Łagodnie mówiąc, miał nie po kolei w głowie. Prawdziwy *meszuge*.

– Mów po niemiecku! – wrzasnął Brunnmann. – Skoro cię poślubił, musiał być rzeczywiście szalony!

Marlene uśmiechnęła się złośliwie.

– O, zapewne.

– Co ci powiedział?

Zrobiło się naprawdę groźnie. Brunnmann właśnie oświadczył, że hrabia był zdrajcą. W tej sytuacji nie miało znaczenia, po której stronie stoi Brunnmann, ani to, czy prowadzi podwójną grę – jeśli uzna, że Marlene wie więcej, niż powinna, będzie ją torturował. Cudownie! „Z deszczu pod rynnę, spod rynnę wprost w łajno. Lądowanie w punkt”, przypomniała sobie powiedzonko swojego starego nauczyciela hippiki. Powtarzał je, ilekroć spadała z konia, rechotał przy tym, jakby opowiedział wyborny dowcip. Nagle z niewiadomych powodów zapragnęła wybuchnąć tym samym rechotem. Najwyraźniej nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Liczyła, że chociaż Trudi zdołała uciec. Biedna mała, na próżno będzie czekać w kościele. I wtedy Marlene uświadomiła sobie, że Trudi chciała jej powiedzieć coś jeszcze na temat ukrytego pociągu. Widziała w nim kogoś ważnego. To mógł być wielki atut w rozgrywce z Brunnmannem. Czy już teraz powinna rzucić tę kartę na stół? Nie, postanowiła się wstrzymać. Musiała jednak odpowiedzieć na jego pytanie. Brunnmann czatował jak puma.

– Niby co miał mi powiedzieć? Hrabia mi nie ufał. Wszystko, czego ode mnie chciał, to tytuł barona von Dürkheim. Zmusił mnie do ślubu, grożąc, że zabije moją babkę. Doskonale znasz te metody, nieprawdaż?

– Kołczan masz pusty, lecz mimo to wciąż napinasz łuk. – Uderzył pejczem w jej nogę, niezbyt mocno, lecz wystarczająco, by ją ostrzec, że w każdej chwili może przykręcić śrubę. – Ta rzeźnia u Greiffa to też twoja sprawka? – Pytanie spadło na nią niczym grom z jasnego nieba.

Marlene musiała wyteńczyć wszystkie siły, żeby się nie wzdrygnąć.

– Skąd ta myśl? – spytała z lekkim wzburzeniem, po czym wzięła z wózka pralinę i z rozkoszą zaczęła ją żuć. – Czestuj się – wielkodusznie zachęciła Brunnmanna, wiedząc, że to może być ostatnia czekoladka w jej życiu.

Obersturmbannführer przez chwilę mierzył ją wzrokiem, a następnie rzekł:

– Oczywiście, któż inny mógłby zrobić coś tak okrutnego? Gratuluję, ja też nie cierpiałem tej zboczonej świni. Hańbił naszą rasę. W dowód mojej wdzięczności otrzymasz jeszcze jedną szansę. Ewaldzie! – krzyknął i do pokoju natychmiast wszedł goryłowaty mężczyzna. – Jest twoja.

– Przeznaczenie specjalne czy zwykłe?

Brunnmann wpatrywał się w Marlene, jakby musiał podjąć trudną decyzję. W końcu odparł:

– Specjalne. Zobaczymy, czy naprawdę jest taka twarda.

– Treblinka?

– Nie. To za blisko jej warszawskich przyjaciół. Damy ją w prezencie naszej madame Butterfly. Na dworcu stoi transport. Wsadź ją do wagonu i dopilnuj, żeby po drodze się nie ulotniła. Tylko

uważaj, to przebiegła i niebezpieczna kobieta.

Odpryski wojny albo o tym, że Francja również miała swoją legendę o „ciosie w plecy”...

„Klęska Francji latem 1940 roku była szokiem zarówno dla żołnierzy, jak i ludności cywilnej, toteż natychmiast zaczęto gorączkowe poszukiwanie winnych, by w ten sposób odwrócić uwagę od kardynalnych błędów popełnionych przez francuski Sztab Generalny. W krzyżowym ogniu oskarżeń znalazł się przede wszystkim uformowany przez Front Ludowy rząd premiera Léona Bluma, któremu zarzucono, że nie zapewnił odpowiednich funduszy na zbrojenia, co w konsekwencji doprowadziło do upadku Francji.

Winnych nie szukano jednak wyłącznie wśród przedstawicieli klasy politycznej. Obóz prawicy podał w wątpliwość cały porządek społeczny Republiki Francuskiej, wskazując, że do jej upadku doprowadziły zgubne idee pacyfizmu, defetyzm i rozkład moralny. Według ideologów *révolution nationale* przyczyną klęski była dekadencja atmosfera lat dwudziestych i trzydziestych, których uosobieniem był nowy typ kobiety – niezależnej, samodzielnej chłopczycy odrzucającej tradycyjne role żony i matki.

Tym samym oficjalna ideologia *etat français* powiązała klęskę militarną z kryzysem demograficznym i doprowadziła do wypracowania wrogiej wobec kobiet polityki prokreacyjnej, która ingerując w coraz większym stopniu w sprawy małżeństwa, rodzicielstwa i rodziny, prowadziła do swoistego »upaństwowienia« tych sfer życia. W ciągu zaledwie czterech lat swojego istnienia rząd w Vichy wydał około stu ustaw i zarządzeń ingerujących w istniejące modele życia i zmierzających do wtłoczenia kobiet w ramy tradycyjnej roli strażniczki ogniska domowego i matki”.

Corinna von List,
Frauen in der Résistance 1940–1944

Pali się, bracia, pali.

Mordechaj Gebirtig (1877–1942),
stolarz, który kochał muzykę

Decyzja Brunnmanna chyba ucieszyła Ewalda, który uśmiechnął się sardonicznie niczym rzygacz i wyjął kajdanki.

– Bardzo pan odważny, prawda? – zauważyła Marlene z pogardą, po czym zwróciła się do Brunnmanna: – Czy twój siepacz myśli, że będę za nim skakać na jednej nodze?

Brunnmann, który tymczasem wstał i właśnie poprawiał przed lustrem mundur, odparł mimochodem:

– Lepiej nie drażnij go bez powodu. Musisz wiedzieć, że nie jest zbyt szarmancki wobec kobiet...

Ewald patrzył na swego pana niczym pies czekający na komendę. Brunnmann założył czapkę i pochylił głowę, jakby się kłaniał swemu odbiciu w lustrze.

– Możesz zdjąć jej kajdanki – powiedział wreszcie.

Ewald potraktował to jako rozkaz, a następnie pchnął Marlene w kierunku drzwi. Ta, ponieważ wciąż stała na jednej nodze, padła jak długa.

Brunnmann westchnął.

– Ostrożnie, Ewaldzie. Chcę, żeby jeszcze trochę pożyła. Niech posmakuje cierpienia. Podaj jej kule – polecił podwładnemu, a sam chwycił Marlene i bez ceregieli postawił ją na nogach.

– Kto to jest madame Butterfly? – spytała Marlene.

– To niespodzianka. Do widzenia... Być może... – odparł Brunnmann i zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju, zostawiając Marlene na łasce swojego goryla.

– Jazda – zakomenderował Ewald i pchnął ją naprzód. Przed domem czekał samochód i dwóch żandarmów.

– O jakim transporcie mówił Brunnmann? – spytała Marlene, gdy Ewald otworzył jej tylne drzwiczki.

Esesman w odpowiedzi wymierzył jej siarczasty policzek.

– Gęba na kłódkę. Za każde słowo dostaniesz po mordzie. Poza tym masz mówić „obersturmbannführer Brunnmann”, jasne?!

Marlene miała dość rozsądku, by nie odpowiedzieć. Wiedziała, że zna Kraków i okolice na tyle dobrze, że nawet w ciemności będzie w stanie zorientować się, czy faktycznie jadą na dworzec. Zastanawiała się przez chwilę, kim może być tajemnicza madame, ale uznała, że wkrótce się dowie. Ewald usiadł obok niej na tylnej kanapie.

Pierwszy etap podróży zakończył się w pociągu towarowym na bocznicę krakowskiego dworca. Kilku znudzonych esesmanów z karabinami na ramieniu patrolowało peron. Marlene już z daleka wyczuła potworny fetor. Znała tę mieszaninę ludzkich odchodów i śmierci. Aż nazbyt często się z nią stykała.

Ewaldowi nagle zaczęło się spieszyć. Zostawił Marlene na peronie pod strażą dwóch żandarmów i zamienił kilka słów z wartownikami pilnującymi pociągu, którzy z początku zareagowali z ociąganiem. Najwyraźniej doszło do jakiegoś sporu kompetencyjnego, gdyż wkrótce zjawił się oficer dyżurny. Ewald zamaszystym gestem podał mu jakiś dokument, a oficer uważnie go przestudiował, przyświecając sobie latarką, po czym wykrzyknął jakiś rozkaz. Jego ludzie odpowiedzieli niechętnym pomrukiem.

Ewald wrócił do Marlene, chwycił ją za ramię i zawlókł do wagonu towarowego. Dwóch żołnierzy manipulowało przez chwilę przy przesuwanych drzwiach, które w końcu otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem i z czarnej czeluści zaleciał taki odór, jakby dobywał się z samego dna piekieł.

Ewald dosłownie wrzucił Marlene w tę mroczną otchłań.

– Żebyś wiedziała, co cię czeka, jeśli nie będziesz posłuszna.

Drzwi zamknęły się za jej plecami i Marlene poczuła pierwotny lęk, który dosłownie odebrał jej dech w piersi. Instynktownie próbowała stanąć na nogach, lecz nie znalazła oparcia. Pod jej stopami nie było podłogi, tylko jęczące ludzkie ciała, częściowo leżące jedno na drugim, bliższe śmierci niż życia. Na czworaka zaczęła brnąć między nimi. Czuła upiorny dotyk ich rąk, tak słabych, że nie były zdolne jej chwycić. W końcu dotarła do ściany, uczepliła się jakiejś wystającej deski, dźwignęła się z podłogi i znalazłszy coś w rodzaju występu, postawiła na nim zdrową nogę i odciążyla drugą. Na wpół wisząc, na wpół unosząc się niczym jedyna żywa dusza nad przeklętą otchłanią, kurczowo trzymała się ściany. Bała się, że jeśli ją puści, utonie w tym morzu ciał.

Rozległ się gwizd, potem ostry krzyk i pociąg powoli ruszył z miejsca. Z mozołem nabierał prędkości, jakby lokomotywa wzbraniała się wieść przeznaczony na śmierć ładunek do celu. Podróż trwała całą wieczność.

Zatrzymali się dopiero wczesnym rankiem. Przez szpary w ścianach wagonu do środka wpadało mdłe światło i ochryple głosy, którym akompaniowało histeryczne ujadanie psów. Tłok panujący w bydłym wagonie pozbawionym wody, jedzenia i sanitariatów oraz przerażające głosy na zewnątrz

w zupełności wystarczyły, by doprowadzić więźniów na skraj szaleństwa. Lecz oprawcom jakby nie dość było tych szykan, gdyż w powietrzu, niczym szyderstwo, unosiły się cudowne dźwięki walca.

Jęki stłoczonych w wagonie ludzi, które kilka godzin wcześniej ucichły, teraz znowu się wzmożyły. Marlene słyszała ciche błaganie o wodę. Drzwi jednak pozostawały zamknięte i nadzieja wraz z życiem zaczęła powoli uchodzić z więźniów. W końcu wagon został otwarty. Wyciągnięto ich na zewnątrz i garstka tych, którzy przeżyli transport, musiała się ustawić w szeregu. Marlene ujrzała grupę żalonych, zjednoczonych w cierpieniu, wzajemnie się wspierających postaci.

Wiedziała, dokąd ją przywieziono. Zobaczyła bramę, niekończące się rzędy podłużnych baraków i wysokie kominy, z których dym ulatywał ku niebu niczym unoszące się w powietrzu upiory. Wiedziała, że znalazła się w jednym z najstraszliwszych miejsc, jakie zbudowała ludzka ręka – w miejscu, gdzie nie było miejsca ani na litość, ani na współczucie.

Jej szereg został zbadany przez dwóch lekarzy, którzy wszystkich dokładnie obmacali, wypytali i w końcu dokonali selekcji. Na prawo życie, na lewo do gazu.

Gdzieś niedaleko rozległy się krzyki:

– Ta ma za duże piersi, pewnie jest w ciąży!

– Nie chcę żadnych wrzeszczących bachorów! Jazda z nią. Na lewo.

Podobny los spotkał starców, kobiety i dzieci. Pozostawiono tylko tych, którzy mieli dość siły, by pracować jako niewolnicy w pobliskich zakładach.

Marlene poczuła, jak nadwerężona w podróży zdrowa noga odmawia jej posłuszeństwa, i osunęła się bezwładnie na ziemię. Stojący obok niej starszy mężczyzna nie zdołał jej podtrzymać i oboje upadli. Marlene próbowała zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza, ale z odorem śmierci mieszał się inny swąd: dymu, palonych ciał i popiołu.

Usłyszała zgrzytliwy głos, który coś do niej mówił, lecz nie zareagowała. Dokonała ostatniego wyboru, jaki pozostaje w gestii zniewolonego człowieka: wybrała śmierć. Chciała umrzeć, tu i teraz, przed bramą Auschwitz. Brutalne uderzenie w zranioną nogę i potworny ból sprawiły, że wróciła do okrutnej rzeczywistości. Zaskowyczała i w tym samym momencie jazgotliwy głos wydał rozkaz:

– Na lewo.

Poczuła, jak chwytają ją czyjeś ramiona. Podniesiono ją i odciągnięto na bok. Podczas gdy żeńska orkiestra rozpaczliwie grała przed bramą obozu, Marlene przy akompaniamencie cesarskiego walca osunęła się w zbawienne ciemności.

Jakże szczęśliwą naiwnością odznacza się młodość, gdy święcie wierzy, że można biec równocześnie we wszystkie strony! Och, jakże pragnąłbym ją odzyskać, raz jeszcze uwierzyć w to, że jestem niezwykły! Potem mógłbym umrzeć szczęśliwy...

Raffael Valeriani

Miotła się między snem a koszmarem. Między zaciętą i szczerą twarzą doktora, który zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze, a aroganckim obliczem Brunnmanna. Między światłem a ciemnością raz po raz błyskało coś tajemniczego, egzotycznego – jakby wspomnienie czasów, gdy życie leżało jeszcze przed nią niczym niezapisana karta, a ona wypełniała ją tysiącem kolorów. Chciała zatrzymać ten sen o młodości i jej nadziejach. Nagle uświadomiła sobie, co to za miejsce. Miała osiem lat, kiedy babcia po raz pierwszy zabrała ją do Muzeum Pergamońskiego w Berlinie, a ona odkryła w nim nieznaną piękno. Choćby popiersie Nefretete! Była nim tak zafascynowana, że jeszcze tego samego dnia zaczęła błagać dziadka, by je kupił. A ponieważ było to niemożliwe, gdyż – jak jej cierpliwie wytłumaczył – Nefretete stanowi własność całej ludzkości i należy do wszystkich ludzi, i nikt nie może jej mieć tylko dla siebie, zaczęła odtąd często bywać w muzeum i wyobrażać sobie, jak to jest być królową, którą po latach ludzie podziwiają w muzeum.

Pewnego dnia pomalowała się brązową pastą do butów i włożyła babciną suknię i szal. Nieomal śmiertelnie przeraziła dziadków. To wtedy dziadek ze śmiechem powiedział do babci, że wychowali małą aktorkę.

Śmiech dziadka ucichł, za to obraz Nefretete nabrał konturów i wypełnił się szczegółami. Marlene ujrzała nad sobą twarz – i nie była to twarz egipskiej królowej.

– Nie śpisz, dziewczyno? – spytała egzotyczna postać stojąca u wezłowania jej łóżka.

Marlene podniosła oczy. To naprawdę nie sen? Jeśli nie, to kim jest ta niezwykła kobieta, której głowę wieńczy ogromna, przypominająca turban konstrukcja? W jej postawie i ruchach kryła się jakaś naturalna, wrodzona godność, a azjatyckie rysy z miejsca przykuwały uwagę. Twarz o cerze białej jak porcelana i obramowane cieniem oczy sprawiały, że nie sposób było określić wieku kobiety.

Nieznajoma bez słowa wstała i zniknęła za poplamioną zasłoną. Marlene zdążyła dostrzec za przepierzeniem długi rząd łóżek. Była w izbie chorych, odseparowana od innych, na końcu sali. Zasłona znów odsunęła się na chwilę i jej oczom niespodziewanie ukazał się doktor Friehling.

W pierwszej chwili Marlene myślała, że postradała zmysły. Chciała spytać doktora, co tutaj robi, lecz nie zdołała z siebie wykrztusić żadnego dźwięku. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo boli ją gardło. Jakby ktoś próbował w nie siłą wcisnąć jakiś ogromny przedmiot.

– Proszę nie mówić. Musieliśmy panią sztucznie odżywiać i przez jakiś czas musi pani oszczędzać gardło. W ranę na nodze znów wdało się zakażenie i przez wiele dni leżała pani w delirium. Sondę żołądkową usunęliśmy dopiero dziś rano. – Doktor usiadł obok niej, wziął ją za rękę i sprawdził puls. Marlene zrozumiała, że jej sen i postaci, które widziała, były niewyraźnym odbiciem prawdziwych zdarzeń i ludzi. Zastanawiała się, czy również Brunnmann stał nad jej łóżkiem. I ile czasu spędziła w malignie.

– I jak to wygląda, panie doktorze? Kiedy będę mogła ją zabrać?

Azjatka wyłoniła się zza zasłony i Marlene dopiero teraz zauważyła, jak wysoka i masywna jest ta kobieta i jak bardzo porcelanowa główka nie pasuje do reszty ciała. Razem z turbanem nieznajoma musiała mierzyć jakieś dwa metry wzrostu.

– Proszę wyjść, madame. Pacjentka potrzebuje spokoju – odparł stanowczo doktor.

Kobieta nazwana „madame” przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby rozważała, czy nie zarzucić sobie Marlene na ramię i jej po prostu nie wynieść, lecz w końcu odrzekła:

– Wrócę jutro, doktorze.

– Proszę bardzo. Do widzenia – odparł lekarz, demonstracyjnie odwracając się do madame plecami i ponownie zwracając się do Marlene: – Powiem siostrze, żeby przyniosła pani herbatę.

– Raczej lurę – rzuciła pogardliwie madame i w końcu zniknęła za zasłoną.

– Cóż, nie jesteśmy w Waldorf Astorii – mruknął doktor, a na jego twarzy odmalował się bezbrzeżny smutek, tak jakby czasy świetności słynnego hotelu bezpowrotnie minęły.

Marlene zastanawiała się, skąd ten melancholijny nastrój doktora. Czy jego przyczyną było bezsensowne cierpienie, które oglądał każdego dnia i którego kresu nie było widać? Czy wojna również jemu zabrała najbliższych? Kogo opłakiwał? Marlene chciałaby poznać go bliżej, lecz nawet gdyby mogła mówić, nigdy by o to nie zapytała. Bała się odpowiedzi. Dopóki to możliwe, chciała żyć złudzeniami, iluzją, że leży w zwyczajnym szpitalu. Chciała zapomnieć o okrucieństwie panującym za ścianą, zaledwie kilka metrów stąd. Choć na chwilę nie myśleć o okrutnej rzeczywistości, nawet jeśli była ona równie prawdziwa jak otaczające ją mury.

Szybko dowiedziała się, że leży w izbie chorych przeznaczonej dla żeńskiego personelu SS. Był to wielki przywilej, o czym poinformowała ją pielęgniarzka, Polka mówiąca łamaną niemiecką i okazująca jej życzliwość tylko wtedy, gdy w pobliżu był doktor. W ciągu następných czterdziestu ośmiu godzin gorączka spadła, lecz Marlene była przybita wydarzeniami ostatnich dni. Drugie powstanie w Warszawie zakończyło się taką samą klęską jak pierwsze, a ona sama wpadła w ręce wroga i leżała teraz przykuta do łóżka, zamknięta za podwójnym płótem z drutu kolczastego. Złośliwa

powtórka z historii. Von Greiff pęknie w piekle ze śmiechu. Szczytem absurdu było to, że w ciągu jednego dnia została żoną i wdową...

Była chora, osłabiona i całkowicie zdana na łaskę wroga. Nie pozostawało jej nic innego, jak przez cały dzień wpatrywać się w sufit albo zasłonę, czekając na wizytę doktora. Jej dni w przedziwny sposób skurczyły się do tych kilku minut, które mógł jej poświęcić. Może w ten sposób próbowała się bronić, wiedząc, że w przeciwnym razie pogrąży się w przygnębiających wspomnieniach i rozmyślaniach. Wiedziała, że jeśli Brunnmann darował jej życie i przysłał ją tutaj, to znaczy, że przygotował dla niej szczególną torturę. Nie chciał dla niej szybkiej śmierci, gdyż dręczenie ludzi było jego drugą naturą. A ponieważ Marlene nie miała chwilowo żadnego wpływu na to, co ją czekało, postanowiła nie łamać sobie głowy zamiarami Brunnmanna.

Tego dnia siostra nie zaciągnęła dokładnie zasłony i Marlene mogła przez wąską szparę obserwować doktora w trakcie obchodu. Szedł przez salę skupiony, oszczędnymi gestami dyrygując siostrami i okazując chorym tę samą troskę, którą otaczał Marlene. Zaiste, ten lekarz posiadał prawdziwy dar: umiał wlać w każdego pacjenta poczucie, że jest dla niego najważniejszy na świecie. Marlene przypomniała sobie innego lekarza, który okazał się jej opiekuńczym duchem i dobroczyńcą. Doktora Hondla, który przez blisko osiemnaście miesięcy był dla niej moralnym oparciem i pomagał jej w powrocie do zdrowia, a w końcu umożliwił ucieczkę z krakowskiego szpitala.

Jednak doktor Friebling i doktor Hondl nie byli ulepieni z tej samej gliny. Emanujący ojcowską czułością polski lekarz nie nosił pod fartuchem esesmańskiego munduru. To zapewne był powód, dla którego w sercu Marlene zrodził się irracjonalny gniew – na samą siebie i na doktora Frieblinga. Aby dać mu upust, bezceremonialnie napadła na niemieckiego lekarza, gdy tylko odzyskała mowę.

– Powinien był pan pozwolić mi umrzeć.

Niestety, słowa wypowiedziane słabym, łamiącym się głosem, nie brzmiały zbyt stanowczo i doktor skwitował je spokojnym uśmiechem.

– Och, widzę, że wraca pani do zdrowia.

Lekarz podał chorej przyniesiony wcześniej przez siostrę bezbarwny napar.

Marlene napiła się, gdyż czuła pragnienie, i spojrzała znad kubka w dal.

– No więc? Dlaczego Brunnmann darował mi życie? Czy to ma jakiś związek z tamtą kobietą?

– Nie rozumiem. Jaką kobietą? – Przez chwilę doktor sprawiał wrażenie zdezorientowanego. – Ach, mówi pani o madame Jolancie? Skąd taka myśl?

– Nie powie pan chyba, że ratował mi życie, powodowany przysięgą Hipokratesa?

Doktor zmrużył oczy.

– Dlaczego nie spyta pani wprost? Śmiało! Co chce pani wiedzieć?

– Właśnie spytałam, proszę odpowiedzieć.

– Dobrze, jeśli koniecznie chce pani wiedzieć: owszem, moim powołaniem istotnie jest ratowanie

życia.

Marlene spojrzała lekarzowi głęboko w oczy, wytrzymała jego spojrzenie i w końcu rzekła oskarżycielskim tonem:

– Tutaj?

Wypowiedziała tylko to jedno słowo, choć mogłaby wygłosić cały wykład na temat bestialstwa, które ma miejsce za tymi drutami.

Oczy doktora mimowolnie zwróciły się w stronę okna, za którym widać było zarys komina i unoszący się z niego słup dymu.

Kiedy znów na nią spojrzał, w jego oczach, dotąd tak jasnych, jakby były w stanie pojąć świat w całej jego złożoności, pojawił się smutek i mrok. Jednak nic więcej nie wskazywało na to, że słowa Marlene zdołały go dotknąć.

– Rozumiem. Już dawno wyrobiła sobie pani opinię na mój temat. – Lekarz powiódł wzrokiem badawczo po sali, po czym zaciągnął zasłonę i usiadł obok Marlene na łóżku, choć opodal stał taboret. – Poinformowano mnie, że jest pani aktorką – powiedział cicho. – W takim razie wie pani, że świat składa się z rzeczywistości oraz pozorów, a życie jest sceną, na której musimy grać przypisaną nam rolę.

Marlene wpatrywała się w twarz doktora. Świadomie go sprowokowała, lecz nie spodziewała się takiej reakcji. On się przed nią tłumaczył! Zastanawiała się, co to wszystko ma znaczyć.

Nagle ktoś odsunął zasłonę.

– Ach, tu pan jest, panie doktorze! – krzyknęła madame Jolanta i rozpostarła ramiona.

Marlene zdziwił ten gest, gdyż nie pasował do chłodnego dotąd zachowania madame. Na jej widok doktor zerwał się z miejsca, odsunął cienką kołdrę na bok i zajął się nogą Marlene.

Madame przesunęła się na bok, odsłaniając postać Albrechta Brunnmanna, który w towarzystwie mizogina Ewalda władczym krokiem przemierzał izbę chorych. Wszyscy obecni jakby stanęli na baczność. Nieustanny kaszel i jęki chorych niemal zupełnie umilkły, a w ich miejsce rozległy się okrzyki „*Heil Hitler!*”. Brunnmann łaskawie przyjmował wykrzykiwane przez pacjentki pozdrowienie, krocząc wzdłuż szpalery łóżek niczym na paradzie zwycięstwa.

Wyraźnie zmierzał w stronę Marlene.

– Widzę, że odzyskujesz siły – zauważył z katowskim uśmiechem, stanąwszy wreszcie obok jej łóżka.

– Chcesz mnie dręczyć? Zafundujesz mi równie prymitywne tortury jak twój jednooki przyjaciel Greiff?

Brunnmann lekkim skinieniem dał Jolancie i doktorowi do zrozumienia, że mają zostawić go sam na sam z pacjentką, i odprowadziwszy ich wzrokiem, zaciągnął zasłonę, co oszczędziło Marlene widoku szyderczo uśmiechniętego Ewalda.

– Widzę, że szybko zdobyłaś sobie przyjaciół – powiedział, siadając na stołku, po czym dodał zjadliwym tonem: – Uwierz mi, dziwko, będziesz jeszcze żałować, że nie jestem Greiffem i nie pozwolę ci wegetować w szpitalnym łóżku. – Brunnmann spojrzął czule na swój pejcz i podstawił go Marlene pod nos. Czekał na jej reakcję.

– Idź do diabła, Albrechcie – odparła.

Brunnmann westchnął, jakby miał do czynienia z krnąbrnym dzieckiem.

– Och, gdzie twoje maniery?! Zapewniam cię, że szybko zaczniesz się zachowywać, jak na hrabinę przystało. – Brunnmann uderzył pejczem w zranioną nogę. Marlene skrzywiła się z bólu, lecz nawet nie jęknęła. Oprawca mógł zadać jej ból, ale nie był w stanie złamać jej ducha. – Przypominam sobie twoje wyjątkowe umiejętności, którymi się wykazałaś pewnej nocy wespół z tą małą dziwką Deborą.

Esesman oblizał wargi, a Marlene zrobiło się niedobrze na wspomnienie tamtego wieczora, gdy omal nie przyłapał jej i Debory, kiedy myszkowały w jego teczce. Z konieczności, aby odwieść go od zamiaru schowania dokumentów do sejfu, musiały coś naprędce wymyślić. I wymyśliły – miłosny trójkąt. Marlene zrozumiała, że Brunnmannem kieruje zraniona duma. Był przekonany, że poszła z nim do łóżka, gdyż nie była w stanie mu się oprzeć, a w rzeczywistości zwyczajnie go wykorzystała.

Na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech.

– Widzę, że sobie przypomniałaś... Jolanto! – krzyknął i kilka sekund później ogromne cielsko madame wśliznęło się za zasłonę. – Jest twoja! – rzucił Brunnmann, po czym wstał i wyszedł, głośno stukając obcasami.

– Czego on ode mnie chce? – Marlene spojrzała zdezorientowana na madame. Jeśli chciał zemsty, to dlaczego jej nie zabił, tylko kazał ją leczyć? I jeszcze ta aluzja do jej „umiejętności”... Zanim Jolanta zdążyła odpowiedzieć, zjawił się doktor.

– Pacjentka zostanie tutaj – powiedział. – Jej stan nie jest jeszcze stabilny.

– Decyzja nie należy do pana, doktorze. – Jolanta stanęła tuż przed nim. Nawet bez turbanu przewyższała go co najmniej o głowę.

– Och, wręcz przeciwnie – doktor nic sobie nie robił z jej imponującej postury. – Obersturmbannführera proszę zostawić mnie. Do widzenia!

Jolanta po raz ostatni łypnęła okiem na Marlene, po czym wzruszyła ramionami i wyszła.

Doktor zdołał odwlec o kilka dni „wypis” pacjentki. Wtedy zjawił się inny lekarz, młody i szalenie energiczny, i rzuciwszy pobieżnie okiem na jej nogę, uznał, że Marlene jest całkowicie zdrowa, i kazał ją wypisać.

Wkrótce potem Jolanta przyniosła fartuch, buty i chustkę, osobiście sprawdziła, czy nie wystają spod niej włosy Marlene, i zabrała ją z izby chorych.

Odpryski wojny

Od czasu przystąpienia do wojny Stany Zjednoczone Ameryki Północnej straciły 13 500 samolotów i wydały 200 miliardów dolarów; kolejne 95 miliardów zostanie wydatkowane przez ministerstwo finansów do końca 1944 roku.

Od początku wojny straty Wehrmachtu wyniosły około trzech i pół miliona żołnierzy. Połowa z nich poległa, druga zaś trafiła do niewoli.

Do Auschwitz dotarł pociąg z holenderskimi Żydami. Wśród przywiezionych byli Anna Frank i jej bliscy.

Chcę pieśni bez łez i wzdychania. Zagraj więc tak, żeby wszyscy, którzy ją usłyszą, zobaczyli, że żyję i wciąż mogę śpiewać!

Josl Kotliar

Wspierając się na ramieniu Jolanty, Marlene kuśtykała przez żółtawe błoto, w które deszcz zamienił gliniastą ziemię. Od dwóch dni bez przerwy na Auschwitz spadały strugi deszczu. Rozglądała się dyskretnie. Niewyraźne zarysy wież strażniczych majaczyły w regularnych odstępach, by w końcu rozpląnąć się w szarej mgle. To najlepiej świadczyło o rozmiarach obozu. Szukała wzrokiem kominów usytuowanej na terenie obozu fabryki IG Farben, dla której więźniowie stanowili niewyczerpany rezerwuwar taniej siły roboczej, lecz deszcz padał zbyt gęsto, by dostrzec zabudowania zakładu. Minęły smutne drewniane baraki i plac, na którym długie pięcioosobowe kolumny więźniów w ulewnym deszczu stanęły do wielogodzinnego apelu. Uwagę Marlene przykuła więźniarka stojąca nieco na uboczu i trzymająca w rozpostartych na boki rękach dwa duże kamienie. Przed nią stała kapo, bijąc biedaczkę kijem, ilekroć ta opuszczała ramiona. Kiedy młoda więźniarka, właściwie jeszcze dziecko, upadła w końcu na ziemię, kapo rzuciła się na nią jak oszalała i zaczęła ją bez pamięci okładać. Nikt ze stojących w kolumnach nie drgnął. Wszyscy patrzyli przed siebie w milczeniu. Ta obojętność głęboko wstrząsnęła Marlene. To fatalistyczne pogodzenie z losem było dla niej czymś niepojętym. Zastanawiała się, w jaki sposób nazistom udało się złamać wolę tych wszystkich ludzi i sprawić, że pogrążyli się w duchowym paraliżu. Ogarnęło ją przemożne pragnienie wmieszania się między tych biedaków, okazania im solidarności. Czuła, że nie ma prawa liczyć, iż akurat jej uda się przeżyć, skoro na tyłu niewinnych ludzi kładzie się ponury cień śmierci.

– Nie gap się!

– Słucham? – Marlene wzdrygnęła się.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od kilku minut jest pogrążona w myślach.

– Twoje współczucie w niczym im nie pomoże. Nie ulżysz im. Nie ty zadajesz im cierpienie i nie ty za nie ponosisz winę. Jeśli chcesz żyć, musisz zamknąć oczy i zapomnieć o otaczającym cię okrucieństwie. No, chyba że chcesz umrzeć. W takim razie proszę, możesz do nich dołączyć! – Jolanta usunęła nagle ramię, każąc swej podopiecznej wybierać.

Marlene chciała się zbuntować, odpowiedzieć Jolancie, że owszem, czuje się odpowiedzialna za

innych, a zarazem zdawała sobie sprawę z bezsensowności takiego buntu. Jolanta miała rację – jej śmierć nikomu nie pomoże. Marlene chciała przeżyć, również po to, by w przyszłości nigdy więcej nie powtórzyło się takie bestialstwo. Wiedziała, że ktoś musi przetrwać i dać świadectwo o tych potwornych czasach. Martwi tego nie zrobią.

Szły dalej odprowadzane setkami oczu. Więźniowie funkcyjni, zwani również kapo, patrzyli na nie wzrokiem ociekającym nienawiścią – zwłaszcza na Jolantę, ale też na Marlene. Jolanta, która nie była chyba szczególnie lubiana przez współwięźniów, skorzystała z okazji, by udzielić Marlene pierwszej lekcji:

– Zapamiętaj sobie: kapo nas nienawidzą, zwłaszcza ci polityczni. Dla nich jesteśmy zdrajczyniami. Miej się też na baczności przed nadzorczyńiami z SS. To prawdziwe bestie i jeśli złapią cię beze mnie, zabiją cię i rzucą psom na pożarcie.

Wkrótce dotarły do utwardzonej drogi i Marlene ujrzała długi szereg ceglanych budynków, częściowo otoczonych drzewami i rabatami. Domyśliła się, że to ta część obozu, w której kiedyś znajdowały się polskie koszary – jakieś trzydzieści budynków otaczających dawny plac maneżowy.

Między dwoma budynkami oznaczonymi jako Blok 10 i Blok 11 Jolanta nagle skręciła i ruszyła w stronę ceglanego muru oklejonego ciemnymi płytami izolacyjnymi. Gdy się zbliżyły, Marlene zobaczyła, że ściana jest dosłownie zryta karabinowymi kulami.

Jolanta zaciągnęła ją pod mur.

– To ściana straceń. Ostatni komendant obozu kazał ją rozebrać, ale na rozkaz Brunnmanna została odbudowana. Ma być naszym *memento*. Jestem odpowiedzialna za dwadzieścia jeden dusz. Dwadzieścia jeden kobiet, które czują, oddychają, żyją. Jeśli spróbujesz uciec, wszystkie zginą. Zostaniemy rozstrzelane, bez wyjątku, każda z nas. Każda odpowiada życiem za pozostałe. Zrozumiałaś? Nawet nie myśl o ucieczce! – Jolanta ścisnęła ramię Marlene tak mocno, że biedaczka poczuła, jak w jej skórę wbijają się paznokcie madame. Kiedy tak stały naprzeciw siebie niczym dwie przeciwniczki, Marlene poczuła nie tylko fizyczną siłę tej potężnej kobiety, lecz również jej wyjątkowy hart ducha. A przy okazji pojęła, że niczym się od siebie nie różnią: obie chciały za wszelką cenę dotrwać do końca wojny. I obu chodziło o coś więcej niż tylko o własną skórę. Marlene zastanowiła się, kim też mogą być podopieczne madame.

Stały w deszczu, który wciąż padał z nieba, zmywając na chwilę odór śmierci wypełniający obóz. Jolanta czekała na jej odpowiedź. Marlene nie miała ochoty dłużej stać w tym przeklętym miejscu. Już wcześniej słyszała o ścianie straceń, pod którą rozstrzeliwano przede wszystkim „politycznych” i tak zwanych inteligentów, czyli duchową elitę Polski: pisarzy, artystów, profesorów wyższych uczelni. Niektórych znała osobiście. Cicho wyszeptała za nich modlitwę: „Oby ich dusze zamieszkały w raju...”.

Jolanta pociągnęła ją dalej. Wyszły z zaułka i wróciły na utwardzoną drogę obozu głównego.

Obok ostatniego z ceglanych budynków, nieopodal płotu z drutu kolczastego, stał drewniany barak, który przypominał Marlene stajnię jej dziadka. Nie był zbyt szeroki, miał najwyżej osiem metrów i co najmniej trzy razy tyle długości.

Weszły do niewielkiego przedsionka z dwojgiem drzwi. Jedne były zamknięte, drugie zaś prowadziły do ogromnej sali. Pośrodku znajdował się stół, wokół którego ustawiono kilka ławek, a pod dłuższą ścianą zbudowano prycze. Więcej mebli nie było. Za to, ku zdziwieniu Marlene, panowała tu wręcz sterylna czystość. Drewniana podłoga wyglądała tak, jakby każdego dnia szorowano ją szczotką ryżową.

Jolanta zatrzymała się w progu.

– Zdejmij buty – poleciła, wskazując na parę drewniaków stojącą w przedsionku obok dwóch tuzinów podobnych, a następnie zaprowadziła Marlene na środek sali i wskazała na jedną prycz. – Tu będziesz spać, razem z jeszcze jedną dziewczyną.

– Co to za miejsce?

– Twój nowy dom. Rozbierz się.

– Po co?

– Bo ja tak każę. – Jolanta wyciągnęła w jej stronę rękę, lecz Marlene odsunęła się. Wtedy madame z kocią zwinnością, której trudno było się spodziewać po tak masywnej kobiecie, złapała Marlene i obezwładniła ją jakimś chwytem. – Posłuchaj uważnie – warknęła. – Kiedy mówię: „Skacz”, możesz najwyżej spytać: „Jak wysoko?”. Jasne?

Marlene uznała za stosowne zgodzić się z madame, choćby z tego względu, że w jej żelaznym uścisku z trudem chwytiała powietrze. Zachowanie Jolanty stanowiło dla niej zagadkę. W żaden sposób nie potrafiła rozgryźć tej kobiety, a od tego przecież zależało jej życie. Po chwili madame poluzowała chwyt i uwolniła dziewczynę, która rozcierając szyję, wysapała:

– Co byś powiedziała, gdybyśmy skończyły tę dziecinadę i porozmawiały jak dorośli?

Jolanta zignorowała tę uwagę i na chwilę zniknęła za zasłoną na końcu baraku.

– Zdejmij mokry fartuch i załóż ten. Potem porozmawiamy o twojej przyszłości.

Kiedy Marlene się przebierała, Jolanta poddała ją wnikliwym oględzinom.

– Ciało masz w porządku, choć trochę kościste. Za to twoja twarz ma w sobie coś egzotycznego, jakby francuskiego. Podkreślimy to. – Chwyciła Marlene za brodę i obróciła ku światłu. – Dobry profil, policzki niczym z marmuru. Umiesz tańczyć, śpiewać albo grać na jakimś instrumencie?

Marlene zaczęła się domyślać, co ją czeka. Słyszała plotki, że odkąd wśród członków SS zaczęły się szerzyć choroby weneryczne, Niemcy zaczęli tworzyć w obozach koncentracyjnych ekskluzywne domy publiczne, w których „pracowały” zdrowe i regularnie badane więźniarki. Tak, Brunnmann wymyślił doskonałą zemstę: postanowił, że zrobi z Marlene nazistowską dziwkę!

Wybór był prosty: albo pewna śmierć w obozie, albo codzienne gwałty dokonywane przez

esesmanów. Poczwała mdłości. Ernstowi oddała się z własnej woli, służąc sprawie, lecz teraz na samą myśl o tym, co ją tu czeka, przechodziły ją ciarki. Aby nie okazać słabości, stwierdziła bez ogródek:

– Czyli to zwykły burdel, a ty jesteś burdelmama?

– W rzeczy samej – odpowiedziała spokojnie Jolanta. Napastliwy ton najwyraźniej nie robił na niej wrażenia. – To mój sposób na to, by przeżyć: zabawiaj swoich oprawców, spraw, by na chwilę zapomnieli o tym, że ich praca polega na mordowaniu niewinnych ludzi. Jeśli zgodzisz się dla mnie pracować, zadbam o to, żebyś pozostała przy życiu. Masz wybór: życie albo śmierć. Wybieraj!

– Życie – odrzekła Marlene bez wahania. Chciała za wszelką cenę przeżyć, choćby po to, by w przyszłości zemścić się na Brunnmannie... – Gdzie są pozostałe dziewczęta? – Usiadła na pryczy, jakby chciała sprawdzić, czy jest wygodna. W rzeczywistości zrobiła to, ponieważ wędrownia przez obóz całkowicie wyczerpała jej siły. Jednak przyznanie się do własnej słabości nie byłoby w tych okolicznościach rozsądne. Marlene musiała sobie zjednać tę kobietę, a słabość nie przysporzyłaby jej punktów u madame. – Za twarde dla esesmańskich tyłków – stwierdziła.

Jolanta zrobiła krok naprzód i uderzyła ją w twarz. Marlene zupełnie się tego nie spodziewała. Jej głowa odskoczyła w bok, przed oczami zatańczyły jej gwiazdy, a na rozbitej wardze poczuła krew.

– Co ty robisz? – jęknęła, trzymając się za piekący policzek.

Jolanta stanęła nad nią na szeroko rozstawionych nogach. Ogromny zawój na jej głowie przemógł do suchej nitki i po jej twarzy płynęły strugi wody, lecz to w żaden sposób nie umniejszało jej wrodzonej potęgi.

– Po pierwsze: nigdy nie wyrażaj się pogardliwie o esesmanach ani w ogóle o Niemcach. Dotyczy to również Brunnmanna. Czy to jasne?

Marlene spojrzała na nią zaskoczona. Czyżby tak bardzo myliła się co do tej kobiety? Co się stało z jej intuicją i znajomością ludzkiej natury? Najpierw doktor, a teraz ta Azjatka... Na wszelki wypadek kiwnęła głową.

– To dobrze! Po drugie, zanim zaczniesz pracę, musisz się wykurować. Ledwie stoisz na nogach. Pomówię o tym z Ewaldem.

– Psem Brunnmanna?

Jolanta spiorunowała ją wzrokiem.

– Trzymaj. – Podała jej mokrą chusteczkę. – Wytrzyj usta. Nie chcę, żebyś poplamiła krwią świeże ubranie. I żadnych pytań. Wszystkiego, co niezbędne, dowiesz się ode mnie. Jasne?

Marlene nie mogła się pozbyć wrażenia, że madame czyta w jej myślach.

W końcu Jolanta zdjęła turban i na jej ramiona spłynęły długie włosy, tak czarne, że aż fioletowe. Madame rozczesała palcami mokre kosmyki i uniosła je, jakby ich ciężar zanadto zalegał jej na ramionach.

– Są dwa typy ludzi, których nie znoszę: krnąbrni oraz ci, którzy uważają się za wyjątkowo

sprytnych. Ty należysz do obu kategorii. Cenię za to szczerść, więc mów: co cię łączy z Brunnmannem?

– Skąd myśl, że coś mnie z nim łączy?

Jolanta przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę ponownie uderzyć swą podopieczną. Marlene nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby tylko w ten sposób odwłókł się termin rozpoczęcia przez nią „pracy”.

Jednak Jolanta przejrzała podstęp.

– Uważaj! Wielu moich klientów lubi maltretowane kobiety. Ich widok zaspokaja ich niskie instynkty. Znałam pewnego Brytyjczyka w Hongkongu. Wiesz, jak nazywał bite kobiety? *Well done*. – Jolanta chwyciła Marlene za ramię, zaciągnęła do stołu i siłą usadziła na ławce. – Powtarzam po raz ostatni: to ja zadaję pytania, nie ty! Nie znasz mnie, a ja nie znam ciebie. Do tej pory sama wybierałam swoje dziewczęta, a ciebie przysłał Brunnmann. Może więc mi wyjaśnisz, o co tu chodzi? Dlaczego więc najpierw wsadził cię do transportu, a potem kazał ratować naszemu doktorowi-cudotwórcy?

Marlene zastanowiła się nad odpowiedzią. Zapewnienie Jolanty, że do tej pory sama wybierała swoje pracownice, mogło sugerować, że madame uważa nową podopieczną za wtyczkę Brunnmanna. To by zaś oznaczało, że relacje między burdelmama i alfonsem, bo tylko tak można było określić Brunnmanna, były bardzo napięte. W tych okolicznościach Marlene uznała, że najlepiej będzie wyznać madame prawdę.

– Szpiegowałam Brunnmanna. Dwa lata temu zwerbowałam dla krakowskiego ruchu oporu jego kochankę. Dlatego się mści.

– Ty jesteś Marlene? To ty zepsułaś jego niewinnego słowiczka? Pamiętam, że Greiff wykorzystał wtedy zamach na Cyganerię, żeby intrygować przeciwko Brunnmannowi. Rozpuścił plotkę, że obersturmbannführer Brunnmann, człowiek, który odpowiada za organizację eksterminacji Żydów, ma żydowską kochankę! – Jolanta wybuchła śmiechem, lecz było to śmiech, od którego Marlene dostała dreszczy.

– Jesteś świetnie poinformowana – odrzekła nie bez podziwu. Korciło ją, by zapytać, jak i kiedy Jolanta trafiła do obozu i jak długo pracuje dla Brunnmanna, lecz rozsądek podpowiadał jej, by na razie nie prowokować Azjatki wścibskimi pytaniami.

Jolanta świdrowała ją wzrokiem.

– Nie myśl sobie, że zdobyłaś moje zaufanie. Będę cię mieć na oku. I moje dziewczęta też. A teraz zaczniemy lekcję. Najpierw nauczę cię, jak się chronić.

– Nie jestem dzieckiem. Umiem o sobie zadbać. Ostatnie, na co mam ochotę, to nazistowski bękart.

Jolanta potrząsnęła głową.

– Nie w tym rzecz – odparła madame ze złością. – Już dawno jesteś wysterylizowana.

– Co? – Marlene odruchowo złapała się za brzuch.

– To rozkaz Brunnmanna. Wszystkie moje dziewczęta przeszły tę procedurę. Byłaś w takim stanie, że nie pamiętasz operacji.

– Doktor mnie operował? – Marlene nie była przygotowana na tę druzgocącą nowinę.

Poczuła, jakby ktoś ją kopnął w żołądek. Nagle ogarnęła ją dziwna słabość i poczuła, jakby ktoś wyrwał jej duszę z ciała. Do tej pory nie myślała o dzieciach, gdyż wojna nie sprzyjała rozmyśleniom o macierzyństwie, lecz świadomość, że ktoś zdecydował za nią, bolała nie mniej niż to, że tym kimś był doktor – człowiek, któremu właśnie zaczęła ufać.

– Nie myśl o tym. Za tymi drzwiami dzieją się dużo gorsze rzeczy. Jesteśmy w obozie – Jolanta powiedziała to głosem zupełnie wypranym z emocji. – Masz jedno zadanie: przeżyć. Dopóki los ci sprzyja.

Marlene przeszył lodowaty dreszcz. Objęła się ramionami, jakby próbowała się ogrzać. Wiadomość o sterylizacji wstrząsnęła nią.

– Wróćmy do lekcji. Po pierwsze, musisz się chronić przed chorobami. – Jolanta wyjęła brązową butelkę. – Ten specyfik opracował dla nas doktor Friehling. Nasączasz nim małą gąbkę i przed każdym stosunkiem wprowadzasz ją sobie do środka. Później ci pokażę, jak to zrobić.

Marlene spojrzała sceptycznie na butelkę.

– To działa?

– Do tej pory jeszcze żadna z dziewcząt nie zachorowała. Doktor jest ekspertem w tej dziedzinie, dlatego ma tylu pacjentów.

– Jest specjalistą od chorób wenerycznych? – zdziwiła się Marlene.

Przez twarz Jolanty przemknął cień. Najwyraźniej nie chciała się wdawać w szczegóły.

– Reguła numer dwa: to jest barak sypialny. Oczekuję tu absolutnej czystości. Tam – wskazała na zasłonę, za którą kilka minut wcześniej zniknęła – nikt nie ma wstępu. Ani ty, ani żadna z pozostałych dziewcząt. Za każde wykroczenie czeka Blok 10. Jasne?

Marlene znów kiwnęła głową, choć w duchu postanowiła, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zajrzy za zasłonę. Zastanawiała się też, czym jest ów „Blok 10”.

Tego miała się już wkrótce dowiedzieć od dziewczyny o imieniu Olga, którą Jolanta przydzieliła jej jako sąsiadkę z pryczy. Olga opowiedziała o jakimś doktorze Mengele, który prowadził eksperymenty na ludziach. Rozmowa toczyła się pod kocem, jako że Jolanta zabraniała nocnych pogawędek. Olga jednak najwyraźniej nie zważała na ten zakaz. W przeciwieństwie do pozostałych dziewcząt, nie była piękna w obiegowym tego słowa znaczeniu, lecz miała w sobie jakąś nieustraszoną, która podświadomie działała na mężczyzn. Była Rosjanką, lecz swoje przezwisko – „Czerwona” – zawdzięczała rudym włosom, a nie pochodzeniu z bolszewickiego kraju. Zresztą już na

początku znajomości z Marlene Olga zaznaczyła z naciskiem:

– Socjalizm to maskarada, która służy jako pretekst do łupienia i mordowania własnego narodu.

Olga nigdy nie owijała w bawełnę, przeklinała, gdy nie było Jolanty, i stroiła za jej plecami miny. Bynajmniej nie przesadzała, twierdząc, że jest w stanie przepić każdego mężczyznę, nawet Rosjanina, o czym Marlene miała się wkrótce przekonać na własne oczy. Olga była od niej o kilka lat młodsza, ale jej duszę zdążył już zatruć cynizm. Mimo to często się śmiała, a jej gromki śmiech był w stanie burzyć ściany i zagłuszyć strach.

Te wrześnie tygodnie Marlene miała zapamiętać do końca życia. Ponieważ była najmłodsza stażem, Jolanta kazała jej każdego ranka szorować barak, a raz w tygodniu wraz z innymi dziewczętami wyznaczała do sprzątnięcia kantyny oficerskiej SS i latryn. Marlene szybko nabrała wprawy i wykonywała te prace mechanicznie i bez obrzydzenia.

Któregoś dnia grupa dziewcząt pod kierownictwem Olgi wpadła do magazynu ze środkami czystości i szybko zrzuciła ubrania.

Marlene patrzyła zdumiona.

– Co się stało? – spytała wreszcie Olę.

– Kazali nam sprzątać nago. Pamiętaj, nie patrz im w oczy! Inaczej złączą nas jeszcze bardziej szykanować. Będą pluć na podłogę albo szczać nam przed nosem.

Marlene szybko zauważyła, że zboczone fantazje esesmanów nie mają granic: jeden gasił na dziewczętach papierosy, inni kazali im patrzeć, jak załatwiają potrzebę, a potem sprzątać.

– Wyzywają się na nas, bo nie mogą nam wsadzić swoich fiutów. Brunnmann im zabronił – wyjaśniła Olga, gdy Marlene kładła mokrą ścierkę na jej poparzone ramię.

Nie licząc tych rzadkich „atrakcji”, dni w baraku przebiegały wedle ściśle wyznaczonego planu: punktualnie w południe przyjeżdżał autobus i zabierał dziewczęta do domu położonego w otaczającej obóz i strzeżonej przez wartowników pięciokilometrowej strefie, z której Niemcy wysiedlili tysiąc dwustu polskich mieszkańców.

Dom był ich kwaterą – stąd wyruszały do pracy i tu odbywały się lekcje. Jolanta nazywała niepozorny dwupiętrowy budynek *oki-ya* – na wzór japońskiego domu i szkoły gejsz. Madame dbała, by panowała tu surowa dyscyplina, nierzadko używając w tym celu kija. Robiła wszystko, by wyuczyć „swoje dziewczęta” na pierwszorzędne kurtyzany, które sama nazywała *geikos*.

Podopieczne madame uczyły się na pamięć całych sztuk teatralnych, tańca, a te z dziewcząt, które zdaniem Jolanty dysponowały odpowiednim głosem – w tym Marlene – dodatkowo pobierały też lekcje śpiewu. Marlene ćwiczyła głównie popularne niemieckie szlagiery, od Zary Leander po Lale Anderson, ale też piosenki francuskie. W „szkole” uczono się nadto języków obcych. Niemiecki i angielski były obowiązkowe, a dodatkowo do wyboru były francuski albo rosyjski. Dwie dziewczyny, które umiały grać na pianinie, pobierały lekcje u jednego z więźniów, młodego wirtuoza

z Wrocławia, ma się rozumieć, Żyda, którego Jolanta podkradła obozowej orkiestrze. Niestety okazało się, że biedak przeszedł tyfus plamisty i teraz nie dość, że ledwie stał na nogach, to jeszcze źle słyszał. Mimo to wywiązywał się ze swoich zadań wzorowo. Można by wręcz pomyśleć, że to muzyka trzymała go przy życiu.

Jednak najtrudniejszą z lekcji była ta, którą można by streścić jednym, za to często powtarzanym przez Jolantę zdaniem: „Macie za wszelką cenę zadowolić swego klienta, a najlepiej to uczynić, udając rozkosz, gdy ten zwala się na was całym ciężarem”. Tak oto gwałtowi na ciele towarzyszył gwałt na duszy. Uczennice madame musiały się nauczyć znosić upokorzenia i maskować obrzydzenie.

Marlene już pierwszego dnia zetknęła się ze stosowanymi przez Jolantę kuriozalnymi metodami nauczania technik miłosnych. Musiała się między innymi uczyć na butelce, jak pobudzić – jak się wyraziła Jolanta – „najlepszą część mężczyzny”. Madame zademonstrowała to osobiście: uklękła na ustawionym w „sali lekcyjnej” łóżku, pochyliła się nad szyjką butelki – podczas lekcji zawsze dbała o to, by jak najdokładniej oddać „warunki pracy” – i zaczęła bez cienia obrzydzenia lizać i ssać butelkę. Gdy skończyła, Marlene uklękła i poczęła ją naśladować, podczas gdy Jolanta, stojąc obok niej, udzielała szczegółowych wskazówek: „Powiedz po szyjce powoli językiem – mówiła. – Staraj się zmieniać rytm: wolniej, potem szybciej i znów wolniej”.

Każdego dnia madame z naciskiem przypominała też swym podopiecznym, że mają się zachowywać jak damy z wyższych sfer: „Musicie sprawić, by zapomnieli, że robicie to wbrew swojej woli!”.

Aby przewyciężyć wstręt względem każdego kolejnego klienta, Marlene wyobrażała sobie, że jest Ninon de Lenclos, jedną największych kurtyzan siedemnastowiecznego Paryża. Mimo to każdego dnia miała poczucie, że coraz bardziej pogrąża się w otchłani nienawiści, okrucieństwa i obrzydzenia. Czasami zastanawiała się, gdzie zaczyna się tamta dawna Marlene, sprzed Auschwitz, a gdzie obecna. I czy czeka ją coś „po Auschwitz”. Czy kiedykolwiek zdoła odnaleźć dawną siebie.

Któregoś popołudnia – mijał właśnie tydzień, odkąd Marlene zaczęła się przygotowywać do przyszłej „pracy” – Jolanta przyniosła skrzypce. Dostała je w „Kanadzie”, jak nazywano pobliski magazyn, gdzie w trzydziestu barakach przechowywano wszystkie wartościowe przedmioty odebrane nowo przybyłym więźniom. Marlene, która w dzieciństwie przez jakiś czas pobierała lekcje u babki – póki miejsca skrzypiec nie zajęły inne pasje – natychmiast zainteresowała się instrumentem. Już podczas pierwszej wprawki spostrzegła, że gra daje jej duchowe oparcie, gdyż pozwala wrócić do przeszłości, do czasów, gdy otaczali ją kochający ludzie. Teraz już rozumiała młodego żydowskiego pianistę, który żył tylko dzięki muzyce i dla muzyki. Podczas ćwiczeń mogła przynajmniej na kilka chwil odsunąć od siebie myśli o tym, co musi znosić każdej nocy, zaspokajając chęć kolejnych mężczyzn, i znów poczuć się jak w domu kochanych dziadków, którzy przygarnęli ją pod swój dach po tym, jak w krótkim odstępie czasu odumarli ją oboje rodzice.

Najgorsze było dla niej kompletne ubezwłasnowolnienie i całkowite zdanie na łaskę bezdusznych sadystów pokroju Brunnmanna czy Ewalda, którzy mogli ją w każdej chwili poddać wymyślnym torturom, wdeptując w ziemię niczym karalucha. Miała do wyboru tylko dwie możliwości: śmierć albo naznaczone upokorzeniem życie kobiety wyjętej spod prawa. Ciężar upokorzenia był jednak tak wielki, że wrodzona duma czasem skłaniała ją do refleksji, czy aby nie lepsza byłaby śmierć. Od ostatecznego kroku powstrzymywała ją tylko myśl, że w ten sposób brunatne bestie odniosą nad nią zwycięstwo. Ta świadomość dodawała jej sił i pozwalała dalej znosić hańbę i upokorzenia.

Lecz nie tylko osobista udręka była źródłem jej duchowego cierpienia. Auschwitz przypominało jej żarłocznego potwora, który żywi się ludzkim nieszczęściem i bólem. Owszem, Jolanta powtarzała, że jeśli nie chcą, by panujące wokół okrucieństwo pociągnęło je na dno, muszą o nim zapomnieć, lecz Marlene nie miała pojęcia, jak to zrobić. Obóz był miejscem, którego nie byłby w stanie pojąć normalnie czujący człowiek, a panujące tu porządki przekraczały granice ludzkiej wyobraźni. Odkąd Marlene znalazła się w Auschwitz, bez przerwy, w każdym momencie czuła ból. Bolało ją nie tylko ciało, lecz również dusza, jakby jej nerwy reagowały na to, co muszą znosić więźni tu ludzie. Ból fizyczny był jednak łatwiejszy do wytrzymania niż ten, który czuła w środku. A przecież do tej pory tylko raz widziała na własne oczy obóz w całej jego grozie – w dniu, w którym Jolanta zabrała ją z izby chorych i zaprowadziła do baraku. Marlene rozumiała już, dlaczego Brunnmann postanowił, że podopieczne madame nie będą spać w *oki-ya*, i rozkazał, by każdego ranka po pracy wracały do baraku, za druty. Chciał, by nawet na chwilę nie zapomniały, że ich los wisi na cienkiej nitce, którą on w każdej chwili może przeciąć. To on, Brunnmann, decydował o ich życiu lub śmierci.

W tych dniach dwie dziewczyny nie wróciły z pracy. Pozostałe nie rozmawiały o tym, co się z nimi stało, toteż ich nieobecność Marlene spostrzegła dopiero wtedy, gdy Jolanta zaczęła gorączkowo przeczesać obóz w poszukiwaniu zastępczyń i wkrótce potem do baraku wprowadziły się dwie nowe dziewczyny. Wnet jednak się okazało, że nawet Jolanta nie jest nieomylna w swoich sądach: jedna z dziewcząt już pierwszej nocy próbowała uciec i została zastrzelona przez strażę.

Namiestniczka Brunnmanna krótko trzymała swoje podopieczne. Kazała im sprzątać, udzielała wyczerpujących fizycznie lekcji i pędziła do pracy, tak że na sen zostawało im niewiele czasu. Lecz Marlene i tak z trudem zasypiała i nie miała apetytu. Zmuszała się do jedzenia, aby jeszcze bardziej nie schudnąć.

Samo zdobywanie pożywienia odbywało się w dość osobliwy sposób. Na rozkaz Brunnmanna barak nie był zaopatrywany w żywność, toteż dziewczęta musiały zaspokajać głód „w pracy”. Rzadko udawało im się najeść do syta. Jolanta co wieczór przypominała im, by starały się przynieść do baraku jak najwięcej jedzenia i alkoholu i każdego ranka, gdy wracały po całonocnej harówce, przetrząsała im torebki i zabierała wszystko niczym sutener, wydzielając im jedynie głodowe racje.

Marlene domyślała się, że Jolanta na wielką skalę handluje jedzeniem. W Auschwitz, jak

wszędzie, gdzie ludzie żyją obok siebie, wytworzyła się dość klarowna hierarchia – zresztą całkiem po myśli kierownictwa obozu, które wspierało tę osobliwą formę więziennego samorządu. Więźniowie funkcyjni dysponowali w obozie nieomal nieograniczoną władzą i wielu z nich, zwłaszcza kapo, którzy w większości rekrutowali się spośród więźniów kryminalnych, wcale nie ustępowało strażnikom w okrucieństwie. Jedni i drudzy z upodobaniem bili i dręczyli swoje ofiary, zwłaszcza Żydów i Cyganów, którzy uchodzili za najniższą kastę w obozie. Marlene każdego dnia zmagiała się z wszechobecnym bestialstwem panującym w tym „świecie na opak”, w którym zbrodniarze nie musieli się niczego obawiać, a nawet mogli awansować w hierarchii, podczas gdy niewinni byli pozbawieni elementarnych praw.

Jeśli chodzi o Jolantę, to wciąż stanowiła ona dla Marlene zagadkę. Obserwując sposób bycia i niebanalną osobowość madame, można by pomyśleć, że całe jej życie toczyło się poza porządkiem tradycyjnych wartości i konwenansów. Była sprawiedliwa, ale potrafiła też bezlitośnie wymierzać kijem razy, gdy któraś z dziewcząt nie spełniała jej oczekiwań. Marlene już pierwszego wieczora spytała Olgę, dlaczego Brunnmann nazywa Jolantę „madame Butterfly”, na co Olga odrzekła szeptem, że Jolanta była kiedyś gejszą w Hongkongu, prawdziwą legendą tej brytyjskiej kolonii. Tam też spotkała na swojej drodze żydowskiego kupca z Holandii, który śmiertelnie się w niej zakochał i najzwyczajniej w świecie uprowadził ją na swym statku do Europy. Niestety później nie zdołał w porę tymże statkiem uciec z Amsterdamu wraz z nią i tak madame wylądowała w Auschwitz. W historii tej zapewne więcej było fantazji niż prawdy, ale przynajmniej rzucała nieco światła na egzotyczną urodę Jolanty i sposób, w jaki madame kierowała obozowym lupanarem. Olga nie wiedziała, kiedy i w jakich okolicznościach Jolanta spotkała Brunnmanna i została jego prawą ręką, nie miała jednak wątpliwości, że z jej pomocą obersturmbannführer prowadzi szalenie lukratywny interes, używając kobiet i świadczonych przez nie „usług” jako swoistej waluty i zdobywając w ten sposób przychylność nazistowskich dygnitarzy i ich sojuszników.

Wkrótce na polecenie Brunnmanna Marlene została wysłana w kilka krótkich „delegacji”, najdalej do Krakowa. Jako jedyna z dziewcząt miała podczas każdego z tych „wyjazdowych zleceń” osobistego strażnika, którym – ku jej utrapieniu – był zwykle Ewald.

Fakt, że Marlene została przydzielona do grupy przez samego Brunnmanna, miał między innymi i ten skutek, że inne dziewczęta nie ufały jej i starały się ją trzymać na dystans. Było to o tyle przykre, że podopieczne madame tworzyły zwartą wspólnotę, czego widowym znakiem był noszony przez każdą z nich – łącznie z Jolantą – prowizoryczny łańcuszek z tą identyczną zawieszka: wystruganą z drewna kotwicą. Któregoś razu Marlene usłyszała, jak jej współtowarzyszki niedoli rozmawiają o tej kotwicy, lecz gdy spytała o to Olgę, ta, zwykle tak rozmowna, położyła tylko palec na ustach na znak, że nie chce o tym mówić. Od tej pory Marlene zastanawiała się, co też znaczy ów tajemniczy symbol.

Wyjątkowy – w pejoratywnym sensie – status Marlene podkreślał również Ewald, który nie przepuścił żadnej okazji, by ją szykanować. Wiedział, że nie wolno mu jej zranić – czytaj: uszkodzić

towaru – by nie uszczuplić dochodów z jej „pracy”, lecz to wcale nie przeszkadzało mu jej maltretować. Oszczędzał twarz, z tym większym zapamiętaniem okładając ją po plecach i piszczelach, które od dawna pokryte były sińcami.

Mimo tych wszystkich upokorzeń Marlene wykonywała swoją „pracę” z godnością i chociaż była więźniarką, wciąż uważała się za członkinię ruchu oporu. Każde spotkanie z nazistowskimi klientami było dla niej okazją do zbierania informacji i analizowania panujących nastrojów. Dzięki temu miała poczucie, że nie jest zupełnie bezużyteczna. Wciąż żyła, choć każdego dnia jej życie mogło się skończyć. Wiedziała, że Brunnmann nie wypuści jej żywej z obozu. Bawił się nią, każdego dnia na nowo czyniąc ją „nazistowską dziwką”. Dręcząc ją i upokarzając, zaspokajał swą żądzę zemsty. Równocześnie było jasne, że jej oprawca tylko czeka na dzień, kiedy Marlene odmówi „pracy”. Kiedy się podda. Chciał złamać jej wolę, dlatego polecał ją najbardziej zboczonym i wyuzdanym klientom. Nie oszczędzono jej żadnego upokorzenia i żadnej udręki. Sam również dwukrotnie skorzystał z jej „usług”, z rozkoszą używając przy tej okazji pejcza. Marlene wytrzymała, ponieważ nie była sama. Inne dziewczęta nie miały łatwiej. Nienawidziły tego, do czego je zmuszano, a mimo to dzielnie znosiły swój los. Walczyły, nie poddawały się, starały się przeżyć, z dnia na dzień.

Spotykając się z wysoko postawionymi klientami, Marlene utwierdzała się w przekonaniu, że nazistowscy dygnitarze zapobiegliwie przygotowują się na to, co nastąpi po wojnie, skrzętnie gromadząc skarby i ukrywając je w bezpiecznych miejscach. Równocześnie dostrzegała objawy ogarniającej ich paniki – chociażby ten, że z każdym kolejnym utraconym skrawkiem ziemi z jeszcze większą zaciekłością zapewniali, iż wytrwają do końca.

Tuż przed aresztowaniem Marlene dowiedziała się od Cukiermana, że wojska sprzymierzonych mocarstw niepowstrzymanie prą naprzód. Cukierman był zdania, że w ciągu kilku tygodni Armia Czerwona zajmie Warszawę i przepędzi Niemców z miasta. Rosjanie jednak postanowili zaczekać i spokojnie obserwować rozwój wypadków po drugiej stronie rzeki. Armia Krajowa nadal walczyła, ponosząc ogromne straty, a niemieccy oprawcy masakrowali ludność cywilną Warszawy. Kiedy zaś nie byli zajęci mordowaniem bezbronnych, wysadzali w powietrze całe dzielnice polskiej stolicy. Marlene była wściekła, że Rosjanie nie nacierają. Zupełnie jakby chcieli, by Niemcy wymordowali jak najwięcej Polaków i Żydów.

Odpryski wojny

W czerwcu 1942 roku „New York Times” opublikował raport Światowego Kongresu Żydów, w którym oskarżono hitlerowskie Niemcy o zamordowanie miliona europejskich Żydów. W raporcie stwierdzono, że Europa zamieniła się w „ogromną rzeźnię”, w której masowo zabija się Żydów, i że wymieniona w dokumencie liczba zamordowanych z całą pewnością jest znacznie zaniżona.

W listopadzie 1942 roku na stronie dziesiątej tegoż dziennika opublikowano krótką relację z konferencji prasowej Stephena Wise’a, przewodniczącego Światowego Kongresu Żydów, który stwierdził, iż połowa z czterech milionów Żydów zamieszkujących obszary okupowane przez Niemców została zamordowana.

W listopadzie 1942 roku siedemdziesięciu ośmiu żydowskich uchodźców z Europy wylądowało w Hajfie. Przywieźli relacje naocznych świadków na temat masowych deportacji i mordowania Żydów w komorach gazowych obozów zagłady w Auschwitz, Treblince i Kulmhof.

17 grudnia 1942 roku brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden oficjalnie poinformował Izbę Gmin o eksterminacji europejskich Żydów. Jego relację uzupełnił komunikat rządu amerykańskiego, w którym poinformowano, że zbrodnia ta zostanie po wojnie surowo ukarana. Obie noty odczytano na falach sekcji niemieckiej BBC.

Oto święta prawda: jesteśmy traktowani gorzej niż państwa satelickie Hitlera, gorzej niż Włochy, Rumunia, Finlandia. Oby sprawiedliwy Bóg osądził tę straszną niesprawiedliwość, która spotkała Naród Polski, i oby pokarał winnych. Naszymi bohaterami są żołnierze, których jedynym orężem przeciwko czołgom, samolotom i armatom były pistolety i butelki z benzyną. Naszymi bohaterkami są kobiety, które opatrywały rannych i pod kulami przenosiły meldunki, które w bombardowanych piwnicach gotowały dla dzieci i dorosłych, które przynosiły ulgę i pociechę umierającym. Naszymi bohaterami są dzieci, które bawiły się niewinnie w dymiących ruinach. Oto lud Warszawy. Lud, w którym żyje męstwo, jest nieśmiertelny.

Depesza Armii Krajowej z walczącej Warszawy,
odebrana w Londynie w październiku 1944 roku

W trzydziestym drugim dniu od swego aresztowania Marlene musiała stawić czoło ciężkiej próbie – spotkała w krakowskim hotelu Ernsta.

Czekała właśnie z Ewaldem w lobby, gdzie miał ich odebrać adiutant jej klienta, kiedy Ernst wyszedł z windy. Marlene próbowała go ostrzec spojrzeniem i Ernst na szczęście zrozumiał jej znaki. Był wyraźnie wstrząśnięty jej widokiem, lecz nie zagadnął jej, tylko minął bez słowa.

Mimo to Ewald chyba coś zauważył. Marlene wiedziała, że jej oprawca i strażnik nie ma żadnych wybitnych talentów, za to nadrabia ten brak chorobliwą podejrzliwością. Gdyby nie on, prawdopodobnie znalazłaby sposób, by skontaktować się z Ernstem, jednak tego wieczora Ewald pilnował jej niczym pies ogrodnika i nie miała szans oddać w recepcji naprędce przygotowanej w łazience wiadomości.

Na szczęście Ernst był naprawdę zdolnym organizatorem i wymyślił plan, jak się z nią skontaktować. Najwyraźniej musiał śledzić samochód, którym wróciła do obozu, gdyż inaczej trudno byłoby wytłumaczyć fakt, iż następnego dnia Jolanta – właśnie ona! – wcisnęła Marlene w dłoń maleńką karteczkę, mówiąc:

– Mam nadzieję, że to ważne. Ten mężczyzna zaproponował mi górę pieniędzy, jeśli ci to przekażę.

Marlene bez słowa patrzyła to na zwinięty karteluszek, to na Jolantę.

– Nie patrz tak na mnie. Nie jestem potworem.

– Czytałaś?

– Oczywiście. Kim jest Trudi?

– Cholera! – Marlene drżącymi palcami rozwinęła karteczkę i przeczytała krótką wiadomość od Ernsta: „Dwa tygodnie temu złapali Trudi. Jest w Auschwitz. E.” – O mój Boże! – jęknęła Marlene, chwytając Jolantę za ramię. – Musisz mi pomóc! Trzeba ją znaleźć!

– Wykluczone – odparła twardo madame. – Myślisz, że ty pierwsza mnie o to prosisz? Zresztą minęły dwa tygodnie i nie wiadomo, czy twoja znajoma żyje.

Jolanta odwróciła się do Marlene plecami, dając tym samym jasno do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Lecz Marlene tak łatwo się nie poddała. Złapała Jolantę za rękę, wpijając się w nią palcami.

– Musisz coś zrobić! Ona ma dopiero piętnaście lat!

Jolanta wyrwała się z uścisku.

– Nic nie muszę! Tu każdego dnia umierają setki dzieci.

Marlene zmieniła taktykę.

– Trudi jest bardzo ładna, delikatna jak elf i szalenie utalentowana. Jest cudowną śpiewaczką i artystką. Potrafi nawet chodzić po linie – zachwalała dziewczynę, która istotnie była urodzoną artystką, choć akurat fragment o śpiewaniu Marlene wymyśliła na poczekaniu. Nie była przekonana, czy w fachu gejszy przyda się umiejętność chodzenia po linie, wiedziała za to, że Jolanta bez przerwy szuka dla swoich klientów zdolnych śpiewaczek. Uznała, że nie zaszkodzi spróbować.

Jolanta wysłuchiwała jej obojętnie, po czym kompletnie beznamiętnym, rzeczowym tonem odpowiedziała:

– Jeśli faktycznie jest delikatna jak elf, to już dawno nie żyje. Podobno w obozie kończy się cyklon B i tacy chudzielcy albo dogorywają powoli na kwarantannie, albo są żywcem wrzucani do pieca.

Marlene wciąż nie dawała za wygraną.

– Proszę, możemy pójść jej poszukać?

Na niewzruszonym obliczu Jolanty po raz pierwszy pojawiła się oznaka zniecierpliwienia.

– Zapominasz chyba, że ja też jestem tylko więźniarką.

– I co z tego? Kiedy mnie tu przyprowadziłaś, wspomniałaś, że sama wybierasz swoje dziewczęta. Proszę cię, idź na kwarantannę i rozejrzyj się, może ją znajdziesz.

Jolanta zmierzyła ją swoimi skośnymi oczami.

– Nie znoszę ludzi, którym się wydaje, że są najsprytniejsi na świecie – powiedziała cicho i dobitnie.

– Nic nie poradzę, że mam dobrą pamięć. – Marlene pozwoliła sobie na lekki uśmiech, licząc, że w ten sposób przechyli szalę zwycięstwa na swoją stronę.

– Zgoda, może ją sobie obejrzę. Ale ostatecznie to ja zdecyduję, czy się nadaje.

Madame stuknęła palcem wskazującym w pierś Marlene tak mocno, że ta aż jęknęła.

Marlene zdawała sobie sprawę, że los nazistowskiej dziwki nie jest tym, czego życzyłaby Trudi, ale wiedziała też, że przede wszystkim musi ratować jej życie. Podała więc Jolancie pełne imię i nazwisko dziewczyny i dokładnie ją opisała.

218 dni do „Dnia 0”

3 sierpnia 1941 roku Klemens von Galen, katolicki biskup Münster, podczas kazania potępił mordowanie chorych i niepełnosprawnych: „Jeśli wolno zabijać bezproduktywnego bliźniego, to biada naszym dzielnym żołnierzom, którzy wrócą do ojczyzny jako ciężko ranni, kaleki i inwalidzi!”.

Tą wypowiedzią biskup von Galen ściągnął na siebie gniew nazistowskiego reżimu.

Wojna zmienia porządek moralny i wagę spraw. To, co w czasach pokoju było nie do pomyślenia, w czasie wojny uznajemy za zupełnie normalne.

Raffael Valeriani

– Dobra wiadomość jest taka, że ją znalazłam – oświadczyła Jolanta, wróciwszy do baraku.

Marlene wciąż nie mogła pojąć, jak to się stało, że zdołała skłonić madame, by poszukała Trudi. Zastanawiała się, czy uległość Jolanty nie wynika przypadkiem z tego, że wciąż widzi w Marlene swego rodzaju protegowaną Brunnmanna i ma nadzieję wyciągnąć z dziewczyny jakieś informacje na jej temat. W gruncie rzeczy pobudki, które kierowały Jolantą, były Marlene zupełnie obojętne – ważne, że zdecydowała się jej pomóc w sprawie Trudi.

Ponieważ nikomu oprócz Jolanty nie wolno było opuszczać kwatery bez straży, Marlene od kilku dobrych godzin kręciła się koło drzwi baraku, wyglądając Azjatki.

Tego ranka znów lało jak z cebra, więc Jolanta zaraz przy wejściu zzuła przemoczone buty i wskoczyła w swoje drewniaki.

– A zła? – Chociaż Marlene wręcz dygotała z niepewności, nie dopuszczała do siebie myśli, że się spóźniła i Trudi nie można już pomóc.

– Ma tyfus. Nie wydadzą mi jej.

– A doktor? Nie może ci pomóc? – Odkąd Marlene dowiedziała się, co jej zrobił, starała się o nim zapomnieć, lecz teraz...

– Sama go zapytaj. I przy okazji przekaż pozdrowienia ode mnie – rzuciła sarkastycznie madame.

Jolanta doskonale zdawała sobie sprawę, że Marlene nie może tak po prostu „zapytać” doktora. Potrzebowała do tego jej pośrednictwa.

– Proszę, dopóki Trudi żyje, jest jeszcze nadzieja!

Jolanta skrzywiła się jak ktoś, kogo zmuszają do wysłuchiwanie niechcianych rad.

– Wiesz, co myślę o nadziei, prawda? To zwykła ułuda, uczucie, które niczemu nie służy, a jedynie przedłuża niepotrzebną udrękę. Widziałam umierającą dziewczynę. Nie mogę odwrócić jej losu.

– Ona nie może tak po prostu umrzeć! Jesteś aż tak okrutna?

– Zapewniam cię, że dla niej śmierć będzie wybawieniem. To ty jesteś okrutna, ponieważ chcesz niepotrzebnie przedłużać jej cierpienie. – Jolanta wpatrywała się ponuro w kałużę u swych stóp. – Idę się przebrać.

Odsunęła Marlene na bok i ruszyła w kierunku zasłony na końcu baraku. Jednak dla Marlene rozmowa jeszcze nie była skończona. Wbrew zakazowi weszła za zasłonę. Wydzielona część baraku miała osiem metrów szerokości, lecz tylko dwa głębokości. Jolanta wyglądała tak, jakby zaraz miała wyrzucić Marlene siłą, po chwili jednak uspokoiła się i powiedziała:

– Dobrze, wyjaśnimy sobie to raz na zawsze. Zaczekaj na zewnątrz, chcę się w spokoju przebrać.

Kilka minut później madame przywołała Marlene gestem i wskazała jej stołek.

– Nawet jeśli twoja przyjaciółka przeżyje – zaczęła – i okaże się tak dobra, jak mówisz, to musisz sobie odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: czy ona to wytrzyma? Jej młode ciało będzie co noc wydane na pastwę wyuzdanych starców.

– Nad tym będę się zastanawiać później, teraz musimy uratować jej życie! – odrzekła Marlene wymijająco. Wołała rozwiązywać problemy po kolei, w miarę jak się pojawiają.

– Jeśli dziewczyna przeżyje, będziesz za nią odpowiedzialna. Jej los będzie w twoich rękach i to ty będziesz musiała dźwigać ten ciężar.

– Czy to nie ty mi powiedziałaś, że za wszelką cenę musimy przeżyć?

– Owszem, powiedziałam tak, bo jesteś ulepiona z tej samej gliny co moje dziewczęta. Nie znam twojej Trudi i nie wiem, jak zareaguje, a nie cierpię łez i dramatyzowania.

Słyszając te słowa, Marlene poczuła się tak, jakby Azjatka wetknęła palec w świeżą ranę. Bez owijania w bawełnę odmalowała przyszłość Trudi jako dziwki Brunnmanna, zmuszając Marlene, by odpowiedziała sobie na pytanie, czego chciałyby sama Trudi. Prawdopodobnie wolałyby umrzeć. Marlene przemknęło przez myśl, że może faktycznie niepotrzebnie naprzykrza się Jolancie. Nagle ogarnęły ją wątpliwości i poczuła się kompletnie zagubiona. Sama już nie wiedziała, czy postępuje właściwie.

– Ty musisz się martwić wyłącznie o siebie, podczas gdy ja odpowiadam za moje *geikos* – powiedziała madame, wstając. Marlene pomyślała, że to koniec, że Jolanta jej nie pomoże. Ta jednak mówiła dalej: – Dobrze, spróbujemy ją stamtąd wydostać. Dziś i tak wypada rutynowe badanie kilku dziewcząt. Zabiorę cię do doktora Friehlinga, ale przekonać musisz go sama.

Kiedy doktor skończył badać ostatnią z dziewcząt i przyszła kolej na Marlene, Jolanta wepchnęła ją do gabinetu, szepcząc do ucha słowa, które zaległy Marlene niczym kamień w żołądku:

– Jeśli twoja Trudi przeżyje, będzie musiała być wysterylizowana. To też bierzesz na swoje sumienie.

Doktor Friehling spokojnie wysłuchał prośby Marlene, a następnie kazał jej czekać w gabinecie

i wyszedł. Po godzinie wrócił, prowadząc za sobą dwóch więźniów w pasiakach, którzy nieśli nosze z przykrytym ciałem. Marlene rzuciła się ku nim, lecz doktor chwycił ją za ramię i siłą zatrzymał.

– Ostrożnie, ona ma tyfus! Proszę – podał Marlene maskę chirurgiczną. – Mimo to proszę się zaledwie zbliżyć i w żadnym wypadku jej nie dotykać.

– Przeżyje? – spytała Marlene, kiedy tylko doktor zaczął badać chorą.

Na widok Trudi Marlene niemal osunęła się na podłogę. Dziewczynka była prawie nie do poznania. Twarz miała zapadłą i poszarzałą, nos spiczasty, a ciało tak wychudzone, że kości niemal przebijały pokrytą plamami skórę. Doktor dał chorej zastrzyk, a następnie oczyścił i opatrzył ropiejące rany. Potem próbował podać jej nieco ciepłej wody. Wpuścił kilka kropel między spękane wargi.

Trudi przez cały czas mamrotała jakieś niezrozumiałe słowa.

– Co ona mówi? – spytała Marlene.

– Nic, majaczy.

Trudi znów wydała z siebie jakieś dźwięki, poruszając na wszystkie strony głową i bijąc dłońmi w koc, jakby próbowała się bronić przed niewidzialnym wrogiem. Tym razem Marlene zrozumiała.

– Mówi, że widziała Hitlera?

– To gorączka. – Doktor podał Marlene wilgotną ścierkę. – Proszę wpuszczać jej po kilka kropli między wargi. Jest bardzo odwodniona. Ja muszę zajrzeć do innych pacjentów.

Zanim doktor wyszedł z gabinetu, jeszcze raz przykazał Marlene, by pod żadnym pozorem nie zdejmowała maski i nie dotykała chorej, ona jednak, kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, chwyciła rękę Trudi i zaczęła ją głaskać po dłoni. Wiedziała, że mała najbardziej potrzebuje teraz poczucia, że nie jest sama, że ktoś przy niej czuwa i troszczy się o nią.

– Wyzdrowiejesz, Trudi. Słyszysz? – powtarzała raz po raz.

Wróciwszy do gabinetu, doktor ani słowem nie skomentował tego, że Marlene zignorowała jego napomnienia. Dokładnie umył ręce i zajął się Trudi.

Sprawdził źrenice chorej, następnie puls. W końcu ponownie umył ręce, usiadł przy biurku, otworzył książkę wizyt i w skupieniu zaczął w niej coś notować.

Obserwując go przy tej czynności, Marlene czuła, że targają nią sprzeczne uczucia. W śnieżnobiałym fartuchu, ze stetoskopem jak zwykle przewieszonym przez szyję, doktor siedział jakby nigdy nic między grubymi księgami, mikroskopem i szkicem anatomicznym człowieka. Sprawiał wrażenie, jakby żył z dala od otaczającej go brutalnej rzeczywistości, jakby siedział w swym gabinecie, z poczekalnią pełną pacjentów spokojnie czekających na swoją kolej. Jakby świat wokół niego nie rozpadał się na kawałki.

Lekarz poczuł na sobie badawcze spojrzenie i odłożył pióro.

– Jak pani noga? Boli?

– Nie – odpowiedziała Marlene z bladym uśmiechem, chociaż nie była to prawda. Nie chciała czuć na sobie dłoni człowieka, który ją wysterylizował.

– Widzę, że żywi pani do mnie jakąś urazę. Mogę spytać, z jakiego powodu?

– Nie – powtórzyła Marlene i odwróciwszy się do lekarza plecami, zaczęła nawilżać wargi chorej.

– Mimo to patrzyła pani na mnie tak, jakbym zmusił ją do połknięcia jakiejś gorzkiej pigułki.

„Do diabła – pomyślała Marlene. – Co go obchodzi mój nastrój?”

– Proszę tylko, by zechciał pan pomóc mojej przyjaciółce, poza tym nie mamy o czym mówić – powiedziała ostrzej, niż zamierzała. Wiedziała, że Trudi potrzebuje pomocy doktora, więc nie należy go drażnić. – Przepraszam, ja tylko... to moja przyjaciółka... – wydukała, próbując zatuszować niedawny wybuch.

– Używa pani gąbki z płynem?

– Tak.

– To dobrze.

– Chciałbym panią obejrzeć. Co prawda minęły dopiero dwa tygodnie, ale skoro pani tu jest... –

Wstał i odsunął zasłonę, na którą do tej pory nie zwróciła uwagi.

Kryło się za nią krzesło ginekologiczne.

– Nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

– Madame Jolanta nie powiedziała pani? – spytał zdziwiony.

– O czym?

– Zgodnie z zarządzeniem muszę panią regularnie badać, podobnie jak pozostałe dziewczęta.

– Wykluczone! – Marlene zerwała się jak oparzona, zapominając o swym postanowieniu, by zachować spokój i nie dać się ponieść emocjom.

Na szczęście doktor nie poczuł się urażony. Przeciwnie – patrzył na nią jak ktoś, kto chce zajrzeć w duszę swego rozmówcy.

Milczenie przedłużało się, gęstniało i Marlene czuła coraz większy niepokój. Nie zamierzała się usprawiedliwiać, bo to nie ona tu była winowajczynią. I chociaż wiedziała, że doktor zajmuje w tej konfrontacji nieporównanie mocniejszą pozycję, nie potrafiła się przewyciężyć i spuścić oczu. Nie, nigdy się nie ukorzy przed esesmanem, choćby był to lekarz, który uratował jej nogę, a teraz pomaga Trudi.

Milcząca próba sił była coraz dłuższa.

Doktor skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ramę okna. Można by pomyśleć, że zmagają się z jakąś decyzją, lecz Marlene była przekonana, że to tylko poza. Że dobroduszny doktor zaraz zrzuci maskę i powie, że nie musi jej o nic prosić i może jej zwyczajnie rozkazać.

On jednak odezwał się niemal ojcowskim tonem:

– Obawiam się, że nie mam wyboru. Obersturmbannführer żąda ode mnie składania comiesięcznych raportów.

„Sprytnie, doktorku – pomyślała z przekorą Marlene. – Chcesz powiedzieć, że jedziemy na tym samym wózku?!”

– Rozumiem. Ma się pan upewnić, że towar obersturmbannführera jest bez zarzutu. Nie ma pan zaufania do własnych umiejętności?

Gdyby była naiwna, mogłaby pomyśleć, że jej słowa go zabolą. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że właśnie tego chciała: zranić go, tak jak on zranił ją. Przy okazji zrozumiała też, że niełatwo sobie poradzić z nawałą sprzecznych uczuć, gdy czujemy, że ktoś, kogo uważaliśmy za przyjaciela, zdradził. Ten mężczyzna był jej wrogiem, lecz mimo to... Przekłęte uczucia! Bez przerwy się o nie potyka. Trudi miała rację, mówiąc, że Marlene robi się sentymentalna. Wojna stopniowo odbierała jej siły i podkopywała morale. A przecież w obecnym położeniu pod żadnym pozorem nie mogła sobie pozwolić na okazywanie słabości.

Gdy ona wciąż jeszcze toczyła ze sobą wewnętrzną walkę, doktor stanął nagle przed nią, położył dłonie na jej ramionach i powiedział coś, co nią do głębi wstrząsnęło, gdyż nagle to ona okazała się zdrajczynią.

– Jest pani bardzo silna, ale zarazem młoda i brak pani samokrytycyzmu. Nie poddałem pani sterylizacji. Ani pani, ani żadnej z dziewcząt. To byłoby wbrew wyznawanym przeze mnie zasadom etycznym. Stąd gąbka i płyn. Mają was chronić.

– Słucham? – wymamrotała zdumiona.

Doktor ją puścił. W jego twarzy wyczytała jakby zdziwienie – zupełnie jakby sam nie dowierzał, że jest zdolny do takiej impulsywności. W geście bezradności przeczesał dłońmi srebrną czuprynę. Marlene miała wrażenie, że przywołuje się do porządku, karci samego siebie.

– Proszę mi wybaczyć ten wybuch. To było niestosowne. Ale pani ma w sobie coś... – urwał, patrząc na nią jak na zagadkę, którą musi za wszelką cenę rozwiązać.

Marlene znieruchomiała pod jego spojrzeniem i poczuła, jak wzbiera w niej fala nieoczekiwanych uczuć.

Uczuć, które zupełnie nie pasowały ani do miejsca, ani do okoliczności.

Miała wrażenie, że doktor przeszywa ją spojrzeniem i zagląda głęboko w jej duszę. Patrzył na nią tak, jakby chciał w nią tchnąć nadzieję, którą sam dawno stracił, a na jego twarzy malował się bolesny uśmiech, który miał w sobie coś ostatecznego i który za każdym razem, gdy go widziała, rozdzierał jej serce.

Usiadł z powrotem za swoim biurkiem, niejako chroniąc się przed Marlene za tym ciężkim meblem. Jeszcze chwilę wcześniej odebrałaby to jako odwrót, lecz teraz nie była już pewna, czy doktor jest po przeciwnej stronie frontu. Tak czy siak, zyskała na czasie, gdyż lekarz najwyraźniej

postanowił przełożyć badanie na inny termin.

Nagle zdała sobie sprawę z absurdalności uporu. Tyle przecież musiała znieść wbrew własnej woli, od lat zadawała gwałt swojej duszy – a to wszystko w jednym jedynym celu: by świat stał się lepszy. Aby to osiągnąć, była gotowa złożyć swe życie w ofierze na nazistowskim ołtarzu hańby.

Uświadomiła sobie, że stoi jak zaczarowana. Speszyla się, gwałtownie usiadła przy Trudi i chwyciła rękę swej młodej przyjaciółki niczym koło ratunkowe. Mimo to nie zdołała rozładować napięcia, jakie powstało między nią a doktorem. Domyślała się, że ten czuje to samo, że jest tak samo zaskoczony jak ona. Nagle coś się między nimi zmieniło, przesunęły się ich perspektywy, jakby równocześnie ruszyli ku sobie. Marlene nie potrafiłaby wytłumaczyć tego uczuciowego paradoksu, toteż czekała, co będzie dalej. Wmawiała sobie, że jej słabość ma źródło wyłącznie w niepewnej pozycji więźniarki. Następny ruch należał do doktora. To była jego partia.

Minęła dłuższa chwila, nim doktor Friebling znów się odezwał. I tym razem powiedział coś, czego się nie spodziewała.

– Kiedy w 1933 roku naziści doszli do władzy, była pani jeszcze bardzo młoda. Dorastała pani zanurzona we wszechobecnej indoktrynacji, w szkole, w której każdy nauczyciel nosił znaczek partyjny. Ja urodziłem się w 1882 roku, doświadczyłem okrucieństw wielkiej wojny i rewolucji bolszewickiej, a potem chaosu Republiki Weimarskiej. Pozwoli pani, że spytam: kiedy zaczęła pani wątpić w narodowy socjalizm? O ile mi wiadomo, pierwszy raz wpadła pani w ręce gestapo, mając ledwie osiemnaście lat.

Marlene zaniemówiła. Co to wszystko ma znaczyć? Czyżby doktor próbował uspić jej czujność? Może Brunnmann kazał mu ją przesłuchać?

Lekarz popadł w zadumę.

– Rozumiem pani nieufność, to zupełnie naturalne. Może zyskam pani zaufanie dzięki swojemu, przyznaję, niezamierzonemu wyznaniu, którym złożyłem swój los w pani ręce. Nawet madame Jolanta nie wie, że złamałem rozkaz i nie wykonałem sterylizacji.

Marlene niechętnie pokręciła głową.

– Nie rozumiem pana, doktorze... Dlaczego tak panu zależy na moim zaufaniu?

– Bo jest pani dla mnie ucieleśnieniem nadziei – odrzekł z niespodziewanym zapałem, po raz kolejny wprawiając Marlene w zdumienie. – Jest pani dla mnie żywym znakiem, że jeszcze nie wszystko stracone. Bo są jeszcze na świecie młodzi, silni wewnętrznie ludzie, odporni na miraż nazistowskiej ideologii, gotowi z nią walczyć!

Marlene uśmiechnęła się cierpko, próbując odkryć intencje ukryte za słowami doktora.

– Nie wiem, czy pan zauważył, ale jesteśmy w obozie. Trudno tu walczyć.

Lekarz oparł się łokciami o blat biurka i nachylił w stronę Marlene. Kiedy się odezwał, jego głos był ochryply z emocji.

– A gdybym... pomógł pani stąd uciec?

Marlene poczuła, jakby ktoś odciął jej dopływ tlenu. Wszystkie komórki jej organizmu zamarły. Rozdarta między szaloną nadzieją a obawą, że to tylko ponury żart, każdą cząstką ciała pragnęła, by doktor mówił poważnie. Mimo to rozpaczliwie próbowała rozniecić w sobie gasnący gniew. Całą sobą wzdragała się przed pokusą zaufania człowiekowi w czapce z trupa główką, nawet jeśli zdołał w niej wzbudzić irracjonalne uczucia. Chciała, by jej rozsądek wziął górę nad sercem. W gruncie rzeczy nie była doktorowi nic winna, nawet słowa podziękowania – w końcu ratując jej nogę, naprawił jedynie drogocenny towar, najpierw dla hrabiego, potem zaś dla Brunnmanna. Wiedziała, że wiele ofiar odruchowo darzy swoich oprawców sympatią – choćby dlatego, że zależy od nich ich życie. Prawdopodobnie w ten sposób przeżył wilk, który wpadłszy w ludzkie ręce, zamienił się w psa, stworzenie całkowicie oddane człowiekowi. Ona jednak poprzysięgła sobie, że się nigdy nie podda! Nikomu!

– Nie mam pojęcia, jaką prowadzi pan ze mną grę, doktorze, ale jeśli w pańskiej propozycji i w tym, co pan mówi, jest choćby ziarnko prawdy, to wie pan doskonale, że gdybym uciekła, Brunnmann kazałby rozstrzelać wszystkie pozostałe dziewczęta.

Gniew kipiący w jej głosie nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

– Rozumiem pani niechęć. Bo i dlaczego miałaby mi pani zaufać?

– No właśnie, dlaczego?! Oprócz tego, ma się rozumieć, co już mi pan zdradził. – Marlene wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie, podczas gdy doktor rozmawiając z nią, niczym nie ryzykował.

– Nie przekonuje pani to, że staram się uratować jej młodą przyjaciółkę?

– Nie wiem, może robi pan to wyłącznie po to, żeby mnie sprawdzić? – skontrowała odruchowo Marlene. Nie chciała mu przyznać nawet cienia racji. Równocześnie zastanawiała się, co to wszystko właściwie znaczy. Dlaczego doktor tak ją nagabuje? Oprawcy z SS skłaniali więźniów do mówienia zwykle innymi metodami niż podstęp.

Doktor jakby czytał w jej myślach.

– Aby przekonać panią o szczerości moich intencji, muszę się odwołać do pani rozsądku. Widzę, że uważa pani moją propozycję za wyjątkowo perfidną próbę pociągnięcia pani za język. Proszę zatem pomyśleć: czy naprawdę aż tyle wie pani o ruchu oporu, żeby wyciągnięcie z niej tych informacji było warte takiego zachodu? Od ponad miesiąca jest pani w obozie. Nie sądzi pani, że gdyby gestapo interesowało się nią, już dawno by panią przesłuchano?

Marlene uśmiechnęła się krzywo.

– Doktorze Friehling, jeśli pyta pan, ile wiem na temat ruchu oporu i czy warto marnować czas na to, by zdobyć moje zaufanie, to poniekąd sam pan sobie odpowiada. Najwyraźniej wychodzi pan z założenia, że wiem bardzo dużo.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że to pani przysłała do mnie, a nie ja do pani.

– Wiem jedno, doktorze: pracuje pan dla Brunnmanna, tak jak Jolanta. Zapewnienie, że nie wysterylizował pan ani mnie, ani żadnej z pozostałych dziewcząt, niczego nie dowodzi. Niby jak mogłabym zweryfikować pańskie słowa? Nie używając gąbki i zachodząc w ciążę? Skąd mogę wiedzieć, że wiadomość, którą otrzymałam od dawnego kochanka, nie była przynętą, która miała mnie zwabić w pułapkę? Brunnmann wie, że Ernst Meister miał ze mną romans.

Doktor spuścił na chwilę głowę, jakby niespodziewanie ogarnęła go rezygnacja.

– Jest pani niesamowita – powiedział w końcu. – Naprawdę. Nigdy dotąd nie spotkałem podobnej kobiety. Nawet w paszczy dziesięciometrowego aligatora byłaby pani gotowa wszcząć z nim dyskusję i przekonywać, by jej nie pożarł. Dobrze, proszę podać swoje warunki. W jaki sposób mogę panią przekonać, że jestem po jej stronie?

– Niech pan zabije Adolfa Hitlera – odpowiedziała Marlene, patrząc doktorowi prosto w oczy.

Friehlingowi drgnął kącik ust.

– Jako lekarz złożyłem przysięgę, że będę strzegł życia. Każdego.

– No i wszystko jasne! Jest pan niesamowity, doktorze. Naprawdę – Marlene znów dała się ponieść emocjom.

– Ma pani rację. Nie przeczę, że moje słowa brzmią absurdalnie w takim miejscu jak to. Jednak kręcimy się w kółko. Powiadam raz jeszcze: mogę pani pomóc w ucieczce.

– A ja znowu powiadam: wtedy Brunnmann zastosuje odpowiedzialność zbiorową i każe rozstrzelać wszystkie dziewczęta. Proszę zapytać naszą madame Butterfly.

– Mała poprawka: tę groźbę madame Jolanta stosuje wobec każdej nowej podopiecznej. Nasz drogi obersturmbannführer nie może sobie pozwolić na stosowanie odpowiedzialności zbiorowej. Po pierwsze musiałby przyznać, że ucieczka jest możliwa, a po drugie dziewczęta madame Jolanty stanowią dla niego prawdziwą kopalnię złota. Bogini zwycięstwa odwróciła się od Niemiec i dziś Brunnmann myśli niemal wyłącznie o tym, by zgromadzić jak największe bogactwa. Jego chciwość nie zna granic, więc gdyby stracił jeden ze swoich brylantów, z pewnością nie wyrzuciłby również pozostałych.

Marlene poczuła, że rodzi się w niej nieśmiała nadzieja. Może doktor mówił jednak szczerze, proponując jej pomoc w ucieczce? Z drugiej strony wciąż dręczyła ją myśl, że dziewczęta, które zostaną w obozie, będą musiały zapłacić za jej zuchwalstwo.

– Dlaczego ja? – spytała. Czuła, że serce bije jej coraz mocniej. Z jakiegoś powodu nagle zaczęła się obawiać odpowiedzi, tak jakby miała ona za sobą pociągnąć nieodwracalne konsekwencje. Wiedziała, że dla kogoś, kto – tak jak ona – znajduje się w rękach SS, nieomal perwersją byłoby myślenie o przyszłości dalszej niż czubek własnego nosa.

Doktor wstał, obejrzał Trudi, dotknął jej czoła i sprawdził puls.

– Trochę się uspokoiła.

„Dziwne”, pomyślała Marlene. Doktor też zdawał się odwlekać odpowiedź, choć przecież to on zaczął tę dyskusję.

W końcu lekarz stanął przed Marlene, ona zaś, uznawszy, że niezbyt korzystnie będzie prowadzić rozmowę, siedząc na stołku, również wstała. Doktor cofnął się o krok, jakby naruszyła niewidzialną granicę. Ta odruchowa reakcja pokazała jej, jak niewielki dzieli ich dystans. Odruchowy krok wstecz był w istocie krokiem ku niej. Przez chwilę zapaliło się w niej niedorzeczne pragnienie, by dotknąć jego piersi, poczuć bicie jego serca i ciepło jego dłoni. A przecież równocześnie wzbraniała się przed tym, by mu zaufać! Że też właśnie teraz musiała sobie przypomnieć ich pierwsze spotkanie w sypialni hrabiego, kiedy to była przekonana, że ma przed sobą prawego człowieka – do chwili gdy spostrzegła, że doktor ma na sobie mundur SS.

– Prawda jest taka, że pani przyjaciel uzależnił swoją pomoc od tego, czy pomogę pani uciec z obozu – oświadczył wreszcie lekarz.

– Pomoc? O czym pan mówi? – spytała zaskoczona.

Rozmowa kolejny raz przybrała nieoczekiwany obrót.

Doktor mimowolnie zerknął na drzwi. Widząc to, Marlene przypomniła sobie Jakuba, który ilekroć dochodził w trakcie narady do najważniejszego punktu, w podobny sposób upewniał się, że nic im nie grozi. Bezwiednie wstrzymała oddech, a doktor odpalił bombę:

– Planujemy wysadzić w powietrze komory gazowe i krematoria. Pułkownik Meister ma nam dostarczyć niezbędną broń i dynamit.

– Nam? Kim są ci „my”?

Śmiały plan przedstawiony przez doktora brzmiał nieprawdopodobnie, lecz instynkt podpowiadał Marlene, że lekarz nie blefuje. Mówił prawdę, naprawdę chciał to zrobić! Byli po tej samej stronie!

– W tej chwili to nieistotne – lekarz zbył jej pytanie tonem człowieka, któremu z trudem przechodzą przez usta tak obcesowe słowa, nawet w tych wyjątkowych okolicznościach.

– W jaki sposób chce pan to zrobić? Ma pan plan?

– Proszę zrozumieć, nie mogę pani zdradzić nic więcej. – Uśmiechnął się przeproszająco i właśnie ten uśmiech rozwiął w Marlene resztki nieufności.

– Pomogę panu! Znam się na materiałach wybuchowych!

– To niemożliwe. Pani przyjaciel postawił jasny warunek: najpierw muszę panią wyprowadzić z obozu. Zemsta Niemców będzie straszliwa i pułkownik obawia się, że Brunnmann mógłby się mścić na pani.

– Ernsta proszę zostawić mnie. Czy mogę mu przez pana przekazać wiadomość?

– Błagam, niech pani spełni jego żądania. Myślę, że on panią bardzo kocha.

– Ale bez wzajemności. Proszę tak na mnie nie patrzeć, doktorze. Wykorzystałam go i on o tym wie. – Marlene usiadła przy biurku i napisała kilka zdań do Ernsta. Krew wręcz kipiała w jej żyłach.

Od tygodni nie była tak ożywiona. W końcu znów mogła działać! Złożyła karteczkę i wcisnęła ją w dłoń doktora.

– Byłoby rozsądniej, gdybym przekazał mu pani decyzję ustnie – zauważył lekarz.

– Znam Ernsta. Nie uwierzy panu.

– Jest aż tak podejrzliwy?

– Powiedzmy, że moja decyzja o pozostaniu w obozie może wzmóc jego nieufność.

– Cóż, trudno mu z tego powodu robić wyrzuty. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie skorzysta pani z szansy i nie ucieknie w bezpieczne miejsce. Prosił, bym pani przekazał, że znalazł doskonałą kryjówkę.

– Na pewno nie będę się kryć, kiedy Niemcy mordują miliony. – Marlene z uporem zbijała kolejne argumenty doktora.

Ten jednak znów ją zaskoczył.

– Rozumiem. Trudno uciec przed własną naturą. Jest pani wyjątkową kobietą. I bardzo odważną. A odwaga jednego człowieka waży więcej niż tchórzostwo tysięcy – wyrecytował.

– Kto to powiedział?

Doktor wzruszył ramionami.

– Nikt sławny. Widząc pani odwagę, przypomniałem sobie bliskiego przyjaciela. – Słowom doktora towarzyszył pełen melancholii uśmiech, przywodzący na myśl spadające jesienią liście.

Marlene zdecydowała się wreszcie zadać pytanie, które od dawna cisnęło jej się na usta.

– Dlaczego wstąpił pan do SS, doktorze?

Zanim lekarz zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi gabinetu.

– Musimy iść, Ewald czeka na dole. Masz klienta – rzuciła Jolanta.

– Przed południem?

Do tej pory podopieczne madame nie pracowały rano. Przynajmniej Marlene nie słyszała o takim przypadku.

– Tak, tylko bądź ostrożna. On coś knuje.

– To akurat nic nowego. – Marlene nie bała się Ewalda, lecz z obawą pomyślała o Trudi.

– Proszę iść, zaopiekuję się pani przyjaciółką – zapewnił doktor.

Na dole Ewald skuł Marlene ręce, wepchnął ją do samochodu i ruszyli. Ku jej zdumieniu nie ujechali jednak daleko.

Po krótkiej podróży natrafili na ogromne skupisko ludzi. Co najmniej tysiąc więźniarek stało na apelu, podczas gdy orkiestra obozowa grała *Nad pięknym modrym Dunajem*. Pośrodku placu stała szubienica. Tuzin esesmanów, niektórzy z psami, i tyłuż funkcyjnych otoczyło miejsce kaźni.

Marlene zamknęła oczy.

– Patrz albo stłukę twoją kochaną Olgę tak, że jej nie poznasz! – zagroził Ewald.

Siedząc w samochodzie, Marlene w milczeniu patrzyła, jak dwóch strażników wlecze przez plac młodą, wysoką więźniarkę. Kobieta krzyczała, broniła się i rozpaczliwie próbowała się wyrwać. Mężczyźni z trudem dawali jej radę.

– Tak dzieje się z bezczelnymi babami, które myślą, że są sprytniejsze od nas – powiedział Ewald tonem lektora kroniki filmowej opisującego szczególnie ciekawy fragment.

Nagle jednak film potoczył się inaczej, niż to zapisano w scenariuszu: kobieta wyrwała się, w jej ręku niespodziewanie błysnął nóż, a z ust dobył się okrzyk: „Niech żyje Polska!”. Po tych słowach przystawiła sobie ostrze do szyi i poderżnęła gardło.

Skazana na śmierć kobieta odebrała oprawcom satysfakcję i na oczach wszystkich sama odebrała sobie życie! Ten niezwykły akt rozpacz i heroizmu wstrząsnął Marlene. Na chwilę zapomniała o bólu, zjednoczyła się z tą kobietą i towarzysząc jej w drodze do raju, sama zaczerpnęła od niej odwagę i siły.

Oto, co potrafi zdziałać prawdziwe męstwo: wlewa odwagę w serca i dusze innych. Marlene czuła, jak przez zgromadzony tłum przetacza się fala. Wiedziała, że w głowach stojących na placu więźniarek kołacze się ta sama myśl, jakby stanowiły część jednego organizmu. Na kilka sekund zapadła upiorna cisza, a potem rozległy się słowa polskiego hymnu. Nawet te spośród więźniarek, które go nie znały, nuciły melodię.

Esesmani ocknęli się z osłupienia i odpowiedzieli, strzelając na oślep do tłumu. Kobiety krzyczały i padały na ziemię. W ciągu kilku sekund nastąpiła prawdziwa rzeź. Bunt skończył się tak samo szybko, jak wybuchł, lecz Marlene wiedziała, że płomyk oporu wciąż się tli i wystarczy jeden akt odwagi, by go na nowo rozpalić.

Marlene od dawna przeczuwała, że czeka ją coś złego, i bez przerwy myślała o ucieczce, lecz dokąd można uciec w takim miejscu jak to? Ewald był sadystą i nienawidził kobiet – zwłaszcza tych, które zamiast lęku i uległości okazywały upór i nieposłuszeństwo. Wiedziała, że w jego oczach stanowi wcielenie impertynencji i chodzącą prowokację. Ewald marzył o tym, by ją poddać wymyślnym torturom i zabić, lecz tego, niestety, zabraniał mu jego pan Albrecht Brunnmann. Na razie. Dziś Ewald chciał ją upokorzyć, pokazując egzekucję, jednak tamta dzielna kobieta odebrała mu tę perfidną przyjemność. Marlene wiedziała, że ktoś będzie musiał za to zapłacić. Twarz esesmana kipiała gniewem, a mięsiste dłonie zacisnęły się na kierownicy. W każdej chwili tama mogła puścić.

Marlene ostrożnie namacała skutymi rękoma klamkę. Chciała być jak najdalej od Ewalda. Nawet kilka metrów mogło decydować o życiu lub śmierci. Lecz drzwi były zaryglowane.

Zresztą i tak już było za późno, gdyż rozwścieczony esesman rzucił się na nią całym swym cielskiem, chwycił za gardło i zaczął dusić. Marlene patrzyła mu prosto w oczy i widziała w nich żądzę mordy.

Wiedziała, że ją zabije.

Nie chciała umierać! Na pewno nie z ręki Ewalda. Jeśli już miała zginąć, to z bronią w ręku, w walce. Nie tak bezwolnie, bez sensu, patrząc w oczy swojemu mordercy. Ogarnął ją gniew, groźba śmierci wprawiła ją w furję, a ta dała niewyobrażalną siłę. Wycelowała kolano między nogi Ewalda i uderzyła w najczulszy punkt każdego mężczyzny. Esesman zawył niczym ranione zwierzę i puścił Marlene. Rzęząc, chwytła powietrze, świadoma, że zyskała jedynie kilka chwil. Za coś takiego Ewald ją zamorduje! Jego twarz zrobiła się purpurowa, żyły na skroni wystąpiły niczym dżdżownice. Patrząc na nie, Marlene pomyślała, że byłoby wspaniale, gdyby mu pękły.

– Co się tu dzieje, scharführerze?

Do samochodu podszedł stosunkowo młody mężczyzna w mundurze SS, jak się okazało – lekarz. Ponieważ zarówno napastnik, jak niedoszła ofiara z trudem chwyтали powietrze, nie uzyskał odpowiedzi. Zresztą sytuacja nie wymagała wyjaśnień. Lekarz otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Proszę ze mną, odwiozę panią do domu!

Nie do wiary! Naprawdę powiedział „do domu”! Marlene podniosła oczy.

Lekarz wydał jej się znajomy i gorączkowo zastanawiała się, gdzie też mogła go widzieć. Może „w pracy”? Nie, raczej nie, gdyż Brunnmann, mając na względzie finansowe zabezpieczenie swojej przyszłości, wybierał klientów przez pryzmat zasobności portfela. Byli to przeważnie cywile, a jeśli wojskowi, to wyłącznie wysocy rangą. Młody lekarz nie pasował to tego wzorca. Mimo to stał w hierarchii dużo wyżej niż Ewald, który tymczasem doszedł nieco do siebie i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Proszę się nie wtrącać, ona należy do obersturmbannführera Brunnmanna.

– Więc co robi na drugim końcu obozu? – Ton młodego oficera stanowczo się zaostrzył.

Pytanie najwyraźniej trafiło w czuły punkt, gdyż Marlene zauważyła, jak Ewald, przed chwilą pewny siebie i opryskliwy, nagle chowa głowę między ramiona. Poczła bezbrzeżną pogardę wobec sadysty, który odwagę i siłę okazuje tylko wobec bezbronnych kobiet.

– Rozumiem, scharführer, że to prywatna wycieczka. – Lekarz pomógł Marlene wysiąść z auta i podtrzymał za ramię, jako że ledwie stała na nogach, a do Ewalda rzucił: – Jesteście wolni, scharführerze.

Ewald przez chwilę chciał chyba protestować, lecz ostatecznie odpalił silnik i wcisnął gaz. Wóz zawył, a po chwili zniknął w tumanie kurzu.

Potyczka między esesmanami rozegrała się na peryferiach wielkiej bitwy. Więźniarki, które przeżyły masakrę, niczym bydło zapędzono do baraków i na placu zostały wyłącznie martwe ciała. „Tyle zgasłych przedwcześnie ludzkich istnień...”, pomyślała ze smutkiem Marlene. Na plac zajechały już wózki i więźniowie zaczęli uprzętać trupy. Również lekarz spojrział w kierunku pomordowanych i chociaż z jego nieporuszonej twarzy nie dało się niczego wyczytać, Marlene była

pewna, że zmówił krótką modlitwę za ich dusze. Myśl ta sprawiła, że ponownie wezbrała w niej fala gniewu. Ten człowiek nie miał prawa zwracać się do Boga! Jak śmie modlić się do miłosiernego Stwórcy, godząc się zarazem na to, by na jego oczach mordowano bezbronnych ludzi? Jak może gardzić tymi biednymi kobietami i równocześnie kochać Boga? Szok i wzburzenie sprawiły, że Marlene prawie zemdląca. Zatoczyła się, świat się rozmył, jakby patrzyła nań przez gruby welon, i straciwszy poczucie rzeczywistości, zatonąła w odmętach koszmaru. A przy tym w jej uszach wciąż rozbrzmiewała niebiańska muzyka. Uzmysłowała sobie, że na placu nadal gra obozowa orkiestra. W jej głowie tej cudownej melodii towarzyszył tekst: „O radości, iskro bogów...”. Beethoven? Marlene poczuła, że nadciąga atak hysterii. Koszmar okazał się rzeczywistością.

– Chodźmy – rzekł młody lekarz i Marlene wparta na jego ramieniu ruszyła w kierunku baraku.

Idąc przez obóz, wzbudzali nieskrywaną ciekawość. Marlene czuła na sobie spojrzenia niczym obłapiające dłonie. Żałowała, że nie jest przezroczyista. Chciałaby zniknąć z oczu współwięźniom. Jej duszę trawiło poczucie winy. Bo tak bardzo chciała przeżyć, że była gotowa na wszystko, nawet na to, by się upokorzyć, wyrzec samej siebie, zabić własną duszę. „Kiedy skończy się to szaleństwo? – myślała. – Dlaczego jeden sprawiedliwy nie jest w stanie uratować świata, a jeden zły potrafi strącić go w przepaść?”. W końcu nawiedziła ją najstraszliwsza z myśli: „A co, jeśli na końcu okaże się, że nie przeżyli dobrzy, tylko silniejsi?”.

Lekarz szedł żwawo i Marlene z trudem dotrzymywała mu kroku. Bolało ją gardło, z trudem oddychała i było jej tak niedobrze, że myślała, iż lada chwila zwymiotuje. Nie mogła wyrzucić z głowy obrazu masakry. Wciąż widziała esesmanów, którzy w amoku mordują kolejne szeregi więźniarek. Dlatego nie była w stanie podziękować swemu wybawcy, który na szczęście szedł obok niej, patrząc uparcie przed siebie, tak jakby był tylko przypadkowym przechodniem zmierzającym w tę samą stronę. Czyżby żałował tego, co zrobił? Może zastanawiał się, jakie konsekwencje będzie mieć dla niego to, że okazał więźniarce litość? „Tak, naziści stworzyli świat odwróconych znaczeń – rozmyślała wciąż wstrząśnięta Marlene. – Społeczeństwo, w którym wolno bezkarnie mordować bezbronnych, represji zaś ma się obawiać ten, kto okazuje współczucie i miłosierdzie. Jak długo jeszcze świat będzie się temu przyglądał w milczeniu?” Ostatnia myśl przypomniła jej nagle hrabiego. Zaczęła się zastanawiać, czy jego słowa, które uznawała dotąd za przejaw szaleństwa, nie kryją w sobie jednak ziarenka prawdy. Zbyt wielu ludzi korzystało na wojnie.

W końcu dotarli przed barak. Lekarz sztywnym „*Heil Hitler*” odpowiedział na salut strażników i odmaszerował.

Jolanta nie wróciła jeszcze z obozu. Olga powiedziała Marlene, że madame jak zwykle zniknęła, zebrawszy przyniesione przez dziewczęta alkohol i żywność.

Wróciwszy około południa, tuż przed odjazdem dziewcząt, Jolanta rzuciła tylko na Marlene okiem i jakby nigdy nic rzeczowo stwierdziła:

– Będziesz potrzebować apaszki.

Odpryski wojny

„Żydów zamierzamy następnie przetransportować na Madagaskar. Tam będą mogli stworzyć własne państwo”.

Minister propagandy Rzeszy Joseph Goebbels,
notatka z rozmowy z Führerem Adolfem H. z B. w 1940 roku,
zachowana w dzienniku ministra

Führer Adolf H. z B. miał atak serca. Od pewnego czasu rzadko pokazuje się publicznie; jego zapaść fizyczna i psychiczna staje się coraz wyraźniejsza.

Na amerykańskim Uniwersytecie Harvarda zaprezentowano pierwszą w USA programowaną maszynę liczącą: Mark 1. Urządzenie ma dwa i pół metra wysokości i siedemnaście metrów długości. Dodaje i odejmuje w ułamku sekundy, sześć sekund zaś zajmuje mu mnożenie. Twórca maszyny Howard Hathaway Aiken twierdzi, że jego urządzenie jest w stanie rozwiązać każde zadanie matematyczne. Mark 1 został zaprogramowany przez Grace Hopper, żonę Aikena.

Muszę powiedzieć, że nie mam nic przeciwko islamowi, gdyż ten wychowuje dla mnie w muzułmańsko-bośniackiej dywizji SS „Handzar” żołnierzy, obiecując im niebo, jeśli będą walczyć i polegną w boju.

Dla żołnierzy to bardzo praktyczna i sympatyczna religia!

Heinrich Himmler,

Reichsführer SS

Minęło sześć dni, nim Marlene ponownie zobaczyła się z Trudi.

W tym czasie „obowiązki zawodowe” zawiodły ją daleko w głąb Generalnego Gubernatorstwa. Klientami byli – nie po raz pierwszy – niemieccy sojusznicy z dawnego Imperium Osmańskiego.

Marlene pojechała razem z dziewięcioma innymi dziewczętami. Jolanta ubrała je w kolorowe stroje, lecz szybko kazano im je zrzucić i tańczyć nago. Gospodarze przywieźli własnych muzyków, mężczyzn z długimi brodami, którzy siedzieli na podłodze skupieni na instrumentach, na pozór zupełnie nie zwracając uwagi na odbywającą się wokół nich dziką orgię. Nie podano alkoholu, za to bez przerwy przynoszono fajki z haszyszem i wkrótce biesiadnicy byli kompletnie odurzeni. Nawet Marlene, która nic nie paliła, czuła się tak, jakby spowiła ją mgła.

W przyjęciu po raz pierwszy uczestniczył również Albrecht Brunnmann, który przedstawił Marlene gospodarzowi. Mężczyzna – ponoć blisko zaprzyjaźniony z Himmlerem szejk – ją właśnie obrał sobie za towarzyszkę wieczoru. Brunnmann musiał mu chyba specjalnie polecić Marlene, wiedząc, że praktyki seksualne szejka wzbudzą w niej obrzydzenie. Ażeby ją dodatkowo pogłębić i wzbudzić odrazę do klienta, przed przyjęciem z sadystyczną przyjemnością poinformował ją, że na prośbę szejka Himmler postanowił wymordować pięć tysięcy żydowskich dzieci, które z inicjatywy Czerwonego Krzyża miały zostać wymienione na dwadzieścia tysięcy niemieckich jeńców. Aby nie dać Brunnmannowi satysfakcji, Marlene udała, że ta informacja zupełnie jej nie obeszła.

Różne sygnały, które tego wieczora dostrzegła, świadczyły jednoznacznie o tym, że zbliża się koniec nazistowskiego panowania. Nadzieja, że jej udręki nie potrwać już długo i wkrótce nastanie pokój, dawała jej siłę znosić wszystkie upokorzenia i fizyczne cierpienia. Pocieszała się myślą, że niedługo nastanie czas odpłaty, gdy dzisiejsi oprawcy staną się podsądnymi, ofiary oskarżycielami, prześladowani myśliwymi, a dręczyciele zwierzyną. A miliony niemieckich uciekinierów poznają na

własnej skórze, co to znaczy być niemile widzianym w ojczystych stronach. Niestety Marlene nie wiedziała o najgorszym z wojennych doświadczeń, które jeszcze po latach miało doprowadzać jej towarzyszy niedoli do rozpacz – o tym mianowicie, że szczęśliwcy, którym udało się przeżyć najkrwawszą z wojen w dziejach ludzkości, po powrocie do domu znów się poczują niemile widziani i będą musieli uciekać. A wtedy niejeden z tych, którzy przeżyli nazistowską eksterminację, wybierze śmierć z własnej ręki.

Zaraz po powrocie z kilkudniowego wyjazdu do Generalnego Gubernatorstwa Marlene ubłagała Jolantę, by ta pozwoliła jej odwiedzić Trudi. Madame w końcu się zgodziła, jednak Marlene musiała zaczekać trzy dni, do najbliższego badania. Wtedy ze względu na „szczególne dolegliwości” Jolanta wpisała ją na listę i wraz z grupą dziewcząt wysłała do izby chorych. Grupie towarzyszył, ma się rozumieć, strażnik, lecz tego dnia przynajmniej nie był to Ewald, który od incydentu na placu straceń jeszcze bardziej dbał o to, by ciało Marlene pokryte było sińcami. Jolanta poskarżyła się nawet z tego powodu u Brunnmanna, wskazując, że Ewald „psuje towar”, i prosząc przy okazji o więcej pudru i kosmetyków, by było czym maskować siniaki.

Doktor znów wezwał Marlene jako ostatnią, lecz zdążył z nią zamienić ledwie kilka słów, gdy inny lekarz poprosił go do sąsiedniej sali. Ponieważ strażnik zaczął się niecierpliwić i nie miał ochoty czekać, Jolanta ustaliła z nim, że wróćą do baraku, a potem sama odbierze Marlene.

Następnie pożegnała się i wraz z wartownikiem i resztą dziewcząt opuściła izbę chorych. Tym sposobem Marlene mogła spędzić kilka chwil sam na sam z Trudi. Dziewczynka leżała na prowizorycznym łóżku za zasłoną, za którą zwykle skrywał się fotel ginekologiczny. Doktor kazał go przesunąć w głąb pokoju. Marlene była mu wdzięczna, że zatrzymał Trudi w gabinecie. Mała była blada, miała zapadnięte policzki, ale była przytomna.

– To ty – szepnęła słabo na powitanie.

– Jak się czujesz?

– Wróc i zapytaj jutro.

– Zaczęłaś żartować, to dobry znak.

– Lepszy byłby, gdybym mogła stanąć na rękach.

– Masz, napij się – Marlene przystawiła chorej kubek do ust, po czym delikatnie osuszyła kropelki z brody.

Trudi opadła na poduszkę.

– Skąd wytrzasnęłaś tego lekarza? On też był twoim kochankiem?

– Bezczelna jak zawsze. – Marlene uśmiechnęła się i pomyślała, że Trudi szybko odzyskuje dawny wigor.

Wprost nie do wiary, biorąc pod uwagę to, co ją spotkało. A może właśnie z tego cierpienia czerpała siły? Straciła dom, musiała się ukrywać, jako jedyna z rodziny przeżyła nalot, uniknęła

wywózki, a na koniec trafiła do obozu. A teraz jeszcze pokonała śmiertelną chorobę. Może faktycznie była niezniszczalna?

– Jak cię złapali?

– W pociągu. – W głosie Trudi słyhać było nutę rozgoryczenia.

– Myślisz, że to przeze mnie?

– A jak sądzisz? To ty mi kazałaś wsiąść do pociągu i wracać do Monachium!

– Brawo, miło widzieć, że znowu zaczynasz wierzgać. Naprawdę odzyskujesz siły!

– Przede wszystkim zastanawiam się, co zrobiłaś, że tu trafiłam. Uwiodłaś tego esesmana? –

Chociaż Trudi była wyczerpana, w jej oczach zabłyśły iskry.

– Nie ufasz mi? – Marlene z jednej strony była zaskoczona, z drugiej zaś wojowniczość Trudi wzbudzała jej podziw. – Jesteś naprawdę odważna – wymknęło się jej.

– Naprawdę? A można być odważnym na niby?

– Oczywiście! Większość ludzi potrafi się zdobyć na odwagę jedynie w tłumie. Twoja odwaga płynie prosto z serca. Potrafisz bronić swoich przekonań.

– W porządku – Trudi zmrużyła oczy – powiedziałaś mi coś miłego, więc zaczynam się robić podejrzliwa.

Marlene miała właśnie odpowiedzieć, gdy nagle usłyszała na korytarzu głos doktora. Zciekawiona podkradła się do drzwi, wyjrzała przez szparę i zobaczyła go na końcu korytarza, przy schodach. Przyciskając do boku stertę koców, rozmawiał z młodym oficerem, w którym Marlene rozpoznała swego wybawcę z placu straceń. Już sobie przypomniała, gdzie go widziała: to on kilka tygodni wcześniej uznał ją za zdrową i przekazał w ręce madame Butterfly. Przez chwilę zastanawiała się, czy to, że uratował ją z rąk Ewalda, naprawdę było tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu, czy też wysłała go za nimi Jolanta. W końcu musiała dbać o swój towar... Marlene wciąż nie miała pojęcia, po czyjej stronie stoi madame. Może po żadnej? Może prowadzi własną grę? Świadczyłby o tym fakt, że odbierała swoim podopiecznym żywność, wydzielając im tylko minimalne racje, tak aby zachowały zdolność do „pracy”, resztą zaś handlowała; musiała do tej pory zgromadzić w swojej izbie pokaźne skarby.

Po chwili młody lekarz pożegnał się i zniknął na schodach. Marlene chciała przywołać doktora, lecz coś ją powstrzymało. Friebling stał zamyślony jak ktoś, kto się zastanawia, dokąd skierować następne kroki, lecz Marlene domyśliła się, że doktor nasłuchuje podejrzanych dźwięków na schodach. Tutaj, na poddaszu, panowała niemal kompletna cisza. Na parterze znajdowały się sale z łózkami, na pierwszym piętrze sala operacyjna, na drugim gabinety i pokoje lekarskie. Jednak dla lekarzy SS pora była stanowczo zbyt wczesna i wszyscy spali jeszcze, zrzucawszy swe obowiązki na barki sióstr. Wyjątkiem był doktor Friebling, o czym Marlene przekonała się, gdy sama leżała w sali na dole.

Tymczasem doktor zachowywał się coraz dziwniej: przeszedł na palcach w stronę Marlene, która szybko zamknęła drzwi, by nie spostrzegł, że go obserwuje. Czekwała na moment, kiedy doktor wejdzie do gabinetu, lecz drzwi wciąż pozostawały zamknięte. W końcu porzuciła ostrożność i znów je uchyliła. Doktor zdążył minąć gabinet i doszedł już na drugi koniec korytarza, gdzie zniknął za ostatnimi drzwiami.

Marlene zakradła się za nim. Przed drzwiami zawahała się, a potem otworzyła je ostrożnie i weszła do niewielkiego magazynku. Przez niewielkie okienko w dachu wpadało niewiele światła. Wszystko w pomieszczeniu wydawało się zupełnie normalne – zwykły kram, który można znaleźć w każdym składziku: środki czystości, szczotki, kartony, stare wiadra malarskie i pędzle. Brakowało tylko doktora. Marlene była pewna, że zniknął za tymi drzwiami, gdzie zatem się podział? Nie mógł się rozpuścić w powietrzu, więc musiało tu być tajne przejście. Zaczęła szukać. Kształt sufitu, który w głębi pomieszczenia wyraźnie się zniżał, świadczył o tym, że znajdowała się na dawnej klatce schodowej, obecnie przekształconej w magazyn. Marlene przyklękła na starej plandecie zakrywającej połowę podłogi i sięgnęła ręką pod regał, by sprawdzić, czy nie natrafi na jakąś szczelinę – na coś, co naprowadziłoby ją na ślad ukrytych drzwi. Ponieważ niczego takiego nie znalazła, podniosła plandekę i jej oczom ukazała się kłapa!

Bez wahania uniosła ją i zeszła po krótkiej drabince. Znalazła się w małym pomieszczeniu z wąskimi, prowadzącymi na dół schodkami. Obok drabiny stała tyczka z hakiem. Marlene wzięła ją, weszła na górny szczebelek i za pomocą haka nie tylko zamknęła drzwi, ale też zaciągnęła na nie plandekę. Następnie zeszła schodkami cztery kondygnacje niżej i znalazła się w niskiej, łukowato sklepionej piwnicy. Naga żarówka zwisała z sufitu, oświetlając długi, ponury korytarz. Marlene przez chwilę nasłuchiwała, lecz na dole panowała cisza niczym w kościelnej krypcie. Ruszyła korytarzem. Światło stawało się coraz bardziej mdłe, a gdy tunel skręcił, otoczyła ją nie tylko cisza, lecz również kompletna ciemność. Mimo to odważnie szła po omacku, dotykając ścian, i w końcu dostrzegła w dali ledwie widoczną poziomą smużkę światła. Domyśliła się, że to drzwi. Gdy wreszcie stanęła przed nimi, jej dłonie natrafiły na zimną stalową płytę. Przyłożyła do niej ucho, lecz nie potrafiła określić, co takiego słyszy. Brzmiało to jak ludzkie szepty albo popiskiwanie stada gryzoni. Śmiało nacisnęła klamkę, lecz drzwi albo się zatrzęsęły, albo ktoś je zamknął od środka. Spróbowała ponownie i nagle za drzwiami zapadła upiorna cisza, jakby świat wstrzymał oddech. Jedyne, co słyszała, to bicie własnego serca. Instynktownie wyczuła, że po drugiej stronie stoi doktor, tak samo nasłuchując z walącym sercem. Nie miała nic do stracenia, więc zawołała:

– Doktorze Friehling, to ja! Marlene!

Upłynęło kilka sekund oczekiwania i w końcu rozległ się dźwięk przekręcanego klucza, a następnie czyjeś ramię wyłoniło się zza drzwi, chwyciło ją i wciągnęło do środka. Stanęli naprzeciw siebie oko w oko i Marlene z niejakim zdziwieniem spostrzegła, że doktor, który dotąd emanował niewzruszonym spokojem, z trudem powściąga emocje.

– Jak pani tu, na litość boską, weszła? Przysłała panią madame Jolanta?! – wykrzyknął zdenerwowany.

– Madame Jolanta? – powtórzyła Marlene zdumiona i w tym samym momencie wszystkie jej obserwacje ułożyły się w logiczną całość. W jednej chwili zrozumiała, że to, co do tej pory irytowało ją w relacji doktora i Jolanty, było zwykłym teatrem. Tych dwoje tylko udawało, że dzielą ich całe światy, a w rzeczywistości byli współnikami! Pytanie tylko, w jakiej sprawie i o co w tym wszystkim właściwie chodzi.

Za plecami doktora dostrzegła jakiś ruch. Od początku, od chwili gdy ją wciągnął do pomieszczenia, czuła, że nie są sami, lecz doktor stanął w taki sposób, żeby zasłonić jej widok. Przesunęła się w bok, a on instynktownie uczynił to samo, tyle że o ułamek sekundy za późno i Marlene zobaczyła dzieci: ułożone ciasno pod ścianą na materacach, spoglądały na nią szeroko otwartymi oczami. Marlene kucnęła i powiedziała z uśmiechem:

– Dzień dobry, jestem Marlene. Nie bójcie się, jestem znajomą pana doktora.

Dała dzieciom czas, by się oswoiły z jej obecnością, a sama gorączkowo zastanawiała się, co to za miejsce i co się tu dzieje. Na stosie koców zauważyła resztki jedzenia, które Jolanta odebrała im rano. Doktor musiał je przemyć razem z pledami i prawdopodobnie zaczął je rozdzielać, kiedy stanęła za drzwiami i mu przeszkodziła. Dzieci nie tylko się bały, ale też były głodne. Wzięła bochenek chleba, zaczęła go dzielić na mniejsze kawałki i rozdawać malcom. W tym samym momencie doktorowi jakby wróciło życie. Mimo to unikał jej spojrzenia, świadom, że będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań. Gdy nakarmili dzieci, powiedział do niej:

– Proszę już iść. Zobaczymy się w moim gabinecie. Tylko proszę uważać, by nikt pani nie widział.

Kiedy wróciła, Trudi spała. Marlene niespokojnie kręciła się po gabinecie, czekając na doktora. Co to za dzieci? Dlaczego ukrywa je w piwnicy? Chociaż odpowiedź wydawała się oczywista, nerwowo oczekiwała wyjaśnień. Zrozumiała też, że winna jest Jolancie przeprosiny.

Kiedy na chwilę zamykała oczy, widziała znowu przed sobą tłoczącą się przestraszoną gromadkę, która wpatrywała się w nią wielkimi, ciemnymi dziecięcymi oczami. Jakby była niosącym śmierć wrogiem. Tyle strachu, tyle bólu! Ileż te maleństwa wycierpiały w swoim krótkim życiu! Były takie drobne, mogły mieć od trzech do najwyżej dziesięciu lat. Niektóre miały mongoloidalne rysy, jedno wyglądało na karła, widziała też kilka par bliźniąt. W sumie jakieś trzydzieścioro maleństw. Doktor ukrywał je i żywił. Z pomocą Jolanty.

Doktor wrócił. Najpierw rzucił okiem na Trudi i zadowolony z tego, co zobaczył, wskazał Marlene na stojące przed biurkiem krzesło.

– Powinniśmy porozmawiać.

Siedzieli naprzeciw siebie i... milczeli. Milczeli, gdyż nawzajem wyczuwali w sobie niepewność. Nagle połączyła ich tajemnica i stali się współnikami. Marlene wiedziała, że doktor boi się o swoje

małości. Żył dla nich. Czuła, jak jej serce rośnie i jakaś jego część ulatuje ku doktorowi. Nagle zapragnęła zatonać w jego objęciach, choć przez chwilę poczuć się bezpiecznie, skłonić głowę na jego ramieniu i oddać się pod jego opiekę – tak jak te dzieci w piwnicy. Pozwolić sobie na chwilę słabości... Poczuć wreszcie, że i ona jest człowiekiem, a nie bezdusznym przedmiotem przeznaczonym do zaspokajania męskich chuci.

– Jak mogę pomóc? – spytała i ulga, którą ujrzała na twarzy doktora, była niczym promyk słońca w pochmurny dzień.

Trochę zabolęła ją, że doktor z początku nie do końca jej ufał. Naprawdę myślał, że mogłaby wykorzystać swoje odkrycie przeciwko niemu?

Mimo wzburzenia potrafiła go jednak zrozumieć, bo czyż sama nie zachowywała się podobnie? To właśnie chorobliwa ostrożność i nieufność pozwalały jej dotąd omijać zastawiane przez nazistów pułapki. Tylko tak można było przeżyć. Czy dało się w tych strasznych czasach nie stracić zaufania do bliźnich? Dobrzy ludzie nie wystawali niczym latarnia z brunatnej masy. Przeciwnie, musieli się ukrywać i działać po cichu, gdyż wszelkie ludzkie odruchy uznawano za zdradę.

– Potrzebujemy jedzenia, ubrań i zabawek. I książek – powiedział doktor cichym głosem.

– Niewiele mogę, ale zrobię, co w mojej mocy. Może pan na mnie polegać – odpowiedziała Marlene na nieme pytanie lekarza. – Skąd się wzięły te dzieci?

Doktor uśmiechnął się ciepło.

– Spadły z nieba, a ja je złapałem.

– Bardzo... poetyckie. – Marlene odwzajemniła uśmiech.

– Ale to prawda. Znajduję je na każdym kroku.

– A nie pomyślał pan, że jest na odwrót? Że to one znajdują pana?

W jego oczach przez chwilę zamigotało zdumienie, a potem spojrzał na nią tak przenikliwie, jakby chciał zgłębić jej duszę.

– Ciekawa myśl – powiedział w końcu.

– Jolanta powiedziała, że to przeznaczenie. I myślę, że miałyby rację.

Doktor przez chwilę jakby się zastanawiał, jak to skomentować, lecz ostatecznie nie odpowiedział, tylko w milczeniu bawił się ołówkiem.

– A co z pana planem? – spytała ostrożnie Marlene.

– Jak... och, oczywiście, przepraszam. Niestety, pułkownik nie odezwał się, odkąd przekazałem mu pani odpowiedź. – O ile przed chwilą doktor na moment się odprężył, o tyle teraz na jego czole znów pojawiły się głębokie bruzdy.

– To znaczy, że mamy beczynnie czekać? Może pan skontaktować się z Ernstem?

Doktor pokręcił głową.

– Pani przyjaciel uznał, że to zbyt niebezpieczne. A ja się z nim zgadzam. – Doktor spojrzał na

zegarek. – Za chwilę przyjadą po mnie, mam wizytę poza obozem. Pani może zostać z przyjaciółką, później odbierze panią madame Jolanta. Tymczasem... – urwał z takim wyrazem twarzy, jakby zawstydził się własnych myśli.

– Tak?

Doktor wziął się w garść.

– Uważam, że lepiej, by nie wspominała pani madame Jolancie o dzieciach. Nie byłaby zachwycona wtajemniczeniem kolejnej osoby. Ona nikomu nie ufa.

– A dzieci? Nie powiedzą jej o mnie?

– Nie, ona ich nie widuje. Nie chce nawet wiedzieć, gdzie je ukrywam.

– Nie rozumiem...

– Boi się, że w razie tortur mogłaby zdradzić ich kryjówkę.

Odpryski wojny albo potiomkinowski obóz Theresienstadt

23 czerwca 1944 roku hrabia Folke Bernadotte, wiceprzewodniczący Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, odwiedził dawną austriacką twierdzę Theresienstadt, którą zamieniono w obóz koncentracyjny.

Zapowiedzianą wizytę hrabiego poprzedziły skrzętne przygotowania: domy zostały świeżo odmalowane, pootwierano dodatkowe sklepy, w witrynach pojawiły się luksusowe towary, pozamiatano ulice. Zorganizowano nawet bibliotekę i teatr, wysprzątno cmentarz, a na placu defiladowym otwarto kawiarnię, w której wybrani więźniowie popijali kawę, słuchając muzyki. Starcom, inwalidom i wychudzonym więźniom na czas wizyty surowo zakazano pokazywania się na ulicach.

Za to gettowe dzieci zostały wymyte i przemyślnie rozstawione na trasie przejazdu gościa i towarzyszącego mu komendanta obozu Karla Rahma. Wcześniej każdemu z dzieci wręczono bułkę z sardynkami i nakazano w obecności gościa głośno krzyknąć: „Wujku Rahm, znowu sardynki?”. Tego dnia wszystko miało przebiegać według szczegółowego scenariusza.

Na cześć dostojnego gościa wystawiono operę *Brundibár* czeskiego kompozytora Hansa Krásky oraz wyświetlono specjalnie na tę okazję nakręcony propagandowy film pod tytułem *Führer ofiarowuje Żydom miasto* – ze scenami przedstawiającymi starannie wyselekcjonowane, dobrze ubrane młode kobiety w salonie fryzjerskim czy esesmana, który głaszcze podczas spaceru żydowskie dziecko, a gdy daje mu czekoladę, słyszy w odpowiedzi: „Wujku, znów czekolada?”.

Była to perfidna i doskonale zaplanowana maskarada zainscenizowana przez nazistów po to, by pokazać szwedzkiemu gościowi, że informacje o ich rzekomych zbrodniach to tylko wroga propaganda zachodnich aliantów.

I hrabia dał się wyprowadzić w pole. Sporządził pełen zachwytów raport, w którym przekonywał zagraniczną opinię publiczną, że osadzeni w obozach koncentracyjnych i gettach Żydzi miewają się znakomicie! Zapomniano o relacjach setek naocznych świadków, takich jak dwaj słowaccy uciekinierzy, którzy zostali deportowani z Theresienstadt do obozu zagłady w Auschwitz, skąd zbiegli, by następnie przekazać do Anglii raport o tym, co naprawdę dzieje się za obozowymi drutami. BBC przekazała tę informację na cały świat, lecz mało kto chciał słuchać straszliwej prawdy. Ludzie woleli się łudzić, niż stanąć oko w oko z prawdą o ludobójstwie.

Aby utrzymać oszustwo w tajemnicy, Niemcy wkrótce deportowali i wymordowali wszystkich żydowskich uczestników maskarady oraz aktorów i personel pomocniczy uczestniczący w produkcji propagandowego filmu.

Hrabia Folke Bernadotte jest między innymi autorem książki *I stället för vapen* (Stockholm 1948).

Nie na naradach książąt, lecz w duszach mas wykuwają się dziś losy narodów.

Gustave Le Bon,
francuski lekarz i pisarz

Trudi zdrowiała w oczach. Po kolejnych dziesięciu dniach, w połowie września, doktor wypuścił ją spod swoich skrzydeł. I tak trzymał ją w gabinecie o wiele za długo, wzbudzając w końcu podejrzliwość kolegów.

Ernst nie dał znaku życia i początkowa euforia Marlene związana z planem wysadzenia obozowych pieców ustąpiła miejsca trzeźwej ocenie sytuacji. Teraz czekała ją rozmowa z Trudi. Płonne okazały się nadzieje, że z pomocą Ernsta uda się ją wydostać z obozu, zanim będzie musiała zacząć pracę u madame. Marlene wiedziała, że ratując dziewczynie życie, skazała ją tym samym na straszliwy los narzędzia do zaspokajania męskich chuci. Ze grozą przypomniała sobie, jak pierwszy raz została zgwałcona w piwnicach berlińskiego gestapo, gdzie jednooki sadysta Greiff wydał ją na pastwę swoich ludzi.

Jolanta wyraźnie zainteresowała się Trudi. Ujęła ją nie tylko subtelna uroda dziewczyny, lecz również jej głos. Wkrótce po tym jak Trudi trafiła do baraku, madame wzięła Marlene na stronę.

– Wykupiłaś ją od śmierci, lecz teraz musisz jej powiedzieć, za jaką cenę.

Marlene wiedziała, że Jolanta nie toleruje opieszałości i musi bezzwłocznie spełnić jej polecenie. Niestety nie miała w takich sprawach żadnego doświadczenia i nie wiedziała, jak powiedzieć młodej dziewczynie, że od tej pory będzie zmuszona się prostytuować. Szalenie obawiała się reakcji Trudi.

– Usiądź, Trudi, musimy porozmawiać – przemogła się w końcu.

– Znowu mi wygłosisz kazanie? – zjeżyła się dziewczyna.

Marlene spostrzegła, że drżą jej powieki.

Skóra Trudi wydawała się wręcz przezroczysta, zielone oczy nienaturalnie ogromne, a odrastający srebrny puch na ogolonej głowie tak delikatny i cudownie eteryczny, jakby obsypał ją gwiazdny pył.

– Pamiętasz, jak spytałaś mnie w gabinecie doktora, czy zadałam się z nazistami? – zaczęła Marlene.

– Przez mgłę, pamięć mi trochę szwankuje. A co? Zrobiłaś to? I gdzie my właściwie jesteśmy?

Kim są te dziewczyny i dlaczego tamta ogromna kobieta kazała mi śpiewać?

– Nie martw się, odzyskasz pamięć. Doktor mówi, że to skutek tyfusu i wkrótce minie – uspokoiła ją Marlene. – Za to choroba najwyraźniej nie zaszkoziła twojemu językowi.

– No dobrze, więc co to za miejsce? Obóz gimnastyczny czy coś w tym rodzaju?

Trudi nie dała się zbić z pantałyku.

– Madame Jolanta prowadzi dom publiczny, a ja dla niej pracuję.

– Zostałaś nazistowską dziwką? – wyrwało się Trudi.

Chciała się zerwać z ławki, lecz Marlene chwyciła ją za rękę i przytrzymała na miejscu. Poczowała pod palcami cienkie kości i jej wyrzuty sumienia jeszcze się wzmogły. Dyskretnie rozejrzała się po baraku. Dziewczęta wróciły z „pracy” i odbywały zwykły poranny rytuał. Wykładając na stół zdobyte jedzenie, albo nie usłyszały Trudi, albo zignorowały jej słowa.

– Już o tym rozmawialiśmy. Każdy próbuje przeżyć na swój sposób. Pytanie, czy chcesz żyć, czy wolisz zostać ofiarą i umrzeć – spytała twardo Marlene.

– Pieprzysz się z jakimiś nazistowskimi świniami i mówisz, że nie jesteś ofiarą? Gdzie tu logika? – rzuciła szyderczo Trudi. Wciąż ani myślała ściszyć głosu.

– Na wojnie nie ma logiki, Trudi. Jest tylko życie lub śmierć. Masz wybór: albo będziesz pracować dla madame Jolanty, albo jeszcze dziś wrócisz do obozu. W życiu nie zawsze robimy to, co nam się podoba. Czasem trzeba robić rzeczy, które sprawiają ból, które wydają nam się nie do udźwignięcia, a jednak je robimy. Jeżeli chcemy żyć.

Gniewne błyskawice w oczach Trudi powoli ustąpiły miejsca przerażeniu, a potem dziewczyna nagle wybuchła płaczem. Jej kruche ciało drżało jak osika. Musiało upłynąć kilka chwil, nim Marlene zrozumiała tłumione przez łzy słowa:

– Zabiłam hrabiego – powtarzała w kółko Trudi.

Marlene przypomniała sobie, co Trudi wyszeptała tamtego wieczora. „Jak mama...”. Czy to możliwe, żeby ta biedna dziewczyna widziała, jak zgwałcono jej matkę? Czy dlatego zabiła hrabiego?

– Uratowałaś mnie – powiedziała Marlene łagodnie, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. – Opowiedz mi, co się stało z twoją mamą. Może ulży ci, kiedy to z siebie wyrzucisz.

Trudi pociągnęła nosem i przez dłuższą chwilę starała się zapanować nad głosem.

W końcu jej się udało:

– Te nazistowskie świny wyważyły drzwi naszego mieszkania. Szukali pieniędzy i kosztowności, ale byliśmy biednymi artystami, więc niczego nie znaleźli. Wtedy prawie na śmierć skatowali mojego tatę, a potem we trzech rzucili się na mamę. Była bardzo piękna – szlochała Trudi.

Wtulona w ramiona Marlene, płakała rozpaczliwie. Gdzieś ponad głową Trudy spotkały się spojrzenia Marlene i Jolanty.

Azjatka jak zwykle wydawała się chłodna i zdystansowana, jakby uczucia były dla niej

przykrością, której należy unikać. A przecież Marlene знаła jej tajemnicę i wiedziała, że madame tylko udaje. Właśnie zbierała żywność, którą później przemyciała dla ukrywanych przez doktora dzieci.

Aby nie zdradzić swoich myśli, Marlene ponownie skupiła uwagę na Trudi, jednak Jolanta zbliżyła się do nich i rzekła:

– Dziś w południe zabieram dziewczynę. Będziemy ćwiczyć niemieckie piosenki.

Madame dała Trudi twardą szkołę. Dziewczyna musiała do upadłego uczyć się piosenek w rodzaju *Lili Marleen* czy *Adieu, mój mały gwardzisto*. Marlene nie mogła wprost uwierzyć, że ów ciemny, prawie chropawy głos dobywa się z ust tak kruchej istoty. Żydowski pianista raz po raz uderzał te same akordy. Chociaż zdaniem Marlene Trudi już po dwóch dniach była gotowa do występu, Jolanta nie była zadowolona i kiedy straż zabierała pozostałe dziewczęta, Trudi zostawała z nią, by dalej ćwiczyć.

Cztery dni później Marlene, Olga i dwie inne dziewczyny przeżyły najgorszy dzień w swojej dotychczasowej „karierze”. Pijani klienci zachowywali się jak dzikie bestie. Wszystkie cztery odniosły poważne rany, lecz najgorszy los spotkał Marikę, młodą Węgierkę, której oprawcy złamali miednicę. Jak brutalnej siły musieli użyć, by zrobić coś podobnego? Marlene była piętro niżej i kiedy usłyszała dobiegający z góry żałosny krzyk Mariki, natychmiast tam pobiegła i gdyby nie Olga, która ruszyła za nią i w ostatniej chwili ją powstrzymała, rzuciłaby się na oprawcę. Okazało się, że klient jest Ukraińcem, więc Olga zaczęła krzyczeć coś po rosyjsku i oprawca zostawił kwilącą dziewczynę, a rzucił się na nowe ofiary i je również brutalnie pobił. Prawdopodobnie skończyłoby się dużo gorzej, gdyby nie jeden z oficerów, klient Olgi, który wpadł do pokoju i obezwładnił Ukraińca.

Marlene i Olga miały kilka siniaków i guzów, ale w przeciwieństwie do Mariki nie doznały na szczęście żadnego złamania. I to je uratowało, gdyż Ewald bez ceregieli zastrzelił wyjąca z bólu dziewczynę. W tym stanie była zwyczajnie bezużyteczna i nie było żadnego powodu, by ją zostawić przy życiu.

Gdy wróciły do baraku, Jolanta natychmiast zatroszczyła się o to, by doktor Friebling opatrzył im rany, a raczej – jak to sformułowała w rozmowie z Ewaldem – „przywrócił towar obersturmbannführera do stanu używalności”.

Tym sposobem Marlene miała okazję ponownie spotkać się z doktorem. Od razu spostrzegła, że od jej ostatniej wizyty w izbie chorych zrobiło się upiornie pusto. Podczas gdy Jolanta na korytarzu rugała Ewalda za to, że samowolnie zabił Marikę, Marlene spytała doktora, skąd te pustki. Okazało się, że wyżsi rangą oficerowie SS zaczęli odsyłać żony oraz żeński personel do domów. Nadto zupełnie zaprzestano rozpatrywania wniosków o przeniesienie, a nawet doszło do kilku przypadków dezercji. Marlene zastrzygła uszami: skoro szczury zaczynają uciekać, to znaczy, że Rosjanie prą naprzód i wojna niepowstrzymanie zmierza ku końcowi. Atakując Rosję, Hitler się przeliczył, tak samo jak kiedyś Napoleon.

Kiedy doktor skończył opatrywać Olgę, Marlene zajęła miejsce na leżance. Rana biegnąca u nasady włosów nie była groźna, lecz doktor wezwał do gabinetu Jolantę i Ewalda i poinformował ich, że chciałby zatrzymać Marlene na kilkugodzinną obserwację.

– Poza tym – dodał – pacjentka musi dostać lewatywę.

Wypowiedział to stanowczo, machając im przed oczami ogromną strzykawką, toteż Ewald nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, ale jedynie wyszczerzył złośliwie zęby.

Kiedy esesman wraz z Jolantą i Olgą wyszedł z gabinetu, doktor przekazał Marlene wspaniałą wiadomość: odezwał się Ernst! Pułkownikowi udało się zdobyć sporą ilość dynamitu i broni i planował w najbliższych dniach przeszmugłować skrzynie do obozu! Słyszając tę radosną wieść, Marlene zupełnie się zapomniała.

Im dłużej musiała znosić brutalność mężczyzn i im dłużej jej ciało było li tylko narzędziem służącym do zaspokajania ich zwierzęcych popędów, tym bardziej tęskniła za ciepłem drugiego człowieka. Również tragiczna śmierć Mariki przyczyniła się zapewne do tego, że Marlene chciała się upewnić, że jeszcze żyje, że oddycha i czuje, że jest żywą istotą.

Już wcześniej nieśmiało zastanawiała się, jakby to było pocałować doktora, jedyne tutaj mężczyznę, który szanuje kobiety, a teraz w końcu zarzuciła mu ramiona na szyję. Była przekonana, że ją odtrąci, lecz on po prostu przyjął jej pocałunek. Nie odepchnął jej. Po chwili uwolniła go ze swoich objęć i badawczo spojrzała mu w oczy, lecz nie bardzo wiedziała, jak zinterpretować to, co w nich wyczytała. Myślała, że będzie zakłopotany albo spontanicznie odpowie na pocałunek, tymczasem on wyglądał jak zaskoczone dziecko. A potem spuścił głowę i kontynuował badanie.

A jednak coś się między nimi zmieniło. Poczuli coś na kształt duchowego zjednoczenia, jakby bez jednego słowa doszli do porozumienia w najgłębszych kwestiach. Oboje doznali wewnętrznego poruszenia, na nowo nastroili swoje dusze i serca i powoli ruszyli ku sobie. A mimo to zatrzymali się w ostatniej chwili. Wystarczyła im świadomość, że nie muszą niczego mówić ani wyjaśniać. Wystarczyło, że są w jednym pokoju, zjednoczeni miłością silniejszą niż wszystkie ich wątpliwości, choć nie mieli przed sobą nadziei ani przyszłości. Bo mimo wszystko wiedzieli, że ich zadaniem i przeznaczeniem na tym świecie jest co innego niż miłość.

Gdy doktor dezynfekował niewielką ranę na czole Marlene, spytała nieomal z rezygnacją:

– Jak to możliwe, że ludzie są zdolni do tak strasznych rzeczy?

Zrozumiał, że jej pytanie nie dotyczy tylko wydarzeń ostatniej nocy.

– Czasem myślę, że nienawiść, która zatruwa ich dusze, jest niczym wirus. Szerzy się na ziemi już od czasów poprzedniej wojny.

– Sądzisz... – Marlene spontanicznie porzuciła krępujące ich konwenanse. – Sądzisz, że nienawiść jest... zaraźliwa?

– Niestety tak. Ludzie próbują się nawzajem prześcigać w okrucieństwie i w ten sposób wpadają

w zaklęty krąg zła. Jednostka jest w stanie się powściągnąć, lecz w masie ludzie są nieobliczalni. Opisał to pewien francuski badacz w książce, którą zatytułował *Psychologia tłumu*. Podobno czytał ją nie tylko Führer, ale i Goebbels.

– Myślisz, że można się nauczyć, jak przemienić ludzi w sfanatyzowany tłum?

– Całe zło tego świata istnieje tylko dlatego, że podlegają do niego fanatycy. Podsycają nienawiść, bo mają w tym własny interes. Goebbels dowiódł tego, wygłaszając swoje przemówienie w Pałacu Sportu. Potrzebny jest tylko zręczny demagog, a tłum stanie się stadem owiec i ruszy za nim, pobekując ochoczo. Aż znajdzie się na skraju przepaści. – Doktor pozwolił sobie na błady uśmiech. – Niezręczna metafora. Myślę, że księża nie byliby zachwyceni.

Marlene odpowiedziała uśmiechem.

– Pan jest moim pasterzem?

Wymienili wymowne spojrzenia, po czym doktor podjął wątek. On również zwracał się teraz do Marlene po imieniu, co bardzo ją ucieszyło. Następne jego pytanie wprowadziło ją jednak w zdumienie.

– Wiesz, że oprócz poślizgnięcia moją specjalnością są męskie choroby weneryczne? – Doktor zaczął, aż Marlene kiwnie twierdząco głową, po czym kontynuował: – Jest różnica między leczeniem, dajmy na to, nogi i męskich genitaliów. To drugie siłą rzeczy wprowadza atmosferę zażyłości, toteż niejednemu miałem okazję wysłuchiwać, co leży żołnierzom na sercu. Jeszcze w trakcie studiów oprócz ludzkiego ciała zainteresowałem się również duszą. Ciało i dusza tworzą bowiem jedną całość i pomijając bakterie i zakażenia, choroba nie bierze się z niczego. Często jest ona objawem tego, co się dzieje w podświadomości. W trakcie poprzedniej wojny miałem dość okazji, by się o tym przekonać, i dziś jestem pewny, że nienawiść jest formą szaleństwa. Pojawia się, ilekroć ludzie porzucają bądź składają w cudze ręce zdolność racjonalnego myślenia. W ten sposób zamykają się również na wszelkie dobre uczucia, a tym samym przestają być ludźmi i nie działają już jak ludzie.

– Uważasz, że naziści podsycają nienawiść do Żydów po to, by ludzie nie byli w stanie samodzielnie myśleć?

– Tak uważam. To najniebezpieczniejsza cecha takich demagogów jak Hitler. On ma talent do wzbudzania nienawiści, a nienawiść prowadzi do wojny.

– Ale jeśli nienawiść jest formą szaleństwa, to czy ludzie są odpowiedzialni za swoje zbrodnie?

– Oczywiście, bo wciąż mają wybór. Mogą się opowiedzieć przeciwko nienawiści. Choć... od pewnego momentu już nie ma odwrotu, gdyż są opętani.

Marlene na chwilę zamyśliła się i w końcu spytała:

– Myślisz, że ta teoria stosuje się również do żołnierzy? Oni nie zabijają z nienawiści, tylko na rozkaz.

– Oczywiście żołnierz może się kryć za rozkazami, gdyż pierwszym jego obowiązkiem jest posłuszeństwo. Rozkazy przychodzą z góry i to dowódcy mają myśleć i podejmować decyzje, ale

nawet na wojnie każdy człowiek ma obowiązek słuchać własnego sumienia. Wojna zmusza do zabijania w walce, ale nikt nikogo nie zmusza, by mordował bezbronnych. Znam żołnierzy, którzy odmówili udziału w masowych rozstrzeliwaniach. Nie spotkało ich nic złego, zostali jedynie przeniesieni do innych jednostek.

– Więc dlaczego tak wielu z nich uczestniczy w masowych mordach?

– Bo ktoś ich nauczył nienawidzić. Barbarzyństwo staje się czymś normalnym, skoro biorą w nim udział wszyscy dokoła. Tylko dlatego mogło powstać takie miejsce jak Auschwitz. Zabijanie jest tu chlebem powszednim.

Słowa doktora przeraziły Marlene. Tak łatwo przecież podsycać nienawiść! Zastanawiała się, ilu jeszcze Hitlerów zrodzi ludzkość w przyszłości. Może następny „Führer” już czeka gdzieś na swoją kolej? Napotkała spojrzenie doktora. W jego oczach kryła się udręka.

– To nasza wina. To my na to pozwoliliśmy – powiedział twardo. – Daliśmy się otumanić państwowej propagandzie i zbyt długo żyliśmy w poczuciu złudnego spokoju. Woleliśmy bagatelizować problemy, niż stawić im czoła. Byliśmy lekkomyślni. Na końcu zawsze trzeba ponieść konsekwencje własnych zaniedbań, ale wtedy jest już najczęściej za późno, bo problemy nawarstwiają się i w pewnym momencie zamieniają w niszczącą wszystko na swojej drodze lawinę. Wiele lata temu – podjął po krótkiej pauzie – miałem przyjaciela. Był przenikliwym człowiekiem i już w 1923 roku zrozumiał, jakim zagrożeniem jest Hitler. Niemal odchodził od zmysłów, bo nikt nie chciał go słuchać. Był głęboko wierzącym katolikiem i to wiara dała mu siłę wytrwać. Zło niemal wisiało w powietrzu, ludzie stawali się coraz bardziej brutalni. Z czasem nikt już nie reagował, kiedy tłuczono szyby, podpalano synagogi, a mężczyzn, kobiety i dzieci naznaczano gwiazdą Dawida. A przecież to nie byli obcy, to działo się na naszych oczach, dotyczyło naszych sąsiadów. Krawca, do którego się nosiło ubrania, sklepikarza, u którego robiliśmy codzienne sprawunki, nauczyciela, któremu powierzaliśmy nasze dzieci, i lekarza, w którego ręce składaliśmy nasze zdrowie i życie. Widzieliśmy, co się dzieje. Nie mogłem uwierzyć, jak szybko szerzy się ta nienawiść. – Doktor urwał i wziął głęboki oddech. – Wybacz, że cię zanudzam.

– Skądże! Myślę, że wszyscy musimy sobie zadawać pytanie, skąd bierze się zło. Moja babcia Charlotte mówi, że Hitler stłamsił Kościół tylko dlatego, że Jezus głosił miłość bliźniego, a nienawiść niczego się nie boi tak jak miłości.

Doktor kiwnął głową.

– Dlatego Rzymianie ukrzyżowali Jezusa. Dla ludzi, którzy siłą podbili cały ówczesny świat, człowiek głoszący miłość był zagrożeniem.

– A mimo to Imperium Rzymskie upadło? – Marlene wypowiedziała to zdanie w formie pytania, ciekawa, jak doktor wyjaśni ten fakt.

– Owszem, bo władza i dobrobyt prowadzą nie tylko do megalomanii, ale również do dekadencji.

Rzymianie uważali się za najpotężniejszych i ta pycha przyniosła im zgubę. Ich upadek zapoczątkował jednak narodziny nowej potęgi, której korzeń również tkwi w Rzymie.

– Chrześcijaństwa...

– Pierwotna nauka Jezusa o miłości szybko została fałszywie zinterpretowana i wykorzystana do własnych interesów. W imię Jezusa Kościół sprawował nieograniczoną władzę nad światem. Cesarze i królowie musieli się korzyć przed nowym Rzymem, a każdy, kto podawał w wątpliwość władzę papieża i Kościoła, ryzykował życiem. A przecież człowiek musi wątpić, gdyż poszukiwanie prawdy zaczyna się od stawiania pytań. Kto wątpi, ten myśli. Prawdziwe wyzwolenie ludzkiej myśli nastąpiło dopiero w epoce oświecenia. Francuzi mieli swoją rewolucję, Kościół reformację. To pchnęło świat naprzód.

– Tak... Tylko jak skłonić człowieka do wątpienia? Ktoś, kto jest przekonany, że ma rację, z góry wyklucza wszelką dyskusję. Z człowiekiem pokroju Brunnmanna nie da się dyskutować. On nie jest w stanie podać w wątpliwość swoich poglądów.

– To prawda, niektóre nasze struktury myślowe są jak kaftan bezpieczeństwa. Niezdolność ludzi do weryfikowania własnych przekonań do dziś stoi na przeszkodzie pokojowemu współżyciu narodów. A przecież tolerancja oznacza również zdolność akceptowania odmiennych stanowisk.

Słowa doktora sprawiły, że Marlene wróciła myślami do dzieciństwa.

– Mój dziadek mawiał, że człowiek jest dowodem na nieistnienie Boga.

Doktor zawahał się, po czym zapytał:

– Wierzysz w Boga?

– Przede wszystkim wierzę w to, że każdy człowiek rodzi się wolny. Zastanawia mnie fakt, że akurat w czasie wojny i głodu tylu ludzi zwraca się ku Bogu, podczas gdy inni Go przeklinają, winiąc za to, że dopuszcza takie cierpienie. Myślę, że Bóg i wiara nie są kwestią wyboru. Moja babcia jest głęboko wierzącą katoliczką, a mój dziadek był ateistą. Mówił to samo co ty: albo się wierzy, albo się myśli. Posuwał się nawet dalej: twierdził, że wiara jest zaprzeczeniem wolności. A mimo to dziadkowie doskonale się rozumieli. Bo łączyła ich miłość. Może więc odpowiedzią na nienawiść jest wiara w Boga miłości? – Marlene zawahała się. – A ty? Wierzysz w Boga?

Na twarzy doktora pojawił się bolesny uśmiech.

– Wyobrażam sobie Boga jako ojca, który pozwala dzieciom błędzić, bo chce, aby na tych błędach czegoś się nauczyły. Dlatego mam głęboką nadzieję, że kiedy ta wojna dobiegnie końca, ludzkość wyciągnie z niej wnioski. Dwie wielkie wojny w ciągu jednego stulecia to aż nadto.

Rozmowa z doktorem wlała w Marlene otuchę i chętnie została by dłużej, lecz Ewald najwyraźniej nie miał nic lepszego do roboty i zjawiwszy się w izbie chorych dużo wcześniej, niż zapowiadał, zabrał ją z powrotem do baraku.

192 dni do „Dnia 0”

„Religia opiera się przede wszystkim na strachu. Częściowo na strachu przed tym, co nieznanne, częściowo zaś, jak już wspomniałem, na pragnieniu doświadczenia obecności kogoś w rodzaju starszego brata, który wspiera we wszystkich trudnościach i zmaganiach. Strach jest podstawą wszystkiego – strach przed tajemnicą, strach przed klęską, strach przed śmiercią. Strach jest ojcem okrucieństwa, toteż nic dziwnego, że okrucieństwo i religia idą ze sobą pod rękę, skoro wyrastają z tego samego korzenia: strachu. Świat potrzebuje wiedzy, dobra i odwagi, a nie bolesnej tęsknoty za przeszłością, pętania wolnego umysłu słowami wypowiedzianymi dawno temu przez nierozumnych ludzi. Potrzebuje odważnego spojrzenia w przyszłość i wolnej myśli”.

Bertrand Russell (1872–1970),

brytyjski filozof,

Dlaczego nie jestem chrześcijaninem.

wykład z 1927 roku

Jolanta nie wysyłała Marlene do „pracy”, czekając, aż opuchlizna zniknie z jej twarzy. Tym sposobem po raz pierwszy od dawna Marlene mogła odetchnąć i choć na chwilę zapomnieć o codziennych gwałtach i maltretowaniu.

Trudi w dalszym ciągu ćwiczyła się pod okiem madame w tańcu i śpiewie i do tej pory nie została wystawiona na najcięższą próbę. Ponieważ w ostatnim czasie było mniej „zleceń”, Jolanta nie musiała wysyłać najmłodszej ze swoich podopiecznych do „pracy”. Również pozostałe dziewczęta mogły od czasu do czasu zostać w baraku.

Wraz ze zbliżaniem się frontu Brunnmannowi ubywało klientów. Z jednej strony wypadało się z tego cieszyć, lecz z drugiej Marlene martwiła się, gdyż coraz trudniej przychodziło im zdobywać pożywienie dla dzieci.

Któregoś ranka, gdy przyniesionej żywności nigdy nie było tak mało, Jolanta otrzymała pilną wiadomość od doktora Friehlinga. Wkrótce potem wzięła Marlene na stronę i przekazała jej, że doktor chce ją zobaczyć. O dziwo, tym razem madame była gotowa natychmiast zaprowadzić ją do obozu, a nawet specjalnie w tym celu przekupiła strażę.

– Masz godzinę, potem cię zabieram z powrotem do baraku – powiedziała i zostawiła podopieczną w poczekalni.

Marlene weszła do gabinetu i natychmiast zrozumiała, że coś się musiało wydarzyć. Doktor co prawda ucieszył się na jej widok, ale wydawał się dziwnie nieswój. Siedział przy biurku, bawiąc się ołówkiem, i najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć. „Dziwne”, pomyślała Marlene. Takie zagubienie było ostatnim, czego by się spodziewała po doktorze. Słyszała swój oddech, czuła, jak wali jej serce, i bez powodzenia starała się odsunąć od siebie nieokreślony lęk, który ją nagle ogarnął.

– Co się stało? – spytała bez ogródek.

Doktor wzdrygnął się i spojrzał na nią niemal wstrząśnięty. Zaraz spostrzegł się jednak i spróbował wziąć w garść, lecz w końcu skapitulował. Jego ramiona i całe ciało wyglądały tak, jakby z nich zeszło powietrze, a oczy wydawały się martwe. Ten widok poruszył Marlene do szpiku kości. Do tej pory wydawało jej się, że doktor jest niewzruszony niczym skała.

– Wybacz, moja droga. – Doktor wstał, chwycił jej dłoń i ucałował z taką serdecznością, że Marlene napływały do oczu łzy.

Drżącym głosem spytała, czy to pożegnanie. Dzisiejsze spotkanie aż nazbyt przypominało jej tamtą rozmowę z Jakubem, kiedy oświadczył jej, że nie może jej dłużej kochać, ponieważ trwa wojna.

Nagle poczuła, jak doktor delikatnie muska kciukiem jej policzek.

– Nie bądź smutna – powiedział, po czym wyjąkał: – Mam... mam wyrzuty sumienia.

Marlene chciała coś odpowiedzieć, lecz na próżno szukała słów, które mogłyby go pocieszyć i zapełnić pustkę.

– Co z dziećmi? – spytała.

Doktor począł gorączkowo chodzić po gabinecie, jakby tylko tak mógł odnaleźć spokój.

– Nie wiem. Te biedactwa widziały upokorzenie i bezradność swoich rodziców. Odebraliśmy im najbliższych, poczucie bezpieczeństwa... Te, które ocaleją z tego szaleństwa, będą cierpieć do końca życia, a wraz z nimi ich dzieci i dzieci ich dzieci. Za sto lat nie odpokutujemy tej zbrodni. – Doktor stanął przy oknie ze wzrokiem utkwionym w dali i wymamrotał: – Żyd niczym, ale to niczym się nie różni od Niemca. Przecież oni też chcą jedynie żyć w pokoju...

Jego słowa brzmiały nieomal jak zaklęcie powtarzane po tysiackroć bez skutku, gdyż zło w dalszym ciągu, jak to było od zarania dziejów, wbijało klin między ludzi, zamieniając pokój w wojnę, a miłość w nienawiść.

Na chwilę zapadła cisza. Cisza, która zagłuszyła obozowe hałasy i pozwoliła Marlene wniknąć w trwającą w głowie doktora gonitwę myśli. Zrozumiała, że jej przyjaciel zмага się z trudną decyzją. Jego słowa i rozpacz malująca się w oczach były tylko uwerturą. Stało się coś strasznego, coś, co zmusiło go do wkroczenia na drogę, na którą z własnej woli nigdy by nie wszedł.

Znów zaczął mówić. Zrazu zacinał się, lecz po chwili zapanował nad głosem.

– Na lekarzu spoczywa ogromna odpowiedzialność. W swoich pacjentach styka się zarówno z cudem życia, jak z ostatecznością śmierci. To uczy pokory. – Chrząknął. – W każdym razie powinno. Dla mnie życie od zawsze stało ponad wszystkim, lecz teraz po raz pierwszy doszedłem do punktu, w którym nie widzę innego wyjścia, jak wyrzec się własnych przekonań. I o to najbardziej oskarżam nazistów: o to, że ich zło sięga w głąb naszej duszy. Zmuszają nas, byśmy działali wbrew sumieniu, byśmy się stali tak samo źli. Czynią nas tym, czym sami są: mordercami! – Przerwał na moment, jakby musiał zebrać siły. – Chciałbym ci coś powiedzieć, lecz wiem, że w ten sposób postawię cię przed dylematem, przed którym sam stoję. Zmuszę cię do decydowaniu o życiu i śmierci innych ludzi. Czy mam kontynuować?

Marlene poczuła taki ciężar na piersi, że była w stanie jedynie skinąć głową.

Doktor stanął naprzeciw niej, chwycił jej dłonie i spytał:

– Pamiętasz, jak na dowód mojej szczerości zażądałaś, bym zabił Adolfa Hitlera?

Znów zdołała jedynie kiwnąć, a jej serce wpadło w dzikie *staccato*.

– Przedwczoraj zostałem nieoczekiwanie zawieszony do pewnego pacjenta. Dla mnie to nic

nowego. Często zdarza się, że nie znam nazwiska ani rangi pacjentów, lecz tym razem okoliczności były wyjątkowo tajemnicze. Najpierw pojechaliśmy w kierunku Wrocławia. Tam zawiązano mi oczy. Myślałem, że wkrótce dotrzemy na miejsce, lecz podróż trwała dłużej, niż oczekiwałem. Kiedy się zatrzymaliśmy i zdjęto mi z oczu opaskę, znajdowaliśmy się w lesie, otoczeni wysokimi sosnami. Wprowadzono mnie do ogromnego tunelu, w którym stał pociąg. W jednym z przedziałów czekał na mnie pacjent. Nie chciałem go rozpoznać, więc ukrył twarz za maską. Bez słowa opuścił spodnie i zobaczyłem, że cierpi na wnetrostwo. To choroba związana z nieprawidłowym wykształceniem jądra. Natychmiast go rozpoznałem, gdyż był już moim pacjentem w lazarecie w Pasewalk, podczas poprzedniej wojny.

Marlene przełknęła ślinę.

– Kto to taki? – wychrypiała.

– Adolf Hitler.

– Jest tutaj? – szepnęła zdumiona.

– Tak. Wyjeżdża pojutrze. Powiedziałem mu, że aby uśmierzyć ból, muszę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin powtórzyć zabieg. Niewiele brakło, a nie wypuściłby mnie z pociągu. Na szczęście odradzili mu to podwładni.

– Co on tu robi?

– Nie wiem, ale w tunelu stał cały pociąg. Krążą pogłoski, że w okolicy budowane są podziemne fabryki broni i nowa kwatera główna Führera. – Doktor wciąż ścisnął dłonie Marlene, teraz jednak je puścił i rzekł: – Byli z nim Himmler i Speer...

Doktor nie wypowiedział tego wprost, lecz wyczytała to w jego oczach: tunel, pociąg, a w nim tyran i jego najbliżsi współpracownicy. A doktor miał od Ernsta kilka skrzyń dynamitu i czterdzieści osiem godzin na przygotowanie ewentualnego zamachu.

– Musimy wymyślić jakiś plan – powiedziała Marlene z wyraźną ekscytacją, która jednak po chwili zgasła. – Tylko jak odnajdziemy to miejsce? Nie rozrzuciłeś przecież po drodze okruszyn chleba.

– Nie, ale w drodze powrotnej starałem się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Wkrótce po tym jak zawiązano mi oczy, złapaliśmy gumę i udało mi się poluzować opaskę. Naszkicuję ci trasę. Myślałem też już trochę nad planem akcji.

Doktor przedstawił szczegóły swojego pomysłu. Zaczął od tego, w jaki sposób z pomocą Ernsta zamierza ją wywieźć z obozu.

– A ty? Nie pojedziesz z nami? – spytała.

– Wiesz, że mam związane ręce – odparł lakonicznie.

– Wiem, dzieci. Nie moglibyśmy ich też wywieźć? W lasach są partyzanci, niektórzy z rodzinami.

Może dałoby się je umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu?

Marlene zadawała sobie sprawę z tego, że przemawia przez nią serce, a nie rozsądek. Dzieci było zbyt wiele i nikt nie byłby w stanie wziąć na siebie takiego ciężaru.

– To nierealne, Marlene. Zrobię, co w mojej mocy, będę przy nich i postaram się, by doczekały końca wojny.

Marlene spuściła głowę. Zrozumiała, że są przeszkody, których nie zdołają pokonać. Mogli próbować wlać nadzieję w te żyjące na krawędzi śmierci biedactwa, ale jeśli nie zdarzy się cud, nie uda im się ich uratować.

Jednak to, co czekało ją w najbliższych dniach, było nie mniej niebezpieczne. W oczach doktora wyczytała, że jej przyjaciel zdaje sobie sprawę z ryzyka. Nie myliła się zatem: to było pożegnanie. Doktor liczył się z tym, że mogą się już nigdy nie zobaczyć. „Jeśli tak – pomyślała Marlene – to niech to będzie niezapomniane pożegnanie”.

Postanowiła, że na przekór okrutnemu losowi podaruje im godzinę szczęścia. Podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Potem zdjęła sukienkę i oddała mu się – z miłości, wolna! Zanurzyła się w jego spojrzeniu, otworzyła przed nim duszę i przemówiła uniwersalnym językiem miłości. I to nie jej młode, piękne ciało było tym, co go urzekło, lecz dusza ukryta w jej oczach.

Przyjął jej dar i odwzajemnił go po tysiackroć. Dla niej tych kilka chwil było jak przedsmak wieczności, on zaś zapomniał o smutku i odnalazł to, czego przed laty się wyrzekł: miłość. Później, gdy leżała nago w jego ramionach, na moment zapomnieli o okrutnym świecie i zostali sami na rajskiej wyspie. Tam opowiedział jej historię, którą wymyślił kiedyś dla swojego małego synka, a kiedy mówił, po pokrytych zmarszczkami policzkach płynęły mu łzy. Marlene natychmiast ścierała je pocałunkami, a kiedy wyschły i historia dobiegła końca, wstała, ubrała się i opuściła miejsce, w którym pierwszy i ostatni raz poczuła się jak w raju.

Odeszła. Jeszcze przed chwilą kosztował smaku nieba, a teraz pogrzyżył się w jeszcze głębszej otchłani. Zapadł się w siebie, jakby usunięto z niego cały szkielet, jakby zamykając za sobą drzwi, Marlene przecięła sznur, na którym wisiało jego bezwładne ciało. Ogarnęły go rozpacz i paraliżująca słabość. Gorzej! Czuł, jakby w jego ciele spowolniły wszelkie procesy i począł się w nim szerzyć mroczny cień sunący powoli od dołu ku sercu. Płomień nadziei, którą Marlene na nowo w nim roznieciła, niemal już zgasł. Jej niezłomna odwaga, determinacja, by się nigdy nie poddawać, były światłem, które raz jeszcze rozświetliło dla niego świat. Przez tę krótką chwilę jej miłość zwyciężyła przepełniający go lodowaty chłód. Bał się, że bez niej zamarznie.

Nagle zrozumiał, że słabość może lada chwila ogarnąć nie tylko jego ciało, ale i umysł. W ostatniej chwili stawiał jej opór, spoglądając na siebie przez pryzmat wiedzy medycznej. Przeniknął warstwy skóry i mięśnie, dotknął pulsujących tętnic i żył, przez które serce niezmordowanie tłoczyło krew w perfekcyjnie skonstruowany krwiobieg. Tak, ciało ludzkie było cudownym tworem. Również z tego powodu został lekarzem: ponieważ chciał wiedzieć, jak ono działa. Jednak po tylu latach jego wiedza okazała się bezużyteczna. Ostatecznie długie studia nauczyły go tylko jednego: że nie trzeba rozumieć Boga, że wystarczy pocieszająca świadomość, że Bóg istnieje. Że stworzył człowieka, by ten kroczył drogą od narodzin do śmierci, wpisany w naturalny krąg życia, otoczony przez świat, który również jest boskim dziełem. Bóg nie stworzył ludzi, by się nawzajem mordowali, niszcząc jego cudowne dzieło. Jakikolwiek motywy by nimi kierowały i na kogokolwiek by się powoływali, dopuszczali się w ten sposób grzechu – wobec samego Boga. To, co zarzucali Bogu – że dopuszcza na świecie zło – w rzeczywistości było jego największym darem. Albowiem Bóg nie rezygnował z ludzi. Zamiast unicestwić świat w mgnieniu oka, wybaczał im grzechy i patrzył cierpliwie, jak ludzie, dzieło Jego rąk, dzień po dniu niszczą świat, który im podarował. Mimo wszystko wciąż wierzył, że pewnego dnia się opamiętają i wkroczą na właściwą ścieżkę: wyjdą z cienia w promienie światłości, uwolnią się od nienawiści i odnajdą miłość, najpotężniejszą siłę w całym Wszechświecie. W Talmudzie napisano, że kto ratuje jedno dziecko, świat cały ratuje. Doktor pomyślał, że powinien być też werset mówiący, że kto zabija jedno życie, unicestwia cały świat.

Lecz te pocieszające myśli nie wystarczyły, by uwolnić się od mroku, który niepowstrzymanie pełzł w kierunku serca, przejmując całe ciało chłodem. Nagle doktor uświadomił sobie, że stoi na

progu śmierci. Ale przecież nie mógł teraz umrzeć! Miał do wykonania zadanie! Podniósł oczy i zrozumiał, że mrok spowijający jego gabinet i ciało to cień Nieprzyjaciela. „Czym go przyzwałem?”, pomyślał. Na szatańskim obliczu nie było nic oprócz prastarej wiedzy, że złe dusze od zarania dziejów same ku niemu spieszą. Wystarczy zaczekać i zebrać żniwo.

Piekielna wizja nie przeraziła doktora. Obecność Złego jedynie wzmogła odczucie przejmującego chłodu, który był coraz bliżej serca. Wtedy jednak to mroczne oblicze przesłoniła twarz Marlene, niezapomniane chwile, gdy leżała w jego ramionach, gdy się nawzajem obdarzali miłością. I to niezapomniane uczucie, pewność, że istnieje coś większego niż nienawiść. Wykrzywione złem oblicze w jednej chwili się rozmyło, mroczny cień zadrżał i doktor zrozumiał, że Dręczyciel ludzi nie jest tak potężny, jak mu się zdaje. Na obliczu Złego pojawił się strach! Strach przed miłością, przed ludźmi takimi jak Marlene. Ludźmi, którzy nie wahają się stawić mu czoło. Bo był bezradny wobec ich siły, bo ich serca były odporne na jego jad. Dlatego zjawił się tutaj – by podjąć ostatnią próbę zniweczenia zwycięstwa dobra nad złem. Lecz wraz ze wspomnieniem Marlene wróciły ciepło i światło, diabelskie oblicze wyblakło i znikło, a wraz z nim chłód i cień.

Doktor wiedział, że musi zachować wiarę: w Marlene, w miłość, w ludzi. Że kiedyś miłość uzdrowi świat. Że pewnego dnia ludzkość zrozumie, że „Bóg” jest tylko innym imieniem miłości.

Nie miała pojęcia, skąd wzięła siłę, by wyjść. Jolanta czekała już na korytarzu, lecz Marlene była tak oszołomiona, że nawet nie spytała, dlaczego madame nie zapukała. Nie pamiętała też, jak wróciła do baraku. Tam z kolei nie zauważyła ani Trudi, ani Olgi, tylko wskoczyła na prycę i zaciągnęła na głowę koc. Ukryła się jak małe dziecko przed światem, by przywołać w pamięci każdą z bezcennych chwil, które spędziła w gabinecie doktora. Póki jeszcze czuła na sobie jego zapach. Jeszcze raz zanurzyła się w jego ciepłe, spojrzała w jego melancholijne oczy, w których krył się ocean miłości, wsłuchała się w jego głos, który był niczym najczulsza pieszczota, poczuła obecność, która przepełniała jej duszę. Zastanawiała się, jak to możliwe czuć się tak ekstatycznie szczęśliwą, a zarazem śmiertelnie smutną. Żałowała niemal, że dane jej było przeżyć tę godzinę, i dowiedziawszy się, jak smakuje prawdziwa miłość, zaraz ją stracić. To było zbyt wiele, nawet dla niej. Była rozdarta i czuła, że się nigdy nie zrośnie, że jakaś część jej duszy na zawsze została w gabinecie doktora, w nim. Jej serce, uczucia, myśli ogarnął istny amok, a głos pokusy szeptał jej w duszy, że ma prawo do szczęścia. Szalona nadzieja, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu mogą doczekać końca wojny i mają przed sobą przyszłość, splatała się w niej z pokusą, by porzucić wszystkie plany i poważnie się na to, co niemożliwe: uciec z obozu.

Oddawała się tym utopijnym fantazjom aż do chwili, gdy nadeszła pora wyjazdu do „pracy”. Korzystając z czasu wolnego od zajęć, zwolniła się też na moment z poczucia obowiązku. A przecież wiedziała, że poczucie sprawiedliwości jest w niej zbyt mocno zakorzenione, by mogła sobie pozwolić na słabość. Bo dla niej nie liczyły się ani własne szczęście, ani własne życie, tylko przeznaczenie – powód, dla którego wciąż była na tym świecie: walka ze złem. Tak jak doktor musiał się troszczyć o dzieci, które wziął pod swoje skrzydła, tak ona powinna toczyć bój z oprawcami.

Przypomniała sobie słowa wypowiedziane kiedyś przez Jakuba: „Przedwczesna śmierć ma sens tylko wtedy, gdy się umiera za swoje przekonania”. W ten sposób zachęcał swoich bojowców do walki. Aż do śmierci. Dla sprawy...

W pierwszych miesiącach wojny Marlene nie podawała jego nauk w wątpliwość. Dopiero później zaczęła dostrzegać, jak niebezpieczne były to słowa, jak łatwo ich nadużyć, nadać im niewłaściwe znaczenie, odwrócić sens i wykorzystać jako uzasadnienie dla zabijania. Bo skoro warto umierać za przekonania, to może wolno też w ich imię zabijać?...

W ostatnich tygodniach przed jego śmiercią toczyli na ten temat zażarte dyskusje. Jakub odpierał zarzut, że jego *credo* niesie w sobie niebezpieczeństwo przeinaczenia. Nie chciał słuchać o tym, jak wąska granica dzieli to, co chwalebne, od zbrodni i że wielu ludzi łatwo ją przekracza, legitymizując swoje czyny. Może właśnie dlatego tak ją pociągał, że we wszystkim, co czynił, był bezkompromisowy i niewzruszony. Aż do śmierci. Dla niej wątplenie zawsze było fundamentem człowieczeństwa, lecz z czasem stała się taka jak on. To właśnie wojna – każda wojna, nie tylko ta – czyniła ze światem: zabijała nie tylko ludzi, lecz również uczucia i stępiała wrażliwość, tak że z czasem zaczynało się zabijać bez głębszej refleksji – bo zabijanie stawało się czymś zwyczajnym, codziennym. Czasami Marlene zastanawiała się, czy aby nie oszalała. Czy aby świat nie oszalał. Myśl o końcu wojny napawała ją niepokojem, gdyż nie była już pewna, czy zdoła wrócić do normalnego życia.

Pierwszy zabity był prawdziwym koszmarem, a twarz młodego żandarma na zawsze wyryła się jej w pamięci. Z czasem jednak przyszła rutyna – twarze mieszały się, rozmywały. Nie potrafiła już zliczyć, ilu ludzi zabiła. Na wojnie, w walce. A potem ta sprawa z Greiffem, kiedy i ona przekroczyła ową wąską granicę. Nie zabiła go w samoobronie, lecz z zimną krwią, w akcie zemsty. Miała prawo pomścić ukochanego – w ten absurdalny sposób na własny użytek usprawiedliwiała ów czyn.

Jakub wyrzekł się jej miłości, tłumacząc, że czyni go słabym. A może tak naprawdę nie chciał się dłużej zmagać z jej wątpliwościami? Może nie chciał, by mu przypominała, że nawet na wojnie trzeba pozostać człowiekiem? Tak jak pozostał nim doktor. W jednym wszelako miał Jakub rację: uczucia wszystko komplikowały. Sądziła, że dawno wyzbyła się strachu. Była skupiona na celu i chciała go za wszelką cenę osiągnąć. Za wszelką cenę! Nawet własnej wolności, życia. A teraz miłość wszystko zmieniła. Pierwszy raz poczuła niepokój, niepewność. Musiała się zmagać ze sobą, by nie stracić determinacji. Do jej ucieczki zostało jeszcze ponad dziesięć godzin. Zastanawiała się, jak je przetrwa, bała się tego, co się może w tym czasie wydarzyć. Postanowiła, że Trudi wtajemniczy w swój plan dopiero w ostatniej chwili, gdyż impulsywna dziewczyna gotowa się jeszcze wygadać. Przekonała doktora, że powinna zabrać Trudi, gdyż ta już była w tunelu, gdy śledziła Brunnmanna.

Również innym dziewczętom z baraku ostatnie tygodnie dały się mocno we znaki. Były gotowe zrobić wszystko, by przeżyć. Codzienna rutyna stała się fundamentem, na którym wspierał się gmach ich życia. W tym murze pojawiły się rysy, lecz wciąż stał. Z każdym dniem liczba „zleceń” malała, jedzenia było tak mało, że głodowały jeszcze bardziej niż dotąd. Autorytet Jolanty sprawiał, że wciąż trzymały się razem. Madame stworzyła z nich prawdziwą wspólnotę i tylko Marlene i Trudi w dalszym ciągu były uważane za „dziewczyny Brunnmanna” i wykluczone z grupy. Co prawda odkąd Marlene stanęła w obronie biednej Mariki, zaszła pewna zmiana i zdarzało się, że niektóre z dziewcząt od czasu do czasu zamieniły z nią kilka słów, lecz nadal jedyną, która się jej nie obawiała, była Olga.

Również tego dnia Jolanta zadbała, by wszystko przebiegało ściśle według planu. Punktualnie o dwunastej dziewczęta zostały zabrane do *oki-ya*. Po południu kilka zostało odprowadzonych

z powrotem do baraku, a reszta dalej ćwiczyła. Madame była w swoim żywiole, a jej kij ciął powietrze i zachęcał do pracy.

Wczesnym wieczorem madame podeszła do Marlene, która na poddaszu maltretowała skrzypce, próbując w ten sposób uspokoić szalejące w jej duszy uczucia. Jolanta usiadła i gdy Marlene skończyła, rzekła:

– Grasz okropnie.

Marlene puściła krytykę mimo uszu, gdyż odniosła wrażenie, że madame wcale jej nie słuchała. Azjatka była nieobecna, jakby wpadła w stan medytacji lub wręcz nirwany. Słyszając jej oddech, Marlene mimowolnie dopasowała się do jego spokojnego, miarowego rytmu. Jolanta emanowała wyjątkowym spokojem i – paradoksalnie – to właśnie wprowadziło Marlene w niepokój. Domyśliła się, że Azjatka wie o planowanej ucieczce. Na chwilę ogarnęła ją panika. Nie miała pojęcia, czy madame jest naprawdę jest sprzymierzeńcem, czy może wrogiem.

Wtedy jednak niespodziewanie poczuła lekki uścisk dłoni na swoim ramieniu i niepokój znikł tak szybko, jak się pojawił.

W oczach Jolanty pojawiła się hardość. Zaczęła mówić.

– Trafiłam do obozu dwa lata temu naga i tak samo naga kiedyś go opuszczę. Tylko w ten sposób zdołam odzyskać godność. – Wstała i wyszła bez słowa.

To było jej pożegnanie.

Planom Marlene mógł zagrozić już tylko Ewald, który, co było do niego zupełnie niepodobne, nie pokazywał się już od dwóch dni i istniało niebezpieczeństwo, że tego wieczora w końcu się zjawi. Nie żeby się za nim stęskniła, ale...

W tym samym momencie usłyszała samochód. Podbiegła do okna i zobaczyła, że z ciemnej limuzyny wysiada... Albrecht Brunnmann! „Do diabła!”, pomyślała, czując, jak wzbiera w niej gniew. Ten diabelski pomiot musiał mieć jakiś szósty zmysł, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zjawił się w najgorszym możliwym momencie? A może ktoś mu wyjawiał jej plany? Może aresztował Ernsta oraz doktora? Patrzyła, jak Jolanta wita obersturmbannführera na schodach i razem wchodzi do środka. Z walącym sercem czekała na chwilę, gdy zostanie wezwana na dół, lecz Brunnmann po zaledwie dziesięciu minutach wyszedł, zabierając ze sobą Olgę. Marlene natychmiast pobiegła na dół.

– Czego chciał Brunnmann? Dokąd zabrał Olgę? – zarzuciła Jolantę pytaniami.

Ta, zamiast odpowiedzieć, zmierzyła ją wzrokiem, po czym odrzekła:

– Olga da sobie radę. Mnie bardziej ciekawi fakt, że chyba zginął mu jeden z kundli.

– Ewald?

– Tak. Niby to mimochodem spytał, kiedy ostatni raz go widziałam.

– Mam nadzieję, że przynajmniej raz szlag trafił kogoś, kto sobie na to zasłużył – powiedziała z pasją Marlene, z trudem powstrzymując się od śmiechu. „To pewnie przez napięcie”, pomyślała.

Wkrótce przed dom zajechał inny pojazd. Tym razem wysiadł z niego Heinrich, szofer Ernsta. „Za wcześnie”, pomyślała Marlene z niepokojem, obawiając się, że limuzyny minęły się w drodze.

Heinrich wręczył Jolancie fałszywy dokument przedstawiający go jako wysłannika Brunnmanna. Madame weszła w swoją rolę i zgodnie z planem przekazała szoferowi Marlene i Trudi, która dopiero w aucie dowiedziała się o planowanej ucieczce. Marlene nerwowo rozglądała się, czy nie śledzi ich jakiś samochód, lecz nigdzie nie było widać limuzyny Brunnmanna. Mimo to ostrzegła Heinricha, że mogą być obserwowani, on jednak zapewnił ją, że regularnie patrzy w lusterka.

Gdy opuścili otaczającą Auschwitz pięciokilometrową „strefę zakazaną”, dosiadł się do nich Ernst. Marlene, która nie była pewna, czy jej przyjaciel wtajemniczył szofera w swój plan, przypadła do niego i pocałowała tak, że Trudi aż przewróciła oczami. Ernst przez kilka sekund napawał się jej czułością, a potem uwolnił się z objęć.

– Heinrich o wszystkim wie, jest po naszej stronie – powiedział. – On też chce, żeby wojna się wreszcie skończyła. Miał trzech synów. Jeden poległ pod Stalingradem, drugi we Francji. Trzeci zaginął w czterdziestym drugim na froncie wschodnim.

– Stracił wszystkich? Przecież kiedy w rodzinie zostaje ostatni z synów, ma prawo złożyć prośbę o wycofanie z oddziałów liniowych. Nie ubiegał się pan o takie zwolnienie? – Marlene była wyraźnie poruszona.

– Nie zdążyliśmy – odrzekł Heinrich tonem, który najlepiej oddawał bezsens śmierci i wojny. – Po śmierci średniego natychmiast wypełniliśmy wniosek, ale nie dotarł do dywizji, bo zaczęła się bitwa, i od tej pory nie mamy wieści o najmłodszym. Moja żona i ja nie robimy już sobie wielkich nadziei.

Marlene położyła dłoń na jego ramieniu. Stracić wszystkie dzieci... Nie znajdowała słów, którymi mogłaby ukoić jego ból.

– Wiem, że to żadne pocieszenie – powiedziała – ale możemy ich pomścić. Ci, którzy doprowadzili do ich śmierci, zapłacą za to. Obiecuję. – Po tych słowach zwróciła się do Ernsta: – Jak ci się udało wydostać nas z obozu?

– Jak zwykle. Łapówka... Dokumenty kosztowały mnie majątek. A przy okazji: Heinrich zajął się tym Ewaldem.

– Zabił go?

– Nie – odrzekł szofer. – Ale kazałem mu się ubrać w obozowy pasiak i wysadziłem go w okolicach Treblinka.

Marlene nie mogła powstrzymać chichotu. Kiedy się uspokoiła, opowiedziała o wizycie Brunnmanna i swoich obawach, że obersturmbannführer może coś podejrzewać. Choć nie wspomniała o tym, nie dawało jej spokoju i to, że Brunnmann zabrał właśnie Olgę. Heinrich, który mimo panującego w aucie napięcia, wydawał się zachowywać zimną krew, uspokoił ją, że w drodze do obozu nie zauważył niczego podejrzanego, lecz nie traci czujności i nadal będzie uważnie obserwował

otoczenie.

Tymczasem Marlene, Ernst i Trudi wykorzystali czas podróży na obmyślenie planu działania. W bagażniku auta wieźli dynamit, ukryty w skrzynkach po szampanie, oraz zapas zorganizowanej przez Heinricha benzyny.

Chociaż szkic wykonany przez doktora był dość precyzyjny, to i tak znalezienie tunelu zajęło im dużo więcej czasu, niż szacowali. Kilka razy zablądziło i dwukrotnie wpadli na punkt kontrolny. Na szczęście ranga Ernsta i jego dokumenty wystarczyły, by pozwolono im kontynuować podróż. Mimo to za każdym razem były to dla nich nerwowe chwile, gdyż któryś z żandarmów mógł wpaść na pomysł, by zajrzeć do bagażnika i otworzyć skrzynki. A wtedy byliby zgubieni.

Trudi odgrywała w obmyślonym przez Marlene planie szczególną rolę. Dziewczynka była już w tej okolicy i doskonale ją znała, a nadto zakradła się szybem wentylacyjnym do samego tunelu. Marlene miała wysiąść z Trudi w pobliżu miejsca, gdzie doktorowi zawiązano oczy.

Dopiero następnego dnia przed południem znaleźli rozwidlenie i najpierw celowo je minęli.

Gdy przejeżdżali, Marlene uważnie rozejrzała się po okolicy, lecz nie zauważyła niczego podejrzanego. Nie było nawet żołnierzy, którzy strzegliby drogi dojazdowej. Doszła też do wniosku, że zagrożenie o nazwie „Brunnmann” ostatecznie minęło. Gdyby ich śledził, zaatakowałby najpóźniej w tym momencie, gdyż musiałyby się domyślić, dokąd zmierzają i kto jest ich celem.

Dziesięć minut później los się do nich uśmiechnął: natrafili na opuszczoną stodołę, ukryli w niej auto i wypakowali skrzynki. Heinrich okazał się szalenie pomocny. Wypakowując sprzęt i narzędzia, oznajmił, że dysponuje wiedzą techniczną pozwalającą przygotować ładunki wybuchowe odpalane zdalnie. Marlene nastawiła uszu.

– To znaczy, że nie musimy rozciągać lontu? – Słyszała już o tej nowej technice i liczyła, że w ten sposób zminimalizują ryzyko.

Metoda zaproponowana przez Heinricha była o niebo lepsza od palącego się lontu, który w ciemnościach łatwo odkryć. Szofer odwrócił głowę. Najwyraźniej nie chciał jeszcze niczego przesądzać.

– W naszym przypadku ta metoda ma dwa słabe punkty: po pierwsze zasięg, a po drugie skalne ściany tunelu – stwierdził. – Musimy omówić szczegóły, wtedy będę mógł powiedzieć coś więcej.

Marlene wyjaśniła swym towarzyszom, że zamierza nie tylko wysadzić tunel, lecz również podłożyć ładunki wybuchowe pod wagonem, w którym przebywał Hitler. Na wszelki wypadek.

Plan wydawał się prosty, lecz szybko się okazało, że jego wykonanie nie będzie łatwe. Heinrich podrapał się po głowie.

– Jeśli chodzi o tunel, to da się ładunki odpalić zdalnie. Wystarczy, że umieścimy dynamit przy wyjeździe ze sztolni. Ale pociąg jest za daleko. Poza tym pancierz wagonu ma tylko jeden słaby punkt, podwozie, i tam powinniśmy umieścić ładunek. Ale odpalić da się go tylko lontem.

Marlene to nie zniechęciło.

– W porządku, zakradnę się do środka, podłożę dynamit i rozciągnę lont. O co chodzi, Trudi? Coś cię gryzie? – spytała, widząc sceptyczną minę dziewczynki.

– Szyb jest bardzo wąski – odpowiedziała. – Sama z trudem się przecisnęłam.

– Nie martw się, jesteśmy tak chude, że to nie powinien być problem – Marlene nie traciła rezonu.

Zabrała Trudi wyłącznie dlatego, że ta знаła okolice tunelu, ładunki chciała koniecznie podłożyć sama. Mała była zbyt niedoświadczona, by się bawić dynamitem i lontem.

Po naradzie Marlene i Heinrich zajęli się przygotowywaniem ładunków. Wiązali laski i zakładali zapalniki radiowe. Heinrich był tak ostrożny i skrupulatny, że uparł się umieścić przy każdym ładunku po dwa zapalniki, na wypadek gdyby jeden zawiódł, co, jak twierdził, zdarzało się stosunkowo często. Z jego doświadczenia wynikało, że ta nowa metoda jest szalenie praktyczna, ale wciąż dość zawodna.

Gdy wszystko zostało przygotowane, Marlene i Trudi wyruszyły na rekonesans. Marlene chciała skorzystać z resztek dziennego światła, by obejrzeć okolicę tunelu i rozmieszczenie straży. No i sprawdzić, czy cokolwiek wskazuje na obecność Hitlera. Wciąż nie mogła uwierzyć, że tyran jest tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Jeśli nawet faktycznie przyjechał osobiście zwizytować budowę swojej tajnej kwatery, to czy nadal tu jest? Jeżeli naprawdę miał tak okropne bóle, jak twierdził doktor – a Marlene życzyła mu, by spadły nań wszelkie udręki tego świata – to czy rzeczywiście czekałby wciąż na lekarza? Czy nie wróciłby czym prędzej do Berlina?

Połowę „piekielnych paczek”, jak Trudi nazwała wiązki dynamitu, włożyły do plecaków i zabrały ze sobą, by je ukryć w pobliżu tunelu. Szacowały, że droga tam i z powrotem zajmie im co najmniej cztery godziny.

Ernst i Heinrich czekali w pobliżu stodoły. Z każdą chwilą stawali się coraz bardziej niespokojni. Z czterech godzin zrobiło się pięć, a potem sześć. Już dawno zapadła noc.

W końcu wróciły – wyczerpane, głodne, lecz mimo to dziwnie podekscytowane.

Trudi z miejsca zdradziła dobrą nowinę:

– Widzieliśmy Hitlera! – wykrzyknęła podniecona. – I Himmlera, i jeszcze paru brunatnych łajdaków. Kręcili się jak napuszone indory. Strzelec wyborowy załatwiłby ich bez najmniejszego problemu. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego przez tyle lat nikt tego nie zrobił.

Marlene również zadawała sobie to pytanie. I wydawało jej się, że zna odpowiedź: bo diabeł strzeże swego pomiotu. Mogłaby przysiąc, że czuła w tunelu obecność mrocznej, lepkiej istoty, która odbierała jej dech. Z cienia wypełzł strach i musiała wyteńczyć wszystkie siły, by go pokonać. Było to

doświadczenie nieomal mistyczne i z nikim się nim nie podzieliła, wiedząc, że nikt by jej nie uwierzył – chyba że ksiądz. Mogła bez trudu zabić Hitlera, lecz nie miała przy sobie broni. Gdyby zabrała ze sobą pistolet Ernsta, byłoby już po wszystkim. Obserwowała Trudi, próbując dociec, czy i ona czuje obecność zła, lecz jej młoda towarzyszka wydawała się na nie uodporniona. „Niezniszczalna”. Do Marlene pierwszy raz dotarł głęboki sens tego słowa. Pomyślała o nieoczekiwanym zrządzeniu losu, który sprawił, że się spotkały. Czy Trudi była częścią jej przeznaczenia? Czy wspólnymi siłami przemogą – tu i teraz – bramy piekieł?

Trudi miała niestety rację – szyb wentylacyjny był dla Marlene zbyt wąski. Próbowwała się precyzyjnie i niewiele brakowało, by w nim utknęła. W tej sytuacji istniały dwie możliwości: Marlene mogła zrezygnować z wysadzenia wagonu albo powierzyć Trudi wykonanie najbardziej niebezpiecznej części planu. W myślach analizowała rezultaty rekonesansu. Po drodze odkryły w pobliżu tunelu obóz, w którym Niemcy przetrzymywali kilkuset przymusowych robotników. To oznaczało, że będą mogły wysadzić tunel dopiero wtedy, gdy się upewnią, że ludzie pracujący w nim za dnia wrócili do baraków. Po wybuchu wykorzystają zamęt, by wyeliminować strażników, i uwolnią więźniów. Z pamięci naszkicowała plan okolic tunelu i schemat samej sztolni. Trudi znalazła na powierzchni trzy kolejne szyby wentylacyjne, idealne do podłożenia ładunków wybuchowych. Marlene znów pomyślała o wagonie numer sześć – licząc od wyjazdu z tunelu – w którym wedle słów doktora przebywał Hitler. Ponieważ jedyna droga do środka tunelu prowadziła przez pilnie strzeżony wjazd, powodzenie całej operacji było uzależnione od zręczności Trudi. O ile Marlene zdecydowałaby się powierzyć jej to zadanie. Bo wciąż się wahała.

Trudi sprawiała wrażenie, jakby zupełnie się nie bała. Dosłownie rwała się do działania. Powiedziała, że chce to zrobić dla swoich rodziców. Marlene przypomniała sobie dawne rozważania na temat dopuszczalności zabójstwa: czy zabicie tyrana jest morderstwem, czy raczej działaniem koniecznym dla uniknięcia kolejnych ofiar?

Posiliwszy się nieco, podjęła decyzję: zabierze ze sobą Trudi. Okaze się, czy ich spotkanie było przypadkiem, czy prawdziwym zrządzeniem losu.

Do ostatniej chwili Marlene i Heinrich na przemian instruowali dziewczynkę, w jaki sposób rozmieścić ładunki i jak się obchodzić z lontem. Raz po raz od początku powtarzali cały plan.

Potem, tuż przed północą, wstały i bez zbędnych słów wyruszyły w drogę. Ernst i Heinrich odprowadzili je tylko kawałek. Marlene nie chciała, żeby mężczyźni towarzyszyli im do samego tunelu. Ernst był rozczarowany. Czuł, że jego dotychczasowy wkład w operację jest zbyt mały, i wprost skarżył się na to, że gdy kobiety wyruszają na wojnę, on musi siedzieć ukryty w lesie. Marlene musiała niemal stanąć na głowie, by go przekonać, że we dwie mają większe szanse zakraść się niepostrzeżenie do tunelu – zwłaszcza że znają już okolicę. Musiała to zrobić, wiedząc, że Ernst jest szalenie niezdarly i może uczynić coś, co zagrozi powodzeniu całej akcji. Tego jednak, ma się

rozumieć, nie powiedziała.

Noc była ciemna, a niebo tak zachmurzone, że w ogóle nie było widać księżyca. W tych warunkach nie było im łatwo znaleźć właściwą drogę i poszły za bardzo na wschód. Szybko się spostrzegły i zawróciły, lecz w ten sposób straciły sporo cennego czasu. Potem omal nie wpadły na wartownika. W ostatniej chwili ostrzegł je żarzący się papieros. Zgodnie z planem szerokim łukiem okrążyły wjazd do tunelu. Po drodze, w miejscu, które wedle obliczeń Heinricha znajdowało się w odpowiedniej odległości, Marlene zostawiła jeden ze zdalnych detonatorów. Trudi obserwowała ją uważnie.

– Dlaczego zostawiasz tylko jeden? – szepnęła.

– Strażnicy mogą je znaleźć albo nas złapać. Lepiej zostawię jeden w rezerwie.

Plan Marlene przewidywał, że po podłożeniu ładunków rozdzielią się i Trudi wysadzi tunel, podczas gdy ona zajmie się lontem. Ważną rolę w tej operacji odgrywał czynnik czasu. Heinrich spreparował lont w taki sposób, by palił się dwanaście do piętnastu sekund na metr, więc tylko od jego długości zależało, ile czasu upłynie do wysadzenia wagonu. W optymalnym wariancie oba ładunki miały eksplodować w tym samym czasie. Marlene uważała, że tylko w ten sposób zdołają uniemożliwić Hitlerowi i jego świcie ucieczkę.

Na czworaka dotarli do pierwszego szybu i zdjęły ciężkie plecaki, które po drodze zabrały z kryjówki. Dwie trzecie dynamitu przeznaczyły na wysadzenie szybów wentylacyjnych, resztę na zniszczenie wagonu.

Najpierw starannie rozmieściły ładunki w szybach, po czym przeszły do najtrudniejszej części planu: Trudi miała podłożyć dynamit pod wagonem i poprowadzić lont szybem wentylacyjnym na górę. Aby zamaskować lont na odcinku między wagonem a końcem szybu, Heinrich pokrył go pyłem węglowym. Niestety kamuflaż mógł działać tylko do chwili, gdy Marlene podpali lont. Na szczęście Trudi, która już dwa razy była w tunelu i dokładnie policzyła wagony od strony wjazdu, nie zauważyła przy pociągu żadnych straży. Najwyraźniej Hitler i jego paladyni czuli się w tunelu bezpiecznie, ufając strażom rozstawionym przy wjeździe.

Marlene z niepokojem patrzyła, jak Trudi znika w szybie wentylacyjnym. Do tej pory wszystko szło zgodnie z planem, lecz zło wisiało w powietrzu, czaiło się, obserwowało je. Marlene wzięła głęboki oddech i odegnała strach. Po raz chyba tysięczny sprawdziła plecak z zapasowym detonatorem, jakby obawiała się, że może się rozpuścić w powietrzu. Potem namacała w kieszeni zapalniczkę. Niecierpliwie czekała na powrót Trudi. Dziewczyna już dawno powinna była wyjść z szybu. Nagle ktoś ją stuknął w ramię. Marlene zerwała się gotowa do walki.

To była Trudi. Biła od niej owa wyjątkowa energia, charakterystyczna dla ludzi, którzy właśnie dokonali czegoś wielkiego.

– Wszystko w porządku – szepnęła zdyszana, rozwijając ostatnie metry lontu.

Marlene obejrzała pustą szpulę i zrozumiała, że zużyły niemal dokładnie siedemdziesiąt metrów. Przeliczyła czas potrzebny na odpalenie ładunku i dodała jeszcze kilka minut, gdyż Trudi potrzebowała czasu, by dotrzeć na swoją pozycję.

– Dobrze, wracaj do pierwszego detonatora. Odpalamy dokładnie za dwadzieścia minut.

– Ty nie idziesz?

– Nie, muszę poczekać kilka minut, dopiero wtedy podpalę lont, inaczej eksplozje nastąpią w zbyt dużym odstępie czasu. – Raz jeszcze zsynchronizowały zegarki. – Po wybuchu natychmiast biegnij do Ernsta i Heinricha. Jeśli nie wrócę w ciągu godziny, macie jechać. Nie czekajcie na mnie. Jasne?

Trudi wyjątkowo nie protestowała.

Padły sobie w objęcia i mała zwyczajem artystów splunęła Marlene przez prawe i lewe ramię, po czym poczołgała się w dół zbocza. Marlene patrzyła na zegarek. Odczekała dokładnie sześć minut, po czym wyjęła zapalniczkę i podpałała lont – już w szybie, by nikt nie dostrzegł ognia – i wrzuciła go do środka. Wiedziała, że – o ile nikt nie zauważy lontu i nie zgasi płomienia – zostało jej niespełna czternaście minut, by stąd zniknąć i nie wylecieć w powietrze razem z tunelem. Wyjęła broń i zaczęła się czołgać.

Nie zdążyła się zbyt oddalić, gdy usłyszała w oddali odgłos silników. Odwróciła się i spostrzegła dwa reflektory przedzierające się przez ciemności nocy. Wiedziała, że musi się spieszyć, lecz coś ją powstrzymało. Światła zgasły przed wjazdem do tunelu i zaraz trzasnęły drzwiczki auta. Zamiast wziąć nogi za pas, Marlene podczołgała się bliżej. Plac był słabo oświetlony przez płomień ogniska. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn, jeden z torbą w ręku. Naprzeciw wyszło im czterech esesmanów.

Chociaż Marlene dzieliło do mężczyzn co najmniej czterdzieści metrów, od razu go rozpoznała. Jej usta bezgłośnie wypowiedziały jego imię. „Peter... Co on tu robi? Przyjechał za wcześniej! Co teraz? Co robić?”, myślała gorączkowo. Jej ciało naprężyło się, jakby uderzyła w nie potężna fala. Chciała pobiec do niego, rzucić się w jego ramiona, jeszcze raz poczuć czar jego bliskości, która na chwilę pozwoliła zapomnieć o wszelkim złu tego świata. Pokusa była tak potężna, że przez kilka sekund nie mogła zebrać myśli, i niewiele brakowało, by głośno wykrzyknęła jego imię.

Jakaś mała część jej mózgu, która zachowała jeszcze zdolność trzeźwego myślenia, podpowiadała jej, że nie ma absolutnie żadnej szansy go uratować. Gdyby to uczyniła, zniweczyłaby całą operację, którą przecież on sam wymyślił i zainicjował. Zresztą i tak było już za późno. Zaraz wejdzie do tunelu i przepadnie na zawsze. Lont już się tlił.

Wiedziała, że wkrótce zginie. Z jej ręki. Lecz zanim ostatecznie zniknął w ciemności tunelu i zanim rozviała się ostatnia nadzieja, podniósł głowę i spojrzał w jej stronę. Zupełnie, jakby jego oczy były w stanie przeniknąć mrok. Wiedział, że ona tu jest, czuł jej obecność tak samo jak ona jego!

Nagle jakby usłyszała jego głos w swojej głowie: „Musisz to zrobić! Inaczej cała ofiara na nic”.

Jego głos złączył się z głosem Jakuba. Tak, czasem trzeba poświęcić jedno życie, by uratować wiele!

Doktor Peter Friebling, jej wielka miłość, wszedł do tunelu, by umrzeć – po to by inni mogli żyć.

Upływały kolejne minuty, a ona jak głąz trwała na miejscu, czekając na to, aż rozpęta się piekło. Chciała umrzeć razem z nim. Nie byłaby w stanie żyć z takim brzemieniem winy. Wybrała jedyną możliwą formę pokuty. Wstała, rozłożyła ramiona i zwróciła twarz ku niebu. Było jej obojętne, czy ktoś ją zobaczy.

Nagle u jej boku zjawiała się Trudi.

– Oszalałaś? – syknęła, ściągając Marlene na ziemię. – Co ty wyprawiasz? Mój detonator nie działa. Gdzie jest zapasowy? – gorączkowała się, potrząsając ramieniem towarzyszki.

Marlene ocknęła się z osłupienia. Zrozumiała, że musi dokończyć dzieło. Potykając się, ruszyła za Trudi. Zatrzymały się w pobliżu wejścia do tunelu, tak by mieć pewność, że ładunki są w zasięgu detonatora.

Nadeszła chwila ostatecznej decyzji.

Wiedziała, że jeśli nie zdetonuje dynamitu, cała operacja zakończy się fiaskiem. Lada chwila lont się dopali do końca! Miała szansę dokończyć dzieło Stauffenberga i zabić Hitlera. Mogła zmienić bieg wojny, być może ocalić kilka milionów ludzkich istnień. Przed oczami znów stanął jej doktor. Przypomniała sobie wszystkie spotkania, rozmowy. Czuła się taka słaba i pusta...

I wtedy to zrobiła. W chwili gdy uruchomiła detonator, poczuła, jak w jej duszy coś nieodwracalnie pęka.

Seria wybuchów zatrzęsała ziemią pod ich stopami, wyrzucając w powietrze odłamki skał. Kamienie sypały się wokół nich niczym karabinowe kule.

– Biegnij do stodoły! – krzyknęła do Trudi, sama zaś rzuciła się w stronę obozu dla robotników.

Chciała uwolnić tych biedaków i w ten sposób zrzucić z ramion przynajmniej część winy. Biegła, nie oglądając się za siebie.

Wiedziała, że jeśli odwróci głowę i spojrzy na tunel, niechybnie umrze.

Odpryski wojny

Wedle ostatnich doniesień prasy brytyjskiej Reichsführer SS Heinrich Himmler miał pozbawić władzy Führera i kanclerza Rzeszy Adolfa H. z B. Plotki mówiły o chorobie, ucieczce, internowaniu albo wręcz śmierci Führera. Strona niemiecka zdementowała te pogłoski.

Prezydent Franklin D. Roosevelt został ponownie wybrany na najwyższy urząd w państwie. To jego trzecia kadencja.

Marlene nie miała pojęcia, w jaki sposób wróciła do stodoły. W chaosie, który zapanował po serii wybuchów, udało jej się uwolnić więźniów z obozu, a potem po prostu pobiegła przed siebie. Ktoś ją ścigał, strzelał do niej. Została ranna, lecz nie umiałaby nawet powiedzieć gdzie, gdyż jej ciało było jak pusta skorupa. Znów zabiła! A przecież miała dość zabijania. Raz po raz stawała jej przed oczami twarz doktora, jego ostatnie spojrzenie. To z jej ręki zginął. Składając go w ofierze, na tym samym ołtarzu złożyła również siebie. Straciła miłość, na zawsze. Nagle ogarnął ją gniew na doktora. Jak mógł jej to zrobić?! Jak mógł złożyć na nią ciężar decyzji, zmusić, by zdecydowała o jego życiu, by go posłała na śmierć? Jak mógł pozwolić jej na to patrzeć? Kazał jej się wcielić w Boga, zmusił ją, by zrobiła coś, na co sam nie miał odwagi! Lecz ten gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił, ustępując miejsca głuchej rozpacz. Jak ma dalej bez niego żyć?

– Co się stało? Jesteś cała we krwi! – wykrzyknął z przerażeniem Ernst.

Marlene spojrzała na swoje ramię tak, jakby nie było częścią jej ciała. Nie czuła bólu, tylko ten w sercu. Każde jego uderzenie było torturą i oskarżeniem: zabiłaś go!...

– Jest trupio blada, musiała stracić dużo krwi – powiedział Heinrich i natychmiast zaczął ją opatrywać.

Wyjął piersiówkę, zdezynfekował ranę i założył opatrunek. Marlene biernie przyjmowała wszelkie zabiegi. Była zbyt słaba, by się opierać. Świat wokół niej jakby się rozpląwał, głosy brzmiały tak, jakby je opakowano watą.

– Co z nią? Dziwnie wygląda – stwierdziła Trudi.

– To chyba szok – odrzekł Ernst, próbując wlać w usta Marlene odrobinę alkoholu. Marlene zakrzuszyła się, zakasłała. Była śmiertelnie zmęczona, chciała jedynie zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Zbrzydł jej świat, ludzie, życie. Zastanawiała się, jaki sens ma jej walka, skoro gdziekolwiek pójdzie, jej szlak znaczy śmierć.

– Co teraz? – Ernst zupełnie stracił głowę.

Marlene czuła się zirytowana jego bezradnością i zagubieniem. Nie dadzą jej nawet chwili spokoju! Niechętnie podniosła powieki, przez chwilę starała się odzyskać ostrość widzenia. Trudi, Ernst i Heinrich siedzieli przed nią w półkolu, czekając na jej decyzję. To ona tu była dowódcą. Dowódcą, który nie przygotował żadnego planu ewakuacji. Zawarła milczący pakt z losem.

Zastanawiała się, czy jej towarzysze zdają sobie sprawę z tego, że jej życie, tak czy siak, się skończyło, niezależnie od sukcesu czy niepowodzenia akcji. Wiedziała, że zemsta nazistów będzie straszna. Rozpoczną obławę w promieniu stu kilometrów od tunelu, rzucając w pościg za zamachowcami wszystko, czym dysponują, więc nie ma znaczenia, który kierunek ucieczki obiorą. Równie dobrze mogli tu zostać, aż dopełni się ich przeznaczenie.

Jednak bierność nie leżała w naturze Marlene. Chwila słabości minęła. Była wojna i musiała jak najdłużej podtrzymać w przyjaciółach złudną nadzieję. Przetarła twarz i oczy i z pomocą Ernsta dźwignęła się z ziemi.

– Pojedziemy tam, gdzie się nas najmniej spodziewają – powiedziała.

– To znaczy? – spytał Ernst.

– Wzdłuż granicy czesko-morawskiej.

– Ale... dokąd chcesz jechać?

– Do Pragi. Mam tam jeszcze kilka kontaktów.

Wolała się na razie nie zastanawiać, czy jej towarzysze jeszcze żyją.

– A potem? – drążył Ernst.

– Potem ruszymy do Monachium, do domu Trudi.

Heinrich szybko rozłożył mapę i wspólnie zaplanowali trasę ucieczki. Postanowili w miarę możliwości omijać główne szlaki komunikacyjne i wybierać boczne i polne drogi.

Historię zwyciężonych zawsze piszą zwycięzcy. Bijący zniekształca twarz pobitego. Słabszy znika ze świata i zostaje kłamstwo.

Bertolt Brecht (1898–1956)

Trzy dni później Marlene i Trudi usłyszały, jak za ich plecami znów zamykają się bramy Auschwitz. Do tego czasu odbyły szaloną podróż – jakby jakaś siła wyższa postanowiła wsadzić je do kolejki górskiej i urządzić sobie zabawę ich kosztem, patrząc, jak balansują między nadzieją a trwogą.

Najpierw nastąpiło nieuniknione: złapali gumę, a potem, po niespełna stu kilometrach jazdy krętymi drogami na wschód, uszkodzili również koło zapasowe. Dotarli na obrzeża Gór Sowich i zjeżdżali jedyną w tym górzystym terenie drogą, która po prawdzie nie zasługiwała na to miano. Niemiła niespodzianka spotkała ich na końcu zjazdu. Wiedzieli, że dalej nie pojedą, i na kilka sekund w samochodzie zapadła kompletna cisza. Nikt nie drgnął, nikt nie wysiadł. Teraz, gdy wóz stał się bezużyteczny, czuli się tak, jakby musieli zostawić starego przyjaciela, który w trudnych chwilach udzielił im schronienia. Czas jednak naglił. Zbliżał się ranek i musieli znaleźć jakąś kryjówkę na nadchodzący dzień. Nie mogli ukryć samochodu, ale postanowili przynajmniej zabrać tablice rejestracyjne, których numery mogły naprowadzić brunatnych prześladowców na ślad Ernsta.

W chwili gdy mieli wysiąść z wozu, w dali rozległ się głośny warkot. Jakiś ciężki pojazd, może czołg. Jak zauroczeni patrzyli przez przednią szybę auta. W pierwszych promieniach słońca niespełna sto metrów przed nimi na szczyt wzniesienia wjechał pojazd opancerzony, a tuż za nim ciężarówka z żołnierzami. „Konwój, niech to szlag!”, pomyślała Marlene. Gorączkowo analizowała możliwe drogi ucieczki: po prawej wznosiła się stroma skalna ściana oddzielona od drogi płytkim rowem, po lewej zaś znajdowało się pole, z którego właśnie zebrano zboże. Za polem był co prawda las, lecz Marlene wiedziała, że nie mają szans do niego dotrzeć. Ponieważ nie mogli się ukryć, pozostała tylko jedna możliwość: blef. Szybko zamieniła z Ernstem kilka słów. Pułkownik wysiadł z wozu, poprawił mundur i ruszył naprzeciw konwoju.

Pierwszy pojazd zatrzymał się, gdy tylko kierowca dostrzegł stojące na poboczu auto. Powietrze przeszył krzyk oficera i grupka żołnierzy wysypała się z ciężarówki, kierując lufy pistoletów maszynowych w stronę limuzyny. W ostatnich dniach partyzanci często atakowali niemieckie konwoje i wśród żołnierzy panowała napięta atmosfera.

Po chwili otworzyły się drzwiczki jednego z pojazdów i wysiadł z niego mężczyzna w mundurze pułkownika wojsk zapasowych. Z pistoletem w dłoni i dwoma żołnierzami po bokach ruszył w kierunku limuzyny. Ernst miał wrażenie, że spotkał już pułkownika w berlińskiej siedzibie Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych – i najwyraźniej się nie mylił. Oficer miał najwyraźniej lepszą pamięć, gdyż natychmiast poznał Ernsta i schował pistolet. Dowiedziawszy się o pechu, który spotkał starego znajomego, pułkownik natychmiast wydał stosowne rozkazy, a czekając na wymianę koła, spytał Ernsta, skąd i dokąd jedzie. Odpowiedź nie miała, rzecz jasna, wiele wspólnego z prawdą. Ernst zerknął dyskretnie na zegarek. Od zamachu minęło kilka godzin i spodziewał się, że dowie się czegoś od pułkownika, lecz ten najwyraźniej jeszcze nie słyszał o śmierci Hitlera. To mogło oznaczać tylko jedno: ładunki wybuchowe musiały zniszczyć również centralę radiową, dlatego z pociągu nie nadano meldunku o zamachu.

Po chwili radiowiec poinformował pułkownika o pilnej rozmowie, w związku czym ten grzecznie przeprosił i pospieszył do wozu.

Ernst natychmiast zrobił w tył zwrot i wrócił do limuzyny, by przekazać swoim towarzyszom, iż pułkownik został wezwany do telefonu i istnieje ryzyko, że lada chwila zostaną aresztowani. Marlene natychmiast wyjęła pistolet i nie zważając na ból w przestrzelonym ramieniu, rzekła:

– Będziemy walczyć.

Pozostali poszli za jej przykładem. Heinrich sięgnął do schowka po zapasowy pistolet i podał go Trudi. Czekali, gotując się na śmierć. Nie mieli szans na ucieczkę.

Mijały jednak minuty i... nic się nie działo. Jeden z żołnierzy zmierzył rozmiar felgi i po kilku minutach wrócił, tocząc przed sobą zapasowe koło. Heinrich, który zdążył już podnieść auto na lewarku, zabrał się do pracy, podczas gdy karawana wojskowych pojazdów minęła ich i na zawsze zniknęła za szczytem wzniesienia. Przyjaciele spojrzeli po sobie zdumieni. Szofer dokończył wymianę koła, lecz wtedy dla odmiany posłuszeństwa odmówił silnik, który zakaszłał i zgasł, wydając z siebie okropny hałas. To tyle, jeśli chodzi o dalszą jazdę... Heinrich zaklął, wysiadł z auta, podniósł maskę i zajrzał do środka.

– W czym problem? – spytał Ernst, stając obok kierowcy.

– Muszę...

Nagle powietrze przeszyły wystrzały. Dobiegały od strony lasu. Kule z gwizdem przelatowały nad opustoszałym polem. Heinrich i Ernst padli na ziemię, kryjąc się za samochodem. Marlene i Trudi wyczołgały się z wozu po tej samej stronie. Wszyscy mieli w dłoniach pistolety, lecz Marlene zabroniła im strzelać na oślep. Musieli oszczędzać amunicję.

– Co teraz? – wysapał Ernst, podczołgawszy się do Marlene.

– To partyzanci! Zaatakowali konwój!

Niemcy odpowiedzieli ogniem. Po chwili do *staccato* pistoletów maszynowych dołączył huk

czołgowego działa. Między wozem Ernsta a polem bitwy rozciągał się łańcuch wzgórz, przechodzący łagodnie w płaskie pole i las. Zza limuzyny nie było widać konwoju, lecz las stanął w płomieniach. Ponad drzewami unosił się ciemny dym. Strzały szybko zaczęły cichnąć i po dziesięciu minutach całkowicie ustały. Partyzanci musieli dojść do wniosku, że nie mają szans w starciu z artylerią, i obie strony wstrzymały ogień.

– Głowy nisko! – przypomniała Marlene.

Przez jakiś czas leżeli płasko za samochodem. W końcu Marlene odważyła się wczłogać do limuzyny, ale przez gęsty dym nie zdołała niczego dostrzec. Wciąż panowała cisza. Partyzanci najprawdopodobniej wycofali się. Nagle kątem oka spostrzegła ruch na wzgórzu po lewej stronie. Niemcy nacierali w stronę lasu! Wróciła do pozostałych.

– Musimy tu poczekać, inaczej trafimy w krzyżowy ogień.

Kilka minut później do samochodu dotarł patrol, wysłany po nich przez dowódcę konwoju, który najwyraźniej czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo Ernsta, bądź co bądź pułkownika Wehrmachtu. Chcąc nie chcąc, ruszyli w stronę konwoju.

Stali właśnie za jedną z ciężarówek, naradzając się szeptem, w jaki sposób uwolnić się spod kłopotliwej opieki dowódcy transportu, gdy nagle ten stanął przy nich i spytał:

– Proszę powiedzieć, pułkowniku Meister, co pan tu właściwie robi? Kiedy został pan odkomenderowany z Krakowa? – O ile z początku oficer był jedynie zdziwiony obecnością Ernsta i jego towarzyszek, o tyle teraz w jego głosie dało się wyczuć nutę podejrzliwości. W końcu pułkownik zażądał od Marlene i Trudi okazania dokumentów. Ponieważ siłą rzeczy nie miały ich, Marlene naprędce wymyśliła historyjkę o tym, jak to jechały do mieszkającej w Zabrze ciotki, lecz w drodze zostały obrabowane przez partyzantów; na szczęście udało im się uciec i schronić w jakimś zajeździe, gdzie spotkały pułkownika, który rycersko zaoferował im podwózkę swoją limuzyną. Wysłuchawszy tej opowieści, dowódca konwoju wziął Ernsta na stronę i raz jeszcze spytał Ernsta o cel jego misji, ten jednak zasłonił się tajemnicą służbową, ucinając tym samym wszelką dyskusję.

Pułkownik nic nie powiedział, lecz z jego spojrzenia można było wywnioskować, że nie dał wiary wyjaśnieniom. Aby rozwiać wątpliwości, połączył się z dowództwem wojsk zapasowych w Warszawie i poprosił o rozmowę z przełożonym Ernsta, generałem Maierem. Ten co prawda go nie zdradził, lecz nakazał mu natychmiastowy powrót do Warszawy – wraz z obiema damami.

Otrzymawszy nowe rozkazy, Heinrich, który z pomocą mechanika zdążył tymczasem naprawić limuzynę i napełnić bak, usiadł za kierownicą, dołączył do konwoju i rad nierad, ruszył na północny wschód, na spotkanie zbliżającej się Armii Czerwonej.

Podróż przebiegła bez przygód i już po południu Ernst, Marlene i Trudi znaleźli się w gabinecie generała Horsta Maiera. Generał starał się zachować pokerową twarz, lecz wyczulone ucho i oko Marlene szybko wychwyciły symptomy wzburzenia. Gospodarz był tak rozgorączkowany, jakby

spodziewał się, że za chwilę ktoś wrzuci do gabinetu odbezpieczony granat. Marlene rozumiała, że ma do czynienia z człowiekiem, który boi się, że lada moment może zostać aresztowany, a to czyniło go wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem.

Generał zmierzył gości wzrokiem, jakby spodziewał się, że mają mu coś ważnego do przekazania, a ponieważ milczeli, rozparł się na fotelu i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Za jego plecami wisiał ogromny portret Führera. Marlene wpatrywała się w obraz, żałując, że nie jest w stanie myśłą zburzyć tej ściany.

W końcu generał zabrał głos. Z miną człowieka, który zamierza właśnie zdemaskować wielki spisek, oświadczył, że w ostatnich dniach miały miejsce doniosłe wydarzenia, aczkolwiek nikt nie wie nic pewnego i krążą jedynie dziwne plotki. W końcu walnął pięścią w stół i wrzasnął:

– Ktoś tu próbuje coś ukryć, a ja, do licha, chcę wiedzieć, co się tu dzieje! – krzyczał, wpatrując się w Ernsta, jakby spodziewał się, że ten jest w stanie zaspokoić jego ciekawość.

Marlene pomyślała, że podejrzenia generała nie są pozbawione podstaw, i była ciekawa, w jaki sposób jej przyjaciel wyplącze się z tej sprawy. Wkrótce uzyskała odpowiedź: w ogóle. Ernst odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy, szukając u niej pomocy. „I taki człowiek został pułkownikiem Wehrmachtu!”, pomyślała. Marlene lubiła Ernsta. Pomógł jej przygotować zamach, wykazał się odwagą, lecz teraz jego spojrzenie dowodziło, że wszystko to zrobił wyłącznie dla niej. Wiedziała, że będzie lepiej, gdy to ona weźmie sprawy w swoje ręce – nawet jeśli nie miała żadnego potwierdzenia, że zamach zakończył się sukcesem. Bez przerwy dręczyła ją wątpliwość, czy to, co zrobiła, warte było śmierci doktora. Im dłużej trwała ta niepewność, tym bardziej robiła się niespokojna. Mogła zrobić tylko jedno, by zapomnieć o tej udre: rzucić się w wir walki. Musiała zyskać w generale sojusznika, ponieważ tylko on mógł zdobyć stosowne informacje – zwłaszcza że w tym momencie wszystko wskazywało na to, iż oczekuje od nich wyjaśnień w związku z jakimiś dziwnymi plotkami. Czy chodziło o śmierć Hitlera? Do tej pory nie zostali aresztowani i generał traktował ich jak zwykłych gości. To jednak w każdej chwili mogło się zmienić. Aby wyciągnąć z gospodarza jak najwięcej informacji, postanowiła odwrócić pytanie:

– Proszę wybaczyć, panie generale, ale jestem nieco skonfundowana... O czym pan mówi? Czy są powody do niepokoju?

Oczy generała, do tej pory skupione na twarzy Ernsta, teraz zwróciły się na Marlene. Znała to spojrzenie. Generał zastanawiał się, czy należy się jej obawiać, czy też jest przypadkową kobietą, która nieszczęśliwie wplątała się w sprawy, o jakich nie ma pojęcia.

– Kto to jest? – Gospodarz zignorował jej pytanie, zwracając się do Ernsta.

Ten ponownie wlepił w nią wzrok. Marlene miała dość. Wiedziała, że w ten sposób niczego nie osiągną. Jeżeli generał uważa ją i Trudi za przypadkowych świadków, a mimo to pozwala im uczestniczyć w tej rozmowie, to może oznaczać tylko jedno: ich życie nie jest warte funta kłaków.

Własny los był jej obojętny, ale chciała, żeby przynajmniej Trudi doczekała końca wojny, dlatego musiała dobić z generałem targu, wymyślić coś, co pozwoliłby mu wyciągnąć głowę ze stryczka, a przy okazji uratować życie Trudi. Postanowiła postawić wszystko na jedną kartę:

– To nie są tylko plotki. To moje dzieło.

– Jak mam to rozumieć? – spytał generał opryskliwie, jakby przerwała tok jego myśli.

– To mnie pan szuka. Jeżeli zagwarantuje pan bezpieczeństwo mojej młodej przyjaciółce, opowiem panu wszystko o dokonanej niespełna dobę temu w okolicach Wałbrzycha zamachu na Führera, Reichsführera SS i kilku innych wysokich rangą członków rządu.

Ernst wydał z siebie zduszony jęk. Marlene kątem oka zauważyła, że jej przyjaciel sięga do kołnierza munduru, jakby ktoś zacisnął mu właśnie pętlę na szyi. Trudi również chciała zaprotestować, lecz Marlene mocno ścisnęła jej dłoń. Zresztą i tak już było za późno. Nie mogła cofnąć tego, co powiedziała.

Ponownie napotkała lekceważące spojrzenie generała, lecz tym razem tliła się w nim iskierka zaciekawienia. W jego głowie najwyraźniej trwała istna gonitwa myśli. Musiał właśnie rozważać możliwe scenariusze.

Z punktu widzenia Marlene najważniejsze było pytanie, czy generał zdobędzie się na szczerą rozmowę.

Wiedziała, że należał do grupy spiskowców wspierających Stauffenberga, a potem ostrzegł Ernsta. Nawet teraz postanowił ich kryć. Na razie. Pytanie, czy działał ze szczerych pobudek, chcąc położyć kres rzezi, czy też utracił wiarę w „ostateczne zwycięstwo” i próbował sobie przygotować miękkie lądowanie na okres powojenny. Nie brakowało przecież złośliwych głosów twierdzących, że Stauffenberg i jego towarzysze postanowili zabić Hitlera nie z powodu zbrodni, których ten się dopuścił, lecz dlatego, że okazał się dyletantem i szkodził Niemcom jako naczelny wódz. Generał znał ostatnie doniesienia z frontu i Marlene z trudem hamowała się, by go o nie nie wypytać. Wiedziała, że nadmierna ciekawość z jej strony mogłaby negatywnie wpłynąć na jego decyzję. W napięciu czekała zatem na odpowiedź.

Jego palce znów zaczęły bębnić o blat biurka. W końcu zacisnął dłoń, nachylił się ku Marlene i wychrypiął:

– To znaczy, że przyzna się pani do wszystkiego, jeśli w zamian wypuszczę jej towarzyszkę? W porządku, proszę powiedzieć, co pani wie o wydarzeniach w Wałbrzychu.

– Najpierw proszę przygotować dokumenty dla mojej przyjaciółki – zażądała Marlene.

– Obawiam się, moja droga, że pani położenie nie pozwala na stawianie warunków – odparł twardo generał. – Albo opowie mi pani wszystko, co wie, albo... – groźba zawisła w powietrzu.

– Myślę, że możemy zaufać panu generałowi – wtrącił się Ernst.

Marlene zrozumiała, że nie ma wyboru.

Jej relacja z wydarzeń ostatniej nocy trwała niecałe pięć minut. Kiedy skończyła, generał powiedział coś, co wprawilo ją w osłupienie:

– Nie zależy mi ani na pani przyznaniu się do zamachu, ani na pani śmierci. Nie zamierzam pani wydać gestapo. W chwili obecnej istnieją dwie możliwości: albo zamach się nie powiódł i Führer żyje, albo się pani udało i rzeczywiście go pani zabiła. Tak czy siak, władze robią wszystko, by zatuszować to, co się stało, zwłaszcza że od zamachu Stauffenberga minęły ledwie cztery miesiące. Prawda jest taka, że Führer nie pokazuje się publicznie, a jeśli już, to wiadomo, że od lat w trakcie takich wystąpień zastępuje go któryś z sobowtórów. Należy zatem wziąć pod uwagę i taką ewentualność, że widziała pani właśnie sobowtóra.

– To wykluczone. Źródłem moich informacji jest lekarz, który bez wątplenia zidentyfikował Hitlera, gdyż leczył go już wcześniej.

– Nie rozumiem.

– Hitler cierpi na wnetrostwo.

Generał westchnął i nie skomentował rewelacji Marlene.

– Tak czy inaczej, rozsądek nakazuje, by trzymać się od tej sprawy z daleka. Siła rażenia takiej bomby jest tak wielka, że może zaszkodzić również postronnym, dlatego należy się od tego za wszelką cenę trzymać na dystans. Chyba że ma pani ochotę stanąć przed Trybunałem Ludowym. Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. – Generał wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. – Jest pani wolna. Zaopatrzę panią i jej przyjaciółkę w stosowne dokumenty. Pułkownik Meister zostanie w Warszawie i wróci do swoich obowiązków. O pana dezercji porozmawiamy później. Zrozumiano, pułkowniku?

Ernst zerwał się z miejsca i strzelił obcasami.

– Tak jest, panie generale.

Następnego ranka Marlene i Trudi – za radą tej pierwszej i tym razem ubrane w stroje sióstr Czerwonego Krzyża – siedziały w pociągu jadącym do Rzeszy. Generał był tak miły, że zadbał, by miały cały przedział tylko dla siebie.

Początkowo Marlene zamierzała ponownie przyłączyć się do partyzantów, lecz potem zmieniła zdanie. Tym razem chciała mieć pewność, że jej towarzyszka wróci do Monachium, i postanowiła odwiedzić ją osobiście.

– Ufff – westchnęła Trudi, gdy pociąg ruszył. – Kiedy opowiem, co mnie spotkało, nikt mi nie uwierzy! Ale sama widzisz: przy mnie nie zginiesz! Naprawdę jestem niezniszczalna! – w głosie Trudi pobrzmiwała prawdziwa euforia. Marlene знаła to uczucie, gdyż sama wielokrotnie go doświadczyła, wychodząc cało z opresji i unikając niechybnej śmierci.

– Do Monachium droga daleka, więc nie chwał dnia przed zachodem słońca – postanowiła nieco

ostudzić entuzjazm towarzyszki, chociaż wiedziała, że dziewczyna zasłużyła na chwilę radości. Marlene była jednak na to zbyt ostrożna. Zbyt wielka radość mogła na nie sprowadzić śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Myślisz, że może nas spotkać coś złego? – Trudi zsunęła buty, uniosła stopy i pomachała obleczonymi w pończochę palcami. – Jesteśmy dwiema niemieckimi panienkami, które po ciężkiej frontowej służbie jadą do domu na urlop. Sama się sobie dziwię, ale naprawdę się cieszę na spotkanie z wujem i ciotką. Po tym, co przeżyłam, wydają się całkiem normalni. W porównaniu do tych wszystkich szaleńców...

Marlene nie zareagowała, dosłownie przyklejona twarzą do szyby.

Trudi zauważyła dziwne zachowanie przyjaciółki.

– Co się dzieje? – spytała, wyglądając przez okno. Pociąg powoli nabierał prędkości.

– Nic. Wydawało mi się, że zauważyłam na peronie kogoś znajomego. – Marlene otrząsnęła się z zamyślenia, po czym opuściła żaluzję i usiadła wygodnie. – Co mamy do jedzenia?

Trudi sięgnęła do plecaka z prowiantem – jeszcze jednego daru szczodrego generała, który najwyraźniej cieszył się, że się ich w końcu pozbywa. Ich obecność oznaczała dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tymczasem Marlene uspokoiła się nieco, gdyż do Warszawy nadal nie dotarły wieści o zamachu na Hitlera. Zastanawiała się, jak długo współpracownicy Führera zdołają utrzymać to w tajemnicy. Ilekroć pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji, otwierała okno, nasłuchiwała i obserwowała otoczenie, licząc, że uda jej się dostrzec jakąś zmianę w nastrojach ludzi, odczuć coś z tamtej atmosfery w monachijskim kościele, zaraz po lipcowym zamachu. Lecz niczego takiego nie dało się zauważyć i ta niepewność powoli doprowadzała ją do szaleństwa.

Po południu pociąg zatrzymał się w Wałbrzychu, niedaleko miejsca, gdzie przeprowadziły akcję. Marlene wiedziała, że to moment krytyczny. Dopiero kiedy wyjadą z tego miasta, uzna, że im się udało.

Również tutaj nic nie wskazywało na to, by w okolicy dokonano zamachu na Führera. Marlene spodziewała się, że na dworcu będzie się roić od esesmanów, lecz wszystko z pozoru wyglądało zupełnie normalnie. Dworzec był niemal całkowicie opustoszały. I to właśnie najbardziej ją niepokoiło.

Kiedy pociąg ruszył, uśmiechnęła się do Trudi. Początkowa euforia opuściła dziewczynę, która raz po raz zerknęła na Marlene, jakby szukała w niej oznak potencjalnego zagrożenia.

– Naziści są dziwni, nie sądzisz? – odezwała się w końcu. – Po zamachu Stauffenberga narobili takiego krzyku, że można było ogłuchnąć, a teraz nic, ani mru-mru. Rozumiesz coś z tego?

– Nie, ale kto zrozumie nazistów? – Marlene wzruszyła ramionami, chociaż i ją nurtowały podobne myśli.

Nie przypuszczała, że zostało im ostatnie pięć minut wolności.

Odpryski wojny

W Krematorium IV obozu Auschwitz-Birkenau pewna kobieta uświadamia sobie, że zostanie zamordowana. Zrozpaczona wyrywa oberscharführerowi Schillingerowi broń i go zabija. Inne kobiety atakują strażników, lecz zostają zastrzelone.

Izba Gmin stosunkiem głosów 425 do 23 odrzuca projekt przewidujący zrównanie uposażenia nauczycielek i nauczycieli.

„Słowo »emancypacja« zostało wymyślone przez żydowskich intelektualistów. Uważamy za niestosowne, by kobieta wdzierła się w świat mężczyzn, za naturalne zaś uważamy rozdzielenie tych dwóch światów”.

Führer Adolf H. z B.,
przemówienie podczas Reichsparteitagu NSDAP,
Norymberga, 8 września 1934

Drzwi przedziału otworzyły się i rozległ się głos, którego miała nadzieję już nigdy nie usłyszeć.

– *Heil Hitler!* – Słowa nazistowskiego pozdrowienia zostały wypowiedziane znudzonym tonem.

Marlene niewzruszona pozostała na swoim miejscu, lecz krew stężała w jej żyłach. Albrecht Brunnmann! A więc wzrok jej nie mylił, to jego widziała na peronie!

Błyskawicznie oceniła swoje szanse. Czy był sam? Raczej mało prawdopodobne, był na to zbyt tchórzliwy. Brudną robotę zostawiał innym. Mimo to jej dłoń powędrowała ku rękojeści noża. Brunnmann natychmiast wyciągnął pistolet.

– Nawet o tym nie myśl, żydowska dziwko.

Obok niej Trudi zwymiotowała cały obiad – wprost na buty Brunnmanna.

– Ohyda! – Obersturmbannführer ze wstrętem odwrócił wzrok.

– Cóż, Albi, mnie też na twój widok chce się rzygać – odparła Marlene. Chciała, żeby ją zastrzelił i aby wszystko się wreszcie skończyło. Żeby go sprowokować, wyciągnęła nóż, lecz on natychmiast wycelował pistolet w Trudi.

– Mogę strzelić twojej przyjaciółeczce w brzuch, najlepiej w wątrobę. Będzie zdychać powoli i w bólu.

– No to strzelaj! – wychrypiała Trudi.

W tej samej chwili w drzwiach przedziału stanęło dwóch pachołków Brunnmanna. Jednym z nich był Ewald, wierny pies swego pana. „Niech to szlag!”, zaklęła w duchu Marlene. „To naprawdę musi być czarci pomiot”. Brunnmann skinął głową i Ewald wcisnął się do przedziału, uzbrojony jedynie w swe potężne pięści i bezbrzeżną nienawiść do kobiet. Nie miały najmniejszej szansy. W ułamku sekundy obezwładnił je, a kiedy wkrótce potem pociąg zatrzymał się w szczyrim polu, wypchnął je z przedziału. Marlene była pewna, że Brunnmann każe je zastrzelić, on jednak polecił zaprowadzić je do swojej czarnej limuzyny, która czekała na drodze nieopodal toru. Marlene zrozumiała, że jej prześladowca wszystko doskonale zaplanował. Wiedział, że będą w tym pociągu.

Idąc w stronę auta, Marlene wyobrażała sobie, że za chwilę otworzy jej drzwiczki Osman, wieloletni szofer Brunnmanna, lecz przypomniała sobie, że Turek trafił na front wschodni, gdyż ośmielił się pomóc w Krakowie Deborze.

– Jeśli wypatrujesz swojego przyjaciela Osmana, to wiedz, że nie żyje – rzucił szorstko Brunnmann.

Raz jeszcze okazało się, że obersturmbannführer może być aroganckim dorobkiewiczem, ale odznacza się wielką przenikliwością w stosunku do swoich ofiar i nie marnuje żadnej okazji, by je dręczyć – nawet kiedy sam już leży na deskach.

– Dokąd jedziemy? – spytała Marlene, gdy Ewald wepchnął ją do samochodu. Brunnmann nie odpowiedział.

Szybko jednak stało się jasne, dokąd zmierzają: z powrotem do Auschwitz, tyle że nie za druty, ale do małej białej willi, którą Brunnmann zajmował w wytyczonej wokół obozu „strefie zakazanej”. Dom leżał w cudownym zakątku na brzegu Soły, otoczony murem i osłonięty z trzech stron wysokimi drzewami.

Minęli strzeżoną przez esesmanów bramę z kutego żelaza i wysiedli. Powietrze było czyste i rześkie. Okropny oddech Auschwitz nie docierał do willi. Marlene rozejrzała się. Była nieomal pewna, że była tu kiedyś „w pracy”, choć wtedy jak zwykle przebyła całą drogę z zawiązanymi oczami. Na dany przez Brunnmanna znak Ewald złapał Marlene i pociągnął w stronę domu. Za nimi drugi z esesmanów ciągnął Trudi, a na końcu pochodu kroczył obersturmbannführer. Choć Ewald trzymał Marlene w żelaznym uścisku, zdołała odwrócić głowę w stronę Brunnmanna.

– Czego od nas chcesz?

Ewald uderzył ją w twarz.

– Zamknij ryj!

Weszli schodami na górę. Brunnmann wyminął ich na długim korytarzu i otworzył drzwi jednego z pokoi. Marlene natychmiast poznała to miejsce: sypialnia była wyłożona drewnem i grubym orientalnym dywanem, który tłumił każdy krok, a pod ścianą stało ogromne łóże. Swąd zastarzałego dymu mieszał się w z wonią ciężkich perfum. Tak, była już tutaj. Wtedy przy łóżku czekało na nią dwóch mężczyzn – gwałciciel i obserwator, prawdopodobnie impotent, gdyż nie tknął jej, tylko wydawał polecenia i patrzył. Marlene zrobiło się niedobrze na to wspomnienie.

Brunnmann przysunął sobie krzesło i postawił je u nóg łóżka, a Ewald usadził ją na nim siłą.

– Zaknebluj je – rozkazał Brunnmann. – Nie lubię, kiedy krzyczą.

– Tchórz – wymamrotała Marlene.

To było jej ostatnie słowo, gdyż Ewald wyciągnął z kieszeni kawałek brudnej szmaty i z typowym dla siebie złośliwym grymasem zakneblował jej usta. Widać było, że dręczenie jej sprawia mu rozkosz. Marlene pomyślała, że w tym człowieku nie ma nic poza czystą złośliwością i okrucieństwem.

Tymczasem Trudi z furią walczyła ze swoim strażnikiem – co prawda miała związane ręce, za to kopała i pluła. Olbrzym wyprostował ręce i trzymając ją na odległość, unikał kopniaków. Wkrótce

i ona została zakneblowana.

Wtedy Brunnmann podszedł do komody i wyjął z niej powróż.

– Rozbierz dziewczynę i przywiąż do łóżka – rozkazał.

Marlene z grozą patrzyła, jak Ewald zdiera z Trudi ubranie i krępuje jej ręce i nogi. Marlene rozpaczliwie próbowała zerwać pęta, a z jej ust dobywały się zduszone krzyki. Poczowała się jak wtedy, gdy musiała patrzeć na niewyobrażalną mękę Jakuba. Brunnmann wiedział, że tylko w ten sposób może jej zadać ból: gwałcąc na jej oczach Trudi.

Odprawiwszy swoich goryli, zaczął się powoli rozbierać. Delektował się każdą sekundą, upajał się swoim triumfem. Nagi wyprężył się przed nią, wzwiedzionym członkiem dotykając niemal jej twarzy.

– Greiff był głupcem i nieudacznikiem. Nie docenił cię. Ty jesteś Lilith, pierwsza żona Adama. Jesteś żmiją, a żmiję trzeba zetrzeć w proch. Najpierw jednak sobie popatrzysz! – zaśmiał się szyderczo i opadł całym ciężarem na Trudi.

Następne godziny były dla Marlene niewyobrażalną udręką. Czuła fizyczny ból, agonię, upokorzenie. Wszystko, co Brunnmann robił Trudi, robił również jej. W końcu zwlókł się z łóżka i zniknął w łazience, skąd wkrótce dobiegły szum wody i wesołe pogwizdywanie. Marlene miała wrażenie, że za chwilę umrze, tak wielka przepełniała ją nienawiść. I bezsilność. Przez kilka godzin próbowała się uwolnić z więzów, tak że powróż poranił jej ręce do krwi.

Brunnmann odświeżony wrócił z łazienki i dumnie przemaszerował przez pokój. Wyjął z szafy świeżą bieliznę i ubrał się z miną człowieka, do którego należy cały świat. Potem podszedł do łóżka i spojrzał na Trudi, która od jakiegoś czasu leżała bez ruchu. Marlene przeraziła się, że mała nie żyje, lecz po chwili spostrzegła, że jej wątku pierś unosi się i opada. Oddycha! Brunnmann potrząsnął Trudi za ramię, lecz nie doczekał się żadnej reakcji. Wówczas sięgnął po wazon, w którym dogorywały zwiędłe kwiaty, i chlusnął jej na twarz resztkami śmierdzącej wody. Trudi zbudziła się, parskając i łapczywie chwytając powietrze.

– Przeżyjesz. Wy, kobiety, wytrzymacie wiele – rzucił Brunnmann z pogardą, po czym zwrócił się do Marlene. – Szkoda, że Deborah cię teraz nie widzi. Dzielna bojowniczką Marlene, spętana i zakneblowana. Biedaczka, nie potrafiła uchronić swojej przyjaciółki. Och, chcesz coś powiedzieć?

Wyjął jej knebel i Marlene wychrypięła:

– Tu skurwysynu, ona nie żyje!

– Deborah? Skąd ci to przyszło do głowy? – odrzekł Brunnmann z niekłamanym zdziwieniem.

Marlene spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Och, ty naprawdę tak myślisz! – ciągnął Brunnmann. – Otóż zapewniam cię, że ta dziwka żyje i pokutuje za swoją zdradę. Tak jak ty! Ale dość pogaduszek...

Podszedł do drzwi i przywoławszy Ewalda, wskazał na Marlene.

– Jest twoja. Tylko jej nie zabij. Pewien Rosjanin oszalał na jej punkcie i chce ją ode mnie kupić.

Za godzinę wracam.

Ewald skwapliwie wykorzystał darowany mu czas. Ponieważ Marlene w końcu straciła przytomność, nie widziała, jak do pokoju weszło dwóch mężczyzn, by zabrać ją i Trudi.

188 dni do „Dnia 0”

„Ugodowa polityka mojej partii napawa mnie wstydem. 25 lipca 1914 roku protestowaliśmy przeciw wojnie, zewsząd wysłuchując tych, którzy nazywali nas »kosmopolitycznymi zdrajcami«, a ledwie dziewięć dni później nagle wszyscy staliśmy się zagorzałymi patriotami i jedliśmy kajzerowi z ręki. Powinniśmy byli wziąć przykład z Luksemburg i Liebknechta, którzy pozostali nieugięci. I za to zostali zamordowani przez siepaczy w gwardyjskich mundurach pruskiej armii. To straszne – wojna minęła, a mordy wciąż trwają. Jakby nie dość było zabijania. Gdybyśmy tylko w 1914 roku wykazali się większą odwagą! Pozostaje nam jedynie mieć nadzieję, że przyszłe pokolenia wyciągną lekcję z tej strasznej wojny”.

Gustav Berchinger do Fritza Gerlicha
podczas rozmowy przy stole zajmowanym przez członków SPD,
monachijska piwiarnia Ratskeller,
styczeń 1919 roku

Wątpienie to moja druga natura. Wątpię we wszystko i w każdego, również w siebie. Przede wszystkim w siebie. Zbyt często podejmowałem decyzje, których później sam nie potrafiłem zrozumieć. Dlatego każdego dnia zastanawiam się, czy to, w co wierzę, jest prawdą. A może się mylę?

Raffael Valeriani,

były jezuita,

w liście do swojego dawnego spowiednika

Mroczne cienie okrążyły Marlene. Osaczały ją, chciały ją zdławić. W malignie raz jeszcze przeżyła pierwszy gwałt w Auschwitz.

Wraz z dwiema innymi dziewczętami zawieziono ją do hotelu. Tam, w wielkim salonie, kazano im się rozebrać i „klienci” uważnie je obejrzel. Oglądali je, macali, szczypali, kazali wykonywać ćwiczenia gimnastyczne. Rzucali grubiańskie żarty na temat podskakujących piersi.

Tylko jeden z obecnych w salonie mężczyzn nie brał udziału w tych prostackich zabawach. Był gruby, a jego niegdyś ogniście rude włosy z biegiem lat wypłówiały i stały się brudnożółte. Siedział przy stoliku w kącie salonu, pałąc cygaro. Wyglądał na znudzonego.

Dopiero kiedy jeden z klientów chwycił Marlene za rękę i chciał zaprowadzić do któregoś z pokoi, milczek wstał, zastąpił im drogę i władczym spojrzeniem zmusił młodszego kompana, by mu oddał wybranek.

– Jesteś nowa – powiedział w pokoju, obnażając swoje wielkie, otłuszczone cielsko. Pomarszczony członek wydawał się maleńki pod ogromnych brzuchem, a purpurową mosznę porastały kępki rudawych włosów.

Mężczyzna opadł na łóżko, rozłożył nogi i rzucił:

– Zaczynaj. Masz spić moje soki. Jeśli zwymiotujesz lub zaczniesz się dławić, dostaniesz takie cięgi, że popamiętasz do końca życia.

Marlene wolałaby bicie niż... Ale przecież niczego by w ten sposób nie uzyskała – chyba że chciała umrzeć. Spuściła więc głowę i zrobiła, co jej kazano. On zaś bez przerwy lżył ją i obrzucał najobrzydliwszymi wyzwiskami, najwyraźniej czerpiąc z tego podniecie.

Wbrew radom Jolanty Marlene tamtego dnia nie wyobrażała sobie butelki, lecz myślała o tym, co

zrobi, jeśli w przyszłości spotka swojego dręczyciela. Fantazjowała o tym, jak go pozbawi męskości, a potem zabije.

Rozpaczliwie walczyła ze wspomnieniem rudego demona, próbowała w sobie zagłuszyć jego ohydny głos. Nie! Nie pozwoli, by opadła ją ciemność!

W końcu jej myśli się rozjaśniły i otworzyła oczy. Znowu leżała w sali szpitalnej.

Zdumiała ją panującą wokół upiorna cisza. Wiedziała, co to za miejsce, poznała salę, lecz tym razem pozostałe łóżka były puste. Irracjonalna myśl, że może być jedyną żywą istotą w tym martwym świecie, sprawiła, że przeszły ją ciarki.

Czuła, jak w jej piersi wzbiera krzyk. Otworzyła usta, lecz cisnący się na nie nadmiar słów sprawił, że nie mogła z siebie dobyć głosu.

Omiotła wzrokiem izbę, instynktownie szukając znajomej twarzy doktora. Na próżno. Przecież go zabiła! Straszliwe wspomnienie zadało jej większy ból niż zmalretowane ciało.

Słyszając skrzypnięcie drzwi, natychmiast zamknęła oczy. Jeśli to Brunnmann, będzie udawać, że się nie obudziła.

Do sali wtoczono łóżko i ustawiono tuż obok niej. Skrzypnął blokowany hamulec. Zaraz potem poczuła, jak ktoś dotyka jej twarzy, unosi powiekę i błyska światłem wprost w oko. Zamarła. Chyba nawet wstrzymała oddech.

– Nie musi pani udawać, hrabino. Widzę, że pani nie śpi – powiedział nieznajomy głos.

A więc to nie Brunnmann! Marlene odetchnęła z ulgą. Mimo to nie otworzyła oczu. Zastanawiała się, dlaczego nieznajomy nazwał ją hrabiną. Po chwili zrozumiała. Do tej pory zdążyła wyprzeć z pamięci fakt, że poślubiła hrabiego. Może dlatego, iż spotkanie z szaleńcem rojącym o odrodzeniu Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego było najbardziej absurdalnym zdarzeniem w jej życiu. Na szczęście hrabia już nie żył, a ona była wdową.

Nieznajomy musiał być chyba lekarzem, gdyż sprawdził jej puls. Znajome gesty nadawały całej sytuacji pozór normalności i jej myśli znowu mimowolnie uleciały ku doktorowi. Po chwili zorientowała się, że z oczu płyną jej łzy. Nie była w stanie ich powstrzymać. Tama puściła i rozpacz wylała się z niej szerokim strumieniem. Pragnęła, by nieznajomy wyszedł, tak aby mogła w myślach zostać sam na sam z ukochanym. Czuła się samotna i opuszczona, a całe jej życie skurczyło się do jednej jedynej myśli. Niech piekło pochłonie ludzi, wojnę, cały ten przeklęty świat! Czuła, że ogarnia ją letarg, ten sam, którego doświadczyła w krakowskim szpitalu. Była wtedy niczym roślina – do chwili gdy pajak połaskotał ją w stopę, sprawiając, że wróciła do życia. „Do diabła, Marlene! – słyszała w głowie głos Jakuba. – Nie poddawaj się! Jeszcze nie wszystko stracone!” Jego słowa były jak uderzenia prądu, a głos wydawał się tak realny, że Marlene niemal się przeraziła. Przez chwilę myślała, że to halucynacje. Czyżby podano jej jakiś narkotyk?

Otworzyła oczy i na sąsiednim łóżku ujrzała Trudi. Twarz małej była wprawdzie znów tak chuda i blada jak kilka tygodni wcześniej, gdy chorowała na tyfus, ale unosząca się i opadająca pierś świadczyła o tym, że żyje! Leżała bez ruchu, lecz jej niebieskawe powieki drżały.

Kątem oka Marlene spostrzegła znajomą twarz lekarza, który swego czasu uratował ją przed Ewaldem.

Chciała mu powiedzieć, że go poznaje, ale nie była w stanie wykrztusić słowa. Jej usta poruszały się zupełnie bezgłośnie.

– Jak się pani czuje? – spytał troskliwie lekarz, rozpuszczając w szklance wody jakąś tabletkę. Próbował podać jej lek, lecz Marlene chciała zachować jasność myśli, dlatego pokręciła przecząco głową. Przed jej oczami natychmiast zatańczyły gwiazdy.

– Ostrożnie! Ma pani wstrząśnienie mózgu.

– Co z moją przyjaciółką? – wychrypiała.

– Będzie żyć. Właśnie ją zoperowałem.

Wahanie, z jakim doktor wypowiedział ostatnie słowa, najdobitniej świadczyło o stanie Trudi. Marlene zamknęła oczy i gwałtownie wypuściła powietrze. Przeklęty Brunnmann!

– Będzie mogła mieć dzieci? – spytała z trudem.

– Bóg raczy wiedzieć. Co się stało z pani głosem? Boli panią gardło? – lekarz delikatnie zbadał jej szyję.

Marlene uznała, że głos to w tej chwili jej najmniejszy problem. Najwyraźniej zupełnie straciła wiarę w ludzi, bo nawet troskliwe zabiegi doktora budziły jej nieufność. Kto wie, może Brunnmann polecił ich leczenie, by móc je dalej maltretować? Może wziął przykład z Greiffa i znalazł upodobanie w psychicznym dręczeniu ofiar? Najpierw je zmasakrował, a potem kazał pozszywać? Tylko jaki w tym sens? Dlaczego nie kazał ich zabić? Jaki może mieć z nich jeszcze pożytek? Raptem przypomniała sobie, że mówił coś o Rosjaninie, który ponoć chciał ją odkupić. A więc jak zwykle chodzi o pieniądze! Wciąż mógł na niej zarobić. Pytanie, czy tylko na niej, czy również na Trudi? Czy na nią też znalazł kupca? I gdzie się podziały pozostałe pacjentki? Dlaczego są tutaj same? Czyżby rozpoczęto ewakuację obozu? Jak daleko stąd są Rosjanie?

Lekarz spoglądał na nią tak, jakby przejrzał jej myśli.

– Front jest coraz bliżej. Komendantura rozpoczęła ewakuację.

„A więc wszyscy nie żyją, a teraz kolej na nas”, pomyślała Marlene. Nie miała pojęcia, co myśleć o nieznanym lekarzu, więc w końcu spytała:

– Kim pan jest?

– Jestem doktor Gregor Siebenbürgen.

Przypomniała sobie, że widziała go razem z doktorem Frieblingiem na korytarzu – tamtego dnia, gdy znalazła dzieci ukryte w piwnicy. O Boże, dzieci! Kto się nimi zajmuje? Znając doktora

Friehlinga, była przekonana, że się o nie zatroszczył. Czyżby zajmowała się nimi Jolanta? A może doktor Siebenbürgen? W chwili gdy się domyśliła, że młody lekarz był przyjacielem doktora, spostrzegła, że Trudi drgnęła na łóżku.

Doktor Siebenbürgen natychmiast zajął się nią z troskliwością, która przypomniała Marlene doktora Friehlinga. Poczuła, jak wzruszenie odbiera jej dech w piersi, i rozumiała, że nie może bez przerwy myśleć o biednym doktorze, bo kosztuje ją to zbyt wiele sił. Musiała znaleźć sposób na wypytanie doktora Siebenbürgena, a potem uchronić Trudi przed Brunnmannem. Nie mogła pozwolić, by sprzedał dziewczynkę któremuś ze swoich klientów. Musiała jak najszybciej odzyskać siły. Wciąż nie miała pojęcia, czy jej zamach się powiodł. Brunnmann niczego nie dał po sobie poznać. Czy doktor Siebenbürgen będzie skłonny jej cokolwiek powiedzieć? I jak go pociągnąć za język? Uznała, że najlepiej spytać go prosto z mostu.

– Czy... Führer żyje? – wychrypiała.

Doktor Siebenbürgen spojrział na nią zdumiony, jakby zastanawiał się, czy wstrząśnienie mózgu nie poczyniło większych szkód, niż przypuszczał.

Nie musiał odpowiadać. Zrozumiała, że lekarz nie ma o niczym pojęcia. Jak długo złośliwy los będzie ją jeszcze dręczył? A może ewakuacja obozu oznacza, że Niemcy przegrały już wojnę? Uczepiła się myśli, że w ten sposób ostatecznie uwolni się od Brunnmanna. Łajdak z pewnością będzie teraz myślał przede wszystkim o tym, jak uratować własną skórę. Poczuła, jak w jej sercu na nowo kiełkuje nadzieja.

– Co z Brunnmannem?

Doktor Siebenbürgen albo uznał, że nie powinna się przemęczać, albo nie chciał udzielić odpowiedzi, gdyż odparł:

– Proszę wybaczyć, ale jestem lekarzem, nie punktem informacyjnym.

To powiedziawszy, wyjął strzykawkę i zrobił Trudi zastrzyk. Marlene znów ogarnęła nieufność.

– Proszę się nie obawiać – uspokoił ją doktor, jakby znów czytając w jej myślach. – To środek przeciwbólowy. A teraz proszę odpoczywać, wrócę za kilka godzin. I proszę to wypić. – Wskazał na szklankę w której wcześniej rozpuścił tabletkę. – To lekki środek przeciwbólowy. Nic więcej nie mogę pani zaoferować.

Marlene próbowała nie zasnąć. Czekwała na Jolantę, lecz ta zjawiła się dopiero nazajutrz i niestety nie była w stanie zaspokoić ciekawości swojej podopiecznej. Nie słyszała żadnych plotek na temat śmierci Hitlera, Himmlera czy Speera, lecz obiecała, że wieczorem spróbuje zasięgnąć języka.

– Dni burdelu i tak już są policzone. Wczoraj do pracy pojechało tylko sześć dziewcząt, a dziś jeszcze mniej. Nie mamy już nic do jedzenia.

Marlene wiedziała, co to znaczy: dzieci głodują. Wskazała na talerz ze swoim śniadaniem – kubek herbaty i kromkę chleba z odrobiną margaryny. Do tej pory go nawet nie tknęła.

– Weź to.

– Słucham?

– Wiem, że to kropla w morzu potrzeb, ale chleb to chleb, jeden dzień życia.

Jolanta spojrzała na nią i po chwili w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Wiesz od doktora?

– Nie, sama się dowiedziałam. Wiem od początku września.

Madame bez słowa schowała chleb i wyszła.

Następny dzień nie przyniósł dobrych nowin. Jolanta poinformowała Marlene, że żadna z dziewcząt zabranych poprzedniego dnia „do pracy” nie wróciła do baraku. Ewald zjawił się wczesnym rankiem i obwieścił, że *oki-ya* zostaje zamknięta i od tej pory madame i wszystkie jej podopieczne mają pozostać w baraku. Nie odpowiedział na żadne z pytań Jolanty, tylko odczytał z przygotowanej listy numery czterech kolejnych dziewcząt i zabrał je ze sobą. W baraku zostało dwanaście głodnych więźniarek, które od doby nie miały nic w ustach.

Kiedy doktor Siebenbürgen zjawił się przy łóżku Marlene, ta w kilku słowach poinformowała go o dramatycznym położeniu podopiecznych madame. Lekarz obiecał, że się tym zajmie – i rzeczywiście dotrzymał słowa, o czym nazajutrz Jolanta poinformowała swoją podopieczną. Do baraku dostarczono jedynie garnek wodnistej zupy oraz trochę chleba, który dziewczęta jednogłośnie oddały dzieciom.

– Powiedziałaś im? – zdziwiła się Marlene.

– Tak, niedawno. Potrzebowałam ich pomocy.

Następnego dnia pojawił się Brunnmann. U jego boku kaczym krokiem szedł krótkonogi, zdyszany mężczyzna w szarym cywilnym garniturze. Niósł pod pachą butelkę wódki. Marlene natychmiast go rozpoznała – był to ów zboczony „obserwator”, którego swego czasu poznała w willi. Mężczyzna z hukiem postawił wódkę na stoliku przy łóżku i obejrzał Marlene niczym konia na wiejskim targu. Brunnmann stanął obok łóżka i unieruchomił jej ręce, podczas gdy „kupiec” zerwał z niej kołdrę, zadarł wysoko szpitalną koszulę i zasapany dokładnie obmacał. Marlene miała ochotę kopnąć go w twarz, ale to w niczym nie zmieniłoby jej położenia – co najwyżej poczułaby przez chwilę satysfakcję, widząc jego złamany nos. Tak czy siak, stała na straconej pozycji. Wiedziała, że jeśli Rosjanin jej nie kupi, Brunnmann ją zabije lub dalej będzie dręczył. Może więc lepiej byłoby, gdyby trafiła w ręce cywila? Może nadarzyłaby się okazja do ucieczki? Siłą woli przewyciężyła wstręt i uśmiechnęła się do mężczyzny, choć nawet bez lusterka potrafiła sobie wyobrazić, co pięści Ewalda uczyniły z jej twarzą. „Kupiec” nie odezwał się ani słowem, tylko rzucił Brunnmannowi znaczące spojrzenie, po czym obaj wyszli z sali. Marlene nie miała pojęcia, czy nie znalazła uznania w oczach potencjalnego nabywcy, czy też kupujący i sprzedający nie porozumieli się w kwestii ceny – tak czy siak, nie wrócili do sali. Dobrze, że Rosjanin zostawił przynajmniej wódkę.

Marlene spojrzała na Trudi. Rany na ciele dziewczynki zaczęły się goić, ale wciąż nie wypowiedziała ani słowa. Nie reagowała też ani na lekarza, ani na Marlene, tylko przez większość czasu wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w sufit.

– Pani przyjaciółka przeżyła – wyjaśnił doktor Siebenbürgen.

Marlene pomyślała zgryźliwie, że sama byłaby w stanie postawić taką diagnozę, lecz ugryzła się w język, widząc, z jaką troskliwością młody lekarz zajmuje się swoją pacjentką. Marlene powzięła wręcz podejrzenie, że doktor ma słabość do Trudi. Pozostawało mieć nadzieję, że dziewczyna wkrótce dojdzie do siebie.

Nazajutrz czekała Marlene niemiła niespodzianka – Ewald odprowadził ją z powrotem do baraku. W drodze wbrew swojemu zwyczajowi nie tknął jej, choć widać było, że w środku wręcz kipi gniewem. Najwyraźniej liczył, że wreszcie spełni się jego marzenie i będzie ją mógł zabić, lecz Brunnmann postanowił dalej ją dręczyć. Obersturmbannführer znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że w jej przypadku najgorszą torturą jest niepewność. Uznał, że Marlene nie zasługuje na szybką śmierć, i postanowił jak najbardziej przedłużyć jej udrękę. Oczywiście doskonale wiedział, że dziewczętom, na których zbił ogromny majątek, grozi śmierć głodowa – długa i straszliwa agonია, w trakcie której organizm zaczyna trawić organy wewnętrzne, co wiąże się z niewyobrażalnym bólem, a przy tym ofiara aż do końca zachowuje świadomość i zdaje sobie sprawę z tego, że umiera. Czy właśnie taki los zgotował jej Brunnmann?

Tymczasem z baraku zabrano kolejne trzy dziewczęta i razem z Jolantą zostało ich już tylko dziesięć. W środku panował ponury nastrój, gdyż w każdej chwili mogła przyjść kolej na następne z nich. Co się stało z tymi, które zabrano? Czy zostały zamordowane? Jolanta powiedziała Ewaldowi, że chce rozmawiać z Brunnmannem, lecz ten tylko parsknął śmiechem i splunął jej pod nogi.

Wieczorem w dniu, w którym Marlene wróciła, madame stanęła pośrodku baraku i gdy klasnęła trzykrotnie w dłonie, podopieczne zgromadziły się wokół niej.

– Dziewczęta – odezwała się Jolanta, powoli się obracając i spoglądając w oczy każdej z nich. – Od tej pory Marlene jest jedną z nas. Pamiętajcie, że stanowimy jedność i każda z was ma być kotwicą dla pozostałych. Życie za życie.

– Życie za życie – odpowiedziały zgodnie dziewczęta.

Marlene stała jak zamurowana poza kręgiem. Nie miała pojęcia, co o tym sądzić. Czuła się skonfundowana, a zarazem wzruszona. Wystąpienie Jolanty i jej słowa były niczym zaklęcie, jakiś prastary rytuał łączący króla i jego rycerzy. Poczowała na sobie spojrzenie madame. Spojrzenie emanujące siłą, której Marlene nie potrafiła się oprzeć.

W tym samym momencie zrozumiała, że Jolanta stanowi spoiwo łączące dziewczęta, że to ona uczyniła z nich wspólnotę i nauczyła razem znosić tę samą niedolę. Choć głodowały, żadna z dziewcząt nie protestowała i żadna nie szemrała, gdy Jolanta zabierała przyniesione przez nie

jedzenie.

– Chodź do mnie, Marlene – powiedziała Jolanta.

Marlene zauważyła, że madame trzyma w ręku rzemyk z małą drewnianą kotwicą. Wszystkie jej podopieczne trzymały w dłoniach podobne.

Jolanta zawiązała Marlene rzemyk. Pozostałe dziewczęta same założyły je sobie na szyje.

– Kotwica jest symbolem naszej wspólnoty. Od tej pory jesteś jedną z nas. Życie za życie.

Dziewczęta rozeszły się, Jolanta zaś zabrała Marlene do swojej niszy na końcu baraku.

– Jak myślisz, jak długo to jeszcze potrwa? – spytała Marlene.

– Niedługo. Wszystko się sypie. Więźniowie nienawidzą nas z każdym dniem coraz bardziej, podobnie strażniczki i kapo, więc kiedy Brunnmann przestanie nas chronić, będziemy zgubione... Rzucają się na nas i zwyczajnie rozszarpią.

– Dlatego zorganizowałaś dla mnie tę ceremonię? Bo myślisz, że niedługo umrzemy?

– Może... jeśli takie jest nasze przeznaczenie...

– Co oznacza ta kotwica?

Marlene uniosła zawieszkę i uważnie się jej przyjrzała.

– Kotwica symbolizuje linię przeznaczenia, tak zwaną linię Saturna.

– Nie gniewaj się, ale w takim miejscu jak Auschwitz twoja filozofia przypomina mi trochę idealistyczne rojenia.

Marlene z jakiegoś powodu była zła na Jolantę. Może miała już zwyczajnie dość czczych obietnic i zaklinania rzeczywistości.

– Nie rozumiesz. Przeznaczenie to kosmiczna siła ukryta w duszy. Bo dusza łączy nas ze wszechświatem. Nosisz w sobie ogień, ale jesteś typowym człowiekiem Zachodu, nastawionym na logikę i analizę. Jeśli się od tego uwolnisz, pozwolisz, by pokierował tobą instynkt. Instynkt to logika duszy, nie umysłu.

– Innymi słowy: nie wierzę w twoją filozofię, bo brakuje mi duszy? W takim razie może mi powiesz, gdzie ją dostanę? Może w „kanadzie”?

– Nie kpij! – w głosie Jolanty, która każdy rozkaz wydawała tym samym spokojnym tonem, tym razem zabrzmiała ostra nuta. – To, co mówię, opiera się na prastarej japońskiej mądrości, przekazywanej od stuleci z pokolenia na pokolenie. Wedle tej legendy świat został stworzony przez siedmiu bogów, którzy podzielili go między siebie. W siedem dni stworzyli siedem światów i każdy z bogów miał prawo umieścić w nich istoty wedle własnego zamysłu. Był tylko jeden warunek: każde ze stworzeń musiało posiadać zdolność tworzenia. A ponieważ ten, kto umie tworzyć, umie też niszczyć, nazwano to grą światła i cienia.

– Nasz świat jest placem, na którym toczy się rozgrywka między siedmioma bogami? – Jolanta najwyraźniej wierzyła w tę historię, toteż Marlene starała się mówić bez cienia kpiny. Mimo to nie

mogła się powstrzymać od cisnącego się jej na usta pytania: – A jak zostanie wyłoniony zwycięzca? I jaką otrzyma nagrodę?

– Zwycięzcą będzie ten świat, w którym zapanuje pokój – obwieściła Jolanta z niewzruszoną miną mistrza ceremonii.

– Nagrodą jest pokój?

Chociaż opowieść Jolanty była dla Marlene jedynie legendą, to jednak uznała, że są w niej pokłady dobra. Kto by nie pragnął pokoju?! Przecież każdego dnia modlą się o niego miliony ludzi na całym świecie!

– Nie ma większej nagrody. Naszym patronem jest Saturn. To on stworzył pierwszego człowieka i postawił u jego boku kobietę. Aby ich ze sobą złączyć, stworzył dusze i związał je nicią przeznaczenia. I tak oto wszyscy ludzie żyjący dzisiaj na świecie mają swój początek w tym pierwszym mężczyźnie i pierwszej kobiecie. Dlatego też wszyscy są ze sobą nierozdzielnie związani, a los jednego człowieka wpływa na los wszystkich. Życie za życie. Oto nasze prawdziwe przeznaczenie.

Marlene pomyślała, że ta zabawa ludzkim losem jest typowa dla wszystkich bogów i świadczy wyłącznie o tym, jak mało znaczy dla nich człowiek. Ludzie byli w tej grze tylko pionkami – jak muchy w sieci tkanej przez szaleńców pokroju Hitlera. Zastanawiała się, jaka jej przypadnie rola w tej grze.

Jolanta odgadła jej myśli.

– Ty jesteś wojownikiem – powiedziała. – Twoim przeznaczeniem jest walka.

Odpryski wojny

Albert Einstein w liście do swojego przyjaciela Ottona Juliusburgera: „Sądzę, że przerażający upadek moralny człowieka w pierwszej kolejności ma związek z mechanizacją i depersonalizacją naszego życia i jest fatalnym produktem ubocznym myślenia naukowo-technicznego. *Nostra culpa!* Nie widzę drogi wyjścia z tego upadku. Jeśli jednak nasze wysiłki nie przyniosą efektu i ludzkość sama doprowadzi do swojej zagłady, to kosmos nie uroni nad nią nawet jednej łyżki...”.

Albert Einstein, fizyk noblista, wyjechał z Niemiec w grudniu 1932 roku; jego noga nigdy już nie postąpiła na niemieckiej ziemi.

Nazajutrz Ewald ponownie zabrał trzy dziewczęta – tym razem jednak nie dość, że wróciły, to jeszcze przywiozły ze sobą trochę jedzenia. Żywności było coraz mniej, lecz mimo to część racji wciąż przeznaczano dla dzieci. Co prawda Jolanta od miesięcy wymieniała wszystkie wartościowe przedmioty na jedzenie, gromadząc zapasy na czarną godzinę, lecz skrytki, w których je przechowywała, zaczęły już świecić pustkami. Madame nie dawała po sobie niczego poznać, lecz Marlene domyślała się, co ta twarda kobieta musi czuć, widząc umierające dzieci.

Wokół wciąż szalał obozowy terror, którego okrucieństwo przekraczało granice ludzkiej wyobraźni. Im bliżej był front, tym pilniej, wręcz gorączkowo, Niemcy dokonywali masowych mordów. Od maja 1944 roku, kiedy to rozpoczęła się eksterminacja Żydów węgierskich, piece w Auschwitz płonęły dzień i noc. Mimo to zwłok było tak dużo, że palono je również pod gołym niebem, w specjalnie w tym celu przygotowanych dołach.

W końcu, po tygodniu dręczącej niepewności, Marlene dostała przeschumowany do obozu liścik od Ernsta. Treść grypsu była druzgocąca: Hitler i jego współpracownicy żyją. A zatem wszystko na próżno: zamach, śmierć doktora... Nazistowska propaganda przemilczała kolejny zamach. Marlene domyśliła się, że Goebbels chciał w ten sposób ukryć zarówno słabość brunatnego reżimu, jak i fakt istnienia ruchu oporu. Wymowna cisza świadczyła również i o tym, że gestapo nie ma pojęcia, kto mógł wysadzić tunel.

Ten ostatni domysł potwierdzało zachowanie Brunnmanna, który – nawet jeśli wiedział o zamachu – w żaden sposób nie powiązał ucieczki Marlene z próbą zamordowania Führera. Tym bardziej że odnalazł i schwycił ją w pociągu wyruszającym z Warszawy.

Jednakże fatalna wieść o nieudanym zamachu na Hitlera szybko wzbudziła w Marlene promyk nadziei. Jeśli bowiem nazistowskim dygnitarzom udało się przeżyć, to może żyje też doktor Friehling? Korzystając z pomocy Jolanty, wysłała Ernstowi list z zapytaniem, czy nie pomógłby jej raz jeszcze w ucieczce. Niestety upłynęło już kilka dni, a ona wciąż nie dostała odpowiedzi.

Tymczasem Ewald również zniknął i przestał zabierać dziewczęta do „pracy”.

A potem nastąpiło to, czego się tak lękały: któregoś listopadowego dnia zabrano straż sprzed drzwi ich baraku. Było jasne, że to koniec. Brunnmann nie miał już z nich pożytku i zostawił je na pastwę

losu. Marlene pocieszała się myślą, że przynajmniej Trudi znalazła obrońcę w doktorze Siebenbürgenie, który ukrył ją w piwnicy z dziećmi, a następnie zameldował Brunnmannowi, że pacjentka umarła. Jolanta, która była świadkiem tej rozmowy, zauważyła, że obersturmbannführer niespecjalnie zainteresował się tą informacją. Tego dnia zresztą widziała go po raz ostatni.

Dowiedziawszy się o zniknięciu wartowników, Jolanta zebrała wokół siebie dziewczęta i rzekła:

– A więc stało się. Nie jesteśmy już pod pieczęą Brunnmanna. Wkrótce po nas przyjdą.

Przygotujcie się, bądźcie dzielne i trzymajcie się razem.

Po tych słowach wybiegła z baraku i udała się do doktora Siebenbürgena, by go poinformować, że od tej pory sam będzie musiał się opiekować dziećmi.

Wkrótce potem do baraku wpadły strażniczki obozowe, a wraz z nimi esesmani z pistoletami maszynowymi. Strażniczki z miejsca rzuciły się na dziewczęta i krzyżąc, zaczęły z nich zdzierać ubrania, bić je i opluwać. Następnie esesmani wypędzili je nago na dwór, podczas gdy ich towarzyszki wściekle plądrowały barak w poszukiwaniu ukrytych skarbów. Na plac przybiegło kilku kapo, którzy zaczęli kijami okładać bezbronne ofiary, lecz dowiedziawszy się, że w baraku mogą być ukryte cenne przedmioty, dali im spokój i zajęli się poszukiwaniami.

Marlene trzymała w zaciśniętej dłoni rzemyk z kotwicą – jedyne, co udało jej się ocalić z pogromu. Na dworze panował listopadowy chłód i zmarznięte dziewczęta zbiły się w gromadkę. Wkrótce pognano je przez obóz, a na ich głowy posypały się nie tylko ordynarne wyzwiska, lecz również kamienie.

W końcu zamknięto je w baraku, który niewyobrażalnie cuchnął brudem i fekaliami. W środku było już około pięćdziesięciorga więźniów. Leżeli ściśnięci na pryczach, pogrążeni w letargu tak słabi, że nie byli w stanie unieść nawet głowy. Poruszali się tylko wtedy, gdy ich ciałami wstrząsał kaszel. Bez koców, w porwanych pasiakach byli wydani na pastwę mrozu, który bezlitośnie wdzierał się przez każdą szparę między deskami baraku.

– Dziwne, że nas nie ogolili – mruknęła Olga i dotknęła głowy, jakby spodziewała się, że poczuje pod dłonią nagą skórę.

– Byli zajęci plądrowaniem baraku – odparła któraś z dziewcząt.

– Albo już nie wypychają materacy – rzuciła inna.

– Nie zwracają sobie głowy, bo i tak nas niedługo spalą – dodała kolejna.

– Dziewczęta – krzyknęła w końcu Marlene – nie możemy się poddać! Przypomnijcie sobie, co mówiła Jolanta!

– A co możemy zrobić? – zapytała Olga. – Niedługo tu zamarzniemy.

– Może rozpalimy ognisko? – zaproponowała Cyganka Ceija, najmłodsza z podopiecznych Jolanty, która mówiła o sobie, że jest „ostatnia z klanu”, gdyż wszyscy jej krewni zostali zamordowani w Auschwitz.

Ceija rozprostowała palce i Marlene spostrzegła, że oprócz kotwicy dziewczyna ściska w dłoni zapałki.

– Oszalałaś? Nie dość ci, że palą nas Niemcy? Chcesz, żebyśmy się same spaliły?

– Zbierzemy trochę drewna i...

– Drewna? Niby skąd? – przerwała jej Olga.

– Choćby stamtąd! – Marlene wskazała na koniec baraku, gdzie wały się resztki rozbitych prycz. – Tak jest, dziewczęta, to jest jakaś myśl!

– A co z dymem? Nie ma komina – zauważyła trzeźwo któraś z dziewcząt.

– Spójrz w górę – odparła Marlene. Istotnie, w dachu widać było kilka dziur. – Mamy wyciąg.

Ceija zaraz zabrała się do przygotowania odpowiedniego miejsca na ognisko, podczas gdy jej towarzyszki zaczęły się rozglądać za drewnem.

Marlene nie chodziło tylko o sam ogień. Podchwyciła rozpaczliwy pomysł Ceii, by zająć czymś dziewczęta i w ten sposób choćby na chwilę odwrócić ich myśli od rozpaczliwego położenia, w jakim się znalazły. Było jasne, że nago wytrzymają na mrozie najwyżej kilka godzin. Po spotkaniu ze strażniczkami i kapo były potwornie podrapane i poobijane, a na domiar złego umieszczono je w baraku z chorymi na gruźlicę i tyfus. Było tylko kwestią czasu, kiedy się pozarazają.

– Kapo na pewno złapali Jolantę i ją zabili – powiedziała Olga. – Oni jej nienawidzą.

– Jeśli ma głowę na karku, zostanie z dziećmi.

– I razem z nimi umrze z głodu – odparła Ukrainka. – Ale nie mówmy o tym. Lepiej nie kusić losu. Moja matka powtarzała: nieszczęścia chodzą parami. Naprawdę chcesz rozpalić ogień? – zmieniła temat, spoglądając krytycznie w górę. – Dziury są za małe, będzie się strasznie dymić.

– Wiem, ale wolę robić cokolwiek, niż stać beczynnym i marznąć – odrzekła Marlene.

Czuła na sobie spojrzenia dziewcząt, które tymczasem znów się wokół niej zgromadziły. Drżały z zimna, przestępowały z nogi na nogę i próbowały się nawzajem ogrzać.

– Podpalać? – Ceija uniosła dłoń z zapałkami.

– Nie spalimy się? – z lękiem spytała któraś z dziewcząt.

– Nie sądzę, wcześniej zatrujemy się dymem i stracimy przytomność. To nie byłaby zła śmierć. Nic byśmy nie poczuły – odparła jej sąsiadka, po czym dodała: – Mój ojciec był strażakiem.

– No zapalaj – odezwała się łamiącym głosem kobieta z pobliskiej pryczy. – Niech się wreszcie skończy ta męka.

Wkrótce dołączyli do niej inni chorzy i w baraku rozległ się szmer poparcia i słabe okrzyki.

Marlene skinęła głową. Postanowione.

– Ty to zrób! – Ceija podała jej zapałki.

Marlene ostatni raz spojrziała po twarzach dziewcząt i potarła jedną z zapałek. Jej zmarznięte

dłonie drżały, a drewno było zawilgotniałe, dlatego dopiero po kilku próbach jedna ze szczap zajęła się wątlym płomykiem. Efekt był mizerny i ognisko dawało jedynie złudzenie ciepła. Po minucie pierwsza z dziewcząt zaczęła kaszleć, a wkrótce dołączyły do niej pozostałe.

Minęło kilka chwil i w baraku rozległ się wściekły ryk.

– Co tu się dzieje? Wy mendy! Już ja wam dam popalić!

Kapo wpadł do środka jak jastrząb, rozpędził zgromadzone wokół ognia dziewczęta i zaczął wściekle rozkopywać tłące się szczapy. Kilka z nich trafiło w pierzchające na boki winowajczynie.

– Wynocha stąd! Już!

Nago wybiegły z baraku. Zaczął padać śnieg. Jadący w dali samochód raptownie zahamował, zawrócił i skierował się ku grupie dziewcząt. Gdy się zatrzymał, wysiadł z niego oficer i trzech mężczyzn po cywilnemu. Najstarszy z cywili, opatulony w ciepły płaszcz z nakrapianym futrzanym kołnierzem, przyciskał do nosa chustkę.

– Okropne! Nigdy nie przywyknę do tego fetoru! – rzucił, po czym uważnie zlustrował grupę rozdygotanych kobiet. – Ależ to są zdrowe młode sztuki! – zauważył z niekłamanym zdumieniem. – Mogą pracować! Zabieram je. Proszę przygotować transport i dać im jakieś ubrania – zwrócił się do młodszego towarzysza takim tonem, jakby oczekiwał, że rozkaz zostanie wykonany w ciągu trzydziestu sekund.

Młody mężczyzna milczał jednak, więc oficer przywołał jednego ze strażników i wydał mu stosowne rozkazy. Esesman oddalił się spieszonym krokiem.

Marlene i jej towarzyszki były w tragicznym położeniu. Drżały z zimna, tuląc się do siebie niczym kurczęta, podczas gdy trzej dobrze odżywieni mężczyźni w grubych płaszczach gawędzili bez troski niczym na polowaniu. Rozmawiali o jakiejś cudownej broni. Marlene czuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Wyobraziła sobie, jak wpada między nich, chwyta za włosy i uderza o siebie głowami, aż na śnieg pryska mózg. Wściekłość sprawiła, że zapomniała o zimnie i nagle zrobiło jej się gorąco. Wiedziała, że nie powinna drażnić mężczyzn, lecz nie była w stanie się opanować i w końcu krzyknęła:

– Przydałby się kieliszeczek koniaku, co?! I cygaro.

Mężczyźni jak na komendę odwrócili się i spojrzeli na żalospną grupkę więźniarek, jakby mieli do czynienia z pacjentami szpitala dla obłąkanych.

– Która to powiedziała?! – wrzasnął oficer, groźnie ruszając w ich stronę.

– Ja – odparła Marlene i esesman zwrócił się ku niej.

– Ja – rzuciła po chwili Olga, a za nią kolejne dziewczęta.

Mężczyźni patrzyli oniemiałi. Świat jakby na chwilę zamarł. Panowie życia i śmierci stali, jakby ich zamurowało.

– Co za impertynencja! – oficer dopadł Marlene i uderzył ją w twarz, po czym dobył pistolet,

gotów ją zastrzelić, lecz starszy z cywilów ruszył ku niemu z uniesioną dłonią.

– Nie! Jest moja. Już ja jej zamknę tę bezczelną buźkę. – Mężczyzna oblizał wargi.

Marlene domyślała się, co ma na myśli. Był takim samym sadystą jak Ewald. Poprzysięgła sobie, że jeśli podniesie na nią rękę, będzie się bronić, aż któreś z nich padnie martwe.

Tymczasem mężczyźni odwrócili się i nie zważając na obecność więźniarek, podjęli przerwana rozmowę. Widząc przechodzącego kapo, oficer przywołał go i wydał mu jakieś polecenie, po czym wraz z towarzyszami wszedł do limuzyny i odjechał.

– Powinnaś była trzymać buzię na kłódkę – szepnęła jedna z dziewcząt, szczękając zębami.

– Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? – odrzekła cicho Marlene.

– Ubranie ma!

– Zamknąć ryj! – wrzasnął kapo łamaną niemiecką.

– Sam się zamknij! – odkrzyknęła Olga.

Przez chwilę myślały, że kapo rzuci się na nie z kijem. Marlene i Olga stanęły na czele grupki i spojrzały na niego hardo. „No, śmiało!”, zdawały się mówić wzrokiem. Kapo najwyraźniej dostrzegł w ich oczach prawdziwie zwierzęcą żądzę krwi, bo raptem wybuchł głośnym śmiechem, odsłaniając poząłkłe od nikotyny zęby.

– No, no! – zawołał. – Dzikie jak moja matka. Była prawdziwą Mongołką!

– Przynieś nam ubrania i skrzypce, to ci zagram mongolską piosenkę – Marlene natychmiast podchwyciła poufały ton kapo.

– Nie gadaj z nimi! – Gruba więźniarka wyrosła jak spod ziemi i zgromiła kapo, po czym dodała z pogardą: – To dziwki! Żyły sobie jak pączek w maśle, gdy myśmy musieli głodować! – Kobieta spojrzała na Marlene, mrużąc oczy. – Dlaczego was jeszcze nie ogolili?

Marlene знаła ten gatunek funkcyjnych, które tylko czekały na okazję, by kogoś pobić lub dręczyć. Pozostałe dziewczęta też wyczuły, z kim mają do czynienia. Niektóre dosłownie jęknęły, a najmłodsza Ceija zaczęła płakać. Marlene wiedziała, że każdy sadysta karmi się strachem i łyże tylko rozjuszą ich oprawczynię, lecz nie mogła nic zrobić. Patrzyła tylko bezradnie, jak funkcyjna szyderczo wykrzywia wargi i wyjmuje nóż, a po chwili chwytając warkocz Cyganki, odcina go jednym ruchem i rzuca pod nogi kapo.

– Łap, to dla ciebie!

Następnie chwyciła kolejną dziewczynę i jej również obcięła włosy. Widać było, jak napawa się swoją władzą. Marlene przyglądała się jej twarzy, analizując ją drobiazgowo. Świat się rozmył i cała jej uwaga skupiła się na grubej kobiecie. W ostatnich latach spotkała na swojej drodze wiele bestii w ludzkiej skórze, ale to babsko było uosobieniem czystego zła. Marlene zrozumiała, że na świecie są i zawsze będą ludzie pokroju tej więźniarki – nade wszystko pragnący cudzego cierpienia.

Na szczęście po chwili do ich grupki zbliżyła się ciężarówka, kładąc kres udękom zgotowanym

przez funkcyjną. Dziewczęta zostały zapędzone na skrzynię, na której znalazły stertę brudnych, znoszonych ubrań. Przemarznięte do szpiku kości, nie zważając na odór niepranych łachmanów, ubrały się.

Kwadrans później przejechały przez bramę obozu Auschwitz III. Za ich plecami został ogromny plac zabudowany ciągnącymi się bez końca rzędami baraków, a z pobliskich kominów buchały kłęby tłustego dymu, kładąc się niczym szary welon na budynkach pobliskiej fabryki.

– Co to? – spytała nieśmiało któraś z dziewcząt.

– Fabryka IG-Farben.

– Ogromna.

– To największe przedsiębiorstwo w całej Europie – wyjaśniła Marlene, mimowolnie przypominając sobie scysję swojego dziadka z jego przyjacielem Carlem Boschem, który miał spore udziały w IG. „Finansowaliście NSDAP, wydaliście majątek, wspierając faszystów w Hiszpanii i potajemnie dogadaliście się z amerykańskim Standard Oil. Dążycie do rozpętania wojny!”, żołądkował się baron, a kiedy Bosch wyszedł, powiedział do wnuczki: „I pomyśleć, że ta hołota mieni się »radcą bogów«”. Na myśl o tym, że przyjdzie jej pracować w tej fabryce, Marlene nie mogła się oprzeć wrażeniu, że los znów postanowił z niej zakpić.

Umieszczono je w wąskim baraku. W środku ujrzały długi rząd trzypoziomowych prycz. Nie było materacy i musiały spać na gołych deskach, ale przynajmniej miały koce – co prawda dziurawe, szorstkie niczym papier ścierny i cuchnące chlewem, ale i tak ucieszyły się na ich widok. Zamknięto za nimi drzwi i aż do rana nikt ich nie niepokoił. Dziewiątka dziewcząt ścisnęła się na pryczach i przez całą noc oddawała się smętnym rozmyśleniom.

Zastanawiały się, dlaczego są same. Barak nie był tak brudny i zniszczony jak ten, w którym upchnięto je razem z chorymi, ale trudno powiedzieć, żeby był czysty. Marlene pomyślała o Jolancie i o tym, co madame zrobiłaby na jej miejscu. Następnie rozejrzała się po baraku i znalazłszy w kącie miotłę, chwyciła ją bez namysłu.

– Chcesz teraz zamiatać? – zdziwiła się Olga.

– Lepiej mi się myśli, kiedy się ruszam – odparła Marlene.

– A o czym tu myśleć? Siedzimy w obozie i jeśli z niego wyjdziemy, to najpewniej kominem.

– Albo nas zamęczą w fabryce – dodała Ceija.

Gdyby gąsienica wiedziała, że kiedyś będzie motylem, żyłaby zupełnie inaczej.

Byłaby bardziej pewna siebie, pełna nadziei, bezczelna. Śmierć nie jest końcem.

Heinrich Böll (1917–1985)

Najwyraźniej ludziom niewiele trzeba, by się uczeplić życia, gdyż – jakkolwiek dziwnie to zabrzmie – i w tym nowym piekle szybko pojawiła się rutyna. Podopieczne madame poddały się nowej regule: kto nie pracuje, ten nie je. Dlatego głód wypełniał ich dni i ich myśli.

O szóstej rano Marlene i jej towarzyszki musiały się stawić na apelu, podczas którego liczone więźniów. Następnie odprowadzano je do fabryki, gdzie przez czternaście godzin napełniały granaty, a potem wracały z powrotem do baraku. Tu dostawały kawałek twardego jak kamień chleba i miskę wodnistej zupy, w której wyjątkowo zdarzał się maleńki kawałek kartofla albo buraka.

Dopóki pracowały na sto procent, nie maltretowano ich z nadto – mimo że w fabryce byli i tacy kapo, którzy nie potrzebowali pretekstu, by się nad nimi znęcać. Marlene bez przerwy myślała o Trudi, dzieciach i Jolancie. Zastanawiała się, co się z nimi dzieje, czy w ogóle jeszcze żyją. Wiedziała, że inne dziewczęta również o nich myślą, lecz żadna nie puszczała pary z ust. Bały się, że słowa zamiast nadziei przyniosą zwątpienie i lęk.

Tak minął listopad.

Oprócz głodu i zimna dawały im się we znaki pluskwy i wszy. Wciąż nie ogolono im głów, w związku z czym musiały znosić prawdziwą plagę robactwa. Zachowanie choćby elementarnej higieny było niemożliwe – tak jak nie sposób było opisać stanu latryn. Co prawda jednej z dziewcząt udało się zorganizować kawałek mydła, lecz szybko je zużyły. Aby się umyć, zbierały deszczówkę, a potem śnieg. Wszystkie kaszlały, miały biegunkę, a kiedy nie musiały harować, nawzajem się iskały z robaków. Marlene spodziewała się, że w każdej chwili któraś z nich może zachorować na przenoszony przez wszy tyfus.

Każdego ranka przed wymarszem do pracy musiały się ustawić i lekarz obozowy szukał wśród nich oznak choroby. Pracownicy cywilni fabryki i esesmani bali się tyfusu jak diabeł święconej wody, dlatego trzymali się z dala od więźniów, zostawiając czarną robotę kapo.

Przez cały ten czas Marlene przy życiu trzymało jedno: o ucieczce. Wprawdzie codziennie

słyszała, że Rosjanie wkrótce wyzwolą obóz, ale nie zamierzała czekać. Nie chciała się chwytać nadziei, która z każdym dniem czyniła obozowe tortury coraz trudniejszymi do zniesienia, dlatego już po kilku dniach zaczęła potajemnie wynosić z fabryki niewielkie ilości prochu, którego chciała użyć do skonstruowania bomby.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej, w październiku, więźniowie sonderkommanda zdołali wysadzić w powietrze jedno z krematoriów, a drugie poważnie uszkodzić. Użyli w tym celu granatów przeschmuglowanych przez więźniarki z fabryki. W ogólnym zamęcie, który zapanował w obozie, małej grupce więźniów udało się zbiec. Komendantura obozowa stanowczo zdementowała te plotki, ale więźniowie z tym większym uporem je powtarzali. Marlene z doświadczenia wiedziała, że naziści celowo pomniejszają sukcesy ruchu oporu albo wręcz zupełnie je ukrywają.

Marlene miała zatem plan, lecz sama nie była w stanie go zrealizować. Mimo to wciąż nie odważyła się wtajemniczyć pozostałych dziewcząt.

Któregoś wieczora, pod koniec listopada, do baraku weszła kapo. Marlene natychmiast ją rozpoznała. Była to ta sama kobieta, która chciała im obciąć włosy. Patrząc na nią, od razu się domyśliła, że funkcyjna szuka ofiary. Jedna z dziewcząt zakasłała i kapo zamarła jak żmija słysząca szelest.

– Ty tam! Wystąp! – wskazała na drugą najmłodszą w grupie, Polkę o imieniu Małgorzata. A ponieważ ta nie wykonała rozkazu dość szybko, funkcyjna chwyciła ją, wyciągnęła na środek i uderzyła kijem w brzuch. Małgorzata zgięła się wpół i z jękiem osunęła na kolana.

– Jesteś chora! Ledwie stoisz na nogach! – szczerknęła kapo. Następnie przeszukała pryczę dziewczyny i po chwili wydała z siebie triumfalny okrzyk. W dłoni trzymała rzemyk z kotwicą. – Co to jest? – ryknęła. – Naszyjnik? Masz jeszcze jakieś ozdoby? – Pałka świsnęła w powietrzu i trafiła Małgorzatę w ramię.

Marlene poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Nie mogła beczynnie patrzeć na to okrucieństwo. Wiedziała, że w ten sposób samą siebie wystawia na gniew kobiety, lecz mimo to krzyknęła:

– Czego tu szukasz?! Nie jesteś naszą kapo!

Oczy tamtej nagle się zmieniły. Marlene miała wrażenie, że oprócz okrucieństwa i bezbrzeżnej nienawiści dostrzega w nich również cień niepewności. To potwierdziło jej podejrzenia – funkcyjna samowolnie weszła na obcy teren. To nie był jej rewir.

Rywalizacja między kapo i blokowymi istniała w Auschwitz od zawsze, lecz im bliżej był front i im mniej było w obozie więźniów, których można było łupić, tym bardziej zaostrzały się stosunki między funkcyjnymi. W obozie panował głód, toteż każdy z blokowych i kapo zazdrośnie strzegł „swoich więźniów”, a walka o poszukiwane na czarnym rynku dobra przybierała coraz bardziej brutalne formy.

Ponieważ Brunnmann izolował Jolantę i jej podopieczne i przez długi czas nikt nie miał do nich dostępu, zostały znienawidzone przez wszystkich więźniów – również z tego powodu, że kapo rozgłaszali na ich temat najgorsze plotki. Na przykład tę, że Jolanta i jej dziewczęta dostają dodatkowe racje żywności.

Po przeniesieniu do fabryki grupa w dalszym ciągu była izolowana. Dziewczęta stykały się z innymi więźniami wyłącznie podczas apelu i w miejscu pracy. Stąd spektrum postaw, z jakimi się spotykały, sięgało od nieufności po jawną nienawiść, wyrażającą się nie tylko werbalnie, jako że każdego dnia były szarpane i opluwane. Ponieważ nie ogolono im głów, były uważane za obozowych pariasów – najniższą z kast.

Blokowe widywały je wyłącznie podczas rozdzielania racji żywnościowych. Na tym też opierała się ich władza: to one decydowały, komu i ile wydzielić chleba czy zupy. I tak na przykład dzieliły bochenek na pięć części zamiast na cztery – i piątą część zabierały. Ten kawałek chleba – jedna piąta bochenka – był obozową monetą. Za chleb można było w Auschwitz dostać dosłownie wszystko. Chleb był najważniejszym towarem na czarnym rynku.

Kapo z groźną miną ruszyła na Marlene, wążąc w dłoni pałkę. Na jej twarzy widać było przedsmak sadystycznej rozkoszy. Wzięła zamach i uderzyła, lecz chybiła, gdyż Marlene się uchyliła i nagle znalazła się za atakującą. Funkcyjna ociężała się odwróciła i kipiąc gniewem, uniosła kij, gdy za jej plecami rozległ się ostry głos:

– Co tu się dzieje?

W drzwiach stała blokowa baraku, Polka, której mina potwierdziła podejrzenia Marlene: kobiety nie darzyły się sympatią, a gruba kapo weszła do baraku nieproszona.

– Ta dziwka mnie zaatakowała – wskazała na Marlene gestem sześciolatki skarżącej na koleżankę z klasy.

Polka zbliżyła się.

– Czego tu szukasz, Leno? – w jej głosie zabrzmiała jawna groźba.

Po chwili wywiązała się gwałtowna kłótnia, gdyż kobieta nazwana Leną, wiedząc, że nie ma prawa przebywać w baraku, postanowiła zamaskować swoją przewinę gniewem i krzykiem. Niewiele brakowało, by funkcyjne zaczęły okładać się kijami. W końcu jednak opuściły barak i dziewczęta odetchnęły z ulgą.

Marlene wiedziała, że Lena jednak wróci. Nie puści w niepamięć takiego upokorzenia i w końcu zechce się zemścić. Nie podzieliła się swoimi obawami z pozostałymi, lecz nie była w stanie zamydlić im oczu. Przebywały ze sobą tak długo, że były wyczulone na wszelkie objawy zmartwienia. Na samą myśl o tym, że Lena mogłaby znaleźć wykradany z fabryki proch, Marlene czuła, jak występują na nią krwawe poty. Gorączkowo zastanawiała się, gdzie ukryć kontrabandę. A ponieważ nic lepszego nie przyszło jej do głowy, w końcu postanowiła przy najbliższej okazji zakopać proch w pobliżu latryn.

Na zemstę Leny nie trzeba było długo czekać. Już następnego dnia kapo zaczęła, aż blokowa wyda wieczorem jedyny w ciągu dnia posiłek, i ponownie zjawiła się w ich baraku. Tym razem była bardziej zapobiegliwa i ściągnęła ze sobą strażnika. Marlene podejrzewała, że Lena musiała przekupić esesmana.

Kiedy blokowa – czy to czując pismo nosem, czy zaalarmowana przez innych kapo – zjawiła się w baraku, nie była w stanie udaremnić rozpoczętej już przez Lenę rewizji. Na szczęście dziewczęta wyciągnęły lekcję z tego, co spotkało Małgorzatę, i ukryły swoje kotwice poza barakiem, w związku z czym przeszukanie zakończyło się niczym. To jednak nie zniechęciło Leny. Wprost przeciwnie – kapo wpadła w istny szał i zaczęła tym zacieklej przetrząsać prycze. Żądza krwi zawładnęła nią do tego stopnia, że zażądała od strażnika, by ten zastrzelił Marlene. Jednak esesman odparł, że ani myśli wykonywać rozkazów – jak się z pogardą wyraził – „ukraińskiej kapo”, i wyszedł z baraku. Najwyraźniej już zainkasował zapłatę za „pomoc”.

Dwie funkcyjne – Polka i Ukrainka – stanęły naprzeciw siebie, jakby miały stoczyć pojedynek. Było jasne, że tym razem w ruch pójdą kapowskie kije. Lena wzięła zamach, a w jej oczach zabłyśły mordercze iskry.

Marlene wiedziała, że jeśli dwie funkcyjne nawzajem się pozabijają, będzie to również oznaczać śmierć wszystkich mieszkank baraku. Musiała więc wkroczyć, choć w ten sposób prawdopodobnie ratowała skórę Lenie. Było oczywiste, że jeśli w pojedynku zginie blokowa baraku, Lena bez skrupulów zrzuci winę na Marlene i jej towarzyszki. Musiała się pospieszyć, bo Ukrainka zdążyła już zadać potężny cios, który powalił blokową na ziemię. W chwili gdy brała zamach, by ponowić atak i zakończyć krótką walkę, Marlene chwyciła ją za ramię i wytrąciła jej kij z ręki. Ukrainka odwróciła się i z wściekłością natarła na Marlene, ta jednak w ostatniej chwili uskoczyła.

Marlene nie miała żadnych szans w bezpośredniej walce z potężną kapo. Zresztą wcale nie zamierzała jej wyzywać na pojedynek. Chciała jedynie zająć jej uwagę i w ten sposób pomóc polskiej blokowej. I to się udało: Lena odwróciła się do przeciwniczki plecami, pieczętując tym samym swój los. Polka dźwignęła się z ziemi i z całej siły walnęła kijem w głowę Ukrainki. Trzask pękającej czaszki przyprawił Marlene o lodowaty dreszcz. Lena zatrzymała się w pół kroku i mimo potężnej masy z gracją osunęła się na ziemię, wydając ostatnie tchnienie. Marlene i polska kapo przez kilka sekund patrzyły sobie w oczy ponad martwym ciałem Ukrainki.

Nagle blokowa obróciła się na pięcie i wybiegła z baraku, jakby ją ścigało stado wilków.

– Już po nas – jęknęła Cyganka Ceija, która, o dziwo, nie zalała się łzami. Żadna z dziewcząt nie wypowiedziała słowa skargi, żadna nie zapłakała. Stanęły w kręgu i chwyciły się za ręce. Zbyt długo przebywały w tym strasznym miejscu, gdzie ludzie czynili ludziom straszliwe rzeczy. Musiały znosić poniżenie, stawiały czoło śmiertelnym zagrożeniom, doświadczyły wszelkich form upokorzenia i upodlenia. Patrząc kolejno na ich twarze, Marlene myślała, że w śmierci widzą nie tyle nieodwołalny

koniec, ile ostateczne wyzwolenie.

Mimo to wciąż miały w sobie ludzkie odruchy i nie zapomniały o tym, co należy się zmarłym – nawet kreaturom, które gardziły darem życia – i stojąc w kręgu, zmówiły za Lenę krótką modlitwę, polecając jej duszę Bogu.

Potem wydobyły swoje kotwice z kryjówki i zawiesiwszy je sobie na szyjach, uroczyście powtórzyły słowa Jolanty:

– Stanowimy jedność. Każda z nas jest kotwicą dla pozostałych. Życie za życie.

Wypowiadając to przyrzeczenie, Marlene doświadczyła czegoś, czego się zupełnie nie spodziewała: poczuła, jak jej myśli łączą się z myślami pozostałych dziewcząt, jak istotnie stają się jednością, jak domyka się krąg. Po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że może Jolanta miała rację i rzeczywiście istnieje coś takiego jak przeznaczenie, które łączy ze sobą ludzkie losy.

W tym samym momencie wydarzyło się coś jeszcze cudowniejszego: nagle nad głowami dziewcząt pojawił się motyl o skrzydłach błękitnych jak niebo i zatoczywszy krąg, usiadł pośrodku. Na jego widok oniemiały z zachwytu. Nie pamiętały już, kiedy ostatnio widziały coś tak pięknego i urokliwego. Niemal już zapomniały, że na świecie istnieją takie cuda, a teraz nagle uświadomiły sobie, że choćby ludzie zniszczyli wszystko wokół, nie zdołają zniweczyć cudu stworzenia, gdyż cud ten sięga daleko poza granice ludzkiej egzystencji.

– Czy to znaczy, że Jolanta nie żyje? – szepnęła w końcu z bojaźnią młodzieńca Małgorzata.

Wszystkie oczy skierowały się na Marlene, która pokręciła głową.

– Nie, to znaczy, że dopóki istnieją motyle, istnieje również nadzieja. Motyl jest symbolem przemiany. Symbolizuje życie, nie śmierć.

– To nie jest tylko symbol – poparła ją rudowłosa Olga. – Motyl w grudniu to prawdziwy cud! Jest takie rosyjskie przysłowie: „Kto w zimie zobaczy motyla, na wiosnę ubije niedźwiedzia”.

Niebieski motyl zamarł na ziemi ze złożonymi skrzydłami. Jakby zapadł w sen. Żadna z dziewcząt nie potrafiła oderwać od niego oczu, w milczeniu napawając się jego kruchym pięknem i gracją. Jego widok wlewał w ich dusze nadzieję, pozwalał na chwilę zapomnieć o głodzie, chłdzie i bólu, był obietnicą lepszego świata. Pozwalał wierzyć w to, co niemożliwe. W to, w co ludzkość wierzyła od zarania dziejów: w cud.

Kiedy godzinę później otworzyły się drzwi baraku i blokowa poleciała dwóm towarzyszącym jej więźniom zabrać ciało Leny, motyl zniknął bez śladu. Szukając go, dziewczęta przetrząsnęły cały barak, lecz bez rezultatu. I nigdy więcej go nie widziały.

Wbrew obawom śmierć Leny nie pociągnęła za sobą żadnych konsekwencji. Polska kapo przeszła nad tym faktem do porządku dziennego, jakby nic się nie wydarzyło. Lena była tylko kolejną ofiarą pochłoniętą przez obozowe piekło.

W tej sytuacji Marlene uznała, że musi wtajemniczyć pozostałe dziewczęta w swoje plany. Nie

chciała, by zapasy prochu się zmarnowały, gdyby w przyszłości blokowa musiała znaleźć kozła ofiarnego, którego mogłaby obarczyć winą za śmierć Ukrainki.

Niestety do tej pory wszystkie próby skontaktowania się z żydowskim sonderkommandem spełzły na niczym, gdyż od siódmego października, to jest od dnia, w którym doszło do buntu i wysadzono krematorium, Niemcy ściśle izolowali poszczególne grupy więźniów. Ponadto wymordowano gońców zapewniających komunikację między poszczególnymi częściami rozległego obozu i zastąpiono ich nowymi więźniami.

– Bunt? O czym ty mówisz? – spytała jedna z dziewcząt i Marlene zrelacjonowała pokrótce wszystko, czego się dowiedziała od doktora Friehlinga: opowiedziała o tym, jak więźniowie obezwładnili strażników i wysadzili w powietrze dwa krematoria, i o tym, jak jednostki strażnicze SS w ciągu kilku godzin stłumiły rewoltę, zabijając około pięciuset więźniów. Wspomniała też, że bunt mimo wszystko nie zakończył się całkowitym fiaskiem, gdyż udało się zniszczyć dwa, a może nawet cztery krematoria, które nie zostały już odbudowane, a mała grupka więźniów zdołała zbiec z obozu. Przynajmniej na razie okazało się, że w obozie istnieje prawdziwy ruch oporu!

– Co to jest sonderkommando? – spytała Małgorzata.

– To żydowskie komando, które Niemcy wykorzystują do czarnej roboty – odpowiedziała zdawkowo Marlene.

Nie chciała wspominać o tym, że członkowie sonderkommanda pędzą swych rodaków do gazu, wmawiając im, że muszą przejść dezynfekcję, a po zagazowaniu wyciągają ich martwe ciała z komór gazowych i spalają w piecach krematoryjnych. Niemcy nie chcieli sobie brudzić rąk, dlatego zmuszali więźniów do najgorszych prac, a dla zachowania swoich zbrodni w tajemnicy ściśle izolowali członków sonderkommanda i co kilka tygodni wymieniali jego skład osobowy, rozstrzeliwując starą „załogę” i wyznaczając nową.

Odpryski wojny

Od tej pory członkinie Służby Pracy Kobiet zostają przydzielone do obsługi reflektorów przeciwlotniczych. Obsługujący je dotąd żołnierze zostaną wysłani na front.

Działającemu w KZ Auschwitz ruchowi oporu udało się przemycić do Krakowa plan zamachu bombowego na otwartą na terenie obozu nową fabrykę koncernu Krupp AG.

Kolej niemiecka wystawiła administracji SS rachunek za przewóz wagonami bydłecymi stu pięćdziesięciu tysięcy „pasażerów” z obozu koncentracyjnego Auschwitz na plac budowy zakładu IG-Farben w podobozie Monowitz i z powrotem. Rachunek opiewa na 45 636 marek i 80 fenigów. Za podstawę wyliczenia uznano cenę biletu miesięcznego trzeciej klasy.

*Wszędzie stoją posterunki,
Zdolne strzelić prosto w łeb.
Trudno myśleć o ucieczce,
Mając w myśli tylko chleb.*

*Od rana do wieczora
Pilnuje wściekła sfora tych psów!
Od rana do wieczora
Pilnuje wściekła sfora tych psów!*

Fragment pieśni *Die Moorsoldaten*
napisanej i skomponowanej przez więźniów obozu w Börgermoor,
sł. J. Esser i W. Langhoff, muz. R. Gougel
(na język polski przeł. Janusz Kahl)

Nazajutrz do hali produkcyjnej wkroczył lagerleiter obozu Auschwitz III SS-Hauptsturmführer Schwarz wraz z grupą cywilów oraz nieznanym nikomu oficerem Wehrmachtu.

Lagerleiter żywo dyskutował z ubranym w futro cywilem, w którym Marlene bez trudu rozpoznała kierownika zakładu. Wbrew jej obawom mężczyzna jak dotąd jej się nie narzucał i miała nadzieję, że tak zostanie.

Opuściła głowę, by nie napotkać jego spojrzenia. Pozostałych członków świty lagerleitiera właściwie nie zauważyła. Kapo pokroju Leny szybko wpajali więźniom, by nie zwracali na siebie uwagi, kijem tłumacząc, że ci, którzy tego nie rozumieją, szybko znikają z tego świata.

Mężczyźni szli wprost na Marlene i dopiero w ostatniej chwili skręcili. Słyszac jeden z głosów, Marlene zamarła i mimowolnie podniosła głowę. Mężczyznę w mundurze oficera Wehrmachtu był Ernst! Czyżby przyjechał tu z jej powodu? Oczywiście! Ukradkiem zerknął w jej stronę. Marlene jeszcze nigdy tak się nie ucieszyła na jego widok i z trudem hamowała wzbierającą w jej sercu euforię. Wiedziała, że nie może dać po sobie niczego poznać! Mijając jej miejsce pracy, Ernst wyjął cukierka, odwinął go i włożył sobie w usta, papierek zaś niedbale upuścił na posadzkę. Marlene

rozumiała. Gdy tylko mężczyźni odeszli dalej, wysliznął jej się z dłoni śrubokręt. Podniosła go pospiesznie, a zaraz potem zameldowała, że musi iść do latryny.

Tam przeczytała wiadomość od Ernsta: „Alarm lotniczy! Samochód na dziedzińcu”.

Godzinę później zawyły syreny. Strażnicy nerwowo spędzili więźniarki, po czym na ich czele pospiesznie ruszyli w kierunku schronu. Wybuchła panika. W ogromnej hali pracowało kilkaset kobiet, które teraz cisnęły się ku wyjściu. Marlene musiała iść w drugą stronę, na dziedziniec, lecz nie była w stanie oprzeć się ludzkiej rzece. W końcu uskoczyła w bok, między dwa stoły, i rozejrzała się, szukając pozostałych dziewcząt z baraku. Chciała zabrać ze sobą przynajmniej Olgę, ale nie miała pojęcia, jak ją odnaleźć w tej ludzkiej masie. W drelichowych kombinezonach i z chustkami na głowach wszystkie więźniarki wyglądały tak samo. Marlene biła się z myślami, trwoniąc cenne sekundy.

Do wycia syren dołączyło *staccato* działek przeciwlotniczych. Tłum ruszył biegiem. Marlene jak konik szachowy zaczęła skakać między stołami i w końcu dotarła do wyjścia na dziedziniec. Ponieważ zwykle strażnicy wychodzili tu, by zapalić papierosa i rozprostować nogi, ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Wolałaby nie wpaść w ostatniej chwili w objęcia esesmana.

Na dziedzińcu parkowało kilka samochodów. Który, do licha, należy do Ernsta? Na szczęście zaraz nadjechał jeden z wozów. Drzwiczki otworzyły się i Ernst wciągnął Marlene na tylną kanapę. Kiedy wciskał jej beret na głowę i otulał futrem, Heinrich wcisnął gaz i dosłownie w ostatniej chwili minął bramę. Gdy tylko przejechali, strażnicy opuścili szlaban i ukryli się w małych schronach.

Heinrich opuścił szybę i pędząc na złamanie karku pustą szosą prowadzącą do obozu, obserwował niebo w poszukiwaniu samolotów. Marlene miała wrażenie, że mimo szumu wiatru i warkotu silnika słyszy charakterystyczny gwizd spadających bomb. Zastanawiała się, czy to kolejny nalot Amerykanów, którzy już w lipcu zniszczyli należącą do IG-Farben rafinerię, a we wrześniu kilka innych zakładów na terenie obozu.

Ernst próbował ją osłonić własnym ciałem, lecz mimo to poczuła drżenie ziemi, gdy za ich plecami spadły pierwsze bomby. Heinrich regularnie zerkał we wsteczne lusterko.

– Ścigają nas? – wysapała Marlene, wciąż z trudem chwytając powietrze.

Krótki sprint pozbawił ją resztki sił. Z przerażeniem uświadomiła sobie, jak bardzo głód osłabił jej organizm.

– Nie – uspokoił ją Ernst, spoglądając przez ramię. – Mamy spokój, przynajmniej dopóki trwa nalot. Dobra robota, Heinrichu – pochwalił szofera. – Chyba jesteśmy poza strefą bombardowania.

Marlene ostrożnie się wyprostowała. Musiała się mocno trzymać Ernsta, bo Heinrich wciąż wciskał gaz do dechy, a droga nie była najlepsza. Samochód podskakiwał i jęczał na każdym wyboju.

– Skąd wiedziałeś o nalocie? – spytała Marlene.

Ernst spojrział na nią nieomal z urazą. Marlene uświadomiła sobie, że nawet mu nie podziękowała.

Bądź co bądź ryzykował dla niej życiem.

– Przepraszam, najdroższy. Bardzo ci dziękuję. – Uścisnęła dłoń Ernsta. – I tobie, Heinrichu. Dokąd jedziemy?

– Do Sułkowic – odrzekł Ernst. – Mniej więcej za godzinę będziemy na miejscu. Tamtejszy proboszcz zgodził się nas ukryć. Proszę – podał Marlene manierkę i torbę, w której znalazła chleb z masłem i jabłko.

Marlene łapczywie pociągnęła kilka łyków i właśnie miała ugryźć pierwszy kęs chleba, gdy przypomniała sobie słowa doktora Frieblinga, który swego czasu przestrzegł ją, że nadmiar jedzenia może być zabójczy dla ludzi, którzy długo głodowali. Toteż mimo że niemal umierała z głodu, ugryzła jedynie maleńki kęs, a resztę odłożyła na później.

– Dlaczego ten ksiądz zgodził się nam pomóc?

Ernst zmarszczył czoło.

– Czy to ważne?

– Owszem. Chcę wiedzieć, czy robi to z przekonania, czy dlatego, że mu płacisz.

– Jedno i drugie. Pomaga ruchowi oporu, a ja obiecałem mu broń.

Marlene zamyśliła się.

– Myślisz, że zgodziłyby się też ukryć dzieci?

– Dzieci? Jakie dzieci? – Ernst spojrzał na towarzyszkę z obawą.

Marlene złapała go za rękę.

– Musisz coś dla mnie zrobić, najdroższy.

– Co takiego? – z trudem wykrztusił Ernst.

– Musisz się skontaktować z doktorem Gregorem Siebenbürgenem, pracuje w obozie głównym. Ukrywa Trudi i grupę dzieci. Musimy je koniecznie wydostać z obozu, inaczej umrą z głodu. Musisz mi też pomóc uwolnić pozostałe dziewczęta. Potrzebuję pieniędzy i broni.

Ernst spojrzał na Marlene, jakby podejrzewał, że postradała zmysły.

– Oszala... – urwał w pół słowa, gdyż samochód podskoczył na wyboju i musieli się czegoś chwycić.

Heinrich spokojnie popędził dalej. Wyjechali już z otaczającej obóz strefy strzeżonej i skręcili w polną drogę. Heinrich zwolnił. Droga wiała się między zaroślami, pośród zapuszczonych ugorów.

Na horyzoncie Marlene zauważyła kilka samotnych zabudowań, które niemal zlewały się z szarym grudniowym niebem. Sielska okolica przypominała jej rodzinne Levkojen. Przez chwilę delektowała się widokiem bezkresnych pól i wspomnieniami, jednak spalona wojskowa ciężarówka na skraju drogi, widomy znak i symbol toczącej się wojny, przywołała ją do rzeczywistości. Nachyliła się między fotelami i powiedziała:

– Zatrzymaj się, Heinrichu.

– Słucham? – zdziwił się szofer. Zerknął w lusterko, szukając potwierdzenia w oczach Ernsta.

– Jedź dalej, Heinrichu – powiedział pułkownik, zasuważąc szybę oddzielającą tylną kanapę od fotela kierowcy.

– Ale... – zaprotestowała Marlene.

– Posłuchaj, moja droga – przerwał jej Ernst. – Heinrich ryzykuje dla nas życiem. Jedziemy do Sułkowic. To moje ostatnie słowo.

– Nie możesz mnie do niczego zmuszać!

– Owszem, mogę! – odparł Ernst z niezwykłą dla siebie stanowczością. – A ty wyjątkowo zrobisz to, co ci mówię. Wojna wkrótce się skończy i chcę, żebyś do tego czasu została w bezpiecznym miejscu.

– Nie jestem twoją niewolnicą! – rzuciła Marlene ze złością.

– Proszę, kochanie. – Ernst próbował ją udobruchać. – Porozmawiamy, kiedy będziemy bezpieczni, dobrze?

– My? To znaczy, że ty też zostajesz w Sułkowicach?

– Oczywiście, nie mogę wrócić do Krakowa. Rano wyjechałem z miasta samowolnie. Tym razem generał już mnie nie ochroni.

– Jak więc dostałeś się do fabryki?

– Pokazałem sfałszowane upoważnienie. – Ernst wyjął z kieszeni chusteczkę i osuszył czoło. Nagle zaczął się pocić, jakby w końcu zrozumiał grożące im niebezpieczeństwo. – Prawdę mówiąc, sam nie mogę uwierzyć, że mi się udało. Tak czy siak, teraz jesteśmy... – Jego okrągłą twarz niespodziewanie rozjaśnił promienny uśmiech.

– To znaczy, że jesteś dezterem?

– Owszem. – Ernst zaczął rozpinać marynarkę munduru i zdejmując ją z pomocą Marlene, spytał: – Jaki był tytuł tego amerykańskiego filmu, który Goebbels kazał nam wyświetlić w Krakowie? Tego o bohaterskim banicie...

– *Robin Hood*?

– O właśnie! Teraz i my jesteśmy banitami. A oto nasz las Sherwood! – dodał, gdy auto wjechało między drzewa.

Jak na położenie, w jakim się znaleźli, Ernst zachowywał się wyjątkowo beztrąsko. Marlene przez chwilę zastanawiała się, czy aby przed wyjazdem do obozu nie łyknął dla kurażu czegoś mocniejszego, ale nie wyczuła od niego alkoholu. Musiał być inny powód. Tak czy inaczej, był zupełnie odmieniony, jakby wraz z mundurem zrzucił krępujący go pancerz.

– Co się z tobą dzieje? – spytała w końcu Marlene.

– Myślę – odparł z namysłem Ernst – że wiem już, jak się czuje człowiek, który nie ma nic do

stracenia. W takiej sytuacji można doświadczyć całkowitej wolności.

– Tyle że ta wolność niesie też ze sobą niebezpieczeństwo – przestrzegła Marlene, która miała nieodparte wrażenie, że jej przyjaciel nie do końca wie, co go czeka i co to znaczy być wyjętym spod prawa i stać się zwierzyną łowną.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Czoło Ernsta przecięła głęboka bruzda.

– Nic takiego – uspokoiła go Marlene. Wiedząc, że poczucie wolności jest ambrozją dla duszy, postanowiła, że pozwoli mu się nią nieco nacieszyć. Z drugiej strony wiedziała jednak, że łatwo to uczucie przedawkować, co siłą rzeczy prędzej czy później prowadzi do bolesnego otrzeźwienia. Wciąż miała w pamięci słowa Jakuba, który zwykł mawiać, że niczym nieskrępowana wolność może prowadzić do moralnej degrengolady, bo gdy człowiek przestaje się bać, traci wszelkie hamulce, a to grozi anarchią. Dlatego nawet wolność musi się rządzić pewnymi prawami.

Proboszcz oczekiwał ich w umówionym miejscu – przy podupadłej stodole na obrzeżach Sułkowic. Siedział na starym wozie z sianem ciągniętym przez jeszcze starsze szkapy, a jego ogorzała od wiatru twarz i zgarbione plecy pasowałyby raczej do ubogiego chłopca niż do sługi Bożego.

Ksiądz pomógł Marlene i Ernstowi zagrzebać się w sianie i zawiózł ich aż pod tylne wejście swojego kościółka. Przedtem jednak uciekinierzy pożegnali się z Heinrichem, który postanowił wrócić do rodzinnego Drezna, do żony. W podziękę za wierną służbę Ernst podarował szoferowi kilka złotych monet, po czym serdecznie uścisnął mu dłoń i życzył szczęśliwej podróży. Kiedy Heinrich usiadł za kierownicą, Marlene ogarnęło przecucie, że już nigdy go nie zobaczy.

Ich kryjówka wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażała. Proboszcz poprowadził ich przez zakrystię do kościoła, sięgnął ręką pod ołtarz i nacisnąwszy jakiś przycisk, uruchomił ociężały mechanizm. Jedna z kamiennych płyt przesunęła się, odsłaniając ciemny otwór, do którego, jak wyjaśnił duchowny, w pogańskich czasach wrzucano zwłoki zmarłych. Kiedy loch się zapełniał, wykopywano następny. Podobno w okolicy było wiele takich po brzegi wypełnionych kośćmi jam, a ojciec proboszcza własnoręcznie odkopał jedną z nich podczas prac w polu i zmieliwszy znalezione w niej kości, użył ich jako nawozu.

– Wiecie państwo, że mączka kostna to znakomity nawóz? – spytał proboszcz.

Nie wiedzieli.

– Aby przepędzić złe duchy – kontynuował duchowny – na jednym z takich starych miejsc pochówku wzniesiono kościół. Proszę się nie obawiać – uspokoił ich, po czym tajemniczo dodał: – Wszystkim się zająłem. Jeśli znajdą państwo jakieś czaszki, proszę się nie martwić. W lochu jest nisza z drugim wykopem, tam proszę wrzucać wszystkie kości – zakończył ze śmiechem, który przypominał suchotniczy kaszel.

Marlene była nieco skonfundowana wesołym usposobieniem proboszcza. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że duchowny raczej nie grzeszy poczuciem humoru, lecz gdy zaczęli schodzić po

drabinie do lochu, zasypał ich anegdotami. W kryjówce były już przygotowane koce, lampa naftowa i kilka konserw. W kącie ustawiono również wiadro z pokrywą, obok którego leżała sterta starych gazet. Oprowadziwszy ich po „apartamencie”, proboszcz zapowiedział, że zajrzy za trzy dni, i wdrapał się na drabinę.

Chrobot, z jakim stara płyta wróciła na miejsce, wywołał u Marlene lekką panikę. Znow była uwięziona – tym razem pod ziemią, we wnętrzu skały. Pomyślała, że nie powinna była ufać proboszczowi. Bała się, że umrą w tym lochu. Miała wrażenie, że się dusi, i z trudem chwyciła powietrze.

Również Ernst wpadł w panikę – do tego stopnia, że aby się nieco otrzeźwić, chlusnął sobie w twarz kubek wody. Ponieważ kilka kropel dostało mu się do ust i nosa, zaczął się krztusić i kaszleć, lecz w końcu wrócił do równowagi.

Marlene była tak wyczerpana, że po prostu osunęła się na kolana. Ernst sprawdził, gdzie się znajduje wspomniana przez proboszcza nisza, po czym – jak najdalej od niej – przygotował dla Marlene posłanie. Gdy zasnęła, czuwał przy niej, obawiając się, że w panice znow może mieć napad duszności.

Obudziwszy się, Marlene natychmiast się zorientowała, co to za miejsce, i przypomniała sobie, jak się w nim znalazła. Zerwała się z posłania i powiedziała ostro:

– Oszukałeś mnie!

– Słucham? – Ernst spojrział na nią znużonym wzrokiem.

– Wiedziałaś, że proboszcz zamknie nas w lochu.

– Proszę, Marlene. On nas nie zamknął, tylko ukrył! Tu jesteśmy bezpieczni.

– Nieprawda! Jesteśmy całkowicie zdani na jego łaskę.

Marlene odsunęła koc i z trudem wstała. Loch zawirował jej przed oczami, tak że musiała się oprzeć o skalną ścianę. Ernst chciał ją podtrzymać, lecz odtrąciła jego dłoń.

– Dlaczego tak mnie traktujesz? – spytał ze wzrokiem skarconego szczeniaka.

– Bo cię przejrzałam. Wiedziałaś, że nie zostanę tu z własnej woli!

– Nie rozumiesz?! Chcę tylko, żebyś przeżyła! – w końcu i Ernstowi puściły nerwy. – Rosjanie prą naprzód, wojna niedługo się skończy. Zaufaj mi! Świat nie zginie, jeśli na chwilę znikniesz. Dlaczego nie możesz pozwolić, żeby wszystko toczyło się własnym torem?

– A dlaczego ty chcesz decydować za mnie?! Zawołaj proboszcza, muszę stąd wyjść!

– To niemożliwe!

– Przecież musicie mieć jakiś ustalony sygnał!

– Słyszałaś, co mówił. Zajrzy do nas za trzy dni. Zapomnij o swoich towarzyszkach i dzieciach. Jak sobie to wyobrażasz? Chcesz wrócić do Auschwitz? Pieszko?

– Jeśli będę musiała, to tak! – odpowiedziała Marlene ze śmiertelną powagą.

Ernst nerwowo przygładził włosy. Nie chciał się kłócić.

– Proszę, Marlene, uspokój się. Rozumiem, że chcesz ratować swoje towarzyszek i dzieci, jednak nie mogę ci pomóc, choćbym chciał. Wszyscy myślą o tym, jak uciec z Auschwitz, a ty chcesz wrócić do tego piekła? Załóżmy, że dotrzesz w okolice obozu. I co dalej? Co zrobisz?

– Coś wymyślę. Ale najpierw muszę stąd wyjść!

– Nie! – Ernst nie dawał za wygraną.

Widząc jego upór, Marlene zbliżyła się i stanęła naprzeciw niego.

– Więc miałam rację – powiedziała cicho. – Uwięziłeś mnie. Proboszcz jest twoim współnikiem.

– Zrozum, to dla twojego dobra!

Marlene doszła do wniosku, że nie ma szans go przekonać. Próbowwała na wszelkie sposoby: prośbą, groźbą, błaganiem – lecz Ernst, zapewne pierwszy raz w życiu, ani myślał ustąpić.

Z czasem zrozumiała, że proboszcz robi tylko to, o co poprosi go Ernst. Bądź co bądź to on mu płacił. Poza tym w oczach księdza kobiety najwyraźniej niewiele miały do powiedzenia, bo w każdej sprawie zwracał się wyłącznie do jej towarzysza.

Spędzili blisko dwa miesiące w skalnym lochu, który Bóg raczy wiedzieć ile ludzkich ciał dotąd pochłonał.

Odkąd Marlene spostrzegła, że Ernst czuje się nieswojo w pobliżu niszy, do której wrzucono kości, celowo spędzała tam całe godziny. On zaś pocił się i odchodził od zmysłów. Nawet na chwilę nie spuszczał z niej oka, gotów w każdej chwili rzucić jej się na pomoc, gdyby jakieś upiorne ręce wychynęły z ciemnej niszy i chciały ją porwać w mrok. Marlene wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, lecz mimo to korzystała z każdej okazji, by ukarać Ernsta za to, że uwolnił ją z obozu tylko po to, by zaraz znów ją uwięzić.

Proboszcz, jego gadatliwy współnik, co kilka dni przynosił im jedzenie i wiadomości. A czasem tylko jedzenie.

Marlene nie potrafiła się pogodzić z tym, co ją spotkało.

Najbardziej irytowało ją to, że Ernst, którym zawsze bez trudu manipulowała, tym razem był niewzruszony jak skała. Z jednej strony wyrzucała sobie, że była naiwna i nie przejrzała jego podstęp, z drugiej zaś, chcąc nie chcąc, musiała w duchu przyznać, że jego konsekwencja i upór były godne podziwu. Nie mówiła mu tego jednak, tylko dalej pielęgnowała swój gniew.

Największym wrogiem Marlene był czas. Upływał niemiłosiernie powoli, a dni były pozbawione rytmu. W półmroku dzień i noc zlały się w jedno, tak że jej organizm zupełnie zatracił orientację. Nuda i beczynność doprowadzały ją do szaleństwa i czasem łapała się na myśli, że wolałaby wrócić do obozu i fabryki, byle tylko znów być wśród ludzi, zamiast czeznąć w tym lochu. Robiła wszystko, by jej organizm wrócił do dawnej formy. Niezmordowanie maszerowała od ściany do ściany i regularnie wykonywała ćwiczenia na wzmocnienie mięśni, które swego czasu pokazał jej

w Krakowie doktor Hondl. Ernst brał z niej przykład.

Już podczas pierwszej wizyty proboszcza, kiedy tylko ten spuścił na dół kosz z jedzeniem, Marlene spytała, czy mógłby jej przynieść jakieś książki. Co prawda w lochu nie było prądu i musieli oszczędzać naftę, ale chciała poczytać przynajmniej po kilka stron dziennie i w ten sposób zabić nieznośną nudę.

Wcześniej jednak doszło do małej scysji, gdy Marlene poprosiła księdza, by zabrał kubek z nieczystościami.

– Proszę je wylać do wykopu – polecił duchowny.

– Na ludzkie szczątki? Ludzie zasługują na szacunek nawet po śmierci – obruszyła się Marlene.

– Przecież to poganie – odparł proboszcz ze szczerym zdziwieniem.

Oburzona Marlene chciała coś odpowiedzieć, lecz Ernst w ostatniej chwili położył jej dłoń na ramieniu.

– Proszę księdza, proszę spełnić życzenie mojej żony – powiedział łagodnie. – Kościół z pewnością źle na tym nie wyjdzie. W dowód wdzięczności proszę przyjąć ten oto kozuch dla ubogich parafian...

Proboszcz ustąpił. Wziął kozuch i wyniósł nieczystości na górę.

Gdy opróżnił kubek, Marlene zwróciła się do Ernsta:

– Powiedziałeś mi, że jesteśmy małżeństwem?

– Oczywiście. W przeciwnym razie nie udzieliliby nam schronienia.

Marlene pokręciła głową.

– I zrozum tu katolika.

Ksiądz wrócił, niosąc wiadro i drugi kosz z żywnością. Marlene ucieszyła się, widząc w środku książkę. Biblia, jakże by inaczej... Mimo to oddała się gorliwej lekturze i od tej pory podczas każdej wizyty księdza cytowała mu stosowne wyimki z Pisma – zawsze mówiące o godności człowieka. Nawet pogan. I kobiet.

Chociaż Marlene miała wrażenie, że w lochu czas stoi w miejscu, na górze wydarzenia toczyły się błyskawicznie i 26 stycznia proboszcz w końcu przyniósł dawno wyczekiwaną nowinę.

Płyta zasłaniająca wejście do lochu odsunęła się wcześniej, niż uzgodniono, i wyraźnie podchmielony kapłan oświadczył, że Rosjanie stoją u bram Auschwitz, a Niemcy uciekają przez okoliczne pola niczym zające. Nowiny zakończył okrzykiem:

– Niech żyje Polska!

– Co on powiedział? – spytał Ernst, gdyż ksiądz w emocjach zaczął mówić po polsku.

Marlene przetłumaczyła i natychmiast poprosiła:

– Błagam cię, Ernst, muszę tam jechać! Wypuścisz mnie teraz?

Zanim Ernst zdążył odpowiedzieć, z góry ponownie rozległ się głos księdza:

– Kilka kobiet z wioski jeszcze dzisiaj jedzie do obozu. Mają szukać aresztowanych mężów. Będą ich strzec partyzanci z Armii Krajowej. Jeśli pani chce, może się z nimi zabrać. Wojna jeszcze się nie skończyła, trzeba walczyć! – ostatnie zdanie było wyraźnym przytykiem pod adresem Ernsta.

Ten zrozumiał, że nie może dłużej zatrzymywać Marlene, dlatego skinął głową na znak, że się zgadza.

Wyszli na powierzchnię i pierwszy raz od siedmiu tygodni ujrzeli światło dzienne. Ernst stał w kościele i patrzył na Marlene z takim smutkiem, że aż jej się krajało serce. Wiedział, że wraz z końcem wojny ostatecznie ją straci.

Marlene w jednej chwili wybaczyła mu podstęp i siedmioletnie więzienie w lochu. Przez tyle dni dręczyła go i karała – i za co? Za to, że ją po prostu kocha? Zaryzykował i zrobił dla niej więcej niż którykolwiek z mężczyzn w jej życiu. Kochał ją naprawdę bezinteresownie.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Jesteś dobrym człowiekiem, jednym z najlepszych, jakich spotkałam. Dziękuję ci za wszystko – szepnęła mu, a potem pocałowała.

Ostatni raz, za to z całego serca. Zasłużył na jej miłość jak nikt inny.

91 dni do „Dnia 0”

„Myśl jest potężniejsza niż broń. Nie pozwalamy naszym obywatelom posiadać broni – dlaczego mielibyśmy pozwolić im samodzielnie myśleć?”

Józef Stalin (1878–1953)

*Lecz pewnego dnia się skończy
 Czas pogardy, ból i trud.
 Wróci na ojczyste ziemie
 Wolny już więźniarski lud.
 Żegnajcie, wrogie strony,
 Koszmarny sen skończony i znój!
 Żegnajcie, wrogie strony,
 Koszmarny sen skończony i znój!*

Fragment pieśni *Die Moorsoldaten*
 napisanej i skomponowanej przez więźniów obozu w Börgermoor,
 sł. J. Esser i W. Langhoff, muz. R. Gougel
 (na język polski przeł. Janusz Kahl)

Następnego dnia po południu Marlene stała przed bramą obozu Auschwitz-Birkenau i obserwowała moment jego wyzwolenia. Kiedy się myśli o wyzwoleniu, przed oczy cisną się zwykle obrazy wiwatujących ludzi i łopocących flag. Tutaj jednak panowała upiorna cisza. Jakby świat umilkł, oddając cześć milionom pomordowanych.

Czerwonoarmiści, sztywno siedząc w siodłach, przejechali konno przez bramę. Spod futrzanych czap wyłaniały się czerwone policzki młodzusięńkich chłopców, a lodowaty wiatr wdzierał się im pod płaszcze.

Droga była zasłana brudnym śniegiem i martwymi ciałami więźniów. Podczas ewakuacji esesmani strzelali na oślep, mordując biedaków, którzy byli tak blisko ocalenia.

Rankiem sowiecki batalion, który poprzedniego dnia wyzwalał Kraków, dotarł do podobozu Monowitz, na wschód od Auschwitz, lecz dopiero po kilku godzinach udało się otworzyć zaminowaną przez Niemców bramę.

Marlene miała szczęście i zdołała dotrzeć do samego dowódcy batalionu. Major Szapiro był ukraińskim Żydem, więc rozmawiali w jidysz. Marlene przedstawiła się i zaoferowała pomoc w identyfikacji esesmanów, którzy mogli się wmieszać w tłum więźniów. Major przystał na jej

propozycję.

Szapiro był nie tylko Żydem, lecz również oficerem Armii Czerwonej, dlatego z przejęciem opowiedział jej o tym, że w obozie Niemcy wymordowali również około dwustu tysięcy sowieckich jeńców wojennych.

Chociaż Marlene na własnej skórze doświadczyła obozowych okrucieństw, obraz, który ujrzała za bramą, był dla niej prawdziwym szokiem i na zawsze wyrzył się w jej pamięci. Siedziała obok majora na siedzeniu wojskowego gazika otulona w wojskowy szynel, lecz mimo to drżała. Groza tego miejsca przeszła ją do szpiku kości.

Naprzeciw nich szły żywe szkielety – pojedynczo lub nawzajem się podtrzymując. Ci, którzy nie mogli utrzymać się na nogach, brnęli przez śnieg niczym płazy. Ubrani byli w cienkie obozowe pasiaki, choć wielu nie miało nawet tego. Nierzadko szli boso. Odmrożone stopy były czarne jak śnieg zmieszany z sadzą i prochami pomordowanych. Rosyjscy fotografowie utrwalali ten straszny obraz na filmach i zdjęciach.

Z relacji majora wynikało, że niemiecka machina śmierci działała aż do ostatniej chwili, a ci spośród więźniów, którzy nadawali się jeszcze do pracy, zostali wyprowadzeni z obozu i popędzeni w tak zwanych marszach śmierci na zachód. Bezwzględni mordercy chcieli wykorzystać niewolników aż do ostatniego tchnienia i ostatniej kropli krwi. W obozie zostało kilka tysięcy tych, którzy byli zbyt chorzy i słabi, aby ruszyć w drogę.

– Trudno powiedzieć, ilu z nich jeszcze umrze – rzekł major.

Wielki, otoczony drutami kompleks baraków, przeznaczony dla setek tysięcy więźniów, wydawał się zupełnie opustoszały. Ostatni z tych, którzy byli się w stanie poruszać, zmierzali ku bramie.

Obóz został wyzwolony, lecz Marlene wiedziała, że wojna, która pochłonęła dotąd miliony ofiar, wciąż trwa. Zażarte walki toczyły się nie tylko w Europie. Pożoga objęła cały świat: Środkowy Wschód i Afrykę, a od 1937 roku Pacyfik, gdzie Japończycy walczyli z Amerykanami i Chińczykami. Czarne macki wojennej ośmiornicy sięgały nawet do Indii.

Doktor Friehling miał rację: wojna rodzi wojnę. Zaraża całą ludzkość, jak pandemia. Jak jej położyć kres? Czy to w ogóle możliwe?

Marlene przypomniała sobie zblazowany głos hrabiego, który perorował o tym, że na świecie nigdy nie zapanuje pokój, a wojna będzie się przenosić z miejsca na miejsce niczym krwawa sztafeta. Że pokój to iluzja, którą władcy tego świata mają motłoch, by ten od czasu do czasu ponapawał się złudzeniem spokoju i bezpieczeństwa. Marlene z grozą zrozumiała, że w chorych fantazjach hrabiego mimo wszystko kryje się ziarno prawdy.

Podniosła oczy i napotkała spojrzenie majora. Miała wrażenie, że Szapiro nie tylko czyta w jej myślach, ale też podziela jej mroczne obawy. Był żołnierzem, wojna była jego profesją, lecz żadne szkolenie nie było w stanie przygotować na widok Auschwitz. To miejsce znajdowało się poza

granicami ludzkiego pojmowania. Nie miało prawa istnieć.

Nagle Marlene spostrzegła, jak przez bramę przechodzi postać z dzieckiem przyciśniętym do piersi. Była to kobieta, bardzo wysoka i całkiem naga.

Marlene jak zauroczona wpatrywała się w dziecko.

Była pewna, że już je kiedyś widziała. Minęła dłuższa chwila, nim w końcu zrozumiała: tak, to był ów karzełek z piwnicy pod izbą chorych! Spojrzała na twarz kobiety. Miała ogoloną głowę, jak pozostali więźniowie, dlatego dopiero teraz ją poznała. To była Jolanta! Azjatka dotrzymała słowa: wyszła z obozu nago, tak jak do niego weszła.

Marlene otworzyła drzwi gazika i pędem rzuciła się w stronę Jolanty. Po drodze zdjęła szynel i gdy dopadła do madame, zarzuciła go na jej nagie ramiona. A potem wzięła z jej rąk dziecko. Było leciutkie jak piórko.

– Już po wszystkim – powiedziała. – Jesteście bezpieczni.

Jolanta była u kresu sił i tylko siłą woli trzymała się jeszcze na nogach.

– Reszta dzieci została w piwnicy. Zabierz je stamtąd – wysapała.

– A Trudi? – spytała Marlene, przerażona tym, co może usłyszeć.

Jolanta milczała.

– Gdzie jest doktor Siebenbürgen? – uczepiła się ostatniej nadziei.

– Wiem tylko, że do samego końca opiekował się dziećmi.

Jolanta zachwiała się, więc Marlene chwyciła ją pod ramię, po czym oddała ją i dziecko pod opiekę rosyjskiego lekarza. Następnie odszukała majora i przedstawiła mu swoją prośbę.

Major Szapiro natychmiast przydzielił jej dwóch żołnierzy ze swojego batalionu i wysłał do odkrytego właśnie w barakach SS magazynu, w którym znajdowały się nie tylko zapasy żywności, ale też mnóstwo ubrań i butów. W składnicy czerwonoarmiści na polecenie Marlene załadowali wózek najpotrzebniejszymi rzeczami, po czym zaciągnęli go przed budynek szpitala. Tam Marlene zaprowadziła ich do piwnicy.

Widok, jaki zobaczyli, wstrząsnął nimi do głębi. Z blisko trzydziściorga dzieci przeżyło niespełna dwadzieścioro. Były tak wychudzone i słabe, że nie miały siły się podnieść. Marlene i jej pomocnicy po kolei przenieśli maleństwa na górę i ułożyli je w wygodnych łóżkach dawnego szpitala przeznaczonego dla członków SS i ich rodzin. Marlene została w izbie i osobiście zajęła się dziećmi. Umyła je i przebrała w czyste ubrania przywiezione z magazynu, a następnie rozmówiła się z lekarzami i pielęgniarkami – głównie Polakami – którzy zostali w obozie, by się opiekować ocalonymi. Na wszelki wypadek przypomniała im to, co sama usłyszała od doktora Frieblinga – że nie należy dzieci przekarmiać ani podawać im mięsa z puszek, bo ich żołądki mogłyby tego nie wytrzymać. Potem postanowiła poszukać Jolanty.

Znalazła ją na parterze, przy łóżku chłopca, którego niosła na rękach w chwili, gdy się spotkały

przy bramie. Właśnie karmiła go zupą.

– Jak ma na imię? – spytała Marlene.

– Colin. To mój syn.

Marlene spojrzała na Jolantę, a potem na chłopca. Milczała, spodziewając się, że ta powie coś więcej.

– Ma siedem lat. Ciało ma niepozorne, za to jest bardzo mądry. – Zupa się skończyła, więc Jolanta pocałowała Colina w czoło i troskliwie okryła. – Śpij, maleńki.

– Zostaniesz przy mnie? – szepnął bojaźliwie chłopiec, wyciągając ku niej chudziutkie ramiona.

– Oczywiście. Od tej pory już nigdy cię nie zostawię – odpowiedziała czule Jolanta, odgarniając mu z czoła kosmyk włosów.

Marlene nagle odkryła zupełnie inną Jolantę. Pierwszy raz zobaczyła jej serdeczną i troskliwą twarz. Obecność dziecka zupełnie ją odmieniła.

– A ty? Kiedy masz termin? – spytała w końcu, na powrót stając się dawną madame.

Spojrzała na Marlene jak jastrząb na polną mysz, wrywając ją z zadumy.

– Nie rozumiem – odparła Marlene, przeczuwając, że za chwilę spadnie na nią cios, przed którym nie będzie się w stanie uchylić.

– Jak to, niczego nie zauważyłaś? Zawsze byłaś taka bystra.

– Czego znów nie zauważyłam?

Marlene ze zdumieniem skostatowała, że dziwne pytania Jolanty sprawiły, iż nienawidziła jej tak samo jak w dniu, gdy się spotkały.

– Jesteś w ciąży.

Marlene poczuła się tak, jakby na jej kark spadło ostrze gilotyny.

– Co? Ale... – Głos jej się załamał.

Spojrzała na swój brzuch, jakby był jakimś ciałem obcym.

– Wiesz, kto jest ojcem?

Marlene zrobiła się bladła jak ściana. Szybko odzyskała głos.

– A skąd mam wiedzieć?! – odparła opryskliwie.

– Używałaś gąbki?

– Oczywiście! – rzuciła jeszcze bardziej wzburzona.

– Nie musisz na mnie krzyczeć. Żadna z moich *geikos* nigdy nie zaszła w ciążę. Ty jesteś pierwsza.

Marlene ukryła twarz w dłoniach. Poczuła się tak, jakby znów ją zamknięto w skalnym lochu. Ledwie się wydostała z jednej opresji, a już czyhała następna. Będzie miała dziecko z nazistowskim oprawcą! Wyobraźnia podsuwała jej obraz małego Brunnmanna.

– To jeszcze nie koniec świata. Możesz oddać dziecko – powiedziała spokojnie Jolanta.

Marlene powoli podniosła głowę.

– A ty? Myślałaś kiedykolwiek, żeby... – spojrzała na śpiącego chłopca.

– Nie. Colin jest owocem miłości.

Marlene poczuła się dziwnie, słysząc, jak z ust Jolanty pada słowo „miłość”. Dopóki nie zobaczyła jej z małym Colinem, nie sądziła, żeby Azjatka miała w sobie choćby cień sentymentalizmu.

– Co się stało z jego ojcem?

– Nie żyje.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Zginął w walce, nie w obozie.

Spokój Jolanty ośmielił Marlene do zadania następnego pytania.

– Jeśli masz rację i naprawdę jestem w ciąży, to czy znasz jakiś sposób, żeby... – nie miała odwagi dokończyć.

Jolanta miała mniej skrupułów.

– ...się jej pozbyć?

Zamiast odpowiedzieć, położyła dłoń na piersi Marlene, nacisnęła ją i w końcu rzekła:

– Za późno. Jesteś co najmniej w czwartym miesiącu.

Marlene nie miała powodów wątpić w jej słowa. Przysunęła krzesło i próbowała sobie przypomnieć ostatnie wyjazdy do „pracy”. Nie było jej łatwo zebrać myśli, bo wieść o ciąży była ogromnym szokiem. Tak jakby dziecko zagnieździło się nie tylko w jej brzuchu, ale i w głowie, mącąc jej umysł. Odliczyła cztery miesiące. Musiała zająć w ciążę we wrześniu...

Zerwała się z krzesła jak oparzona. „Mój Boże, gdyby to była prawda!...” Uświadomiła sobie, że nie użyła gąbki tylko jeden jedyny raz! A potem, tydzień później, gdy wróciła do Auschwitz, Ewald nie zgwałcił jej, tylko bił kijem... Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak ją skatował.

– Wiesz, kto jest ojcem – domyśliła się Jolanta.

– Słucham? – bąknęła Marlene. Miała wrażenie, że się obudziła ze straszego koszmaru. Na chwilę jej myśli odpłynęły w przeszłość – do owego popołudnia, które spędziła w ramionach doktora.

– Ojcem jest doktor Friehling, prawda?

Nie było powodu się wypierać.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Marlene delikatnie, jakby z niedowierzaniem powiodła dłonią po ledwie zaokrąglonym brzuchu. Jeszcze przed chwilą myśl o dziecku napawała ją przerażeniem, a teraz przepełniał ją niewyobrażalny spokój, ponieważ doświadczyła prawdziwego cudu miłości. Bo to było jego dziecko.

– Życie za życie – szepnęła.

Odpryski wojny

Rząd brytyjski ogłosił, że od początku wojny wskutek niemieckich nalotów na Anglię zniszczeniu lub uszkodzeniu uległy cztery miliony z trzynastu milionów domów.

W Londynie polski rząd na uchodźstwie protestuje przeciwko wykluczeniu go z udziału w konferencji założycielskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych w San Francisco.

Niemiecki chemik Otto Hahn otrzymał Nagrodę Nobla za rok 1944. Komitet Noblowski uhonorował uczonogo za odkrycie rozpadu jądra atomowego.

Wszelkie odkrycia i postęp są bez znaczenia, póki na świecie jest choćby jedno nieszczęśliwe dziecko.

Albert Einstein (1879–1955)

– Musisz się oszczędzać, inaczej stracisz dziecko – napomniała ją Jolanta.

Marlene siedziała przy łóżku Colina, trąc zmęczone oczy. Znów cały wieczór spędziła na poszukiwaniach Trudi i doktora Siebenbürgena. I znów bez powodzenia. Nie wspomniała o tym Jolancie, ale wiedzona irracjonalną nadzieją wypytywała również o doktora Friehlinga. W Auschwitz pozostało niespełna osiem tysięcy osób i przepytawszy członków załogi obozu, Marlene rozszerzyła poszukiwania na byłych więźniów.

Okazało się, że spośród personelu medycznego w obozie nie został nikt, gdyż w połowie stycznia wszyscy lekarze zostali ewakuowani – łącznie z doktorem Mengele, który, jak głosiła plotka, przeniósł się na Dolny Śląsk, do obozu Gross-Rosen.

Rosjanie wciąż zmagali się z panującym w obozie chaosem. Uciekając, Niemcy starali się zostawić jak najmniej dokumentów, lecz część archiwum została w komendanturze i teraz czekała na przejrzanie. Marlene pomagała w rejestracji ocalałych, układając listy z ich nazwiskami i miejscem pochodzenia. Od czasu do czasu zdarzały się wśród nich czarne owce, jako że do obozów koncentracyjnych trafiali również zwykli kryminaliści – i to właśnie oni, ludzie tacy jak Lena, najczęściej byli mianowani funkcyjnymi i wykonywali swoje obowiązki z okrucieństwem nie mniejszym niż strażnicy z SS. Po wyzwoleniu obozu dawne rachunki krzywd w znacznym stopniu zostały wyrównane, gdyż doszło do samosądów i linczów. Biorąc pod uwagę te wszystkie okoliczności, Marlene uznała, że major Szapiro ma do wykonania naprawdę trudne zadanie.

Nazajutrz Marlene planowała przesłuchać Niemców, których czerwonoarmiści schwytali w trakcie ucieczki i zamknęli w jednym z obozowych baraków. Major Szapiro pozwolił jej wypytać jeńców. Marlene była wdzięczna Opatrzności, że posłała tu akurat tego człowieka.

Do tej pory nie natrafiła na żaden ślad Trudi ani doktora Siebenbürgena. Ani doktora Friehlinga. Odnalazła natomiast kilka dawnych podopiecznych Jolanty i to od nich dowiedziała się, że nalot, który umożliwił jej ucieczkę z obozu, był pierwszym z całej serii bombardowań obozowej fabryki. I że podczas jednego z nich zginęła Cyganka Ceija, ostatnia ze swego klanu, a rudej Oldze i Małgorzacie

udało się uciec z obozu.

Dziewczęta kolejno zjawiały się w szpitalu, by opiekować się chorymi i osłabionymi oraz pomóc Marlene w poszukiwaniach. O dziwo, kilka dni po wyzwoleniu obozu zjawily się nawet niektóre z tych dziewcząt, które Ewald zabrał z baraku kilka miesięcy temu i o których od tej pory słuch zaginął. Los sprawił, że podopieczne madame znów się spotkały.

– Co teraz zamierzasz? – spytała Jolanta, spoglądając na Marlene. Właśnie skracała długie włosy Colina.

„Dobre pytanie”, pomyślała Marlene. Rozważała rozmaite możliwości. Wojna jeszcze się nie skończyła i chociaż Armia Czerwona niepowstrzymanie parła na zachód, to od Berlina dzieliło ją jeszcze pięćset kilometrów. Tymczasem zachodni alianci zajęli połowę terytorium okupowanej Francji i szykowali się do przeprawy przez Ren. Rosjanie i Amerykanie od dawna ścigali się, kto pierwszy dotrze do stolicy Rzeszy, i Rosjanie chcieli za wszelką cenę wygrać ten wyścig.

Marlene przygotowała w głowie listę spraw, które zamierzała załatwić po wojnie. Jednym z punktów było odnalezienie Brunnmanna. No i Debory, która wedle jego słów wciąż żyła. Marlene miała nadzieję, że jeśli uda jej się znaleźć Brunnmanna, znajdzie również Deborę. Bardzo pragnęła ją zobaczyć, lecz z drugiej strony ciągnęło ją też do Brandenburga, do babci Charlotte.

Jolanta miała własne plany. Najpierw zamierzała udać się do Marsylii, gdzie mieszkał brat jej zmarłego męża. Wiedziała, że tam znajdzie oparcie i pewne schronienie. Do Holandii nie chciała wracać. Nie mogłaby żyć wśród dawnych sąsiadów, którzy wydali ją w ręce gestapo. Nie zamierzała jednak zostać we Francji na stałe. Planowała wrócić do rodzinnego Hongkongu, tyle że ten od 1941 roku pozostawał pod japońską okupacją. Oczywiście na razie i tak trzeba było poczekać z wyjazdem do czasu, gdy sytuacja się ustabilizuje i będzie można spokojnie przemierzyć zniszczoną Europę. No i mały Colin musiał odzyskać siły. Chłopiec przez większą część doby spał, a kiedy się budził, myślał wyłącznie o jedzeniu.

Do rozstrzygnięcia została jeszcze jedna sprawa: co zrobić z dziećmi ukrywanymi przez doktora w szpitalnej piwnicy. Ich rodzice zginęli, dlatego Marlene i Jolanta postanowiły, że przed wyjazdem muszą im zapewnić odpowiednią opiekę. Marlene czuła, że jest to winna doktorowi, który uratował te biedne maleństwa przed bestialskimi eksperymentami Josefa Mengele, dlatego przy okazji prowadzonych w obozie poszukiwań próbowała również odnaleźć choćby dalekich krewnych tych dzieci. Potem zamierzała ruszyć na zachód i podążając za oddziałami Armii Czerwonej, przedrzeć się do Brandenburga. Miała nadzieję, że może w drodze odnajdzie Trudi, która prawdopodobnie opuściła obóz wraz z doktorem Siebenbürgenem. Kto wie, może uda się nawet natrafić na jakiś ślad doktora Frieblinga? Marlene uporczywie starała się odpędzić od siebie myśl, że Trudi znalazła się w owej sześćdziesiątysięcnej grupie nieszczęśników, których komendant Baer wysłał w ostatnich dniach przed wyzwoleniem w marszu śmierci na zachód. Przy okazji zanotowała w głowie, by na swojej

liście obok nazwisk Brunnmanna i Josefa Mengele umieścić również Richarda Baera.

– Przyszłość to zagadka, lecz nie dla kogoś, kto ma dziecko. Wówczas liczy się dzień dzisiejszy – stwierdziła filozoficznie Jolanta, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi na swoje pytanie.

– Znów zaczynasz mówić zagadkami? – odparła Marlene, która nie pierwszy raz miała wrażenie, że Jolanta czyta w jej myślach. Czyta, lecz nie ocenia ani tym bardziej nie potępia. Była bowiem najbardziej niezależną osobą, jaką Marlene spotkała na swojej drodze, i w naturalny sposób dawała praw do tej samej niezależności innym.

– A cóż w tym zagadkowego? – spytała madame, rozgniatając gotowany ziemniak i podając *purée* Colinowi. – Spodziewasz się dziecka, wciąż jesteś osłabiona, wszystko cię boli. Powinnaś odpocząć, nabrać sił, dopiero potem możesz wyruszyć na krucjatę. Brunnmann może zaczekać. Zresztą... kto wie? Może nie doczeka końca wojny?

– Obawiam się, że złego diabli nie biorą. Poza tym nic mnie nie boli, a dziecku nic nie dolega.

– A twoja noga?

– Jesteś nieznośna – powiedziała Marlene z irytacją i pomasaowała udo.

Przywykła nie okazywać słabości. Uważała, że kto okazuje słabość, naraża się na atak. Powiodła czubkami palców po bliźnie. Czowała, jakby miała pod nią jakąś twardą bryłę, ziarenko, z którego wyrastały bolesne pędy rozchodzące się po całym ciele.

– Kiedy ciało zaczyna boleć, to znak, że trzeba odpocząć.

– Następna japońska mądrość? – odparowała Marlene i zaraz spostrzegła, jak bardzo stała się drażliwa.

Uznała, że to dlatego, iż przez ostatnie kilka lat była zdana na łaskę ludzi, którzy pozbawili ją wolności, torturowali, trzymali w zamknięciu i zmuszali do robienia najokropniejszych rzeczy. Dlatego teraz nawet życzliwe rady odbierała jako zamach na swoją wolność. Poza tym chciała jak najszybciej wyruszyć w drogę, by w końcu po sześciu latach zobaczyć się z ukochaną babcią. Każdy dzień zwłoki był niepowetowaną stratą dla starszej pani i Marlene rozpaczliwie nie dopuszczała do siebie myśli, że może nie zdążyć się z nią zobaczyć. Pocieszała się, że babcia Charlotte jest jak stary dąb – sama zdecyduje, kiedy nadejdzie pora upaść.

A jednak organizm rządził się własnymi prawami i Marlene musiała się poddać. Lekarz, który ją badał, stwierdził, że ciąża, wielomiesięczne niedożywienie i nadludzki wysiłek wyczerpały jej siły i koniecznie musi odpocząć.

Resztę lutego i cały marzec spędziła w baraku szpitalnym, zwracając wszystko, co zjadła. Dopiero na początku kwietnia na tyle odzyskała siły, by się utrzymać na nogach. Mimo to musiało upłynąć jeszcze kilka tygodni, nim wydobrzała i mogła wyruszyć w drogę. Jolanta została i opiekowała się nią równie troskliwie jak wcześniej Colinem. I tak oto coś, co zrazu opierało się na wzajemnym szacunku, niepostrzeżenie przeistoczyło się w głęboką przyjaźń.

Również Olga nie zapomniała o dawnej sąsiadce z pryczy. Codziennie odwiedzała Marlene, za każdym razem – ku uciechu małego Colina – przynosząc coś do jedzenia. Niestety aprowizacja wciąż pozostawiała wiele do życzenia, a zapasy pozostawione w magazynach SS szybko się wyczerpywały. A czasem zwyczajnie rozpływały się w powietrzu, jak zauważył rosyjski sanitariusz, z którym zaprzyjaźniła się Olga – zwłaszcza odkąd major Szapiro i jego batalion opuścili Auschwitz i pomaszerowali na zachód.

Wojna wciąż trwała, toteż Jolanta i Marlene, zdając sobie sprawę z tego, że w tych okolicznościach podróż na zachód byłaby zbyt ryzykowna, ponownie odłożyły ją w czasie. Marlene coraz bardziej się niecierpliwiła. Od wyzwolenia obozu minęło kilka miesięcy i kiedy odzyskała siły, niczego nie pragnęła tak bardzo jak tego, by w końcu opuścić to straszne miejsce.

5 dni do „Dnia 0”

Pod koniec kwietnia 1945 roku członkowie tak zwanej Freiheitsaktion Bayern zajmują dwie radiostacje. Żądają bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, wyplenienia faszyzmu i „pruskiego militarizmu” oraz „przywrócenia praw podstawowych”.

Próba pozyskania wsparcia alianckich jeńców ze stalagu VIIa w Moosburgu kończy się fiaskiem i oddziały SS w ciągu kilku godzin odzyskują zajęte budynki.

Dwa dni przed wkroczeniem amerykańskich oddziałów do Monachium buntownicy zostają schwytani przez SS i czterdziestu z nich zostaje straconych. Ich nazwiska do dziś pozostają nieznane.

Istnieją szczepy termitów, które umierają w chwili, gdy umiera królowa. Tak też żołnierze winni są posłuszeństwo swojemu wodzowi, który jest twardy, lecz sprawiedliwy. Dlatego idź za tym, kto jest prawdziwym wodzem!

Führer Adolf H. z B.

na temat pewnego fenomenu biologicznego

Wyruszyły w drogę 25 kwietnia. Zaprzyjaźniony z Olgą sanitariusz zawiózł je samochodem aż do Wodzisławia, skąd odjeżdżały pociągi na zachód. Rosjanie prowizorycznie naprawili uszkodzoną sieć kolejową, by można było dostarczać na front zaopatrzenie. Przed opuszczeniem obozu i wyjazdem walczącym wojskom major Szapiro wystawił im odpowiednie przepustki, które umożliwiały podróż przez tereny zajęte przez Armię Czerwoną.

Ani Marlene, ani Jolanta nie miały żadnych dokumentów poświadczających ich tożsamość. Naziści najpierw uznali je za bezpaństwowców, a potem, uciekając z Auschwitz, zniszczyli większość obozowego archiwum. Musiało minąć wiele czasu, nim Marlene udało się uzyskać z Czerwonego Krzyża zaświadczenie, że były żydowskimi więźniarkami obozu Auschwitz-Birkenau. Biura Czerwonego Krzyża borykały się z istnym nawałem spraw i problemów, a hydra biurokracji powoli podnosiła już głowę.

Na szczęście w warunkach wojennych wciąż pozostawało miejsce na improwizację, toteż Marlene własnoręcznie wypisała stosowne zaświadczenia, a następnie Olga przetłumaczyła je na rosyjski i załatwiła niezbędne podpisy i pieczętki.

Rosyjska sanitarka zawiozła je aż pod sam dworzec w Wodzisławiu. Dzień wyjazdu przyniósł dwie niespodzianki: najpierw Jolanta obwieściła, że osobiście odwiezie Marlene aż do Brandenburga, do babki Charlotte, od której w dalszym ciągu nie było żadnych wieści, a następnie w podróży postanowiła im towarzyszyć Olga. Uzasadnienie podała krótkie, ale przekonujące: chciała zobaczyć świat. Jej pierwszym celem była Ameryka, toteż postanowiła jechać tam, gdzie są Amerykanie...

Tymczasem Rosjanie wygrali wyścig z zachodnimi sojusznikami i okrążyli Berlin – głównie dlatego, że pod koniec marca głównodowodzący wojsk sprzymierzonych generał Eisenhower postanowił zostawić zdobycie niemieckiej stolicy oddziałom Armii Czerwonej, w związku z czym brytyjski marszałek Montgomery, chcąc nie chcąc, musiał zatrzymać marsz swoich wojsk.

Bitwa o Berlin trwała od dziesięciu dni i jednostki marszałka Żukowa przekroczyły już granice miasta w dzielnicy Marzahn. Krążyły plotki, że Hitler zabarykadował się w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy, choć niektórzy twierdzili, że zdążył uciec z Berlina samolotem i ukryć się w swojej tajnej Kwaterze Głównej. Zdarzali się i tacy, którzy utrzymywali, że Führer ukrywa się za linią frontu, na terenie dawnego Generalnego Gubernatorstwa lub Kraju Warty.

Kiedy tego rodzaju spekulacje obły się o uszy Marlene, ta spontanicznie pomyślała o systemie tuneli wydrążonych w Górach Sowich. Czyżby nazistowski wódz rzeczywiście schronił się pod Wałbrzychem? Ukrycie się w miejscu, gdzie nikt się go nie spodziewał, byłoby bardzo sprytnym posunięciem. Przyczajony daleko za linią frontu, mógłby spokojnie poczekać na odpowiedni moment i uciec.

Gdyby nie to, że była w siódmym miesiącu ciąży, bez namysłu ruszyłaby w kierunku Wałbrzycha. Przez chwilę myślała o tym, by skontaktować się z majorem Szapirą i podzielić się z nim swoimi podejrzeniami, lecz w ostatniej chwili coś ją powstrzymało – nie tylko pragnienie, by jeszcze przed porodem zobaczyć się z ukochaną babcią, lecz również obawa, że ostatecznie rozwieją się jej nadzieje. Gdyby bowiem major dał wiarę jej słowom, Rosjanie zapewne zaczęliby kopać w okolicach tunelu, a wtedy mogliby znaleźć ciało doktora. Marlene obawiała się, że nie udźwignęłaby poczucia winy, i postanowiła trwać w niepewności. Wolała samą siebie okłamywać. Pierwszy raz w życiu stchórzyła. Dopiero dużo później zrozumiała, że źródłem tej słabości i ostrożności było dziecko, które nosiła pod sercem. Jej ciało i dusza miały teraz inne priorytety, obce dawnej Marlene.

Przyjaciółki przemierzały spustoszoną krainę. Pociąg często się zatrzymywał, gdyż bez przerwy trzeba było naprawiać tory lub usuwać z nich rozmaite przeszkody. Czasem, gdy linia kolejowa prowadziła wzdłuż drogi, widziały niekończące się kolumny niemieckich jeńców pilnowanych przez czerwonoarmistów. Tu i ówdzie w grupie więźniów wśród szarzielonych mundurów Wehrmachtu dało się zauważyć cywilne ubrania. Raz po raz napotykały też długie procesje uciekinierów – tłum wychudzonych starców, kobiet i dzieci ciągnących wózki z resztkami dobytku. Marlene nie dostrzegła wśród nich ani jednego młodego mężczyzny. Wojna bezlitośnie wyrwała ich z domów i rozdzieliła rodziny.

Rankiem 27 kwietnia, gdy do celu zostało im około pięćdziesięciu kilometrów, pociąg zatrzymał się na dłużej. Olga poszła zasięgnąć języka, a po powrocie obwieściła, że rosyjskie oddziały właśnie zajęły Brandenburg, choć w mieście trwają jeszcze drobne potyczki.

Następne dwa dni spędziły w stojącym na boczniczy pociągu. Deszcz bębnił o dach wagonu. Pogoda od kilku dni była fatalna – deszcz na zmianę z opadami śniegu. Olga i Jolanta z trudem powstrzymały Marlene, która była gotowa wysiąść z pociągu i dalej iść pieszo.

29 kwietnia pociąg wreszcie ruszył w dalszą drogę, a gdy dotarły do Brandenburga, okazało się, że miejscowy dworzec został zbombardowany i transport musiał się zatrzymać na wschodnich obrzeżach

miasta.

Rosyjski porucznik, którego w drodze Olga owinęła sobie wokół palca, niechętnie wypuścił je z pociągu, na pożegnanie przydzielając im do pomocy jednego ze swoich ludzi. Ten, sądząc po minie, nie był zachwycony, lecz sumiennie wypełnił rozkaz dowódcy.

Miasto wyglądało upiornie. Ulice były zupełnie opustoszałe i po drodze nie spotkały właściwie nikogo z mieszkańców – nie licząc kilku starców i grupki pilnowanych przez czerwonoarmistów jeńców, którzy usuwali z ulicy gruzy. Marlene w pierwszej zdziwił brak kobiet w mieście, lecz zaraz domyśliła się, że prawdopodobnie zabarykadowały się w domach. Przypomniała sobie przyniesioną przez Olgę plotkę, jakoby Stalin w tajnym rozkazie dla armii uznał wszystkie niemieckie kobiety za zdobycz wojenną.

Co jakiś czas natrafiały na rosyjskie patrole systematycznie przeszukujące domy, a kobiece krzyki świadczyły o tym, że czerwonoarmiści wzięli sobie do serca rozkaz swojego wodza. Biorąc pod uwagę stan Marlene i obecność małego Colina, nawet nie próbowały przyjść z pomocą napastowanym.

Marlene szła za torującym jej drogę czerwonoarmistą i patrząc na zbombardowane miasto, myślała o tamtym lipcowym dniu, gdy stała nad dymiącymi zgliszczami kamienicy przy Prinzregentenplatz. Nie mogła uwierzyć, że od tamtej chwili upłynęło zaledwie pięć miesięcy. Czują, jakby minęły lata, dziesięciolecia, wręcz całe życie.

Po trzech godzinach marszu okazało się, że to nie koniec podobieństw do tamtego feralnego dnia, gdyż i tym razem stanęła przed ruinami domu. Ponieważ cegły zostały już częściowo usunięte i ułożone w równych stosach, domyśliła się, że budynek został zniszczony jakiś czas temu. Jednak pamiętając, że wtedy, w Monachium, myliła się i Deborah ponoć wcale nie zginęła pod gruzami, postanowiła, że drugi raz nie popełni tego samego błędu. Założyła, że jej babcia żyje, i postanowiła ją odnaleźć. Pytanie tylko jak! U kogo szukać pomocy wśród tego wojennego zamętu?

Rozejrzawszy się, w ruinach po drugiej stronie ulicy dostrzegła jednonogiego starca, który najwyraźniej ją obserwował. Wspierając się na kulach, z nogawką zawiniętą powyżej kolana, pokuśtykał w jej stronę. Marlene pospieszyła mu naprzeciw. Mężczyzna, który, jak się okazało, mieszkał po sąsiedzku, poinformował ją, że mieszkańcy zburzonego domu dwa miesiące wcześniej wyjechali do Nadrenii, do Wiesbaden, gdzie podobno mieli krewnych. Okazało się, że staruszek znał babcie Charlotte i potrafił ją dokładnie opisać. Marlene podziękowała za informacje i w dowód wdzięczności wręczyła mężczyźnie kawałek chleba i marchew.

Czekała je zatem podróż przez całe Niemcy.

– Wygląda na to, że jeszcze kawałek pojedziemy razem – skwitowała nowiny Jolanta.

Czerwonoarmista, uznawszy, że wypełnił rozkaz, chciał wracać do pociągu, lecz Olga zasypała go taką lawiną rosyjskich słów, że chcąc nie chcąc, odprowadził je aż do południowych granic miasta.

Zdane od tej pory wyłącznie na siebie, postanowiły omijać główne drogi i iść przez pola. Pod

wieczór znalazły schronienie w domu kobiety, której mąż zaginął bez wieści podczas pierwszej kampanii francuskiej, w 1940 roku. Tu pierwszy raz od wielu dni zjadły ciepły posiłek – zupę, którą gospodyni ugotowała z podarowanych przez Marlene i Jolantę buraków.

Następnego ranka w podziękowaniu za gościnę ofiarowały kobiecie sześć konserw mięsnych, które Marlene dostała od majora Szapiry i zapobiegliwie zachowała na drogę. Oprócz tego zostawiły gospodyni odrobinę złota, które Jolanta przed wyjazdem zabrała ze skrytki urządzonej przez Brunnmanna w willi na obrzeżach obozu. W swoim plecaku madame miała niemal dwa kilogramy drogiego kruszcu. Marlene nie chciała go tknąć, twierdząc, że jest na nim krew żydowskich ofiar, lecz Jolanta przemówiła jej do rozsądku, mówiąc:

– Jeśli jest na nim krew, to znaczy, że prawowici właściciele nie żyją. Im to złoto na nic się już nie przyda, a nam owszem.

– Jak myślisz, dlaczego je ukrył?

– To oczywiste. Wiedział, że wojna się kończy, i chciał się zabezpieczyć na przyszłość. Jestem pewna, że miał więcej takich skrytek.

„Dzień 0”

„Nie licząc miasta Essen, nigdy nie obieraliśmy za cel zakładów przemysłowych. Zniszczenie fabryki uznawaliśmy za dodatkową korzyść. Naszym zasadniczym celem zawsze były centra miast”.

Arthur Harris (1892–1984),
naczelnny dowódca RAF Bomber Command

Kiedy po raz pierwszy wypowiedziano słowo „pokój”, na giełdzie zapanowała panika. Ludzie krzyčeli: „Tak się staraliśmy! Nie zabierajcie nam wojny! Zasłużyliśmy na nią!”.

Karl Kraus (1874–1936),
pisarz, publicysta, satyryk

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyły w drogę. Padające od wielu dni deszcze wreszcie ustały, niebo zaczęło się przejaśniać i wkrótce pokryło się wiosennym błękitem, a ptaki zaśpiewały z radości. Widząc, że jest ich wyjątkowo mało, Marlene doszła do wniosku, że zapewne i one padły ofiarą okrutnej wojny.

Z daleka wciąż dobiegały echa wybuchów, a każdy podmuch wiatru niósł swąd spalenizny.

– Mam dość tego smrodu – stwierdziła Olga, ze wstrętem marszcząc nos. – Pamiętacie obozowy odór? Nie wiem, czy kiedykolwiek wezmę jeszcze do ust mięso.

Jolanta i Marlene wymieniły znaczące spojrzenia. Czuły to samo co Olga, dlatego żadna z nich nie tknęła puszek, które dostały od majora Szapiry.

Postanowiły ominąć Magdeburg, gdyż nie wiedziały, w czyich rękach znajduje się miasto. Wkrótce jednak spotkały na swojej drodze marudera w niemieckim mundurze. Był jeszcze prawie dzieckiem i kiedy poprosił o coś do jedzenia, dały mu kawałek chleba i jabłko. W zamian dowiedziały się od niego, że w Magdeburgu stacjonują już wojska amerykańskie i tylko na zachodnim brzegu Łaby dochodzi jeszcze do wymiany ognia z niemiecką artylerią.

Kilka godzin później dotarły do miasta. Niestety nie udało im się znaleźć żadnej kwatery, ponieważ Magdeburg był niemal kompletnie zniszczony. Dowodzący miejscowym garnizonem fanatyk w mundurze SS postanowił dowieść swojej wierności Führerowi i kazał bronić miasta do ostatniej kropli krwi. W ten sposób zmusił Amerykanów do użycia lotnictwa i dosłownie w ostatnich dniach wojny doprowadził do całkowitego zburzenia miasta. Zabytkowa starówka została dosłownie zrównana z ziemią.

W tej sytuacji Marlene i jej towarzyszki, chcąc nie chcąc, ruszyły dalej. W końcu, kilka kilometrów za miastem, znalazły prowizoryczne schronienie. W zamian za konserwę gospodarz pozwolił im prznocować w zniszczonej stodole, w której rdzewiał stary traktor. W środku było zimno

z hulał wiatr, ale miały przynajmniej dach nad głową i towarzystwo: pod snopem słomy znalazły kotkę z małymi. Colin był zachwycony. Podzielił się z maleństwami jedzeniem, a gdy nazajutrz musiał się z nimi rozstać, był niepokieszony.

Następnym większym miastem na ich szlaku była Getynga, lecz aby tam dotrzeć, musiały pokonać sto sześćdziesiąt kilometrów i Łabę. Tym razem jednak dopisało im szczęście, bo chociaż Niemcy przed wycofaniem się z miasta wysadzili wszystkie przeprawy, by utrudnić Amerykanom marsz na Berlin, to dzień wcześniej udało się doprowadzić jeden z głównych mostów do takiego stanu, że mogły po nim nawet jeździć tramwaje. Tak też przeprawiły się na drugi brzeg rzeki.

Krótką podróż odbyły w dusznym wagonie pełnym pozbawionych dachu nad głową mieszkańców, lecz dźwięk tramwajowego dzwonka przypomniał Marlene beztroskie dzieciństwo w Berlinie. Pierwszy raz od dawna poczuła słodki smak pokoju i bezpieczeństwa.

Nastawiła uszu, łowiąc nowiny, lecz do miasta najwyraźniej nie docierały wieści z oblężonego Berlina. Wszyscy wokół byli zajęci swoimi sprawami: zamartwiali się, gdzie spędzą najbliższą noc, opłakiwali zmarłych, przyjezdni rozglądali się po obcym mieście. Po ulicach wlokły się kolumny uciekinierów z innych miast i regionów Rzeszy, ciągnąc za sobą wózki z mizernym dobytkiem. Tylko jedna starsza pani w kapeluszu i kostiumie przywołującym na myśl przedwojenny szyk krzyczała, że Führer walczy za ojczyznę i z pewnością pokona wrogów. Jednak kobieta siedząca obok szturchnęła ją łokciem w bok i syknęła:

– Zamknij gębę!

Shczęście dopisało im tego dnia jeszcze dwa razy. Najpierw, zaraz po wyjeździe z miasta, napotkały chłopca z furmanką, który zaoferował im podwózkę, a potem, późnym popołudniem, gdy postanowiły poszukać noclegu, w miejscowej gospodzie Olga spotkała oficera Armii Czerwonej, a dowiedziawszy się, że ten jedzie w kierunku Getyngi, zagadnęła go, pokazała dokumenty i przekonała, by je zabrał ze sobą. Z jakiego powodu Rosjanin sam podróżuje po terenach zajętych przez Amerykanów, nie udało jej się dowiedzieć.

– Tajemnica – odpowiedział oficer.

Tymczasem Marlene rozmawiała z właścicielem gospody, od którego usłyszała, że pierwszego maja admirał Dönitz poinformował przez radio o śmierci Hitlera, a dzień później Berlin skapitulował i sowiecki sztandar zawisł na Reichstagu.

Tego i kolejnego dnia dotarły do nich sprzeczne informacje. Z jednej strony wciąż nadawała „szczekaczka Goebbelsa”, czyli niemieckie radio, którego lektor wrzaskliwym tonem informował, że Führer bohatersko oddał życie za ojczyznę, z drugiej zaś – samozwańczy przywódca grupy uciekinierów twierdził, że Hitler tchórzliwie zabarykadował się w swoim bunkrze i popełnił samobójstwo. O ile pierwsza wersja wydawała się kompletnie niewiarygodna, o tyle druga zdaniem Marlene pasowałaby do Hitlera. Zdziwiło ją tylko jedno – to mianowicie, że Rosjanin, który przekazał

Oldze wiadomość o kapitulacji Berlina, ani słowem nie wspomniał o śmierci tyrana. Może więc komunikat podany przez Dönitza był sprytnym wybiegiem, mającym ukryć fakt, iż Hitlerowi udało się uciec z Berlina? Kiedy jednak o śmierci dyktatora poinformował „The Stars and Stripes”, organ prasowy amerykańskiej armii, zaczęła do siebie dopuszczać myśl, że Hitler naprawdę nie żyje.

I znów, jak to często bywało w jej życiu, zareagowała inaczej, niżli się spodziewała. Myślała, że na wieść o śmierci austriackiego potwora zacznie śpiewać i tańczyć z radości, wiedząc, że oznacza to koniec wojny, tymczasem nie poczuła nic. Zupełnie nic! Zbyt wiele razy w swym życiu doznała rozczarowania, by teraz tak łatwo uwolnić się od podejrzeń i wątpliwości. Nie potrafiła już wierzyć w dobro. Poza tym śmierć Hitlera nie cofnęła czasu i nie unieważniła bezmiaru cierpienia i śmierci, które zalały Europę. Jak więc mogła się cieszyć? Po tym, co widziała i co sama przeżyła?

CZĘŚĆ III

Bezkrólewie

W ostatnich miesiącach wojny po Niemczech krążyło ironiczne powiedzenie: „Cieszcie się, póki trwa wojna, pokój będzie straszny...”.

Odpryski wojny

Śmierć Adolfa H. z B.

Irlandia: Premier de Valera składa poselstwu Rzeszy kondolencje z powodu śmierci Adolfa H. z B.

Portugalia: Prezydent Salazar zarządza dzień żałoby po śmierci Adolfa H. z B.

Wojna na morzu

Co najmniej 5000 byłych więźniów różnych narodowości utonęło wskutek nalotu RAF-u na Lubekę. Zatopiono liniowiec pasażerski Cap Arcona oraz frachtowiec Thielbek.

Niemcy celowo nie umieścili na wyżej wymienionych statkach oznaczeń Czerwonego Krzyża, gdyż chcieli, by Brytyjczycy je zatopili, usuwając przy okazji świadków zbrodni dokonywanych w obozach koncentracyjnych.

Dotarli do Getyngi. Stare miasteczko uniwersyteckie na pierwszy rzut oka wydawało się mniej zniszczone niż Magdeburg, choć sam dworzec dość mocno ucierpiał.

8 kwietnia Getynga znalazła się w rękach Amerykanów i od tej pory w mieście kłębił się tłum uchodźców – i być może z tego właśnie powodu tu właśnie Marlene i jej towarzyszki po raz pierwszy od wyjazdu z Auschwitz przeszły poważną kontrolę. O dziwo, wystawione przez Rosjan dokumenty z początku wzbudziły nieufność Amerykanów, lecz po krótkim wahaniu przepuszczono je dalej. Najwyraźniej władze amerykańskie w tym początkowym okresie skupiały się na wyłapywaniu zabłąkanych niemieckich żołnierzy i uciekających nazistów.

Wojna wciąż trwała. Co prawda Hitler nie żył, lecz przed śmiercią w swoim politycznym testamencie wyznaczył admirała Dönitza na nowego szefa rządu i przekazał mu dowództwo nad Wehrmachtem. Nawet na zajętych już terenach alianckie oddziały musiały nieraz prowadzić bezsensowne walki z jednostkami SS, które częstokroć poddawały się dopiero wtedy, gdy kończyła się im amunicja. Albo ginął ostatni fanatyk.

Ponieważ szerzyły się plotki o napadach rabunkowych, Marlene zaproponowała przyjaciółkom, by wmieszały się w tłum uchodźców i spędziły noc na polu w okolicach miasteczka Friedland. Co prawda w ten sposób nakładały nieco drogi, ale przynajmniej czuły się dużo bezpieczniej.

Kolejny raz sprawdziły drogę na mapie, którą Olga „zorganizowała” od znajomego Rosjanina. Do Wiesbaden, gdzie miały nadzieję znaleźć babcię Charlotte, zostało im jeszcze dwieście kilometrów. Niestety kolej wciąż nie działała, a jeśli już jakiś pociąg jechał, był przeznaczony wyłącznie dla wojsk sprzymierzonych. Niemcy mieli chodzić pieszo.

Marlene usiadła obok Jolanty, która właśnie masowała kolano małego Colina. Robiła to codziennie rano oraz podczas każdego postoju. Chłopiec miał krzywe nóżki, które z tego powodu szybko zaczynały go boleć. Stąd też – mimo że malec był bardzo dzielny i zapewniał, że może iść sam – większość drogi przebył na rękach, niesiony na przemian przez Jolantę i Olgę. W tym celu Jolanta przygotowała z prześcieradeł coś w rodzaju szelek, które na zmianę z rudowłosą Ukrainką wiązały sobie na brzuchu. Marlene z powodu zaawansowanej ciąży nie mogła im pomóc.

W Giessen natrafiły na następny punkt kontrolny i tym razem znalazły się w poważniejszych kłopotach. Pod koniec marca miasto zostało zajęte przez Amerykanów, dlatego z początku myślały, że

i tym razem wątpliwości wzbudziły wystawione przez Rosjan dokumenty, lecz okazało się, że podejrzenia wiązały się z azjatyckimi rysami Jolanty, która nie zdawała sobie sprawy z tego, że w związku z wojną na Pacyfiku Amerykanie mają wprost paranoję na punkcie Azjatów – do tego stopnia, że po ataku na Pearl Harbour władze amerykańskie umieściły wszystkich obywateli pochodzenia japońskiego w obozach internowania. Gorliwi żandarmi omal nie aresztowali Jolanty, lecz na szczęście ta, wychowana w Hongkongu, władała znakomitą brytyjską angielszczyzną i przypadek – zwany przez nią samą przeznaczeniem – sprawił, że fakt ten wzbudził ciekawość dwóch oficerów – Brytyjczyka i Amerykanina. Ci sprawdzili dokumenty madame i jej towarzyszek, a gdy podały im cel swojej podróży, Amerykanin oświadczył, że w Wiesbaden organizuje się właśnie amerykańska administracja okupacyjna. Potem oficerowie spojrzeli na biednego Colina, ukradkowo zerknęli na pokaźny brzuch Marlene – i nie tylko przepuścili Azjatkę i jej przyjaciółki, lecz nadto zaoferowali im pierwszy od początku podróży wygodny nocleg. Marlene odetchnęła z ulgą, wyobrażając sobie, co by się mogło stać, gdyby w trakcie przeszukania żandarmi znaleźli w plecaku Jolanty dwa kilogramy złota.

Po tej przygodzie było już jasne, że pilnie potrzebują nowych dokumentów, gdyż następna kontrola mogła się skończyć mniej szczęśliwie. Od tej pory Jolanta nosiła też na głowie chustkę i opuszczała głowę, gdy tylko w pobliżu pojawiali się amerykańscy żołnierze.

Kiedy w końcu dotarły do Wiesbaden, okazało się, że pod wskazanym przez amerykańskiego oficera adresem utworzyła się już pokaźna kolejka. Marlene, chociaż okropnie bolały ją nogi, dzielnie dołączyła do czekających. W tym momencie zależało jej nie tyle na zdobyciu nowych dokumentów, ile na odnalezieniu babki. Nie zdążyła jednak posunąć się nawet o krok naprzód, gdy usłyszała swoje imię. Rozejrzała się wokół i zauważyła, że w drzwiach sąsiedniego domu, a właściwie tego, co po nim zostało, ktoś żywo gestykułuje, próbując zwrócić na siebie jej uwagę.

W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wiedziała, że ludzie szukający zaginionych w wojennym zamęcie bliskich często ulegają osobliwemu złudzeniu i wyolbrzymiają najmniejsze nawet podobieństwo, byle tylko rozbudzić w sobie iskierkę nadziei, jednak to nie było złudzenie! To była naprawdę Trudi! Która *notabene* najwyraźniej zdążyła się już wpakować w jakąś kabałę, bo gdy w zasięgu wzroku pojawił się amerykański jeep, natychmiast zniknęła w ruinach.

– Zaczekajcie tu na mnie – powiedziała Marlene i zostawiwszy Jolantę i Olgę na końcu kolejki, ruszyła w stronę ruin.

Kiedy tylko przekroczyła próg dawnych drzwi frontowych, Trudi z płaczem rzuciła się jej na szyję. Z początku Marlene nie rozumiała tego, co mówi jej młoda przyjaciółka, lecz po chwili dotarł do niej sens wypowiedzianych ze szlochem słów.

– Niebiosa mi cię zesłały! Musisz mi pomóc! Oni go zamknęli w obozie! – Trudi mówiła szybko i chaotycznie, jakby była w gorączce.

– Co? Kogo? – Marlene nie mogła zebrać myśli, wciąż uradowana niespodziewanym spotkaniem.

– Naszego doktora! Uciekliśmy razem, ale potem złapali go Amerykanie.

Marlene poczuła, że kręci jej się w głowie. Dzień był gorący i miała za sobą kilkugodzinny marsz w upale, więc świat wirował jej przed oczami.

Kiedy Trudi wspomniała o doktorze, na chwilę ogarnęła ją szalona nadzieja, że mówi o doktorze Friehlingu, szybko jednak się otrząsnęła, nabrała powietrza i zapytała:

– Amerykanie aresztowali doktora Siebenbürgena? – Odgarnęła z czoła mokry kosmyk.

Odpowiedź Trudi zaparła jej dech w piersi.

– Nie! Mówiłam o doktorze Friehlingu!

Marlene chwyciła Trudi za ramię – również dlatego, że nogi się pod nią ugięły.

– On... żyje?

– Jest ciężko chory, a w obozie panują fatalne warunki. Proszę, musisz mu pomóc! – szlochała Trudi.

Marlene poczuła, że zawroty głowy jeszcze się wzmogły, przed oczami zatańczyły jej gwiazdy. Żeby tylko nie zemdlec!...

– Co to za obóz? – spytała resztką sił, odsuwając od siebie potworną wizję czegoś na kształt Auschwitz.

– Obóz jeniecki w Siershahn. Jest przepełniony, brakuje miejsca i jedzenia. Musisz porozmawiać z Amerykanami i go stamtąd wydostać. Proszę...

Trudi błagała ją całą sobą: spojrzeniem, głosem, całym ciałem. Marlene ze zdumieniem skonstatowała, że jej młoda przyjaciółka posądza ją chyba o nadprzyrodzone zdolności.

– Jak sobie to wyobrażasz? Myślisz, że mogę tak po prostu pójść do Amerykanów i zażądać, by mi go wydali?

– Przecież ciebie nie szukają...! – Trudi zasłoniła dłonią usta, jakby pożałowała swoich słów.

– Szukają cię Amerykanie? – Było coraz gorzej. Ta dziewczyna miała przedziwny dar ściągania na siebie kłopotów. Marlene zmrużyła oczy. Mogła się spodziewać wszystkiego. – Co znowu zrobiłaś?

– Nic. Uciekłam, kiedy nas złapali pod Giessen.

– Tylko tyle?

Raptem Trudi pilnie zaczęła oglądać swoje buty.

– Ukradłam im trochę jedzenia... Ale to dla doktora! Zresztą i tak nie mogłam mu go dać. Amerykanie strzelają do każdego, kto się zbliży do obozu.

Marlene uznała, że nie ma powodu nie wierzyć Trudi. Pozwoliła w końcu, by jej myśli powędrowały ku doktorowi. A więc on żyje! To znaczy, że go nie zabiła! Znów go zobaczy! Jej dziecko będzie mieć ojca! Niespodziewana nowina zwała się na nią jak potężna fala i odebrała jej

resztkę sił.

Czuła, że jej oczy za chwilę wypełnią się łzami, lecz powstrzymała je siłą woli. Musiała zachować jasność myśli. Potrzebowała jakiegoś planu działania. Musiała obmyślić sposób, jak wydostać doktora z obozu. Uratował wielu Żydów, więc może poszukać pomocy w Agencji Żydowskiej? Poznała kilku jej przedstawicieli w Auschwitz. Jednak przy całej euforii, choć z całego serca chciała dać wiarę słowom Trudi, wciąż nie знаła odpowiedzi na kilka pytań.

– Gdzie go spotkałaś? I co się stało z doktorem Siebenbürgenem?

Trudi przez chwilę się złościła – jak ktoś, kogo niesłusznie posądzają o kłamstwo.

– Co jakiś czas wymykałam się z piwnicy do gabinetu Gregora. W styczniu mnie złapali i wysłali z marszem śmierci. Tam spotkałam doktora Friehlinga.

– Ale jak on się tam znalazł?

– Przecież go nie pytałam! Wiem tylko, że był więźniem.

Marlene już miała wybuchnąć, gdy sobie uświadomiła, że przecież Trudi nie miała pojęcia, iż doktor tuż przed zamachem wszedł do tunelu. Marlene nie powiedziała o tym ani jej, ani nikomu innemu.

– I tak trafiliście do Giessen?

– Tak. Ktoś z personelu strażniczego pomógł doktorowi uciec. Dochodziliśmy już do Bergen-Belsen. Doktor zabrał mnie ze sobą. Chciał iść do Frankfurtu, bo ma tam przyjaciół. Słuchaj, który to miesiąc? – Trudi naraz zmieniła temat, jakby dopiero teraz zauważyła odmienny stan przyjaciółki.

Oniemiała wpatrywała się w wielki brzuch. Widząc na jej twarzy dziecięce wprost zdumienie, Marlene uświadomiła sobie, że Trudi ma dopiero piętnaście lat. Z bolesnym grymasem pomasowała się po krzyżu.

– Co teraz zrobisz? – spytała bojaźliwie dziewczyna.

– To co zawsze. Rozwiążę problem...

Odpryski wojny

Z podręcznika dla żołnierzy brytyjskich w Niemczech (1944):

„Istnieją przesłanki, by sądzić, że przywódcy niemieccy snują już plany trzeciej wojny światowej. Plany te za wszelką cenę należy udaremnić” (s. 34).

„Kiedy poznacie Niemców, pomyślicie zapewne, że są do nas bardzo podobni. Wyglądają tak jak my, tyle że rzadko zdarza się typ żylasty, przeważa zaś raczej typ wysoki, mięsisty i jasnowłosy, zarówno wśród mężczyzn, jak i wśród kobiet – zwłaszcza na północy” (s. 28).

„Naród niemiecki przejawia wielką miłość do muzyki i wydał bardzo znaczących kompozytorów i wykonawców. Beethoven, Bach, Brahms, Wagner – to wszystko Niemcy. W większości dużych miast odbywają się koncerty muzyki klasycznej” (s. 47).

„Nawet Hitler żywił do nas mimowolny szacunek, jak to wyznał w *Mein Kampf*. Zazdrościł nam imperium i podziwiał nasze cechy narodowe, które umożliwiły jego budowę – fantazję, przedsiębiorczość i upartą wytrwałość. Uważał jednak, że popadliśmy w dekadencję i utraciliśmy wspomniane cechy” (s. 37).

Gdzie wzrasta miłość, kwitnie życie – gdzie się pojawia nienawiść, grozi upadek.

Mahatma Gandhi (1883–1944)

Jeśli Marlene kiedykolwiek wątpiła, że miłość jest największą siłą w kosmosie, to następne tygodnie były dowodem na prawdziwość tych słów. Odyseja przez połowę Niemiec wyczerpała ją fizycznie i mentalnie, lecz mimo to, będąc w ósmym miesiącu ciąży, znalazła w sobie siły, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Dowiedziawszy się, że doktor żyje i przebywa w obozie jenieckim, najpierw postanowiła dokonać małego rekonesansu. Musiała się przekonać, czy da się nawiązać kontakt z jeńcami i przekazać im żywność i najpotrzebniejsze rzeczy. Krążyły plotki, że razem z bronią odebrano im również część żołnierskiego wyposażenia – w tym koce. Mówiono też, że tylko komendant obozu ma prawo w wyjątkowych wypadkach zezwolić na udzielenie jeńcowi pomocy przez najbliższych krewnych. W tej sytuacji ani Trudi, ani Marlene nie miały szans skontaktować się z doktorem, dlatego Marlene zwróciła się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Okazało się jednak, że nawet przedstawiciele tej organizacji nie mają prawa wstępu do obozu. Udało się jedynie potwierdzić, że doktor Peter Friebling istotnie został zarejestrowany jako jeńiec wojenny, co ostatecznie rozwiało wątpliwości Marlene i potwierdziło relację Trudi. Korzystając z okazji, Marlene postanowiła wpisać na listę poszukiwanych Deborę Berchinger i – po krótkim wahaniu – Ernsta Meistera. Wtedy zaś okazało się, że sama figuruje na tej liście, wpisana przez swoją babcię! Obok znajdowała się adnotacja z aktualnym adresem pani Charlotte von Dürkheim. Dom w Wiesbaden najwyraźniej został zbombardowany, lecz babka Marlene przeżyła i obecnie przebywała w gościnie u dawnej przyjaciółki w Akwizgranie. Marlene natychmiast wysłała do niej krótki list z informacją, że jest cała i zdrowa, lecz tymczasem musi zostać w Wiesbaden.

Następnie nawiązała kontakt z Agencją Żydowską, która sprawowała pieczę nad ocalonymi z obozów koncentracyjnych. Jeden z rabinów wysłuchał jej prośby, lecz uznał, że nie jest w stanie pomóc w tej sprawie, a już z całą pewnością nie może towarzyszyć Marlene podczas wizyty w obozie jenieckim. Chcąc nie chcąc, Marlene zabrała z powrotem przygotowaną dla doktora paczkę z żywnością, lekarstwami i kocem. Korzystając z finansowych zasobów Jolanty, zdobyła te dobra na

czarnym rynku, który zorganizował się w mieście szybciej niż biura amerykańskich władz okupacyjnych.

Podobnie bezowocna okazała się rozmowa z Georgiem Krückem, staro-nowym burmistrzem Wiesbaden.

W myśl ewangelicznej zasady „pukajcie, a otworzą wam”, Marlene codziennie nawiedzała siedzibę amerykańskiej administracji wojskowej, lecz oficer dyżurny za każdym razem miał na głowie ważniejsze sprawy. Od zakończenia wojny minęły zaledwie trzy tygodnie i Amerykanie skupiali się w tym czasie na zaprowadzaniu nowych porządków w spustoszonej przez wojnę i brunatną ideologię kraju: budowie nowych struktur państwa, wyłapywaniu zbłąkanych żołnierzy i ściganiu nazistowskich zbrodniarzy.

Nikt nie zadał sobie trudu, by choćby pobieżnie zapoznać się ze sprawą doktora Frieblinga. Władze wojskowe stanowczo odrzucały wszelkie podania składane przez osoby cywilne – matki, ojców i żony – których bliscy trafili do obozów jenieckich i które starały się nawiązać kontakt z internowanymi lub prosiły o przekazanie im paczek bądź listów.

Jednak Marlene ani myślała się poddać i każdego dnia na nowo wędrowała do siedziby władz – również dlatego że lubiła atmosferę panującą w budynku komendantury, którego korytarze aż kipiały od pozytywnej energii. Ta atmosfera była wręcz balsamem dla jej znękanego duszy. Uwielbiała patrzeć na kobiety i mężczyzn w czystych mundurach, którzy pilnie i energicznie wypełniali swoje obowiązki. Wiedziała, że ludzie ci znajdują się tysiące mil od domów, na obcym kontynencie, który przez pięć lat wojny potwornie się wykrwawiał i którego miasta leżały w gruzach, lecz mimo to sprawiali wrażenie pewnych siebie i nieustraszonych, niezachwianie wykonując zadania, o których wiedzieli, że muszą być wykonane.

Jedyną osobą, która zainteresowała się historią Marlene, był młody amerykański reporter. Poznała go mniej więcej tydzień po tym, jak zaczęła odwiedzać komendanturę. Dziennikarz mówił nienaganą niemczyzną, choć od czasu do czasu wtrącał jakiś anglicyzm, niczym kucharz doprawiający solą zupę. Miał uśmiech zdobywcy i emanował pewnością siebie, choć nie sprawiał przy tym wrażenia zadufanego w sobie bufona. Był szalenie czarujący i wyjątkowo przystojny. Gdyby Marlene nie kochała całym sercem doktora – i, ma się rozumieć, nie była w ciąży – z pewnością uległaby jego czarowi.

Pierwszy raz spotkała go przed budynkiem tymczasowej administracji wojskowej, jak co dzień czekając w ogonku na swoją kolej. Dziennikarz wyszedł właśnie z gmachu i przystanął na schodach, przypatrując się kolejce interesantów, jakby szukał kogoś konkretnego.

Olga, która stała obok Marlene, lekko wyprężyła pierś i niezbyt dyskretnie rzuciła:

– Jest mój.

– Dziwka – odpowiedział jej jakiś głos z kolejki.

Marlene od razu zwróciła uwagę na aparat i domyśliła się, że reporter szuka tematu na fotografię.

Nie przeszłoby jej nawet przez myśl, że wybierze właśnie ją, nim jednak się obejrzała, Amerykanin podszedł do niej, uniósł aparat i rzucił:

– *Look here, gorgeous!*

Potem pstryknął zdjęcie i pomknął dalej na swoich długiśnych nogach. Marlene nie zdążyła się nawet obruszyć na jego bezceremonialność.

Chociaż reporter zrobił jej zdjęcie bez pytania, kilka stojących w kolejce kobiet – i młodych, i starszych – rzuciło jej kose spojrzenia. Młodzi, przystojni Niemcy dawno zniknęli z ulic miast, a ich miejsce zajęli Amerykanie w wojskowych mundurach, którym jednakże surowo zabraniano rozmawiać z niemieckimi kobietami. „*No Fraternisation*”, brzmiała dyrektywa wydana przez głównodowodzącego amerykańskich wojsk okupacyjnych. Mężczyzna z aparatem co prawda nie miał na sobie munduru, ale bez wątplenia był Amerykaninem.

Olga przez cały wieczór mówiła wyłącznie o niebieskich oczach dziennikarza, lecz mimo to Marlene niemal już o nim zapomniała, gdy nazajutrz wpadła na niego ponownie, w drodze do budynku władz. Wyszedł tyłem z jakiejś ruiny, szukając odpowiedniego ujęcia, tak że musiała nagle przystanąć, aby się z nim nie zderzyć. Spotkali się niedaleko zburzonego domu, w którym z braku lepszych kwater zainstalowała się niewielka grupa uciekinierów.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Wyraźnie ucieszył się na jej widok, gdyż nazwał ją „wczorajszą *pretty mum*” i dodał, że ma nadzieję, iż nie przestraszył jej i maleństwa.

Przez ostatnie lata Marlene niemal zapomniała, że ludzie mogą być tak mili i sympatyczni. Do tej pory nieznajomi, których spotykała, ignorowali fakt, że jest w ciąży, a większość z nich czuła się w jej obecności niezręcznie. Zupełnie jakby ciąża była chorobą, której się nabawiła na wojnie.

Tymczasem ten młody Amerykanin zachowywał się zupełnie naturalnie: był uprzejmy i sympatyczny, a w jego oczach widziała, że autentycznie ciekawi go jako kobieta i człowiek.

Dziennikarz wzbudził jej zainteresowanie i mimowolnie zaczęła się zastanawiać, czy mógłby jej pomóc w sprawie doktora Friehlinga. Jej taksujące spojrzenie nie uszło jego uwadze, lecz skwitował je tylko beztróskim uśmiechem, który zdawał się mówić: „Hej, świat leży u moich stóp. Chodź ze mną!”.

„Jakby wojna była beztróską przygodą”, pomyślała Marlene. Nie potrafiła rozgryźć tego mężczyzny. Czy ich ponowne spotkanie rzeczywiście było dziełem przypadku? Intuicja podpowiadała jej, że nie. Pożegnała się i ruszyła dalej. Niech los zdecyduje, czy spotkają się po raz trzeci. O ile drugie spotkanie faktycznie było zrzędzeniem losu, a nie zostało przemyślnie zaaranżowane przez reportera.

Wczesnym popołudniem wyszła z budynku władz – jak zwykle niczego nie wskórawszy. Znów spędziła kilka godzin w korytarzach urzędu, siedząc na ławkach między starszymi mężczyznami starającymi się przekonać wszystkich wokół, że zjawili się tutaj z własnej woli, podczas gdy

w rzeczywistości wezwano ich z powodu ich nazistowskiej przeszłości. Amerykanie zaczęli proces nazywany „denazyfikacją”. Obłuda i kłamstwo dosłownie wisiały w powietrzu. Marlene gardziła tymi ludźmi, którzy chyba naprawdę wierzyli, że mogą z siebie zrzucić winę równie szybko jak partyjne mundury ze swastyką na rękawie.

W drodze powrotnej na próżno wypatrywała nowego znajomego. Również nazajutrz Amerykanin nie dał znaku życia i Marlene uznała, że to był tylko przypadek – aż w końcu trzeciego dnia spotkała go przed domem burmistrza Krückego, którego znów bezskutecznie prosiła o wstawiennictwo.

Tym razem dziennikarz nie próbował nawet ukrywać, że na nią czekał. Najwyraźniej nie przejmował się zakazem fraternizacji, ponieważ bez wahania ją zagadnął. Serce niemal jej podskoczyło, gdy przedstawił się jako Joe Michaelson, korespondent wojenny, a potem wprost zapytał, czy jest Żydówką i czy wie coś o nazistowskich obozach koncentracyjnych. Wyjaśnił, że chciałby opisać jej „story”. Marlene zareagowała nieufnie. Z jednej strony dziennikarz z pewnością mógłby jej pomóc, z drugiej zaś – z trudem oparła się impulsowi, by wziąć nogi za pas i uciec od strasznych wspomnień. Do tej pory się nad tym nie zastanawiała, lecz teraz dotarło do niej, że nie jest gotowa mówić o tym, co przeżyła. Rany, które zadano jej w Auschwitz, były zbyt świeże. Musiała się jednak wziąć w garść. Nie wolno jej było odstraszyć człowieka, który mógł jej pomóc. Przeprosiła z uśmiechem i wyjaśniła, że potrzebuje jeszcze nieco czasu, by dojść ze sobą do ładu i uporządkować wspomnienia.

Reporter, mimo młodego wieku, miał w sobie dużo empatii, bo odpowiedział:

– *Your story must be really interesting.*

Zastanawiając się nad odpowiedzią, zauważyła, że mężczyzna jest od niej kilka lat starszy, lecz mimo to czuje się w jego obecności dużo starsza. Ktoś, kto spojrzał w oczy demonom wojny, zapomina, czym jest młodość.

Joe Michaelson zgodził się zasięgnąć języka w jej sprawie, ale niewiele wskórał. Zdołał tylko raz jeszcze potwierdzić, że jedynie najbliżsi krewni – i tylko za specjalnym pozwoleniem – mają prawo przekazywać jeńcom paczki z żywnością. Oczywiście Marlene próbowała namówić dziennikarza – tak jak wcześniej rabina z Agencji Żydowskiej – by pojechał z nią do obozu, lecz on stanowczo odmówił. Jego gotowość do pomocy miała swoje granice.

Marlene zastanawiała się, z jakiegoż to powodu władze amerykańskie przykładają aż tak wielką wagę do izolowania jeńców, że nie pozwalają tam wejść nawet korespondentom wojennym.

A może Michaelson ją okłamał? Może nie chciał jej pomóc? W tym pierwszym okresie ich znajomości Marlene starała się zachowywać dystans, co wcale nie było takie łatwe. Reporterowi w jakiś sposób udawało się aranżować niby to przypadkowe spotkania – zupełnie jakby miał specjalne anteny wyczuwające jej obecność. Zjawiał się akurat tam, gdzie właśnie była, i przy byle sposobności pstrykał jej zdjęcia. Z uporem korzystał też z każdej okazji, by ją wypytać o jej „story”. Z drugiej

strony Olga również zagięła na niego parol i próbowała go zwabić niczym muchę do miodu. Bez powodzenia. Był pierwszym mężczyzną, który oparł się jej czarowi. To jednak tylko wzmogło zainteresowanie Olgi. A w oczach Marlene wzbudziło szacunek.

Wkrótce spotkania z Joem Michaelsonem stały się jednym ze stałych punktów w rozkładzie dnia Marlene, a jeśli się zdarzało, że dziennikarz się nie pokazywał, łapała się na tym, że mimowolnie go wypatruje. Wciąż nie porzuciła nadziei, że jej pomoże. Sama też się nie poddawała i w dalszym ciągu niezmordowanie wydeptywała ścieżki do urzędu. Uratowanie doktora było obecnie najważniejszym celem jej życia. Mimo to z dnia na dzień wzbierała w niej rozpacz. Co jeśli doktor umrze, zanim zdoła go wydostać z obozu? Myśl o tym, że mogłaby po raz drugi stracić ukochanego mężczyznę, była nie do zniesienia. Doktor był tak blisko – a jednocześnie tak daleko.

Michaelson pomógł jej w inny sposób. Dzięki jego wstawiennictwu przydzielono Marlene i jej towarzyszkom niewielką kwaterę na obrzeżach Wiesbaden. Po dwóch tygodniach spędzonych w ruinach poczuły się jak w luksusowym hotelu – mimo że w ciasnej kawalerce musiało się pomieścić pięć osób, łazienka była piętro niżej, a wychodek znajdował się w komórce na podwórzu. Najważniejsze, że miały dach nad głową, a od czasu do czasu bieżącą wodę w kranie.

Mimo tych niespodziewanych luksusów atmosfera w mieszkaniu szybko się zageściła. Nie tylko z powodu ciasnoty. Olga robiła się coraz bardziej kłótniwa, przeklinała jeszcze częściej niż dotąd i narzekała, że chociaż wojna się skończyła, to wciąż musi głodować, a na domiar złego „nigdzie nie można dostać porządnej wódki”. Była też sfrustrowana zakazem „fraternizacji”, a jeszcze bardziej tym, że Amerykanie naprawdę go przestrzegali. A przecież po strasznych miesiącach spędzonych na usługach nazistowskich wieprzów miała chyba prawo sama wybrać sobie mężczyznę!

Trudi, która z natury była jak żywe srebro, teraz stała się istnym kłębkiem nerwów. Była uparta i przekorna. Całymi dniami przesiadywała w mieszkaniu, a nocami wymykała się na dach i jedynym sposobem, by ją powstrzymać, było przywiązanie jej do krzesła.

Jolanta i Marlene okazywały jej wyrozumiałość, wiedząc, że dziewczyna doświadczyła w swoim młodym życiu straszliwych rzeczy, a jej duszy zadano potworne rany. Mała straciła pewność siebie i nie była już niezniszczalna. Wielokrotnie proponowały jej, by porozmawiała z nimi o tym, co przeżyła – nie tylko o tym, co zrobił jej Brunnmann, ale też o tym, co ją spotkało, kiedy uciekła z marszu. Jednak Trudi nie chciała mówić. Na znak, że jest jedną z nich i należy do wspólnoty, Marlene podarowała jej rzemyk z kotwicą, a wieczorami wymyślała rozmaite gry i zabawy, lecz Trudi nie okazywała zainteresowania i uparcie milczała.

Marlene i Jolanta próbowały wszystkiego, by do niej dotrzeć, lecz dziewczyna tym bardziej się zamykała i w końcu musiały uznać swoją porażkę. Trudi przesyiała pół dnia, a drugą połowę spędzała przy oknie, wlepiając niewidzące spojrzenie w jeden punkt i ściskając w dłoni kotwicę, jakby odmawiała różaniec.

Czasami, gdy Marlene przypadkiem udawało się pochwycić spojrzenie dziewczyny, odkrywała w nim nie tylko rozpacz, ale również nienawiść. Czystą, bezbrzeżną nienawiść. I ten widok napawał ją przerażeniem.

Wojna jest straszna, pokój również.

Marlene Kalten

Upór Marlene został zauważony i pewnego dnia zagadnął ją starszy mężczyzna. Już wcześniej widziała go w biurze Czerwonego Krzyża, gdzie nieco zbyt głośno przedłożył swą sprawę, w związku z czym został „odprowadzony” do drzwi. Marlene była przekonana, że go aresztowano, gdyż nowa władza dość stanowczo reagowała na roszczeniowe postawy niemieckich interesantów, jednak już następnego dnia zobaczyła mężczyznę w kolejce do komendantury, a gdy wracała do domu, nieznajomy dogonił ją w łukowatej bramie, uchylił kapelusza i grzecznie zagadnął:

– Pani pozwoli, Ludwig Kammerloher. Czy mógłbym z łaskawą panią zamienić słowo? To zajmie jedynie chwilę.

Marlene zlustrowała mężczyznę krytycznym okiem. Ubrany był w wyświecony i połatany garnitur i na pierwszy rzut oka wydawał się niegroźny, aczkolwiek zdziwiło ją to, że zaczepił ją w niezbyt uczęszczanym miejscu, które najpewniej wcześniej starannie wybrał. Miała ochotę się wymówić. Była zmęczona, miała spuchnięte nogi i najzwyczajniej w świecie chciała jak najszybciej wrócić do domu, gdzie Jolanta czekała na nią z herbatą. Jednak ciekawość wzięła górę.

– Słucham, o co chodzi?

– Wolałbym nie na ulicy. Mam w pobliżu pokoik, gdyby zechciała pani...

Zachowanie mężczyzny wydało się Marlene dość podejrzane.

– Właśnie pan powiedział, że zajmie mi tylko chwilę.

Ludwig Kammerloher po chwili wahania rozejrzał się, jakby w obawie, że ktoś może go śledzić. Dopiero upewniwszy się, że są sami, przybliżył się nieco i szepnął konfidencjonalnie:

– Chodzi o obozy.

– Jakie obozy? – Marlene cofnęła się odruchowo. Nie miała ochoty rozmawiać o Auschwitz.

Zastanawiała się, kim jest ten mężczyzna i czego właściwie od niej chce. Czuła, że się powinna ulotnić, zwłaszcza że miejsce, gdzie się zatrzymali, leżało w głębokim cieniu. Mimo to została, gdyż czuła instynktownie, że ze strony mężczyzny nie grozi jej bezpośrednie niebezpieczeństwo, aczkolwiek z pewnością otaczała go niepokojąca aura.

– Amerykańskie i francuskie – wyszeptał Kammerloher.

Serce Marlene zaczęło bić szybciej.

– Rozumiem. O co chodzi?

– Proszę, wolałbym nie na ulicy...

Marlene zauważyła, że mężczyzna jakby nagle zaczął mieć wątpliwości, czy zaczepiając ją, słusznie postąpił. To ostatecznie przekonało ją, że nie ma do czynienia z niebezpiecznym człowiekiem. Kammerloher najwyraźniej chciał jej coś powiedzieć, lecz brakowało mu odwagi. Marlene nie mogła się oprzeć pokusie.

– Proszę za mną – powiedziała w końcu i zaprowadziła nieznanego do swojego mieszkania.

Tu Kammerloher najpierw pokazał jej ulotkę z godłami USA i Wielkiej Brytanii i podpisem głównodowodzącego wojsk sprzymierzonych generała Dwighta D. Eisenhowera. Dokument opatrzony był nagłówkiem „*Safe conduct*” i został wydany przez amerykański oddział zajmujący się walką psychologiczną. Niemieccy żołnierze oddający się do niewoli wymachiwali tym papierkiem jak przepustką. Dokument gwarantował im dobre wyżywienie, opiekę medyczną oraz szybkie zwolnienie z niewoli i powrót do domu. Marlene odwróciła kartkę. Na rewersie znajdował się wyciąg z międzynarodowych konwencji: genewskiej i haskiej.

Kammerloher wyjaśnił, że Amerykanie łamią konwencję genewską, ponieważ niemieckim jeńcom nie przyznają statusu POW, czyli *Prisoner of War*, tylko DEF, *Disarmed Enemy Forces*, co oznacza, że są oni podejrzani o zbrodnie wojenne. Zdaniem Kammerlohera był to sprytny zabieg mający na celu ominięcie nakazów konwencji. Co ciekawe, podkreślił, Brytyjczycy nie zgodzili na utworzenie tej nowej kategorii i nie używali jej w stosunku do swoich jeńców. Kammerloher zapewnił Marlene, że jego informacje pochodzą z pewnego źródła, po czym stwierdził, iż niemieccy jeńcy przebywający w tak zwanych *Rheinwiesenlager* „padają jak muchy” – z głodu, na tyfus, czerwonkę, a nawet gangrenę, ponieważ w utworzonych nad Renem obozach nie ma odpowiedniej opieki medycznej, a po tym jak przez cały niemal kwiecień lało jak z cebra, jeńcy brodzą po kostki w błocie i szlamie.

– Na domiar wszystkiego – zakończył przybysz – wielu z nich to jeszcze dzieci, tak jak mój dziesięcioletni wnuczek!

Marlene nie dała wiary słowom mężczyzny. Oczywiście wiedziała, że sprzymierzeni też nie są święci, a aktów zemsty czy przemocy nie da się całkiem uniknąć. Zdawała sobie sprawę, że w plotkach o dokonywanych przez zwycięzców gwałtach kryje się ziarno prawdy tak jak w opowieściach o szykanach, które spotykały wysiedlanych Niemców ze strony polskich i czechosłowackich władz. Wojna nakręciła spiralę przemocy, lecz mimo to Marlene chciała wierzyć, że pokój i pojednanie są możliwe. Ze względu na dzieci. Ze względu na dziecko, które nosiła pod sercem. Spytała Kammerlohera, czy ma jakieś dowody na poparcie swoich twierdzeń, na co on wyciągnął zmiętą odbitkę innego dokumentu, również opatrzonego podpisem Eisenhowera. W piśmie

tym szef Naczelnego Dowództwa Alianckich Sił Ekspedycyjnych skarżył się, że Brytyjczycy muszą utrzymać dużą mniejszą liczbę jeńców, w związku z czym mogą im zapewnić lepsze warunki, co z kolei stawia Amerykanów w niekorzystnym świetle.

Marlene bez słowa oddała Kammerloherowi kartkę.

– Dlaczego mi pan o tym wszystkim mówi?

– Bo... – Mężczyzna się zaciął.

Marlene czekała. Domyślała się już, dlaczego Kammerloher zwrócił się właśnie do niej, ale nie zamierzała mu niczego ułatwiać.

Gość wyciągnął z kieszeni fajkę, zawahał się i z westchnieniem schował ją z powrotem, przypomniawszy sobie zapewne, że tytoń jest w tych dniach dobrem niemal nieosiągalnym. Potem chrząknął, spojrzał na swoje buty i znów na Marlene. Można by wręcz pomyśleć, że nim zacznie mówić, musi wziąć rozbieg.

– No... bo jest pani... zaprzyjaźniona... z tamtym Amerykaninem... tym z aparatem. Może... mogłaby pani... – spojrzał na nią niepewnie.

„A więc o to chodzi!”, pomyślała Marlene i postanowiła dokończyć za Kammerlohera.

– Wypytać go? Szpiegować? Nie sądzi pan, że to nazbyt zuchwała prośba? – Przez chwilę patrzyła w milczeniu na gościa, po czym powzięła pewne podejrzenie. – Kto pana przysłał, panie Kammerloher? Pańskie źródło?

Kammerloher zacisnął usta. Marlene uznała to za wystarczającą odpowiedź.

– Proszę wyjść.

Mężczyzna wziął kapelusz i wstał.

– Proszę wybaczyć, że się pani naprzykrzałem. I bardzo dziękuję za herbatę. Bóg zapłać.

Po tych słowach ukłonił się i wyszedł z mieszkania.

Marlene spojrzała na Jolantę, która przysłuchiwała się całej rozmowie.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– Myślę, że on już nie wróci, ale ty jeszcze długo będziesz się nad tym głowić.

Jolanta miała rację. W głowie Marlene już zaczęła się karuzela. Słowa Kammerlohera dały jej do myślenia, wzbudziły wątpliwości. A przecież dość miała zmartwień związanych z uwolnieniem doktora. Nie chciała brać na siebie dodatkowego brzemienia. Nawet jeżeli Kammerloher mówił prawdę, mogła się najwyżej oburzyć. Nie miała wpływu na to, co się dzieje w obozach, dlatego też nie miała najmniejszego zamiaru rozmawiać na ten temat z Michaelsonem. Zależało jej wyłącznie na uratowaniu ukochanego i nie miała zamiaru robić niczego, co mogłoby zagrozić jej planom. A już na pewno nie zamierzała dać wiary sensacjom czerpanym z niewiadomego źródła. „Niech inni martwią się o problemy świata – postanowiła. – Mam prawo do egoizmu. Wkrótce zostanę matką i chcę tylko, żeby moje dziecko miało ojca”.

Odpryski wojny

Prezydent Czechosłowacji Eduard Beneš wydał obwieszczenie o wywłaszczeniu Niemców sudeckich i parcelacji należących do nich majątków ziemskich.

Polskie Ministerstwo Ziem Odzyskanych poinformowało, że na dawnych niemieckich terenach na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej przebywa jeszcze około dwóch i pół miliona Niemców, którzy będą sukcesywnie wysiedlani. (W sumie z należących do Rzeszy tak zwanych ziem wschodnich wysiedlono dwanaście milionów osób).

Na posiedzeniu w San Francisco przedstawiciele pięćdziesięciu państw podpisali Kartę Narodów Zjednoczonych.

Vae victis! (Biada pokonanym!)

Brennus,

przywódca Galów, który w IV wieku przed Chr. podbił Rzym

W końcu się udało! Trzy tygodnie po przyjeździe do Wiesbaden Marlene wreszcie pojechała do Siershahn, małego miasteczka położonego około osiemdziesięciu kilometrów na wschód od heskiej stolicy. Długo czekała na okazję, by zobaczyć miejsce, gdzie jest przetrzymywany doktor. Fakt, że wiedziała, gdzie przebywa jej ukochany, ale nie mogła się z nim zobaczyć, doprowadzał ją do rozpacz, jednak rozsądek nakazywał zostać w Wiesbaden, ponieważ to tu zapadały decyzje. W Siershahn i tak nie mogłaby nic zdziałać.

Zabrała się z amerykańską kolumną wiozącą zaopatrzenie. Towarzyszyli jej Olga i Joe Michaelson. Możliwość wyjazdu zawdzięczała Oldze, która została zatrudniona przez Amerykanów w charakterze tłumaczki. To z kolei było zasługą Joego, który zaproponował jej kandydaturę na to stanowisko. Poznawszy Rosjankę – co nastąpiło, ma się rozumieć, za pośrednictwem Marlene – Joe zwrócił uwagę odpowiednim decydującym, że Olga jest obywatelką sojuszniczego państwa, a ponieważ znała zarówno niemiecki, jak i angielski, bez trudu doprowadził do zatrudnienia jej przez władze wojskowe. Od tej pory Olga podróżowała z opaską, na której widniała litera „I” – od „*Interpret*”. Nowa praca szalenie przypadła jej do gustu – zwłaszcza że jako tłumaczka mogła się oficjalnie „fraternizować” z amerykańskimi żołnierzami.

W trakcie podróży naliczyli na nadreńskich równinach co najmniej tuzin obozów jenieckich, w których musiały przebywać dziesiątki tysięcy osadzonych. Konstrukcja takiego obozu była bardzo prosta: wielkie pole otaczano drutem kolczastym i na tak wyznaczony obszar spędzano jeńców – bez baraków, namiotów czy jakiegokolwiek schronienia. Wszystko tu było kompletnie prowizoryczne, jakby stworzone naprędce, pod presją czasu. Alianci najwyraźniej nie spodziewali się takiej liczby jeńców i budowa odpowiednich obozów przerosła ich siły i możliwości organizacyjne. Kiedy Michaelson zauważył, że sami tylko Amerykanie wzięli do niewoli trzy miliony niemieckich żołnierzy, Marlene zaczęła się zastanawiać, czy zwycięskie mocarstwo jest w ogóle w stanie utrzymać taką masę jeńców w zniszczonym kraju. Tego rodzaju przedsięwzięcie wymagało tak

niewyobrażalnych nakładów finansowych i wysiłku logistycznego, że wydawało się niemal nie do zrealizowania.

Niemieccy jeńcy, którzy jeszcze niedawno kopali frontowe transzeje, by kryć się przed bombami i pociskami, teraz, w czasie pokoju, chowali się w ziemi dla ochrony przed wiatrem i słońcem.

– Żołnierska dola – rzuciła Olga obojętnym tonem.

Marlene cieszyła się, że pogoda wyraźnie się poprawiła. Wiosna aż do maja była z małymi wyjątkami zimna i deszczowa i nadreńskie obozy rzeczywiście tonęły w szlamie i błocie. Nic dziwnego, że wśród osadzonych szalał tyfus. Niemieckich żołnierzy, jak na ironię, dopadła ta sama zaraza co więźniów kacetów.

Marlene wiązała z podróżą do Siershahn ogromne nadzieje i w noc przed wyjazdem z podekscytowania nie mogła zasnąć. Wyobrażała sobie, jak odnajduje ukochanego, jak spotkają się ich spojrzenia, rozmawiają przez druty, jak stykają się ich dłonie. Na miejscu okazało się, że były to zwykłe mrzonki. Mogli popatrzeć na obóz wyłącznie z daleka, przez lornetkę Michaelsona. Każda próba podejścia do drutów groziła śmiercią, o czym informowały liczne tabliczki.

Marlene, która ani myślała tak łatwo się poddać, namówiła dziennikarza, by spróbował wejść za druty, lecz ten szybko zjawił się z powrotem, mówiąc, że nie dopuszczono go nawet przed oblicze komendanta obozu. Marlene wróciła więc jak niepyszna do Wiesbaden. Jedynym efektem eskapady było to, że czuła się jeszcze bardziej sfrustrowana. Dobrze, że chociaż Michaelson nie wypominał jej tego, że próbował ją odwieść od tej bądź co bądź dalekiej i męczącej podróży. Marlene nie zobaczyła doktora, chociaż przeczesywała wzrokiem teren obozu tak długo, aż w końcu Olga wyrwała jej z rąk lornetkę. A taka była pewna, że miłość jak kompas skieruje jej wzrok na ukochanego. „Jestem tutaj, najdroższy”, powtarzała w myślach niczym zaklęcie.

Trudy podróży nie odbiły się na jej zdrowiu. Maleństwo wesoło brykało w jej brzuchu, a i sama czuła się zadziwiająco dobrze. Jej organizm stopniowo wracał do formy po trwających długie miesiące cierpieniach.

Dużo dłużej za to zmagala się z tym, co zobaczyła w Siershahn. Próbowala sobie tłumaczyć, że nie musi i nie powinna współczuć mężczyznom uwięzionym za tamtymi drutami, lecz szybko doszła do wniosku, że próba zamknięcia oczu na warunki panujące w nadreńskich obozach służy wyłącznie poprawie jej własnego samopoczucia. W głębi duszy opierała się stosowaniu odpowiedzialności zbiorowej i wrzucaniu wszystkich do jednego worka. Nie wszyscy byli przecież krwiożerczymi bestiami czy maszynami do zabijania. Wśród jeńców było wiele ofiar bezwzględnej dyktatury, siłą zmuszonych do przywdziania munduru. Stauffenberg i inni spiskowcy również byli żołnierzami. Tak jak Ernst. Tak, łatwo osądzać! Sama, ujrawszy doktora Friehlinga w mundurze oficera SS, uznała go w pierwszej chwili za bezlitosnego sadystę. Jednak pamiętała, że wśród rozlicznych nauk udzielonych jej kiedyś przez dziadka była i ta, by strzec się pochopnych sądów. By pytać, podawać w wątpliwość,

z głębiać istotę rzeczy. Współczucie, które wzbudził w niej widok niemieckich jeńców, sprawiło, że odetchnęła z ulgą. Wojna i straszliwe przeżycia nie zdołały jej uczynić nieczułą i obojętną. Wiedziała, że człowieka definiuje zdolność do empatii i traktowania wszystkich, również jeńców, jak istot ludzkich. Jak ludzi, na których, o ile mają to szczęście, czekają w domu bliscy. Mężczyźni, których widziała w obozie, żyli w potwornym brudzie. Jedyne, co posiadali, to własny mundur – choć niektórzy nie mieli nawet i tego. Wielu z nich cierpiało z powodu najrozmaitszych chorób, a na ich twarzach malowała się ta sama rezygnacja i rozpacz co na obliczach, które widziała w Auschwitzu. Z pewnością zadawali sobie to samo pytanie co ona: po co to wszystko? Po co te sześć lat wojny i walki? Ponieśli klęskę, wielu z nich poległo, kraj został zrujnowany, a przyszłość była niepewna.

Zupa warzona przez demagogicznych kucharzy ma prosty przepis: kwarta nacjonalizmu, słuszna porcja propagandy i korzec kłamstwa. Do tego mięso kozła ofiarnego – i gotowe! Cały naród dał się omamić prostackim hasłom, a teraz nadszedł czas, by za to zapłacić. Dla żołnierzy w obozach jeńców wojna jeszcze się nie skończyła, bo wciąż siedzieli po niewłaściwej stronie drutów.

Olga nie powiedziała ani słowa, lecz Marlene wiedziała, co myśli jej przyjaciółka. W oczach Rosjanki to, że niemieccy żołnierze musieli teraz brnąć przez to samo morze zwątpienia, przez które wcześniej pędzili Żydów, Polaków, Rosjan i przedstawicieli pozostałych narodów, z którymi Rzesza hitlerowska toczyła grabieżczą i barbarzyńską wojnę, było przejawem elementarnej sprawiedliwości.

Tego, co robiłam, nie uważam za rebelię, lecz za jedyny sposób osiągnięcia sprawiedliwości.

Phoolan Devi

znana jako Królowa Bandytów (1963–2001)

Po powrocie do Wiesbaden Marlene zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę. Odczekała jeszcze jeden dzień – z jednej strony po to, by dać losowi szansę na sprawienie cudu, choć sama nie bardzo miała pojęcia, na czym miałyby polegać, z drugiej zaś, by się upewnić, że naprawdę jest gotowa otworzyć duszę przed kompletnie obcym człowiekiem. Wiedziała, że musi być do bólu szczerą, ponieważ tylko wtedy dziennikarz uwierzy w tak niewiarygodną historię. I pomoże jej wydostać doktora z obozu.

Cud, jak się należało spodziewać, nie nastąpił, dlatego następnego dnia wyruszyła na poszukiwanie Michaelsona. Ten jak zwykle nie kazał się długo szukać i sam wyszedł jej naprzeciw z tym swoim beztroskim młodzieńczym uśmiechem. Marlene znów zaczęła się zastanawiać, czy aby dziennikarzowi nie umknęło to, że świat właśnie wyszedł z najpotworniejszej w swych dziejach wojny, której skutki długo jeszcze będą się dawać we znaki. Właściwie niemal zazdrościła Amerykaninowi znakomitego samopoczucia i było jej przykro, że to zapewne ona odsłoni przed nim barbarzyństwo ostatnich lat.

– Załatwisz mi możliwość wejścia do obozu w Siershahn – powiedziała bez owijania w bawełnę – a ja w zamian opowiem ci swoją historię.

– *That's deal?*

– *That's deal* – przytaknęła.

– *Great!* Co byś powiedziała na małą próbkę? – Michaelson już trzymał w rękach aparat fotograficzny wycelowany w jej twarz.

– Słyszałeś o Auschwitz?

– *Yeah? Red Army is there.*

– *I was there, too.*

Tego dnia Marlene dała mu więcej niż małą próbkę. Z początku trudno jej było mówić o swoich przeżyciach, ale ponieważ miała w zwyczaju kończyć to, co zaczęła, przemogła wewnętrzny opór.

Chciała mieć to jak najprędzej za sobą, dlatego z mozołem zaczęła się pozbywać potwornego brzemienia. Kiedy skończyła, umilkła, czekając na reakcję dziennikarza. Już w trakcie swej opowieści zauważyła, że Michaelson zareagował inaczej, niż się spodziewała. Był skupiony i opanowany, lecz nie dostrzegła w nim ani śladu przerażenia czy choćby oszołomienia. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Jedynym słowem, jakie padło z jego ust było przeciągłe „*Really?*”.

– *Well* – powiedział w końcu, gdy Marlene już się skręcała z niecierpliwości. – *I’ll help you*. Odzyskasz swoją wielką miłość, ale najpierw...

– Co? – spytała niecierpliwie Marlene, gdy umilkł.

– Muszę ci zadać kilka pytań.

I zadał.

Marlene miała wrażenie, jakby znów była przesłuchiwana. Najwyraźniej amerykański styl pracy dziennikarskiej przypominał policyjne śledztwo, gdyż wiele spośród pytań zadawanych przez Michaelsona Marlene słyszała już kiedyś podczas przesłuchań w gestapo.

Ponieważ jej opowieść obejmowała wyłącznie okres od lata 1939 roku, kiedy to spotkała w Krakowie Jakuba, dziennikarz cofnął się głęboko w przeszłość. Chciał wiedzieć wszystko o berlińskim rozdziale jej życia – wypytywał, w jaki sposób trafiła przed wojną do studenckiego ruchu oporu i czy zna nazwiska innych jego członków. Wreszcie wyjął notes i zaczął zapisywać odpowiedzi. Marlene odpowiadała szczerze, dla własnego bezpieczeństwa opuszczając jedynie kilka epizodów – takich jak ostatnie spotkanie z Hubertusem von Greiffem. W końcu Michaelson zamknął notatnik i schował go do przewieszanej przez ramię skórzanej torby, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedziami.

– *Great*. Postaram się, żebyś zobaczyła się ze swoim doktorem, ale nie mogę ci obiecać żadnego *success*.

Po tych słowach pożegnał się i odszedł, zabierając ze sobą nadzieje, które w nim pokładała. Przez trzy dni nie dawał znaku życia. Marlene uparcie próbowała natrafić na jakiś jego ślad, lecz dziennikarz jakby się zapadł pod ziemię.

Tymczasem atmosfera w maleńkim mieszkanku wciąż była napięta. Co prawda Olga wyraźnie rozkwitła, odkąd awansowała do wyższej ligi i zaczęła się fraternizować z Amerykanami, za to Colin stawał się coraz bardziej kapryśny i zaborczy w stosunku do matki, a krnąbrność Trudi sięgnęła szczytu, tak że właściwie nie było już nad nią kontroli.

Kłótnia wybuchła z samego rana. Jolanta przyłapała Trudi, kiedy ta szperała w obiciu sofy, gdzie były ukryte sztabki złota. Marlene stanowczo zażądała od dziewczyny wyjaśnień, a wtedy się okazało, że ta obmyśliła szalony plan wykupienia doktora z obozu. Plan, który Marlene również brała pod uwagę, lecz szybko go zarzuciła, uznawszy, że Amerykanie nie tylko nie dadzą się przekupić, ale na domiar złego z pewnością zainteresują się, skąd pochodzi złoto. A wtedy i ona, i jej towarzyski

niechybnie straciłyby nie tylko cenne sztabki, ale i wolność.

Słuchając wyrzutów, Trudi siedziała z chmurną miną na sofie, traktując Marlene i Jolantę jak powietrze. Olga była w biurze i wyjątkowo zajmowała się tym, co należało do jej obowiązków: tłumaczeniem. Z domu odebrał ją najnowszy absztyfikant – wysoki czarnoskóry Amerykanin, który z miejsca zwariował na punkcie Colina i od tej pory przy każdej okazji przynosił mu czekoladę i inne smakołyki.

W końcu, porządnie zrugawszy Trudi, Jolanta i Marlene zabrały Colina i wyszły z mieszkania, by zaczerpnąć powietrza. W mieście panował ożywiony ruch. Chociaż wojna się skończyła, wciąż od czasu do czasu słychać było wybuchy – to Amerykanie, natrafiwszy na ukryte lub porzucone zapasy amunicji, wysadzali je w powietrze. Marlene i Jolanta jako były więźniarki obozu koncentracyjnego uzyskały status „*displaced persons*”, dzięki czemu były zwolnione z obowiązku pracy. W przeciwieństwie do mieszkańców Wiesbaden, którzy pilnie usuwali ślady wojennych zniszczeń. Wszędzie sprzątano ulice i gromadzono cegły. Wiesbaden miało szczęście w nieszczęściu i wojna obeszła się z nim dosyć łaskawie, gdyż nie zostało doszczętnie zburzone, jak wiele innych miast dawnej Rzeszy.

– Z tą małą jest coś nie tak – powiedziała Jolanta, gdy wyszły z domu.

– Przeżyła straszne rzeczy, a już wcześniej była trochę szalona.

– Tak, ale myślę, że ona coś przed nami ukrywa.

Marlene skinęła głową. Sama też się już nad tym zastanawiała.

– Myślisz, że ukradła Amerykanom coś więcej niż tylko jedzenie?

– Nie wiem... ale nie to miałam na myśli.

Marlene zatrzymała się i spojrzała na Jolantę, oczekując jakiegoś wyjaśnienia, lecz Azjatka w typowy dla siebie sposób powoli dawkowała prawdę.

– No mówże! Przecież widzę, że chcesz mi coś o niej powiedzieć! – zażądała niecierpliwie Marlene.

– Ta dziewczyna cię wykorzystuje.

– No i co z tego? – Marlene wzruszyła ramionami. – Obie chcemy tego samego: wyciągnąć doktora z obozu.

– Jesteś pewna? Myślę, że ta mała mydli ci oczy. Mówię ci, ona nas wpakuje w kłopoty. Złoto to dopiero początek.

Marlene milczała. Wiedziała, że Jolanta ma rację. Ją również instynkt próbował ostrzec, lecz dusiła w sobie wszelką wątpliwość. Nagle brzuch zaczął jej niemiłosiernie ciążyć. Położyła na nim dłonie i poczuła, jak maleństwo się porusza i kopie. Jednak to, co do tej pory kołło jej nerwy, teraz zadziało zupełnie na opak i zalała ją fala niepokoju i obaw.

– Powiedz mi, co wiesz – wyrzuciła z siebie nerwowo.

Jolanta wzruszyła ramionami.

– Nic nie wiem. Wszystko ci już powiedziałam. Reszta zależy od ciebie.

– Dziękuję, jak zwykle jesteś szalenie pomocna – burknęła Marlene.

Czasami enigmatyczny sposób wyrażania się i osobliwa filozofia Jolanty sprawiały, że Marlene czuła się zupełnie bezradna – jakby to, co robiła, nie miało żadnego znaczenia, ponieważ ktoś inny pociąga za sznurki, decydując o jej losie. Przez chwilę stały naprzeciw siebie jak przeciwniczki na ringu, po czym Marlene wyprostowała się, zrobiła w tył zwrot i ruszyła do domu.

– Dokąd idziesz?! – zawołała za nią Jolanta.

– Rozmówić się z Trudi. Muszę mieć pewność.

Kiedy jednak wróciła do mieszkania, okazało się, że dziewczyna zniknęła. A razem z nią złoto.

Czasami człowiek działa zupełnie bezmyślnie: emocje zdobywają bastion rozsądku i przejmują władzę, a wtedy robi się coś potwornie głupiego, sprowadzając niebezpieczeństwo nie tylko na siebie, ale i na innych. Zwłaszcza kiedy ma się piętnaście lat i uważa się za niezniszczalnego.

Marlene przeklinała własną bezmyślność. Uważała, że to jej wina, że sprawy zaszły tak daleko. Nie powinna była zostawiać Trudi samej. Widziała przecież, w jakim stanie jest mała, i powinna się była domyślić, że na tym etapie nie da się już przemówić jej do rozsądku. A teraz to biedne dziecko zostało samo, gotowe zrobić coś, co mogło przypłacić życiem.

Najwyraźniej Trudi sądziła, że jest to winna człowiekowi, który dwukrotnie uratował jej życie. Inaczej nie dało się wyjaśnić jej irracjonalnego zachowania.

Marlene miała żal do Jolanty, że nie ostrzegła jej, chociaż przeczuwała, co może się stać. Niech diabli wezmą Jolantę i tę jej ślełą wiarę w przeznaczenie...

Marlene zbiegła po schodach, podtrzymując dłońmi ogromny brzuch. W pierwszej chwili chciała rozpytać o Trudi na czarnym rynku, ale już w bramie kamienicy zrozumiała, że mała nie zamierza wymienić złota. Na pewno nie na pieniądze. Jej celem był obóz w Siershahn.

Marlene zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła na miejscu Trudi. Dziewczyna była poszukiwana przez Amerykanów, więc za dnia musiała się ukrywać, a maszerować nocą. To zaś wiązało się z równie wielkim niebezpieczeństwem jak próba zbliżenia się do obozu. Od osiemnastej obowiązywała godzina policyjna i każdy, kto w nocy wychodził z domu, ryzykował życiem, gdyż w każdej chwili mógł zostać zastrzelony.

Marlene przez cały dzień biegała po mieście, przeszukując ruiny i wypytując wszystkie napotkane osoby o młodą, szczupłą dziewczynę. Wiedziała, że jej wysiłki skazane są na niepowodzenie, bo Wiesbaden to duże miasto, ale nie umiałyby siedzieć beczynnie w mieszkaniu. A ponieważ nie wierzyła w wyjątkowy spryt panny niezniszczalnej i uważała, że Trudi najzwyczajniej miała do tej pory niewyobrażalne szczęście, podjęła jedyną możliwą decyzję. Był tylko jeden sposób, by uratować tej szalonej dziewczynie życie: zdradzić ją i wydać Amerykanom. Co prawda wtedy Trudi trafiłaby do więzienia, ale przynajmniej by przeżyła. Tego dnia było już jednak za późno, by iść do urzędu. W rozgorączkowaniu Marlene nieomal straciła rachubę czasu. Za chwilę miała się zacząć godzina policyjna, a ponieważ jej mieszkanie było bliżej niż budynek administracji wojskowej, postanowiła

wrócić do domu.

Tu zaś dowiedziała się od Jolanty, że właśnie szukał jej Joe Michaelson, który umówił ją na spotkanie z komendantem miasta.

Marlene przybita opadła na sofę. Po tygodniach bezowocnych starań w końcu miała okazję osobiście rozmówić się z komendantem i właśnie wtedy wyszła z mieszkania!

Przeklęta Trudi!

Tego wieczora położyły się wcześniej, lecz Marlene była tak wzburzona, że nie mogła zmrudzić oka. Jolanta miała rację: Trudi wpakowała je w niezłą kabałę. Czuła, że gdyby dziewczyna wpadła jej teraz w ręce, byłaby gotowa skrócić jej kark.

Taka okazja miała się zresztą wkrótce nadarzyć, choć w innych okolicznościach, niżli się spodziewała.

W środku nocy ktoś załomotał do drzwi i ryknął gardłowym głosem:

– Otwierać!

Colin krzyknął i przestraszony wczepił się w matkę.

Marlene wstała z łóżka i zapaliła światło. Od dwóch dni w mieszkaniu był prąd. Wymieniły z Jolantą szybkie spojrzenia. Był to jeden z owych nielicznych momentów, kiedy Marlene dostrzegła cień lęku w oczach swojej zwykle nieustraszonej przyjaciółki. O dziwo, widok ten dodał jej otuchy, bo poczuła, że cokolwiek los jej zgotował, nie jest sama. Skinęła na Jolantę, otworzyła drzwi i stanęła naprzeciw dwóch ciemnoskórych żandarmów.

– Anna von Dürkheim? – spytał jeden z nich. Wymówił jej imię i nazwisko z amerykańską, dlatego w pierwszej chwili nie zrozumiała. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę z tego, że użył jej rodzowego nazwiska. – *You are arrested!*

Żandarm chwycił ją za ramię, sprowadził na dół i zapakował do jeepa.

Podróż zakończyła się przed jasno rozświetlonym budynkiem komendantury. Marlene wprowadzono do środka i zamknięto w cuchnącej stęchlizną piwnicy, która najwyraźniej służyła za prowizoryczne więzienie. W kącie znalazła poplamiony materac i kilka wojskowych koców. W drugiej części pomieszczenia leżały przedmioty, które w każdym domu prędzej czy później lądują w piwnicy albo na strychu: stare meble, walizy, abażury i inne rupiecie.

Mogła trafić gorzej. Zdarzało jej się siedzieć w dużo mniej przyjemnych miejscach. Z westchnieniem opadła na materac i położyła dłoń na brzuchu. Dziecko się obudziło i jego główka przycisnęła się do jej ręki, jakby chciało powiedzieć: „Jestem przy tobie”. Marlene zamknęła oczy i zanurzyła się w oceanie niewysłowionej miłości, która łączyła ją z tym maleństwem. To jej pomogło uporządkować galopujące myśli. Dlaczego ją tu zamknięto? Czy jej aresztowanie ma coś wspólnego z Trudi? I skąd żandarm znał jej prawdziwe nazwisko? Nie zdradziła go ani Michaelsonowi, ani żadnemu innemu Amerykaninowi. Nie dlatego, że w dokumentach figurowała jako Marlene Kalten, ale dlatego że Anna von Dürkheim była żoną Dietricha zu Langenburg-Dietrichsteina, hrabiego nazisty. A właściwie wdową po nim. Nie miała pojęcia, czy hrabia zdążył ogłosić publicznie ich zaślubiny, ale był przecież świadek w osobie księdza oraz dowody: akt małżeństwa i ślubne zdjęcie. Gdyby wyjawiała ten wstydlivy epizod ze swojego życia, musiałyby odpowiedzieć na mnóstwo pytań,

co ostatecznie storpedowałyby jej próby uwolnienia doktora z obozu. Ale najwyraźniej Amerykanie sami odkryli jej tajemnicę. „Cudownie – pomyślała. – I co teraz?” Życie najwyraźniej zatoczyło krąg i jej przeszłość spotkała się z teraźniejszością. Pytanie tylko, jak na to zareagują Amerykanie. Może będą chcieli ją zdenazyfikować? To by była prawdziwa ironia losu.

Nagle usłyszała kroki. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami piwnicy i przekręcił klucz w zamku. Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął czarnoskóry przyjaciel Olgi. Uśmiechnął się szeroko, wniósł do środka tacę z posiłkiem, postawił ją obok materaca i zniknął, zanim Marlene zdążyła sformułować po angielsku jakieś pytanie. Przyszło jej to tym trudniej, że oszołomił ją zapach dobywający się z talerza. Nie mogła uwierzyć własnym oczom: żołnierz przyniósł jej ogromny stek z surówką i ziemniakami! A do tego cały dzbanek z czymś, co pachniało prawdziwą herbatą, a nie popłuczynami, które Jolanta po raz nie wiadomo który parzyła, marszcząc ze wstrętem nos, jakby kazano jej pić gnojówkę. Tego wieczora, siedząc na posadzce zakurzonej piwnicy, Marlene i jej maleńki towarzysz posilili się istic książęcym daniem. Marlene jadła powoli i dbając o swój nadwerężony układ pokarmowy, dokładnie przeżuwała każdy kęs. Ponad połowę steku zostawiła na talerzu. Pomyślała, że jeśli będzie oszczędzać, zabierze resztę smakowitego dania do domu i podzieli się z Jolantą i Colinem – o ile ją wypuszczą.

Po kolacji odłożyła nurtujące ją pytania na następny dzień i położyła się spać. Wśród rozmaitych rzeczy, których nauczyła ją wojna, była i ta, że nawet jeśli problemy nie znikają, to, mając pełny żołądek, nie należy się dręczyć myślami. Zasnęła tak głęboko, jakby grube ściany odizolowały ją od wszelkich zmartwień, a następnego ranka obudziła się, czując, że nie jest w piwnicy sama.

Nie myliła się – ktoś wszedł do jej prowizorycznej celi.

– Joe! – wykrzyknęła na widok przyjaciela i z trudem dźwignęła się z materaca.

Skonsternowana stanęła przed dziennikarzem, poprawiając dłonią zmierzwiłone włosy. Dopiero wtedy zauważyła, że Michaelson trzyma w ręku coś, co wyglądało jak plecak Trudi. Poczuli, jak serce podchodzi jej do gardła. Co to ma znaczyć? Jak plecak trafił w jego ręce? Co się stało z Trudi? Chciała go zarzucić pytaniami, ale spostrzegła, że Joe patrzy na nią jak na wroga. Co się z nim stało? Gdzie się podział tamten wesoły dziennikarz z szelmowskim błyskiem w oku? Cała jego młodzieńcza beztroska znikła bez śladu. Marlene poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

Było jasne, że Michaelson nie przyszedł tu jako przyjaciel. Z marsową miną przypominał raczej prokuratora.

– Wiesz, czyj to plecak? – Lodowaty głos Amerykanina odbił się od sklepienia.

Nie było sensu zaprzeczać.

– Wiem, należy do mojej przyjaciółki Trudi. Co się z nią stało? Nic jej nie jest?

– Chodź. – Michaelson wskazał dłonią drzwi.

Na korytarzu czekał żandarm, który ruszył przodem. Michaelson zamykał pochód. Idąc po

schodach, Marlene próbowała go zagadnąć, ale dziennikarz milczał.

Na górze przeszli długim korytarzem i znaleźli się przed drzwiami gabinetu. Żandarm otworzył pokój, zsalutował Michaelsonowi, co zdumiało Marlene jeszcze bardziej niż nagła przemiana Joego, i gdy weszli do środka, starannie zamknął za nimi drzwi. Marlene jedynie kątem oka zdążyła dostrzec wyłożone drewnem ściany i meble, z których każdy był zawalony piętrzącymi się stosami akt, gdyż jakaś chuda postać zerwała się z miejsca i rzuciła się jej na szyję. Trudi! Dziewczyna wczepiła się w Marlene, jakby była jej ostatnią deską ratunku.

Michaelson oschle przerwał wylewne powitanie, a w jego głosie nie było cienia serdeczności, gdy rzekł:

– Proszę siadać, *we have to talk*. – Wskazał dwa ustawione przed biurkiem krzesła, a sam zajął miejsce po drugiej stronie.

Odsunął na bok proporczyk z amerykańską flagą, który przysłaniał mu widok siedzących naprzeciw kobiet. Zza jego pleców ojcowskim wzrokiem spoglądał na nie zmarły w kwietniu prezydent Franklin D. Roosevelt. Marlene pomyślała, że pewne zwyczaje są ponadczasowe i ponadnarodowe i że każdy przedstawiciel władzy chce, by stał za nim majestat jego „wodza”.

Czuła się jak na ławie oskarżonych. Wlepiała wzrok w plecak, który Michaelson położył przed sobą na biurku. Amerykanin sięgnął do środka i wyjmując sztabki złota, uważnie obserwował reakcję Marlene.

Zaczęło się przesłuchanie.

– Skąd to macie? – pytanie było skierowane do obu indagowanych.

Trudi odpowiedziała pierwsza:

– To moje.

– Kłamiesz! – Głos Michaelsona zabrzmiał jak trzask bata. – Ukradłaś je!

– Nieprawda, niczego nie ukradłam! Znalazłam! – Trudi głośno pociągnęła nosem.

– *Where?* W banku? – Amerykanin ciął słowami jak brzytwą.

Marlene zrozumiała, że ma przed sobą twardego i doświadczonego przeciwnika. Zastanawiała się, kim naprawdę jest Michaelson. Bo że nie jest dziennikarzem, tego już była pewna...

Trudi mimo wszystko patrzyła Joemu prosto w oczy – jak ktoś, kogo niesłusznie oskarżono i kto z oburzeniem odrzuca oskarżenia. Znów sięgnęła po swoją ulubioną broń: przekorę. Lecz tym razem za jej uporem kryło się coś więcej: lojalność. Trudi nie zamierzała zdradzić Jolanty.

Michaelson był jednakże mistrzem w tej grze i Marlene wiedziała, że Trudi toczy nierówną walkę. Mała nie była w stanie sprostać Amerykaninowi. Marlene zastanawiała się, w jaki sposób rozładować atmosferę, lecz przeciągające się milczenie tylko potęgowało panujące w pokoju napięcie. Ołowianą ciszę przerwał dopiero dzwonek telefonu. Był tak nienaturalnie głośny, że Marlene i Trudi aż się wzdrygnęły.

Michaelson sięgnął po słuchawkę i przez chwilę w milczeniu odbierał meldunek.

– Yes – powiedział w końcu. – *Let her in.*

Po chwili drzwi się otworzyły i do środka weszła Jolanta. Mały Colin drzemał w szelkach, przytulony do matczynej piersi.

– Przyszłam się przyznać – powiedziała Jolanta spokojnie.

– Co? – Marlene zerwała się z miejsca.

Michaelson, który również wstał z fotela, obszedł biurko i postawił przed nim trzecie krzesło.

– *Sit down!*

Przed jego biurkiem siedziały teraz nie dwie, lecz trzy kobiety. Wzrok Amerykanina wędrował od Jolanty przez Marlene aż po Trudi. O ile jeszcze przed chwilą wyglądał jak prokurator, o tyle teraz Marlene miała wrażenie, że przypomina sędziego, który rozmyśla przed wydaniem wyroku. Brakowało mu tylko togi. W końcu się ocknął i rzekł:

– *All for one, one for all.*

– Słucham? – zdziwiła się Jolanta, lecz Marlene zrozumiała, do czego pije Michaelson.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – powtórzyła po niemiecku, wpatrując się w Amerykanina.

Wciąż próbowała go rozgryźć i odkryć jego zamiary. Co to ma znaczyć? Cała ta scena wyglądała na starannie wyreżyserowaną. Czy to możliwe, żeby naprawdę chodziło o kradzież złota?

– Znalazłam je – powtórzyła Trudi, jakby za wszelką cenę chciała skupić całą uwagę na sobie.

– Siedź cicho, Trudi – skarciła ją Jolanta i spojrzała na Michaelsona. – Ukradłam to złoto pewnemu naziście.

– Nazwisko?

– Albrecht Brunnmann.

– Zna pani obersturmbannführera Albrechta Brunnmanna?

Marlene nie mogła nie zauważyć nagłego błysku zainteresowania w oczach Michaelsona. Więc o to chodziło!? O Brunnmanna!? Mimowolnie nachyliła się w stronę Amerykanina. Czuła, że zaczyna jej brakować powietrza.

– Owszem – przytaknęła Jolanta. – Pracowałam dla niego.

– Gdzie?

– W Auschwitz.

W głowie Marlene kotłowały się myśli. Ta rozmowa zaczęła się fatalnie, a teraz przybrała jeszcze gorszy obrót. Oskarżycielskie spojrzenie Michaelsona napawało ją coraz większym lękiem. Jolancie groziło aresztowanie i oskarżenie o współpracę z Brunnmannem! Uznają, że była jego współniczką! Bo niby dlaczego tyle lat dla niego pracowała? A jeśli na domiar złego znajdą się świadkowie, którzy

to potwierdzą? Madame wielokrotnie mówiła, że właściwie wszyscy w obozie jej nienawidzili – poczynając od strażników, przez kapo, na zwykłych więźniach kończąc.

Marlene poczuła, że jej ciało i duch odruchowo gotują się do walki. Kto atakował jej przyjaciół, atakował ją! Ostatnie lata były czasem bezustannych zmagania, dlatego z trudem oparła się pokusie. Była gotowa unieszkodliwić Michaelsona i wraz z Jolantą i Trudi uciec z budynku komendantury. Jej dłoń odruchowo powędrowała ku miejscu, w którym wciąż nosiła nóż. Na szczęście w ostatniej chwili odzyskała rozsądek. Przecież wojna się skończyła, Michaelson jest rozsądnym człowiekiem, a amerykański wymiar sprawiedliwości diametralnie różni się od nazistowskich sądów. Przecież muszą ich wysłuchać! Muszą! Czy to możliwe, że przeszły przez całe to piekło, by na koniec zasiąść na ławie oskarżonych?

Aby tego uniknąć, musiała opowiedzieć Michaelsonowi o jeszcze jednym, przemilczanym dotąd okresie swojego życia: pracy w prywatnym lupanarze Brunnmanna. Kiedy kilka dni wcześniej opowiadała reporterowi swoją historię, liczyła, że wystarczy wzmianka o tym, iż była w obozie, i że nie będzie musiała mówić o szykanach i upokorzeniach, jakich tam doświadczyła. Ale jeśli w ten sposób zdoła uratować Jolantę...

– Posłuchaj, Joe – zwróciła się do Amerykanina błagalnym tonem. – Mogę ci wszystko wyjaśnić.

– *Really?* Tym razem... naprawdę wszystko? – Michaelson odchylił się w fotelu i odprężył, jakby na to właśnie czekał.

Marlene zrozumiała, że popełniła błąd. Joe od dawna wiedział o niej więcej, niż przypuszczała. Znał nawet jej prawdziwe nazwisko! Ich spotkanie nie było przypadkowe. Od początku chciał ją pociągnąć za język, a kiedy w swojej opowieści przemilczała kilka ważnych szczegółów, wzbudziła jego podejrzenia. Michaelson poskładał znane sobie fragmenty układanki, ale niewłaściwie zinterpretował obraz.

Dlatego tym razem opowiedziała mu naprawdę wszystko, nie przemilczała nawet tortur, jakie Brunnmann zadał Trudi w willi nad brzegiem Soły. Czuła, jak siedząca między nią a Jolantą dziewczyna najpierw tężeje, a potem zaczyna cała dygotać. Niestety nie mogła jej tego oszczędzić, bo uratować mogła je tylko absolutna szczerść. Poza tym wiedziała, że gdyby nie bezmyślne działanie Trudi, nie wylądowałyby tutaj, i liczyła, że może w ten sposób dziewczyna się w końcu nauczy, iż każde jej działanie pociąga za sobą konsekwencje, dla niej samej i dla innych. „Przyczyna i skutek”, jak powiedział doktor tamtego popołudnia, gdy widziała go po raz ostatni.

Uzupełniając swoją opowieść, Marlene przyglądała się twarzy Michaelsona i próbowała z niej coś wyczytać. Bez powodzenia. Joe słuchał jej z uwagą, a kiedy skończyła, jego twarz nadal nie wyrażała absolutnie niczego. Przemiana z czarującego i beztroskiego młodzieńca w twardego prokuratora zdumiała ją i zszokowała. „Dla kogo pracujesz, Joe? – zastanawiała się. – Dla wywiadu wojskowego?”

Michaelson milczał, spoglądając to na Marlene, to znów na Trudi.

– *I'am sorry for you, girl*, ale musisz powiedzieć swojej przyjaciółce prawdę – rzekł wreszcie.

A ponieważ Trudi jeszcze bardziej się w sobie zapadła, powtórzył z naciskiem: – *Come on, tell her!*

– O czym masz mi powiedzieć? – Marlene czuła, jakby ziemia usuwała się jej spod stóp.

Trudi z rezygnacją podniosła głowę, a w jej ogromnych zielonych oczach błysnęły łzy.

– Okłamałam cię – zaczęła tak cicho, że Marlene z trudem łowiła jej słowa. – Ja... doktor...

– Co to znaczy, że mnie okłamałaś? Co z nim? Nie żyje? – Marlene z przerażeniem chwyciła Trudi za ramię.

– To... – jąkała się Trudi. – To nie doktor Friehling jest w obozie... To Gregor... zabrał dokumenty...

– Co ty mówisz? Gregor? Nic nie rozumiem...

A jednak zrozumiała. To nie doktor Friehling został osadzony w obozie, tylko Gregor Siebenbürgen. I to jego Trudi chciała wydostać zza drutów. Tak bardzo, że była gotowa okłamać przyjaciółkę i przez długie tygodnie mydlić jej oczy. Dziwne zachowanie Trudi, jej nocne ucieczki, unikanie rozmów z Marlene – wszystko wreszcie ułożyło się w spójny obraz. Właściwie Marlene od początku to przeczuwała, ale zbyt mocno się uczepiła nadziei. Ścisnęła dłońmi skronie, próbując zwalczyć nadciągającą migrenę. Chciałaby cofnąć czas, wymazać z pamięci słowa, które usłyszała. Trudi wzbudziła w niej złudną nadzieję i to właśnie było najgorsze: utracić doktora po raz drugi. Czuła, że spada w przepaść. Tłumaczyła sobie, że przecież Trudi zrobiła tylko to, co i ona próbowała uczynić: z głupim uporem starała się uwolnić mężczyznę, którego kocha. Ale chociaż pojmowała to umysłem, w jej sercu wzbierał niewyobrażalny gniew. I bunt przeciwko losowi, który pozwalał ujść cało najokrutniejszym bestiom, a nie oszczędził ludzi takich jak doktor Friehling.

– Tak rozumiesz przyjaźń? Okłamywałaś mnie, żebym zrobiła wszystko, co w mojej mocy, by uwolnić Gregora? Wiesz w ogóle, jaką krzywdę mi wyrządziłaś? – Marlene z trudem panowała nad głosem.

– Ja go kocham – wymamrotała dziewczyna, a po jej policzkach płynęły łzy. Przekora i upór znikły bez śladu.

Marlene ucieszyła się, że Trudi nie powiedziała nic więcej, że nie próbowała się usprawiedliwiać. Bała się, że mogłaby ją wtedy uderzyć.

Wzburzona wstała z miejsca. Musiała stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza, czuła, że jeszcze chwila i się udusi.

Jednak Michaelson zastąpił jej drogę.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

Marlene była tak rozgniewana, a zarazem otumaniona, że zrobiła coś niewyobrażalnie głupiego: sięgnęła po nóż. Nie, nie po to, żeby go dźgnąć. Chciała go tylko zmusić, żeby pozwolił jej wyjść. Michaelson zareagował błyskawicznie i nim się spostrzegła, wyłuskał jej z dłoni sztylet, odrzucił go

i wykręcił jej rękę. Następnie odprowadził ją na miejsce i bez słowa usadził na krześle.

– Kim naprawdę jesteś? – wysapała Marlene, rozcierając przedramię.

Rzekomy dziennikarz był mistrzem walki wręcz.

– *My name is Joe Michaelson. And I want to get Albrecht Brunnmann.*

– Dlaczego? – szepnęła Marlene.

– *Because it's my job.*

Prawda i manipulacja: Przywódcy Rosji i USA ścigają się na torze samochodowym. Amerykanin wygrywa. Następnego dnia moskiewska „Prawda” pisze: „Nasz przywódca zajął znakomitą drugą lokatę. Prezydent USA był przedostatni”.

– *Job?* – Marlene coraz trudniej było uwierzyć, że siedzący przed nią mężczyzna o twardym spojrzeniu i beztroski dziennikarz, którego poznała kilka tygodni wcześniej, to ta sama osoba.

– *Yes!* A ty wiesz, gdzie on jest.

– Nie mam pojęcia. A powinnam?

– *You said it!* – Michaelson wskazał na Jolantę, a potem na Marlene. – Pracowałyście dla niego. Brałyście od niego pieniądze i złoto.

– Bzdura! – Marlene zerwała się z krzesła. – Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz nas oskarżać?!

– *Sit down!* – huknął Michaelson.

– Kim naprawdę jesteś? – powtórzyła pytanie Marlene.

– *I told you.*

– Nieprawda. Okłamałeś mnie, nie jesteś dziennikarzem.

Kolejne rozczarowanie sprawiło Marlene niemal fizyczny ból. Wiedziała już, że ten człowiek nie jest jej przyjacielem, lecz mimo to wciąż nie potrafiła zrozumieć, jak mógł pomyśleć, że byłaby skłonna pomagać sadyście i ludobójcy. Te oskarżenia były tak absurdalne, że aż śmieszne, choć jej nie było bynajmniej do śmiechu; przeciwnie – robiło jej się niedobrze i kipiał w niej gniew. Wiedziała, że zanim zacznie wszystko wyjaśniać, musi się uspokoić. Przede wszystkim ze względu na dziecko. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej zdenerwowanie może mu zaszkodzić. Delikatnie powiodła dłonią po brzuchu, myśląc z miłością o tej małej istotce, która nie wiedziała jeszcze, na jakim świecie przyjdzie jej żyć. „Nie bój się, ja cię ochronię...”, uspokajała w duchu swoje maleństwo.

Musiała koniecznie przekonać Michaelsona, że są po tej samej stronie. Tylko jak? Nie miała żadnych dowodów.

Amerykanin uprzedził ją, zadając następne pytanie:

– Znasz Deborę Berchinger?

– Oczywiście, to moja przyjaciółka.

– Była kochanką Brunnmanna.

– Wiem. Ale nie z własnej woli. Brunnmann ją więził.

– Tak samo jak ciebie? – Michaelson znów powiedział to takim tonem, jakby go próbowała okłamać.

– Żebyś wiedział – odpowiedziała równie lodowato. – Poznałam Deborę w 1942 roku w Krakowie i zwerbowałam ją do współpracy z ruchem oporu. Wspólnie opracowałyśmy plan wykradzenia Brunnmannowi protokołów z konferencji nad berlińskim jeziorem Wannsee. W dokumentach były dowody na to, że Niemcy planowali wymordowanie wszystkich europejskich Żydów, łącznie z brytyjskimi. Protokół miał być przewieziony przez zaufanego kuriera do Londynu, tak aby cały świat się dowiedział, że los Żydów został przesądzony.

– Czytałaś ten protokół?

– Tak. Zrobiłam fotokopie.

– Gdzie jest film?

– Został zniszczony. Podczas przekazania w krakowskiej kawiarni doszło do zamachu. Zostałam ranna i obudziłam się w szpitalu.

– *I know.* – Joe otworzył leżącą przed nim teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość. – Jakub Wanda, przywódca krakowskiej grupy ruchu oporu, odwiedził cię w szpitalu, a następnie został zamordowany. To ty go zdradziłaś?

– Co?! – Kolejne oskarżenie sprawiło, że Marlene pociemniało przed oczami, a w ustach poczuła gorzki smak żółci. – Nie! – wykrzyknęła łamiącym się głosem. – Ja go kochałam.

– Tak jak Ernsta Meistera i Petera Friehlinga?

Marlene próbowała opanować mdłości. Sama opowiedziała Joemu o Ernście, a teraz on wykorzystywał to przeciw niej!

– Powiedziałaś ci, że pracowałam jako szpieg dla ruchu oporu. W tej grze trzeba stosować rozmaite metody. Brunnmann zdemaskował mnie i kazał za to słono zapłacić. Zrobił ze mnie dziwkę. Otilie, służąca Berchingerów, powiedziała mi, że tak samo poniżał Deborę.

– Ta Otilie... rozumiem, że jest twoim świadkiem? W porządku. Nazwisko? – Michaelson sięgnął po pióro.

„Do diabła! – zaklęła w duchu Marlene. – Niby skąd mam to wiedzieć? Zresztą i tak nic by to nie dało, bo Otilie zginęła pod gruzami kamienicy”.

– So...? – ponaglił ją Amerykanin.

– Ona nie żyje. Zginęła pod amerykańskimi bombami w lipcu czterdziestego czwartego.

– Bardzo wygodne. Ktoś jeszcze mógłby potwierdzić twoje zeznanie?

– Ja – odezwała się Jolanta.

– *Well*, znasz tę Otilie? I Deborę Berchinger? – Michaelson przeniósł wzrok z Marlene na Jolantę.

– Nie, ale wiem dużo na temat Brunnmanna. Na przykład o jego posiadłości w Mangfall. Może

tam go znajdziecie.

- Mangfall? Gdzie to jest?
- Koło Garmisch-Partenkirchen.
- Skąd znasz to miejsce?
- Byłam tam.

Marlene spojrzała zdziwiona na Jolantę, jakby chciała spytać: „Co tam robiłaś?”.

To samo pytanie zadał po chwili Michaelson, na co Jolanta odrzekła:

– To tam Brunnmann wpadł na pomysł zorganizowania lupanaru. Pomogłam mu wcielić ten plan w życie.

– *We are getting closer*. Czyli mu pani pomagała?

– Tak.

– Dla pieniędzy?

– Nie. Robiłam to, by ratować swoje dziecko – Jolanta wskazała na małego Colina, który jakby nigdy nic wciąż spał na jej piersi.

– *Well* – Michaelson wziął głęboki wdech. – Musi pani przyznać, że to nie brzmi przekonująco. Mamy trzy kobiety, które zgodnie twierdzą, że pracowały dla Albrechta Brunnmanna. Pod przymusem, w obozie koncentracyjnym. Dwie jako prostytutki, jedna jako... jak to się mówi po niemiecku? *Puffmother*? I wszyscy tam żyją w zgodzie i w przyjaźni. Wszyscy z wyjątkiem obersturmbannführera. I ja mam w to uwierzyć?

– Ale to prawda – wtrąciła się Marlene.

– Prawda? *Well, I got the facts*. Chciałaś – Amerykanin wskazał na Marlene – żebym ci pomógł wydostać z obozu lekarza o nazwisku Friehling, który został rzekomo omyłkowo internowany przez US Army. Cóż, problem w tym, że w obozie nie ma żadnego Petera Friehlinga. Jest za to niejaki doktor Gregor Siebenbürgen, lekarz SS, który pracował dla doktora Mengele, a potem ukradł dokumenty doktora Friehlinga. Skąd mogę wiedzieć, kto mówi prawdę, a kto kłamie? Przecież okłamujecie nawet siebie nawzajem. Prawda, Trudi?

– Przepraszam – powtórzyła Trudi drżącym głosem.

Marlene objęła ją. „W końcu to jeszcze dziecko – pomyślała. – Zakochany podłotek, który zrobił głupstwo”.

– *Again*. Skąd macie złoto?

– Już mówiłam. To złoto Brunnmanna, ukradłam je – powtórzyła Jolanta.

– Przed chwilą twoja młoda przyjaciółka twierdziła, że je znalazła. Komu zatem mam wierzyć, skoro mówicie różne rzeczy?

„To ślepa uliczka”, pomyślała Marlene, gorączkowo szukając jakiegoś rozwiązania. Musiała

zmienić taktykę.

– *Show me your number* – powiedział Michaelson na pozór bez związku z dotychczasową rozmową.

– Słucham? – zdziwiła się Jolanta.

– W Auschwitz – powiedział Amerykanin powoli, jakby tłumaczył coś dzieciom w szkole – każdy więzień otrzymywał numer, który tatuowano mu na przedramieniu. Jeśli byliście więźniarkami, pokażcie mi swoje numery.

Trudi wstała powoli z krzesła i podwinęła rękaw swetra. Jej, w przeciwieństwie do Marlene i Jolanty, po przyjeździe do Auschwitz wytatuowano numer.

– *And you? No numbers?*

Marlene i Jolanta pokręciły głowami.

– *You see, the facts are against you* – skwitował Amerykanin. – Ty – wskazał na Marlene – zataiłaś przede mną swoje prawdziwe nazwisko. *You are Anna von Dürkheim and not Marlene Kalten.* Mogę się opierać wyłącznie na faktach. Tylko tak mogę oddzielić prawdę od kłamstwa. *You lied too often.*

Michaelson sięgnął po słuchawkę telefonu. Marlene przestraszyła się, że zadzwoni po żandarma, by ją odprowadził z powrotem do piwnicy. Koniecznie musiała go jakoś przekonać! Nagle przypomniała sobie jeszcze jednego świadka.

– Icchak Cukierman! – wykrzyknęła. – On potwierdzi moje zeznanie. Był jednym z dowódców powstania w warszawskim getcie.

Marlene zanosła w duchu żarliwą modlitwę, by się okazało, że Cukierman żyje, a następnie opowiedziała Michaelsonowi wszystko, co wiedziała na temat żydowskiego bojowca, i podała miejsce, gdzie widziała go po raz ostatni. Amerykanin tymczasem przeglądał zawartość teczki, jakby szukając nazwiska Cukierniana, po czym niespodziewanie rzucił:

– Znasz też niejakiego Hubertusa von Greiffa.

Marlene poczuła, jakby znalazła się pod zmasowanym ogniem nieprzyjaciela. Ledwie umilkł jeden wystrzał, a już padał następny.

– Tak, znałam go.

– Wiesz, że nie żyje?

– Wiem.

– Mam tu tajny raport – Michaelson wyjął z szuflady opasłą teczkę – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, z którego wynika, że to ty go zamordowałaś. *Did you?*

Marlene nie miała pojęcia, w jaki sposób dokumenty RSHA trafiły w ręce rzekomego dziennikarza, ale wiedziała, że od tego, co odpowie, zależy jej los. Postanowiła powiedzieć prawdę.

– Tak, to ja go zabiłam.

Michaelson postukał palcem w teczkę i wpatrując się w Marlene, drążył dalej:

– W ucieczce pomógł ci adiutant Ernsta Kaltenbrunnera, niejaki Arthur Schitler. Był twoim współnikiem?

Na Marlene spadały kolejne ciosy. Owszem, wykorzystwała Schitlera, by się zbliżyć do Greiffa, a potem szantażem zmusiła go, by przekazał jej trzy komplety dokumentów: dla niej, dla Debory i dla małego Wolfganga. Teraz Schitler próbował ratować swoją skórę, lecz jego zeznania mogły pograżyć Marlene i kosztować ją życie. „Do diabła! – wściekała się. – Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie”. Bała się, że jeszcze chwila i oszaleje.

– To nie ma sensu. Kręcimy się w kółko – powiedziała wzburzona. Pod lawiną fałszywych oskarżeń trudno jej było zachować spokój i chciała skończyć tę farsę. – Mówimy prawdę, więc albo nam uwierzysz i puścisz wolno, albo nas zamknij. Nie mam ochoty dłużej się babrać w tym gnoju. I nie mam ochoty tłumaczyć się jakiemuś zarozumiałemu szczeniakowi. Nie masz pojęcia, jak wyglądała ta wojna i co kobiety takie jak my musiały robić, by przeżyć.

Marlene wstała i zmierzyła Amerykanina wściekłym spojrzeniem, lecz zaraz uświadomiła sobie, że widok kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży, nawet tak rozgniewanej jak ona, raczej nie jest w stanie nikogo przerazić.

Michaelson łypnął okiem.

– Szczeniakowi?

– Albo gówniarzowi, jak wolisz.

– *Okay*, nie wiem, co to znaczy, ale znam podobne słowo, więc się domyślam. – Joe nagle się uśmiechnął i pojednawczo uniósł obie dłonie. – *Okay, I surrender*. Zanim zaatakujesz mnie swoim brzuchem. – Na chwilę zza lodowatej fasady wychynęło znajome oblicze młodego wesołka. – *You can go*.

– Słucham? Tak po prostu? – Teraz to Marlene nieufnie łypnęła na Amerykanina.

– Tak, muszę sprawdzić kilka szczegółów. – Michaelson wskazał na notatnik ze swoimi zapiskami. – Ale to – włożył złote sztabki z powrotem do plecaka Trudi – zostanie u mnie. Ty, Marlene, stawisz się jutro o dziewiątej rano na dalszą część przesłuchania. Podaj dyżurnemu moje nazwisko. *Bye*.

Kiedy znalazły się na korytarzu i za ich plecami zamknęły się drzwi gabinetu, Trudi spojrzała na Marlene takim wzrokiem, jakby właśnie się obudziła z jakiegoś koszmaru, i spytała:

– Co to było?

– Sprawdzian. Chce zobaczyć, czy rano jeszcze tutaj będziemy. Albo myśli, że któraś z nas ucieknie i zaprowadzi go do Brunnmanna.

W drodze powrotnej Marlene oglądała się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, a kiedy tylko weszły do mieszkania, podbiegła do okna. Była pewna, że gdzieś tam na dole stoi

człowiek, który ma mieć je na oku.

Odczekała, aż opadnie jej poziom adrenaliny. „Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?”, myślała z rozpaczą. Czuła się fatalnie. Po raz drugi straciła doktora, a do tego władze amerykańskie podejrzewały ją o to, że była kolaborantką i współpraczką Brunnmanna. A to znaczyło, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Myśl o tym, że mogłaby urodzić dziecko w obozie, doprowadzała ją do szaleństwa i przez chwilę czuła wręcz pokusę, by rzucić się z tego okna. Trwało to ledwie ułamek sekundy, lecz wystarczyło, by zrozumiała, dlaczego niektórzy ludzie z rozpaczą są gotowi odebrać sobie życie. Pojęła, że dla tych biedaków śmierć niesie ze sobą obietnicę spokoju, zdolną uwieść tych, którzy nie mają już na tym świecie niczego, za czym by tęsknili bardziej niż za odrobiną wytchnienia.

Myślała o tym, że wojenne upiory – w tym największy z nich, upiór Albrechta Brunnmanna – ścigają ją nawet po wojnie, wczepiwszy się w nią tak mocno, że nie potrafi się od nich uwolnić. A potem przypomniała sobie coś, co wzburzyło ją jeszcze bardziej: Michaelson powiedział, że musi sprawdzić kilka szczegółów; a co, jeśli się dowie, że ma do czynienia nie tylko z Anną von Dürkheim i Marlene Kalten, lecz również wdową po Dietrichu hrabi zu Langenburg-Dietrichsteinie? Wtedy nie pomógłby jej nawet Icchak Cukierman. Poczwała, jakby wokół niej wyrósł wysoki mur, na zawsze zamykając jej drogę do życia w pokoju.

– Czy to nie zdumiewające – odezwała się za jej plecami Jolanta – jak łatwo wziąć prawdę za kłamstwo, gdy się na nią spojrzy z innej perspektywy?

– Tak – westchnęła Marlene. – Amerykanie gotowi są uznać nas za współpracownicy Brunnmanna, a przecież mało kto życzyłby mu śmierci tak gorąco jak my.

Marlene wciąż wyglądała na ulicę, zastanawiając się, czy i Deborah nie miała czasami ochoty wyskoczyć z okna i w ten sposób – jedyny możliwy – uciec przed Brunnmannem. Wiedziała, że Deborah byłoby na to stać. Ta dziewczyna była dość szalona i tak głęboko rozdarta wewnątrz, że czasem z nienawiści do samej siebie sięgała po nóż i zadawała sobie rany. Marlene po raz pierwszy naprawdę ją zrozumiała. Naprawdę poczuła, że i jej byłoby chyba łatwiej znieść ten rodzaj fizycznego bólu niż brzemień życia. Pod tym, co przeżyła w ciągu ostatniej doby, czuła fizyczny ból, ale widziała, że musi dalej żyć i walczyć. Dla dziecka, które w sobie nosiła.

– Ta posiadłość pod Garmisch-Partenkirchen... Myślisz, że to dobra kryjówka?

– Bardzo. Dom leży na pustkowiu, na końcu wąwozu.

– To znaczy, że gdyby Brunnmann wysadził kilka skał, zablokowałyby dojazd?

– Właśnie.

– Myślisz, że tam jest?

– Może.

Marlene zamilkła i wsłuchiwała się w wewnętrzny głos.

- Ja wiem, że tam jest.
- Więc po co mnie pytasz, skoro jesteś pewna?
- Nie wiem. Może chciałam usłyszeć jakieś potwierdzenie...

– Wiem, gdzie jest Albrecht Brunnmann – powiedziała Marlene, kiedy tylko następnego ranka żandarm wprowadził ją do gabinetu Michaelsona.

Ten jednak nie zerwał się z miejsca, tylko zachowywał się tak, jakby nie usłyszał odpowiedzi, którą poprzedniego dnia uporczywie próbował wydobyć z Marlene. Tak, ten mężczyzna posiadał wyjątkowy dar doprowadzania jej do irytacji!

– Żadnych *really* ani *great*? – spytała sarkastycznie, celowo go przedrzeźniając.

– *Sit down.* – Amerykanin wskazał jej stojące przed biurkiem krzesło. – *Coffee?*

Nozdrza Marlene zadrżały na sam dźwięk tego słowa. Kiedy ostatni raz piła prawdziwą kawę? Cały gabinet pachniał świeżym naparem, tak że aż ciekła jej ślinka.

– Chętnie – odpowiedziała.

Gospodarz napełnił jej filiżankę, a następnie podsunął dzbanek ze śmietanką i cukiernicę. Choć dawniej piła czarną i gorzką, tym razem skorzystała i ze śmietanki, i z cukru. Pierwszy łyk smakował tak wybornie, że z oczu omal nie popłynęły jej łzy. Pomyślała, że musi się wziąć w garść. Nie była petentką ani tym bardziej kolaborantką! Była bojowniczką ruchu oporu i oboje z Michaelsonem chcieli tego samego: głowy Brunnmanna.

Jednak następne pytanie znów zbiło ją z pantafelku:

– Znasz Mohammeda Amina al-Husseiniego.

Właściwie to nie było pytanie.

– Nie, kto...

„Do diabła!”, zaklęła w duchu, przypomniawszy sobie tego człowieka. To on w 1943 roku udaremnił plan zwolnienia pięciu tysięcy żydowskich dzieci, które następnie zostały deportowane i zamordowane.

– Widzę, że sobie przypominałaś.

– Tak, to arabski nazista.

Marlene drżała na myśl o tym, co za chwilę usłyszy. Pytanie było jednak nieuniknione. Tak jak jej odpowiedź.

– Jak go poznałaś?

– Przez Brunnmanna.

– Gdzie?

– W okolicach Krakowa. Nie wiem, gdzie dokładnie, bo w drodze zawiązano nam oczy.

– Spałaś z nim.

– Owszem, choć ja to nazywam gwałtem. Zmuszono mnie.

– Z iloma mężczyznami spałaś?

– Czy to ważne? Nie liczyłam.

Michaelson wyjął paczkę papierosów i nie częstując Marlene, zapalił. Do tej pory nie widziała go z papierosem. Amerykanin odprowadził wzrokiem unoszący się ku sufitowi kłęb dymu i znów spojrzał na Marlene.

– W obozie dochodziło do wielu samobójstw. *Question is*: dlaczego ty się nie zabiłaś?

– Pewnie bym to zrobiła, ale Brunnmann mnie szantażował. Groził, że zabije moją babkę.

Michaelson pokręcił głową.

– Szantaż to straszna broń. – Zaciągnął się po raz ostatni i zdusił na wpół wypalonego papierosa w popielniczce. – Al-Husseini figuruje na naszej liście.

– Na jakiej liście?

– Nazistowskich zbrodniarzy. *Hitler is dead, as Goebbels*. Mamy Göringa, Brytyjczycy mają Himmlera. *I want...*

Przerwało mu pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł żołnierz i przekazał Michaelsonowi wiadomość na piśmie. Joe przeczytał ją i rozparł się w fotelu, a w jego oku znów pojawił się błysk zainteresowania.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że twój dziadek był członkiem ruchu oporu? Spotykał się z Moltkem i Wartenburgiem. Umarł w więzieniu w Plötzensee.

Marlene zaparło dech w piersi. Michaelson wiedział coś o jej dziadku! Może uda jej się dowiedzieć, jak zginął i gdzie jest pochowany! Szybko jednak zmarszczyła czoło. Coś się tu nie zgadzało, bo o śmierci dziadka dowiedziała się już w kwietniu czterdziestego trzeciego, a tak zwany Krąg z Krzyżowej, o którym wspomniał Michaelson, znalazł się na celowniku gestapo dopiero po zamachu dokonanym przez Stauffenberga.

– Wiesz, kiedy dokładnie umarł mój dziadek?

Michaelson bez słowa podał jej kartkę. Drżącą dłonią sięgnęła po dokument i przebiegła go wzrokiem. Baron von Dürkheim został rozstrzelany w styczniu czterdziestego czwartego. Marlene otarła łzę w kąciku oka.

– *What's wrong?* – spytał Michaelson.

– Powiedziano mi, że umarł dużo wcześniej i że to przeze mnie trafił do więzienia. – Marlene

z powrotem złożyła dłonie na brzuchu, szukając bliskości dziecka. Tak bardzo żałowała, że jej dziadek nigdy nie zobaczy prawnuka.

Zadzwoił telefon, lecz tym razem nie przestraszyła się przeraźliwego dzwonka.

Michaelson podniósł słuchawkę. To, co usłyszał, wyraźnie go zelektryzowało.

– *Get my car ready!* – krzyknął do słuchawki, po czym rzucił ją na widełki i zerwał się z miejsca. –

We've got Albrecht Brunnmann!

– Aresztowaliście go? – Marlene wpatrywała się w Amerykanina z niedowierzaniem. Poczwała, jakby z jej ciała spływała ciepła fala.

– Tak, złapali go *near Munich. I go to see him now.* – Joe stał już w progu gabinetu, gdy się niespodziewanie odwrócił. – *Wanna come?* – Najwyraźniej sukces sprawił, że nagle stał się wielkoduszny.

– Obawiam się, że nie dam rady – odrzekła Marlene żałośnie.

Siedziała w sporej kałuży.

Michaelson spojrzał skonsternowany na zabytkowy parkiet.

– Co to?

– Chyba odeszły mi wody.

Było tak, jak sobie wyśniła – tyle że to nie był sen. Zakochała się w nim w chwili, gdy go wzięła na rękę. Cały świat stanął na głowie, zupełnie jakby kosmos eksplodował. Nigdy by nie uwierzyła, że można mieć w sobie tyle miłości, że człowiekowi niemal pęka serce. Mogła godzinami patrzeć na to cudo w swoich ramionach. Syn jej ukochanego, całe jej życie. Nazwała go Noah.

Szybko odzyskała siły, a gdy dzień po porodzie Michaelson stanął przy jej łóżku z takim wyrazem twarzy, jakby Ameryka przegrała wojnę z Japonią, domyśliła się najgorszego.

– Brunnmann uciekł – powiedział Amerykanin, przysuwając sobie krzesło.

Przyniósł banany i jabłka i Marlene, słuchając jego opowieści, przyłapała się na tym, że wpatruje się w egzotyczne owoce. Minęły lata, odkąd ostatni raz jadła banany. Podczas wojny często głodowała, ale dopiero w ciąży zaczęła się lękać głodu – ze względu na dziecko. Zresztą do tej pory nie miała pokarmu i lekarz powiedział, że to skutek długotrwałego niedożywienia. Brzmiało to trochę jak oskarżenie, jakby to była jej wina, że niedostatecznie o siebie dbała. Marlene nie polubiła tego niesympatycznego człowieka. Był sterylny i zimny jak jego instrumenty, ale sposób, w jaki zaciskał szczękę, świadczył to tym, że tłumi w sobie gniew. Gdyby nie rozkaz Michaelsona, nie zająłby się nią. Marlene szybko się domyśliła, że przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, iż kazano mu leczyć „Niemkę”, bo chociaż znał jej imię, do pielęgniarek zawsze mówił o niej „*the German*”. Oschłe traktowanie przez Amerykanina sprawiło, że Marlene jeszcze dotkliwej odczuła brak doktora Frieblinga i jego serdecznego, ludzkiego podejścia.

Malec poruszył się na jej piersi, rozpraszając złe myśli. Rozchylił różowe usta i mlasnął kilka razy, lecz spał dalej. Marlene pomyślała, że jej synek niedługo znów zgłodnieje, i jej spojrzenie mimowolnie powędrowało ku bananom. Może jeśli je zje, pojawi się nieco pokarmu? Pielęgniarka twierdziła, że to możliwe. Widząc, na czym skupia się uwaga położnicy, Michaelson sięgnął po banana, obrał go i jakby nigdy nic podsunął jej pod nos. Marlene odruchowo, jak jej malec, otworzyła usta.

Tymczasem Amerykanin zaserwował jej drugą nowinę:

– *By the way*, znaleźliśmy Deborę Berchinger.

Marlene niemal się zakrztusiła.

– Co? Gdzie? – kaszlnęła, próbując nie wypluć banana.

– Była w Garmisch, właśnie się dowiedziałem. Jutro jadę ją przesłuchać.

– Myślisz, że ona wie, gdzie jest Brunnmann? – Marlene przełożyła ciepłą buzię synka na drugie ramię.

– Twierdzi, że nie, ale nasi chłopcy jej nie ufają. Zgubiliśmy trop Brunnmanna w Austrii, więc zakładamy, że pojechał na południe, do Włoch. Jak większość nazistów.

– Do Włoch? Dlaczego właśnie tam? – zdziwiła się Marlene. Wydawało się jej, że to za blisko, by znaleźć dobrą kryjówkę. W „pracy” słyszała czasem, jak jej „klienci” rozmawiali o Ameryce Południowej.

– Bo pomagają im ci cholerni księża. Wystawiają nazistom fałszywe dokumenty. Wiemy, że na pewno pomaga im biskup Hudal – Michaelson znów przybrał kamienną minę zaciętego łowcy nazistów. – Chciałbym, żebyś ze mną pojechała do Garmisch.

Marlene spojrzała na niego zdumiona.

– Słucham?

– Panna Berchinger nie jest skora do współpracy. Jest trochę... jak to się mówi po niemiecku... *Crazy... Szalona...*

– Szalona? – Marlene przeraziła się.

Dość się napatrzyła w Auschwitz na ludzi, którzy pod wpływem niewyobrażalnego cierpienia postradali zmysły.

– Macha rękami, krzyczy, gryzie... Chciałbym, żebyś z nią porozmawiała. Jesteś w końcu jej przyjaciółką.

– Oczywiście chętnie z nią porozmawiam, ale... – spojrzała na synka. – Dlaczego nie przywieziesz jej tutaj?

Michaelson zawahał się, tylko na chwilę, lecz to wystarczyło, by Marlene ogarnął niepokój. Czyżby stan Debory nie pozwalał na transport? Na szczęście Amerykanin szybko rozwiązał jej obawy.

– Deborah Berchinger przebywa w wojskowym więzieniu. Ugryzła w rękę oficera US Army.

Marlene natychmiast zrozumiała, w czym problem. Jak zwykle chodziło o wewnętrzną rywalizację i podział kompetencji. Zastanawiała się tylko, dlaczego instytucje i ludzie, którym przyświeca ten sam cel, muszą bez przerwy toczyć boje. A może właśnie to było źródłem wszystkich problemów? Może ludzie wchodzili sobie w paradę właśnie dlatego, że byli do siebie zbyt podobni?

– Myślałam, że ty też pracujesz dla wojska.

Michaelson dostrzegł złośliwą satysfakcję w oczach Marlene i zrozumiał, że się zdradził.

– Jestem oficerem Counter Intelligence Corps.

Chociaż wciąż siedział na krześle, Marlene miała wrażenie, że wypowiadając te słowa, urósł o kilka centymetrów.

– Najwyższa pora.

Marlene wiedziała, że amerykański wywiad wojskowy wspierał ruch oporu w Niemczech. Słyszała nawet, że sam admirał Canaris spotkał się kilka razy z przedstawicielami CIC.

– *Please?*

– Najwyższa pora się przedstawić. – Marlene uznała, że ma pełne prawo zwrócić swojemu rozmówcy uwagę na to, że do tej pory tego nie zrobił. Interesowała ją jeszcze jedna kwestia. – Ile masz lat, Joe? Wyglądasz bardzo młodo.

– A co, trzeba być starym piernikiem, żeby ścigać nazistów? Ile ty miałaś lat, kiedy przystąpiłaś do ruchu oporu?

– Szesnaście.

– *So, I'm twelve years older.* To tyle, ile trwała Trzecia Rzesza. Ledwie dwanaście lat! I popatrz, co Hitler i jego ludzie zrobili! – Zapadła cisza, jakby każde z nich chciało w głębi duszy ogarnąć bezmiar okrucieństwa, które zalało świat.

– Niestety nie możesz zabrać dziecka – odezwał się wreszcie Michaelson.

Wiedział, że stawia ją w trudnym położeniu, gdyż Marlene co prawda chciała z nim jechać, ale w żadnym razie nie zamierzała rozstawać się z synkiem.

– Zajmę się małym, a ty złap tego diabła. Dla nas.

Marlene odwróciła głowę. W progu stała Jolanta, z Colinem na piersi. Za nią cisnęła się Trudi.

– Zaopiekuję się nim – powiedziała Azjatka, stając przy łóżku i wyciągając ręce po malca. – Mogę go potrzymać?

Przyjaciółki odwiedziły ją rano i Marlene już wtedy zauważyła, że Trudi jest jak odmieniona. Wpatrywała się w maleństwo jak w obrazek, powtarzając, że wygląda jak jej mały braciszek. Co prawda Marlene uważała, że Noah przypomina raczej swojego ojca, ale za bardzo była poruszona dziecięcym zachwytem Trudi, by wyprowadzać ją z błędu.

– *You see?* Twój synek jest w dobrych rękach. Wyruszamy jutro, a pojutrze będziemy z powrotem.

Marlene raz jeszcze spojrzała na Jolantę i chociaż ta milczała, w głowie położnicy ponownie rozległy się słowa przyjaciółki: „Złap tego diabła. Dla nas”. Od siebie Marlene dodała: „Życie za życie”.

Marlene spojrzała na swoje dłonie. Bez dziecka wydawały się takie puste! Czuła bolesną tęsknotę, jakby straciła część siebie. Już tęskniła za swoim maleństwem, a przecież dopiero co opuściła lazaret i oparta na ramieniu Michaelsona wsiadła do samochodu. Była jeszcze trochę osłabiona, ale czuła się nadspodziewanie dobrze. Poród przebiegł bez komplikacji – ledwie cztery godziny bólu i w jej ramiona złożono maleńkie, czerwone i rozkrzyczane zawiniątko. Było tak kruche, że w pierwszej chwili poczuła obawę, lecz zdumiewająca siła, z jaką mała piastka zacisnęła się na jej palcu, dodała jej otuchy. Jeszcze bardziej zdumiała się, gdy ogarnęły ją te same czarne wizje, które są

udziałem wszystkich matek, gdy choćby na chwilę tracą z oczu swoją pociechę. Aby nie wyobrazić sobie bez końca tych wszystkich złych rzeczy, które mogłyby się przytrafić chłopcu pod jej nieobecność, skupiła się na tym, co powie Deborze, gdy się spotkają.

Poza tym była wciąż bardzo poruszona listem, który poprzedniego dnia przekazał jej Michaelson. Amerykanin otrzymał go kilka dni wcześniej od doktora Siebenbürgena podczas przesłuchania. Koperta była otwarta, więc Michaelson znał treść listu, choć zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie znaczenie mogą mieć dla niej słowa, których do tej pory nie była w stanie przeczytać. Ostatnie słowa jej ukochanego.

Strażnik otworzył celę. Marlene musiała użyć całej swojej zdolności przekonywania, by Michaelson w końcu przystał na jej prośbę i pozwolił jej pomówić z Deborahą w cztery oczy. Mimo to stał za niedomkniętymi drzwiami i uważnie przysłuchiwał się każdemu słowu.

Deborah siedziała skulona na łóżku, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Nie podniosła oczu. Marlene wiedziała, że jej przyjaciółka próbuje się w ten sposób bronić przed światem.

Odczekała kilka sekund i w końcu rzekła:

– Dzień dobry, *chérie*.

Cisza. Jeśli Deborah ją usłyszała, nie dała tego po sobie poznać. Marlene nie spieszyła się, czekała. W końcu Deborah podniosła głowę i ich spojrzenia wreszcie się spotkały.

Od kiedy ostatni raz się widziały w Krakowie, upłynęło dwadzieścia miesięcy. W oczach Debory widać było mroczny cień, a jej ożywienie wydawało się zbyt egzaltowane, by było prawdziwe. Mimo to dziewczyna miała jeszcze w sobie jakieś pokłady energii, jeszcze się nie poddała, gdyż mimo udręk, jakie musiała znosić, miała powód, by żyć: młodszego brata Wolfganga. Osoba, która teraz siedziała przed Marlene, napawała ją przerażeniem. Przywodziła na myśl zgaszoną świecę.

A może Deborah jej nie poznała? W Marlene z trudem dało się rozpoznać tamtą elegancką młodą kobietę, którą była niespełna dwa lata wcześniej: miała na sobie workowatą sukienkę, krótką blond fryzurę na pazia w stylu Coco Chanel zastąpiły sięgające ramion ciemne włosy, które upięła z tyłu szpilką, no i nie była umalowana. Stan Debory sprawił Marlene w przygnębienie. Ogarnęła ją fala współczucia i postanowiła za wszelką cenę związać zerwaną nić przyjaźni, łączącą ją kiedyś łączyła z tą biedną dziewczyną.

– Jak się czujesz, *chérie*? – Podeszła i usiadła obok Debory.

Ta natychmiast się odsunęła i wcisnęła się w kąt jak wystraszone zwierzę. Dopiero wtedy dało się zauważyć okrągły brzuch, tym bardziej wydatny, że Deborah była chuda jak bezdomny kociak. „Mój Boże, ona jest w ciąży! – przemknęło przez głowę Marlene. – Czy to dziecko Brunnmanna?” Jej spojrzenie padło na dłonie dziewczyny. Paznokcie miała obgryzione do krwi. Marlene domyśliła się, że pod rękawami swetra kryją się świeże rany. Okaleczając się, Deborah próbowała zagłuszyć ból duszy.

– Po co tu przysłaś? – Głos dziewczyny był tak ochrypły, jakby od dawna nie mówiła.

Dobre pytanie! Marlene odpowiedziała natychmiast i z całą szczerością:

– Po pierwsze chciałam cię zobaczyć, a po drugie muszę cię zapytać, czy wiesz, gdzie się ukrywa Brunnmann.

– Przysłał cię ten Amerykanin? – Deborah wskazała głową na drzwi.

Marlene przez chwilę myślała, że dziewczyna zauważyła Michaelsona, lecz zaraz się zreflektowała i doszła do wniosku, że jej przyjaciółka miała na myśli oficera, którego ugryzła. Kilka minut wcześniej siedzieli z Michaelsonem w gabinecie majora i widzieli dzieło Debory, gdyż gospodarz przez cały czas demonstracyjnie trzymał rękę na blacie biurka. Marlene przyszło do głowy, że być może zdaniem majora wszyscy Niemcy to wściekłe bestie, lecz potem uznała, że oficer prawdopodobnie chce w ten sposób uzyskać lepszą pozycję negocjacyjną, jako że najwyraźniej nie był skłonny wypuścić Debory ze swoich rąk. Michaelson musiał przekonywać majora przez blisko pół godziny, by ten pozwolił im się zobaczyć z więźniarką. Szalę przeważył argument, iż w ten sposób przynajmniej potwierdzą identyfikację osadzonej, gdyż młoda kobieta podająca się za Deborę Berchinger została schwytana bez dokumentów.

– Znasz mnie – odpowiedziała Marlene na pytanie przyjaciółki – i wiesz, że nikt mnie nie przysłał. Przysłałam tu z własnej woli. Ale nie wydostanę cię stąd, jeśli nie pomożesz Amerykanom. Jeśli wiesz, gdzie jest Brunnmann, powiedz im. Wtedy się wypuszczą.

– Wypuszczą? – ciało Debory nagle zadrżało.

– Tak.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Marlene nie kłamała: gdyby Deborah zgodziła się im pomóc, przejąłby ją Michaelson. A wtedy Marlene prędzej czy później przekonałaby go, by ją uwolnił.

– W takim razie... Kiedyś słyszałam, jak Albrecht wspominał w jakiejś rozmowie, że Ameryka Południowa to dobre miejsce, bo tam rządzą faszyci.

– Ameryka Południowa to ogromny kontynent. Pamiętasz, czy mówił o jakimś konkretnym kraju? – Marlene wymieniała kilka nazw i gdy padło słowo „Paragwaj”, Deborah wykrzyknęła:

– Tak! Mówił o Paragwaju!

– Uczył się hiszpańskiego? – To pytanie padło na prośbę Michaelsona.

– Jeśli tak, to nic o tym nie wiem – Deborah wzruszyła ramionami. – Kiedy mnie wypuszczą? – przypomniała przyjaciółce złożoną obietnicę.

Marlene zmierzyła dziewczynę wzrokiem. Coś się tu nie zgadzało. Kiedyś umiała ją przejrzeć, ale od tamtej pory Deborah wiele się nauczyła i Marlene nie mogła się pozbyć niejasnego wrażenia, że dziewczyna ją okłamuje. Uznała jednak, że na wyjaśnienia przyjdzie czas, a w tej chwili najważniejsze to wydostać ją z więzienia i zabrać do Wiesbaden. Deborah już i tak zbyt długo była więziona.

Marlene poczuła za plecami powiew powietrza. Do celi wszedł Joe Michaelson.

– On jest z tobą? – spytała nieufnie Deborah.

Michaelson miał na sobie amerykański mundur. Marlene, która do tej pory widywała go w cywilnym ubraniu, nie przywykła jeszcze do tego widoku. Tak jakby mundur wytyczył między nimi niewidzialną linię.

– Tak, to *captain* Joe Michaelson. Postara się, żebyś stąd wyszła. – Marlene powiedziała to celowo, by wyrzucić na Amerykanina presję.

Była w tym też spora doza egoizmu, bo chciała jak najszybciej wrócić do synka. Ponieważ Deborah nie miała na świecie nikogo, Marlene postanowiła zabrać ją ze sobą do Wiesbaden, a potem do Akwizgranu, dokąd zamierzała wyruszyć w następnym tygodniu. Naradziła się już w tej sprawie z Jolantą, wiedząc, że jeśli jej plan się powiedzie, będą mieć pod swoją pieczęć dwie głęboko zranione młode kobiety: Trudi i Deborę. W trakcie tamtej rozmowy Jolanta powiedziała coś, co Marlene w głębi duszy przeczuwała już wcześniej: „Jesteś bardzo podobna do doktora Friehlinga. Tak jak on gromadzisz wokół siebie ludzi i zmieniasz ich losy. Życie za życie. Oto twoje powołanie na czas pokoju”.

Michaelson zmierzył Deborę wzrokiem i stwierdził krótko:

– Ona jest w ciąży.

Marlene wyczuła w jego głosie nutę strapienia. Prawdopodobnie wyobraził sobie następną kałużę na swoim pięknym parkiecie.

Mimo wszystko Amerykanin dotrzymał słowa i trzy godziny później, po wypisaniu całej sterty papierków i wyrzuceniu z siebie potoku przekleństw, przejął Deborę „na stan” CIC. Dziewczyna otrzymała dokument z mnóstwem pieczętek, który oficjalnie zwracał jej nazwisko, a następnie podpisała listę wyliczającą cały jej dobytek. Oprócz ubrania, które miała na sobie, figurował na niej jedynie pierścionek z rubinem. Marlene znów ze zdziwieniem zauważyła, jak skrupulatna jest amerykańska biurokracja.

Michaelson załatwił Marlene i Deborze nocleg w ulokowanej na obrzeżach rynku gospodzie z pokojami do wynajęcia, a następnie, wymawiając się obowiązkami, przeprosił, że nie będzie im towarzyszył przy posiłku, i obiecał, że odbierze je nazajutrz o ósmej rano.

Wojna jest jak burza piaskowa. Każdy, kto znalazł się w jej zasięgu, jest coraz bardziej wsysany przez mroczne moce, które wciągają go w bezdenną przepaść, gdzie czai się zło.

Marlene latami walczyła, by się utrzymać na powierzchni, nie dać się pochłonąć złu, stawić czoło demonom. I jej poświęcenie zostało nagrodzone. Pomyślała, że jeśli Jolanta ma rację i bogowie rzeczywiście grają ludzkimi losami, to jej zapłatą za udział w tej grze jest mały Noah.

Nie minęła doba od wyjazdu z Wiesbaden, a już przepęłniała ją bolesna tęsknota za synkiem. Chciała poczuć jego ciepłe ciało, trzymać je w ramionach i wdychać niemowlęcy zapach, gdy malec wtuli się w jej pierś. Nie była już wojowniczką, lecz matką. Lecz od synka oddzielała ją jeszcze długa noc z Deborą.

Podczas kolacji Marlene uszanowała milczenie przyjaciółki, lecz gdy wróciły do pokoju, przeszła do ofensywy.

– Wiem, co planujesz.

– Słucham? – Deborah właśnie miała zdjąć sweter, lecz opuściła ręce.

– Chcesz zemsty. Chcesz sama, własnymi rękami, zabić Brunnmanna. – Marlene czytała w twarzy Debory jak w otwartej księdze. – Proszę cię, zostaw to Amerykanom – powiedziała błagalnym tonem, choć doskonale rozumiała, co czuje jej przyjaciółka. Zanim zorientowała się, że nosi w sobie dziecko doktora, również chciała ścigać Brunnmanna. Osobiście. Lecz odkąd pojawił się Noah, jej życie stanęło na głowie. Malec wypełnił pustkę, która rosła w niej z każdą kolejną stratą i którą do tej pory starała się zapełnić walką. – *Captain* Michaelson powiedział mi, że Amerykanie planują zorganizować w Norymberdze wielki proces i posadzić na ławie oskarżonych największych zbrodniarzy. Brunnmann zostanie publicznie osądzony. Takie publiczne roztrząsanie jego zbrodni będzie dla niego największym upokorzeniem.

– To nie wystarczy – stanowczo odparła Deborah.

Marlene pomyślała, że w swoim uporze przypomina Trudi. „A zatem zostało w niej coś z dawnej Debory”, pomyślała z nadzieją.

– Chodzi o dziecko, prawda? Myślisz, że ojcem jest Brunnmann?

– A któż by inny! – Deborah niemal wypluła z siebie to zdanie.

Cała dygotała. Jej szczupłe ciało z wydatnym brzuchem wyglądało jak żywcem wyjęte z gazetowej karykatury.

Marlene niespodziewanie zapragnęła wziąć Deborahę w ramiona, pocieszyć ją i powiedzieć, że wszystko się ułoży, lecz natychmiast poczuła się jak obłudnica. Zresztą Deborah pewnie wcale by jej na to nie pozwoliła.

Dziewczyna była emocjonalnie rozbita i Marlene zaczęła się obawiać, czy w ogóle uda jej się do niej przemówić. Wiedziała, że Deborah potrzebuje czasu, tak jak Trudi. Mimo to postanowiła spróbować.

– Nie możesz karać dziecka za winy ojca. Nie daj mu odczuć swojej nienawiści – powiedziała cicho.

– Daj mi spokój! – odparowała Deborah. – Znalazła się... moralistka! Ty miałaś swoją zemstę! Albrecht powiedział mi, że zabiłaś Greiffa, więc nie mów mi nic o nienawiści!

„Dzięki, Albrechcie...”, jęknęła Marlene w duchu, po czym uśmiechnęła się do Debory uspokajająco. Tego dnia nie była jednak w stanie wykrzesać z siebie nic więcej.

– Jestem zmęczona. Porozmawiamy jutro – powiedziała, po czym wyjęła z walizki nocną koszulę, zdjęła buty i weszła do maleńkiej łazienki. „Co za luksus”, przemknęło jej przez głowę. „Łazienka na tym samym piętrze! Ba, w pokoju!”.

Jednak Deborah nie złożyła broni. Poszła za Marlene i rzuciła z gniewem:

– Nie ufasz mi, co? Myślisz, że nie mogłabym tego zrobić! Wielka bojowniczką Marlene, którą włąśnie ludzie wysadzili w powietrze! – szydziła. – Nie wypieraj się! Albrecht o wszystkim mi powiedział!

– Straszna papla z tego twojego Albrechta – odpowiedziała Marlene, bez zażenowania siadając na klozecie.

Liczyła, że w ten sposób pozbędzie się Debory z łazienki.

Ta jednak ani myślała wyjść.

– To ty mnie do wszystkiego namówiłaś! Inaczej nie wykradłabym tamtych protokołów. To przez ciebie poróżniłam się z Albrechtem. Gdyby nie ty, wszystkie te straszne rzeczy w ogóle by się nie zdarzyły! – kontynuowała atak.

Marlene spuściła wodę. Miała ochotę się rozebrać i umyć, ale nie chciała pokazywać Deborze swojego ciała, na którym wciąż widać było ślady ciąży. Bała się, że gdyby jej ciężarna przyjaciółka dowiedziała się o jej dziecku i o tym, jak bardzo Marlene czuje się szczęśliwa, mogłaby wpaść w jeszcze większą furję. Na szczęście przed wyjazdem Jolanta owinęła jej wciąż spory brzuch bandażem, tak że pod luźną sukienką był niewidoczny.

Marlene najchętniej zignorowałaby Deborahę, ale obawiała się, że w ten sposób nie uda jej się zakończyć dyskusji. Nie traktowała poważnie oskarżeń dziewczyny, która w Krakowie działała

z własnej woli i z głębokiego przekonania, a nie po to, by wyświadczyć przyjaciółce przysługę bądź się jej przypodobać. Deborah atakowała ją tylko dlatego, że musiała dać upust nagromadzonym w swej duszy emocjom. Marlene była dla niej swoistym wentylem bezpieczeństwa.

Po niedawnym porodzie i długiej podróży świeżo upieczona matka była tak wyczerpana, że z trudem stała na nogach, dlatego opuściła deskę i usiadła na sedesie.

– No więc dobrze, jeśli ma ci to pomóc, zrzuć na mnie winę za to, co cię spotkało. Wolę, żebyś nienawidziła mnie niż samą siebie. Albo żebyś się zabiła. – Chwyciła rękę Debory i spojrzała na jej nadgarstek. Świeża rana potwierdziła jej domysły.

Dziewczyna wyrwała dłoń.

– Zostaw mnie w spokoju! – fuknęła speszona.

– Bardzo chętnie. Możemy się już położyć? – Marlene ziewnęła.

– Ty wcale nie chcesz mnie zrozumieć! – Głos Debory znów zabrzmiał hardo.

– A czego ode mnie oczekujesz? Mam się cieszyć, że chcesz zabić Brunnmanna? – odparła Marlene wyraźnie zniecierpliwiona, po czym dodała nieco łagodniej: – Wojna się skończyła, *chérie*. Musimy patrzeć w przyszłość, inaczej pozwolimy mu, by nadal miał nad nami władzę. Tego chcesz? Do końca życia dźwigać brzemię wojny? Rozumiem, jesteś w ciąży, wbrew własnej woli. Ale co to zmieni w twojej sytuacji, jeśli znienawidzisz własne dziecko lub na mnie zrzucisz winę za swoje nieszczęście? Czy dzięki temu poczujesz się lepiej?

– Poczuję się lepiej, kiedy zabiję Albrechta – odparła wojowniczo Deborah.

Marlene spojrzała w oczy dziewczyny i zrozumiała, że tylko krok dzieli ją od przekroczenia granicy między nienawiścią a szaleństwem. Wiedziała, że musi ją zawrócić z tej niebezpiecznej ścieżki, dlatego odpowiedziała twardo:

– Nie! Nie poczujesz się lepiej. Jego twarz zacznie cię prześladować nocami. W ten sposób sprawisz, że stanie się nieśmiertelny. Musisz patrzeć przed siebie, nie oglądać się w przeszłość. Ja też musiałam się tego nauczyć. A teraz wyjdź, proszę, chcę się wreszcie umyć. – Marlene wstała i wypchnęła Deborę za drzwi, lecz dziewczyna nie dała za wygraną i nie umilkła nawet w łóżku. Zmęczona Marlene pozwoliła jej mówić i wkrótce zasnęła.

Kiedy około szóstej otworzyła oczy, Debory nie było w pokoju. Niestety nie miała pojęcia, jak się skontaktować z Michaelsonem, a kiedy dwie godziny później Amerykanin zjawił się w gospodzie i usłyszał o ucieczce dziewczyny, stanowczo odmówił wszczęcia poszukiwań zbiega.

– Twoja przyjaciółka jest dorosła i da sobie radę – powiedział. – Armia ma ważniejsze sprawy niż szukanie zaginionej dziewczyny.

Marlene musiała przyznać, że jego argumenty brzmią przekonująco. Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć o groźbach rzucanych przez Deborę pod adresem Brunnmanna, lecz w końcu uznała, że Michaelson mimo to nie zarządziłby pościgu za Deborą. Pewnie nawet nie uwierzyłby, że

dziewczyna jest w stanie zrealizować swoje plany.

Pozostawało jej liczyć na to, że Michaelson i jego ludzie złapią Brunnmanna, zanim znajdzie go Deborah. Marlene najchętniej sama wyruszyłaby śladem przyjaciółki, ale na przeszkodzie stał mały Noah, który potrzebował matczynej opieki.

W tej sytuacji uznała, że zrobiła dla Debory wszystko, co było w jej mocy, i pozostaje jej tylko mieć nadzieję, iż los tym razem okaże się łaskawy dla tej biednej dziewczyny.

Odpryski wojny

„Od teraz jestem śmierć, niszczyciel światów”.

Robert Oppenheimer
po pierwszym próbnym wybuchu bomby atomowej

Akwizgran, cztery miesiące później

Noah od kilku dni cierpiał na kolki i Marlene właśnie próbowała mu podać nieco koperku, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Już idę! – babcia Charlotte odłożyła chochlę.

Po chwili wróciła do kuchni z młodym mężczyzną ubranym w amerykański mundur.

Marlene ze zdumieniem spojrzała na gościa. Przez chwilę myślała, że to Joe Michaelson, lecz mężczyzna był nieco młodszy i bardziej postawny. Mimo to podobieństwo było uderzające.

Wszystko się wyjaśniło, gdy nieznajomy przedstawił się jako Benedict Michaelson, kuzyn Joego, a potem dodał, że pracuje ze słynnym Johnem Hustonem nad pewnym filmem i jest właśnie w drodze do Belgii. Następnie przeprosił za słabą znajomość niemieckiego i spytał, czy mogą kontynuować rozmowę po angielsku.

– Jest pan reżyserem? – spytała z zaciekawieniem Marlene.

– Nie, właściwie jestem producentem. Obecnie służę w ICD, Information Control Division.

– Jednostce stworzonej w miejsce Psychological Warfare Division?

– Jest pani świetnie poinformowana.

Marlene wskazała na stos gazet za swoimi plecami.

– Dzięki uprzejmości pańskiego kuzyna regularnie czytam „Stars & Stripes”. – Uśmiechnęła się. – Wiem też, że ruch oporu współpracował z PWD. Co zatem pana do mnie sprowadza?

– To! – Benedict Michaelson wyjął z torby list. – Joe poprosił mnie, bym po drodze odwiedził panią i osobiście to jej przekazał.

Młoda mama oddała synka babci Charlotte. Gdy Marlene czytała list, starsza pani uważnie przypatrywała się jej twarzy, a gdy skończyła, spytała:

– Złe wieści, kochanie? Zbladłaś.

Marlene upuściła kartkę na podłogę.

– Niestety. Deborah została aresztowana. W Rzymie.

– Aresztowana? Za co?

– Zakradła się do Ogrodów Watykańskich i próbowała zastrzelić Brunnmanna.

Marlene spodziewała się, że może dojść do czegoś podobnego, lecz mimo to przeczytawszy list, aż jęknęła... Deborah musiała być w zaawansowanej ciąży. A może już urodziła? Joe nie wspomniał ani słowem o dziecku. „Jak daleko jest z Akwizgranu do Rzymu?”, rozważała gorączkowo.

Babcia Charlotte nie wydawała się zaskoczona. Znała historię życia swojej wnuczki. Odkąd spotkały się po sześciu latach rozłąki, Marlene sukcesywnie opowiadała jej o wszystkim, co w tym czasie przeżyła. Nie zataiła nawet tych szczegółów, z których nie była szczególnie dumna. Mówienie o tym było elementem procesu uzdrowienia, który rozpoczął się w dniu, gdy opowiedziała o swojej wojennej działalności Joemu.

Potwierdziwszy domysły starszej pani, Marlene po krótkiej chwili dodała:

– To moja wina. Nie powinnam była pozwolić jej jechać.

– Bzdura – odparła zdecydowanie Charlotte. – Na nic jej nie pozwoliłaś. Ona uciekła, bez słowa! Po tym wszystkim, co mi opowiedziałaś o tej dziewczynie, wydaje mi się, że aby ją powstrzymać, musiałabyś chyba ją związać. Podjęłaś właściwą decyzję. Teraz odpowiadasz przede wszystkim za swoje dziecko!

Marlene uśmiechnęła się zakłopotana. Babcia Charlotte jak mało kto potrafiła czytać w myślach.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam zostać tutaj i zostawić Deborahę własnemu losowi?

– Owszem, jakkolwiek bezdusznie to zabrzmie. Pomyśl tylko! Jak możesz jej pomóc w tym obcym kraju? Deborah jest we włoskim więzieniu i będzie musiała odpowiedzieć za swój czyn przed sądem. Poza tym Rzym jest daleko, a podróż zbyt niebezpieczna. Po Europie wciąż błąka się aż nadto szaleńców. Dość już dla niej zrobiłaś. Jej los nie leży w twoich rękach. Ani jej, ani Trudi.

Tak, Trudi była kolejnym zmartwieniem Marlene. Uparta dziewczucha odmówiła przyjazdu do Akwizgranu, gdyż chciała być blisko Siershahn i swojego ukochanego Gregora. Marlene, chcąc nie chcąc, musiała ją zostawić w Wiesbaden, powierzając Joemu opiekę nad krnąbrną szesnastolatką. Jednak tuż przed wyjazdem Marlene Trudi zniknęła i od tej pory nie dała znaku życia. Również Joe opuścił Wiesbaden i wyruszył do Norymbergi, gdzie wkrótce miał się rozpocząć wielki proces nazistowskich zbrodniarzy. Miał ważniejsze rzeczy na głowie niż szukanie Trudi. Jej zniknięcie sprawiło, że Jolanta postanowiła wraz z Colinem towarzyszyć Marlene do Akwizgranu. Na wieść o tym Marlene pozwoliła sobie na żartobliwą uwagę, że najwyraźniej faktycznie łączy je jakaś wspólnota przeznaczenia, lecz Jolanta spojrzała na nią z powagą i rzekła: „Owszem. Ale człowiek czasami jest ślepy. Marsylia nie jest moim przeznaczeniem”.

Marlene wiedziała, że babcia Charlotte oczekuje od niej zapewnienia, że nie zamierza jechać do Rzymu. Biedaczka zbyt długo nie widziała wnuczki i teraz nie chciała się z nią znowu rozstawać. Jednak Marlene nie podjęła jeszcze decyzji i aby odsunąć w czasie trudną rozmowę, zmieniła temat:

– Gdzie nasze maniery, babciu? Wypada naszego gościa czymś poczęstować, skoro obsypał nas tak smakowitymi darami.

Rzeczywiście, Benedict Michaelson, korzystając z krótkiej wymiany zdań między paniami, wyłożył na stół zawartość swojej torby: amerykańskie puszki z mięsem, zupami i mieszanką owocową, a do tego dwie paczki kawy, cukier, keksy i – szczególnie pożądane jako towar na wymianę – jedwabne pończochy i wagonik papierosów.

– Z pozdrowieniami od Joego – wyjaśnił.

– Dziś mamy prawdziwą kawę! – wykrzyknęła z entuzjazmem starsza pani, chwytając jedną z paczek.

Kiedy Marlene nakrywała do stołu, ktoś załomotał do drzwi zaadaptowanej na mieszkancko oranżerii, którą babcia Charlotte otrzymała do użytkowania od dawnej koleżanki szkolnej. Ingeborg, bo tak miała na imię owa przyjaciółka, była baronessą i ubierała się wyłącznie w strój myśliwski oraz wysokie buty. Miała też głos stworzony do wydawania rozkazów. A ponieważ była rozwiedziona z angielskim lordem i dysponowała rozległymi kontaktami na całym świecie, ani naziści, ani obecnie alianci nie ośmielili się odebrać jej ogromnego domu – przypominającego twierdzę potężnego gmachu na południe od Akwizgranu. Ingeborg, która udzieliła w swojej posiadłości schronienia całemu tłumowi uchodźców, żelazną ręką rządząc tą ludzką masą, szybko znalazła wspólny język z Jolantą i od tej pory panie rozumiały się bez słów: wspólnie z uchodźcami uprawiały ziemię, założyły ogromne warzywniki i z powodzeniem hodowały owce.

Colin – albowiem to on pukał – natychmiast wyczuł zgromadzone na stole skarby, wydał radosny okrzyk, z trudem wdrapał się na krzesło – biada temu, kto by próbował mu w tym pomóc – i z zachwytem wlepił spojrzenie w smakołyki. Syn Jolanty zawsze miał wilczy apatyt. Niedawno matka przydybała go na tym, jak smaruje kromkę chleba drogocennym masłem: z obu stron! Zaraz za nim do pokoju wpadła Jolanta, niosąc w rękach ogromną dynię, a na głowie – jak za dawnych lat – kunsztowny zawój. Jej egzotyczny strój, azjatycka uroda i ponadprzeciętny wzrost wzbudzały powszechną sensację, choć Jolanta zdawała się w ogóle nie zauważać szepczących za jej plecami ludzi. Naturalny majestat okrywał ją niczym królewski płaszcz. Podczas jednego ze spacerów zagadnęła pewnego księdza w zwykłej sutannie, który okazał się później biskupem Akwizgranu. Johannes van der Velden, bo tak się ów duchowny nazywał, był pod wielkim wrażeniem Jolanty i szybko połączyła ich przyjaźń – mimo że Azjatka nigdy nie towarzyszyła Charlotte i Marlene w kościele. Zresztą Marlene również chodziła na nabożeństwa wyłącznie ze względu na babcię, gdyż nie była w stanie jej wyznać, że w Auschwitz przestała wierzyć w Boga.

Również brwi Benedicta Michaelsona powędrowały w górę na widok azjatyckich rysów Jolanty. Wojna z Rzeszą zakończyła się w maju, lecz na Pacyfiku krwawe walki trwały aż do sierpnia. Dopiero rzucenie przez Amerykanów dwóch bomb atomowych zmusiło Cesarstwo Japonii do kapitulacji.

Marlene dokonała prezentacji i międzynarodowe towarzystwo spędziło przyjemne popołudnie przy kawie i keksach. Benedict był szalenie zainteresowany wojennymi losami Marlene i Jolanty.

Szczególnie ciekawiła go działalność tej pierwszej w ruchu oporu, gdyż – jak stwierdził z entuzjazmem – na podstawie jej życia można by nakręcić „*great film*”. Słyszając to, babcia Charlotte pozwoliła sobie wspomnieć, że jej wnuczka przed wojną chciała zostać aktorką i zna wiele sztuk teatralnych na pamięć. Benedict natychmiast zaczął na nią naciskać, by dała próbkę swojego talentu, i Marlene, namawiana również przez babkę i przyjaciółkę, w końcu uległa i zadeklamowała fragment *Snu nocy letniej* Szekspira.

Benedict był zachwycony.

– Kiedy będę kręcił następny film, dostanie pani rolę – obwieścił z szerokim uśmiechem.

Miał w sobie ten sam niezachwiany optymizm co jego kuzyn Joe. Obaj byli święcie przekonani, że życie potoczy się wedle ich planów, a w ich słownikach nie było słowa „niemożliwe”. Marlene przypomniawszy sobie Jakuba, który twierdził, że przeciwności są po to, by je przewyciężyć. To mimowolne wspomnienie ponownie skierowało jej myśli na Deborę i głos babci Charlotte opowiadającej o życiu w przedwojennym Berlinie począł stopniowo nikać w tle.

Marlene myślała o biednej Deborze, która była z góry skazana przez los na cierpienie. Urodziła się w 1924 roku i przyszło jej dorastać w okropnych czasach. Ojciec znikł bez śladu, matka zaś, by chronić najbliższych, była zmuszona poślubić niekochanego mężczyznę, wobec którego czuła się zobowiązana, gdyż uratował jej dzieci z transportu do obozu. W rzeczywistości ów „dobroczyńca”, Albrecht Brunnmann, okłamał matkę Debory. Zaaranżował deportację jej dzieci, by stanąć przed nią jako wybawca i zaskarbić sobie jej wdzięczność. Później, po śmierci żony, uwiódł jej szesnastoletnią córkę, a swoją pasierbicę, wykorzystując rozstrój dziewczyny po utracie obojga rodziców. Całkowicie podporządkował sobie biedną Deborę, wyrządzając niewyobrażalne szkody jej duszy.

A teraz ta zżerana przez nienawiść i żądzę zemsty dziewczyna siedziała we włoskim więzieniu, nosząc w sobie niechciane dziecko swojego oprawcy. Samotna i opuszczona. „Nie, nie mogę jej zostawić samej sobie – postanowiła Marlene. – Ktoś musi ją obronić, choćby wbrew jej samej”. Marlene wiedziała, że Deborah albo się pogrąży na powrót w letargu, albo znów spróbuje się zabić. Informacje przekazane przez Joego pochodziły sprzed dwóch tygodni, więc Marlene nie miała pojęcia, czy Deborah żyje. Wiedziała za to, że musi podjąć ostatnią próbę. Po raz ostatni spróbuje pomóc tej biednej dziewczynie. O synka była spokojna, wiedząc, że Charlotte i Jolanta zapewnią mu doskonałą opiekę.

Podjęła decyzję, a ponieważ sieć kolejowa w znacznej mierze została naprawiona, zaczęła w myślach planować trasę.

– O nie, proszę! – jęknęła babcia Charlotte, gwałtownie odstawiając filiżankę na talerzyk.

– Co się stało? – przeraziła się Marlene.

– Jako dziecko miałaś taką minę, kiedy coś nabroiłaś – starsza pani westchnęła z rezygnacją. – Postanowiłaś jechać do Rzymu, prawda? Mam nadzieję, dziecko, że wiesz, co robisz.

Na twarzy Marlene pojawił się skruszony uśmiech, lecz nic nie odpowiedziała.

– Czy mógłby mi pan pomóc skontaktować się z Joem? – zwróciła się po chwili do Benedicta Michaelsona.

Upłynęły dwa dni, nim Marlene udało się porozmawiać telefonicznie z kapitanem. Z tego powodu Benedict przedłużył pobyt w Akwizgranie, przy okazji dokładniej wypytyując Marlene o historię jej życia i wszystko skrętnie zapisując w swoim notesie. Również tym razem Marlene przemilczała pewne sprawy, skupiając się przede wszystkim na swojej działalności w ruchu oporu.

Joe telefonicznie obiecał, że postara się załatwić Marlene dokumenty pozwalające na wjazd na terytorium Włoch, poprosił jednak o kilka dni cierpliwości, gdyż był akurat mocno zaabsorbowany przygotowaniem do procesu. Tego samego dnia Benedict pożegnał się, solennie obiecując, że w drodze powrotnej odwiedzi miłe panie, nawet jeśli Marlene miałyby istotnie wyjechać do Rzymu. Wszelako widać było, że ma nadzieję spotkać ją ponownie.

Kiedy dziesięć dni później Amerykanin spełnił obietnicę, zastał Marlene w Akwizgranie. Powodem zwłoki był Noah. Jego kolki się wzmogły i młoda mama postanowiła zostać z malcem. Minęły dwa tygodnie od dnia, gdy otrzymała wiadomość od Joego, a to oznaczało, że od aresztowania Debory upłynął dobry miesiąc. Czuła fizyczny ból na myśl o biednej dziewczynie, którą życie wydało na pastwę pozbawionego skrupułów mężczyzny i bezlitosnej wojny, a chociaż doczekała jej końca, jak wiele innych ofiar nie potrafiła się otrząsnąć i wrócić do normalnego życia. Zło pochłonęło nie tylko ciała pomordowanych, lecz również wyciągnęło ręce po dusze tych, którzy przeżyli. Bo zło jest wiecznie nienasyconym molochem.

Zaraz po wyjeździe Benedicta Marlene otrzymała telegram od Joego:

„Deborah uciekła z więzienia. Stop. Z dzieckiem. Stop. Wspólnikiem ksiądz. Stop. Joe”.

– Co się stało? Czyżbym widziała uśmiech? – Babcia Charlotte wstała ze swojego miejsca przy kuchni.

Marlene wciąż nie mogła w to uwierzyć, ale jej babcia stała się zapaloną kucharką. Kobieta, która przez całe życie nad gotowanie przedkładała towarzystwo swych koni, które niestety w czasie wojny zarekwirowano i wysłano na front.

– Wygląda na to, że na świecie jeszcze jest jakaś sprawiedliwość – odrzekła Marlene, podając starszej pani telegram. – Najwyraźniej ludzie Kościoła pomagają w ucieczce nie tylko nazistowskim zbrodniarzom, ale również ich ofiarom.

Marlene podeszła do synka, który spokojnie spał w kołysce. Od trzech dni kolki ustały i malec znów się śmiał, rozweselając domowników dziecięcymi trelami. Młoda mama mogła w końcu wyruszyć do Rzymu i jej torba podróżna była już spakowana. Telegram Joego dotarł w ostatniej chwili, gdyż pociąg odjeżdżał za dwie godziny. Marlene poczuła ulgę, że nie musi się już zamartwiać o Deborahę. Intuicja podpowiadała jej, że w dwóch słowach telegramu – „ksiądz wspólnikiem” – musi

się kryć jakaś głębsza historia i że Deborah dostała od życia drugą szansę. Tylko od niej zależało, czy ją wykorzysta.

Jolanta stanęła obok Marlene, podała jej filiżankę herbaty i szepnęła:

– Przeznaczenie rządzi się swoimi prawami.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, odkąd wyruszył. Któregoś dnia uciekł strażnikom i od tej pory po prostu szedł przed siebie. Miał jasny cel i wiedział, że go osiągnie, musi tylko stawiać kolejne kroki. Więc szedł. Dzień po dniu, godzina po godzinie. Pił wodę ze strumieni i rzek, jadł surowe ryby, spał w jaskiniach lub zmurszałych pniach drzew. Albo w rowie, przykryty liśćmi.

Sądząc po długości brody i stanie nóg, musiał wędrować bardzo długo. Kilka razy zdążyły się zmienić pory roku, przynajmniej tak mu się wydawało. Nie zaprzętał sobie głowy upływem czasu. Dla niego istniały tylko dzień i noc, światło i ciemność. Wolał dzień, bo wtedy mógł iść szybciej. Maszerował również nocami, jeśli pozwalało na to światło księżyca, ale wolał tego unikać. Zwierzęta nie lubią, kiedy ktoś w nocy wchodzi na ich teren. Małe nie były problemem, ale niedźwiedź brunatny napędził mu strachu. Na widok bestii zaczął krzyczeć i szaleńczo machać wielką gałęzią. Miał szczęście, bo zwierzę upadło na plecy w małą przepaść, w której leżało powalone przez ostatnią burzę drzewo z ostrymi kikutami połamanych konarów. Niedźwiedź poranił się tak dotkliwie, że nie był w stanie się podnieść. Jego ryki brzmiały przeraźliwie ludzko, więc zszedł na dół i dobił go skradzionym z jakiejś chaty nożem. Potem odkroił kawałek mięsa i chociaż okazało się łykowate, pierwszy raz od tygodni najadł się do syta. W ostatnich latach stracił większość zębów, a te, które mu zostały, mocno się chwiały. Byłoby lepiej, gdyby upiekł mięso, ale nie udało mu się skrzesać ognia. Za to futro było prawdziwym luksusem. Dawało przyjemne ciepło, a do odoru szybko przywykł. Butów nie miał od niepamiętnych czasów, ale po spotkaniu z niedźwiedziem zastąpił wypchane trawą szmaty kawałkami skóry. Właściwie sam wyglądał teraz jak niedźwiedź, co przy okazji zapewniało mu dość dobry kamuflaż. Szedł więc dalej, przekonany, że w końcu dotrze do celu. Szedł, bo u kresu wędrówki czekała na niego miłość.

CZĘŚĆ IV

Nowe czasy

Nikt nigdy nie próbował stworzyć państwa opartego na władzy miłości.

Ralph Emerson (1803–1882)

Berlin, 1949 rok

Marlene borykała się z problemami finansowymi. Noah rósł jak na drożdżach i co rusz potrzebował nowych butów. Skończył już cztery latka, był jak żywe srebro i miał własne zdanie. Z tego względu mama i prababcia nie narzekały przy nim na brak zajęć. W swoich figlach nie był osamotniony: Colin, mimo że miał dziesięć lat, był niewiele wyższy od Noah i we wszystkim podążał za nim wiernie jak giermek, dając się namówić na każdą psotę. Z wychowawczego punktu widzenia z pewnością nie pomagał fakt, iż mieszkający piętro niżej tuzin młodych panien na wszelkie sposoby rozpieszczał chłopców. Damy te były poniekąd nowymi *geikos* Jolanty, która korzystając z ich rozmaitych talentów, postanowiła kontynuować swoją mimo woli rozpoczętą w latach wojny karierę i otworzyła ekskluzywny klub dla panów. Lokal ów odznaczał się na równi jakością oferowanych atrakcji i dyskrecją, w związku z czym szybko zyskał popularność wśród przedstawicieli władz okupacyjnych. Do stałych klientów Jolanty zaliczało się spore grono oficerów.

Marlene wraz z Charlotte i synkiem zamieszkała na poddaszu wynajmowanego przez Jolantę budynku. Kamieniem węgielnym przedsięwzięcia były dwie sztabki złota skradzione Brunnmannowi, które Joe zwrócił Jolancie tuż przed swoim powrotem do Ameryki. Amerykanin bez słowa położył na stole ciężką paczuszkę, prosząc, by panie otworzyły ją dopiero, gdy wyjdzie. Marlene nie chciała mieć nic wspólnego z krwawym złotem Brunnmanna, a duma nakazywała jej płacić Jolancie czynsz, lecz o tym z kolei nie chciała słyszeć Azjatka.

Wtedy Marlene postanowiła się wyprowadzić, lecz w tamtych czasach znalezienie mieszkania w Berlinie graniczyło z cudem – tym bardziej że były z babcią Charlotte biedne jak mysz kościelna. W dawnej posiadłości baronów von Dürkheim rezydowali Rosjanie. W oczach Charlotte nierzadko pojawiał się cień tęsknoty i Marlene domyślała się w takich chwilach, że jej babka myśli o rodzinnym domu i ludziach, którzy zostali „po drugiej stronie”. Zaczynały wtedy wspominać mieszkańców wioski, których bez wyjątku znały z imienia, zastanawiały się, jak im się wiedzie, i zachowywały ich w swojej pamięci. Każde zdanie zaczynały od: „A pamiętasz...?”. „A pamiętasz, babciu, jak Emma chciała wydoić krowę w dzień swojego wesela, a ta ją kopnęła? Biedaczka stanęła przed ołtarzem z fioletowym okiem”.

Tęsknota za domem z dnia na dzień była coraz silniejsza, z czasem stając się wierną ich

towarzyszką. Chciałyby odwiedzić Levkojen, lecz czasy były niepewne, a niedawni sojusznicy stali obecnie po dwóch stronach frontu: po jednej Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi, po drugiej – Związek Radziecki. Wjazd do sowieckiej strefy okupacyjnej wymagał całej sterty przepustek, zezwoleń i innych papierów. A na to potrzebne były pieniądze, których nie miały. Gdyby nie Noah, Marlene pojechałaby bez dokumentów. Nic nie zdołałoby jej powstrzymać. Jednak babcia Charlotte miała chyba rację, mówiąc, że może to i lepiej, bo nigdy nie wiadomo, co by tam zobaczyła. „Czasem niewiedza jest błogosławieństwem”, zauważyła trzeźwo.

W dniu, w którym Marlene ostatecznie się przekonała, że poszukiwania nowego mieszkania nie mają sensu, usiadła z babcią Charlotte, by jej delikatnie uświadomić, że wkrótce zamieszkają nad lupanarem. Jednak starsza pani tylko się uśmiechnęła, widząc skrupuły wnuczki.

– Kochanie! Nie sądzisz, że byłoby absurdem, gdybym po wszystkich okropieństwach ostatniej wojny zaczęła się uskarżać na hałaśliwych sąsiadów? Poza tym nasza stadnina w Levkojen też była czymś w rodzaju domu uciech, nie sądzisz? Czasy się zmieniły, moja droga. I dobrze.

Następnego dnia wprowadziły się na poddasze. W nowym mieszkaniu nie miały luksusów. Jedynie na środku można było się wyprostować, lecz szybko przywykły do chodzenia z pochyloną głową – tak jak do dźwięków nocnej muzyki, śmiechów i innych pikantnych odgłosów dobiegających z drugiego piętra. Wszystko to nie stanowiłoby problemu, gdyby nie Noah, który uważnie przysłuchiwał się wszelkim hałasom – również tym, których znaczenia nie pojmował i które skłaniały go do zadawania mnóstwa pytań. Najgorsze wszelako było to, że wkrótce zaczął z zachwyconą miną naśladować angielskie frazy w rodzaju: „*O yes, baby, o good, so good...*”. Również Colin, który mówił już znakomicie po angielsku, tą drogą znacznie wzbogacił swoje słownictwo.

Długa wojna nauczyła jednak Marlene i jej babkę skupiać się na jasnych stronach życia. Co prawda łazienka i toaleta znajdowały się piętro niżej, a w lecie na poddaszu było gorąco jak w piecu, za to przynajmniej zimą nie marzły, ponieważ Jolanta kazała wstawić do ich mieszkania porządny piec.

Jedynym zmartwieniem były pieniądze. Jako aktorka Marlene zarabiała niewiele, a angaże w teatrach były nieregularne. W Berlinie roiło się od młodych talentów. Właśnie jakaś młoda Austriaczka sprzątnęła jej sprzed nosa rolę w *Tribüne*. Marlene była gotowa na wszelkie eksperymenty – ostatnio na przykład starała się o rolę w przedstawieniu muzycznym, w którym miałyby śpiewać popularne francuskie *chansons*. Raz-dwa ufarbowała włosy na blond, a Jolanta pomogła jej w nauce repertuaru. Co prawda, Marlene nie miała głosu w sensie klasycznym, za to nadawała piosenkom wyrazistą dramaturgię: opowiadała historię, wyrażała emocje, wzruszała. Dostała tę rolę i odniosła spektakularny sukces. Przez trzy wieczory. Potem sztuka bez dania racji została zdjęta z afisza, a aktorzy zwolnieni. Jolanta skorzystała wówczas z okazji i złożyła Marlene pewną propozycję: stwierdziła, że skoro jej przyjaciółka upiera się płacić czynsz, to może w ramach

rozliczenia zgodzi się na regularne występy w jej nocnym klubie. Musiałaby tylko oprócz francuskich piosenek *à la* Edith Piaf nauczyć się również kilku utworów Marleny Dietrich. Amerykanie mieli bowiem bzika na jej punkcie. Marlene przyjęła ofertę i zaczęła dwa razy w tygodniu śpiewać w klubie Jolanty.

Mimo to z trudem wiązała koniec z końcem i nawet już nie myślała o tym, żeby odłożyć coś na konto poszukiwań Brunnmanna i jego współpracowników.

Albrecht Brunnmann wciąż bowiem nie został schwytany – podobnie jak Mengele i Baer. Gdyby nie Noah, Marlene byłaby gotowa rzucić się w pogoń i zrobić wszystko, by zaprowadzić nazistowskich zbrodniarzy na stryczek. Poprzysięgła to sobie pod koniec wojny i zamierzała dotrzymać słowa. Odkąd procesy norymberskie dobiegły końca, jeszcze mocniej odczuwała pragnienie ukarania winnych. Na samą myśl o tym, że ta banda morderców korzysta z ukradzionych żydowskim ofiarom dóbr, wiodąc beztrudne życie w słonecznej Ameryce, dosłownie kipiała gniewem.

Nie miała pojęcia, że niedługo jej problemy finansowe się skończą – i że nastąpi to w tak nieoczekiwany sposób. Oto bowiem wkrótce okazało się, że Benedict Michaelson, z którym nigdy całkowicie nie zerwała kontaktów, skończył właśnie prace nad scenariuszem, o którym mówił od dobrych kilku lat, i zaczyna kompletować obsadę. I że to jej chce zaproponować główną rolę! Film – jak wyjaśnił telefonicznie Amerykanin – opowiadał historię ruchu oporu i w dużej mierze opierał się na wojennych przeżyciach Marlene. Słyszając to ostatnie zdanie, z trudem stłumiła jęk. Ze wszystkich filmów świata ten był ostatnim, w którym chciałaby zagrać. Wystarczyło jej, że przeżyła opowiadaną w nim historię na własnej skórze. Nie powiedziała tego jednak Benedictowi, tylko zapewniła, że nie może się doczekać spotkania.

Dwa dni później Benedict Michaelson wylądował w Berlinie i zaprosił Marlene do Adlonu, w którym rezydował wraz z dwoma asystentami i scenarzystą. Scenariusz był lepszy, niż Marlene się spodziewała – głównie dlatego, że dość znacznie odbiegał od tego, co naprawdę przeżyła. Benedict i młody scenarzysta śmiało skorzystali z artystycznej wolności, co bynajmniej nie przeszkadzało Marlene. Wprost przeciwnie! Nie licząc kilku fragmentów dotyczących powstania, ucieczki z Warszawy i życia partyzantów w lasach, cała historia skupiała się na miłości młodej żydowskiej więźniarki i esesmana, który pomógł jej uciec z obozu, za co sam został rozstrzelany. Dziewczyna przeżyła w okolicznych lasach i na koniec urodziła bliźnięta. Marlene uznała, że zakończenie jest szyte grubymi nićmi, lecz Benedict był nieugięty.

– *It's all about war, darling. Therefore, we need a great happy ending! What do you say?* – odparł, a widząc, że Marlene nadal się waha, dodał chytrze: – Płacimy w dolarach. Dwa tysiące. W zamian dostajemy prawa do twojej historii.

Marlene przyjęła ofertę i za dwa tysiące dolarów sprzedała producentowi swoją historię i następne sześć miesięcy życia.

A podczas pracy nad filmem poznała Federica Fedelego.

Berlin, sześć miesięcy później

Burza szalała, wiatr zawodził, namiot falował jak pierś zdyszanego biegacza i wydawało się, że za chwilę przegra z żywiołem i uleci w niebo. W środku Marlene leżała na zaimprovizowanym łożu, zwijając się i jęcząc z bólu. Rodziła bliźnięta.

Wokół niej panowała gorączkowa krzątanina. Jakaś obdarta kobieta ocierała jej pot z czoła, inna wyżywała ścierkę nad wiadrem z gorącą wodą, a nad jej głową górowały krzesło reżysera i kamera filmująca w zbliżeniu jej zlaną potem, wykrzywioną bólem twarz.

Młody scenarzysta postanowił w tej dramatycznej scenie włożyć w usta bohaterki mnóstwo jęków i krzyków, toteż Marlene krzyczała, nie spuszczając jednak oczu z reżysera, który szybował niebezpiecznie nisko nad jej głową. Nagle do jej jęków dołączył inny okrzyk i po chwili do łoża dopadł mały brzdąc, który rzucił jej się na szyję i jęknął rozdzierającym głosem:

– Mama, ała!

Głos chłopca został natychmiast zagłuszony przez krzyk Hirama Williamsa.

– *Cut! Cuuut! Cuuuuuuuuuuut! What the hell is the boy doing here?* – huknął reżyser, a po chwili wybuchł serdecznym śmiechem. Niczym Zeus zstąpił ze swojego tronu i sięgnął do torby po czekoladowy batonik. – *Come here, boy, come here!*

Marlene zdążyła tymczasem uspokoić synka, że nic jej nie jest i tylko udawała „ała”, wobec czego Noah, skupiwszy całą uwagę na słodyczach, z prędkością światła pomknął do reżysera. Ten, zanim dał mu batonik, spytał:

– *Are you a good boy?*

Noah kiwnął gorliwie głową, wyprostował się i wyrecytował:

– *O yes, yes, yes, baby! Yeeeeess! Good boy, o my god, o my god, yessssssssssssssss...*

Na planie zrobiło się cicho jak na cmentarzu. Marlene zagryzła wargi, aby nie parsknąć śmiechem. Wciąż nie mogła się nadziwić, że jej synek tak znakomicie potrafi naśladować głos uszczęśliwianej kobiety. Babcia Charlotte twierdziła, że niechybnie odziedziczył talent aktorski po mamie.

Noah musiał się wymknąć garderobianej. Tego ranka Marlene wbrew zakazowi przeszmużowała malca do studia, ponieważ zajmująca się nim zwykle prababcia miała wizytę u dentysty. Łaskawość

garderobianej kosztowała Marlene kilka dolarów.

Williams zmrużył oczy, zmierzył malca podejrzliwym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, czy to nie podstęp, lecz najwyraźniej uznał, że chłopiec jest za młody na tego rodzaju manewry adeptów sztuki aktorskiej, i w końcu wybuchnął głośnym śmiechem przypominającym głos foki. Słynny reżyser trzymał się za trzęsący się brzuch i nie mógł się uspokoić. Pozostali członkowie ekipy odetchnęli i również zanieśli się śmiechem.

– *What a great talent!* – wykrzyknął Williams. – *Who is this boy?*

Posadził sobie malca na kolanach, podczas gdy ten z dziecięcym skupieniem próbował wepchnąć do ust cały batonik na raz.

Garderobiana wpadła na plan z purpurową twarzą, lecz stanęła jak wryta, widząc, że Noah siedzi na kolanach reżysera, po czym zaczęła się zachowywać tak, jakby znalazła się tu zupełnie przypadkiem i nie miała z malcem nic wspólnego. Niestety w przeciwieństwie do podopiecznego nie miała za grosz aktorskiego talentu. Williams zgromił ją wzrokiem, a ona pod jego spojrzeniem prawie zapadła się pod ziemię.

Uratowała ją Marlene, która chwyciła synka na rękę.

– *Sorry, no babysitter* – powiedziała i oddała chłopca garderobianej.

Następnie cmoknęła go na pożegnanie w czołko i napomniwała, by był grzeczny i cierpliwie czekał na babcię Charlotte.

Lecz Noah, jeszcze przed chwilą przerażony tym, co robią mamusi, w ogóle jej nie słuchał. Jego uwagę bez reszty pochłonął czekoladowy batonik.

– *Great talent!* – powtórzył Williams z wymownym uśmiechem.

Marlene domyśliła się, jakież to wnioski reżyser mógł wysnuć z aktorskiego popisu chłopca („Najwyraźniej mamusia ma w domu cienkie ściany”), i zrozumiała, że oto legł w gruzach wizerunek „Królowej Śniegu”, który z takim trudem sobie wypracowała w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Odkąd weszła w świat wielkiego kina, z trudem znosiła rozmaite awanse czynione jej przez wpływowych filmowców, którzy wychodzili z założenia, że wszystkie bez wyjątku młode aktorki są szalenie podatne na przejawy sympatii z ich strony. Z drugiej strony na korzyść Williamsa musiała zapisać, że on sam do tej pory zawsze zachowywał się wobec niej bardzo stosownie.

Jej pierwszy film, *Miłość w czasach zdrady*, nie odniósł w Niemczech wielkiego sukcesu. Kinomani mieli dość historii o wojnie. Chcieli zapomnieć, nie rozdrapywać rany. Nie pomogło nawet „*great happy ending*” z bliźniętami. Marlene spodziewała się tego, lecz postanowiła nie dzielić się swoimi przewidywaniami z Benedictem Michaelsonem. Mimo braku powodzenia w rodzinnym kraju była zadowolona. Otrzymała pokaźną gażę, a pieniądze oznaczały życie: jedzenie, ubranie i nowe buty dla wciąż rosnącego synka.

Za to w Stanach Zjednoczonych film okazał się sporym sukcesem. Młody włoski reżyser Federico

Fedele był tak zachwycony rolą Marlene, że postanowił za wszelką cenę obsadzić ją w swoim następnym filmie. Ambitny Włoch z jakichś niepojętych dla Marlene powodów cieszył się w branży filmowej opinią geniusza, chociaż do tej pory żaden z jego filmów nie trafił na wielki ekran. Podobał jej się jednak optymizm i niezachwiane przekonanie młodego filmowca, że w końcu uda mu się dokonać czegoś wielkiego, i zgodziła się u niego zagrać. Tym razem negocjacje w sprawie gaży powierzyła Jolancie, domyśliwszy się, że Federico może być artystą w swym fachu, ale mimo elokwencji i nieustannych przechwałek z całą pewnością nie siedzi na pieniądzach.

Włoch rzeczywiście nie był w stanie za wiele zaoferować, lecz dla Marlene liczyło się to, że będzie mogła zobaczyć Włochy, jako że część filmu miała być kręcona w rzymskiej Cinecittá, która właśnie wznowiła działalność. Słynne miasteczko filmowe od końca wojny służyło za schronienie dla tak zwanych dipisów, czyli *Displaced Persons*: byłych więźniów, robotników przymusowych, uchodźców oraz osób przymusowo wysiedlonych lub deportowanych.

Wcześniej jednak Marlene spotkała się z Czerwoną Olgą, która po wojnie została w Wiesbaden. Któregoś dnia Rosjanka, ubrana wedle najnowszej amerykańskiej mody, stanęła przed lokalem Jolanty i z typowym dla siebie entuzjazmem rzuciła się Marlene na szyję. I jak gdyby widziały się ledwie wczoraj, natychmiast odnowiły starą przyjaźń.

Olga została w Berlinie i jakby nigdy nic dołączyła do zespołu Jolanty. Marlene podziwiała tę niezachwianą pewność siebie przyjaciółki. Pewność, której nikt nie ważył się kwestionować ani oceniać.

– Teraz – powiedziała z uśmiechem Olga – to ja wybieram klientów! Kto wie, może kiedyś przejmę klub Jolanty? – Wybuchła swoim specyficznym, niemożliwym do podrobienia śmiechem.

Marlene wiedziała, że w ten osobliwy sposób Olga stawia czoło światu i jego potwornościom. Zło próbowało ją na wszelkie sposoby zniszczyć – bito ją, kopano, poniżano – a ona za każdym razem na nowo wstawała i z dumą patrzyła demonom w oczy, okazując niezłomność i niezależność. Nie dała się złamać złu – tak jak Marlene.

Obie zachowały godność.

Bo obie chroniło dobro.

– *Dawaj!* – zawołała po rosyjsku Olga i naląła sobie następny kieliszek. Już trzeci, podczas gdy Marlene ledwie zamoczyła usta w pierwszym. – Za przyjaźń i przeznaczenie.

Korzystając z tego, że Noah i Colin odbywali popołudniową drzemkę, Marlene odwiedziła przyjaciółkę w jej pokoiku.

– Masz jeszcze swoją kotwicę? – spytała Olga, wyciągając spod bluzki rzemyk.

Oprócz kotwicy wisiał na nim maleńki krzyżyk.

– Oddałam ją Trudi.

Zaraz po przyjeździe Olgi Marlene opowiedziała jej o wyczynach młodej przyjaciółki.

– Jak ty sobie radzisz? – spytała Marlene cicho.

Olga od razu zrozumiała, że Marlene pyta o Auschwitz. Wzięła głęboki wdech.

– Staram się o tym jak najmniej myśleć. Szkoda czasu. Ale są takie dni, że budzę się rano i słyszę, jak moja dusza krzyczy. Czuję, jak kipi we mnie gniew. Na ludzi, na cały świat, który do tego dopuścił. Wtedy przeklinam i zaczynam się modlić. – Dotknęła dłonią rzemyka. – Czasami Bóg koi mój gniew. Tłumaczę sobie, że prawie wszystkie dziewczęta z naszego baraku przeżyły nazistów, a ostatecznie przecież tylko to się liczy, prawda? Nie to, co nam zrobili i przez co musiałyśmy przejść. Kiedy wspomnienia zżerają mi duszę, powtarzam sobie: „Nie udało im się, przegrali”. – Olga duszkiem opróżniła kieliszek. – A ty? Jak sobie z tym radzisz?

– Podobnie. Tylko nie przeklinam i nie wierzę już w Boga. – Marlene uśmiechnęła się tak, jak potrafi się uśmiechać jedynie matka, gdy myśli o swoim dziecku. – Moją kotwicą jest Noah. To on mnie ratuje, kiedy w nocy zło chce zawładnąć moją duszą.

Przyjaciółki długo patrzyły sobie w oczy. W milczeniu zawarły pakt, że już nigdy nie będą rozmawiać o Auschwitz. Nigdy. Bo wszystko zostało już powiedziane.

– A co z twoimi wielkimi planami? Miałaś poślubić Amerykanina, wyjechać do Stanów – zmieniła temat Marlene.

– A co ma być? Tutaj, w Berlinie, jest od groma Amerykanów – zachichotała Olga, następnie sięgnęła po papierosa i z zamkniętymi oczami z rozkoszą zaciągnęła się dymem.

– To znaczy, że poza Berlinem poznałaś już wszystkich? – spytała żartobliwie Marlene i nagle jej również zachciało się chichotać. Olga stanowczo miała na nią dobry wpływ. Marlene raz jeszcze uświadomiła sobie, jak dobrze mieć przyjaciółkę.

– Nie każdy się nadaje – odpowiedziała Olga z poważną miną. – Nie potrzebuję kucyka, tylko ogiera. Niestety – westchnęła dramatycznie – tutaj są prawie same kucyki. Nie wiem, może wrócę do Rosji? Tam był taki jeden... stajenny, na imię miał Wania... – rozmarzona spojrzała w dal.

Marlene ze zdumieniem podniosła oczy na przyjaciółkę, gdyż właśnie odkryła w niej zupełnie nieznany rys. Do tej pory dla Olgi istniały tylko dwie kategorie mężczyzn: ci, którzy mogli jej być pomocni, i ci, którzy zadowalali ją w łóżku. Niestety takich, którzy spełnialiby oba kryteria, było jak na lekarstwo.

– Kochałaś go?

Olga wzruszyła ramionami.

– Byłam młoda.

– Twoja rodzina miała konie?

– Kiedyś, zanim się urodziłam. Dziadek miał najlepszą hodowlę w Rosji. Sam car zamawiał źrebięta z naszej stadniny. Dziadek był księciem, ale potem przyszła rewolucja, a wraz z nią bolszewicy. Zabili całą moją rodzinę, splądrowali majątek, zabrali konie i bydło, a na koniec spalili

stajnie i pałac. Z całej rodziny ocalała tylko moja mama. Uratowała ją służąca. To byli dobrzy ludzie... Później kołchoźnik, człowiek sowiecki, zmusił ją do małżeństwa. Ojciec był pijakiem i sadystą. Kiedy miałam dwanaście lat, pobił mamę na śmierć. Niechcący, bo bił ją regularnie, ale tym razem tego nie wytrzymała. Zaraz po pogrzebie zabrałam tobolek i uciekłam do Moskwy. Zarabiałam na ulicy. – Olga opróżniła czwarty kieliszek i spojrzała na suche denko, jakby szukała odpowiedzi na swoje pytania. – Do diabła, nikomu o tym nie opowiadałam. Nie powinnam tyle pić – skonstatowała i zaraz znów sobie naląła.

Tym razem Marlene sięgnęła po swój kieliszek.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – Z powodu twojej rodziny.

Stuknęły się, szkło cicho brząknęło.

– Było, minęło. W tamtych czasach taki los spotkał wiele rodzin. Rewolucja była straszna. Trocki, Lenin i ich siepacze wszystko zniszczyli. Jakby rosyjska elita była chwastem, który trzeba wyplenić. Wyrządzili straszliwą szkodę naszej kochanej ojczyźnie i na lata zatrzymali jej rozwój. Oczywiście carowie byli okrutnymi władcami, ale niewybaczalnym błędem nowej władzy było zniszczenie całej elity. W ten sposób wymordowali ludzi, którzy byli nośnikami wysokiej kultury. Takich jak moi dziadkowie, którzy kochali i wspierali naukę i sztukę.

Marlene pokiwała głową, zgadzając się z opinią przyjaciółki.

– Tak, zbrodnia i szaleństwo rządzą się zawsze tymi samymi prawami: źli szczują głupich na mądrych, ponieważ tylko ci potrafią zdemaskować ich złe zamiary. Dlatego trzeba uciszyć duchową elitę i dlatego to ona pierwsza pada ofiarą walki o władzę.

Berlin, styczeń 1951 roku

– Federico przysłał mi nowy scenariusz.

To była już trzecia propozycja, po tym jak dwie poprzednie jedną po drugiej odrzuciła.

– Cudownie! – ucieszyła się babcia Charlotte, która górną połowę ciała nurkowała w szafie, a teraz wyłoniła się, trzymając w dłoniach czerwone chłopięce spodenki. – Są! Co za szczęście.

– To dla Noah? – spytała Marlene.

– Nie, dla Colina. Poprzednie porwał podczas bójk, w szkole.

– Znowu? Nie do wiary, że wyrósł z niego taki rozrabiaka.

– Powiedz to swojemu synowi. To on go ciągle namawia do złego.

– Tyle dobrego, że będzie mniej rzeczy do pakowania.

Marlene spojrzała na porozstawiane wokół już zapełnione skrzynie, zastanawiając się, jak to możliwe, że w dwa lata zebrało się tyle rzeczy – a przecież ledwie zaczęła się pakować. W następnym tygodniu mieli się przeprowadzić do Dahlem, gdzie udało jej się zdobyć trzypokojowe mieszkanie w starej willi. Łazienka była jak marzenie: umywalka, toaleta i własna wanna! Był też piękny duży balkon z widokiem na ogród. Takie mieszkanie było cenniejsze od złota. Jolanta dowiedziała się o nim od amerykańskiego oficera, który zajmował parter willi. Zwolniło się piętro, gdyż mieszkająca tam rodzina wyemigrowała do USA. W pobliżu znajdowała się szkoła dla Colina i Noah, który w przyszłym roku miał pójść do pierwszej klasy. Od czasu reformy walutowej z 1948 roku życie w Niemczech zaczęło się powoli normalizować.

– Co z tym scenariuszem? Nie wyglądasz na zachwyconą.

– Och, scenariusz jest najlepszy ze wszystkich, jakie mi przysłał, tyle że Federico chce kręcić w Rzymie. Zdjęcia mają się zacząć na wiosnę. Píše, że znalazł już nawet dla nas przyjemny pensjonat.

– Rozumiem. Wahasz się, bo ledwie się przeprowadzimy, a już trzeba będzie jechać do Rzymu?

– Właśnie. Noah i Colin są jak bracia. Pierwszy raz w życiu musieliby się na tak długo rozstać.

– Nie martw się. Znajdziemy jakieś rozwiązanie – powiedziała babcia Charlotte, po czym niby to mimochodem dodała: – Federico wydaje się bardzo miły.

Marlene, która właśnie podnosiła z podłogi wyskubanego misia, zamarła. Ledwie przedwczoraj słyszała z ust babci Charlotte podobną uwagę.

– Naprawdę, babciu. Nie wystarczy, że Jolanta bawi się w rajfurkę? Dwie pod jednym dachem to trochę za dużo – odparła ze śmiechem.

– Cóż, jesteś młodą kobietą, lecz nie dziewczyną. A zważywszy na to, że co wieczór podłoga drży...

– Powiesz mi, o co chodzi? – Marlene spojrzała uważnie na babcię Charlotte. Starsza pani zawsze przykładła dużą wagę do wyglądu, lecz w ostatnim czasie wnuczka dostrzegła w niej pewne zmiany. Przede wszystkim babcia zmieniła fryzurę: zniknął kok, a włosy zostały skrócone i ułożone w fale. Również w oczach pojawiły się jakby iskierki. – Do tej pory nie czyniłaś takich aluzji, a teraz zdarza ci się to drugi raz w ciągu tygodnia...

Starsza pani zarumieniła się jak podłotek i Marlene nagle doznała olśnienia:

– Poznałaś kogoś! Idę o zakład, że to pan Semmeling!

– Aż tak to widać?

– Trudno było nie zauważyć, jak cię adorował, gdy przyniósł nowe rzeczy dla Noah.

– Chce, żebym z nim zamieszkała. Oczywiście po ślubie – dodała babcia znów zawstydzona.

– A więc to taka historia! – wykrzyknęła rozbawiona Marlene. – Uznałaś, że skoro wychodzisz za mąż, to i na mnie czas, mam rację?

– Nie, nie, oczywiście, że nie! Chciałam ci tylko przypomnieć, że istnieje w życiu coś takiego jak miłość.

Marlene uściskała ją serdecznie.

– Wiem, babciu. I cieszę się twoim szczęściem!

Rzym, Wieczne Miasto, wiosna 1951 roku

Bywają w życiu momenty, jakby ktoś niespodziewanie zerwał zasłonę i wszystko stało się jasne. Wątpliwości znikają i nagle rozpościera się przed człowiekiem szeroka droga. Wystarczy postawić pierwszy krok. W przyszłość.

Marlene Kalten

Kiedy tylko jej noga stanęła w Wiecznym Mieście, wydało jej się, jakby po długiej nieobecności wróciła do domu. Beztrosko chłonęła to błogie uczucie. To samo przeżyła przed laty w Krakowie. Zawsze wiedziała, że kiedyś znów zamieszka w dawnej polskiej stolicy, lecz oto odnalazła to samo wrażenie w Rzymie – jakby miasto powitało ją z otwartymi ramionami, pozwalając jej wszystkimi zmysłami zanurzyć się w swojej atmosferze. To miasto, tak jak wcześniej babcia Charlotte, przypomniawszy jej, czym jest miłość.

Federico odebrał Marlene z dworca i ledwie zdążyła odstawić walizkę w jego maleńkim mieszkanku, a już niczym rozemocjonowane dziecko wyciągnął ją, by pokazać jej miasto.

Rozumiała jego entuzjazm. Rzym był cudowny i zniewalający. Być może miasto ucierpiało nieco w czasie wojny, lecz nie utraciło dawnego blasku. Niczym nobliwa dama spoglądało z góry na czarne koszule faszystów, wiedząc, że imperia powstają i upadają, a ono będzie trwać wiecznie.

Marlene stała na Placu Świętego Piotra między monumentalnymi kolumnadami i patrzyła na Bazylikę. Watykan. Była tu – w miejscu, gdzie Deborah próbowała zabić Brunnmanna, a potem została aresztowana z pomocą pewnego księdza i uciekła. Marlene zastanawiała się, czy to aby nie przeznaczenie przywiodło ją tutaj, by dowiedziała się, kim był ów ksiądz. Podjęła trop. Może uda jej się to, co nie udało się włoskim władzom? Uważnie wsłuchiwała się w wewnętrzny głos, lecz nie odnalazła w sobie przymusu odnalezienia Debory.

– Chodźmy na lody – powiedział jej przewodnik, reżyser, a ostatnio również kochanek. – W Rzymie są najlepsze lody na świecie!

Marlene przeżyła cudowny, beztroski tydzień. Noah został z babcią Charlotte w Berlinie. Colin miał właśnie krup i Noah za nic nie chciał zostawić chorego przyjaciela.

Całe dni spędzali na planie, a wieczorami z połową ekipy i przyjaciółmi Federica wychodzili coś

zjeść. Reżyser co chwila musiał przerywać posiłek, gdyż przybywali kolejni *amici*, których trzeba było wyściskać i wylewnie przywitać. Przy jedzeniu Włosi hałasowali jak dzieci, za to byli prawdziwymi mistrzami kuchni i potrafili z najprostszych składników wyczarować najwspanialsze potrawy. Marlene zajadała się cukinią, kuleczkami mięsa w winnych liściach i długim makaronem z czerwonym sosem, delektowała się wspaniałym winem, opychała się kulkami z grysiku z miodem i panna cotta, a w nocy kochała się z Federikiem pod rzymskimi gwiazdami na dachu jego kamienicy.

Ich pierwszy wspólny film okazał się ogromnym sukcesem, nie tylko we Włoszech. Zdobył nawet jedną z nagród na festiwalu w Cannes. Film Federica otworzył Grecie Jakob – bo taki przyjęła artystyczny pseudonim – wiele drzwi i jej kariera nabrała tempa. W Cinecittá poznała reżysera *Quo Vadis*, który powierzył jej jedną z drugoplanowych ról, a potem nakręciła we Włoszech kilka kolejnych filmów z Federikiem. Regularnie wracała też do Berlina, gdzie kręciła dla słynnej wytwórni UFA. W końcu upomniało się też o nią Hollywood. Do 1955 roku miała nakręcić aż siedem filmów, z czego dwa w Ameryce. W rozlicznych wояżach często towarzyszyli jej babcia Charlotte i Noah, a nierzadko również Colin. Marlene stać było na zatrudnienie prywatnego nauczyciela dla dwójki nierozłącznych przyjaciół. Jolanta została jej agentką i doglądała wszystkiego z berlińskiego biura, podczas gdy babcia Charlotte wyręczała ją w codziennych obowiązkach.

Federico oświadczył się Marlene, ale mu odmówiła. Aby go nie ranić, wyjaśniła, że nie jest stworzona do małżeństwa. Federico przez dwa lata codziennie ponawiał oświadczenia, zasypywał ją listami i kwiatami, a potem poślubił inną. Pozostali jednak przyjaciółmi i nadal z sukcesem kręcili filmy. Sława Marlene rosła z każdą kolejną rolą, a wraz ze sławą i jej gaże.

W roku 1953 roku spełniła dane sobie słowo i założyła fundację Moriah. W tym samym roku pierwszy raz wystąpiła też w Ameryce – w westernie Johna Hustona. Zagrała śpiewaczkę w saloonie. Rola przyniosła jej nominację do Oscara. Wielkim sukcesem okazała się też ścieżka dźwiękowa z filmu, a ona sama była chwalona za talent wokalny. Dwa lata później wróciła do Włoch, by zagrać w kolejnym filmie Federica.

W scenariuszu była scena kąpieli: po hucznym przyjęciu główna bohaterka kąpie się ze swoim kochankiem w Tybrze. Ledwie dwuminutowa scena wywołała ogromny skandal, gdyż przez ułamek sekundy widać było nagą pierś Marlene – i to na tle sakralnym budowli Watykanu: Zamku i Mostu Anioła! Gretę Jacob zalała fala krytyki i oburzenia, a ludzie Kościoła domagali się zdjęcia filmu z ekranów, grząc tak, jakby w przeciwnym razie miała spaść na Rzym dzuma i inne plagi. Tytuł trafił na indeks, a Greta Jakob na usta wszystkich bigotów świata. „Co za zepsucie, co za nieobyczajność!”, prześcigali się w oburzeniu.

Prasa przyłączyła się do fali powszechnego zgorszenia. Obłudni dziennikarze pluli jadem, a gazety prześcigały się w szokujących tytułach. Pisano, że aktorka Greta Jakob to w rzeczywistości Marlene Kalten, zepsuta kobieta, która przez lata mieszkała z małym dzieckiem w berlińskim lupanarze, potem

znów odkryto, że jest arystokratką, baronową Dürkheim, i z niewiadomych powodów ukrywa to przed światem. Księża piętnowali ją z ambon i grozili karami piekielnymi.

Cała ta nagonka przyniosła jednak skutek przeciwny do zamierzonego, gdyż publiczność dopiero wtedy zaczęła szturmować te – nieliczne już – kina, które jeszcze wyświetlały potępiane dzieło, a do tego zaczęto organizować prywatne seanse. Im bardziej film był potępiany, tym więcej kopii trafiało do kin. Aby zmylić bigotów i obłudników, niektóre z nich anonsowały na afiszach inne tytuły, a pocztą pantoflową rozpuszczały wici, w mgnieniu oka wyprzedając wszystkie bilety. Producenci, dystrybutor i reżyser cieszyli się z sukcesu i ogromnych dochodów – i tylko na Marlene spadły przekleństwa, pogarda i potępienie. W Niemczech stała się *persona non grata*. W jednej z rzymskich restauracji nie chciano jej obsłużyć, w innej zaś wywołała głośne szepty pozostałych gości. Było jej wszystko jedno – do czasu gdy reporterzy zaczęli grzebać w życiu babci Charlotte i czatować przed szkołą na dziewięcioletniego Noah. Wtedy straciła cierpliwość.

Zatelefonowała do zaprzyjaźnionego z Federikiem redaktora naczelnego jednej z gazet i wiedząc, że jej słowa zostaną przetłumaczone na niemiecki, udzieliła wywiadu, w którym dosadnie wyraziła swoją opinię na temat podwójnej moralności niemieckiej i włoskiej prasy. Przypomniała, że właśnie mija dziesięć lat od zakończenia wojny, podczas której naród niemiecki dopuścił się najpotworniejszych zbrodni, a teraz bardziej się oburza mignięciem na ekranie nagiej piersi niż milionami pomordowanych Żydów, Cyganów, Polaków i Rosjan. Wyraziła też żal, że podobne wzburzenie nie ogarnęło Niemców na widok zbrodni Hitlera i jego zwolenników, oraz wyznała, że wstydzi się za swoich rodaków i ludzi Kościoła. Wyjaśniła, że chodzi do kościoła z jednego tylko powodu: aby widok przepychu i bogactwa przypominał jej, komu te dobra zostały zabrane – biednym chłopom łudzoną obietnicą zbawienia i nieba. Chłopom, którzy dawno pomarli, a na których krwawicy Kościół się wzbogacił i nadal bogaci. Na zakończenie ogłosiła, że zamierza wyjechać z Niemiec.

Przed udzieleniem wywiadu długo rozmawiała z babcią Charlotte oraz swoim małym synkiem, a przekonawszy się, że popierają jej decyzję, postanowiła opuścić kraj urodzenia i przenieść się za ocean, do Kalifornii. Wynajęła wielki dom w Santa Monica, by mogli w nim zamieszkać nie tylko Noah i Colin, lecz również babcia Charlotte, która obecnie była panią Semmeling, oraz jej mąż. Starsi państwo uwielbiali spacerować brzegiem oceanu – zwłaszcza pan Semmeling, który od czasu wojny „cierpiał na płuca”.

Trzy miesiące później do grona emigrantów dołączyła Jolanta, która uznała, że najwyższy czas zacząć nowy rozdział życia. Oddała klub w dzierżawę Oldze, sama zaś w pełni poświęciła się zarządzaniu karierą Marlene i prowadzeniu jej fundacji. Ta bowiem rozwijała się nadszpodziewanie szybko i nie tylko zatrudniała grono detektywów, ale ponadto utrzymywała wiele sierocińców w Polsce i Czechach.

Kręcąc jeden film po drugim, Marlene gromadziła środki na działalność fundacji, a Jolanta dbała, by jej gąże były korzystnie ulokowane.

W 1956 i 1957 roku Marlene wystąpiła w czterech filmach, co znów zaowocowało deszczem nagród i nominacji. W wieku trzydziestu ósmiu lat osiągnęła szczyt kariery.

W tych latach w jej życie wkroczyła jeszcze jedna osoba z przeszłości: gdy 1953 roku z okazji premiery bawiła przejazdem w Monachium, przez zgromadzony przed Sendlinger Tor tłum ciekawskich precisnęła się zażywna postać z rumianymi policzkami, krzyząc: „Pani Marlene, pani Marlene!”.

Marlene od razu rozpoznała Ottilie. Cóż to była za niespodzianka! Ottilie cała spurpurowiała, widząc, że pamięta ją tak znamienita gwiazda, Marlene zaś ulokowała ją i towarzyszącego jej Wolfganga w pierwszym rzędzie, a następnie dała kosza wszystkim miejscowym notablom i spędziła cały wieczór z bratem Debory i jego wierną opiekunką w Ratskeller, ulubionym lokalu doktora Berchingera. Wolfgang okazał się nieśmiałym chłopcem, cichym i małomównym, lecz w jego uważnych oczach widać było zachwyt otaczającym go światem.

– Synek jest zdolny jak piorun! – Ottilie dosłownie pękała z dumy. – Chce studiować fizykę, wie pani, siła ciężenia, planety... Oszczędzamy na studia, cała familia się zrzuca. Chłopak zresztą też już pracuje, daje korepetycje. Pan doktor byłby dumny z synka. Szkoda, że mu się zmarło! – Służąca pociągnęła głośno nosem, a po pokrytym siateczką zmarszczek policzku spłynęła samotna łza.

Od tej pory Marlene co roku odwiedzała Ottilie i Wolfganga w ich wiejskim domu w Strasslach oraz regularnie wysyłała im paczki i zaproszenia na premiery. Fundacja zaś rozszerzyła działalność i zaczęła przyznawać stypendia. Pierwsze otrzymał młody Wolfgang Berchinger.

Strasslach, 1956 rok

Całe życie człowieka jest niczym więcej jak tylko chwilą. Cieszymy się nią.

Plutarch (45–120)

Ottilie, właśnie wałkowała ciasto, gdy usłyszała dźwięk silnika. Nie był to ani odgłos starego, pyrkającego traktora, ani zardzewiałego gruchota jej bratanka, lecz rzadki na tym pustkowiu warkot zdrowego, nowego silnika. Odłożyła wałek do ciasta, otarła dłonie całe w mące o fartuch i wyjrzała przez kuchenne okienko. Na podwórze zajechała ciemna, lśniąca limuzyna. Maszynę natychmiast obległa chmara dzieci, jako że brat Ottilie miał więcej wnuków niż kur. Do auta podeszło też stadko gęsi, a czarny kocur, który nigdy nie dał się oswoić i również płodził na potęgę potomstwo, wyjrzał zaciekawiony zza wrót stodoły. Goście rzadko zaglądali do położonego na uboczu gospodarstwa i wszyscy jego mieszkańcy – i ludzie, i zwierzęta – ucieszyli się z niecodziennej atrakcji. Kiedy Ottilie zobaczyła, kto wysiadł z limuzyny, wykrzyknęła tylko „Jezusie Nazareński!” i pobiegła do drzwi. Z naprzeciwka szła piękna blondynka.

– Pani Marlene, co za radość! – Ottilie prawie rzuciła się jej na szyję, lecz w ostatniej chwili opamiętała się i wyciągnęła tylko dłoń na powitanie. Lecz Marlene sama chwyciła gospodynię w ramiona. Wzruszona Ottilie wybuchnęła płaczem i wyciągniętą z kieszeni fartucha ogromną chustką ocierała oczy.

– Ach, to się Wolfi ucieszy! Proszę, proszę, zapraszam. Gdzie jest ten urwis? Pewnikiem nie słyszał auta. Kiedy siada nad książką, zapomina o bożym świecie, choćby się waliło i paliło dokoła. Taki to mądry synek! Całkiem jak nasz pan doktor świętej pamięci!

Stojąc u podnóża schodów, Ottilie krzyknęła tak, że aż się zatrzęsły ściany starego domu. Z góry odpowiedziało jej szczekanie.

– Oj, to mały Felix, jamnik – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Marlene. – Mamy tu tyła zwierząt, ale synek się uparł. Żebyż tylko ten urwis nauczył się wreszcie i nie paskudził na dywan... O Jezusie! – Ottilie zasłoniła usta dłonią. – Pani mnie źle nie zrozumie, nie mówiłam o Wolfim, ino o psinie. Wolfi! – krzyknęła raz jeszcze.

Widząc zaaferowanie Ottilie, Marlene mimo woli się uśmiechnęła. Ottilie zawsze była oryginałem

i nic nie wskazywało na to, żeby miała się kiedyś zmienić. Cudownie było przypomnieć sobie, że są jeszcze na świecie ludzie tacy jak ona: cisi bohaterowie, którzy na przekór losowi i wbrew wszystkiemu pozostają wierni sobie, bardziej dbają o innych niż o samych siebie i potrafią dla najbliższych zrezygnować z własnego szczęścia. Bo mają w sercu miłość.

Niedługo potem cała czwórka – to jest Marlene, Ottilie, Wolfgang i jamnik Felix – zasiedli w kuchni. Ottilie uparła się, by Marlene zajęła najlepsze miejsce, plecami do pieca. Co prawda kwietniowe dni były ciepłe i w piecu już nie palono, lecz Ottilie dała w ten sposób wyraz tradycyjnej gościnności.

Akurat w chwili, gdy podawała kawę, ktoś zapukał do drzwi.

– Kogo też znowu...! – zdziwiła się gospodyni. – Toż ruch jak w gospodzie! Zobacz no, Wolfi, kogo przywiało.

Kiedy Wolfgang posłusznie poszedł otworzyć, Ottilie zaczęła zachwalać swoje ostatnie wypieki.

– Proszę, pani Marlene, musi pani koniecznie spróbować. Na prawdziwym maśle. Wnuczek mojego brata...

Umilkła, gdyż Wolfgang wpadł zaaferowany do kuchni.

– Ktoś pyta o ciebie, Ottilie. Wygląda jak Liczyrzepa. Biedak jest strasznie brudny i nie ma jednej kończyny...

Ottilie umilkła i odruchowo poprawiła kok. Następnie spojrzała na Marlene, jakby ją prosiła o wybaczenie, po czym z ledwie skrywaną dumą napomniała wychowańca:

– Nie mówże tak uczenie, Wolfi! Przecie nikt nie zrozu...

Urwała, gdy w progu stanęła potężna postać i delikatnie przesunawszy chłopca na bok, weszła do jasnej kuchni, grząc basowo:

– Szczęść ci Boże, Ottilie.

Gospodyni osunęła się na podłogę.

– Ottilie? Ottilie! – Marlene uklękła obok omdlałej i poklepała ją po policzkach, a po chwili Wolfgang podał jej zmoczoną ściereczkę.

Ottilie drgnęła i wymamrotała coś niezrozumiale. Za plecami Marlene przybysz kucnął przy ścianie i cicho załkał.

– Zabiłem ją... zabiłem... – powtarzał w kółko.

Tymczasem w drzwiach stłoczyła się gromadka dzieci, które, o dziwo, zachowywały się wyjątkowo cicho, najwyraźniej przestraszone tym, że Ottilie leży bez ruchu na podłodze, a piękna pani w eleganckiej sukni bije ją po twarzy. Ottilie z wciąż zamkniętymi oczami dalej mamrotała jakieś niezrozumiałe słowa, jakby dręczył ją koszmar. W końcu Wolfgang zrozumiał.

– Mówi, że diabeł płata jej figła. Chce ją zabrać do piekła – wyjaśnił chłopiec.

– Ottilie, nikt nie chce cię nigdzie zabrać – powiedziała Marlene łagodnie i zaczęła zwilżać jej

twarz mokrą ścierką. Ottilie nadal jednak zdawała się toczyć bój z niewidzialnym wrogiem.

Marlene nie miała pojęcia, czy przybysz istotnie jest diabłem, za to cuchnął tak strasznie, że wcale się nie dziwiła, iż Ottilie padła zemdlona.

– Wolfi, spytaj pana, czy nie mógłby poczekać na dworze. Zdaje się, że to on tak przeraził Ottilie. Daj mu, proszę, coś do jedzenia i picia, wygląda na bardzo głodnego. I pokaż mu, gdzie jest studnia.

– Dobrze. Zaprowadzę go do kaplicy weselnej.

– Gdzie? – Cienkie brwi Marlene wystrzeliły w górę.

– Tak nazywamy pompę przy oborze. Tam myje się szlauchem byka, kiedy chłopci przyprowadzają krowę do inseminacji – wyjaśnił rzeczowo Wolfgang. – Z drogi, hultaje! – Przegnał na dwór dzieciarnię, która zaczęła krzyczeć „Wesele, wesele”, po czym schylił się nad przybyszem i szepnąwszy mu coś na ucho, wziął go pod ramię. Brodacz pozwolił się wyprowadzić z domu.

Gdy tylko wyszli, Ottilie ocknęła się i wyprostowała niczym diabeł wyskakujący z pudełka.

– Jezusie przenajświętszy! Śniło mi się... śniło mi się... że wrócił! – Gospodyni rozejrzała się nieufnie po kuchni, lecz nie zobaczyła nikogo oprócz Marlene, która klęczała obok niej na podłodze. – Co się stało? Czemu tu tak siedzimy?

– Zemdląłeś, Ottilie.

– Co? Ja? Naprawdę? Och, co za wstyd! Pani wybaczy, pani Marlene... taki ambaras! – Ottilie zaczęła węszyć jak pies i po chwili skrzywiła się z obrzydzeniem. – Bożeż święty, co tu tak śmierdzi? Któs przyniósł truchło? – zaczęła wyrzekać, co najlepiej świadczyło o tym, że odzyskała siły. – I co ta potępieńcza chmara tak hałasuje?

Rzeczywiście – z podwórza dobiegały okrzyki rozemocjonowanych dzieci. Marlene wstała i pomogła Ottilie dźwignąć się z podłogi. Ponieważ gospodyni wciąż kręciło się w głowie, Marlene zaprowadziła ją do izby, usadziła na małej kanapie i podała filiżankę kawy. Ottilie najwyraźniej nadal była otumaniona, gdyż w przeciwnym razie z pewnością nie dopuściłaby do tej zamiany ról. Szybko jednak odzyskała rezon i zerwała się z miejsca.

– Jezusie Nazareński, te urwipołcie jeszcze podpalą stodołę...

W chwili gdy to mówiła, Wolfgang zapukał w szybę. Zanim Ottilie zdążyła odstawić filiżankę, Marlene otworzyła okno i chłopak obwieścił:

– Nasz gość prezentuje się dużo lepiej.

– Jaki znów gość? – spytała Ottilie nieufnie, podchodząc do okna.

– A taki! – w progu izby rozległ się ten sam bas co przed kilkoma minutami.

Ottilie odwróciła głowę i znów zrobiła się trupio biała, ale tym razem ustała na nogach. A potem z krzykiem rzuciła się przybyszowi na szyję.

– Hans!

Wtuliła głowę w potężną pierś mężczyzny i zalała się łzami.

Marlene i Wolfi spojrzeli po sobie i w miarę jak docierało do nich, że na ich oczach dokonał się właśnie prawdziwy cud, ich twarze powoli rozjaśnił uśmiech. Po policzku Marlene spłynęła łza.

A potem Ottilie i Hans usiedli na sofie, trzymając się za ręce, i gospodyni zaczęła karmić zaginionego przed szesnastu laty męża własnoręcznie upieczoną chałą.

Marlene i Wolfgang ulotnili się dyskretnie, choć szczęśliwi małżonkowie byli tak w siebie wpatrzeni, że zapewne nie usłyszeli by nawet grającej za oknem orkiestry dętej.

Na dworze Marlene wyręczyła Ottilie i zajęła się „urwipółciami”: wcisnęła każdemu z nich po kilka fenigów i hałaśliwa zgraja natychmiast pobiegła do wiejskiego sklepiku wymienić je na cukierki i lemoniadę.

Potem usiadła z Wolfgangiem na ławce pod ścianą stodoły, by w spokoju porozmawiać. Chłopiec z typową dla siebie powagą i powściągliwością opowiedział o gimnazjum w Pullach, do którego uczęszczał.

Ponieważ leżąca dziesięć kilometrów od wioski szkoła nie miała własnego autobusu, musiał do niej codziennie dojeżdżać rowerem – tylko w zimie, gdy były zasy, chodził pieszo. Ruch najwyraźniej wychodził mu na zdrowie, bo Marlene zauważyła, że chłopiec zmęźniał od ostatniego spotkania. Okazało się też, że poznał dziewczynę o imieniu Marie, o której teraz z zachwytem opowiadał. Zapewniał, że jest najmądrzejszą i najcudowniejszą dziewczynką na świecie – i, ma się rozumieć, najładniejszą. Marlene z przyjemnością słuchała treli zakochanego młodzieńca.

Biedny chłopak dość już przeszedł w swym krótkim życiu – i to tylko dlatego, że urodził się w czasach, gdy samo pochodzenie mogło decydować o życiu lub śmierci. Wolfgang Berchinger stracił wszystkich, którzy byli mu bliscy – rodziców, siostrę, ukochaną jamniczkę Pszczółkę – a mimo to zachował wiarę w prawdę, dobro i piękno. Bo miał kogoś, kto był przy nim w najmroczniejszym okresie jego życia, kto go podtrzymał na duchu, wziął za rękę i nauczył, czym jest miłość. Tego kwietniowego dnia Marlene raz jeszcze uświadomiła sobie, że aby ocalić czyjeś życie – ciało i duszę – wystarczy jeden człowiek. Człowiek, który nie myśli o sobie, ale o innych. Wolfganga ocaliła Ottilie. To dzięki niej mógł tu siedzieć i opowiadać o swojej miłości do Marie, być szczęśliwy i opowiadać o tym szczęściu Marlene, i ją czyniąc odrobinę szczęśliwszą. A wraz z nią cały świat. Marlene z wdzięcznością pomyślała, że sama też ma kogoś, dla kogo może być tym, kim dla Wolfganga była Ottilie. Miała syna, który był jej dumą i mieścił w sobie cały ocean miłości, szczerości i dobra. I który stał się dla niej – i nie tylko – źródłem szczęścia. Tak, Noah był nieodrodnym synem swojego ojca.

Siedząc na tej ławeczce i słuchając Wolfganga, Marlene myślała też o Ottilie, która oto niespodziewanie odzyskała miłość swojego życia. Jej ukochany Hans przeżył wojnę, a to, czego doświadczył, było wprost niewiarygodne. Z tego, co Marlene zdążyła usłyszeć, wynikało, że całą drogę do domu przeszedł pieszo. Z syberyjskiego obozu aż do Strasslach. Dla swojej Ottilie! Oto, do czego jest zdolna miłość, która nie tylko potrafi przenosić góry, ale jest też największym cudem

i największą potęgą we Wszechświecie. Bo jest w stanie wszystko znieść i wszystko przetrzymać.

Marlene była szczęśliwa, że los pozwolił jej przeżyć ten dzień z Ottilie i Hansem i patrzeć, jak dopełnia się jeszcze jeden krąg przeznaczenia.

Santa Monica, Kalifornia

W środku nocy obudził ją telefon. Dzwoniono z Jerozolimy. Był poniedziałek 2 maja 1960 roku. Rozmowa trwała chwilę, ale miała ogromny wpływ na życie Marlene.

– Co się stało? – spytała babcia Charlotte, która z rozwichrzonymi włosami i w rozchełstonym szlafroku wyszła na korytarz. Jej zatroskana twarz szybko się rozjaśniła. – Widzę, że masz dobre wieści.

– Mają go! Izraelczycy złapali Brunnmanna! – wykrzyknęła Marlene. – W końcu!...

– Cudownie!

Marlene wiedziała, że babcia Charlotte odetchnęła z ulgą, licząc, że teraz jej wnuczka odnajdzie spokój. Polowanie na Albrechta Brunnmanna położyło się cieniem na ostatnich latach ich życia. Marlene i jej ludzie wielokrotnie mieli go dosłownie na wyciągnięcie ręki, lecz on za każdym razem im się wymykał. Poszukiwania kosztowały fortunę, z czego sporą część skasowali oszuści podający zmyślane adresy. Lecz Marlene ani myślała się poddać. Brunnmann nie mógł uniknąć sprawiedliwości, musiał zapłacić za swoje zbrodnie. Z biegiem lat poszukiwania stały się jej obsesją i chociaż zdawała sobie z tego sprawę – babcia Charlotte aż nazbyt często jej to uświadamiała – nie umiała dać za wygraną.

– Gdzie go znaleźli? W Paragwaju?

– Nie, w Argentynie. Ale teraz jest już w Tel Awiwie. Agenci Mosadu porwali go i potajemnie wywieźli do Izraela.

– Mają tupet!

– Owszem. – Marlene była dumna z Izraelczyków. Jej kontakt w Jerozolimie wspomniiał, że sprawa będzie mieć poważne reperkusje dyplomatyczne, gdyż rząd Argentyny już wystosował oficjalny protest, lecz ona zawsze w takich sytuacjach miała gotową odpowiedź: „A gdzie były protesty, kiedy Hitler mordował miliony Żydów?”.

– Kiedy lecisz?

– Jeszcze w tym tygodniu.

– Wykluczone! – Za plecami babci Charlotte jak spod ziemi wyrosła potężna postać Jolanty. –

Musisz dokończyć zdjęcia dla Foxa.

– Gwiżdżę na to! – odparła Marlene. Czuła się, jakby była na rauszu.

– Możesz sobie gwizdać do woli, ale najpierw dokończysz zdjęcia. Studio płaci twoje rachunki.

– Chciałaś chyba powiedzieć: nasze.

– Na jedno wychodzi – odparła Jolanta z typową dla siebie wyniosłością i wróciła do swego pokoju.

Marlene przez chwilę miała ochotę zawołać za nią, że nie jest już jedną z jej *geikos*, lecz doszła do wniosku, że natychmiastowy wyjazd do Jerozolimy rzeczywiście nie miałaby sensu. Najważniejsze, że w końcu osiągnęła swój cel: Albrecht Brunnmann będzie miał proces. Zostanie osądzony na oczach całego świata, a ona zaświadczy przed sądem o jego zbrodniach. Ona i Icchak Cukierman, z którym nawiązała kontakt pod koniec lat pięćdziesiątych.

Kilka dni później odebrała następny telefon. W słuchawce odezwał się głos Joego Michaelsona, który po wojnie kontynuował karierę w wywiadzie – przeszedł z CIS do OSS, z którego później powstała CIA. Znów byli przyjaciółmi, choć prowadzona przez Amerykanów operacja „Spinacz” sprawiła, że ich drogi na jakiś czas się rozeszły: w 1945 roku Joe był zaangażowany w akcję werbowania niemieckich naukowców, którzy jeszcze niedawno na polecenie nazistów pracowali nad doskonaleniem uzbrojenia, zwłaszcza systemami rakietowymi. Władze amerykańskie wystawiły najwybitniejszym uczonym hitlerowskich Niemiec i ich rodzinom stosowne dokumenty i pozwoliły rozpocząć nowe życie za oceanem. Amerykanie bez skrupułów wybielali przeszłość swoich nowych obywateli, w dość specyficzny sposób dokonując ich denazyfikacji: najzwyczajniej w świecie wymazywano z akt wszelkie ślady ich nazistowskiej przeszłości, łącznie z przynależnością do NSDAP. Nic dziwnego, że sprawa ta poróżniła Marlene i Joego.

Marlene zarzucała Amerykaninowi, że przedkłada interesy gospodarcze i polityczne nad etykę i przyzwoitość. Co prawda Michaelson wyjaśnił, że w ten sposób pozbawia naukowych podstaw przemysł zbrojeniowy Związku Radzieckiego, który po wojnie z sojusznika szybko stał się wrogiem numer jeden, lecz Marlene uznała operację „Spinacz” za element planu Morgenthaua, który przewidywał, że po wojnie Niemcy zostaną przekształcone w państwo czysto agrarne: wszystkie ocalone z wojennej pożogi zakłady produkcyjne miały zostać zniszczone lub przeniesione za ocean. Marlene odrzucała tego rodzaju koncepcje, twierdząc, że bez przemysłu w Niemczech nie będzie wystarczającej liczby miejsc pracy, a bez pracy nie ma jedzenia. Kiedy zaś ludzie zaczną głodować, prędzej czy później dojdzie do zamieszek. Jej zdaniem był to ten sam zaklęty krąg, który doprowadził do wybuchu drugiej wojny światowej. Tym bardziej że „po drugiej stronie” Rosjanie robili to samo co Amerykanie: wszystkie wartościowe maszyny zostały zdemontowane i wywiezione z ich strefy okupacyjnej do Związku Radzieckiego.

W odpowiedzi Joe obcesowo poradził Marlene, by nie mieszała się w sprawy, które jej nie

dotyczą, i wypomniał jej spotkanie z Ludwigiem Kammerloherem.

„Kazałeś mnie śledzić?”, Marlene wprost oniemiała.

„Nie ciebie, tylko Kammerlohera. Trochę za bardzo węszył”.

„Więc jednak macie coś do ukrycia?”, drążyła Marlene.

„Nic, co by cię mogło interesować. Powinnaś zresztą przestać się zajmować ludźmi pokroju Albrechta Brunnmanna czy Josefa Mengele. Zostaw to nam”.

„Gdyby Amerykanie wcześniej zainteresowali się losem europejskich Żydów, pewnie bym tak zrobiła. Ale niestety nie mam do was za grosz zaufania. Chcę sprawiedliwości. Ci ludzie powinni zapłacić za swoje zbrodnie”.

Joe zadzwonił, gdyż agenci Mosadu znaleźli w papierach Brunnmanna dokument dotyczący doktora Gustava Berchingera, i uznał, że to znalezisko może zainteresować Marlene.

– Pomyślałam, że dobrze ci zrobi. Dodałam kropelkę koniaku.

– Dziękuję, babciu.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Charlotte wskazała otwartą teczkę, którą rano kurier przyniósł z biura Michaelsona i której zawartość Marlene od kilku godzin wnikliwie studiowała.

Marlene pociągnęła łyżeczkę wzmocnionej kawy i ostrożnie odstawiła filiżankę. Z przerażeniem zauważyła, że drży jej ręka. Przetarła dłonią spuchniętą od łez twarz. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. „Jolanta miała rację”, pomyślała. „Przeznaczenie to krąg i nie ma znaczenia, w którą ruszymy stronę, bo na końcu i tak dotrzemy do tego samego punktu”.

– Nie sądziłam, że kiedyś to powiem, babciu, ale muszę przyznać Jolancie rację. Oto dowód na prawdziwość tego, co mówiła o przeznaczeniu. – Marlene wskazała na teczkę, w duchu dodając, że poglądy Jolanty nie odbiegały zbyt od tego, co mówił doktor Friehling. Tyle tylko, że to, co dla Jolanty było przeznaczeniem, on nazywał zasadą przyczyny i skutku.

Marlene wstała i przyniosła ze swojego pokoju list doktora. Przez wszystkie te lata nie miała odwagi go przeczytać. Zanadto lękała się jego bezkompromisowego, ostatecznego przesłania. Dopóki go nie otworzyła, mogła się łudzić nadzieją, że jej ukochany żyje. Charlotte, która wiedziała o liście, uważała, że Marlene nie czyta go, by samą siebie ukarać. Za to, że zabiła człowieka, który był miłością jej życia.

W końcu Marlene rozerwała sfatygowaną przez lata kopertę i przeczytała list. Dowiedziała się z niego, że człowiek, którego znała jako doktora Friehlinga, naprawdę nazywał się Gustav Berchinger!

Jerozolima, lipiec 1960 roku

*W cieniu śmierci żyje dotąd,
Z dala od zapachu łak,
Pogrążona w kniei, bagnie.
Zapomniała tę naukę,
Że kto zemsty tylko pragnie,
Ten swą własną duszę bruka.*

Raffael Valeriani, *Kiedy umierają pszczoły*

Spotkały się w hotelu, w którym mieszkała Deborah – a właściwie Maria Valerian, bo takie nazwisko figurowało w jej amerykańskim paszporcie. Przyjechała do Jerozolimy, lecz do tej pory nie pojawiła się na sali rozpraw i Marlene odnalazła ją tylko dlatego, że specjalnie wypatrywała jej przed budynkiem sądu.

Sama Marlene, a raczej Greta Jacob, przyjechała do Izraela miesiąc wcześniej i zdążyła już złożyć zeznania. Wraz z synem odwiedziła również przyjaciół i spotkała się z dwiema dawnymi *geikos*, które z mężami osiedliły się w *Erec Israel* – jedna w Jerozolimie, druga w Aszkelonie nad Morzem Śródziemnym. Pierwszy raz od zakończenia wojny spotkała się też z Icchakiem Cukiermanem. Przywitali się jak starzy przyjaciele, jakby widzieli się ledwie wczoraj. Odżyły stare dzieje. Rozmawiali o okrucieństwie wojny, jakby mówili o cierpieniach innych ludzi, śmiali się z tego, że Icchak uniknął aresztowania tylko dlatego, że pojechał po lekarza, który miał amputować Marlene nogę.

Marlene czuła się w Izraelu znakomicie. Odpowiadała jej tutejsza atmosfera przyprawionej fatalizmem witalności. Izraelczycy nie patrzyli wstecz, gdyż terażniejszość niosła ze sobą dość problemów: w 1947 roku wybuchły starcia z milicją palestyńską, a 15 maja 1948 roku, dzień po ogłoszeniu utworzenia państwa Izrael, wybuchła pierwsza wojna. Walki trwały rok.

Dobre samopoczucie Marlene wynikało po części i z tego, że tutaj nikt się specjalnie nie interesował wielką gwiazdą światowego kina. Wszyscy traktowali ją zupełnie zwyczajnie – z wyjątkiem reporterów, którzy zjechali się na proces Brunnmanna i jak zwykle prześcigali się

w wymyślaniu sensacyjnych tytułów.

Pierwsze od piętnastu lat spotkanie z Deborahą – nie licząc tamtego w Garmisch – wprawiło Marlene w przygnębienie. Siedziała przed nią rozgoryczona kobieta, która unikała słońca i zbyt wiele czasu spędzała w zaciemnionych pomieszczeniach. A mimo to wciąż była piękna – szczególną, naznaczoną tragizmem urodą. Ciemne ubranie dodatkowo podkreślało niemal woskową bladość jej cery. Marlene miała ochotę potrząsnąć Deborahą, wyrwać ją z letargu, w który sama się wprowadziła – ale czy można zmusić do życia kogoś, kto pielęgnuje swoje rany i nie chce zapomnieć o strasznej przeszłości? Deborah sprawiała wrażenie, jakby życie było dla niej brzemieniem, jakby bezmyślnie rozwijała nic swojego życia, z rezygnacją i smutkiem czekając na jego kres.

– O czym chciałaś ze mną rozmawiać? – spytała tonem dyrektora, który właśnie wychodzi na ważne spotkanie i nie jest zadowolony, że zatrzymują go w progę.

Marlene nie przejęła się zbyt oschłością Debory. Uznała, że okazała dawnej przyjaciółce dość cierpliwości i ten jeden jedyny raz może sobie pozwolić na bycie natrętną. Zresztą Deborah nie była już dzieckiem, tylko dojrzałą, blisko czterdziestoletnią kobietą! Marlene była zdecydowana rozpędzić chmury wrogości i egocentryzmu i przekonać ją, by w końcu skontaktowała się z bratem. Deborah od lat nie skorzystała z takiej możliwości, chociaż Marlene wielokrotnie wspominała w wywiadach, że jej przyjaciel Wolfgang Berchinger poszukuje zaginionej siostry. Do tej pory Marlene tłumaczyła sobie milczenie dawnej przyjaciółki tym, że była poszukiwana przez włoski wymiar sprawiedliwości w związku z oskarżeniem o próbę zabójstwa i bała się aresztowania. Okazało się jednak, że najwyraźniej nic jej nie grozi, skoro swobodnie podróżowała, posługując się dokumentami wystawionymi na Marię Valerian. Dlatego postanowiła nie owijać w bawełnę.

– Mówiłaś mi, że twój ojciec zaginął w 1938 roku, podczas próby przekroczenia szwajcarskiej granicy. Wiem, co się z nim stało.

Deborah patrzyła na nią oszołomiona, jakby nie do końca zrozumiała znaczenie słów, które właśnie usłyszała.

– Ale... – jęknęła i kamienna fasada, za którą się kryła, w jednej chwili rozsypała się w proch.

Marlene nabrała powietrza. To, co miała za chwilę powiedzieć, dla niej samej było niezwykle trudne.

– Twój ojciec padł ofiarą własnej przyzwoitości. Kiedy dotarł do Augsburga, na dworcu rozległy się krzyki, że potrzebny jest lekarz. Okazało się, że na sąsiednim torze stoi pociąg do Monachium, w którym ciężarna kobieta zaczęła niespodziewanie krwawić.

– I ojciec wysiadł... – szepnęła Deborah łamiącym się głosem.

– Tak. Pomógł tamtej kobiecie. Niestety pociąg tymczasem ruszył. Na dworcu w Monachium czekał mąż ciężarnej, nazistowski dygnitarz i krewny Himmlera. Ponieważ w 1923 roku brał udział w zorganizowanym przez Hitlera puczu, natychmiast rozpoznał w twoim ojcu żydowskiego lekarza,

który opatrzył postrzelonego w trakcie zamieszek Göringa.

– Ojciec został aresztowany?

– Poniekąd. W 1938 roku żydowscy lekarze nie mieli już prawa praktykować, lecz ciężarna, której pomógł w pociągu, uparła się, by to on opiekował się nią do czasu porodu. Już kilka razy poroniła i najwyraźniej bardziej ufała twojemu ojcu niż aryjskim lekarzom.

– Skąd to wszystko wiesz? – Deborah zmierzyła Marlene takim spojrzeniem, jakby wietrzyła podstęp.

Być może bała się, że dawna przyjaciółka chce w ten sposób odzyskać jej zaufanie i znów zwabić ją w jakąś pułapkę.

– Z zapisków twojego ojca. Znaleziono je wśród rzeczy Brunnmanna.

– Mogę je zobaczyć?

Deborah spojrzała na torebkę Marlene.

– Dostałam tylko kopię najważniejszych fragmentów.

– Chcę je zobaczyć! – Deborah wyciągnęła rękę.

– Nie mam ich przy sobie.

– Jak to nie masz?! – spytała opryskliwie Deborah.

– Chciałam z tobą porozmawiać, a znam cię i wiem, że gdybym ci dała te zapiski, zostawiłabyś mnie i pobiegła do swojego pokoju, by je przeczytać.

Deborah zacisnęła pięści, lecz pohamowała gniew.

– Co było dalej?

– Twój ojciec nie miał wyboru, więc poddał się losowi. Zamknięto go w willi, by dniem i nocą był do dyspozycji ciężarnej.

– Wiedzieli, że próbował uciec?

– Nie, to wyszło na jaw dopiero później, ale nie ma na ten temat bezpośredniej wzmianki w zapiskach.

– To wszystko? Powiedziałaś, że wiesz, co się z nim stało.

– Owszem. Sporo można wyczytać z notatek dotyczących jego pacjentów.

– Ojciec praktykował? Gdzie?

– W Monachium. Żona dygnitarza była dumna ze swojego lekarza i poleciła go ojcu. Z czasem zaczął leczyć całą rodzinę. Urządzono mu nawet prawdziwy gabinet. Pacjentka nie wiedziała o jednym: twój ojciec leczył również jej męża, który chorował na syfilis. A ponieważ szybko zyskał sobie renomę prawdziwego specjalisty od wstydlivych przypadłości, zaczął leczyć i innych nazistowskich notabli.

Deborah była oszołomiona.

– Ale... dlaczego nie uciekł? Dlaczego do nas nie wrócił? Myśmy tak na niego czekali ...

– Nie mógł tego zrobić. Willa była praktycznie jego więzieniem, pilnowano go. A potem znalazł go Brunnmann i zaczął szantażować.

– Nie rozumiem. Albrecht szantażował mojego ojca? Czym?

– Brunnmann zagroził, że jeśli twój ojciec nie będzie robił tego, co mu każe, przestanie chronić twoją matkę, ciebie i twojego brata.

Deborah przez chwilę w milczeniu rozważała słowa Marlene. W końcu zadała następne pytanie:

– W jaki sposób Brunnmann w ogóle trafił na ślad ojca?

– Prawdopodobnie przez twoją matkę. Wiem od Ottilie, że twoja matka odwiedziła w Berlinie Göringa, by go prosić o pomoc w odnalezieniu zaginionego męża. Tam, w Kancelarii Rzeszy, spotkała Brunnmanna. Ten zainteresował się słynną śpiewaczką i najprawdopodobniej zaczął szukać jej męża. Wkrótce dowiedział się o tym, co się wydarzyło na dworcu w Augsburgu, i skontaktował się z monachijskim dygnitarzem. Partyjni towarzysze szybko doszli do porozumienia. Kilka miesięcy później wybuchła wojna i wspomniany dygnitarz został oddelegowany do Krakowa, dokąd zabrał nie tylko całą rodzinę, lecz również swojego prywatnego lekarza.

Deborah znowu zaczęła drżeć.

– Czy... mój ojciec żyje?

W końcu zdecydowała się zadać najważniejsze pytanie, które, bojąc się odpowiedzi, dotąd od siebie odsuwała.

Marlene zbladła, lecz Deborah była tak roztrzęsiona, że nawet tego nie zauważyła.

– Niestety... Zginął w 1944 roku. Zabiła go bomba, w chwili gdy szedł do pacjenta.

Marlene długo się wahała, czy powiedzieć Deborze całą prawdę, lecz uznała, że to niczego by nie zmieniło. Śmierć to śmierć, dusza boli tak samo.

– Brunnmann poślubił moją matkę, chociaż ojciec żył?

– Musisz pamiętać, że według ustaw norymberskich małżeństwa między Żydami i Aryjczykami można było łatwo unieważnić.

Deborah spojrzała na Marlene, a w jej oczach pojawił się cień nieufności.

– Skąd tyle o nim wiesz? Od Albrechta?

– Nie. Spotkałam twojego ojca – odrzekła Marlene, a potem opowiedziała, jak doktor Berchinger uratował jej życie.

Chciała wyznać Deborze, jak bardzo go kochała i że Noah jest jego synem, a jej przyrodnim bratem, lecz nim do tego doszła, Deborah przerwała jej i gwałtownie poprosiła, by sobie poszła. Chciała zostać sama, opłakać ojca.

Wcześniej jednak spytała, gdzie jej ojciec jest pochowany, a pytanie to przypomniało Marlene, że ma jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Tego dnia Marlene widziała Deborę po raz ostatni, gdyż ta uparcie odmawiała wszelkiego kontaktu, nawet ze swoim bratem. Zostawiła tylko Marlene wiadomość w hotelowej recepcji – kilka nerwowo skreślonych słów, w których prosiła, by jej nie szukać, bo tylko w samotności jest w stanie uporać się ze swoją przeszłością.

„Kochałam człowieka, który wymordował miliony ludzi, i muszę to odpokutować”, napisała na zakończenie.

Marlene nie rozumiała zachowania Debory. Nie potrafiła pojąć, dlaczego ta biedna, zgorzkniała kobieta niszczyła swoją duszę, zasklepiając się w przeszłości, zamiast skupić się na teraźniejszości i spojrzeć w przyszłość. Mimo wszystko podjęła ostatnią próbę i napisała do Debory długi list, w którym zaoferowała jej pomoc i wyjawiała, że Noah jest jej przyrodnim bratem. Jednak tydzień później listonosz przyniósł z powrotem nierozpieczętowaną kopertę.

Marlene nie pojechała na ogłoszenie wyroku w sprawie Brunnmanna. Śledząc uważnie proces w prasie, natrafiła natomiast w izraelskiej gazecie na zdjęcie Debory *alias* Marii Valerian siedzącej w pierwszym rzędzie jerozolimskiej sali rozpraw. W grudniu 1961 roku, gdy odczytano wyrok, Marlene poczuła wreszcie wewnętrzny spokój i satysfakcję, na którą musiała tyle lat czekać. Sprawiedliwości stało się zadość i sprawa Brunnmanna została raz na zawsze zamknięta.

Kiedy opadła żelazna kurtyna, Marlene za pośrednictwem swojej fundacji skontaktowała się z polskimi władzami, a w 1990 roku poleciała do Warszawy na spotkanie z przedstawicielami nowego rządu. Sprawy toczyły się strasznie powoli, lecz na wiosnę 1992 roku udało się w końcu uzyskać wszystkie zezwolenia i Marlene sfinansowała badania archeologiczne w dawnym tunelu w okolicach Wałbrzycha.

Następnie przeprowadzono badania DNA znalezionych w tunelu kości i po porównaniu wyników z próbką pobraną od Noah ustalono, że wśród wydobytych ciał znajdują się również szczątki Gustava Berchingera. Marlene napisała wówczas kolejny list do Debory, a kiedy i on wrócił do nadawcy zapieczętowany, razem z Noah i jego żoną Oliwią udała się do Monachium, gdzie wraz z Wolfgangiem, jego żoną Marią, Jolantą i Colinem odprowadzili doktora na miejsce ostatecznego spoczynku.

Co prawda podczas wojny na monachijski cmentarz, na którym przed laty spoczęła Elisabeth Berchinger z domu Malpran, spadła bomba, lecz ta jego część, w której znajdował się grób słynnej śpiewaczki, pozostała nienaruszona. Nagrobek nieco zwietrzał i porosły go dzikie kwiaty, które Wolfgang zabronił wycinać, wiedząc, że matka bardzo je lubiła. Marlene odczytała wyryty w kamieniu napis: „Zdrój wody na moim grobie, by ptaki niebieskie przylatywały tu pić i śpiewać mojej duszy”.

Wolfgang Berchinger zadbał, by ojciec spoczął obok swojej żony, a na życzenie Marlene polecił

wyryć na nagrobku następujące słowa:

„Dopóki istnieją motyle, istnieje również nadzieja. Śmierć jest dopiero początkiem”.

CZĘŚĆ V

Czas zamętu

„Módlmy się, by nie było weteranów przyszłych wojen – nie o to, by wszyscy zginęli, lecz byśmy wszyscy nauczyli się żyć w pokoju”.

John F. Kennedy, przemówienie na Cmentarzu Narodowym w Arlington, 11 listopada 1961 roku

Los Angeles, grudzień 1963 roku

W jaki sposób rządzi się światem i prowadzi wojny? Dyplomaci okłamują dziennikarzy, a potem wierzą w to, co czytają w gazetach.

Karl Kraus (1874–1936),
pisarz, publicysta, satyryk

Marlene siedziała w charakteryzatorni, czekając na rozpoczęcie *Andy Griffith Show*, gdy niespodziewanie zadzwonił Joe Michaelson. Jolanta przyniosła aparat z długim przewodem, wyprosiła charakteryzatorkę i starannie zamknęła drzwi.

Gdy podała Marlene słuchawkę, ta głęboko westchnęła. Ostatnie tygodnie były wyjątkowo trudne. Bardzo przeżyła listopadowy zamach na prezydenta Kennedy’ego, którego kandydaturę wspierała równie gorąco jak inni artyści. Bała się, że nowy prezydent Lyndon Johnson szybko ulegnie presji wojskowych i przemysłu zbrojeniowego i wyśle amerykańskie oddziały do Wietnamu. Z drugiej strony, ponieważ do końca kadencji został rok i w listopadzie 1964 roku miały się odbyć wybory, Marlene liczyła, że Johnson będzie kontynuował zainicjowane przez Kennedy’ego reformy zmierzające do równouprawnienia ludności kolorowej i nadania im pełni praw. Następca tragicznie zmarłego prezydenta doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kontynuacja polityki poprzednika zapewni mu wybór na drugą kadencję.

– Cześć, Joe – powiedziała Marlene do słuchawki. – Dlaczego mi się wydaje, że masz dla mnie złe wieści?

– Bo intuicja cię nigdy nie zawodzi. Niemieckie media już wiedzą. Mają świadectwo ślubu i twoje zdjęcie z hrabią. Telegrafy grzeją się do czerwoności. Jutro trafisz na czołówki niemieckich gazet.

Joe nie musiał dodawać, że również w Stanach wybuchnie skandal. Marlene domyśliła się, że to sprawka dawnych kompanów brunatnego hrabiego, którzy wygrzebali ten okropny epizod z jej życia. Aż dziwne, że nie wyciągnęli go w trakcie procesu Brunnmanna. Przecież to śledczy z jej fundacji wytropili go w Ameryce Południowej i ustalili dokładny adres jego kryjówki. To ona powiadomiła frankfurckiego prokuratora Fritza Bauera, on zaś, wiedząc, że nie może ufać niemieckim sądom, przekazał tę informację Mosadowi.

W zachodnioniemieckim wymiarze sprawiedliwości wciąż pierwsze skrzypce grali prawnicy, którzy zaczęli karierę pod rządami nazistów. Gdy zadzwoniła do Bauera, ten – sam będąc Żydem i dawnym więźniem obozu koncentracyjnego – wyznał, że kiedy tylko wychodzi z prokuratorskiego gabinetu, czuje się jak na terytorium wroga. Jego pierwsze pismo do rządu federalnego z prośbą o wszczęcie procedury ekstradycyjnej Brunnmanna, spotkało się z niemal natychmiastową odmową. W tej sytuacji Bauer postanowił zwrócić się bezpośrednio do Mosadu, co wywołało furję wciąż wpływowych „brunatnych towarzyszy”. Prokurator nie dał się jednak zastraszyć i nadal walczył o to, by zbrodniarzy spotkała sprawiedliwa kara. To on doprowadził do tego, że w 1963 roku przed sądem we Frankfurcie rozpoczął się tak zwany proces załogi Auschwitz.

– W porządku, Joe.

– Co zrobisz?

– Przejdę do ofensywy. Włącz telewizor. Zaraz mam wejście na żywo u Andy’ego Griffitha.

Ktoś szarpnął za klamkę, a po chwili zapukał do drzwi.

– *Two minutes* – odezwał się spanikowany głos.

Kilka minut później Marlene w nadawanym na żywo programie ogłosiła, że zamierza zakończyć karierę artystyczną i poświęcić się rodzinie i swojej fundacji.

Nigdy nie wyjaśniła, dlaczego zdecydowała się poślubić hrabiego. W 1990 roku sprzedała swoją amerykańską posiadłość i przenieśli się do Krakowa. Kupiła dom, w którym przed laty mieszkała jej matka, przeprowadziła gruntowy remont i zamieszkała w nim razem z synem.

Jednak żaden skandal nie trwa wiecznie. Na czołówki gazet trafiła wojna w Wietnamie, zabójstwa Roberta Kennedy’ego i Martina Luthera Kinga, zimna wojna i Praska Wiosna. Marlene von Dürkheim *alias* Greta Jakob znów była mile widziana na międzynarodowych salonach, gdzie niez mordowanie angażowała się na rzecz pokoju, praw człowieka, wolności religijnej, równouprawnienia kobiet i praw grup społecznie dyskryminowanych.

W 1995 roku, pięć lat po wyjeździe z USA, Sekretariat Organizacji Narodów Zjednoczonych poprosił ją o wygłoszenie przemówienia na temat równouprawnienia kobiet. I Marlene znów wprawiła wszystkich w osłupienie. Zamiast wygłosić przemowę, odczytała stary list z 1944 roku – duchowy testament pozostawiony przez doktora Gustava Berchingera.

Współczesność

– Oto moja historia – zakończyła Marlene, głaszcząc gęste futro kocura, który umościł się na jej kolanach.

O dziwo, nie czuła się wcale zmęczona. Z zamkniętymi oczami odchyliła się w fotelu, delektując się uspokajającą obecnością kota i ciepłem bijącym od wnuczki, która przytuliła się do jej kolan.

W pokoju panowała kompletna cisza, przerywana jedynie trzaskaniem szczap w kominku i mruzeniem kota.

Czy mogła coś jeszcze dodać do swojej historii?

Nagle poczuła, że ktoś ją obejmuje. Nie musiała otwierać oczu. Wiedziała, że to Wolfgang.

Szepnął jej do ucha tylko jedno jedyne słowo:

– Dziękuję.

Jedno słowo, w którym mieścił się bezmiar zrozumienia i pocieszenia. Potem uściskał cudem odnalezionego brata i z czułością spojrział na Klaudię.

– Wiesz, kochana Klaudio – powiedział z lśniącoymi od łez oczami – że zawsze zajmowałaś szczególne miejsce w moim sercu. Moim i mojej ukochanej Marii. Zawsze byłaś dla nas jakby przybraną wnuczką. A teraz okazało się, że płynie w nas ta sama krew. Żałuję tylko, że Maria nie doczekała tej chwili. Byłaby bardzo szczęśliwa. – Profesor sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pożółkłą kartkę. – Ten wiersz dostałem od mojego ojca, a twojego dziadka. To jedyna pamiątka, jaka mi po nim została. Chcę, żeby teraz należała do ciebie.

Klaudia ze wzruszeniem przyjęła dar i z przejęciem odczytała pierwsze słowa:

– Tylko miłość może ocalić świat.

Marlene westchnęła, z namysłem kiwając głową.

– *À propos* – wtrąciła się Martha, matka Felicity. – Nie wspomniała pani o małej Trudi. Co się z nią stało?

– A tak, Trudi... To osobna historia. Powiem tylko, że i ona odnalazła szczęście. W osobie swojego Gregora. Co prawda pozbawiono go prawa wykonywania zawodu i pobrali się dopiero w 1950 roku, gdyż trafił do niewoli i przebywał w obozie jenieckim we Francji, ale Trudi pojechała za nim. Aby się utrzymać, występowała w *varieté* jako śpiewaczka. Kiedy jej ukochany został zwolniony,

wzięli ślub i byli naprawdę szczęśliwą parą.

– Wygląda na to, że Trudi miała szczęśliwą rękę i potrafiła sobie dobierać przyjaciół – zauważyła z uśmiechem Felicity.

– Tak... Przyjaciele są jak spoiwo, które skleja nasze potrzaskane życie. Co prawda rodzina jest naszym gniazdem, lecz to przyjaciele towarzyszą nam na życiowych bezdrożach. Trudi pomogła wielu ludziom. – Marlene uśmiechnęła się do Felicity.

– A co się stało z Colinem? – spytała z ożywieniem Penelope, monachijska przyjaciółka Trudi.

Wyglądała na dużo energiczniejszą niż poprzedniego dnia, zaraz po męczącej podróży.

Marlene spojrzała na profesora Berchingera.

– Może ty odpowiesz?

– Colin Uptenhoff został wielkim uczonym – rzekł profesor, wyraźnie dumny ze swojego doktoranta, po czym ciepłym głosem dodał: – I doczekał się małej gromadki dzieci.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi salonu i do środka weszła starsza kobieta, mniej więcej rówieśniczka Marlene. Niosła tacę z kieliszkami i butelką koniaku. Ponieważ dłonie kobiety lekko drżały, Oliwia zerwała się z miejsca i uprzedzwszy męża, odebrała tacę z jej rąk.

– Och, a oto ostatnia z bohaterek mojej opowieści! – zawołała z radością Marlene. – Proszę, usiądź z nami – powiedziała do służącej, po czym powiodła wzrokiem po zgromadzonych i dodała: – Państwo pozwolą, że przedstawię. Oto Olga.

– Dla ciebie nadal Czerwona Olga – odrzekła nowo przybyła, unosząc lekko kieliszek. – Za życie i przyszłość!

Epilog

Od dłuższego czasu siedziała przy biurku i... nic nie robiła. Wokół niej piętrzyły się stosy papierów: dokumenty do podpisania, listy do fundacji, protokoły, wycinki prasowe, listy od czytelników.

Jolanta umarła. Wszyscy, których poznała w owych strasznych czasach, umarli. Była ostatnią z tamtego pokolenia. Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer, delektując się cichym terkotaniem tarczy telefonu. Cieszyła się każdą cenną chwilą, jaka jej jeszcze została. Wiedziała, że nie wszystko, co stare, jest dobre, i nie wszystko, co nowe, musi być złe. Prawda zwykle leży pośrodku, niezależnie, po której stronie stoimy. Aby to jednak zrozumieć, trzeba iść przez życie z otwartymi oczami...

W słuchawce odezwał się głos młodej kobiety. Jak zwykle zdyszany.

– Oszczędzasz czas? – zażartowała Marlene.

– Nie, siedzę przy biurku i...

– Właśnie słyszę, że stukasz w klawisze. Wielozadaniowość, savoir-vivre naszych czasów. Mam prośbę. Umów mnie z Rabeą Rosenthal, im szybciej, tym lepiej.

– Masz na myśli tę dziennikarkę?

– A kogo, fabrykantkę porcelany?

– Nie wiem, może masz ochotę czymś rzucić?

Marlene zachichotała.

– Bystra dziewczynka. Powiedz jej, żeby zarezerwowała dla mnie przyszły tydzień.

– Cały tydzień? – w głosie Severine pobrzmiwało zdumienie i podejrzliwość.

– Mam dziewięćdziesiąt siedem lat, nigdzie mi się nie spieszy. – Marlene odłożyła słuchawkę, lecz zaraz ponownie wykręciła numer agentki.

– Tak? – odezwała się niepewnie Severine.

– W pośpiechu zapomniałem się pożegnać. Nie można bez przerwy tak gnać, więc... Do widzenia – powiedziała i znów odłożyła słuchawkę.

Miała dziś dobry dzień. Czuła się pełna energii i nawet noga zbytnio jej nie dokuczała.

Młoda dziennikarka siedziała w pociągu do Krakowa i wciąż nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Jeszcze tego dnia miała się spotkać z kobietą, której siła i odwaga od zawsze stanowiły dla niej źródło inspiracji i niedościgniony wzór. Kobieta, która przetrwała wojnę i Auschwitz, a potem falę oskarżeń

i niechęci – tylko dlatego, że śmiała głośno protestować przeciwko niesprawiedliwości. Która z uporem i niezachwianie kroczyła swoją drogą, na przekór przeciwnościom. Była żywą legendą. Tak, jeśli Rabea Rosenthal miałaby wskazać osobę, która stanowiła dla niej prawdziwy wzór, byłaby to Marlene von Dürkheim *alias* Greta Jakob. Słynna artystka, która, odkąd przed laty ukryła się przed światem, praktycznie nie rozmawiała z dziennikarzami. Kiedy Rabea niespodziewanie otrzymała zaproszenie do Krakowa, zadzwoniła do Marlene. Wtedy też ze zdumieniem i wzruszeniem usłyszała, że jej rozmówczyni świadomie wybrała właśnie ją, gdyż od lat z uwagą czyta jej bezkompromisowe i pełne pasji teksty i reportaże.

Marlene przyjęła ją w swoim gabinecie.

– Witamy w Krakowie, pani Rosenthal. Jak przebiegła podróż?

– Dziękuję, bardzo przyjemnie. – Panie uścisnęły sobie dłonie, podczas gdy Severine, która odebrała dziennikarkę na krakowskim dworcu, podeszła do małego stołu konferencyjnego i odłożywszy teczkę, natychmiast sięgnęła po smartfon. Jak zwykle otaczała ją aura pewności siebie i stanowczości. Zupełnie jakby bez niej świat miał się pogрузić w chaosie.

– Dziękuję, Severine. Nie będziemy cię potrzebować – powiedziała Marlene, odrywając swoją młodą agentkę od ekranu smartfona.

– Ale...

– Żadne ale. Do widzenia.

Severine z czerwoną twarzą zebrała ze stołu swoje rzeczy i wypadła z gabinetu.

Na pożegnanie Marlene rzuciła za nią pojednawczo:

– Ale obiad zjemy we trójkę. O pierwszej.

– Jest bardzo młoda – powiedziała Rabea, spoglądając na drzwi, które zamknęły się odrobinę za głośno.

– Zaledwie rok młodsza od pani, ale rozumiem, co ma pani na myśli – westchnęła Marlene. – Ta dziewczyna jest całkowicie pochłonięta swoją pracą. Chciałaby wszystko porządkować, optymalizować, udoskonalać. Obawiam się, że to jakaś obsesja! – Marlene uśmiechnęła się jak ktoś, kto wiele przeżył, lecz nie chce robić wokół siebie zbyt wiele szumu. – Czasem nasz horyzont bywa tak wąski, że nie widzimy, iż zmienił się wiatr i żeglujemy ku katastrofie. Dlatego panią zaprosiłam. Chciałabym pani opowiedzieć o nowych wiatrach, które zaczęły wiać nad Europą. Ludzie powinni usłyszeć prawdę, bez owijania w bawełnę. Nawet jeśli to będzie prawda bolesna. Niestety, niektórzy zapomnieli, czym jest demokracja, inni zaś zupełnie ją odrzucają. Na naszych oczach rodzi się nowy prawicowy ekstremizm. Nie możemy pozwolić, by historia się powtórzyła. Bo kiedy w historii coś się powtarza, to zwykle w jeszcze gorszej postaci. Ludzie nie uczą się na swoich błędach, a ludzkość zamiast kroczyć naprzód, stoi w miejscu.

– Mój dziadek, który jest rabinem, zauważył ostatnio, że gotowość mieszkańców Niemiec do przyjmowania uchodźców świadczy o tym, iż Niemcy są świadomi swojej historycznej odpowiedzialności.

– To prawda, Niemcy potrafią okazać współczucie i pomoc ludziom uciekającym przed terrorem i wojną, nawet jeśli inne kraje, podzielające te same wartości, nie są tak skore do otwartości. Jednak to nie wystarczy. Musimy się zmierzyć z przyczynami tego nieszczęścia. Wojna i terror nie rodzą się ot tak, same z siebie. Odpowiedzialność za nie ponoszą nie tylko rządy krajów, w których dochodzi do przemocy i zbrodni, lecz również rządy zachodnie. I na tym polu powinniśmy działać. Zamiast odwoływać się do ideologii czy religii, powinniśmy się oprzeć na wspólnych fundamentach moralnych. Wartości! Oto największe wyzwanie naszych czasów! Wzniosłe hasła są tylko tyle warte, ile gotowi jesteśmy poświęcić, by je zrealizować. Czy mamy w sobie dość odwagi, by bronić naszych wartości i naszej wolności? A może staliśmy się zbyt wygodni, zbyt syci? – Marlene wskazała na gruby plik maszynopisu leżący na biurku. – Oto moje życie przelane na papier. Chcę, żeby pani to przeczytała. Potem porozmawiamy. Mam tylko jeden warunek: wywiad ma zostać opublikowany dopiero, kiedy ukaże się książka.

Dziennikarka nachyliła się nad wydrukiem.

– Czy nie postanowiła pani, że autobiografia zostanie wydana dopiero po pani śmierci?

– Owszem. Rozumiem pani obiekcje, ale proszę się nie obawiać: czuję, że nie zostało mi już zbyt wiele czasu. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Mam pięćdziesiąt siedem lat, z których większość przeżyłam tak, jak chciałam. I za to jestem głęboko wdzięczna losowi.

Ostatni wywiad Greta Jacob

Rabea Rosenthal: Pani biografia zaczyna się od słów: „Mam dziewięćdziesiąt siedem lat i wciąż jestem gotowa walczyć”. Brzmi niczym rzucone światu wyzwanie.

Greta Jacob: Owszem, bo wciąż walczę. Walczę o pokój. Wkładam palec w niezabliźnioną ranę, przypominam, czym jest odpowiedzialność, wskazuję na ludzkie słabości. Dlatego jestem niewygodna. Ludzie mojego pokroju stanowią prawdziwe utrapienie, zwłaszcza w oczach polityków. Zamiast dyskutować z moimi poglądami, próbuje się mnie zdyskredytować, grzebie się w mojej przeszłości, szuka słabych punktów. W tej książce opowiadam swoją historię.

Prawdziwą historię.

RR: Opisuje pani straszliwe cierpienia i nieludzkie okrucieństwo. Zwłaszcza wobec kobiet i dzieci.

GJ: Taka jest wojna! Gwałt to jedno z jej narzędzi. Od zarania dziejów elementem taktyki wojennej było porywanie dzieci i kobiet. Gwałcenie ich, poniżanie, mordowanie. To miało podkopać morale walczących mężczyzn.

RR: Stawia pani również prowokujące pytanie: dlaczego kobiety dopuszczają do wybuchu wojny, skoro to one i ich dzieci są jej pierwszymi ofiarami?

GJ: To ważna kwestia, którego do tej pory właściwie się nie dyskutuje. Niestety większość regionów świata nie przeżyła epoki Oświecenia i kobiety nadal wychowują swoje córki na służące i niewolnice. Istoty pozbawione głosu i praw publicznych, zredukowane do funkcji biologicznej. A one znów przekazują ten model swoim córkom. W ten sposób kobieta staje się towarem. W wielu częściach naszego świata ucisk kobiet jest ważnym elementem porządku politycznego i społecznego. Odbierając kobietom przyrodzone prawo do samostanowienia, wykształcenia, antykoncepcji czy wolności myślenia, wtlacza się je w zaklęty krąg zniewolenia. A przecież każdy człowiek rodzi się wolny. Mimo to ludzie sobie i innym wciąż tę wolność odbierają. Są niewolnikami ideologii, religii, zabobonów i innych archaiczno-patriarchalnych przesądów. Tymczasem historia uczy, że ideologie i religie pojawiają się i znikają. A po upływie kilkuset lat ktoś odkopuje jakąś starą świątynię albo jakiś samozwańczy wojownik Boga wysadza jej pozostałości w powietrze. Ludzie uważają się za pępek świata, a przecież ziemia miała sześć i pół miliarda lat, gdy pojawił się na niej człowiek.

RR: Czytamy o tym w słynnym liście który Gustav Berchinger, lekarz i bojownik ruchu oporu, napisał do pani w 1944 roku, krótko przed śmiercią, a który odczytała pani w 1995 roku w trakcie

swojego wystąpienia w siedzibie ONZ.

GJ: Tak, list doktora Berchingera zawiera szalenie śmiałe i postępowe tezy, wedle których świat stoi w miejscu, gdyż nie słyszy głosu połowy ludzkości – tej mianowicie, która daje życie i która zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy pragnie dobra i szczęścia dzieci. Wystarczy rzut oka na mapę świata, by zauważyć, że wojny domowe toczą się głównie tam, gdzie ograniczane są prawa kobiet. Mężczyźni toczą wojny, lecz to kobiety składają na jej ołtarzu swych synów. Mężczyźni uczą się, jak zabijać, kobiety – jak przeżyć. Kobiety nie chcą wojny, zniszczenia. Chcą chronić życie swoich najbliższych. Na tym polega ich walka. To kobiety po wojnie muszą uprzątać gruzy. Niestety mężczyźni zatykają uszy, gdy o tym mówię.

RR: Niektórzy historycy twierdzą, że druga wojna światowa, w przeciwieństwie do pierwszej, po prostu musiała wybuchnąć.

GJ: Znam tę tezę i uważam, że jest przejawem zwykłego cynizmu. Nie ma „dobrych” wojen. Przede wszystkim wojny zaczynają się od kłamstwa. Zabójstwo austriackiego następcy tronu w Sarajewie nie było przyczyną wybuchu pierwszej wojny światowej, lecz tylko pretekstem. Następca tronu był niepopularny we własnym kraju, gdyż popełnił megalomanię, żeniąc się z kobietą niższego stanu. W Wiedniu nie było po jego śmierci wielkiej żałoby, a pogrzeb odbył się bez wielkiej pompy. Cesarstwo habsburskie nie chciało rozwiązania dyplomatycznego konfliktu, lecz dążyło do wojny. Dlatego odrzuciło propozycje mediacji, między innymi brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Edwarda Greya. Podobnie jak dwadzieścia pięć lat później w hitlerowskich Niemczech, w 1914 roku w Wiedniu wierzono, że wojna potrwa kilka tygodni.

Hitler też parł do wojny. I również zaczął ją od kłamstwa, gdy niemieccy żołnierze w polskich mundurach napadli na niemiecką radiostację w Gliwicach, dając Wehrmachtowi pretekst do wkroczenia na teren Polski. Posługując się zmasowaną propagandą, Hitler i jego współpracownicy wmówili Niemcom, że ich ojczyzna została zaatakowana przez Polskę i Trzecia Rzesza musi się bronić. Przekonali Niemców, że to wojna obronna... A ci dali im wiarę i ochoczo wkroczyli na drogę prowadzącą do katastrofy.

RR: W swojej książce stawia pani pytanie, czy ludzkość zazna trwałego pokoju, czy też czai się już gdzieś „nowy Hitler”.

GJ: Uważam, że bardzo ważna jest refleksja nad źródłami i mechanizmami narodzin zła. Hitler uchodzi dziś za jego uosobienie zła, ale przecież nie był w swoich poglądach i działaniach odosobniony. Udało mu się urzeczywistnić plany, ponieważ popierały go dwa wpływowo w Niemczech obozy: zwolennicy feudalno-pruskiego militarystyki pokładali w nim nadzieję na zmazanie „wersalskiej hańby”, a przedstawiciele wielkiego przemysłu finansowali jego działalność, wiedząc, że ewentualna wojna przyniesie im jeszcze większe bogactwo.

RR: Mimo to do dziś niektórzy nie potrafią zrozumieć, jak to możliwe, że naziści zdołali zatruć

cały naród swoją ideologią.

GJ: Hitler, jak każdy dyktator, opierał się w swoich działaniach na nienawiści. Aby zjednoczyć wokół siebie cały naród, wskazał wroga w postaci mitycznego Żyda. Antysemityzm szerzył się w Niemczech już w czasach wilhelmińskich, przed pierwszą wojną światową, a Hitler po prostu potrafił z niego użytek. Naziści najpierw ograbili Żydów, a następnie ich wymordowali.

RR: Nigdy się Pani nie powściągała, jeśli chodzi o piętnowanie zachodnich polityków.

GJ: Piętnuję przede wszystkim tych, którzy czerpią korzyści z wojen. W tej materii nic się nie zmieniło. Sposób działania i retoryka wojenna pozostały te same: za pomocą kłamstwa tworzy się i wskazuje wroga. Pamięta pani rok 2003 i amerykańskie informacje na temat broni masowego rażenia w Iraku? Broni, której nigdy nie odnaleziono, choć przekopano całą pustynię. To smutne, że w imię obrony własnych obywateli rozpętano wojnę, która pochłonęła ogromną liczbę cywilnych ofiar. Tyle że na drugim końcu świata. Ta wojna doprowadziła do eskalacji konfliktu i spowodowała na niewinnych ludzi niewyobrażalne cierpienie i nędzę, miliony z nich zmuszając do ucieczki z rodzinnych stron. Nowoczesna wojna staje się coraz bardziej zmechanizowana: zdalnie sterowane pociski, drony, czołgi, bomby. Powstaje pytanie: dlaczego ludzie wydają miliardy dolarów na produkcję coraz skuteczniejszych narzędzi zabijania, zamiast przeznaczyć te pieniądze na edukację i zwalczanie prawdziwych przyczyn masowych migracji? Odpowiedź jest prosta: bo na wojnie robi się najlepszy biznes. Liczą się pieniądze, nie ludzkie życie.

RR: Wierzy pani, że w przyszłości uda się zbudować świat bez wojen?

GJ: Mój dziadek powiedział mi kiedyś, że polityka jest jak wyścig koni trojańskich. Prawdziwie wolne myślenie rodzi się z wątplenia. Dlatego tak ważne jest wątpić, zadawać pytania, mieć oczy i uszy szeroko otwarte, nie ulegać pokusie konformizmu, czy to z wygody, czy dla doraźnej korzyści. Większość nie zawsze ma rację. Dewiza mojego dziadka brzmiała: „Nie lękaj się, miej odwagę!”. Wolność wymaga odwagi! To na nas, kobietach, spoczywa zadanie przerwania zakłętego kręgu wojen. Wstańmy i powiedzmy: „Nie! Nie zgadzamy się! Żądamy pokoju i praw. Dla nas i naszych dzieci!”.

Przemówienie Greta Jakob w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych wygłoszone 12 lutego 1995 roku

Szanowny Panie Sekretarzu Generalny, Panie Prezydencie, Panie i Panowie Ministrowie, Ambasadorowie, Szanowni Państwo, jest dla mnie wielkim zaszczytem stać tu i do państwa przemawiać.

Poproszono mnie, bym powiedziała kilka słów na temat praw kobiet. Nie zrobię tego. Odczytam za to list człowieka, który wyprzedził swoją epokę. Wielka Hannah Arendt zapewne powiedziała by o nim, że w swoim myśleniu nie potrzebował podpórek.

Człowiek ten był lekarzem, Żydem i bojownikiem ruchu oporu. Nazywał się Gustav Berchinger i napisał ten list w 1944 roku.

Gustav Berchinger wierzył, że w każdym człowieku jest iskra dobra. Wierzył, że można pokonać nienawiść. Wierzył, że możliwy jest pokój. Wierzył w miłość. Jego list jest żarliwym manifestem na rzecz praw i samostanowienia kobiet. Jego konkluzja brzmi: pokój zagości na świecie wtedy, gdy kobiety we wszystkim staną się równe mężczyznom.

Gustav Berchinger jest dziś głosem wszystkich kobiet tego świata. Oto jego duchowy testament.

„Najdroższa,

te kilka słów nie jest pożegnaniem, bo nikt z nas nie wie, czy śmierć jest ostatecznym kresem wszystkiego. Może życie kończy się na tej ziemi, a może nie. Przyroda wciąż się odradza – od ziarenka aż po ogromne drzewo. Jeśli człowiek jest częścią tego procesu, to po śmierci również dostępuje odrodzenia i będzie nam dane ujrzeć naszych najdroższych. Może to nie przypadek, że Ziemia, która nas żywi, jest okrągła – tak jak Słońce, które daje nam światło? Kula i krąg, są wyrazem doskonałości, obrazem boskiej geometrii. Wszystko tworzy harmonię: przyroda odradza się w regularnym następstwie pór roku, rośliny i zwierzęta stanowią zamknięty łańcuch pokarmowy. Nic się nie marnuje i nic nie znika. Jest tylko jeden dysonans: człowiek. Lecz jeśli ludzie stwarzają na tym świecie problemy, to ludzie mogą je również rozwiązać. Aby tak jednak się stało, muszą się zaangażować wszyscy, bez wyjątku. Nie można z tego dzieła wykluczać połowy ludzkości – kobiet.

Wszystko, co istnieje, wpisane jest w krąg wiecznej odnowy i odrodzenia. Dzięki temu świat trwa w równowadze. Zaburza ją tylko człowiek. I tak rodzą się wojny. Jako lekarz poznałem nędzę robotniczych rodzin w najbiedniejszych dzielnicach miasta, a ponieważ byłem bezradny wobec śmierci tysięcy dzieci, niemal zwątpiłem w sens swojego powołania. Widziałem, jak demoralizująca bywa nędza kobiet – wdów i samotnych panien z niechcianymi dziećmi. One nie żyły, lecz wegetowały, trwały w letargu, dźwigając brzemień swojego losu jak zasłużoną karę. A przecież nikt nie zasłużył na to, by żyć w upodleniu!

To na kobietach i dzieciach najmocniej odciska się bezprawie naszego niesprawiedliwego systemu. Systemu stworzonego przez nas, mężczyzn. Nasz świat potrzebuje głębokiej przemiany. Bo czy widząc okrucieństwo tej wojny, ktokolwiek – poza niepoprawnymi optymistami – może jeszcze się łudzić, że dotychczasowy porządek naszej cywilizacji pozwoli dalej trwać światu? Czy naprawdę chcemy wciąż toczyć wojny? Aż do całkowitego unicestwienia siebie i innych? Powinniśmy sobie postawić pytanie: czy można stworzyć świat bez wojen? A jeśli tak, to jak to uczynić? Moja odpowiedź brzmi: należy ustanowić prawdziwą demokrację, w której kobiety i mężczyźni będą sobie równi. We wszystkim. Emmeline Pankhurst, wielka brytyjska sufrażystka, powiedziała, że jeśli nasza cywilizacja ma się w przyszłości rozwijać, to tylko przy współudziale kobiet uwolnionych z politycznych oków, kobiet dysponujących pełnią praw i zdolnych przeprowadzić w społeczeństwie swoją wolę.

Świat się rozwija i kroczy naprzód: medycyna, nauki, nowe bronie. Tylko człowiek zdaje się trwać w swej ignorancji, pielęgnując rasistowskie zapatrywania i utrwalając męską dominację nad światem. Dlaczego wciąż na nowo pozwalamy, by garstka szaleńców strąciła nas w przepaść? Dlaczego dajemy wiarę demagogicznym hasłom? Dlaczego nie potrafimy zajrzeć za fasadę i dostrzec zła? Dlaczego nie umiemy zderzyć im z twarzy masek? Dlaczego tak trudno człowiekowi żyć w pokoju? Czy naprawdę łatwiej nam toczyć wojny? Czy łatwiej nam się poddawać złu, niż podążać za dobrem? Czy aż tak jesteśmy podatni na szatańskie pokusy? Właśnie dlatego tak ważna jest zdolność wątpienia: im więcej ktoś obiecuje, tym gorliwiej należy badać jego prawdziwe zamiary. Abraham Lincoln uczy nas, że polityka to sztuka używania ludzkiej nikczemności dla własnej korzyści. Czy jest lepszy dowód na prawdziwość tych słów niż przywódca naszego brunatnego reżimu? Już w okopach poprzedniej wojny dane mi było dostrzec bezmiar ludzkiego cierpienia. Obrażeniom spowodowanym przez granaty, bomby i gaz towarzyszyły rany na duszy. Jako lekarz potrafiłem zszyć ciało, lecz jeśli chodzi o ludzkiego ducha, byłem bezradny. A teraz, ledwie dwadzieścia lat po tamtej hekatombie, znów mamy wojnę. Jak to możliwe, że ludzie tak szybko zapomnieli o potwornościach, jakie ona ze sobą niesie?

Może jakimś wyjaśnieniem jest to, że zdążyło wyrosnąć całe pokolenie wychowane w narodowosocjalistycznym hurratriotyzmie – nie tylko za pomocą propagandy, lecz również w szkole, Hitlerjugend i Związku Dziewcząt Niemieckich. Lecz jeśli można porwać dzieci i młodzież

brunatną ideologią, to czy nie da się ich wychować do moralności, przyzwoitości, szacunku, tolerancji i pokojowego współżycia? Dlaczego nie uczymy naszych dzieci, że naszym najwyższym celem winien być pokój między narodami – niezależnie od rasy czy religii? Dlaczego nie uczymy ich, że sensem życia jest miłość? Przecież dzieci są naszą nadzieją! Chcemy, by żyły w miłości i pokoju. Jako rodzice pragniemy, by ich dzieciństwo upłynęło szczęśliwie. Ten czas beztroski i cudów, gdy wszystko się wydaje możliwe, tak szybko mija! Czas, gdy rodzice są bohaterami, świat placem zabaw, a życie przygodą, która zawsze dobrze się kończy. Nic nie niszczy tego dziecięcego idealizmu szybciej niż widok zepsucia i okrucieństwa. I za tą utraconą niewinnością najbardziej tęsknimy, wciąż mając nadzieję, że możliwy jest lepszy świat i szczęśliwe życie. Czymże bowiem jest nadzieja, jeśli nie ostatnią deską ratunku na oceanie życia? Nadzieja tli się w nas nawet wtedy, gdy wszystko wydaje się już stracone. Nadzieja kryje się we wszystkim: w promyku światła, wschodzie słońca, wątlých skrzydłach motyla. Również ty, Marlene, jesteś dla mnie źródłem nadziei – tak jak wszystkie kobiety tego świata. Jesteście bowiem w każdym domu i w każdym mieszkaniu. Jesteście matkami, żonami, siostrami, córkami. Stańcie u boku mężczyzn. Jesteście wolne i równe im urodzeniem, macie to samo prawo decydować o swoim życiu i losie. Macie prawo być wolne. Macie prawo się uczyć. Dopiero kiedy tolerancja i szacunek staną się motywem przewodnim naszych moralnych wyborów, możliwy będzie pokój i zgodne współżycie. Dopiero wtedy na świecie zapanują sprawiedliwość i pokój”.

Żydowski ruch oporu w Trzeciej Rzeszy

Marlene ma wiele pierwowzorów, spośród których wymienię tylko jeden: Witkę Kempner. Pieśń *Sztil, di nacht iz ojsgeszternt*, która stanowi motto powieści, nie jest kolędą, lecz artystycznym zapisem jednej z jej akcji. Napisany w 1942 roku utwór szybko stał się nieformalnym hymnem żydowskich partyzantów.

Autorem słów był Hirsz Glik, dwudziestoletni poeta, który uwięziony wraz z pięćdziesięcioma tysiącami innych Żydów w wileńskim getcie nie poddał się losowi, lecz postanowił walczyć i przyłączył się do ruchu oporu w getcie. Tam poznał Witkę Kempner, jedną z założycielek oddziału. To właśnie ona jest ową „dziewczyną z twarzą jak aksamit”, o której pisze młody poeta.

Historię życia Witki Kempner świat poznał dopiero w 1961 roku, podczas procesu Eichmanna, gdy poeta Aba Kowner opowiedział o bohaterskich czynach swojej żony i towarzyszkii broni.

Witka była osobą o wyjątkowym charakterze. W 1942 roku, mając zaledwie dwadzieścia lat, zaopatrzona w fałszywe dokumenty, wydostała się z wileńskiego getta. Ukrywając na własnym ciele dynamit, przeszła pieszo trzydzieści kilometrów i za pomocą własnoręcznie przygotowanej bomby wysadziła w powietrze pociąg wiozący niemieckich żołnierzy. Był to pierwszy niemiecki transport zniszczony na dawnym terytorium Litwy. Dzieła tego, jak podkreślił Aba Kowner, nie dokonali polscy czy sowieccy partyzanci, lecz wileńska Żydówka!

Witka nie poprzestała na jednorazowej akcji. Zaplanowała – i najczęściej osobiście przeprowadziła – kolejne akcje sabotażowe. Wysadzała w powietrze stacje transformatorowe oraz zakradła się do obozu koncentracyjnego Kajlis, skąd uwolniła sześćdziesięciu więźniów, których następnie zaprowadziła do jednego z obozów partyzanckich.

Gdy w 1943 rozpoczęła się likwidacja wileńskiego getta, Witka Kempner i Aba Kowner uciekli kanałami i ukryli się w okolicznych lasach, gdzie kontynuowali walkę partyzancką. Po wojnie oboje wyjechali do Izraela, gdzie się pobrali i zamieszkali w kibucu. Aba Kowner zmarł w 1987 roku, Witka zaś w 2012, mając 92 lata.

Hirsz Glik, młody autor partyzanckiego hymnu, trafił do wileńskiego getta, skąd udało mu się uciec. Schwytyany, został umieszczony w obozie na terytorium Estonii, lecz i stamtąd udało mu się

zbiec. Zginął z bronią w rękę w 1944 roku, w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat.

Dzieje żydowskiego ruchu oporu nie są szeroko znane, choć istniało bardzo wiele żydowskich grup i oddziałów, które dokonały rozlicznych aktów sabotażu oraz doprowadziły do wybuchu powstania w warszawskim getcie i buntu w obozie Auschwitz, gdzie zniszczono dwa z czterech krematoriów. Niewielu żydowskich bojowników doczekało końca wojny, a ci, którzy przeżyli, nie zawsze chcieli opowiadać o swoich czynach. Również dlatego w Izraelu ocaleni z Zagłady często musieli odpowiadać na pytanie, dlaczego Żydzi zamiast walczyć, byli gotowi iść na śmierć jak stado bezwolnych owiec.

Jeden z byłych więźniów Auschwitz wspomina, że w pierwszych latach po wojnie mówienie o Zagładzie nie było w Izraelu mile widziane. Aż do 1961 roku ci, którzy przeżyli piekło prześladowań i eksterminacji, byli określane pogardliwym mianem „*sabonim*” (hebr. mydło). Określenie to opierało się na fałszywym przekonaniu, jakoby Niemcy z tłuszczu swoich ofiar wytwarzali mydło. Ten sam świadek wspomina, że gdy w 1961 roku zeznawał w procesie Eichmanna, czuł się jak „relikt starego świata”. Dopiero w trakcie słynnego procesu nastawienie izraelskiego społeczeństwa stopniowo uległo zmianie i wreszcie zaczęto z uwagą słuchać naocznych świadków, którzy przeżyli piekło Zagłady.

Czytelników, którzy chcieliby się dowiedzieć więcej na temat żydowskiego ruchu oporu, odsyłam do internetowej strony www.jewishpartisans.org.

Miłośnikom literatury polecam natomiast powieść Lutza van Dijka pod tytułem *Der Partisan* – poruszającą historię o miłości, bohaterskiej walce i śmierci w wileńskim getcie.

Posłowie

Drogi Czytelniku,

cieszę, że czytasz te słowa, niezależnie od tego, czy dzielnie dobrnąłeś do tego miejsca, czy też tak jak ja należysz do tego specyficznego gatunku ludzi, którzy zaczynają lekturę od posłowania i podziękowań.

Przede wszystkim chciałabym wyraźnie zaznaczyć, że pisząc tę powieść, posłużyłam się najważniejszym narzędziem każdego pisarza: twórczą wolnością. Stąd też niektóre daty i miejsca dostosowałam do wymogów fabuły, choć, o ile to było możliwe, starałam się trzymać faktów.

Marlene to utwór fabularny, dlatego wszystkie nazwiska, bohaterowie i zdarzenia są wykwitem mojej wyobraźni, a ewentualne podobieństwo do żyjących osób jest wyłącznie dziełem przypadku.

Niniejsza powieść jest literackim apelem o pokój, a zarazem głosem oskarżenia pod adresem tych wszystkich, którzy dążą do wojny. Wojna nie bierze się bowiem z niczego. Za każdą wojną kryje się jakiś perfidny plan tych, którzy liczą, że w ten sposób osiągną osobistą korzyść. W wojnie nie chodzi bowiem o interesy narodów czy idee, lecz o pieniądze i władzę. I zyski wielkiego przemysłu, za którym stoją konkretni ludzie.

Postać hrabiego Dietricha zu Langenburg-Dietrichsteina jest owocem mojej fantazji, lecz pogląd, że na świecie zawsze będą wojny i nigdy nie zapanuje powszechny pokój, są jakże gorzką prawdą. Na ziemi wciąż toczą się walki, spadają bomby, trwa masakra niewinnych. Także teraz, w chwili gdy piszę te słowa.

Dla normalnego umysłu wojna jest czymś niepojętym. A mimo to ludzie od zarania dziejów walczą, a zwycięscy wodzowie są czczeni i nazywani wielkimi zdobywcami. Tymczasem wojna jest niczym innym jak brutalnym rozbojem. Zwycięzcy dokonują podboju, rabują i palą miasta, mordują mieszkańców, hańbią kobiety i młode dziewczęta. Każda kolejna wojna jest bardziej krwawa od poprzedniej. Ostatnia z nich zakończyła się dopiero po zrzuconiu na dwa miasta bomb atomowych.

Pierwsza wojna światowa pochłonęła około siedemnastu milionów ofiar, druga – około sześćdziesięciu milionów, a wojna na Pacyfiku (1937–1945) – około dwudziestu milionów. Dla porównania: wojny napoleońskie pochłonęły około czterech milionów ofiar. Od zakończenia drugiej wojny światowej wybuchło około stu dwudziestu konfliktów zbrojnych, w wyniku których życie

straciło od dwudziestu sześciu do dwudziestu ośmiu milionów ludzi. Do dziś nieznany pozostaje los około miliona trzystu tysięcy niemieckich żołnierzy walczących w okresie drugiej wojny światowej. Ich symbolem jest w mojej powieści pułkownik Ernst Meister.

Stalin powiedział kiedyś: „Śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć milionów to statystyka”. Ja jednak uważam, że żadna śmierć nie jest wyłącznie daną statystyczną. Każda ofiara krzyczy i oskarża. Naszym zadaniem jest zrobić wszystko, by tragedia ostatniej wojny już nigdy się nie powtórzyła. Nie pozwólmy, by nasza cywilizacja utknęła w zaklętym kręgu kolejnych wojen.

Co prawda *Marlene* to tylko powieść, lecz pobrzmiewa w niej echo prawdziwych zdarzeń z najmroczniejszego okresu niemieckiej historii, gdy ludzie zapomnieli, czym jest człowieczeństwo.

W pierwszym tomie mojej wojennej sagi doktor Gustav Berchinger powiedział, że ziemia mogłaby być rajem, gdyby tylko ludzie nauczyli się żyć w pokoju. I w tym wypadku, podobnie jak w odniesieniu do brunatnego hrabiego, wypada zauważyć, że choć doktor jest fikcyjną postacią, to jego słowa niosą w sobie niezaprzeczalną prawdę: kobiety mają prawo do pokoju i powinny o pokój walczyć – dla siebie i swoich dzieci. A ich siła jest ogromna, bo są w każdym domu i w każdym mieszkaniu.

Podziękowania

Przede wszystkim pragnę podziękować mojemu Mężowi, dzięki któremu mogę realizować marzenie o pisaniu, który niezmiernie mnie wspiera i który ze względu na *Marlene* dzielnie zrezygnował z wielu ciepłych posiłków, poświęcając się pracy nad własnym dziełem *Cierpienia męża powieściopisarki*.

Dziękuję mojej przyjaciółce Myriam, której wsparcie, zachęty i rady nieodmiennie towarzyszą mi podczas pisania każdej kolejnej książki. Dziękuję, Myriam! Za to, że jesteś!

Z wdzięcznością wspominam również inne bliskie mi osoby: moją agentkę Lianne Kolf i jej współpracowników, którzy dbają o to, bym mogła spokojnie pracować, oraz cudowną Julię Eisele z wydawnictwa Piper, dla której *Marlene* była równie ważnym projektem jak dla mnie. Kochana Julio, jestem Ci bardzo wdzięczna za wspaniałą współpracę! Za ogromne zaangażowanie dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa Piper, którzy naprawdę kochają książki i żyją nimi.

Pragnę podziękować mojej Mamie. Za to, że jest, za to, jaka jest, i za wszystko, czym mnie obdarowała. Jej miłość jest bezgraniczna i nie znam lepszej i bardziej zacnej osoby. Nie muszę dodawać, że jest dla mnie największym wzorem.

Niektórzy twierdzą, że pisarstwo to profesja samotników, lecz moim zdaniem to nieprawda, bo gdy piszę, moi bohaterowie otaczają mnie niczym żywe osoby. I teraz, gdy praca dobiegła końca, trudno mi się z nimi rozstać. Wiem jednak, że opuszczają mnie, by spotkać się z Tobą, drogi Czytelniku. Życzę Ci, byś i Ty zanurzył się w ich obecność i aby *Marlene* stała się Twoją przyjaciółką, tak jak była nią dla mnie.

Dlatego na zakończenie pragnę podziękować Wam, drodzy Czytelnicy. To dla Was piszę.

Wasza

Hanni M.

wrzesień 2016 roku

Wszystkich, którzy chcieliby się dowiedzieć więcej o mnie i moich książkach, zachęcam do odwiedzenia strony internetowej: www.hannimünzer.de.

Tam też można zaabonować wydawany co pół roku newsletter, w którym zamieszczam informacje na temat spotkań autorskich i akcji promocyjnych adresowanych do moich wiernych Czytelników oraz wszelkie zapowiedzi dotyczące kolejnych książek mojego autorstwa.

Ponieważ kontakt z Czytelnikami jest dla mnie bardzo ważny i zawsze z wdzięcznością czytam wszelkie – nawet krytyczne – uwagi i sugestie, zachęcam do bezpośredniego kontaktu za pośrednictwem adresu e-mailowego: mail@hannimuenzer.de.



HANNI MÜNZER

HANNI MÜNZER

MIŁOŚĆ

W CZASACH ZAGŁADY



*Jak daleko posunie się matka, by ratować swoje dzieci?
Do czego zdolna jest córka, by pomścić ojca?*

*Do czego zdolna jest córka, by pomścić ojca?
Jak daleko posunie się matka, by ratować swoje dzieci?*

Jak daleko posunie się matka, by ratować swoje dzieci?

Do czego zdolna jest córka, by pomścić ojca?

*Czy głęboka, pokonująca wszystkie przeszkody miłość
może przetrwać pokolenia i zabliznić stare rany?*

Kiedy Elisabeth Malpran, chcąc ratować rodzinę, wiąże się z wysoko postawionym oficerem SS Albrechtem Brunnmannem, nie wie jeszcze, że zawiera pakt z diabłem... Pakt, który położy się cieniem na życiu jej córki.

Wiele lat później młoda Amerykanka Felicity wyrusza do Europy śladem matki, która znikła w tajemniczych okolicznościach. Podczas poszukiwań w Rzymie kobieta odkrywa mroczną historię swojej rodziny. Aby ją zrozumieć, musi się cofnąć do najbardziej ponurego rozdziału dwudziestowiecznej historii. Dramatyczne losy słynnej śpiewaczki operowej Elisabeth oraz jej córki Debory poznaje z kart odnalezionego pamiętnika. Sceną jest Monachium i Kraków lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku.

Destrukcyjny splot miłości, poświęcenia, tęsknoty i bólu rzuca się cieniem na cztery pokolenia niezwykłych kobiet, o których losach przesądziły meandry historii.

 **Insignis**

www.insignis.pl

Dołącz do nas na Facebooku, śledź nas na Twitterze i obserwuj na Instagramie oraz Snapchacie!

Aktualności, zapowiedzi, konkursy!



Wydawnictwo Insignis
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis



@insignis_media
twitter.com/insignis_media

Instagram



@insignis_media
instagram.com/insignis_media

Snapchat



insignis_media
zeskanuj kod w apce Snapchat

Tytuł oryginału *Marlene* Copyright © by HANNI MÜNZER

represented by Verlagsagentur Lianne Kolf, Munich, Germany in cooperation with Bettina Nibbe
Literatur Agent, Munich, Germany

All rights reserved.

Przekład

ŁUKASZ KUĆ

Redakcja i korekta

PIOTR MOCNIAK, DOMINIKA PYCIŃSKA

Skład i przygotowanie do druku

DOMINIKA PYCIŃSKA

Projekt okładki

TOMASZ BRZOZOWSKI

Zdjęcia na okładce

Trevillion Images

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2017. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65743-19-0

 **Insignis**

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon/fax +48 12 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

Facebook: @Wydawnictwo.Insignis

Twitter, Instagram, Snapchat: @insignis_media

Plik opracował i przygotował Woblink

 **woblink**

